JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

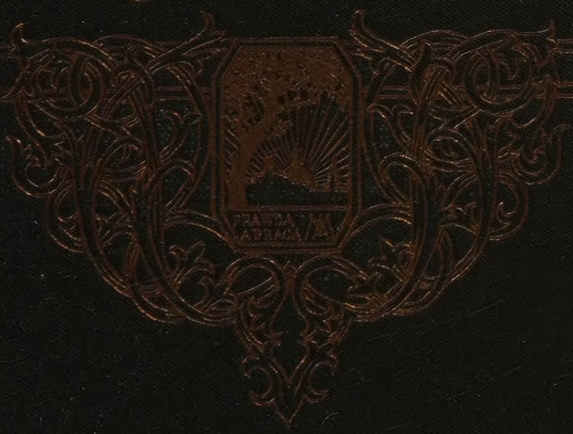

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M·ARCTA
W WARSZAWIE

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STACH Z KONAR

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

STACH Z KONAR

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

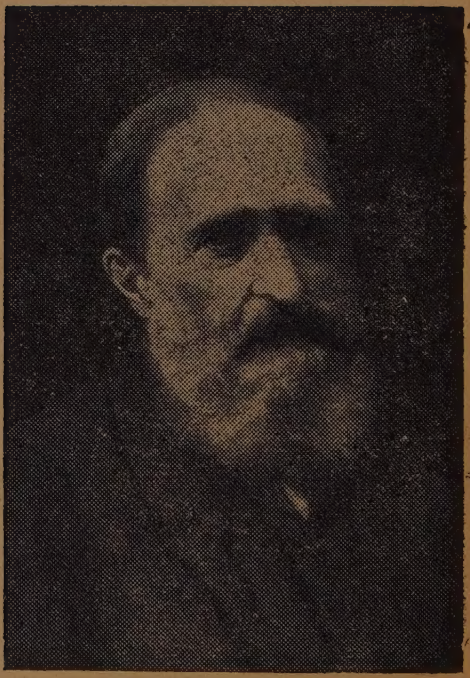

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XVIII

J. I. KRASZEWSKI

STACH Z KONAR

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW
KAZIMIERZA SPRAWIEDLIWEGO

CZĘŚĆ I

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Wiosna była i ranek wiosenny, majowy, taki, jakim Bóg tylko północne obdarza kraje, płacąc im za długą zimę oczekiwania sennego.

Po ciepłych deszczach, słonecznemi przeplatanych uśmiechami, nabrzmiałe pączki otwierały się, jakby rozmiłowane w promieniach jasnych, rozpościerały liście szeroko, aby światło przeniknęło je do głębi; z czarnych śmieci zimy wylatywały motyle, ubarwione złotem i purpurą, muszki brzęczące i łuskami szmaragdowemi okryte żuczki, zrywające się do lotu skrzydłami, jeszcze nawpół splątanemi snem śmierci.

Na wschodzie rumieniło się mające dopiero z pieluch chmurek różowych i mgły srebrzystej rozpowić się słońce; ziemię oblewał ów mrok rozkoszny, który już nie jest nocą, a dniem się nie stał jeszcze i czuć w nim nie zapadające zasłony ciemności, ale precz uchodzący sen ziemi.

Z ciszy głębokiej, która panowała przed chwilą, szmerów tysiącem świat się rozśpiewywał do życia; chór ten, poczęty przez muszki drobne skrzydły wdzięcznemi, wzmagał się świergotem ptasząt, śpiewem ich i szumem rannej lasów modlitwy, rósł w wielki chór uroczysty na powitanie słońca Bożego.

A tak było na świecie pięknie i miło, że chyba znużona starość mogła zaspać ranek taki. Kamienie nawet omszone zdawały się, potniejąc od rosy, wracać na chwilę do straconego żywota. I woń płynęła we

wtór pieśni taka jakaś niebiańska, nieokreślona, złożona z zapachów tysiąca, że się nie czuło, czem była, a poiła tylko błogością, jaką w sobie niosła.

Mieszały się w niej oddechy pączków, drzew, liści świeżych, kwiatów rozpękłych, zwilżonej ziemi, parujących źródeł, unoszącej się w powietrzu rosy, i traw młodych i borów starych. Dobrze żyć było, oddychać, słuchać, czuć, że się jest na tym świecie, który za chwilę ozłocić miało słońce. Król dnia jeszcze był nie wszedł na godowe gmachy, dwór jego poprzedzał pana. Biegły obłoczki, zwrócone twarzą ozłoconą ku niemu, zwiastując go rozpostartemi skrzydły; sunęły się chmury, rozbijając w biegu jak przelękłe majestatem Pana, i mgły się rozpływały jak omdlałe z rozkoszy, w lazurach coraz silniejszej nabierających barwy.

Na dole, na lasach, w nizinach, spał jeszcze poranek, a było szaro a mroczno. W półcieniach tylko podnosiły się lasy sine, wyciągały łąki strojne wierzbami, strzelały gdzie niegdzie sterczące wysoko odwiecznych drzew wierzchołki z liści ogołocone.

W górze stawało się coraz jaśniej.

Wtem z za obsłon wybiegł promień, jak snop złoty, posypał światłością wierzchołki drzew, smugami jasnemi poprzerzynał łąki. Ziemia drgnęła od ognistego pocałunku.

Jakby na ten promień czekało wszystko, wnet żywiej zadrgało, ozwało się głośniej na ziemi, co jeszcze drzemało ospałe przed chwilą.

Okolica była piękna, a napół dzika jeszcze, choć czuć w niej było już człowieka i jego pracę. Opasywały ją lasy, jak wały ciemne, lecz w głębie ich już się wdzierały polany od łąk zieleńsze, ręką ludzką uprawne, tu i owdzie żółta drożyna biegła obok rzeki, przeskakiwała ją mostem, z kłód grubych skleconym i sunęła, wijąc się, ku puszczom. Z pośrodka gęstych drzew, po słupach domów domyśleć się było można osad ludzkich. Stada pasły się na wygonach, na wzgórkach gdzie niegdzie widniały dachy słomiane i chaty szare.

W pośrodku doliny, małemi otoczonej wzgórzami,

jeszcze gąszczem porosłemi, u brzegu rzeczki, na pagórzu niezbyt podniosłym, ale wałami i ostrokołami obwiedzionym, widać było stary gródek, dość rozległy. Zdala, z za okopów zielonych, podnosiła się tylko okrągła, przysadzista wieżyca z kamieni polnych, panująca nad okolicą. Gmachów, co się z nią zrastały, za drzewy i za wałami prawie widać nie było. Wyszczerbiony wierzch jej nie miał dachu, sterczało tylko nad nią coś, jak belki powiązane z sobą, nie okryte niczem.

Gródek ten zwał się Ściborzyce, a obszerne dokoła włości należały do niego, i w Sandomierskiej ziemi mało było żupanów nad Ścibora ze Ściborzyc, starego już, stuletniego może wojaka, co swe ostatnie walki z Krzywoustym odbywszy, złamany i posieczony, przyszedł tu wieku swojego dożywać, śmierci doczekiwać. Zgrzybiały rycerz nie ruszył się już z gniazda, a nie było go komu wyręczać, bo nie miał, ino jedną córkę, żadnego syna, wszystko mu pomarło w pieluchach. Tego dziecięcia jedynego, choć je dawno czas było dać komuś, Ścibor z domu nie puszczał, a do domu też nie wpuścił, ktoby mu usynowiony gospodarzył.

Kto temu był winien? Czy piękna Jagna Ściborzanka, czy stary ojciec? Mówiono różnie, nikt pono całej prawdy nie wiedział, a kto ją znał, ten milczał. Ludzie obcy patrzyli na tę dziewkę wielkiemi ciekawemi oczyma. Było co bo patrzeć i wypatrzeć oczy — nikt jej nie rozumiał.

Długo się na nią oglądając, wszyscy potrząsali głowami, potrząsali ramiony, nie mówili już nic.

I tego poranku, ktoby był widział Jagnę, jak z pod strzechy się zawczasu wyrwawszy, nim słonko weszło, wybiegła na wał gródka i, stojąc na nim, poglądała smutnie po okolicy, zdumiałby się pięknej dziewce, nie rozumiejąc, co ją zbudziło i co ją pędziło?

Stała tak już dobrą chwilę na najwyższym cyplu wałów, wyszedłszy z pośrodka rosnących wewnątrz, u stóp jej lip, świeżo rozpękniętych — stała, patrząc wdal zadumana, piękna, posępna, nieodgadnięta.

Co ona tam widziała i na co patrzała, dlaczego się

zerwała tak rano? — nikt z domowników nawet nie rozumiał. Ale ci byli nawykli do dziwactw pięknej dziewczyny, której ojciec na wszystko pozwalał, co chciała. Ona tu sobie, jemu i wszystkim była panią. Czyniła, co się jej zamarzyło, mówiono, że nie zawsze to, coby młodemu dziewczęciu przystało, ale Ścibor, syna nie mając, dozwalał jej być taką, jaką chciała. Chowało się to po śmierci matki samowolnie, dziko, pieszczone, a że w żyłach jej jakaś bujna krew płynęła, trzepotała się jako ptak, co nie zna, ino to, co mu słońce, wiatr, pogoda i burza do główki napędzą.

Stała Jagna Ściborzanka na wysokim okopie sama jedna, dziwnie na ranek przystrojona, a taka piękna, jakby z gałęzi starych lip wyrosła Dziwożona. Dziewczę było wzrostu słusznego, rozkwitłe bujno, krew z mlekiem, twarz miała tylko opaloną nieco, oko czarne i śmiałe, brwi ruchome i łatwo biegające, w pośrodku których groźny marszczek czasem czoło przerzynał. Nosek mały rozdymał się różowemi jak u konia chrapkami, usta drobne, dumnie ku górze były wzdęte, miały wyraz nadąsania i dobroci razem, a jak wiśnie różowe wyzywać się zdawały pocałunków. Cała była tak kształtna a tak silna, że mimo swej piękności niewieściej, podobniejszą była z postawy i ruchu do młodzianka raczej, niż do pańskiego dziewczęcia.

Tego poranku miała na sobie gzło białe, szyte wzorzysto na ramionach i piersi, i przyodziewek sukienny, krótki, a spódniczkę kraśną, szkarłatną, złotem obramowaną, na nogach buciki ze śpiczastemi nosami, pas szeroko obmotany aż pod piersi, do góry podniesione, kształtne, jak z kamienia wykute. Ręce, które z pod rękawów występowały ogorzałe jak twarz, formy miały piękne, rozmiary drobne, a czuć w nich było jednak siłę; nóżka, wystająca z pod spódniczki, była mała. Kilka sznurów korali z bursztynów i szklanych pereł ciasno, jak pancerzem, białą jej szyję obejmowały. Na głowie zamiast dziewiczego wianka, który dla dziewuch był w obyczaju, miała czapeczkę czerwoną, małą, zielonemi liśćmi dokoła obwiedzioną.

Ślicznie jej było w tym stroju, choć twarzyczkę miała zasępioną, a rozglądając się po okolicy, nie rozjaśniła jej uśmiechem. W oczach, jakby łzą rozpłynięta zwilżonych, smutek i niepokój znać było, do ust przylgnął ból jakiś stary, z którym się już zżyła. Stała, patrzała, oddychała, jakby jej tam pod dachem powietrza było zabrakło, a tu go szukać musiała i chwytała spragniona.

Gdy tak patrzała zadumana, poza nią budziło się wszystko na gródku, piały na wyprzódki kury, gdakały kokosze, gruchały gołębie, rżały konie, bydło ryczało, beczały owieczki i czeladka ruszała się gwarno, a szmery i głosy przemykały po podwórcach, choć jeszcze wczesną dnia dobą stłumione.

Stary Ścibor spał, więc podle dworu cicho stąpano, nie rozpuszczano głosu; bliżej wałów, kędy o dziewce pańskiej, już rozbudzonej, wiedziano, śmielej ludzie pomrukiwali.

Daremna to rzecz, choćby silną panią była niewiasta, nigdzie jej takiego posłuchu i poszanowania nie oddadzą ludzie, co najsłabszemu mężczyźnie. Jagny też niebardzo czeladź się obawiała, choć chwilami straszną być umiała i gniewy miewała męskie.

Wiedziano o tem, że gniew jej przychodził jak piorun, przechodził jak burza. Kochali ją ludzie więcej, niż się lękali, a litowali się bardziej, niż miłowali.

Stare baby pocichu zwały ją „nawiedzoną". Nikt jej dobrze nie rozumiał, dlatego znachorki myślały, że chyba kto czar w kolebce rzucił na nią i wiele z nich utrzymywało, że trzeba było „odczynić urok", aby dziewka do rozumu przyszła.

Nie bez przyczyny mówiły to staruchy, bo była jakby szaloną i nawiedzoną. A za drugi czar przyznać jej było można, że ojca, wojaka starego, który się nigdy nikogo i niczego nie uląkł, tak ona dziewucha sprawowała, iż dawał jej czynić, co sama chciała.

Miała już Jagna, jak liczyła ta, co ją karmiła, dobrych lat dwa dziesiątki, panią była znacznych włości, starało się o nią ludzi możnych niewiedzieć ilu, a na

wszystkich głową trzęsła i ramionami ruszała wzgardliwie — nie chciała nikogo.

Toby jeszcze nie było nic, bo nawykła do samowoli, a włożywszy namitkę, postrzygłszy kosy, jużby pana, sobie go wybrawszy, słuchać musiała, więc pod niewolę śpieszyć się nie miała czego — ale żyła dziewczyna nie po niewieściemu.

Prząść len i szyć w krośnach i inne roboty niewieście umiała Jagna począć tak zręcznie, jak mało która; gdy się do tego wzięła, prędzej jeszcze i piękniej, niż inna potrafiła, a no serca do tego nie miała. Zrobiwszy co, rzucała w kąt, na chwilę i to ją zabawiało, popatrzała potem, usta się jej pogardliwie do góry podnosiły i więcej ani spojrzała.

Zato męskie zabawy, które dziewkom nie przystały, zdawała się woleć nad inne. Siąść na konia, choćby dzikiego, hasać na nim pół dnia, wrócić zmęczonej, często podrapanej, niczem dla niej było. Na takie wyprawy ze psy, z sokołem przebierała się po męsku, stroiła dziwacznie i aż się jej oczy śmiały, gdy z zamku w świat się puszczała. I toby jeszcze nie było nic, bo wiele naówczas niewiast miało męskie upodoby, najgorzej ze wszystkiego, że się czasem Jagna wyrwawszy z domu, porzucała czeladź, obłąkała swoich ludzi, jakby umyślnie, przepadała bez wieści na dni kilka, a zjawiała się potem zpowrotem, jakby się jej nic nie stało.

Gdy jej potem wymówki czynili, ramionami ruszała i śmiała się pogardliwie, odrzucając:

— Nic mi nie będzie.

Stare ojczysko już się z tem było oswoiło. Córka ta toć jedno było oko w jego głowie, cały świat, słonko i życie.

W początkach Ścibor z rozpaczy głową tłukł o ścianę, ludzi rozsyłał, nagrody obiecywał, narzekał, włosy sobie rwał, a no, jak się to człowiek z najgorszem oswaja, potem to znikanie dziecka już tak go nie przerażało. Mruczał stary:

— Już ona wie, co czyni — niech tam sobie! Tyle jej, co poszaleje!

A gdy powracała, to ją cisnął do piersi i płakał, póki mu się nie rozśmiała białemi ząbkami, nie pocałowała w czoło i nie poszeptała coś do ucha.

Ścibor był już prawie zdziecinniał.

Za króla Krzywousta w zachowaniu był wielkiem, a liczył się ze Skarbimierzem, Żelisławem i innymi do najlepszych wojaków, potem, gdy złamany został a do barłogu przykuty, odwiedzał go sam król i dzieci swe do niego posyłał. Jeździł do Ściborzyc starszy królewicz Władysław, przybywali na łowy i zabawiali się po dni kilka Bolko, Mieszko. Nawet najmłodsi dwaj, po śmierci króla pamiętni ojcowskiego kochania, przez matkę tu byli posyłani; Henryk i Kazimierz, najmłodsi królewicze, nieraz tu na łowach z ochmistrzem po kilkanaście dni przesiadywali. Henryk i Kazimierz z małą naówczas Jagną bawili się po wałach i okopach, ścigając, śmiejąc się i hucząc, a pokrzykując w najlepsze. Dzieweczka naówczas po męsku się nauczyła dla nich przebierać i męskich nabrała obyczajów.

Później za Władysława, gdy cięższe nastały czasy, a królewicze wiele mieli do przecierpienia, bo nimi. młodszymi zwłaszcza, tu i owdzie rzucano, już ich w Ściborzycach nie było. Przejazdem tylko Kazimierz tu czasem zaglądał.

Gdy dziewczę dorosło, że to było piękne jak kwiatek, bogate jak księżniczka, i u ojca jedyne, na odgłos o niem sypały się swaty starym obyczajem. Nie pytano Jagny, kogoby ona chciała, a słano do ojca z ofiarami. Ten syna stręczył, ów bratanka, inny krewniaka, wszystko z wielkich rodów.

Zrazu Ścibor myślał może wydać Jagnę, takiego tylko sobie szukając w przyjmy, aby synem był nietylko zięciem, ale dziewucha mu długo myśleć nie dała, pocałowała go i rzekła:

— Darmo sumujesz stary, ja nie pójdę zamąż, chyba sobie sama pana wybiorę. Wybór będzie niełatwy! A poco ci śpieszyć, stary mój, mnie za mężem nie tęsk-

no, chyba tobie. Poco pana sobie szukać? Albo ci ze mną źle? Czy się boisz, abym ja na koszu nie siadła i rutki nie siała pod siwy włos? A gdzieżeś to widział, aby tylu ziem i wsi dziedziczka jedyna, męża, gdy chce, nie znalazła?

Naprawdę więcej się tego obawiał Ścibor, aby powinowaci, gdyby zmarł, majątku ich nie najechali i nie pochwycili jako mienia ojczystego, dziewczynę łada wiankiem zbywając, ale Jagna śmiała się z tego strachu, mówiąc, że krzywdy sobie nie da uczynić.

— Toć Bolka i Mieszka, i Henryka, i Kazimierza znamy i łaskę u nich mamy, że nam krzywdy uczynić nie dadzą — przyczyniała do tego. — Ktobykolwiek z nich panował, krzyw nam nie będzie, a jeśli najmłodszy Kazimierz przyjdzie do mocy, ten mój druh najlepszy, bośmy z nim razem na drewnianych koniach jeździli!

Było to za tych czasów, gdy Władysława wypędzono z Krakowa, a Kędzierzawego sadzono w miejscu jego, więc gdyby się panowanie zmienić miało, swatało się doń dużo, bo i Władysławowicze, i gdyby Bolko nie dotrwał, Mieszko ze swojem potomstwem. Kazimierz naówczas ani kawałka ziemi nie miał, u brata będąc na łasce. Dopiero gdy Henryk, najmilszy mu z braci, nieszczęśliwie zginął w zasadzce, Sandomierz mu się po nim dostał.

Ale do Krakowa, który mu Jagna przepowiadała, żartobliwie ojca pocieszając, bardzo było jeszcze daleko. I tej dzielnicy pięknej Sandomierza z Lublinem wydziedziczony ów najmłodszy synek Krzywousta spodziewać się nie mógł, cóż dopiero stolicy głównej i panowania zwierzchniego.

Ścibor się śmiał z córki, że towarzysza zabaw dziecięcych rada była widzieć tak wysoko, aby w nim swej samowoli opiekuna znalazła — ona, pomrukując, głową sobie trzęsła.

Przekonać ją, gdy się w czem uparła, bardzo było trudno, raczej niepodobna. Co się tam w tej głowinie snuło i plotło myśli dziwacznych, Bóg wiedział jeden.

Czasami, gdy wieczorami, jesienią, jak to najczęściej bywało, Ścibor pół siedział, napół leżał w kącie izby, a u ogniska kłody wieczorne niebieskiemi dogorywały płomyki i Jagna, usiadłszy przy starym, puszczała wodze swym cudackim wymysłom i marzyła dziwne rzeczy, stary słuchał, to się zżymając, to spluwając, to śmiejąc, a wkońcu nieraz i zapłakał, dziecko ściskając. Bo co Jagna wygadywała, nie do wiary było szalone, a ci, co czasem podsłuchiwali, ręce do góry podnosili — i dlatego ją „nawiedzoną“ zwano.

W istocie nawiedzały ją baśnie złote, jakby te, które z kądzieli prządki sobie wymyślają, przypominając, co im u kolebki prawiono. Czasem się w tych baśniach widywała królową, żoną jakiegoś władcy ukochaną, rozkazującą na cztery strony świata, szczęśliwą, a w sercu jego mocną. I jakby coś w sobie miała, wspomnienie czy przeczucie, opisywała ojcu miłego swego, co go pewnie na świecie nie było, zawsze jednako, takim pięknym, jak chyba prawdziwy mógł być królewicz.

Po takich nawiedzeniach, nazajutrz, gdy dzień jasny rozwiał nocne widziadła, Jagna wychodziła ze swej komnaty taka blada, smutna, tak przybita, niema, jakby wszystkie szczęścia wczoraj wypiła do dna, a na dziś jej i kropli nie pozostało.

Takich dni czasem siadywała na kamieniu u dworca, nie słysząc nic i nie widząc, albo gnała z koniem w lasy, póki się w śmierć nie umęczyła i nie powróciła bez tchu, bez mowy, aby lec bezduszną na pościeli i snem żelaznym spać potem dzień i noc. Ojciec czuwał wówczas nad nią i płakał.

Z gachami, co się swatali, dużo biedy bywało. W początkach ją oni gniewali, zamykała się od nich, dąsała, nie jednemu takiego coś rzekła, że z gniewem precz odjechał, zemstę poprzysięgając. Niektórzy się kusili gwałtem ją porwać, ale dwu to na złe wyszło, bo jednego z łuku postrzeliła, drugiego ludzie brzydko stłukli. Inni się już nie posuwali, odstręczeni tą nauką.

Ci, co poszli precz odprawieni, z gniewu potem wy-

myślali na nią, że „nawiedzoną" była, drudzy, że coś miała w myśli i sercu tak podłego, iż się do tego przyznać nie śmiała.

Łatwo ją było o wszystko posądzić, bo, nie dbając o nic, znikała często, nie wiedziano, gdzie się podziewała, prawili ludzie, co chcieli.

Dziewucha była, jak koń dziki, co uzdy nie uczuł nigdy, ale gdy się komu uśmiechnęła, każdyby był za nią życie dał.

Dobrze już słońce podeszło na niebie, gwar w podwórzach rosnął. Jagna, co się była w okolicy na lasy zapatrzyła, zbudziła się dopiero, obejrzała dokoła, posłyszała, że się życie brało na dworcu — i powoli zeszła z wałów.

Wprost z łąk ciągnęła do ojca.

Stary się budził nierychło, często dobrze po wschodzie, bo po nocach sen go nie brał, późno zasypiał, musiał potem na dzień zachwycić.

Naówczas, gdy na wyrostka, który legiwał u progu, w dłonie klasnął, bo głos miał mały i krzyczeć nie mógł, szedł Szurka zaraz okienniczkę w głowach pańskich odsunąć, aby do izby światło weszło i powietrze.

Potem zimą czy latem ogień mu rozpalano, bo bez niego żyć nie mógł. Dawali mu wodę do umycia i ręcznik, a tuż i polewkę z mięsem niosła albo stara mamka Jagny, Wierucha, albo i ona sama, jeśli była w domu i pogotowiu.

Miał stary psy ulubione, które wówczas wpadały do niego, bo nocą za drzwiami z Szurką legały. Czasem potem włodarz przychodził, czasem się gość zjawił — i ot tyle. Dzień się poczynał, który potem wlókł się różnie, najczęściej długo a nudno, jeżeli Jagny nie było, a pora nie dozwalała starego wynieść pod lipy, na przyźbę, albo gdzie mu się zamarzyło.

Jagna ku dworowi podchodziła, gdy już Wierucha miskę staremu niosła, skinęła na nią milcząc, aby ją oddała, i, sama niosąc, do izby weszła ojcowskiej.

Stary właśnie pacierze mówił, bo człek był pobożny, jak wszyscy rycerze Krzywousta, pana, który bez

modlitwy nie wojował a Panu Bogu więcej służył, niż światu. Towarzysze jego moc modlitw i pieśni napamięć się w obozach ponauczali, bo je tam codzień wieczór i rano czytano, odmawiano, śpiewano.

Zobaczywszy córkę, Ścibor prędko dokończył służbę Bożą, przeżegnał się, usta mu się do niej uśmiechnęły, ręce drżące wyciągnął i zaszeptał tylko:

— Moja ty, moja!

Ona też uśmiechnęła mu się, ale tak smutnie, że już wiedział, iż dzień będzie niewesoły. Postawiła misę na ławie, uklękła przy starym, a gdy on głowę jej obejmował, całując, ona po rękach go całowała. Nie rzekli do siebie nic. Wstała potem i misę mu z ręcznikiem postawiła na kolanach, aby pożywał wygodnie.

On patrzał tylko na nią i jeść mu się już nie chciało. Starzec był, choć wychudły, pożółkły, choć porąbany i posieczony, a bliznami czerwonemi, jak pręgami poprzepasywany, pięknego oblicza. Skóra na niem przylegała do kości, a sucha twarz miała rysy pańskie i jasne. Orli nos nad nią panował kształtny, ruchomy w nozdrzach, jak u córki; oczy nad nim, choć zbladłe, jeszcze bystro patrzały. Pierś miał wpadłą, ale szeroką, ramiona wychudłe sterczały, pokazując, jakim był niegdyś, póki nie wysechł na szczapę. Siedząc w tym mroku, choć zżółkł, wybielał też razem, włosów reszta srebrna śniegiem odbijała od lica. Gdy sam pozostał, twarz tę całą obejmowała zaduma i smutek, występowały fałdy na czole i przy ustach; gdy córkę miał u boku, miłość wielka go rozpromieniała i był nią jakby ubłogosławiony.

Wojak stary a zuchwały niegdyś, teraz nad wszystko pokój cenił i, nie mogąc walczyć, rad go był okupić, choć drogo. Pragnął go może więcej dla córki, jak dla siebie.

— Ptaszę ty moje — odezwał się cicho, — cóżeś to tak rano z gniazda się ruszyła?

Jagna potrzęsła główką, nie odpowiadając nic.

— A dzień tam jaki? — zapytał Ścibor. — Widzę z okna, że już słonko dokazuje. Ho! ho! wiadoma to

rzecz, kiedy zawczasu jasno wynijdzie, na potem pewna burza lub słota...

— Ranek był długo pochmurny — odparła Jagna, — na pogodę ptactwo śpiewa.

— A ty jak? — zapytał stary.

— Ja? albo mi się pogoda na co zdała? — szepnęło dziewczę. — Mnie z tem jedno: pogoda czy słota. Czasem, gdy pioruny biją, to mi rzeźwiej i raźniej.

Starzec jeść zaczynał, rękę podniósł, głową potrząsnął.

— Wiesz — rzekł, — wiesz ty Jagno, kto mi się dzisiaj śnił w nocy, hę?... Śnił mi się ktoś, a to pewna, że ja stary miewam sny takie, iż mi się zawsze wyśni, kto się do mnie zbliża. Ot, dusza jakoś czuje, co do niej idzie.

— Ale kogoście to wyśnili? — zapytała Jagna obojętnie.

Ścibor popatrzał na nią smutnemi oczyma.

— Kogo! kogo! — powtórzył — albo to tobie co po kim? Albo to ci milszy jeden, niż drugi! Żebym wiedział, kto ci upodobany, Boże odpuść, czasamibym go tu gotów ściągnąć.

Rozśmiała się Jagna pół ustami, ale brwi zostały zmarszczone.

— A co mi tam po nich! — poczęła, ręce zaciskając mocniej jeszcze. — Poco oni tu jeżdżą, ten i ów? Ten, kogobym ja mieć chciała, i czary go tu nie ściągną.

Jagnie oczy zabłysły żywo.

— A kogóżbyś ty mieć chciała — zapytał podchwytując, — kogo?

Złapane za słowo dziewczę usta podniosło, głową potrząsnęło.

— E, nikogo! nikogo! — odparła półgłosem.

Stary westchnął.

— Któż ci się śnił, mój ojcze? — dodała zaraz.

— A co ci po tem, choćbyś się dowiedziała? — rzekł Ścibor. — Stach z Konar pewno przyjedzie! Dawnom, dawnom go nie widział. Poco on tu miałby przy-

być, nie wiem, a choćbym się i domyślał, mówić nie mam potrzeby.

Znowu spojrzał na córkę, której rumieniec żywy na twarz wypłynął, gdy imię Stacha posłyszała.

— Stach z Konar! — zawołała nagle, zżymnąwszy się cała, — Stach z Konar! A toć niema człowieka w świecie, któryby mi nienawistniejszym był nad niego.

Zamilkł Ścibor.

— Stach z Konar! — powtórzyła raz jeszcze. — Zbój ten niepoczciwy.

— E! e! — przerwał stary — za cóż to go zbójem i nicponiem zwiesz! za co!

— Alboż nie wiecie? — z oburzeniem odparła Jagna.

— Juści się dorozumiewam — mówił ojciec. — Jeszcze ci pewno w pamięci owa przygoda, którą z księciem Kazimierzem miał zamłodu. A toć sam książę dawno o tem zapomniał i przebaczył mu wspaniałomyślnie, a biedaczysko za winę odpokutował sowicie.

— Odpokutował! — wtrąciła, gniewnie miotając się, dziewczyna.—Głowę, głowę za to powinien był dać. Im lepszym i wspaniałomyślniejszym dla niego się pan okazał, tem on winniejszy! Sądzili go wówczas na rozszarpanie końmi i jabym go była na kawały rozerwać dała, bo żyć nie wart! nie wart!

Stary wzdrygnął się, posłyszawszy mowę córki.

— Jagno! — zawołał — Jagno! tyś niesprawiedliwa! Boże ci odpuść! Posłuchaj mnie starego. Ja też panów naszych kocham, a księcia Kazimierza i Henryka nieboszczyka miłowałem więcej nad wszystkich. Aleś ty spełna tej sprawy nieświadoma, a katembyś zaraz mu być chciała.

— I byłabym była — odezwała się Jagna porywczo, podnosząc złożone pięści do góry — i łebby dał!

— Więc posłuchajno, ty moja zła Jagno jakaś — odezwał się, zwracając ku niej stary. — Znać, żeś dobrze nie znała sprawy, a ludzie pletli nie do rzeczy.

— O! wiem ci ja dobrze, jak było! — odparło dziewczę.

— A ja lepiej wiem, niż ty — rzekł stary uparcie. — Gdy raz się o tem zgadało, musisz posłuchać.

Potrząsła głową Jagna i zapatrzyła się w okno, ale obojętność jej ojcu ust nie zamknęła.

— Ot tak było! — mówił Ścibor. — Ot i, że Kazimierz bardzo młodym naówczas był, Stach też, bo są równolatki, należał do jego dwora, jako rówieśnicy bawili się zwykle razem.

— A tak! — wtrąciła dziewczyna — zabawiali się, książę go przez łaskę do osoby swej przypuścił, a on, jak pies, któremu drzwi do izby otworzą, wnet chciał po niej plondrować i paskudzić.

Stary, ścierpiawszy przerwanie, mówił dalej.

— Ot tak było. Młodzi, zwyczajnie młodzi, czemże się zabawiać mieli? Pili oba. Pił książę Kazimierz i dolewał Stachowi, aż się obu we łbach zakręciło. Więc kośćmi rzucać zaczęli. A poco było królewskiemu synowi z lada dworzaninem i z służbą tak się poufalić, dać mu z sobą siadać narówni i po pijanemu kosterzyć?

Oczy Jagny paliły się z gniewu, słuchając, ale ojciec, ożywiwszy się, mówić i wygadać się potrzebował.

— Stawił królewicz i stawił Staszek co miał, kości naprzemiany to jednemu, to drugiemu szczęście dawały. Wtem Stachowi poczęło iść licho a licho. Co rzucił kości, przegrywał. Pijany rozumu nie ma, stawił więc wszystko, aż do pasa, łańcucha, pierścieni, a w ostatku, zgrawszy się, ojcowiznę któremuś z rycerzy, co świadkami byli, założył za sumę wielką, aby grać dalej. Znać mu dobrze w głowie szumiało, bo zgrawszy się, co miał srebra na kupę zsunął, ważąc wszystko na kość jedną.

Na księcia Kazimierza kolej rzucać wypadała, cisnął tedy i tyle ok wyrzucił, ile ich na kościach było. Wygrywał więc mu ostatnią koszulę. Z rozpaczy Stach ojcowiznę i cześć tracąc, podniósłszy się nieprzytomny, policzek dał księciu.

Jagna krzyknęła z oburzenia.

— A nie powinienże był wisieć tej godziny! — wyrwało się jej z ust.

— Na krzyk przytomnych — mówił dalej Ścibor— nie czekał też Stach wyroku, ni sądu, od stołu skoczywszy, dopadł konia i uchodził.

Puścili się wnet za nim w pogoń drudzy i związanego przyprowadzili do sądu. Krzyczał kto żył, wołali wszyscy, aby go końmi szarpano, głowę mu odcięto, rękę odrąbano i palono.

Tu dopiero królewicz się okazał, jakim był i jest.

— Okazał się prawie świętym i wielkim! — zawołała Jagna z zapałem.

— Tak — potwierdził ojciec, — bo sam wystąpił spokojny, otrzeźwiony, upokorzony w obronie winowajcy. Nie on winien — rzekł — ale ja. Mnie kara zasłużona spotkała, żem się w grę niepoczciwą wdał z nieprzytomnym. Łacniej jemu przebaczyć, który z rozpaczy, że wszystko postradał, zmysły też utracił, niżeli mnie, com krwi swej, powagi i dostojeństwa nie szanował.

A tak owego Stacha wolno puszczono, królewicz mu wygraną nazad wrócić przykazał, jedno to z sądu zatrzymawszy, aby mu Stach się więcej na oczy nie śmiał okazywać.

— Jakże więc — podchwyciła dziewczyna — i powiecie, że obraza takiego męża, który z nadludzką pokorą winę darował, siebie obwinił, nie jest najokropniejszą zbrodnią? Cóż, gdy się kto na świętość w ołtarzu targnie, albo mu rąk nie obcinają, na stosie go nie palą?

— Ależ słuchaj, dziecko ty gniewne, kotko ty moja drapieżna — rzekł starzec spokojnie. — Stach się stał przez to na całe życie nieszczęśliwym, bo tego pana, jak kochał wprzód, tak umiłował od tej godziny stokroć więcej, i za niego byłby gotów krew przelać, tęskni do niego, u nóg jego pokutę radby sprawiać, a wygnanym jest na wieki z przed oczów tego, którego kocha.

— Dobrze mu tak! Choćby całe i najdłuższe życie

miał się męczyć i przepadać — podchwyciła niezmiękczona Jagna. — O! dobrze mu tak! Litości nie wart! zbrodzień jest! mała to kara dla zbója!

— Zawinił ci, prawda — westchnął Ścibor, — ależ Kazimierza przez to wywyższył, przez niego wiedzą dziś ludzie, jakie ten pan ma serce i pokochali i poszanowali nad wszystkich pono jego braci.

— Bo godzien jest tego — przerwała Jagna, — bo nietylko między jego bracią, ale na całym świecie drugiego takiego niema, jak on!

Domawiała tych słów, gdy chłopak wszedł do izby i u wrót się trąbka ozwała.

— Oto i mój sen! — zawołał Ścibor.

Jagna zerwała się szybko, spojrzała na ojca i zbiegła co prędzej, drzwi zatrzaskując za sobą, kryjąc się do izby swojej.

Chłopak Stacha z Konar oznajmił pocichu.

II.

Stach z Konar był tu niegdyś znanym ze swych lat młodszych. Ojciec jego, Żyrosław, wojował razem ze Ściborem, dalekie jakieś łączyło ich powinowactwo przez żony; syn też dzieckiem bywał czasem w Ściborzycach, ale po owym nieszczęsnym policzku, gdy się go wyrzekli wszyscy, i on nikomu nie śmiał już pokazać oczów.

Tułał się kędyś, niewiadomo było, co się z nim działo, nikt nawet o niego nie spytał. Młodsi synowie Krzywoustego, Henryk i Kazimierz, mieli wielką miłość u ludzi, oburzyło zuchwalstwo wyrostka wszystkich, a choć z życiem ujść mu dano, nikt go znać potem nie chciał.

Stary Ścibor, który był ojca przyjacielem, dziś ostyglejszy, winę młodzieńczą, jeśli nie rozgrzeszał, to tłumaczył. Tęsknił trochę za biednym potępionym, żal mu go było, dziwił się, że przez lat tyle nie szukał u niego rady, ani pomocy, ani pociechy. Myśliwał często o nim i to mu może poddało sen ów proroczy.

Jagna od bardzo dawna tego znienawidzonego i wyklętego nie oglądała, zapomniała o nim, stał się jej zupełnie obcym. Mało się i dawniej znali.

I teraz, gdy oznajmiono jego przybycie, nie chciała go widzieć, ani z nim spotkać i być widzianą, uciekła. Ciekawość jednak niewieścia podżegała ją do zobaczenia, jak też ten zbrodzień wyglądał.

Obok izby Ścibora, przez ścianę tylko od niej była komnata Jagny, świetlica, do której wszedłszy, trudno było odgadnąć, kto tu mieszkał, niewiasta, dziewka, czy młokos. W najdziwniejszym nieładzie rozstawione były sprzęty osobliwie dobrane. Na ścianach wisiały i niewieście stroje i męskie suknie a oręże. Rogi i łuki, chusty kraśne i przyodziewki razem się z sobą mieszały. Na krośnach rozpoczętych leżał kołczan ze strzałami, na kądzieli zawieszony sterczał kołpaczek, kwiatki stały po oknach, a przy nich toporki. W kącie twarde posłanko jakby męskie, skórami pokryte, zmięte, świadczyło, że pani na niem często dniem spoczywała. Posłanie to przypierało do ściany, przy której sypiał z drugiej strony ojciec. Okno w niej z zasuwą dozwalało dziewczęciu nocą, gdy stary jęknął, wnet doń wyjrzeć, spytać, czego chciał i biec mu na usługi. Nieraz, gdy Ścibor mocniej w nocy chrapał tylko, a Jagna nie spała, zwolna odsuwała okienniczkę, przysłuchując się ciężkiemu ojca oddechowi.

Jagna kochała go, jak on ją — duszą całą.

Teraz ta okienniczka wpadła jej w oko z pokusą zajrzenia przez nią na niepoczciwego Stacha, którego tak nienawidziła. Nie było nic łatwiejszego nad odsunięcie deseczki nieznacznie i zajrzenie przez szparę, a podsłuchanie rozmowy. Chciała wiedzieć, z czem przybywał, aby ojca nie dać więcej bałamucić, gdy i tak słabość okazywał dla niego. Uklękła więc ostrożnie na ławie, a że okienniczka znalazła się już nieco przesuniętą, mogła natychmiast oko przyłożyć do szpary.

W tej chwili właśnie zapowiedziany Staszek wcho-

dził do izby Ścibora nieśmiało i pocichu; oko Jagny wprost nań padło.

Był to dosyć piękny, młody jeszcze mężczyzna, który jak książę Kazimierz zdawał się mieć lat trzydzieści kilka, ale twarz zdradzała przebyte cierpienia. Słusznego wzrostu, głowę miał nieco małą na barki szerokie, twarz ogorzałą mocno, ale rysów szlachetnych. Świeciły w niej oczy czarne, ogromne, dość głęboko pod łukiem brwi osadzone, trochę dziko biegające i jakby wylękłe.

Mała bródka okrywała mu dół twarzy, a wąs ciemny wargę, z pod której rząd białych zębów jasnym paskiem wyglądał. W sprzeczności z obliczem młodem było czoło pofałdowane i wyraz całej postaci malował w tej chwili niepokój, smutek, upokorzenie.

Ubiór miał skromny, ciemny, tak, że nie łatwo po nim poznać było, do jakiego stanu należał, tylko dumna postawa, ruchy raźne i śmiałe, mimo zakłopotania, okazywały wojaka i człowieka, co rozkazywać był nawykły. Wszedłszy, Staszek przystanął chwilę nieopodal od progu, spojrzał na Ścibora, jakby chciał zbadać, jak go przyjmie, niepewien jeszcze, czy mu dozwoli przystąpić do siebie, czy precz odegna.

W rękach obu trzymał kołpaczek wpogotowiu, a włosy, z pod niego się dobywszy, długiemi i gęstemi puklami ciemnemi spadały mu na ramiona.

Inaczej pewnie tego niepoczciwego zbója Jagna sobie wystawiać musiała, bo zdziwienie odmalowało się na jej twarzy i baczniej, do szpary przyległszy, przypatrywać mu się zaczęła. Zdziwił ją tem szczególniej, że był onieśmielony, że oczyma strzelał tak bojaźliwie i niespokojnie. Może się w nim zuchwalca spodziewała.

Ścibor, zobaczywszy go wchodzącego, rękę ku niemu litościwie wyciągnął, nie mówiąc nic. Dość było tego, aby zdziczałego Stacha ośmielić, podszedł wzruszony widocznie, zgiął się i przypadłszy do ręki starca, chwycił ją, namiętnie ściskając i całując. Znać było, że go ta dobroć Ścibora, jakiej nie doświadczył od ni-

kogo, głęboko przejęła. Staremu łzy się w oczach zakręciły.

Na twarz Jagny wystąpił rumieniec oburzenia — miała ojcu za złe tę czułość.

Nastawiła ucha, ale nierychło głos posłyszała, bo się nie zebrali zaraz na słowa.

Stach, gdyby się nie wstydził, z wdzięcznością rozpłakałby się może, choć mężnym był a bieda go twardym uczyniła.

Ścibor na ławę wskazał, tuż obok jego łoża stojącą, a trzeba jej było Stachowi, bo ledwie się z ziemi podnieść mógł. Padł na nią, oczy sobie dłońmi zakrył i milczał.

Ścibor mu się oczyma osłabłemi pilno zbliska przyglądał.

— Hej! hej! — począł zcicha — Stachu, co się to z ciebie zrobiło? Jakżem ja ciebie nie widział dawno?...

— Bom ja tu pokazać się nie śmiał — westchnął przybyły, — ani tu, ani gdziekolwiek między ludźmi. Wszyscy się mnie zaparli. Upłynęło już lat tyle, a ja jeszcze przeklon na sobie noszę i będę go nosił do śmierci.

Mówił głosem przerywanym i słabym.

— Cóż się z tobą działo? co dzieje? — zapytał Ścibor.

— Albo to opowiedzieć można? — począł Stach. — Albo ja sam wiem, co było ze mną? Ani policzę, ani opiszę, com wycierpiał! Gdy mię łaska Kazimierzowa życiem obdarzyła i swobodą, gdy mię rozwiązali i puścili, poszedłem jak szalony skryć się w lasy, nie wiedząc, co uczynić z sobą...

Chciałem umierać, potem inne myśli przystąpiły. Zawróciłem do Konar. Tu ojca starego zastałem, który na wieść o mojem nieszczęściu miał mnie za zginionego i ze wstydu a bólu konał. Gdym głodny i pół żywy padł u jego łoża, pchnął mnie tylko od siebie i życia w nim już nie stało.

Żem naówczas nie oszalał! — mówił Stach dalej. —

A! oszalałem ci, tylko mi pomsta Boża rozum wróciła, abym czuł, com za zbrodnię popełnił.

Jak ojciec, tak wszyscy się odwrócili ode mnie. Młodsi bracia znać nie chcieli, żem im zakałę uczynił, wzbronili się do siebie zbliżać bratanki. Nikt z rycerstwa stać ze mną nie chciał, nikt siąść za stół, ani pić, ani jeść, gnano mnie zewsząd.

— Idź na skręcenie karku! Musiałem precz, sam nie wiedząc dokąd. Zabrawszy trochę srebra, powlokłem się na Ruś do Halicza, potem po innych dworach kniaziów, aż do Kijowa i Nowogrodu. Imieniam się mego musiał zaprzeć i służyć pod cudzem. Śmierci szukałem, ale znaleźć jej trudno bez woli Bożej. A tu i tęsknica smagać mnie poczęła, choćby przyszło ginąć, napowrót do Konar, do swoich. Wytrzymać u obcych było trudno, choć na niczem tam nie zbywało; bodaj szyję dać, musiałem wracać do domu. Wróciłem myśląc, że mnie jedni zapomnieli i drudzy nie poznają. Tak się i stało. W Konarach pustki były, włodarz się na nich pasł tylko, bo bracia nie chcieli się tykać, pókiby o śmierci mej nie wiedzieli dowodnie. Wziąłem moją majętność i zamknąłem się w niej, myśląc, jak tu żyć, żeby się życiem nie struć.

Najwięcej mnie to gryzło, dniem i nocą chodząc po głowie, żem panu Kazimierzowi zawdzięczyć tego nie mógł, iż był dla mnie tak świętym a dobrotliwym. Chciałem mój grzech odpokutować, aby na przebaczenie zasłużyć, pójść choćby za parobka do niego, a życie darowane okupić czemś.

Zabrakło głosu Stachowi i oczy sobie zakrył, pomilczał i po małym przestanku ciągnął dalej, śmielej coraz.

— Cóż mam przed tobą, ojcze miłościwy, taić — uderzył się w piersi, suknię na niej targając, — co się mam kryć? Służyłem i służę panu Kazimierzowi potajemnie, choć on nie wie o mnie, płacę mój dług, to moje życie, moja pokuta, moje wszystko!

Ścibor nań popatrzał zdumiony nieco i wzruszony.

— Co ci we łbie, Stachu? — odparł, upamiętywając

go. — A na co ty się jemu zdać możesz? Jak ty mu służysz, kiedy nie masz prawa na oczy się pokazywać?

— A ja wam się przyznam — szepnął półgębkiem Stach, — co mam kłamać, żem ja już nie jeden raz był blisko niego, widział mnie, choć kryć się starałem, patrzył i nie poznał.

— Jak cię kto wyda, głowę dasz! — odparł Ścibor z politowaniem.

— To dam — rzekł Stach powoli i dobitnie, — to dam, albo mi to ona i tak nie cięży? Co mi po niej? Czegóż ja w życiu jeszcze mam się spodziewać dla siebie? Nie obmyję się, choćby krwią własną.

Głową potrząsł rozpaczliwie.

Gdy potem trochę pomilczeli, Ścibor, który usłyszał szelest za okienniczką, rzucił na nią okiem zukosa i głos zniżył, pochylając się do Stacha:

— A no mów, z czem przyszedłeś do mnie?

— Z czem? Z bólem i żalem — zawołał Stach — poskarżyć się, wynurzyć! Myślałem, spróbuję, czy i ten mnie popchnie, a nie, to choć przed nim usta otworzę, serce rozkryję, powiem, co za pazuchą jak kamień mi cięży, bo nie mam zwierzyć się komu.

Ścibor zdziwiony, popatrzył nań, jakby nie rozumiał, co Stach kryć, co wyznać i powiedzieć może więcej. Tymczasem jemu oczy błyskały dumnie i usta się krzywiły od jakiegoś wzruszenia.

— Prawda — mówił, — żem ja dziś robak napół zgnieciony, żem ja proch i nędza, a no i mały i najmniejszy coś może, kiedy tak bardzo chce, jak ja — Bóg świadek.

Ścibor z otwartemi ciągle usty słuchał coraz bardziej zdumiony, myśląc, co ten biedny człowiek uczynić może. Stach na ławie kręcił się, jakby go piekło, ruszał się, wstawał, siadał, włosy rękami rozrzucał, wąsy targał, odzież na sobie ciągnął. Widać w nim było człowieka, co się dawno nie mógł wygadać z tem, co miał w duszy, a teraz mu się wszystko razem do ust cisnęło. Z piersi jego dobywały się tłumnie łkania,

głosy, westchnienia niezrozumiałe, jakby nadmiar ich go dusił.

— Jakbym ja wam zaczął opowiadać wszystko, com uczynił, co robię, wzięlibyście mnie może za kłamcę! — zawołał. — A cóż, kto mógł być takim jak ja zbójem, ten i łgarzem być może! Jam już nawykł wszystko dźwigać na ramionach, co mi rzucą na nie.

— No gadajże — przerwał Ścibor, — cóżeś to zrobił?

— Jakem umiał, takem pokutę odprawiał — począł Stach. — O! mała to chyba chwila, w której człek, zapomniawszy się, oszalawszy, ręce podniósł na świętego młodzieńca. Szatan opętał! A za tę chwilę, ot ile lat zgryzot mnie męczy!

Ścibor, na łokciu się sparłszy, blade oczy wlepił weń i słuchał

— Com robił, powiedzieć trudno — ciągnął Stach. — Służyłem mu skrycie, broniłem go, stróżowałem nad nim, dawałem mu życie i daję, i dawać będę aż zdechnę.

— Gdzie? co? — zapytał trochę niecierpliwie stary.

Zawahał się z odpowiedzią Stach i włosy na głowie targać począł.

— Nie uwierzycie — rzekł; — byłem u niego parobkiem przy koniach, aby ino patrzeć i stróżować. Ani mnie znał, ani wiedział o mnie. Com robił? Oto, gdzie było największe niebezpieczeństwo, stałem za nim w gotowości; choć małe człecze, możem ja i niemało dokonał!

Zawahał się znowu.

— Trudno gadać wszystko — dodał, — czyż to wy nie znacie losu pana Kazimierza? Dziś on, dzięki Bogu, na Sandomierzu książę i pan. Nie wiecie, co było, gdy Krzywousty umierał?

Chłopię zostało u nieboszczki pani roczniakiem na kolanach, w pieluchach. Przyszło dzielić panowanie, biskupi radzili, ziemi dla niego nie stało. Nieboszczyk król, Panie mu świeć, gdy dogorywając swą wolę ostatnią powiadał do pisania, niespełna już wiedział,

co czynił. Myślał może, iż Kazimierz do klasztoru pójdzie, jak córka — a może? kto wie? Gdy go pytano, jakby nieprzytomny odpowiadał. Mówił o czterech rzekach, o czterech synach i o wiadrze złotem, o czterech kołach i o wozie. Nikt go nie rozumiał... Dość, że dla Kazimierza ziemi nie stało. Chował się przy braciach, przy Bolku, przy Mieszku, na łasce, jak sierota bezdomny. Karmili go pergaminami i modlitwą, przecie się nie popsuł.

Pamiętacie ową chwilę złą, gdy cesarz niemiecki wtargnął do nas, a nie było sposobu mu się obronić? W Kargowie przyszło przed nim pokorę odprawiać...

Rudobrodemu niebardzo się chciało iść na puste ziemie za cudzą sprawę — stanął pokój obrzydły. Zażądał cesarz zakładników. Kogo dać? Nie myśleli długo, dali Rudobrodemu Kazimierza na przepadłe imię.

— Toć wiem — mruknął Ścibor.

— A któż tego nie wie? — mówił Stach dalej; — ale tego wy nie wiecie i nie wie nikt, żem ja tam był lichym służką z Bolkiem w Kargowie, gdy tę nieszczęsną pokorę boso odprawiać musiał, z mieczem u szyi, a brata wrogowi dać... Byłem ci tam i serce mi się krajało, co za dola spotka biednego Kazimierza.

Gdy go wydawali płaczącego ze sromu i trwogi Rudobrodemu, jam dobrowolnie pachołkiem poszedł za nim... Myślałem sobie: życie dam, gdyby na niego nastawali.

Dziwy naówczas prawili o Rudobrodym, jakoby ludzi jadł a krwią popijał. A no, co miało być zgubą, Pan Bóg na łaskę obrócił. Wydali brata jak na rzeź, a stało się, że mu niewola u cesarza była wychowaniem i nauką.

Sześć lat byliśmy ja i on na dworze cesarskim, jako w szkole. Ja, com zdala patrzał na tego strasznego pana, przed którym drżało wszystko, powiem tylko jedno, że sprawiedliwym był i księcia naszego sprawiedliwości nauczył.

Cesarz to chłopię bardzo polubił i nie dał mu długo nad Renem u dziada Wichfrydowego siedzieć, wodził

go z sobą na wyprawy. Było na co patrzeć. Uczyliśmy się świata i obyczaju wszelakiego na dworze, między rycerstwem i duchownymi, choć ja na to tylko ze stajni spoglądałem.

— Nie widziałże was książę? — zapytał Ścibor.

— Prawie nie, bom ja widzianym być nie chciał — rzekł Stach, — choć u jego namiotu, u drzwi izby nikt na straży nie sypiał, ino ja.

Uśmiechnął się dumnie Stach.

— Możem ja mu też nie jeden raz życie ocalił, zbudził, ostrzegł, ale zawsze tak, aby kto inny za mnie, nie ja, zrobił. Tak nam sześć lat upłynęło, aż księcia nazad odesłano, a jam za nim z końmi pociągnął.

— Trzeba było to widzieć — mówił Stach dalej, — kiedyśmy nazad z niewoli powracali, jak Henryk nam drogę zabiegał, brata najmilszego ze łzami, gdyby straconego i zmartwychwstałego witając.

Widać było naówczas, że ci dwaj młodsi z sobą zbratani są najserdeczniej; jedna w nich była dusza. Żyli z sobą społem, nie odstępując jeden od drugiego, a co jeden chciał, oba czynili. Jam na to patrzał.

— Cóż — przerwał Ścibor z uśmieszkiem — zawsze ze stajni?

Rzekł to jakby z niedowierzaniem.

— Ojcze — rzekł Stach, poczuwszy niewiarę, — szydzicie sobie ze mnie, widzę; sądzicie, że kłamię. A no tak było; odprawiałem pokutę i w stajni i różnie. Bóg świadek, prawda, co mówię. Byłem u koni pod chorągwią, alem się poznać nie dał... Toć wiecie, że jak Henryk, tak Kazimierz oba naówczas nieżonaci byli, a żenić się nie chcieli. Różnie o tem mówiono — dodał Stach, głos zniżając. — Henryk krzyż nosił i o zakonie pono rycerskim myślał, więc się wiązać nie mógł, a mój pan...

— Ludzie powiadali — szepnął cicho bardzo Ścibor, — że ten od podwiki nie uciekał...

— Tego ja tam nie wiem, czy gonił, czy uciekał — rzekł Stach, — a to pewna, że kochanicę jakąś jedną

miał. Z tą się tak krył, że i djabeł nie dopatrzył, kto i gdzie ona była.

— Jakże mógł to tak ukrywać? — zapytał stary.

Stach głową potrząsł.

— Oprócz jednego może Smoka, sługi, z którym się wyrywał do tej miłej, nikt nie wiedział i nie wie, kto ona była, dziewka czy zamężna niewiasta, prosta kmiecianka, czy co lepszego. Mówiono, że się z księciem gdzieś zjeżdżali, że ona do niego przybywała. Szpiegowali go ciekawi, podpatrzeć chcieli, nikomu się nie udało. Spotykali się w lasach na łowach, słyszę, Kazimierz tak ginął gdzieś na dni czasem kilka, powracał smutny i nie zwierzał się nikomu, nawet bratu.

Dworzanie szeptali, że Henryk nalegał nań i na miłość braterską zaklinał, aby się przed nim zwierzył, na co Kazimierz miał odpowiadać: — Gdyby to było moją tajemnicą, dałbym ci ją, ale cudzą jest — nie mogę!

I tak to trwało, a może i do dziś dnia trwa jeszcze — dokończył Stach.

— Przecież książę żonaty jest — mruknął Ścibor.

— A żonaty — mówił Stach, — ale nie po swej woli. Gdy Henryk w tej niegodziwej zasadzce na trzęsawiskach został zamordowany, mimo Mirosława przyjaciela, co go własnem okrył ciałem, już był naówczas wolę swą kazał spisać przy świadkach, że w razie śmierci dzielnica Sandomierska nie komu się ma dostać innemu, tylko bratu najmilszemu.

Tu Stach uśmiechnął się, spuszczając oczy.

— Nie uczyńcie mnie kłamcą, proszę, za to, co teraz powiem. Klnę się wam na zbawienie, nie dla chwalby, ale dla świętej prawdy, że książę Kazimierz mnie potrosze winien, iż po Henryku wziął Sandomierszczyznę.

— Świta bo ci w głowie! — zawołał Ścibor.

— Posłuchajcież — mówił Stach — a cierpliwie, zobaczycie. Było tak naówczas, żem ja ode dworu Kazimierza musiał iść precz, bom się tam zwaśnił; zaciągnąłem się w służbę na dwór biskupa krakowskiego,

Macieja Cholewy, który potem zmarł na rok przed księciem Henrykiem. Znaliście go? — zapytał Stach.

— Nie — potrząsając głową, odparł Ścibor — nie znałem go bliżej, choć się o nim nasłuchałem wiele. Mąż, mówią, uczony był, mądry, wielkiej gęby i języka.

— Tak, tak — przerwał Stach, — jakbyście go znali. Na dworze biskupim służyłem na małym żołdzie, bylem się tam docisnął, a stał niedaleko. Zwali mnie tam, jak i do dziś dnia mnie zwą, bom sobie to imię przybrał od uroczyska mojego na granicy od Spicymirza, Zabora z Przegaju. Biskup mnie dosyć lubił. Choć poważny mąż, gdym przy nim służby sprawiał, wedle obyczaju swojego nieraz ze mną pożartował. Wolno mu było wesołem słowem odeprzeć byle do rzeczy.

Obu młodych książąt stary lubił bardzo, szczególniej Kazimierza, bo ten go bywało godziny, ba i dnie całe gotów był słuchać, gdy rozprawiał o wszelakich dziejach. Biskup zaś potrzebował mówić, żeby go rozumnie słuchano i o obu książętach powiadał zawsze, że z całego rodu najmędrsi byli.

Raz tedy, gdy do tego przyszło, że książę Henryk, który krzyż nosił ciągle, a gdy nie mógł z nim iść do ziemi świętej, bo okazji nie było, parł się na swoich pogan, życie ciągle ważył i o mało już zabit nie został, począł biskup boleć, że gdyby zszedł bezpotomnie, bardzoby krwi poczciwej żal było.

Udało mi się wtedy rzec słowo, że żalby też było, aby po nim, uchowaj Boże czego, Kędzierzawy albo Mieszko zagarnął dzielnicę, a sierota bezdomny, Kazimierz, i nadal na łasce braci miał zostawać.

Uderzyło to biskupa, i jak był zwykł drwić — rzekł do mnie, śmiejąc się:

— Patrzcie go! Oślica Baalamowa rozumnie przemówiła!

Od tej chwili, jak sam przyznawał, począł na księcia Henryka nalegać, aby dał spisać wolę ostatnią i umiłowanemu bratu sierocie księstwo po sobie przekazał.

A że mąż był prawości wielkiej i czego się sam nie domyślił, tem się chwalić nie chciał, koniecznie nalegał na mnie, aby księciu Kazimierzowi opowiedzieć, iż to ja myśl tę poddałem. Padłem mu do nóg, błagając, aby tego zaniechał, a gdy się i zdumiewał i wyśmiewał, o spowiedź go prosiłem, na której zeznałem mu, com zacz był, dlaczegom się ukrywać z sobą musiał. Tedy pobłogosławił mnie ze łzami starzec święty i rzekł: — Pan Bóg niech będzie z tobą, dziecko moje, wszelako co nie moje, tem ja się chwalić nie chcę, abym grzechu na sąd Boży nie poniósł, w cudze się strojąc pióra. I odtąd śmiejąc się, opowiadał zawsze:

— Nie jam ci to wymyślił, oślica Baalamowa przemówiła do mnie!

Słuchał Ścibor z zajęciem, a Stach, czoło otarłszy, spoczął trochę.

— Cóż dalej, boście odbiegli od swego? — zapytał stary.

— Gdy książę Henryk, święte paniątko, padł w tej zdradzieckiej wyprawie na moczarach, a ciało jego nawet dzicz ta rozszarpała, że mu pogrzebu poczestnego dać nie było można, Kazimierz z żałości wielkiej po bracie szaty na sobie darł, utulić się nie mogąc. Przez tę śmierć jednak został panem na Sandomierzu i Lublinie. Duchownych wszystkich za sobą miał, bo choć na stolicy w Krakowie Gedko już siedział, i on i wszyscy pasterze, Kazimierza za swego uważając, z nim trzymali. Nie mógł mu więc nikt przeczyć spadku — i poszedł zająć Sandomierz. Bracia więc i duchowni, widząc go tam, nalegać poczęli, aby jak przystało książęciu, bez żony nie był, a owe miłostki, o których przebąkiwano ciągle, porzucił. Biskup Gedko zwłaszcza, surowy człek, domagał się tego koniecznie.

Opierał się w początku książę, ale naleganiom ojca duchownego wkońcu musiał być posłusznym. Poczęto mu zaraz z Niemiec swatać dziewek siła, bo o to tam tak łatwo i zawsze trzymają zapas dla obcych, aby się do naszych ziem przez niewiasty wciskali. Niemkini książę nie chciał, powiadając:

— Ta nade mną panować zechce, jako Władysławowa, więc, gdy się żenić mam, Rusinkę wolę brać.

I wziął Helenę księżnę, którą mu z Bełża od Wsewołoda Mścisławowego przyprowadzono. A no wziął, jak się bierze narzucone.

— Hę? — zapytał stary — a nie rozmiłował się w niej potem?

Stach głową pokręcił i głos zniżył.

— Przeciw pani tej nie można nic rzec, dobrą być chciała i jest, ale piękności wielkiej nie miała, ani mógł do niej przystać.

— Przecie swą potajemną miłośnicę dla niej porzucić musiał? — odezwał się Ścibor.

Na to pytanie Stach, jakby odpowiadać niebardzo chcąc, milczał trochę, ramionami poruszywszy.

— Spełna ja tam tego nie wiem — dodał. — Ludzie prawią różnie; nie powiem lepiej nic. Pan pobożny, widać z żoną chciałby żyć po Bożemu, a zmusza się do tego. Czasami trwa wiernie przy niej, powiadają, gryzie się, chodzi, jak obłąkany, męczy widomie, to pierzchnie w lasy i nie będzie go dni kilka. Ludzie dworscy prawią, że do swej dawnej pojechał, bo odstać od niej nie może, ale kto tam to wie, co się z nim dzieje? Prawią, że mu napój zadano. Ja nie wiem.

Ścibor ramionami potrząsał.

— Do dziś dnia więc to trwa? — zapytał.

— Pono — rzekł Stach. — Jam ostatnich czasów na dworze nie był, musiałem gdzie indziej, bo...

Nie dokończył. Ścibor go przynaglał.

— Gadajże już wszystko, gdyś począł.

— Zawczasu bo o tem mówić — odparł Stach. — Ot pozwólcie, abym ja też was popytał.

Tu z ławy wstawszy, pochylił się do starego i, głos bardzo zniżywszy, począł:

— Cobyście wy na to rzekli, gdyby ziemianie pomyśleli Kazimierza na Krakowie posadzić?

Ściborowi brew się ściągnęła, nie odpowiedział nic długo.

— Teraz bo wam panów raz wraz chce się mieniać, jak kukły dzieciom — rzekł zwolna. — Nie może być, aby się przy tem krew nie lała. Czemuż Mieszko, raz posadzony na Krakowie, ostać się na nim nie ma spokojnie?

— Spokojnie! — pochwycił Stach szydersko. — Wy tu chyba, ojcze, spokojnie w kącie siedząc, o niczem nie wiecie i nie słyszycie nic, nie zalano wam niczem, to się wam zdaje to panowanie do wytrzymania. Toć to ręka żelazna, nie ojciec, ale gorzej ojczyma. Nie słyszeliście, co Henryk ów Kietlicz dokazuje? Jeden jęk się rozlega po całym kraju, w takie go dyby wzięli... Ze skóry drą i ziemian i kmieciów, nikomu nie przepuszczając.

— Milczałbyś! — przerwał Ścibor surowo. — Prawisz nie do rzeczy. Gdybyście nawet po szalonemu Kazimierzowi drogę usłali, toć mówicie, że sprawiedliwy jest i bogobojny; czyżby on chciał brata zrzucać, aby się jego mieniem bogacić? On, który już za Kędzierzawego, gdy go Jaksa z przyjacioły na kolanach błagali, aby Kraków brał, prośby ich odepchnął, a po śmierci Bolesława jeszcze raz to samo uczynił.

— A! — zawołał porywczo Stach — inaczej stało naówczas, a teraz... Jaksa z przyjacioły nie byliby go utrzymali, potem Mieszka nie znano i spodziewano się po nim wiele... Teraz inaczej ludzie myślą.

— A milczże! — począł Ścibor, jakby przelękły, — milcz i tego pana, którego kochasz, nie wiedź na pokuszenie, aby głową nie przypłacił waszego szaleństwa.

I zadąsał się Ścibor. Staszek milczał, ale sposępniał.

Wtem około okienniczki coś zaszeleściało. Jeszcze oba, na siebie patrząc, milczeli, gdy z podziwieniem starego drzwi się otwarły i Jagna, co na oczy Stacha widzieć nie chciała, weszła nagle do izby.

III.

Zdumiał się niepomału ojciec, ujrzawszy ją, ale więcej jeszcze widokiem dziewczęcia zdziwiony był Stach, który, zmieszany, w ciemny kąt cofać się począł. Srom mu wystąpił na twarz.

Jagna weszła śmiało, zmieniła trochę strój poranny, kosy puściwszy na ramiona, a na koszulę wdziawszy krótki, jedwabny przyodziewek z rękawami rozprutemi długiemi. Jakby się jej zachciało być piękną, występowała z główką raźnie do góry podniesioną i rumieńcem na twarzyczce, bystro oczyma rzucając dokoła.

Padły one naprzód na chłopca, który się w ciemny kąt zasunął, potem na ojca, przypatrującego się jej z uśmiechem dziwnym, napół szyderskim.

— Gości macie — rzekła do niego, — toćby przyjąć potrzeba, a jam wasza gospodyni. Każecie podać jadło i napój?

Staszek ciągle jeszcze nie występował. Stary wskazał nań ręką.

— Gościa tego znasz lub nie, Jagno?

Stach prędko mu przerwał:

— A skądżeby Zabór z Przegaja mógł być znajomym?

Dziewczę się uśmiechnęło jakoś żartobliwie, gniewu już ani wstrętu takiego, jaki z rana dla Stacha z Konar okazywała, widać po niej nie było — przypatrywała mu się śmiało.

— Zabór z Przegaja, czy kto tam kolwiek bądź — odezwała się, — chleba i napoju potrzebuje. Mnieby wstyd było, gdyby głodnym stąd odchodził.

Zwróciła się zwolna, a Stach za nią ciekawemi powiódł oczyma.

Gdy wyszła, Ścibor dziwnie uśmiechnął się sam do siebie, znać pomyślawszy:

— Otóż niewieście dąsy i gniewy. Z rana go wieszała i ścinała, a teraz mu się uśmiechać i karmić gotowa! Wierz-że tu babom!

Potrząsł głową i spytał:

— Widziałeś ty dawniej Jagnę? Poznałbyś ją?

— Dzieckiem może ją najrzałem kiedy — rzekł Stach, — alem nie pamiętał. Urosła na panią.

— I czasby jej nią być — dodał Ścibor, — a no nie chce. Zalecało się wielu, a ta dzika koza pana nad sobą cierpieć nie chce.

— Przecież prędzej, później ktoś ją weźmie — odparł Stach.

Ścibor westchnął.

— Jeżeli się ona komu da wziąć!

Mówili jeszcze, gdy drzwi się otworzyły znowu i stara sługa, a za nią dziewczęta, jednako poodziewane chędogo, poczęły iść, niosąc misy, dzbany i ręczniki, a wszystko, co do jedzenia było potrzebne.

Ścibor nie wstawał, więc mu ławę przystawiono do niskiego łoża, aby mógł na niej wygodnie pożywać. Resztę mis i dzbanów porozstawiano na stole, a Jagna pierwsza, dając znak ręką gościowi, aby usiadł, miejsce zabrała.

Znak ten łaski mocno zdziwił Ścibora, nie mógł strzymać, aby uśmiechem córce nie okazać, jak był rad jej postanowieniu. Zrozumiawszy to, piękna Jagna pogardliwie podniosła usteczka, tymczasem rączki myjąc i ręcznikiem je ocierając, co też i Stach wedle zwyczaju ówczesnego zrobić musiał.

Siedli naprzeciw siebie; gość na nią jak w tęczę patrzał. Dziewki takiej, jak żyw nie widział, bo pod te czasy mało było podobnych; niewiasty słuchały, nie rozkazywały, a choć która władzę miała, kryła się z nią, jak ze zbrodnią. I nie mówiły one wiele z obcymi, oczyma więcej, niż usty rozmawiając, a aż nadto wiele niemi wypowiadać umiały.

— Dużoście podobno świata widzieli? — odezwała się Jagna napół rozogniona, pół obojętna, nie pomyślawszy o tem, iż się zdradza z podsłuchanej rozmowy.

Stach zdziwił się pytaniu.

— Rycerska to rzecz — odparł — po świecie się włóczyć, gdy wojny niema, innych wszelakich przygód

szukając. Spokojnie siedzieć starym się tylko godzi; ci się wysłużyli.

Jagna popatrzała nań szydersko.

— Jużci też rycerzowi włodarzowi nie przystoi, miejsce jego w wojsku i przy dworze. A wy, pozwolicie spytać, komu służycie?

Stach się zmieszał, ale wnet odzyskał przytomność.

— Bywało różnie — odezwał się śmielej, — a teraz, teraz jestem sam, nie wiem, dokąd się obrócę. Jest dworów dosyć...

— A no — odparła żywo Jagna, — prosta rzecz, zdaje się, do swojego pana iść, który ziemią rządzi, do swego księcia.

— Tak, to mnieby przystało Mieczysławowi służyć — rzekł Stach, — a ja do tego serca nie mam.

— To ziemia wasza pod krakowskim księciem? — zapytała.

Stach nic nie odpowiedział, zajęty był wrzekomo jedzeniem i pytanie puścił mimo uszu, zagadując, że na Rusi w tym roku o wojnie słychać nie było.

Siedzieli jeszcze u stołu, bo miski ciągle podawano, a podróżny jadł i pił zdrowo po długim poście, aż w podwórzu pod oknami szmer, gwar i ruch budzić się począł. Baczne oko dziewczęcia poznało może, skąd to pochodziło, bo zaraz rzuciwszy jedzenie, pilniej się przysłuchiwać zaczęła. I Ścibor też ku oknu obrócił głowę, a psy, które tam na kości czatowały pod niem, choć nie odstąpiwszy z miejsca, coraz to zwracały pyski i, groźno ujadając, poszczekiwały ku wrotom.

Ojciec i córka spojrzeli ku sobie, jakby pytając, co to miało znaczyć.

Gwar ten niezrozumiały coraz wzrastał. Szło to widocznie kędyś od wałów i bramy, a w podwórzach się tylko odbijało. Ludzie spór jakiś żwawo wiedli. Niekiedy dziki głos krzykliwy, nakazujący, wysilony, gniewny zdala dochodził.

Brwi Jagny coraz się mocniej marszczyły. Gdyby byli sami, pewnieby skoczyła zaraz dowiedzieć się, co się tam u wrót działo, uczynić porządek, wydać roz-

kazy; wobec człowieka cudzego wstydziła się pewnie zająć męską sprawą. Czekała więc niecierpliwie, aż dadzą znać. Ścibor się zżymał niespokojny.

Nie było zwyczaju w Ściborzycach, aby lud, na gródku będący, tak się sam z sobą ujadał, umiano go utrzymać w porządku i karności. Łatwo więc było odgadnąć, że przyczyna wrzawy z zewnątrz pochodzić musiała.

— A kież tam licho kaszy nawarzyło jakiejś? — odezwał się sprosta Ścibor do córki. — Co się tam za łby biorą, czy co?

Ruszyła Jagna ramionami i chciała już wstawać iść, ale gość się zerwał z ławy prędko, aby ją wyręczyć.

— Jeśli mi dozwolicie, pójdę się dowiem — rzekł, patrząc na Ścibora.

Nikt nie bronił, skoczył więc Stach za próg i słychać było, jak kilka słów zamieniwszy na podsieniu z ludźmi, pobiegł ku wałom i bramie.

Dosyć obojętna, zadumana Jagna, podparłszy się na stole, na ojca patrzała, który brwi zmarszczył i ku oknu wyzierał.

— Cóż Stach? — rzekł potem do córki — nie tak ci coś krzyw, jak zrazu był?... — I rozśmiał się Ścibor do niej. — Chłopak przystojny, i zaprawdę, choć zawinił raz, szkodaby go było ćwiertować.

Jagna wzgardliwie wykrzywiła usta i krótko zbyła ojca:

— Juści gościa trzeba przyjąć, choć pewniebym innego wolała, bo nie mogę patrzeć na tę rękę, co się na pana targnęła.

Wtem posłyszano nadbiegającego Stacha, który na próg wpadł z twarzą płomienistą, gniewny i wzburzony.

— Co każecie robić, nie wiem — zawołał, zwracając się do Ścibora. — Urzędnik z Krakowa, bodaj sam ten Kietlicz Mieczysławowy, z dużą ludzi kupą prowadzi jakichś pobranych winnych i niewinnych kmieciów, osadników i czerń po drogach połapaną i domaga się od nas przewodu. Słusznie mu się ludzie opiera-

ją. Juści przewód swoim zakon dawać nakazuje, ale Mieczysławowym z krakowskiej ziemi, co tu w cudzem księstwie plondrują, nie macie obowiązku.

Jagnie brwi się ściągnęły gniewnie.

— A co im do nas, co nam do nich! — wybuchnęła.

Ścibor milczał.

— Grożą, że gwałtem konie zabiorą i ludzi popędzą — dodał Stach.

Spuściwszy głowę, stary zafrasowany nie odpowiedział jeszcze. Nierychło podniósł oczy i westchnął.

— Jak się tu opierać i prawa szukać? — rzekł smutnie. — Niech ich licho porwie! Gotowi gwałt uczynić jaki! Odczepnem ich zbyć, konie dać, a niech idą do...

— Ależ to nie ich ziemia! — zakrzyczała Jagna.

— Będziesz-że z nimi wojnę prowadziła? — rzekł stary. — Ich ziemia czy nie, krakowski książę zwierzchnią władzę ma, a choćby jej nie miał, gniewać go — źle. Niedaleka granica, mścić się będą, spokoju nie dadzą.

Ręką zamachnął.

— Kat ich bierz!

— To musi być sam Kietlicz — mówił Stach, — bo bardzo zuchwale, pod bramą stojąc, włamaniem się grozi. A nietylko przewodu chce, ale ukarania tych, co mu go odmówili. Dobija się, jakby moc i prawo miał!

Ściborowi aż się ręce załamały z niepokoju i trwogi, czuł się słabym. Jagnie się piersi podnosiły gniewem, usta drżały.

— Preczby odegnać zuchwalca! — zawołała. — To ziemia księcia Kazimierza; on tu żadnego prawa nie ma. Gródka przecie siłą nie weźmie, a da mu się raz posłuch i przewód, nie będzie od niego spokoju.

Stary, posłuchawszy to, aż się rzucił.

— Jagno, ty sokolicho drapieżna! — zawołał do niej — tybyś ciągle wojowała! Tobie się było mężem rodzić! Idź do swej izby! Ja spokój mieć chcę; niechaj go wpuszczą, niech nakarmią, ktobykolwiek był, ugłaskać go lepiej.

Oburzone dziewczę, posłyszawszy ten rozkaz, rzuciło się, jakby chciało mu opierać, potem spojrzało na Stacha, pomyślało, i na ojca z wymówką popatrzywszy milcząco, wybiegło precz, trzaskając drzwiami.

— Stachu mój! — odezwał się Ścibor głosem słabym. — Opatrzność cię tu dziś nadała. Choć obcy, idź, proszę, każ im wrota otworzyć, przyprowadź go tu, juści z nim radę damy. Zadzierać się nie chcę.

Stach się trochę zawahał.

— Idź, idź! — powtórzył Ścibor. — Wrzasku nie znoszę, trzeba skończyć z nimi; puść go tu do mnie i sam z nim powracaj.

Nie było sposobu opierać się staremu, choć Stach wolałby był dziewczyny posłuchać i Kietlicza tego za bramą zostawić, musiał spełnić rozkaz starego, który, więcej już nie mówiąc, rękoma dawał mu znaki, aby pośpieszał, bo wrzawa i gwar coraz rosły.

Wyszedł więc. W podwórzach wszystko, co żyło na grodzisku, mężczyźni i niewiasty powybiegali z zakątów, psy ujadały, biegnąc ku wrotom i okopom, ludzie postraszeni to przypadali do tynów, aby spojrzeć za wały, to się od nich cofali tłumnie. Zdala hałas, krzyki i bicie drągami we wrota słychać było nieustannie.

Zobaczywszy biegnącego Stacha, wszyscy ku niemu się skupiać zaczęli, domyślając się, że musiał iść z pańskim rozkazem.

Dziwiło ich, że Jagny, która zwykła była pierwsza zawsze pośpieszyć, gdzie powstał niepokój, dotąd nie widzieli. Jagna, gniewna na ojca, na siebie, na Stacha, rzuciła się na posłanie w swojej świetlicy i co znalazła pod ręką, miotała bezmyślnie o ziemię. Oburzyło ją, że ojciec ulegał. Dumne dziewczę byłoby wolało, bądź co bądź, strzałami napastników od wrót odegnać, niż taką powolnością uzuchwalić.

Gdy Stach przypadł z rozkazem, aby wrota otwierano, ludzie już przy nich zajątrzeni łajaniem do oporu się zabierali. Słowo pańskie zamknęło im usta, mrucząc, zaczęto ciężkie drągi odwalać i wrota otwierać.

Tuż pod niemi stał na koniu, pianą okrytym, mężczyzna krępy, czarny, którego długie czarne włosy kręcone wiatr rozwiewał. Twarz mu się czerwieniła od gniewu, a że brzydkim był, jeszcze go zapamiętałość czyniła straszniejszym.

Stach poznał w nim zaraz tego, którego się domyślał: prawą rękę księcia Mieczysława, osławionego jego doradcę, owego Henryka z Kietlic od Budziszyna, któremu naówczas przypisywano wszystko, co książę poczynał, i o straszne uciemiężenie kraju obwiniano.

Obcy ten człek, najbliższy osoby księcia krakowskiego, znienawidzony przez panów duchownych, ziemian i rycerstwo, najmniej o to dbał. Wejrzawszy nań, widać było w silnym, jak żubr zbudowanym, z krótką szyją, dużą głową, oczyma wypukłemi, patrzącemi groźno, żywych ruchów i szorstkiej mowy człowieku takiego, co nie nawykł ulegać nikomu, a wszystkich gotów był łamać, bo czuł potężną opiekę nad sobą. Sługa to był, któremu pańska moc dawała zuchwalstwo bez miary.

Trząsł się cały z gniewu, gdy mu nareszcie wrota otwarto i ujrzał przed sobą Stacha. Spiął zaraz konia i jak burza wpadł na podwórze, klnąc głośno. Tuż za nim tłoczyło się kilkudziesięciu zbrojnych, a w pośrodku między ich końmi postrzegł Stach znaczną kupę ludzi, starców, ziemian poważnych, kmieci razem z parobkami i pastuchy pomieszanych, powiązanych łykami, rozwścieczonych lub wylękłych. Ludzie Kietliczowi batami ich gnali i popędzali z sobą, końmi ściskając i napierając.

Wszystko to za wjeżdżającym we wrota Kietliczem wpadło w podwórze, jak do domu, natychmiast z koni zsiadając i zabierając się tu obozować, nie spytawszy nikogo.

Kietlicz tymczasem, ledwie na Stacha spojrzawszy zukosa, popędził do dworca. Ten musiał biegiem go dognać, aby razem z nim stanąć, jak chciał stary. Kietlicz z koniem wpadł aż w podsienie, tu dopiero z niego skoczył, a że nikogo nie znalazł oprócz starej

baby w progu, spokojnie mu się przypatrującej, krzykliwie wołać zaczął, domagając się gospodarza.

Stara, wcale nie przestraszona tym wrzaskiem, głową trzęsąc, rzekła mu spokojnie:

— Pan nasz z łoża nie wstaje, ani nawet dla księdza, słabuje oddawna.

Widząc, że nikt mu nie wskazuje drogi, Kietlicz począł ją sobie sam torować do wnętrza; rzucił się do jednych drzwi, które do czeladnej prowadziły, spostrzegł błąd, zwrócił się i zobaczył dopiero Stacha który właśnie nadchodził.

— Gdzież ten wasz władyka? — krzyknął głosem zachrypłym — gdzie?

Stach, choć go złość brała i krew mu na twarz występowała, udał bardzo spokojnego.

— Władyka to nie mój — odparł, — bom ja tu gość, jak i wy! Nie krzyczcie tak, bo stary słaby jest i nie znosi wrzasku.

— Słaby, a choćby i zdychał! — przerwał Kietlicz — a co mi to? Ja posłuchu wymagam! Wy tu ze mną wojnę prowadzić myślicie, hę! a wiecie z kim?

— Hej no, hej! ktośkolwiek jest, ciszej! — odparł Stach. — Toż w nie zdobytym grodzie jesteście, a na ziemi pana Kazimierzowej, przystałoby tak głosu nie podnosić.

Kietlicz poskoczył ku niemu, mierząc go od stóp do głów iskrzącemi oczyma.

— Cóż ty, ty jakiś, będziesz mnie tu uczył? ty, mnie? Ja tu z ramienia pana, który i nad Kazimierzem waszym jest i nad wszystkimi! Rozumiesz?

Już się kłótnia na dobre zawiązać miała, bo Stach ustępować nie myślał, gdy drugie drzwi się otworzyły i wylękły tym hałasem Ścibor, o dwu kulach powoli się wlokąc, wystąpił sam, przygarbiony, wpół złamany, z włosy siwemi i brodą, okrywającą mu piersi obnażone. Widok starca zgrzybiałego, drżącego, niedołężnego na chwilkę opamiętał nieco Kietlicza. Gniew jego nie ustał, ale nieco złagodniał. Rzuciwszy Stacha, wprost poszedł na starego.

— To wyście tu władyka? — zawołał do niego — wy! A dobry i u was ład i posłuch dla książęcych urzędników. Wiecie, ktom jest?

Stary podniósł ku niemu głowę, której usta bezzębne otwarte, z wargami drżącemi, zbielałe oczy wyrażały więcej zdumienia, niż postrachu.

Nie czekając odpowiedzi, Kietlicz krzyczał ciągle:

— Najwyższego pana Mieczysława krakowskiego jestem pierwszym urzędnikiem. Ho ho! Słyszeliście pewnie o mnie, bom ja się nie jednemu dał we znaki i ze mną żartów niema. Tu mi w waszych włościach ludzie przewodu odmawiają, u wrót mi każą stać? Cóż to ty pan jesteś udzielny? Co to władzy książęcej nie znasz nad sobą? Coś ty za jeden? co?

Na to zuchwałe pytanie w niedołężnym starcu poruszyła się żółć; podniósłszy głowę, znów oczyma go zmierzył.

— Coś ty za jeden? — powtórzył Kietlicz.

— Jam wojewoda Krzywoustego — odparł poważnie i spokojnie Ścibor. — Choćbyście byli pańskim urzędnikiem, siwy włos powinniście szanować!

Zamilkł jakoś Kietlicz, ale gdy stary, któremu na nogach dłużej zostać było ciężko, do izby się nazad zawrócił, aby na łożu lec znowu, napastnik jak stał w hełmie, z biczem w ręku wpadł za nim.

— Słyszysz ty, stary, choćby i wojewoda nieboszczyka, sam nawpół trup, żeby mi przewód był, owies i siano dla koni, strawa natychmiast dla ludzi, a na tych, co mi się opierać śmieli, kara w moich oczach, chłosta i ciemnica.

Ścibor, który już był legł, dysząc mocno ze wzruszenia i ręką piersi cisnąc, zrazu odpowiedzieć nie mógł. Zmierzył stojącego przed sobą oczyma raz jeszcze i Stachowi ręką dał znać.

— Dać mu, co chce! Na gwałt rady niema i niechaj mi idzie stąd!

Jakby nie rozumiejąc tego, Kietlicz się nie ruszył. Spojrzał po izbie, zobaczył na stole pozostałe misy

i dzbany, nie pytając, przystąpił ku nim, nalał sobie kubek i wychylił go chciwie.

Niegościnnie przyjęty, nie zważając na to, że mu precz iść kazano, na ławę się rzucił. Milczenie groźne trwało chwilę. Drzwi stały otworem, za niemi włodarz Ścibora, Domuch, czekał na rozkazy drżący. Stary się ku niemu zwrócił.

— Domuch! dawaj im, co chcą, niech żrą i idą stąd! Przewód nakazać zaraz. Słyszysz? Wojować z nimi nie będę, niech mi długo na karku nie ciężą i idą precz, skąd przyszli. Ze dworu przewód wybrać dla pośpiechu, bo do wsi daleko, a tam już ludzi porozpędzać musieli.

— Spędzić mi ich napowrót zaraz! — krzyknął Kietlicz. — Żeby mi te psy w oczach moich chłostę wzięły!

Ścibor twarz ku niemu zwrócił.

— Tego nie będzie! — rzekł — tego nie dam! Czyń sobie, co chcesz. Masz swój przewód i strawę, ruszajże jakoś przyszedł.

W głosie starca było coś nakazującego, groźnego, czemu się oprzeć było trudno. Kietlicz się rozśmiał szydersko i począł, jakby sam do siebie, rozpierając się na ławie:

— Oh! oh! myślicie sobie poczynać z nami tak, jakoście z dawnemi swemi pany czynili! Ale mój pan inny! Sprawa nie z Włodzisławem, nie z Kudrawym! My wam pokażemy, kto tu ma prawo życia i śmierci, nakazu i posłuchu! U mnie ziemianin, kmieć, klecha, rab wszystko jedno, nie patrzę ja kto on! Łby polecą, dopiero się nauczycie pana szanować. Mieszko was i panów duchownych rozumu nauczy! nauczy! Zobaczycie! Wy tu mi śpiewacie, żem ja na Kazimierzowej ziemi; mnie i pana mojego tak dobrze Kazimierz, jako i ty i wszyscy, wszędzie słuchać musicie. Jeden tu pan i więcej ich nie będzie. Nie znamy ani biskupów, ani wojewodów, ani żupanów, gdy nieposłuszni są. Chcecie kaźni, będzie kaźń, będzie taka, jakiej nie bywało za książęcych braci. Ze skóry was drzeć, kołem tłuc,

wieszać i ścinać będziemy, aż się nauczycie rozumu i ładu!

To mówiąc, pięść z biczem podniósłszy, zdał się nim grozić staremu.

Na ten wybuch gniewu Kietliczowi nikt nie odpowiedział. Znikł tylko zaraz Domuch, a Stach, naprzeciw starego stanąwszy o ścianę sparty, słuchał go milcząc, z miną szyderską, wyzywającą, tak, że ona w nim gniew jeszcze rozżarzać musiała.

Zdawał się mówić mu oczyma:

— A no, a no, pozwól sobie, nic nie kosztuje, pleć!

Ścibor, leżący na swem posłaniu, ręką głowę podparłszy, zadumał się, twarz jego bladła, czoło się zasnuło zmarszczkami.

Kietlicz kubek po kubku wychylał, nie pytając, nie dziękując, wreszcie chleb łamać począł i reszty mięsa z misy wyciągać, nie troszcząc się o gospodarza. Stara gospodyni, która na to z za drzwi otwartych ciągle patrzała, położyła temu koniec, śmiało do izby wszedłszy i zabierając z przed siedzącego dzbanek, kubki i misy.

Nikt się do niego nie odezwał, nikt go przebłagać nie myślał, więc coraz mocniej się sierdził.

— Ufajcie w to, żeście Kazimierzowi! — począł, rychocząc ze złością, po chwili. — No to się jemu poskarżcie! Niechaj spróbuje się zadrzeć z naszym panem. A no? możebyśmy temu i radzi byli. Dosyć już tego ziemiańskiego i książęcego gospodarstwa, czas na inne. My wam pokażemy, co ład, co zakon i co kaźnia!

Znów tedy, pięść z biczyskiem do góry podniósłszy, patrzał uparcie na Ścibora, który milczał, to na Stacha, stojącego z miną drwiącą. Nie odpowiadali mu. Nie było tu już co robić, powstał z ławy gburowato, stół popychając przed siebie, pasa ociągnął, hełmu poprawił, obejrzał się dokoła, plunął ze złości i wyszedł.

Drzwi się natychmiast za nim zamknęły.

We dworze nie mając już co poczynać, poszedł zwolna w podwórze do swoich ludzi, rozłożonych tu taborem, chciwie pożerających strawę, którą im w necułkach i wiadrach dostarczano. W pośrodku tych roz-

pasanych siepaczów kupka więźniów, po drodze pochwyconych, leżała na ziemi, ponakrywawszy głowy, twarzami do murawy, spoczywając i jakby nie słysząc zmagania się, łajania, szyderstw i wyzywań, któremi ich jątrzyć chciano. Jeńcom tym nie dano ani jeść, ani pić, gdy Domuch przez litość przynieść i dla nich strawę kazał, żołnierstwo ją, śmiejąc się, pomiędzy siebie rozchwyciło, a potem kośćmi na powiązanych jak na psy rzucali, wołając, że im i to nadto dobre.

A więźniowie, jak można było miarkować z odzieży i twarzy, byli w większej części ludzie dostatni, pod różnemi pozorami z domów pobrani, na gościńcach pochwytani, którzy wiedzieli, czego się mieli spodziewać, dostawszy Kietliczowi w ręce. Nikt z nich cały nie wyszedł.

Gbur ów, nie mogąc się dłużej nad Ściborem znęcać, bo mu ten ani odpowiadał nawet, poszedł się mścić na więźniach swoich. Smagał ich szyderstwy i groźbami.

— Dam ja wam dobrą gościnę w Krakowie, dam, dam! Popamiętacie pana i mnie, który z was z całą skórą wyjdzie, ze łbem na karku, będzie do śmierci pamiętał, że był w moich łapach!

Drużyna pana Kietliczowa za każdym takim wykrzykiem wtórowała mu śmiechem pijanym. Niektórzy leżących na ziemi więźniów oszczepami żgali, wołając:

— A no! nie śpijta! słuchajta, kiedy pan gada!

Kietlicz szukał może powodu, aby się nad którym mógł pastwić, chciał wywołać jakie rozpaczliwe z nich słowo, ale biedota owa, głowy poukrywawszy, milczała.

Poczęło się tedy rzucanie a groźby na włodarza Domucha, aby dawał a dawał coraz więcej strawy, mięsa, napoju, owsa, obroków.

Gdy wreszcie konie i wozy do przewodu z szop prowadzić poczęto, aby się zbyć ich, Kietlicz wpadł między nie i począł wybredzać, aby mu innych lepszych szkap i powózek dostarczano.

Przykazanie było od Ścibora, aby się ich zbyć jako bądź, więc ściągano i prowadzono, co chcieli, wpośród wrzawy, kłótni i śmiechów. Kietlicza, który był za pan brat z księciem najwyższym, wzgardliwe to przyjęcie w Ściborzycach bolało. Nie przełamano się z nim nawet chlebem, nie chciano gniewów przebłagać, zbył się go stary, jak napastnika. Kietlicz, nie mogąc się mścić na gospodarzu, gniew spędzał na jego czeladzi, głośno przeciw jej panu odzywając się ze złością i pogardą.

Czeladź też ujmować się nie mogła, ale zębami zgrzytała.

Dzień już był w drugiej połowie, gdy nareszcie wszystko do odjazdu stanęło wpogotowiu. Więźniów na wozy powciągano, po dwu i po trzech powiązawszy razem plecami do siebie; gromada Kietliczowa na konie siadać zaczęła, wiadra i necułki próżne umyślnie porozbijawszy. Pańskiego konia już podprowadzono. Nie było pozoru gościć dłużej, a Kietliczowi z tak małym zyskiem precz się odjeżdżać nie chciało. Już na konia siadać miał, gdy sobie pomyślawszy, nazad pode dwór zawrócił.

W czasie, gdy tak w podwórzach gospodarowano, Stach na czatach stał, nie wiedząc, co czynić, choć mu krew w żyłach kipiała przeciwko napastnikowi.

Do pilnującego progu wybiegła Jagna z twarzą zapłonioną gniewem.

— Do ojca mi go więcej nie puszczajcie! — zawołała i znikła.

Rozkaz ten odebrawszy, Stach gotował się go spełnić bądź co bądź i, pierwsze drzwi zasunąwszy, stanął u nich na straży z rękami złożonemi. Kietlicz, któremu do głowy przyszło pewnie jeszcze pieniężną karę ściągnąć za odmówienie przewodu, gdy podbiegł ku dworowi, zastał Stacha u progu.

Spojrzał nań, wskazując na drzwi.

— Do władyki chcę! otwierać! — zawołał nakazująco.

— Nie pójdziecie do niego bo i tak już chory leży — odparł Stach.

— A wy mi tu stawić opór będziecie! hę?! — krzyknął Kietlicz.

— Tak mi polecono, nie puszczę — rzekł Stach, rozkrzyżowując się we drzwiach.

Kietlicz, porwawszy za rękę stojącego, chciał go na stronę odepchnąć, ale trafił na równą swojej sile. Stach ani drgnął, niełatwo go było ruszyć lada komu. Oparłszy się plecami o drzwi, nogi mocno wbiwszy w ziemię — stał jak mur. Szarpnął go Kietlicz raz i drugi nadaremnie i, opór znalazłszy niespodziany, przyskoczył, oburącz go chwytając, aby odrzucić na stronę. Gniew obu dodawał siły. Kietlicz miał jej dosyć, ale Stach bronił się dzielnie, pchnął go w piersi, aż odskoczył, na nogach się zachwiawszy.

Wrzasnął natychmiast na swych ludzi.

— Sam do mnie, Bereza! Tyś co za jeden?

— Ktom jest, tom jest — zawołał Stach gniewnie, — nie ustąpię ci.

— Ty mnie się myślisz opierać? — miotając się, krzyknął Kietlicz — ty! ja cię nauczę!

I ku swoim zwróciwszy się, coraz głośniej wrzeszczał:

— Bereza! Sam do mnie!

Bereza, chłop straszny i trzech innych najsilniejszych z orszaku Kietliczowego już biegli mu w pomoc. Walczyć z nimi jednemu było niepodobieństwem. Zbladła twarz Stachowi, zaciął usta, nie ustępował. Siepacze nadbiegli i runęli na niego.

— Wziąć tego ptaszka i związać! — krzyknął Kietlicz. — Rozmówimy się z nim w Krakowie!

— Ziemianin jestem wolny! — zawołał Stach.

— A choćbyś i kniaziem był! — zaryczał Kietlicz. — Ja na wszystkich uzdę nałożę.

Po krótkiej chwili namysłu Stach, spuściwszy głowę, gdy Kietliczowa służba nań padła, nie mówiąc słowa, dał się jej ująć. Zdala stała jego czeladź wylękła

i podburzona, jakby chciała stanąć w pańskiej obronie. Stach, nie broniąc się już, krzyknął do swych ludzi:

— Wy z końmi ruszajcie za mną!

Spokój ten zmieszał trochę napastnika, ale cofać, co rozkazał, nie chciał, wstyd mu było. Wiedział, że nieznanego sobie ziemianina z pocztem jadącego chwycił, niesprawiedliwej opierającego się napaści; nie zgrzeszył on tak dalece, aby go za to srodze karać można. Kietlicz byłby go zwolnił, gdyby się prosił, milczącemu nie mógł przepuścić.

— Wiązać go! — powtórzył. — W Krakowie się z nim rozgadamy.

Drzwi od mieszkania Ścibora stały tymczasem ze środka zamknięte, Kietlicz przypadł do nich ze złością, uderzył parę razy, nie odzywał się nikt, nie myślano otwierać. Ciupnął w nie jeszcze raz mieczem i splunął.

— Licho na was, z dziadami nie będę wojny prowadził. Na koń! a tego — wskazał na Stacha — związać mi dobrze i z innymi niech rusza do Krakowa.

To mówiąc, odszedł ode drzwi, rozkazując sobie konia podprowadzić, klnąc i łając jeszcze, siadł nań i popędził ku wrotom.

Cała gromada jego wnet na konie swe wspinać się zaczęła, wozy popędzając przed sobą, na których już leżeli więźniowie.

Ciury te, po drodze jeszcze chwytając co napadły, kury, świnie, gęsi, ze śmiechem uwożąc te łupy, zwolna wrotami nazad wyciągnęły na podzamcze, odgrażając się odźwiernemu, stojącemu w bramie, którego kilku kijmi poczęstowało, że im zrazu wrót nie chciał otwierać.

Za ostatnim z Kietliczowych oprawców zaparły się wrota natychmiast i orszak nie odciągnął jeszcze, gdy czując się bezpiecznymi, ludzie zamkowi powybiegali nad wrota i na wały, od psów, zbójów łając wściekle odjeżdżających, którzy im zdala pięści pokazywali. Kilka kamieni nawet świsnęło w powietrzu za odjeżdżającymi i padło na gościńcu.

IV.

Tegoż dnia wieczorem Kietlicz ze swą zbrojną gromadą, z którą jakby na łowy puścił się na dwory i ludzi, był już znowu na krakowskiej ziemi. Tu siepacze jego śmielszymi się stali jeszcze.

Dla Staszka, któremu z lekko związanemi rękami pozwolono jechać na własnym koniu, otoczonemu swoimi ludźmi i strażą — widok tego pochodu był obu rzeniem nieustannem. Ale choć mu twarz srom i gniew oblewał, milczeć musiał. Zżymał się czasem, strząsnął, do swoich coś zagadał; straże otaczające, co innego mając do czynienia, wcale nań nie zważały.

Kietlicz wracał z wyprawy do Krakowa, czasu nie tracąc po drodze. Nie pominęli człowieka, dworu, chaty, nie przystanąwszy dla rozpatrzenia się i rozpytania, czy nie było się tam do czego przywiązać, o co zaczepić, aby kmiecia obedrzeć, uwięzić lub osmagać.

Szło o to Kietliczowi widocznie, aby trwogę siał po kraju, cel ten też zdawał się dopiętym, gdyż ludzie, zdala zobaczywszy kupę zbrojną, poznawszy książęcego urzędnika, pędzili w lasy, rzucając domy i trzody, chronić się w gąszcze i błota.

Samo to zbieganie Kietlicz poczytywał za winę już, kazał ścigać uchodzących, a kogo pochwycono, wiązano i męczono, aby wyznawał, co przewinił i czego się lękał.

Szukająca przyczepek, rzucająca oczyma na wszystkie strony gromada Kietliczowa prawie co krok nowe chwytała ofiary. Żadnego człowieka nie pominięto, nie zatrzymawszy go, nie spytawszy, kto był, skąd, jakiego stanu, a pytania te Kietlicz i Bereza Łużyczanin, a namiestnik jego, z ogromnym łbem rozczochranym i czerwonym pyskiem, bez jednego oka i ucha — tak umiał zadawać, że każdy się splątać musiał, gdy się nań raz usiedli.

Wśród gościńca obskakiwano pola dokoła, przejeżdżających zahukiwano, badano, targano i mało komu się udało wykłamać i wydobyć z rąk napastliwych.

Nim do Krakowa się zbliżyli, nabranych ludzi narosło, wozy się wszelkie zdobyczą powyściełały do góry, a dobra myśl tak była u wszystkich, że gdyby nie Kietlicz, gromadaby, jak łotrzyki, puściła się pewno na dwory.

Już się do gromady zbliżali, gdy na gościńcu od Krakowa pokazał się orszak znaczny, zwolna się ku nim posuwający.

Zdala widać było nielada pański dwór i Kietlicz, który przodem jechał, wziąwszy się w boki, a wzroku nie miał zamąconego, bo od innych był trzeźwiejszy, niespokojnie się jakoś na ludzi swoich obejrzał. Narazie dał znak pewien, który oni zaraz zrozumieli. Wnet dokoła się ścisnęła jazda i obstawiła wozy, aby ich i jeńców, jak najmniej widać było. Staszka też z końmi jego pchnięto gwałtownie w środek taboru i ukryto. Ciszej stało się w gromadzie, wrzaski ustawać zaczęły, rozpasana swawola przycichła.

Bereza, który jednem swojem okiem lepiej widział niż drudzy dwoma, pomrukiwał sam do siebie.

— E! e! wojewoda, daj go katu! Dość, że my go zawsze gdzieś spotkać musimy.

Z twarzy Kietlicza widać było, że i on zetknięciu się z wojewodą niekoniecznie był rad; wstyd mu było tych łupów, które wiózł z sobą.

W istocie jechał naprzeciw nich od Krakowa Szczepan Pobożanin, wojewoda krakowski, wielkiego znaczenia między ziemiany mąż, którego i sam książę szanować musiał. Jak on doszedł do tej wziętości, iż wszystkich ziemian krakowskich w garści trzymał i czynił z nimi, co chciał, odgadnąć było trudno. Więcej pono winien był zręczności i przebiegłości, niż rozumowi, dużo gościnności swej, a trochę i temu, że wiedział, za co kogo brać i z której strony łaskotać. Niemniej wszystkim był potrzebny i uważali go, a nawet biskup Gedko, choć często się nań zżymał, bez niego się nie obchodził.

Człek był, mówiono, w potrzebie zuchwały, a tak zręczny, że nikt go nigdy w pole nie wyprowadził, on

zaś niemal każdego. Dla bab tylko miał pono zawiele słabości, za co go biskup łajał.

Twarz wojewoda miał mało zarosłą, pełną, oczy przymrużone nieco, jakby mu światło wadziło, oblicze całe dobrodusznie się uśmiechać zdawało, ale chytrość z niego przeglądała.

Za wojewodą jechała starszyzna mnoga, potem półkowódca, niejaki Nagoń, olbrzym, pod którym mało który koń wytrzymał, dwornia, czeladź i konnych mnogo, ciągnących się długim pasem. Wyglądało to, jakby się na wojnę wybierali, bo i wozy były z namiotami i luźne szkapy i zbroje wieziono zapaśne.

Garstka Kietliczowa szczupła się wydawała przy tym tłumie, a sam urzędnik książęcy na widok pana wojewody dużo stracił ze swej buty. Nareszcie dał rozkaz Berezie, aby się z ludźmi swymi i wozami w jedną stronę gościńca zsunął, dając przejazd wolny dla Pobożanina.

Wojewoda, już zdala zobaczywszy powracających z wyprawy Kietliczowych, których dobrze znał, zwolnił koniowi kroku, bacznie się rozpatrując. Parę słów rzekł do kapelana i przybocznych, a gdy Kietlicz tuż podjeżdżał, wystąpiwszy przed swoich, raźno mu się kłaniać począł a witać, wojewoda konia strzymał, lekkiem skinieniem głowy ukłon mu oddając.

Musiał i Kietlicz stanąć.

— Skądże to Pan Bóg prowadzi? — zapytał Pobożanin głosem napozór obojętnym i wesołym?

— Skądżeby? — odparł Kietlicz — ze służby pańskiej... Człowiek, wiernie chcąc panu służyć, nie ma dnia i nocy spokojnej. Wszystko się za nieboszczyka Bolka tak porozpraszało, że teraz siłą i mocą trzeba posłuch wprowadzać, bo nikogo ludzie znać nie chcą...

Kietlicz nadrabiał pozorną wesołością, chcąc ukryć zakłopotanie. Stał tak, jakby rozrosłemi swemi plecami zakrywać chciał wozy i jeńców, ale wzrok Pobożanina sięgał wbok i zdawał się ciekawie rozpatrywać.

W tej chwili oko jego padło na Staszka, przejeżdża-

jącego ze związanemi rękami. Uderzyła go znać rycerska postawa człowieka.

— A cóż to za winowajca? — spytał, wskazując nań, bo jadący, jakby naumyślnie zwolnił kroku i spoglądał ku wojewodzie.

— E! ten, to nic jest! — rzekł Kietlicz. — Sprawa inna. Jest tych spraw do licha, gdzie się potkniesz. Ten mi się śmiał opierać, urzędnikowi pańskiemu. Do tego już teraz przyszło, że lada ziemianin, ot taki, jak ten, nie chce znać ani księcia, ani tych, co są z jego ramienia wysadzeni!

— Ciekawym — rzekł wojewoda. — Cóż to było? co?

— Wyjechałem jakoś na Sandomierskie ziemie — odpowiedział Kietlicz, — bo tam granice od Krakowskiego niepewne.

— Granice niepewne? hm! Sądzicie, że niepewne? — rzekł wojewoda dobrodusznie — a zawsze ja sądziłem, że się to wie dobrze, kędy ziemia Krakowska kończy, a Sandomierszczyzna zaczyna!

— Ja tam tego tak bardzo nie patrzę! — mówił Kietlicz, — albo to nasz książę nie jest wszędzie zwierzchnim panem?

— A! wszędzie panem! wszędzie! — potwierdził wojewoda.

— Zajechałem do jednego dworu po przewód i obroki na Sandomierskiej ziemi — ciągnął dalej Kietlicz — hę! ci mi nie chcą dawać! Tego ja ścierpieć nie mogę! Niechaj idą z żałobą na mnie, kiedy chcą, psubraty jakieś, ale co ja każę, to dać muszą! Pobieżałem z ludźmi do dworu, tam stary niby chory leży, umyśnie się czyniąc takim, aby się mnie zbyć psim swędem.

— Hę! hę! Któryż to? kto? — począł dopytywać wojewoda.

— Kto? Ot ja go tam nie pomnę — odpowiedział, coraz bardziej się niecierpliwiąc już tem badaniem Kietlicz. — Ten drab zuchwały drzwi zaparł przed nosem i do starego, niby chorego puszczać nie chciał.

Kazałem go wziąć, aby się do Krakowa przejechał i trochę strachu najadł, aby drugi raz mi w drogę nie śmiał leźć.

— W drogę leźć! w drogę leźć! — powtórzył Pobożanin, ciągle się przypatrując Stachowi. — Ja bo tego człeka gdzieś już widywałem. Jak on się zowie?

Posłyszawszy pytanie i widząc, że się ono do niego stosuje, Stach nie czekając, huknął ku wojewodzie.

— Zabór z Przegaja, miłościwy panie!

Pobożanin głową kiwnął, zadumał się nieco, zdawało się, jakby miał zamiar za jeńcem przemówić, a Kietlicz był gotów mu go dać, byle słówko rzekł, ale wojewoda, popatrzywszy, rozmyśliwszy się, jakby go jakaś pobudka nieznana wstrzymała od tego kroku, już usta nawpół otwarte przymknął zlekka, Kietlicza pozdrowił głowy skinieniem i, konia swego podżegnąwszy ostrogą, słowa nie mówiąc, wyminął go, puszczając się dalej gościńcem.

Mijając Stacha, Kietlicz popatrzał nań zukosa ze złością, chciał może wywołać pokorne słowo, aby mu dać wolność i znajomego wojewodzie ziemianina nie ciągnąć z sobą, lecz Stach, jakby nie rozumiał, głowę odwróciwszy, stał niemy i obojętny.

Spotkanie z wojewodą i rozmowa z nim na usposobienie wodza wyprawy i jego towarzyszy źle jakoś wpłynęła, buta ich opuściła, twarze spochmurniały, stali się milczący, oglądali się po kilkakroć na pułk wojewodziński, mierząc go niespokojnemi oczyma.

Wesołość dawna zupełnie opuściła jadących, gromadka skupiona postępowała w milczeniu, kiedy niekiedy tylko z wozów, na których leżeli więźniowie, słyszeć się dawał jęk lub westchnienie, skrzypienie kół i wymierzony chód koni.

Stach jechał zadumany, niebardzo strwożony, rozpatrując się swobodnie po okolicy i więcej zdając śledzić, co go otaczało, niżeli się zajmować sobą.

Gdy uwaga straży była odwrócona albo głośniejsza rozmowa dozwalała, pochylał się ku wozom i pocichu rozpytywał jeńców, którzy mu półgłosem o swo-

jej biedzie rozpowiadali. Niebardzo na to zważali dozorcy.

Tak pocichu gwarząc, już i na zamek wjeżdżali.

W niektórych oknach na Wawelu świeciło jeszcze przez szpary z poza okiennic pozasuwanych, kilka z nich stało otworem i czerwone światło z nich się dobywało. We wrotach straż chodziła, po wałach też snuli się wartowni. Spokój wielki panował na grodzie martwy jakiś i straszny, jakby stąd życie uciekło.

Kietlicz, Berezie coś poszeptawszy, sam przodem, konia sparłszy, pobiegł ku skrzydłu dworca, około którego widać było ludzi kilku, wybiegających pośpiesznie na spotkanie — zsiadł i zniknął.

Wozy z więźniami zawróciły na prawo, poza kościół, w głąb podwórców, ciągnąc ku ciemnym szopom, przy których się zatrzymały. Tu pobudzono czeladź, pachołkowie poczęli wychodzić na wołanie Berezy i otaczać wozy. Jednooki z konia zsiadł i zaczął wydawać rozkazy, co z jeńcami czynić miano, rozdzielając ich różnie.

Więzień, ciemnic i kar rozmaitych nie brakło na zamku, gdzie od niejakiego czasu na więźniach i pozamykanych ludziach nigdy nie zbywało. Pachołków też do obsługi przy nich było poddostatkiem.

Z wozów zaczęli spędzać i ściągać pobranych, dzielić ich i gnać na wszystkie strony.

Pachołkowie z pozapalanemi oszczepami stali we drzwiach, spierając się z sobą i znęcając nad biednymi, z których wielu, już wprzód potłuczonych i zbitych, ledwie się wlec mogło.

Dla Stacha widok to był bolesny, ale ciekawy. Nigdy tak zbliska nie widział gospodarstwa Kietliczowego, o którem się nasłuchał wiele. Przemyślał właśnie, co z nim wkońcu uczynią, gdy kolej nań przyjdzie, ale popychany, znalazł się nie wiedzieć jak zupełnie sam z ludźmi swoimi poza taborem i strażą. Żegieć, sługa jego wierny, i czeladź ręce mieli wolne, w oczy mu patrzyli, czekając skinienia. Jakby naumyślnie, zdali się o nim zapominać, a że Stach zrazu z miejsca się

nie ruszał, ten i ów z drogi go spychał dalej, nikt ani nań spojrzał, ani się o niego zatroszczył. Brano go może, iż jezdnym był, za jednego z przystawów.

Przychodziło mu już na myśl, że gdyby nie miał rąk spętanych, łatwoby mu było cofnąć się w ciemny kąt ku kościołowi, a może nawet i za wrota wydobyć. Widać, że tę samą myśl powziąć musiał wierny sługa Staszka, koniuszy jego, Żegieć (od Żegoty tak przezwany), bo przyskoczywszy do pana, nie mówiąc nic, począł mu co prędzej ręce spętane rozwiązywać.

Uczuwszy ręce wolnemi, Stach z koniem w głąb cofać się począł, czemu nikt nie był na przeszkodzie. Czeladź go własna otaczała i zasłaniała. Kietliczowi ludzie, będący na straży, wszyscy około szop i wozów mocno byli zajęci i Stacha, równie jak Bereza, z oczów stracili. Światło od łuczywa nie dochodziło daleko, otoczyła go ciemność nocna. Wszyscy się więc razem cofnęli, z koni nie zsiadając, ku wrotom, w których straż wprawdzie stała, ale ucieczki próbować było można.

W ciemności rozeznać ludzi, twarzy, nawet stroju było trudno. Żegieć na to pono rachował i, niewiele myśląc, zuchwale wprost na wrota już jechał przodem. Dotarł aż do straży, a tu — półgłosem, ale nakazująco wołać począł:

— Wrota otwieraj, słyszysz?! pańskie rozkazanie! wrota dawaj! hej! Sam, a prędzej!

Stacha jakoś strach nie brał wcale i o mało się ze śmiałości swojego koniucha nie rozśmiał na głos. Żegieć nakazywał natarczywie i groźno, a jak to najczęściej bywa, że wielkie zuchwalstwo popłaca, strażnicy rozespani, posłyszawszy wołanie groźne i śmiałe, nie pytając więcej, rzucili się do wrót, poczynając je otwierać.

Stach jeszcze patrzał i słuchał, rychło-li ich nagonią i kijami może popędzą do więzienia, gdy już wrota skrzypnęły na wrzeciądzach, otwarły się nawpół, a Żegieć, nie myśląc czekać, na drugą połowę rzucił się w nie, wołając na swoich, aby za nim pośpieszali.

— Miłościwy panie, za mną! za mną!

Wpadli wszyscy, jak w czarną czeluść, w bramę ciemną, w której z drugiej strony blade światełko niebios migało, wskazując im drogę. Stach posłyszał, mijając straże, jak klęły, że spokoju nie mieli po nocy z wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi bezustanku.

Za wrotami spuszczających się ku dolinie obwiało chłodniejsze powietrze, ciasną drogą zjeżdżali ku miastu; Żegieć przodem pośpieszał, aby co prędzej minąć wąwóz i wpaść w miejskie uliczki, gdzie już byli bezpieczni. Śmiejąc się, podążał za nim Stach i reszta czeladzi.

— Bóg ci zapłać — rzekł do koniucha, — boś ten rozum miał, którego ja nie znalazłem w sobie.

— A czegóż mieliśmy czekać, kiedy, Bogu dziękować, zapomnieli o nas. Musiałem ja rozum mieć, kiedy im go zabrakło! — odparł Żegieć wesoło. — W miasto! w miasto! Tu nas już nie pochwycą.

Ucieczka się powiodła tak niespodzianie, jakby na nią z umysłu przyzwolono. Stach był nawet tego przekonania, że nie wiedząc, co z nim robić, a innych mając dosyć, dali im wolę. Jednakże niebardzo się na to spuszczać było można, pogoń mogła wynijść po obliczeniu więźniów, uchodzić trzeba było co najrychlej z drogi i gościńca, a wpadłszy na miasto i przedmieścia, szukać sobie gdziekolwiek tymczasowej gospody, bo konie były zmęczone.

Stach bywał często w Krakowie, ale poufalej znajomego nie miał tu nikogo, do kogoby się o przytułek mógł zgłosić. Szukał próżno po głowie.

W uliczkach wąskich, któremi się przeciskali, spało wszystko, okiennice były pozasuwane, światła pogaszone, panowała cisza grobowa, przerywana tylko śpiewem słowików, które zawodziły pieśni po gęstych krzewach ogrodów i pianiem kurów czujnych. Gdzie niegdzie z poza płotów i tynów budzące się psy ujadały, posłyszawszy tętent, a na ich głos odpowiadające inne wzdłuż drogi witały ich szczekaniem.

Niewiedzieć, gdzie się było podziać i co czynić

z sobą; Stach już myślał, czy się nie rzucić za miasto kędy w lasy, albo tam dnia czekać, konie puściwszy na paszę i wymiarkować, co poczynać dalej, gdy wdali smugą jasną, szeroką pokazało się światło na drodze i zobaczyli trzy okna roztwarte szeroko, jak za białego dnia, z których oprócz jasności dobywały się głosy huczne i hałaśliwe.

Zbliżając się bardziej, ujrzeli na drodze około oświeconego dworku stojące tu i owdzie przy płotach konie posiodłane, wozów parę i dosyć czeladzi, leżącej na ziemi.

O tej porze to późne czuwanie jakieś w mieście było rzeczą niezwykłą. Zrazu też Stach się wstrzymał, nie wiedząc, na co popadł i chcąc zrozumieć, co się we dworku tym działo. Pogrzeb to, czy wesele? Jechać miał dalej, czy zawracać?

Nie pewien jeszcze, wahał się, gdy przysunąwszy się dosyć blisko, z okien otwartych chwytać począł dolatujące głosy aż tu. Było ich tyle zmieszanych, że w początku, oprócz wykrzyków i zaklęć, nic nie mógł zrozumieć. Wkrótce jednak gwałtowniejsze wybuchy się uśmierzyły i pojedyńcze głosy wyraźniej występować zaczęły. Widocznem było, że się tu odbywały jakieś narady, z których wielkiej nie czyniono tajemnicy, mając dokoła rozstawioną czeladź i nie obawiając się podsłuchania.

Z urywanych słów dorozumiał się Stach łatwo, iż tu jacyś ziemianie zebrani być musieli. Ten i ów występował z narzekaniem na złe czasy, z tem, że nigdy jeszcze tak ciężko nie bywało.

Gdy Stach się zatrzymał, Żegieć, który powodzeniem był rozochocony i śmielszy, nie pytając pana, z konia się zaraz zsunął, dał go trzymać jednemu z czeladzi i pieszo pod płotem przysunął się do śpiącej i spoczywającej służby, porozkładanej na ziemi przy koniach i wozach. Niektórzy gwarzyli i zabawiali się.

Zobaczywszy Żegcia przekradającego się, Stach już pewny, że mu języka przyniesie, sam się zatrzymał, nie idąc dalej. Jakoż nie wyszło i trzech pacierzy, gdy już

Żegieć raźno ku panu przyskoczył, spiął się doń i zawołał:

— E, dobra nasza! Toć to wszystko swoi! Miłościwy pan znasz dobrze Jaśka Bogoryję, onci tu też jest. Pachołka jego, Maćka, widziałem chrapiącego pod płotem. On sam, jakom żyw! Tylko się wam między nich dostać, a tu już bezpieczno, ci nas nie wydadzą.

Stach tedy z konia zsiadł i poszedł pieszo.

Jaśka Bogoryję znał w istocie dobrze. Był to syn już naówczas bardzo możnego rodu, człek rycerskiego powołania, wesołego umysłu, najlepszego serca, ale wietrznik i szaleniec. Gdzie jeno gwar był, wrzawa, pijatyka, kości i zabawa, tam ino patrzeć, a pewno go znaleźć było można. Znał Bogoryja Stacha, jako Zabora z Przegaja, czy się domyślał, co się kryło pod tem przezwiskiem, trudno było zgadnąć — to pewna, że nigdy go o nic nie pytał, nawet o dawniejsze lata. Godzili się z sobą dosyć dobrze; choć Bogoryja młodszy był, a Stach poważniejszy, i na oko nie byli do siebie podobni, przecie Bogoryja bardzo rad z nim przestawał i czasem po całych tygodniach go u siebie ugaszczał, odpuścić nie chcąc.

Wprost do niego mógł się więc Stach udać, nie tając, co go spotkać miało. Wcisnąwszy się śmiało pomiędzy czeladź, wszedł we wrota, które stały otworem. Tu gwar słychać było jeszcze większy, we dworku przez okna poroztwierane zobaczył gromadę wielką ludzi, po większej części poważnych, których znał ledwie z widzenia.

Zatrzymał się w progu, tu mu się człek służebny ze dwoma dzbanami w rękach nawinął. Sięgnął do kieszeni Stach po pieniążków parę.

— Słyszysz, człecze — rzekł do niego, — jeżeli Jaśka Bogoryję znasz, daj mi go tu; jeśli nie znasz, sam pytaj o niego.

Tych słów domawiał, gdy poza sienią u drugiego progu posłyszał Jaśka, głośno coś wykrzykującego, nie pytając więc, poskoczył i, za rękę go pochwyciwszy, wy-

wiódł do sieni. Ten, z gębą jeszcze pełną śmiechu, zdumiał się niezmiernie gościowi niespodziewanemu.

— Ty? a to co? — zawołał.

— Chodźmy do sadu na słowo — odparł Stach.

Szli tedy razem w cień pod drzewa, a Bogoryja nie śmiał się już.

— Widzisz, bieda mnie tu przygnała — począł Stach prędko. — Byłem w Sandomierskiej ziemi w jednym domu, gdy tam licho przyniosło Kietlicza o przewód. Nie chcieli mu go dać, mało gródka szturmem nie zdobył; a gdy go puścili, dokazywał tak, iż broniąc gospodarza, starca chorego, musiałem mu opór stawić. Wziął mnie bestja związanego na zamek i aż do Krakowa przyciągnął, alem mu się po ciemku z Wawelu wyrwał, no i uciekłem. Gotowi za mną gonić; niema godziny, gdy się to stało. Albo mnie ratuj, a daj się gdzie przechować, a nie, to pójdę szukać jakiej mysiej dziury, aby do czasu im z oczów zejść.

Bogoryja go po obu ramionach rękami uderzył.

— A psubrat Kietlicz! — zawołał. — Szczęście, żeś się tu do nas dostał. Jest tu kupa ziemian, władyków, starszyzny, nie damy cię, choćby przyszli, bywaj z nami. Chodź ino ze mną. W samą porę, żywy świadek, powiesz im, co Kietlicz dokazuje, on i pan jego już nam wszystkim kością w gardle siedzą. Przecieśmy tu ojczyce, ziemia nasza, nie czyja! Trzeba radzić, chodź ino!

I ująwszy go pod rękę, pociągnął za sobą do oświetlonej izby, w której ścisk i gorąco było niezmierne...

V.

W dworku pana Leszczyca, który na swój czas obszerny był, a czy pan doma czy nie, za gospodę ziemianom służył zawsze i jechał doń, kto zamarzył — myśl panowała nader wesoła, zwłaszcza, że już nocy zostawało niewiele, na dzień się brało, mieli więc czas ludzie nagadać się, pobratać, wyściskać, wykłócić i pogodzić.

Dnia tego pełno było, jak nigdy; zdawało się, że od gąszczy tej ściany się rozsadzą; ludzie ledwie się poruszali. Ław nie stało do siedzenia, niektórzy już legli na ziemi, inni się spoczywając mieniali, niektórzy, na zimny piec wlazłszy i nogi pospuszczawszy, bili niemi, aż glina z niego leciała. Siedzieli i na progu, i na beczułkach prostych, i na kolanach jedni u drugich.

Przez całą tę noc nie było prawie mowy wśród śmiechu i wrzawy, o czem innem tylko o Mieszku i zauszniku jego Kietliczu. Dali się oni we znaki uboższym ziemianom, przychodziła kolej na potężniejszych, odgrażał się książę, podsłuchano już niejedno słowo straszne i groźne. Wiało od wawelskiego grodu, jakby niewolą na tych możnych, co sami panami już być nawykłszy, żadnej władzy znosić nie chcieli.

Gdy Jaśko Bogoryja, wiodąc za rękę Stacha, wszedł do izby, do góry podnosząc dłoń i wołając, że ciekawego wiedzie gościa, którego posłuchać warto, choć wrzawa była okrutna, poczęło się uciszać naprzód wpobliżu Stacha, któremu się przyglądano, potem dalej coraz, dopóki i po kątach milczenie się nie usadowiło. Cisnęli się tylko ciekawi dokoła, rozpatrując w przybyłym, który choć z postawy pokaźny, strojem nie bił w oczy.

— Co to za jeden? kto? skąd? — pytali dalsi.

— Ziemianin z pod Spicymirza — zawołał Bogoryja; — ja go dawno znam, rycersko dużo sługiwał po świecie.

Uderzył go po ramieniu.

— Tęgi chłop!

— Skądże się tu wziął? Niech gada sam! — poczęli inni odzywać się z pieca i z ław.

Leszczyc, gospodarz, który już, częstując innych, i sam sobie podochocił, człek siwy, wesołego oblicza, gościnny a uprzejmy, wraz kubek nalał, i nim Stach mówić zaczął, podał mu go.

— Naprzód sobie gardło i usta przepłuczcie, aby mowa szła gładziej — rzekł wesoło.

Stach, będąc i głodny i spragniony, chętnie przy-

jął, co mu dano i do kropli wychylił. Przypatrywano mu się zewsząd, niektórzy coś szeptali między sobą, bo im się twarz przypominała, że ją kiedyś widywali.

— A no, praw! Niechże gada! — nalegano niecierpliwie.

Stachowi miód koło serca rozgrzał, robiło mu się raźnie i wesoło, więc co miał boleściwie stękać na swą dolę, nastroił się do swych słuchaczów i wziął swą przygodę z uciesznej strony.

— Miłościwi panowie — odezwał się, usta ocierając, — niema to znów nic tak rzadkiego a osobliwego w tem, co ja mam opowiadać. Pana Henryka z Kietlic mało kto nie zna, że to pan żartobliwy wielce a ucieszny, który podczas i skórę gotów drzeć z ludzi, aby się pośmiać, gdy piszczy.

Buchnęli niektórzy śmiechem wielkim.

— A no, a no, słuchajmy!

Stach opowiedział, jak się rzecz miała.

— Dostałem się i ja w łapy Kietlicza — kończył, — a com się po drodze napatrzył, włosy na głowie stawały. Byle za co ludzi chwytali. Niedźwiedzia jeden ubił, co mu barcie i pola psuł, wnet go pod sąd chwycili; innych pobrano, że się wygadać nie umieli, co zacz byli.

— Toć to powszednie rzeczy! — dodał inny.

— Dostałem się tedy na Wawel, na zamek, a tu ot, sam nie wiem, jak się stało, pakując innych do ciup, o mnie zapomnieli. Staliśmy, stali czekając, aż mi sługa mój ręce rozwiązał, no, i pojechaliśmy do wrót. Stać się uprzykrzyło. We wrotach kazaliśmy otwierać, otwarto; i ot, zbiegłem tu do łaski waszej.

Poczęli się śmiać.

— Dobrześ uczynił!

— Byle w pogoń nie puścili się... — zawołał któryś.

— To się na strych schowa, albo do szopy! — odparł Bogoryja. — Kietlicz tu pomiędzy nas nie wlezie, nie byłby bezpieczny od kułaków! Ma on węch; tam, gdzie oberwać można, drugich posyła.

Poważniejsza myśl wstąpiła we wszystkich. Młodzież się rozłazić poczęła na siano i po domach dla spoczynku, kupka starszych została sama w izbie; Stach z Bogoryją przyłączyli się do nich.

Wtem Wawrek Leliwa, mąż poważny, pomyślawszy i rozglądnąwszy się, iż płochej młodzieży a obcych nie było, począł mówić:

— Ot! czegośmy dożyli! Pęta nas, ziemian, czekają, pęta! Niema się tu już co okłamywać. Mieszek chce tu sam jeden sobie panować bez nas, bez duchownych i ziemian. Nas czeka ciemnica, albo kloc, a on sobie z Łużyc pościąga na wojewodów Kietliczów. Panowie ojczyce krakowskiej ziemi, trzeba około swej skóry radzić.

— A no — odparł stary Cholewa (brat tego, który niedawno biskupem był) — radzić trzeba, ino nie sierdzisto, powoli. Jak my wszyscy ziemianie i ksiądz biskup z nami zaśpiewamy, że tego nie ścierpimy, musi się książę miarkować.

— Jako żywo! — przerwał Stach, który wśród ogólnego milczenia głos zabrać się ważył, — ja, choć do ziemian krakowskich się nie liczę, przecie słowo rzec mogę. Mieszka starego znam zdawna. Człek to twardy, jak kamień; nie zmoże go nikt, ani nawet biskupi! Ufa w to, że szwagrów i zięciów ma po Niemczech i po całym świecie, chce mu się być więcej, niż królem nad nami. Wszyscy gardła damy, jeśli się tak pociągnie; nikogo on nie oszczędzi. Gorzej to, niż z Władysławem.

Śmiała ta mowa wszystkim usta zamknęła.

— Ino powoli! — odezwał się Cholewa. — Wyście młodzi, w ukropie kąpani. Myślicie pewnie tego się zbyć, a drugiego posadzić; albo to tak łatwa rzecz?

— Nie byłoby już sromu i żalu tego pana znosić z Kietliczami, gdybyśmy jego jednego mieli, a innego na podoręczu nie było. A tu, obok, tuż jak ze złota ulany siedzi pan, co go się zda umyślnie dla naszej szczęśliwości Bóg stworzył. My, biały kołacz mając, spleśniały suchar gryziemy.

— Hę? co? — zakrzyczeli drudzy — gdzie? o czem mowa? Kędy kołacz twój?

— Któżby inny miał być, jeśli nie Kazimierz — dokończył Stach. — U niego rozum i serce, praw jest i miłosierny, wszelakiej cnoty pełen. Jemu się dostało na szmatce ziemi siedzieć gdzieś w kącie, a nam trzeba znosić Mieszka z rózgą żelazną! Ot, dola jego i nasza!

Zamilkli znów wszyscy, tylko Bogoryja gorętszy poparł:

— Pan dobry, miłosierny, ludzki bardzo, Boga się bojący, a no, nie wiem, czy gdyby my go chcieli, on nas zechce? Już za Kędzierzawego prosił go Jaksa i Światosław i drudzy, klęczeli i błagali, aby Kraków brał, odpowiedział, że jako żyw, bratu krzywdy nie uczyni!

— Ba! za Kędzierzawego! — przerwał Stach. — Za Kędzierzawego wcale co innego było, to i książę Kazimierz sam poczuje. Tamtego jedni bili, drudzy nie, a pan znośny był i na ziemian się oglądał.

— Prawda — dodał Leszczyc, — Kędzierzawego z Mieszkiem nie równać; jakby nie jednej matki dziatkami byli. Tamten i słodkim podczas umiał być, ten ino grozę zna, więcej nic, ale Kazimierz jak na tamtego iść nie chciał, tak nie pójdzie i na tego. Przecie po śmierci zaraz prosili go i nie doprosili się, nie chciał przed starszym miejsca zabierać. Kruk krukowi oka nie wykole, brat nie pójdzie na brata.

— Co? brat! brat! — zaśmiał się stojący ztyłu żartobliwy zawsze Chmara, stary ziemianin, który zwykł był ze wszystkiego przedrwiewać — książęta krewnych nie mają. Widzieliśmy przecie, jeśli nie my, to ojcowie nasi, jak na siebie nastawali i oczy sobie łupili.

Jedni się uśmiechnęli, ziewać już poczynali drudzy, nastało milczenie znowu. Dzień się już robił, od zamku i od świętego Michała słychać już było dzwonki kościelne. W uliczce pastuch miejski, który zbierał bydło, aby je gnać na paszę, trąbił w róg, oznajmując o sobie. Zwolna otwierały się wrota domostw i kro-

wy, rycząc, szły do gromady. Rozmawiający, znużeni bezsenną nocą, zabierali się rozchodzić, kto spoczywać, inni jechać po domach, lub szukać kąta, aby nocną zabawę wydychać na sianie.

Bogoryja, też kołpak z kołka na ścianie zdjąwszy, gotował się wychodzić, Stachowi dając znaki, że go z sobą zabierze.

Już mieli żegnać gospodarza i iść precz, gdy Leszczyc się z ławy podźwignął, idąc do Stacha.

— Możecie u mnie jaki dzień przesiedzieć — rzekł — i nie wyłazić na ulicę; komorę wam dam dla spoczynku, a może też i nie zmarnujecie czasu u mnie; zdacie się wy nam, my wam. Pogadamy o Kazimierzu.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszej i tajemniczo jakoś. Stach, posłyszawszy to, Bogoryi coś na ucho szepnął i został. Rozchodzili się wszyscy. Konie gościa już dawno z Żegciem były pod szopą u żłobów. Leszczyc do komórki od ogrodów zaprowadził Stacha na posłanie i rzekł mu krótko:

— Teraz sobie wypocznij, pomówimy później o naszej sprawie.

Zmęczonemu długą jazdą miło było móc się wyciągnąć na sianie i skórze, oczy przymknąć i snu próbować. Złamany był na ciele, ale w ciągu tych dni, kilka różnych rzeczy zakosztowawszy, pragnął więcej jeszcze, potrzebował się też z pamięcią obrachować i tem, co czuł, a przebył więcej, niż snem pokrzepić. Ochota do czynnego jakiegoś zajęcia przejmowała go, rzeczy się dlań pomyślnie składać zdawały.

Dziwną ten Stach naturę miał, choć lata i przygody znacznie ją już ukołysały i przytarły; gorący nad miarę, gdy sobie w łeb wbił ćwiek jaki, nikt, ani on sam nawet, już mu go z niej dobyć nie mógł. W innych ludziach lata tępią, co przyostre było, chłodzą, co za gorące; w nim się wszystko zdawało zaostrzać jeszcze i rozpalać z latami. Tak dla sprawy księcia Kazimierza nietylko nie obojętniał i nie ociężał, ale coraz stawał się gorliwszym. Zdało mu się, że właśnie teraz przychodziła chwila najpomyślniejsza, aby go na sto-

licę wprowadzić. Cieszył się niepomiernie, że on mały, niewidoczny, pomoże do tego, podbudzi i wahających się napędzi.

Chciał żelazo bić, póki gorące i z młodych korzystać, aby starych popychali. Sam los zdawał się mu sprzyjać, nastręczywszy schronienie u Leszczyca i Bogoryję do pomocy; stąd, jak z ogniska, na wszystkie strony sięgnąć było można.

Z temi myślami, plączącemi mu się po głowie, Stach rozgorączkowany, to się zdrzemywał, to budził, a nie one jednego trapiły marami swemi. Biedny człek, który imienia i przeszłości wyrzec się musiał, nie miał gniazda ni rodziny, niewiast też nie znał, krom takich, z któremi, gdy się jednego dnia zrobi znajomość, drugiego się do nich nie przyznaje.

Piękne liczko Ściborzanki, śmiałej, dumnej, prawdziwej córki rycerza, utkwiło w jego pamięci dziwnie: prześladowało go przez drogę, nie dawało pokoju i teraz. Dziewka dlań była, jakby z innego świata, rodem z niebios czy z piekła, podobnej w swych włóczęgach po świecie nie spotkał nigdzie. Wzrok pogardliwy, lekceważący, nienawistny, jakim na niego rzucała, piekł go dotąd jeszcze, oczów tych zapomnieć nie mógł, widział je zwrócone ku sobie, paliły go, jak dwa węgle rozżarzone, bodły, jak dwa noże, w piersi wbite.

Naprzemiany, to o Kazimierzu swym myśląc, to o tych oczach dwojgu, co nań patrzały z głębi ciemności same, bez twarzy, straszne, Stach wkońcu usnął snem kamiennym. Tysiące obrazów zwiły się w jakiś jeden zamęt straszny i zapadły w mrok nieprzebity. Spał już potem snem śmierci bez marzeń, bez czucia, bez miary i nierychłoby się był może z niego przebudził po znużeniu ciała i ducha, gdyby Żegieć nie począł go targać a ciągnąć, gdyż pod wieczór już było i sługa lękać się począł, czy się panu co złego nie stało.

Stachowi, gdy oczy otworzył, zdało się, jakby ledwie tylko co usnął, spierał się, gdy mu Żegieć przez okno blask zachodzącego słońca za krzakami ukazał. Leszczyc też dawno już wypoczął i był na nogach, czekał

na Stacha, kilku już starszych mając znowu w gościnie. Prędko więc zerwał się rozespany i z pomocą sługi umył i przyodział, aby czasu marno nie tracić. Dziwno mu tylko było, że sen, co miał pokrzepić, gorzej go jeszcze złamał i znużył. Czuł się po nim zbity i osłabły.

Wielka izba, do której wszedł, po wczorajszej w niej ciżbie wydała mu się prawie pustą. Leszczyc jeden chodził po niej, Cholewa i Leliwa siedzieli za stołem, dwu na uboczu w kącie szeptali coś, ławę zająwszy.

Stach począł się tłumaczyć, iż zaspał tak długo, uśmiechano się, nie dziwując. Gospodarz kazał podać jeść, bo sen głodu przysporzył, nie mówiono zrazu tylko o małych sprawach, a jak się wczoraj zabawiano. Dopiero, gdy się służba rozeszła, zostali sami, Leszczyc zagaił.

— Wczoraj rzekliście słowo, pewnie nie na wiatr— odezwał się do Stacha; — utkwiło ono u nas w pamięci. Znacie wy bliżej księcia Kazimierza, niż my? Mówiliście z naprawy czyjej, czy z siebie?

Tu, że się nań wszystkich oczy obróciły i utkwiły w nim, Stach zarumienić się musiał, zmieszał, oczy spuścił, uląkł, czy się czego nie domyślano. Przyznać się nie mógł, kim był, kłamać dobrze nie umiał, musiał się więc wywijać ni tem ni owem.

— Księcia Kazimierza znam dobrze — odezwał się. — Czasu swego byłem u niego na dworze, a choć zdala stałem od osoby pańskiej, toć się zdaleka często lepiej widzi, niż zbliska, gdy oczy są olśnione. Znam go sam przez się i przez ludzi. Zresztą, miłościwi panowie, mało to, że ja go znam, mnie się zda, że go wszyscy znają.

Z całego potomstwa Krzywoustego nie było nad dwu najmłodszych; jak perły w koronie, siedzieli oni w rodzie swym. Nieboszczyk Henryk, złota dusza, rycerz pobożny, który się w ojca wdał, a no Bóg mu długiego nie użyczył żywota i oto ten nasz Kazimierz, co bezdomnym był, jak sierota się tułał, w niewolę był oddany przez braci, a wyszedł z niej i z rąk Niemców, jak

złoto z ognia. Dość powiedzieć, że go nieboszczyk Henryk kochał, to starczy za wiele pochwał, a przyszłoby go zalecać, nie wiedzieć od czego poczynać, na czem kończyć. Teraz tylko dodam, że co mówię, z niczyjej naprawy nie jest, ale z własnego serca.

— O! o! — przerwał Cholewa — coś boście się wy w nim do zbytku może rozmiłowali?

— Ja? — odparł Stach — miły panie, jednego niema, coby, znając go, nie miłował!

Wtm Leliwa, milczący dotąd, ozwał się, kręcąc wąsa:

— Prawda święta, że pan miły, dobry, sprawiedliwy i pobożny, a no tak to dobry pan jest, że go łatwo źli ludzie poprowadzić mogą, kędy zechcą.

— Nie! Zaprawdę nie! — rzekł Stach gorąco; — dobry pan złym się prowadzić nie da, a że go pociągnąć niełatwo mimowoli, najlepszym dowodem, że gdy Jaksa, druh jego, chciał go prowadzić przeciw Kędzierzawemu, jemu i Światosławowi oparł się, odtrącił pokusę i, większego panowania nie pragnąc, przy swojem został. Pamiętał o tem, że go Bolesław wychowywał, że się miłowali, miłości tej został wiernym do śmierci nieboszczyka, który mu umierając opiekę nad żoną i synem przekazał.

Nie odpowiedział Leliwa.

— Kiedy tak — ozwał się Śreniawa, — toć się oni z Mieszkiem Starym też kochają, siedział Kazimierz i przy nim, nie zechce i przeciw temu iść pewnie.

— To pewna — odparł Stach śmiało, — że sam przeciwko bratu nie wystąpi, ale gdy panowie biskupi i ziemianie gwałt mu zadadzą, posłuszny im będzie. Tu nie o niego chodzi, ale o ziemie wszystkie; musi je wziąć, gdyby nie chciał, aby je wybawić od niewoli.

Spojrzeli po sobie starsi w milczeniu, głowami tylko dając znaki potwierdzające. Zeszli się potem do gromady i cicho, długo poczęli szeptać z sobą. Stach na boku pozostał; czuł, że ich przekonał, nie przeciwili się więcej.

Po naradzie przystąpił doń Leszczyc.

— Co wy z sobą myślicie czynić? — zapytał Stacha. — Kietlicz już was ma na oku; czy do domu chcecie jechać, aby zejść od niego?

— Doma ja nie mam co robić — odezwał się Stach. — Koło roli chodzić nie nawykłem, rycerstwem się i dworem porał za młodu, radbym u kogo służbę znalazł, przeciebym się na co zdał. Przy mocnym panu choćby i Kietliczowi zajrzeć w oczy strachubym nie miał.

— Niema dla was chyba ks. Gedko biskup, albo wojewoda Szczepan — rzekł Leszczyc; — od tych was porwać nie będzie śmiał.

— Właśnie gdy mnie związanego prowadzono, widział to pan wojewoda, cośmy go na gościńcu spotkali — rzekł Stach.

— Widział was? — spytano.

— Widział i Kietlicza o mnie pytał i więźniom się przypatrywał długo, ale nie rzekł nic, pomrukiwał coś tylko z pod nosa.

Rozśmiał się Leszczyc, a za nim inni.

— To jego obyczaj! — rzekł. — Z niego niełatwo co kto dobędzie, ale oko ma bystre i pamięć dobrą.

— Szkoda, że wyjechał, poszedłbym doń — dodał Stach.

— Niebawem powróci, sądzę — rzekł Śreniawa, — poza Krakowem teraz długo bawić nie będzie, wie, że tu gorąco u nas i że potrzebny nam a biskupowi.

— Tymczasem też u mnie macie gotową gospodę — dodał Leszczyc; — nie nawijajcie się tylko Kietliczowi na oczy.

Stach ramionami ruszył.

— Miłościwy panie, — odparł — choćby się do mnie uczepić mieli, ja skóry nie pożałuję, bylem się jemu i sprawom jego mógł zbliska przypatrzeć. Kto na zwierzę polować ma ochotę, powinien długo nań wprzód naglądać.

— O! o! ochotę nań macie! — rozśmiał się Leliwa.

— Jak Bóg żyw, ogromną — zawołał Stach. — Toć lepsze, niż polowanie na niedźwiedzia.

Rozmowa się przeciągnęła jeszcze, gdy ten i ów począł Stacha rozpytywać o Kazimierza, o życie jego, o którem on nierad był szeroko rozprawiać, aby się nie zdradzić. Wtem nadciągnął Jaśko Bogoryja, za druhem zatęskniwszy. W progu zaraz się z tem oświadczył, że radby go zabrać z sobą do miasta, bo o zmroku nikt poznać go nie może, a dobrej myśli razem zażyć chciał. Leszczyc przestrzegał, aby na Kietliczowych gdzie nie popadli, ale oba młodzi lekceważyli to sobie. Nie broniono więc im uciechy i, pod ręce się pobrawszy, ze dworku poszli.

Bogoryja w rynku mieszkał gospodą i tam przyjaciela ciągnął. Wieczór był już, ale nie noc jeszcze, lepsze oczy łatwo człowieka poznać mogły, na to jednak nie zważano. Uliczkami mniejszemi, śmiejąc się i gwarząc, ciągnęli ku rynkowi, gdy od strony zamku zatętniało i tuż pokazał się za nimi w kilka koni jadący Kietlicz. Chciał się Stach cofnąć do wrót których, ale już było za późno i wstyd uciekać przed zbójem, szli więc dalej, ufając, że Stacha nie pozna, gdy jadący za Kietliczem nieodstępny Bereza krzyknął:

— Ot że on! ot on!

Kietlicz się odwrócił. Stach z Bogoryją stanęli, a Jaśko zastawił się hardo na przyjaciela.

— To wczorajszy zbieg! ten sam! — wołał, pokazując, Bereza.

Kietlicz na nich natarł z koniem żywo, ale zobaczywszy Bogoryję, którego znał, strzymał się nieco.

— Ot on!—powtarzał natarczywie Bereza — ot on!

Stach, nie chcąc się ukrywać ni zapierać, wystąpił śmiało.

— A! tyś tu! — krzyknął Kietlicz.

— A jam jest! albo co? — zawołał Stach.

— A jakoś to zbiegł wczora? — począł Serb.

— Ja nie zbiegłem, jako żywo — zawołał Stach śmiało. — Stałem w podwórzu zapomniany, aż się rozleźli wszyscy, a mnie samego zostawiono. Cóżem miał czekać? Jechałem do wrót; wszakciby konie z głod

pozdychały. Wrota mi otwarto, nie pytając. Widzicie, żem ani uszedł, ani się skrył.

Kietlicz śmiałością tą zmieszany, zżymając się, burcząc, rzucając, pono nie wiedział, co pocznie, aż Jaśko Bogoryja, ufając w swój ród i znaczenie, krzyknął:

— Znacie mnie, miłościwy panie, otóż ja za niego stawię porękę. Jeśli zawinił w czem, toć go sądzić. Stawi się na sąd i ja z nim i niemało innych przyjaciół, bo on i ja ich mamy. Czego więcej możecie chcieć? Przecie o gardło nie idzie!

— A kto wam rzekł, że nie o gardło? — rozśmiał się dziko Kietlicz. — Albo to trzeba zabić lub gwałt zadać, by być karanym na gardle, a on, ten — wskazał na Stacha — porwał się na mnie!

— Nieprawda!—odezwał się Bogoryja porywczo— wyście się pierwsi na niego porwali!

— Ja! Alem ja tam książęcą ręką był! Co wy się ze mną mierzyć będziecie? — zawołał z gniewem Kietlicz.

— No, to niechaj książę sądzi, czy tam ręka jego była prawa — odparł Bogoryja. — Do sądu ja go sam dostawię i dziesięciu ziemian, jeśli potrzeba!

Kietliczowi brwi się ściągnęły strasznie, wąsa zakąsywał, jak gdy złym był nad miarę. Sąd ten i sprawa licha warta były mu teraz nie na rękę, aby ziemian bez potrzeby nie drażnić, ale od poczętego cofać się nie było sposobu.

— A no, zobaczymy! na sąd! na zamek — krzyknął — niechaj on stanie, stanę i ja, wyrok dadzą!

— A kiedyż się stawić? — zuchwale spytał Stach.

— Jutro! — odparł Kietlicz — na gród jutro, niedalej. Wy — odwrócił się do Bogoryi — wy mi za niego odpowiadacie!

— Odpowiadam i przyjdę sam a przywiodę go. Ma być sąd, niech będzie; zobaczymy, jaka u was sprawiedliwość — rzekł Bogoryja.

Kietliczowi pilno już było odjechać, cisnął okiem krwawem na obu stojących i na Berezę swego, na któ-

rego złym był może, iż mu niepotrzebnego napytał kłopotu.

Tymczasem rozgrzany Bogoryja co prędzej szedł do gospody ze Stachem, aby mieć czas dziesięciu ziemian zebrać na jutro i, jak obiecał, stawić się z nimi do sądu na zamek.

VI.

Wieki stoją mury jedne, ni z nich cegła wypadnie, ni kamień do nich przyrośnie, przeżyją ludzi nieruchome, niezmienione, ale z niemi, jako z gniazdem, w które się co wiosnę inny ptak wnosi. Z nowym panem i gniazdo wygląda zaraz inaczej. Tak do grodu, gdy nowy wnijdzie gość, wszystko się zda zmienione.

Na nowym grodzie wawelskim mało kto co pod te czasy budował, przystawiał i lepił, przecie z każdym nowym panem zdawał się on innym. Mrowił się inny lud, występowało życie odmienne, różne odzywały głosy, inaczej ludzie patrzali na mury i mury na ludzi.

Wiele już razy odmieniał się ów lud od Szczodrego. Za Kędzierzawego roiło się dosyć rycersko i ludno, a luźno nieco, wrzawliwie i niesmutno. Gdy ten zmarł, żonę i synka schorzałego przekazując Kazimierzowi, a Mieszko potem zajechał na stolicę, zaraz się wszystko zmieniło. Pan był wcale inny, do braci swej mało podobny; jeszcze za młodu starym zwany, poważny, surowy, małomówny, stateczny, swoje państwo noszący tak dumnie, jakby na króla był stworzony. Miłości u ludzi nie miał wiele, ale się go obawiali wszyscy, począwszy od żony i dzieci. Spojrzawszy nań, poznał zaraz każdy człowieka, któremu o pozyskanie serc ludzkich niewiele chodziło.

Gdy na stolicę swą wjeżdżał, ziemiaństwo krakowskie, które naówczas na cały kraj najbutniejsze było, zbiegło się go witać z pokłonami. Postrzegli zaraz w pierwszej chwili, że z tym panem nowym niełatwa będzie sprawa. Hołdy przyjmował jako należne sobie,

ale odpłacać za nie ani nic myślał. Rozkazywał, nie troszcząc się, czy miłe będą rozkazy.

Wszystko, co po Kędzierzawym tu zastał, nie w smak mu szło, potrząsał głową, przebąkując:

— U mnie tu inaczej być musi. Rozprzęgło się, nie ścierpię tego!

Gdy rządzić począł, poznano, że nadaremno nie mówił. Duchowieństwo, nawykłe stawać narówni z książęty, wystąpiło śmiało, do boku mu się cisnąc: przyjął je chłodno. Biskupi poczuli, że ich chciał mieć pod sobą, nie przy sobie. Szanował je, ale się z niem nie bratał.

Z Mieszkiem przybywał Kietlicz, którego on z pacholęcia sobie na ślepego wykonawcę sposobił; prowadził go tak po stopniach, próbując, puszczając, strzymując, podnosząc, dając mu coraz szersze pole, aż pewnym go będąc, zrobił zeń prawą rękę. Poczęły się na zamku sądy surowe, bezlitośne napaści na ludzi dokoła.

Ziemianie się ode dworu precz ruszać zaczęli i schodzić z oczów księcia. Myśleli, że weźmie to do serca, aliści nie pokazał, aby go to obeszło. Swoich zastąpił obcymi, ci jeszcze lepiej słuchali.

Na zamku też teraz choć nie było pusto, bo pański i liczny dwór otaczał księcia — cicho wyglądało i grobowo. Mieszek się mało pokazywał, zabawy nie lubił, na łowy jeździł sam, do rozmowy z sobą nie wołał nikogo. Przybył doń który z biskupów, sadził go poczestnie, słuchał obojętnie, zbywał pół słowem. Ani go było rozgniewać, ni zmiękczyć.

Kamiennym go zwali, chciał takim być i nie zmienił się. Skarżono mu się na Kietlicza, słuchał, a potem nagradzał go i wywyższał, a płaczącym odprawę dawał, podniósłszy do góry czoło chmurne.

— Z mojego rozkazania to czynił, nie winien nic; ja tak chcę, tak ma być.

Najwyższym sędzią na grodzie był podówczas człek, co się do dojadania ludziom jakby narodził umyślnie. Zwał się Gabryk Mierzwa. Mówiono jakoby z ubogich

ziemian na Śląsku pochodził. Dali go byli za młodu do szkoły biskupiej, na księdza chcąc kierować, uczył się lepiej od innych, ale dokazywał też lepiej, niż wszyscy i w suknię kleszą odziać go nie było sposobu, bo nim święcenia dostał, dzieci miał w domu kilkoro i babtyle na karku, że go biskup o to chciał wyklinać. Właśnie surowsze były nastały prawa dla duchowieństwa, wzbraniające ożenienia i wszelkiego zgorszenia. Mierzwa wcale na nic nie patrzał. W kości też grał tak, że się do ostatniej koszuli zgrywał, a kiedy pił, to go na rękach potem do łóżka zanosić musiano. Z tem wszystkiem głowę miał taką, że mu żaden duchowny nie sprostał w kanonach, a żaden prawnik w kodeksach i dekretach.

Sumienia w tym człowieku nie było wcale, ale rozumu dostatek i frymarczył nim, aby zań grosz zyskać. Zarobiwszy grosz, jeszcze ciepły w świat puszczał, potrzebował wiele, marnował dużo, więc na wszelaką podłość gotów był, aby tylko zarobić.

Przed księciem Mieczysławem, do którego Kietlicz go pierwszy zalecił, Mierzwa przybierał postawę człowieka surowego, spokojnego, pokornego, jakby postami i wstrzemięźliwością wysuszonego.

Słuszny był Mierzwa, chudy, nieco w lewo pochylony od młodu, bo łopatkę jedną miał niższą, głowę śpiczastą, twarz bladą, wygoloną, po której miał zwyczaj ręką gładzić ciągle, gdy o jakiej wielkiej podłości zamyślał. Oczu nigdy nie pokazywał nikomu, zerkał niemi tak, aby w nie nie mógł zajrzeć nikt. Rozpusta go zniszczyła i zjadła, ale tak jakoś dziwnie, że na anachoretę wyglądał, co mu bardzo było na rękę. Świętego mógł udawać wyśmienicie.

Gdy do zamku na sądy szedł, postawę przybierał mniszą, oczy spuszczał, ręce składał, zginał grzbiet, głowę na piersi zwieszał, litość brała nań patrzeć.

U sądów też, choć ludzi jadł żywcem, zawsze kąsał tak słodko, tak miłosiernie zabijał, tak karał serdecznie, jakby mu dusza się wzdrygała nad wymiarem sprawiedliwości. Nie nazwał nigdy nikogo inaczej, jak

dzieckiem swem, kochaną istotą, bratem, ojcem, ale gdy go ujął w szpony, wyssał ostatnią kropelkę krwi. Czy się tam było kłaniać, prosić, czy bronić, lub gniewac — napróżno, słodki a dobry Mierzwa nie uląkł się, nie zmiękł, westchnął, czasem zapłakał, ale świętej sprawiedliwości domierzył.

Na cztery oczy, gdy go datkiem zmiękczyć usiłowano, udawał zadumanego, nie bronił się, co mu dano do kieszeni, schował, ale nie zmieniało to wcale jego postępowania; darł ze skóry tego, co go przekupił, tak samo lub gorzej, jak tych, co nic nie dali.

Spraw do sądu książęcego było zawsze coniemiara; niekiedy sam Mieczysław siadał je rozstrzygać. Naówczas z innymi urzędnikami dworu stał u boku jego dla parady Mierzwa; częściej się jednak trafiało, że na niego samego spadało rozstrzyganie spraw i wydawanie wyroków.

Obok Mierzwy w drugiej izbie tuż zasiadał skarbny książęcy, który kary pieniężne odbierał od osądzonych, a do pomocy przy nim byli pachołkowie, aby, kto zapłacić nie mógł zaraz, do więzienia pociągnąć.

Całe jedno skrzydło na zamku zajmowały te izby sądowe, do których Mieszko przez kryte chodniki, gdy chciał, miał przystęp. Oprócz tego, izba dlań była tak urządzoną, że mógł z za gęstej kraty drewnianej, okrytej zasłoną, gdy chciał, siadłszy u niej, słuchać, co się na sądach działo i patrzeć na obwinionych. Mierzwa niby nigdy nie wiedział, kiedy miał pana za sobą, ale bystry człek chwytał szelest najmniejszy, lada drgnienie zasłony nie uszło zukosa rzuconego wejrzenia, a miał też ludzi, co skinąć umieli, aby wiedział, gdy książę był przytomny.

Naówczas sędzia stawał się jeszcze troskliwszym, pilniejszym w wymiarze sprawiedliwości, wiedząc, jak do smaku pańskiego przygotować potrawę.

Następnego dnia rano można się było spodziewać sądów i rozpraw ciekawych nad zdobyczą Kietlicza, bo ciemnice i szopy pełne były ludzi, którzy wszyscy stawieni być mieli.

W izbach sądowych wszystko było już wpogotowiu na przyjęcie; wymieciono je i posypano podłogę kosaćcem, bo ludzie zawsze tyle pyłu i błota ponanosili, iż po skończonych sądach kupy śmiecia wyprzątać było potrzeba. Smutne to były izby, niskie, ciemne, ławami dokoła otoczone, a dla zaduchu w nich i przykrej woni drzwi i okiennice ciągle stać musiały otworem. W pierwszej izbie trzymano obwinionych i skarżących się. Tu czasem tłum bywał taki, że się przecisnąć było trudno. Stąd po jednemu, po dwu, gdy świadkowie byli potrzebni, przyprowadzano ich do trybunału.

W samym sądzie wyglądało nieco pokaźniej. W głębi, na przypadek przybycia samego księcia, stało zawsze wysoko na stopniach podniesione siedzenie, obite suknem szkarłatnem, a poza niem ławy dla dworu. Niżej dopiero stała ława z poręczami dla Mierzwy i dla tych, których czasami do boku swego przybierał. Przed nią był stół wielki, a na nim krzyż czarny w pośrodku. Tu składano księgę praw, przynoszoną przez chłopca, i Ewangelję dla przysięgi. Sędzia czasem niby się radził w razach trudniejszych wielkiego owego kodeksu, ale to była gra tylko, gdyż z pamięci tak dobrze kłamał i prawił, jak z księgi. Obok leżały długie zwitki pozszywanego z wąskich pasków pergaminu, na których kleryk chudzina, służący przy zamkowej kaplicy, dekrety znaczniejsze w kilku słowach zapisywał.

Gdy księcia nie było, a sądy się przeciągały, Mierzwa, znużywszy się, wychodził czasami do trzeciej izby skarbnego, do której w rogu wiodły drzwiczki. Tu balasami drewnianemi oddzielony od ludzi, zasiadał człek stary, z siwą rzadką bródką i głową zawsze czarną czapeczką okrytą, z nosem kobuzim, oczkami maleńkiemi, jakby w głowie wyświdrowanemi. Zwał się Joachim, a że imię to niezbyt było powszechne, częściej je na Juchima przerabiano. Ludzie mówili, że skarbny był pochodzenia judzkiego, ale mu z tego nie czyniono winy, ani w głos zadawano, gdyż u księcia był w wielkich łaskach i u niego wszystek pieniądz był pod

kluczem. Podskarbim był Niemir, zacny pan, ale ten pono tylko dla popisu czasem przed księciem stawał z workiem, bo Juchim w rękach trzymał wszystko.

Mówiono też, że skarbny bardzo się był już zbogacił, ale tego po nim wcale widać nie było; chodził ubogo, dominę miał lichą, żył w niej na rygle zamknięty, sam i oprócz księcia, podskarbiego, Kietlicza i Mierzwy, z nikim się nie bratał.

Sam przez się wszystko był zwykł robić, dlatego też na sądy przychodził, aby grzywny do rąk pobierać, nie spuszczając się na nikogo. Z Mierzwą jawnych a ścisłych stosunków nie mieli; prawiono jednak, że po nocach do siebie chadzali i długo jeden u drugiego przesiadywali. Gdy Mierzwa w sądzie się znużył gadaniem, bo mówić musiał wiele, dawał sobie czasem chwilę wypoczynku i wysuwał się do skarbnego. Postrzegali ludzie, iż od niego powracając, twarz zwykle miewał bladą, czasem zarumienioną mocno i usta ocierał rękawem. Domyślano się, iż Juchim nosił pod płaszczem flaszkę dla pokrzepienia siebie, z której po bratersku Mierzwie kapka się jakaś czasem dostała.

W sądzie się wszystko z nader surowym odbywało obrzędem. Gdy Mierzwa przybył na swe miejsce, księgi, kałamarze, pergamin i kleryk także; gdy pierwsza komora wypełniła się ludźmi, oczekującymi lub z więzień posprowadzanymi, Mierzwa naprzód klękał przykładnie, ręce składał i przeżegnawszy się odmawiał modlitwy do Ducha Świętego i *Veni Creator,* przyczem kleryk i pacholę responsoria dawali.

Potem dopiero zasiadał w pośrodku ławy blady mąż, oczyma rzucał wokoło, suknię pociągał, rękawy zarzucał, brodę potarł i dawał znak, że sądy się rozpoczynać miały. Było zaś we zwyczaju, że naprzód powoływano tych, których książę chciał mieć sądzonych, dopiero po nich szli, którzy przynosili żałoby i domagali się sprawiedliwości.

Dnia tego właśnie obłowa Kietlicza, spędzona do pierwszej izby, na powoływanie pokolei oczekiwała. Sam Kietlicz i Bereza, namiestnik jego, jako świadko-

wie, w izbie się sądowej znajdowali. Pierwszy z nich zasiadał na górnej ławie za tronem u ściany, w której była krata przysłonięta, aby Mieszko mógł każdego czasu słuchać przez nią; drugi stał w kącie u drzwi wchodowych.

Kleryk, blady i mizerny, z długą szyją obnażoną, w rogu stołu pilnował oprócz pergaminu i piaskowego zegara, który czas mierzył. Gdy się z niego ostatki dosypywały, przewracał go natychmiast.

Gdy Mierzwa zasiadł, Kietlicz z górnej ławy dał znak.

Stach, przybrany rycersko, z mieczykiem u pasa, dość strojny, hardy a butny, szedł przodem ku stołowi. Tuż za nim stąpał jeszcze wykwintniej przyodziany Jaśko Bogoryja a dziesięciu poręczycieli, chłop w chłopa wszyscy szli ziemianie możni, dzieci żupanów i władyków, podczas na dworach biskupim, wojewody i książęcym nawet bawiący.

Kietliczowi a sędziemu występ ten nie był do smaku i Mierzwa spoglądał niespokojnie ku górnej ławie, jakby tam z oczów pana chciał wyczytać, co ma poczynać, srogim być czy łagodnym, oczyszczać czy plątać?

Dwaj wspólnicy znali się dobrze; zamieniwszy wejrzenie, Mierzwa oczy wnet spuścił na księgę i przybrał postawę człowieka, na którym cięży brzemię wielkie. Ręką swą bladą, kościstą smarował się zwolna po brodzie i twarzy, usta wydymał, głowę pochylał na strony.

Kietlicz, ujrzawszy wchodzących, dał im stanąć przed stołem gromadą całą, ruszył się nieco i, w boki ująwszy, przybrał postać surową.

— Ja tu jestem oskarżycielem — zawołał, — ja przeciw temu! — wskazał na Stacha. — Oto ten jest, który mi, wysłańcowi, urzędnikowi książęcemu, prawej ręce pana, śmiał stawić opór! Tak samo to jest, jakby się książęciu swemu opierał! Sądźcie, jak wielka wina.

Mierzwa siedział zrazu jakby struchlały, twarz su-

rową, z usty zaciśniętemi, około których fałdy wystąpiły głębokie, zwrócił ku Stachowi.

Ten słuchał wcale niezmieszany. Towarzysze jego spoglądali też na Kietlicza, na siebie, na Mierzwę, a trwogi po nich żadnej widać nie było.

Sędzia z Kietliczem znowu ukradkiem poradzili się oczyma.

Sędzia odegrywał rolę swą dobrze, ale skutku ona nie miała; młodzież nie zdawała się go ważyć wielce. Trzeba było przyoblec się powagą wielką i dać płochym młokosom naukę, wrazić poszanowanie. Mierzwa więc otworzył wielką księgę, kilka kart w niej przewrócił, namarszczywszy czoło, zaczytał się, ręką o pergamin uderzył i podniósł głowę.

— Jest-li to prawdą, co prawdą być już musi, bo płynie z ust takich, co się nigdy fałszem nie zmazały— począł powoli, — jest-li to prawdą, może to być, aby ziemianin śmiał się opierać temu, któremu winien służbę i posłuszeństwo? Nie dość na tem, winien mu choćby życie dać w każdej chwili. O grozo! o czasy, o obyczaje! zawołam z mędrcem rzymskim. Mam-li wierzyć uszom moim? oczom zaufać? W jakichże to ciężkich żyjemy latach! Jest to kraj chrześcijański, czy barbarzyński i bezpański?

Stach słuchał, kilku młodzieży śmiało się pocichu.

— Mówcie, proszę, błagam, zaklinam, macie co może na swą obronę? — dodał Mierzwa.

— Innego nie mam nic — odparł Stach — krom, żem chorego starca bronił od napaści. A działo się to nie na krakowskiej dzielnicy księcia naszego, ale w sandomierskiej, kędy panem jest książę Kazimierz.

Tu Mierzwa z podziwieniem szyderskiem się wzdrygnął.

— Co słyszę? — zawołał. — Jest więc na tej oto ziemi dzielnica, na którejby zwierzchnia władza najstarszego pana naszego nie była uznawaną? Cóż to się stało? Rozerwały się więc węzły, które łączą te ziemie wszystkie? Jawnie więc wypowiedziane posłuszeństwo?

— Miłościwy panie — odezwał się Stach wcale nie-

zmieszany, — nie wywódźcie tak przemądrze ze słów moich, czego w nich niema. Nikt nie śmie przeczyć panu Mieczysławowi władzy zwierzchniej, ale ona w cudzej dzielnicy inaczej się sprawia, niż we własnej. Kietlicz sandomierskiego ziemianina, na którego gród naszedł, winien był skarżyć wprzód do jego pana, domagać się nań kary, a nie sam ją domierzać. Mnie ziemianina wiązać i wlec do grodu prawa nie miał.

Kietlicz zerwał się z ławy.

— O zuchwalstwo! — krzyknął. — Otóż prawnik! oto wywody! Ucz-że się, sędzio, praw od ziemian; oni je lepiej od was znają.

Mierzwa oczy sobie zakrył ręką.

— Niestety — zawołał, — do tegośmy przyszli, do tego, iż ziemianie prawa książąt będą rozbierali i sami o nich wyrokowali. Sodoma i Gomora! Książęta a bracia nie mogą się między sobą ułożyć ku wspólnemu zaszczytowi władzy swojej bez zezwolenia ziemian!

Tu na chwilę zamilkł i powiódł oczyma.

— Miłościwy panie, ziemianinie — odezwał się do Stacha. — Serce mi się ściska i boli, iż tak złych zaprawdę, wykrętnych a nieprawnych środków zażywacie na waszą obronę. Mogliście krewkość młodzieńczą, namiętność nierozważną, uniesienie się przemijające stawić na ułagodzenie winy, a wy do praw i kodeksów ściągacie! Wy, którzyście ich ani dotknęli, ani powąchali! Samiście się tem potępili, niestety, ręce mi wiążecie!

Stach nabierał odwagi, a może Jaśko, potrąciwszy go i coś mu poszeptawszy do ucha, nią go natchnął. Odezwał się śmiało:

— Miłościwy sędzio, czym ja co winien, we własnej sprawie trudno mi wyrokować, ale że urzędnik książęcy Kietlicz nie bez grzechu jest, to pewna! Albo to tak ziemiańskie dwory na cudzych dzielnicach najeżdżać wolno, bramy tłuc, wyłamywaniem się grozić, przewód brać, gdy go nie należy, chorego starca straszyć, nieposzanowawszy siwych włosów rycerza, co Krzywoustemu stał u boku? Cóż biedny starzec zawi-

nił, iż go znieważono? Toż nie gwałt? nie przestępstwo?

— Słuchaj, sędzio, słuchaj! — zawołał gniewnie. — Patrz, do czego zuchwalstwo dochodzi! W co ufa ono? Ufacie, żeście ziemianie i ojczyce? Więc wam ma być wszystko wolno, panu przewodu odmawiać, pogoni, strawy i obroku! A co dalej będzie, gdy się tego nie ukarze?

Mierzwa głowę zatopił w ramionach. Milczenie panowało w izbie, gdy w ścianie podle kraty drzwi niewidocznie się uchyliły, zaskrzypiały; ci, co siedzieli, powstawali, popłoch się zrobił wielki. W otwartych drzwiach ukazał się Mieszek. Stał, nie wchodząc jeszcze, izbę mierzył oczyma, najpilniej ową gromadkę młodzieży, a najsurowiej Stacha. Stał tak długo, jakby wzrokiem sobie drogę uścielał, chcąc postrach siać. Potem powoli ruszył się ku siedzeniu na stopniach wywyższonemu i, słowa nie rzekłszy, głową nie skinąwszy tym, co mu bili pokłony, zasiadł, a raczej padł na siedzenie.

Postać to była w istocie strwożyć mogąca, majestatyczna, z twarzą nachmurzoną, bladą, z usty, które się niechętnie otwierały, ale i milcząc groźne były. Wejrzenie oczów przeszywało. W drganiu muskułów twarzy czytać było można, iż gniew tłumiony przynosił z sobą.

Na ramionach płaszcz miał szeroki, spodem suknię szkarłatną, pas złocisty i miecz u boku. Na złotym łańcuchu u piersi wisiał klejnot błyszczący.

Mierzwa, posłyszawszy przybywającego pana, z miejsca swego zszedł nabok i, pod ścianą pochylony krocząc z rękami na piersiach złożonemi, pośpieszył wraz z Kietliczem stanąć za pańskiem siedzeniem.

Przytomność księcia czyniła go sędzią, przy nim ten, co go zastępował, milczeć musiał. Klecha i chłopak od stołu wbok zbiegli, Stach, Bogoryja i poręczyciele znaleźli się niespodzianie przed obliczem książęcym, z którym sprawa stokroć gorszą była jeszcze, niż z wykrętnym Mierzwą.

Mieczysław zwrócił się do Kietlicza naprzód i oczyma mu dał znać, aby obwinienie powtórzył.

Urzędnik, któremu książę nigdy winy żadnej nie przyznawał, ani się go zaparł, śmiało powtórzył, o co Stacha winił.

Nic nie mówiąc, książę patrzał nań długo.

Stach sądząc, że i jemu należy powtórzyć obronę, już ją rozpoczynać miał, gdy Mieszko, po kolanie się uderzywszy, dał mu znak, aby milczał. Podparł się na łokciu i milczał groźny.

— Coś za jeden ?— zapytał.

— Zabor z Przegaju z pod Spicymierza; rycerskom służył — rzekł Stach krótko.

Książę pogardliwie głowę odwrócił ku Kietliczowi.

— Jakiej nań chcesz kary? — zapytał.

Zagadnięty mocno się zawahał, nadto srogim być na ten raz nie chciał, aby na siebie nie oburzać więcej, zbyt łagodnym być nie mógł, wolał się zdać na księcia.

— Wasza miłość niech sądzi, ja nie chcę nic — rzekł z pokłonem.

— Bez kary nie ujdzie! — rzekł książę.

Wtem Jaśko Bogoryja zapragnął przemówić, książę mu ręką pogroził.

— A ty, milcz! — rzekł krótko.

— Skarb potrzebuje grosza — mówił po namyśle, — niech siedemdziesiątą zapłaci!

To rzekłszy, ani już spojrzał na gromadę, wstał, tyłem się do niej obróciwszy, i wnet nazad szedł, Kietlicza prowadząc za sobą.

Kara nie była tak sroga, jak upokarzająca; Bogoryja ramionami dźwignął, chcieli już ruszyć i iść precz, gdy Mierzwa rękami począł wskazywać na drzwi Juchima, skazanemu drogę wyznaczając.

— Tam się płaci — dodał, — tam idźcie! A kto grosza nie ma, idzie gdzie indziej.

Wskazał z uśmiechem drzwi drugie, przy których czatował Bereza z pachołkami.

Nie szło o siedemdziesiąt grzywien, które poręczy-

ciele złożyć mogli między sobą i zapłacić za Stacha byli gotowi: Stachowi wstyd było pożyczać.

Szepnął Bogoryi:

— Postójcie mało, a poczekajcie na mnie, ja się sam ze skarbnym rozprawię.

— Maszże czem? — spytał Bogoryja.

— Dam jakoś rady! — odparł Stach obojętnie.

To rzekłszy, śmiało wszedł do izdebki.

— Siedemdziesiąta! — zawołał głos od progu.

Juchim wpatrywał się w przybyłego, mierzyli się wzajem oczyma. Stach, który dotąd odwagi nie stracił, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, pokonany wejrzeniem bystrem Juchima, mieszać się począł.

Żyd ręką wskazywał na stół, zapraszając do liczenia pieniędzy, na które czekał.

— Miłościwy panie — szepnął głosem stłumionym, — my się bodaj nie pierwszy raz widzimy? Jam już gdzieś was spotykał?

— Nie wiem — odpowiedział Stach, odzyskując odwagę; — gdybyście wy mnie widzieli, pewniebym i ja was zobaczył i nie zapomniał, a nie pamiętam.

— Niechno miłość wasza dobrze sobie tylko przypomni — szydersko trochę dodał skarbny.

— Nie mam na to czasu — odparł Stach, — musimy się rozpłacić.

— Nie pilno mi — rzekł Żyd, — miłość wasza krótką ma pamięć!

— Jaką mi Bóg dał — odpowiedział zagadnięty. — Do sprawy.

— Dziwna rzecz — poprawił Juchim, — ja stary, a przysiągłbym, że was znam i żeśmy nie jeden się raz widywali.

Stach spuścił oczy, naleganie to niepokoiło go.

W istocie przypomniał on sobie Juchima; były to stare młodości dzieje. Skarbny nie miał naówczas jeszcze miejsca przy dworze, dostawano u niego pieniędzy na zastawy; młodzież, co grała w kości, często się u niego zapożyczała. Naówczas dzisiejszy Zabor z Przegaju zwał się jeszcze Stachem z Konar'i brał u Juchi-

ma pieniądze, gdy z księciem Kazimierzem grywali. Długi te wszystkie pospłacane były, ale pamięć ich została Żydowi. Stach, który potrzebował, aby o nim zapomniano, nierad był, że Juchim go poznał i mógł nawet może sobie nazwisko jego prawdziwe przypomnieć. Dziś ono było w ohydzie i wstydzić się go musiał.

Juchim ciągle mu się pilno przypatrywał, uśmiechając się potrosze.

— Panie skarbny — rzekł Stach, usiłując co prędzej z nim skończyć, — kazano mi siedemdziesiątą zapłacić; pieniędzy z sobą nie mam, a choć poręczyciele za mną stoją, Jaśko Bogoryja i inni, nie radbym u nich prosił o pomoc. Wy mi zawierzycie i ja też o wiarę nie proszę.

To mówiąc, dobył z pod kaftana łańcuch złoty, ciężki i piękny i na stole położył.

— Wart on pewnie więcej we dwójnasób, niż te grzywny; chcecie go przyjąć w zastaw?

Niestety, zapomniał był o tem Stach, że ten sam łańcuch przed laty już bywał u Juchima w zastawie, gdy na te nieszczęsne kości grosza było potrzeba.

Juchim pochwycił go w chude palce kościste, popatrzył, poszukał jakiegoś znaku i, znalazłszy go, śmiać się począł.

— Aj aj! — zawołał, — toś to sami dziś znajomi do mnie przychodzą! Ja ten łańcuch znam bardzo dobrze; on w moich rękach już bywał!

Stach się zarumienił.

— Ach! — zawołał, nadrabiając zuchwałością — wszystko to może być. Ten łotr, nicpoń, kostera, zbój, Stach z Konar, mój cioteczny, do którego nawet mówią, że mam być trochę podobny, był właścicielem łańcucha. Jedyny to spadek, jaki po tym łotrze otrzymałem. On ci to go u was zastawiać musiał.

Zdało mu się, że tem kłamstwem się wykręci; Juchim, nic nie dając poznać po sobie, głową potrząsał, łańcuch w rękach ważąc.

— A! a! to był wasz cioteczny! — zawołał. — Cóż się tam z nim stało? Mnie jego było zawsze żal.

— Niema go co żałować! — rzekł Stach żywo. — Przepadło licho, nie wiedzieć gdzie się podział. Powiadają, że zginął z ks. Henrykiem, poszedłszy na jakąś wyprawę. Łańcuch mi przyszedł przez dziesiąte ręce. Ale co my tam o tym łotrze mówić będziemy, mówmy o łańcuchu. Weźcie go na zakład, póki nie wykupię.

Juchim kręcił dziwnie głową, ciągle się bawiąc łańcuchem, zdawał się jakby umyślnie rozmowę przeciągać i męczyć nią Stacha.

— To się mnie nie godzi — rzekł powoli, — ja jestem skarbny, ja muszę dziś pieniądze złożyć księciu, a skąd ja wezmę tak prędko? On łańcucha nie potrzebuje!

Bawił się nim Żyd ciągle, a może i Stachem, na którego z pod brwi spoglądał.

— Wy to nie wiecie — dodał, — kto pieniędzy nie ma, idzie do ciemnicy, dopóki ich nie da. Tak!

Stach oniemiały stał, Juchim nie mówił nic stanowczego, a łańcucha z rąk nie puszczał i przypatrywał mu się ze stron różnych.

— W ciemnicy siedzieć, a jeszcze ziemianinowi i rycerzowi, co do wolności nawykł, to jest zła i paskudna rzecz — dodał Żyd.

— No, w ostateczności przyjaciele moi, którzy czekają na mnie, zapłacą — rzekł Stach, po łańcuch sięgając.

— A gdzie oni czekają? — spytał Żyd.

— W podwórzu...

— A co po nich! Wam, nie dawszy pieniędzy, kroku stąd zrobić nie wolno — mówił Żyd. — Oni tam sobie mogą czekać do jutra, a was tędy (wskazał na drzwi boczne) powiodą prosto do ciemnicy.

Stach pobladł i wstrząsnął się, więzienia się teraz więcej, niż kiedy, obawiał. Juchim łańcuchem ciągle potrząsał.

— To jest bieda — mówił obojętnie, — że ja nie mam pieniędzy. Gdybym miał, założyłbym za was te grzywny, chociaż łańcuch, kto go wie, ja nie powiem, żeby on był wart i tyle? Ja go zaraz dam do złotnika,

aby go piękniejszym i ważniejszym zrobił jeszcze. Trzeba będzie dołożyć złota, kto wie ile? Może on wówczas i dwieście kosztować.

Stach, wzięty na te tortury, zżymał się, chciał łajać, wstrzymał, miarkując, iżby to nie pomogło.

— Obedrzeć mnie chcecie! — zawołał.

Żyd milczał, a potem z westchnieniem jakiemś począł, cedząc słowa:

— Aj! aj! za każdą posługę płacić potrzeba! Lepiejże wam będzie w ciemnicy siedzieć i Bożego światła nie widzieć? Co znaczą te grzywny przeciw wolności, a jeszcze młodemu? Dla nas starych już tylko w nich pociecha...

Jeszcze się wahał Stach, gdy stary tymczasem zadumany, to na niego, to na łańcuch spoglądał i ciągle z sobą walczyć się zdawał. Niezrozumiałe wyrazy jakieś z ust mu się wyrywały.

Czas upływał, a Stach się niecierpliwił.

Wytrzymał go Juchim długo, naostatek z siedzenia wstał i skrzynię otwartą, która przy nim była, począł pilnie na kłódki zamykać; Stach z łańcuchem w ręku czekał.

Nagle dziwny obrót wzięła sprawa, Żyd z uśmiechem jakimś smutnym odwrócił się ku niemu.

— Jakże was zowią? — zapytał.

— Zabor z Przegaju.

— Panku Zaborze — odezwał się Żyd zwolna, — coby to było z wami, żebyście wy tego Stacha nie mieli ciotecznym? Musielibyście albo łańcuch stracić, albo dać grzywien dwieście, albo w ciemnicy siedzieć. A no! idźcie sobie z Bogiem i z łańcuchem! Dla pamięci waszego ciotecznego, ja za was grzywny zapłacę. Oddacie mi je bez lichwy, gdy będziecie mogli. Stach mnie raz w ulicy od motłochu wybawił i życie obronił. Godzi się, abym za niego wam zapłacił.

Stach zarumienił się mocno, przygodę tę dawniejszą jeszcze ledwie sobie teraz przypomniał, skłonił głowę.

— Bóg zapłać! — rzekł.

— Nie był to zły człowiek ten wasz cioteczny, choć wy go łotrem zwiecie.

To mówiąc, Juchim się uśmiechał chytrze.

— Szkoda tego człowieka, że umarł — dodał. — Z niegoby kiedyś urósł mąż słuszny, młodośćby przeszumiała, a co dobrego byłoby zostało.

— I za to dobre słowo Bóg zapłać! — odezwał się Stach, mimowolnie wzruszony mocno.

Skarbny zawołał zaraz na pachołków, stojących za drzwiami, aby więźnia wypuścili, i tak Stach niespodzianie obronną ręką wyszedł z gorącej łaźni. Niemiło mu wszakże było, iż Juchim mógł się w nim prawdziwego Stacha domyślać.

Gdy powrócił do swoich poręczycieli, którzy opodal od dworca w podwórcu nań czekali, na twarzy jego widać było pomieszanie tak wielkie, iż Jaśko Bogoryja zdaleka już począł pytać go, co mu się tam stało.

— A no, jeszcze nic — odparł Stach, który spowiadać się nie chciał. — Stało się lepiej, niżem się mógł spodziewać. Skarbny mi przez osobliwe miłosierdzie jakieś przyobiecał czekać na grzywny bez poręki.

Gdy się to działo w dworcu, do izby skarbnego, który jeszcze swą skrzynię zamkami ubezpieczał, wsunął się Kietlicz.

Gdy wszedł, Juchim podniósł się od skrzyni i stanął z wielkiem uszanowaniem, pokłon mu oddając. Tuż za nim wśliznął się pocichu uśmiechnięty Mierzwa.

— Spodziewam się — odezwał do Kietlicza, — iż z dzisiejszych sądów miłość wasza będzie rada!

Spojrzał ku niemu; Kietlicz miał twarz posępną, skinął tylko obojętnie głową. Juchim milczał, ściągając swe rupiecie do wyjścia. Nikt się już odzywać nie śmiał, czekając, aż nachmurzony pan przemówić raczy.

— Tak, wszystko to dobre — rzekł wkońcu, — ale to początek dopiero; ani księży, ani ziemian jeszcześmy nie nastraszyli i nie złamali. Nie trwożą się, a burzą. Źle mi to jakoś wygląda! Książę w nic wierzyć nie chce, a ja czuję, że oni się już na nas zmawiają.

Mierzwa usta wykrzywiał.

— Co tam zważać na brzęczenie trutniów — rzekł, — ludzie, co gadają wiele, robią mało. A książę Kazimierz woli mieć z jednej strony księdza, z drugiej piękne liczko niewieście, niż moc, z którąby nie wiedział, co robić.

Popatrzali sobie w oczy, Mierzwa pokornie spuścił głowę, zerknął ku Juchimowi, jakby mu chciał dać znak jakiś do porozumienia, pokłonił się Kietliczowi i powoli z izby wyszedł, przybierając postawę, jaką zwykł był dla ludzkiego oka przywdziewać. Kietlicz pozostał sam ze skarbnym, przeszedł się parę razy po izdebce.

— A wy, Juchim, co o tem myślicie? — zapytał, stając przed nim.

— Ja? — rzekł skarbny, — a co ja mam powiedzieć oprócz tego, że wasza miłość, gdy co mówicie, zawsze macie słuszność. Jeżeli się co knuje, pierwsza rzecz jest mieć oko i ucho na Sandomierz. Tam najlepiej poznać można, czy się co gotuje, kto jeździ i posyła...

— No — dodał, zniżając głos — na to potrzeba człowieka, coby dobrze usłużył, a mnie się zdaje, że ja takiego będę miał.

— Ty? — zapytał Kietlicz zdziwiony.

— Nu! Kto to wie! Ja!! — rzekł stary. — Nie jestem pewny, ale mi się coś zdaje...

Tu zatrzymał się trochę.

— Widziała miłość wasza tego ziemianina, co naostatku kazano mu zapłacić grzywny?

— Tego, co mi się opierał? — mruknął Kietlicz.

— On się opierał? — zapytał Juchim. — A no, gorąca krew, to nic nie znaczy. Wie miłość wasza, kto to może być, jak on się zwie?

— Zabor z Przegaju!

— Ach! — rozśmiał się Juchim. — Ja powiadam, że nie jestem pewny, ale mnie się zdaje, że ja go znam. On się tego wypiera, a to jest ten Stach z Konar, co księciu Kazimierzowi dał w twarz, za do go końmi szarpać miano.

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

Kietlicz, słuchając, cofnął się zdumiony mocno.

— Co ci się śni? — zawołał, — skądżeby się wziął? Mówiono, że przepadł bez śladu.

— Ja nie jestem pewny — dodał Żyd, — ale mam dobre oczy i pamięć dobrą, on to jest! A jeżeli on, nie może być, ażeby w sercu przeciw Kazimierzowi jadu nie miał!

— Książę mu darował życie — przerwał Kietlicz.

— A! a! — rzekł Juchim, gładząc włosy — człowiek zawsze ma największą urazę do tego, co go dobrodziejstwem upokorzył. Tego żaden człowiek nie przebaczy. On go musi nienawidzieć, a przez to może nam być przydatny.

Na tem skończyła się głośna rozmowa. Kietlicz i skarbny poszli do kąta i szeptać zaczęli. Przeciągnęło się to dość długo, nareszcie w zgodzie się być zdawali. Kietlicz raźniej izdebkę opuścił, niż wchodził do niej; Juchim zdjął z kołka swój płaszcz, przyodział się i, zaryglowawszy drzwi, wolnym krokiem puścił się ku miastu, starając przejść niepostrzeżonym.

VII.

Pomiędzy Krakowem a Tęczynem stał naówczas do panów z Tęczyna należący dwór, którego dziś śladu i pamięci niema. Zameczek to był chędogi, wzniesiony na skale, którą zwano Panieńską.

Miejsce to pono obrane niegdyś na klasztor, aż gdy Tomek na Tęczynie mury już wznosić począł, tak mu się tu samemu upodobało, iż pobożną myśl zmieniwszy, co dla usług Bożych było przeznaczone, dla samego siebie zatrzymał. Nie wyszło mu to na dobre, bo gdy owe domostwo z ciosu stanęło dlań gotowe i gdy się doń przeniósł, niedługo zażywając w niem rozkoszy, zachorzał i umarł.

Pan to był natury dziwnej, gwałtownej, we wszystkiem, co kochał i co nienawidził, miary nieznający w niczem. Dwóch synów po sobie zostawił i córkę jedną, tę, którą był wydał za Różyca.

Nie wiedzieć dlaczego obu synów, gdy dorastać zaczęli, rychło znienawidził, że ich na oczy nie dopuszczał, córkę zaś tak ukochał, iż jej wszystko było wolno. Z dziecka urosła na samowoli, a była bardzo piękna, ale nikogo, nawet wstydu niewieściego słuchać nie chciała. Owszem, im ją więcej pohamować się starano, szalała na złość gorzej jeszcze. Ojciec pobłażał ukochanej i ślepy był dla niej. Synowie, którzy, widząc życie siostry, sromali się wielce i do ojca ją skarżyli, w tem większą u niego popadli niełaskę.

Dorota, zaledwie z dzieciństwa wyszedłszy, ukochała prostego jakiegoś sokolnika, jawnie z nim wdając się w miłostki, a że inaczej złemu zaradzić nie było można, stary ją wydał za owego Różyca, którego ona ani chciała znać. Małżeństwo nie pomogło nic; mąż musiał mieszkać sam, sokolnik był przy pani nieodstępny.

Bracia, którzy tego cierpieć nie chcieli, ulubieńca siostry, zasadziwszy się nań w lesie, porwali i na dębie obwiesili.

Nie pomogło to nic, nie upamiętała się płocha niewiasta. Mężem pogardzając, poczęła sobie innych gachów szukać, naprzekór braciom, tajemnicy nie czyniąc z tego i najaw występując z nimi. Kraków jej bywał pełen, gdy w kamienicy pod rynkiem takie się działy uczty a swawole, że biskup musiał ją precz z miasta przegonić. Szalała więc na Panieńskiej Skale, a ojciec ni widzieć, ani wiedzieć o tem nie chciał, oczy zamykając — i umierając, owo domostwo z ziemią około niego puścił jej dożywociem.

Bolało to bardzo braci. Po śmierci męża wdowa żywot wiodła, jaki za życia jego poczęła, nie myśląc się uspokoić. Majętności z ojca i matki miała dosyć, młodość kwitnącą, śmiałość męską, więc do niej ludzie, jak na lep ciągnęli i jak oczarowani lgnęli do niej. Zamąż — jak głośno się odzywała — nie chciała iść, aby pana nie mieć, na gachach jej za to nie zbywało.

Kogo zapragnęła sobie ująć, wzięła pewnie, a do-

kazywała srogie rzeczy, iż poczciwym ludziom, słuchając o nich, włosy na głowie powstawały.

Bracia po śmierci ojca odgrażali się na nią coraz gwałtowniej, chciała więc mieć kogoś, coby stawał w jej obronie; naprzód umyśliła sobie przyzwać jednego z książąt, a gdy się to jej nie powiodło, starego wojewodę krakowskiego, Szczepana Pobożanina, który miał żonę i dzieci, a człek był poważny i dotąd stateczny, uwzięła się obałamucić i przyciągnąć.

Dorota pojechała potajemnie do Krakowa, wiedząc, że wojewoda tam podczas był, z tą myślą upartą, iż go mieć musi. Słała do niego, prosząc o rozmowę, jako biedna wdowa, opieki i rady potrzebująca; wojewoda Szczepan udał się do niej, aby skarg na braci wysłuchać.

Piękna niewiasta dnia tego, choć się żałobno odziała, a łzy z pod powiek wymusiła, tak się wystroiła, i umiała mówić a przymilać, jednać, patrzeć, wzdychać, uśmiechać, mrugać, że stary wojewoda, któremu, jak powiadano, napoju jeszcze jakiegoś poddała, ledwie pod noc wyrwać się od niej mógł, nie tyle pijany, co upojony.

I stał się cud, że oto ów dziad milczący, zimny, który nigdy na żadną niewiastę nie spojrzał, jak zielony młokos przystał do wdowy. Drugiego dnia sam już pojechał do jej domu, a trzeciego wybrał się do niej na Skały, i już ludzie dziwowali się a gwarzyli, że go miała, że rzucała nim, jak sama chciała.

Stał się z tego rozgłos wielki, tak, że Gedko, biskup krakowski, widząc zgorszenie jawne, bo stary się ze swoją miłością kryć nawet nie umiał, zwołał do siebie krewniaka a strofował go mocno. Gdy i to nie pomogło, zagroził mu, że będzie-li trwać w grzechu, ile razy do Krakowa wjeżdżać zechce, każe nań w dzwony bić, jak na jawnego złoczyńcę, aż będzie musiał precz.

Uląkł się trochę wojewoda i opamiętał, ale to krótko jakoś trwało. Dorota z obawy, aby jej nie porzucił, z małym dworem przebrana, sama pojechała do niego;

wygnać jej nie śmiał i popadł znowu w dawne zdrożności.

Niewiasta bo była jakby stworzona na pokuszenie ludzkie. Przy najdorodniejszych mężczyznach gdy stanęła, żaden jej i o pół palca nie przerastał głową, a była tak zbudowaną, iż się przez to wielką nie wydawała. Urodę miała nietylko twarzy, ale całego ciała tak przedziwną, iż gdy zwyczajem onego czasu włożyła suknię bardzo obcisłą a szła, ludzie stawali patrzeć, jak na cudo. Przytem i lice było pańskie a królewskie, oko czarne ogromne, nosek orli, usta maleńkie, czoło jak ze słoniowej kości utoczone, włos ciemny, gdy go puściła, do kolan sięgał. A wszystko to niczem było przy kunszcie niewieścim, uczynienia z siebie, co się jej zamarzyło. Mogła godziny jednej być straszną i miłą, wesołą i smutną, jak chciała. Łzy rzęsiste miała zawsze wpogotowiu na zawołanie, a w mowie jej też nikt nie sprostał. Na męstwie nie zbywało jej równie; im trudniejszem co było, tem się chciwiej do tego brała. Z mężczyznami zabawiała się tylko, mieniając ich jako dziecię kukły; jeśli się nawet który więcej podobał, po kilku dniach pewnie pogardliwą dostał odprawę.

Szydziła też ze starego swego wojewody, który, zalecając się młodej wdowie, śmiesznym się stawał, bo córki od niej miał starsze; ale że potrzebowała obrony i opieki, na uwięzi go trzymała.

Bracia, patrząc na to, co Dorota dokazywała, zżymali się i wściekali, ale z wojewodą Szczepanem zadzierać nie chcieli, mając zawsze nadzieję, że na babę zczasem przyjdzie upamiętanie, albo wreszcie znajdzie się dla niej mąż, który płochości jej płaszczem swym pokryje.

Tymczasem po staremu wszystko szło; gdy wojewody nie było, młodzież się w murowance na Skałach zbierała, sprawiano uczty, przybywali grajkowie, rozlegały się pieśni, wino lało wbród i po nocach otwarte okna gorzały tak, że ludzie pobożni, zdala na nie patrząc, żegnali się.

Z różnych jej miłostek przemijających, z których

tajemnicy nie czyniła, najnieszczęśliwszą była jedna, z której się wyśmiewano pocichu. Podtenczas, gdy jeszcze książę Kazimierz w Krakowie przebywał i dosyć płocho czas trawił, choć naprzemiany i mądremi się zajmował rzeczami, zobaczyła go Dorota, naprzód w ulicy idącego, a że młodzian był bardzo piękny, nad którego chyba we wszystkich tych ziemiach urodziwszego nie było, wpadł jej bardzo w oko. Wiedziała też, że od niewiast nie stronił, za co go duchowni strofowali i wkońcu ożenili, aby odwieść od nich.

Rozmiłowała się w nim zdala Dorota, mówiąc sama, że dla tego pana i o sokolnikuby nawet zapomniała. Szukała go, zabiegała, wkońcu znalazła, ale Kazimierz, którego o to pomawiano, że dla niewiast słabym był, dla tej się okazał surowym i obojętnym. Czyniła, co tylko mogła, aby się zbliżyć doń i zjednać go sobie — i ten raz się jej nie powiodło. Żal miała wielki, zapomnieć nie mogła tej porażki.

Choć jej ten Kazimierz w pamięci był, zabawiała się, jako przedtem, a co było w Krakowie i okolicy młodzieży, ziemian i rycerzy, ciągnęło do niej na pląsy, uczty i śpiewy. Czas tam schodził jak najmilej, choć nieraz zazdrośni się pookrwawiali, a niejeden te rozkosze życiem przypłacił.

Starzy ojcowie synom na Skałach bywać zakazywali, matki straszyły dzieci Dorotą, jak wiedźmą, ale utrzymać było trudno; sama ciekawość ciągnęła, wyrostki i mężowie dojrzali, jak w dym, biegli do wdowy.

Dnia tego, gdy Stach szczęśliwie się wyrwał z pod sądu, a Bogoryja z towarzyszami ujęli go w podwórcu zamkowym, poszli naprzód wszyscy w miasto zażywać dobrej myśli, potem zachciało się im psów, sokołów i koni próbować — i puścili się ku Tęczynowi.

Tu zapędziwszy się dość daleko, Bogoryja, który wdowę Dorotę znał dobrze, bo nawet przez dni kilka u niej był w łaskach takich, że się ze Skał nie ruszał i jak w domu się u niej rozgościł, począł drugich nakłaniać, aby jechali do wdowy. Wielu się wzdragało. Stach też, który o niej słyszał, brzydził się płochą nie-

wiastą, ale Jaśko nalegać zaczął, upewniając, że długo tam popasać nie będą; kilku się więc jechać zgodziło, a Stacha tem pobudzili, że mu o zabiegach Doroty około księcia Kazimierza z przypadku opowiadano; skłonił się więc jechać, aby poznać niewiastę, którą za niebezpieczną uważał.

Boczna droga do dworu wiodła pod górę, wijąc się nad urwiskiem, u którego stał on drzewami staremi otoczony,

Dnia tego pusto jakoś było dokoła w domu, nad pospolity zwyczaj cicho. Że droga stroma była bardzo, pozsiadali wszyscy z koni i szli, śmiejąc się, pieszo. Już byli pode dworem, gdy na łące, dębami wkoło obstawionej, które się właśnie świeżym liściem okryły, postrzegli Dorotę, o pień drzewa opartą, siedzącą na ziemi, samą jedną. Głowę miała wtył odrzuconą i patrzała kędyś w błękit niebios, gdzie skowronki, zwijając się, śpiewały. Smutną się wydawała i znużoną. Zdala dziewczęta, uwijające się około domu, czekały, aby je zawołała.

Gdy na dworze ukazał się Bogoryja i dały się słyszeć śmiechy, wdowa popatrzała na przybywających, poznała ich pewnie i chustką, którą miała w ręku, na powitanie powiała.

Stanęli tedy goście przed nią, kłaniając się, a Jaśko, który był wygadany i już tu obyty, wystąpił z przemową. Stacha nie znała, więc go stawiono przed nią, jako Zabora z Przegaju, świeżo ze szpon Kietliczowych uwolnionego.

Milcząca z początku wdowa wstała, twarz rozchmurzając, bo miała to w naturze, że ją nowi ludzie najwięcej zabawiali. Jak dziecko zabawkę nową, chwytała ich, póki, złamawszy rękę lub nogę, precz nie odrzuciła.

Popatrzyła na Stacha, który choć do zbytku młodym nie był, przystojną miał twarz i postawę rycerską, wnet poezęła go pytać o to i owo, i tak wiodła do dworu. Stacha uderzyło to, że choć słuszniejsza wzrostem, śmielsza jeszcze w obejściu, podobną była do Ści-

borzanki. Lecz gdy tamta na nim czyniła wrażenie miłe, ta mu się wydała wstrętliwą.

Obyczajem było na Panieńskiem, że w dolnej izbie wielkiej przyjęcie i stół zawsze były dla gości gotowe. Skinęła tylko na służbę, wnet wniesiono misy i dzbany.

Gospodarzem był stary i siwy Przegala, który ochmistrzował u stołu, wesół zawsze, przepijał, zachęcał i panią zastępował. Człek był mimo siwego włosa śmieszny jakiś, nikt go nie szanował, naśmiewać się z niego było we zwyczaju. Dorota łajała, goście stroili zeń żarty; on to wszystwo znosił, jakby skórę miał łosią i nic przez nią nie czuł. Poszturgano go nawet czasem, na ręce pochwycono, sińce mu się dostały; nie poskarżył się nigdy.

Głodna gromada zaraz się do stołu przysiadła. Izba też owa murowana, z głęboko w ścianach siedzącemi okienkami, z pułapem, który miał misterne belkowanie, chłodna, dość jasna, opatrzona w ławy kryte, posypana zielenią, do wesołego wytchnienia dobrze się nadawała.

Chociaż Stach rad był zdala się trzymać od wdowy i przypatrywać się jej tylko, Dorota nie puściła go, rozpytując się o przeszłe życie, o rodzinę, o niego samego, tak, że gość był jak na mękach, bo kłamać nie lubił, a tu się ni tem, ni owem zasłaniać musiał, aby się nie wydać, kim był. Dowiadywała się, kędy bywał, co robił, kogo znał, a zbywając się ciekawej, Stach przebąknął, że był czas jakiś i na dworze księcia Kazimierza, gdy w zastawie u Rudobrodego siedział.

Zaledwie księcia Kazimierza wspomniał, gdy niewiastę jakby co poruszyło, uczepiła się go mocniej jeszcze, nie odpuszczając od siebie.

— A miłujecie wy księcia Kazimierza? — spytała — boć to pan, za którym, nie wiem, jak mężczyźni, ale niewiasty wszystkie przepadać muszą!

— Mężczyźni go też kochają — rzekł Stach, — bo nie można z nim być, znać go, aby się w nim nie rozmiłować. Niewieściej miłości on nie żądny — dodał, — bo miał jej i ma poddostatkiem.

Dorota, jakby nie słyszała, mówiła dalej:

— O! piękny pan jest, jako żaden, królewską krew w nim czuć!

— I serce też królewskie — dorzucił Stach mimowoli.

— O, ja o nim też wiem wiele — mówiła Dorota, — bo on u mnie w głowie i w sercu oddawna! Albo to nie piękna historja tego Stacha z Konar, niegodziwca, co śmiał go uderzyć, a któremu on tak wspaniale przebaczył!

Stach głowę spuścił, aby skryć nagle uderzającą na twarz krew. Dorota nie przestawała.

— Wyście powiedzieli, że on miłości niewiast nie żądny, a ja wiem, że tak nie jest. Piękne liczko mu miłe! Żonę mu narzucili, mówią, niehożą i niespełna rozumu, miłośnice mieć musi. A czemuby ich nie miał?

— Jako żywo ich nie ma — przerwał Stach, — na dworze o żadnej nie słychać. Więcej tam księży, niż niewiast, a co z księżną Heleną najechało z Rusi, na to się nikt nie połakomi, bo umyślnie dobierali pono, aby zgorszenia nie było.

Dorota się rozśmiała.

— Wy widać nie o wszystkiem dobrze wiecie — dorzuciła śmiało; — ja na pewno wiem, że choć jedną miłośnicę miał i pewno ją jeszcze ma! Mnie on głowę zawracał, ten piękny książę — poczęła z dziwną otwartością; — nie sromam się wyznać, że wolałabym go nad was wszystkich, wielu was jest.

Uśmiechnęła się lekceważąco, dumnie; Stach na nią spojrzał, ciągnęła dalej:

— Był taki czas, żem ja go koniecznie ująć chciała, ale ani patrzeć nie myślał! Zarazem wyrozumiała, że inną krasawicę mieć musi, boby nie oparł się mnie.

Rozśmiała się sucho, przykro, aż po Stachu ciarki przeszły.

— Ja, jak mi co na sercu legnie, nie zaśpię, nie spocznę, aż na swojem postawię! — mówiła Dorota.

Stach, którego to paplanie gniewało już, przerwał umyślnie:

— Pewnie miłość wasza tyleście się dowiedzieli, co i cały świat wie. Nie tajno to nikomu, że książę ma jakąś niewiastę, zdawna sobie upodobaną, że się do niej wykradał, a choć duchowni karcili, nie porzucił jej pono, ale kto ona i gdzie jest i jaka, o tem nie wie nikt, i wy, miłościwa pani, wiedzieć nie możecie.

Dorota głową potrząsnęła.

— Ja pono wiem trochę więcej — dodała dumnie; — przyznam się, żem nie doszła, kto ona niewiasta jest, alem widzieć ją — widziała.

Stach ciekawie a niedowierzająco popatrzał na nią.

— E! e! — syknął nawpół szydersko.

— Nabiedowałam dobrze i przymarłam głodem — ciągnęła dalej wdowa, — a było tak, żem ludzi przekupiła, aby wiedzieć, kiedy książę wyjedzie na te łowy, z których w lasy gdzieś zbiega i znika i po kilka dni go nie widać. Puściłam się śladami w pogoń za nim, a com twarzy i rąk nadarła o krzaki, tom nie czuła wcale, bo w takiej pogoni gdyby i głowę urwało, nie zarazbym się opamiętała.

Wszyscy słuchali ciekawie; Dorota mówiła ciągle niezmieszana:

— Otóżem ich złapała we dwoje, w chacie na lasach; stałam na czatach, aż póki się nie rozjechali. Gdy ruszyła, ja w pogoń za nią. W głuchej puszczy, gdy konia już pędzić nie mogła, spotkałyśmy się oko w oko. Hoża dziewka a śmiała! Spojrzała na mnie, grożąc oszczepem... Myślę, że ubiłaby mnie, gdybym, popatrzywszy, nie dała jej ujść, bo pocóż gnać ją było? Chciałam tylko wiedzieć, która z nas piękniejsza? — dokończyła i, nagle zmieniając rozmowę, poczęła cale inną, zwracając się do Bogoryi i towarzyszów:

— Cóż u was słychać w Krakowie? Kochacie bardzo Mieszka? hę? dobry pan? nieprawdaż? Widziałam go raz, dobrze go Starym nazwali; pewnie młodym nigdy nie był! Wygląda, jak niedźwiedź, gdy go z barłogu ruszą, broda mu się rozczochrana do góry zadziera, a usta ma, jakby ćwiekiem zabite! Hę! dobry pan!

— Cóż myślicie z nim żyć? — plotła prędko i ży-

wo. — Nie babska to rzecz, kto tam rozkazuje i rządzi, ale nawet niewieście wstyd pomyśleć, że on wam na łbach kołki ciesze, a wy stoicie, jak trusie. E! e! z mężów się teraz baby stały, zobaczycie, wkrótce z nas się mężowie porobią! Za Szczodrego się ziemiaństwo nie dało, za Władka też nie pozwolili sobie oczów łupić bezkarnie, a no teraz Kietlicze z wami robią, co chcą!

Stach usta zaciął; prawiła mu do smaku, ale że baby nie lubił od pierwszego wejrzenia, potakiwać jej nie chciał.

Jaśko Bogoryja, stojący blisko, wysłuchawszy, co mówiła, skinął ku niej.

— Nie od rzeczy mówicie — odezwał się; — ale kto co poczynać chce, zawczasu nie trąbi z wieży! Jak do was pan wojewoda Szczepan przyjedzie, z którym wy czynicie, co chcecie, jemu o tem szepnijcie... Oni we dwu z księdzem biskupem więcej mogą, niż nas stu.

Na wspomnienie o wojewodzie, Dorota uśmiechnęła się inaczej; brwi się jej namarszczyły, cisnęła na Bogoryję liśćmi, które trzymała w ręku.

— Co ty mnie wojewodą oczy będziesz wypiekał? — odezwała się. — Myślisz, że ja się tego starego dziada wstydzę, iż się wypieram, iż go na powrozie trzymam, a choć biskup go za mnie wyklina, ja odczyniam śmiechem klątwy biskupie. Ej! ej! toć to moja pociecha! Co za dziw, że młodzi szaleją za mną? Suche takie próchno przegniłe rozgrzać, to nie każda potrafi!

— Wojewoda? — dodała, — o wilku prawisz, tylko co nie widać, dlategoście mnie zastali samą i zasępioną Dziad mnie nudzi, a do śmiechu zazdrosny jest; samby rad być i wszystkich ode mnie poprzepędzać.

Obejrzała się dokoła.

— Byle go oznajmili — rzekła, — i wy się sobie wynoście; nie chcę, aby mi się sierdził, a bez niego panom braci się nie oprę.

— Pójdziemy i my sami — przerwał Bogoryja. — Zagadajcież wojewodzie o królewiczu Kazimierzu, a no

baczcie, bo jak poczuje, że wam on miły, to go do Krakowa nie wprowadzi.

— A wy mnie nie uczcie! — odparła Dorota, — będę ja wiedziała, jak mówić z nim.

Zamyśliła się piękna gospodyni i na chwilę umilkła.

Poważniejsza nieco rozmowa, niedługo potrwawszy, wprędce się na żarty i zaloty, śmiałe do zbytku, zamieniła, ale Dorota tego dnia serca do nich nie miała, myślą była gdzie indziej, spoglądała oknami na drogę ku Krakowu, niepokoiła się widocznie, a goście, co się trochę rozruszali, wzrokiem jej i mową onieśmieleni, stygli i milkli.

Stach byłby się dawno wyrwał z tej niemiłej gościny, która mu wcale nie smakowała, ale nowy człek więcej miał jeszcze od innych łaski, nie puszczano go, a z nim i drugich i dotrwać musiał aż nadbiegł stary Przegała, oznajmując, iż wojewodę na gościńcu ujrzano. Znakiem to było dla młodzieży, aby się chyłkiem wynosiła.

Bogoryja, pożartowawszy z wdowy wesoło, wziął odprawę i obiecał swoich ludzi poprowadzić tak, aby się z Pobożaninem nie spotkali. Wdowa, słuchając tej obietnicy, ramionami ruszyła, jakby jej to było obojętnem.

Jeszcze Jaśko z towarzyszami ledwie był na bocznej drożynie za wrotami, gdy spostrzegli mały i skromny orszak, gościńcem pocichu i jakby ostrożnie podążający ku dziedzińcowi. Stawał on i rozpatrywał się a przysłuchiwał; wysłano człeka na zwiady. Wojewoda, który zawsze conajmniej po kilkadziesiąt koni z sobą prowadzał, miał ich teraz tylko kilka, ale skromny swój zwykły ubiór powszedni na bardzo pyszny i okazały strój zamienił. Wjeżdżając już we wrota, jeszcze jakby obawiał się być spostrzeżonym, oczyma naprzód powiódł po dziedzińcu ku dworowi, ale nie znalazłszy ani koni, ani ludzi, ani zwykłej tu wrzawy, raźniej pode drzwi podjechał. Widać było samą panią, która na spotkanie jego wychodziła.

Stary aż nadto żwawo na swój wiek, udając mło-

dego, spuścił się z konia i podbiegł ku wdowie. Z nią razem znikli, wchodząc do sieni.

Widocznem było z niespokojnych ruchów i twarzy Pobożanina, że się sromał tego, co czynił, a wiodła go namiętność silniejsza nad srom i postanowienia, nad groźby i przestrogi biskupie.

W izbie strojnej, pełnej woni i barw, w półmroku zlewających się w mozaikę różnokolorową, piękna wdowa rzuciła się na pozłociste krzesło, poduszkami wysłane miękkiemi, siadła w postawie wyzywającej i zalotnej, a wojewodzie wskazała wygodną ławę, którą on zajął uśmiechnięty, usiłując się jak najbardziej do niej przybliżyć.

— A królowko ty moja! — zawołał głosem drżącym — tęskniłem-że ja, tęsknił za tobą! A tu się ani wyrwać! Biskup bez miłosierdzia klątwą straszy. Przecie i drudzy nie lepsi ode mnie, choć starzy i żonaci, duchowni i świeccy, któryż z nich jakiego kochania nie ma? A mnie biskup karci i smaga dlatego, że na widoku stoję. Od klątwy ledwie się wypraszam!

Wdowa nie zdawała się bardzo zabawiać tą rozmową, patrzała na wojewodę i uśmiechała się niepoczciwie, szydersko.

— Przecież — dodała — biskup was potrzebować musi i nie obejdzie się, jeśli z księciem chce rozpocząć sprawę.

Wojewoda zamilkł nagle, jakby przestraszony.

— Jaką sprawę? — zawołał. — Skąd wy o tem wiecie?

Wdowa wykrzywiła usteczka.

— Nie chcecie przede mną prawdy powiedzieć, bom niewiasta długowłosa i długojęzyczna. Mniejsza o to! Wiem przecie dobrze, iż ziemianie nie radzi z Mieszka, a więcej jeszcze z Kietlicza.

— To nie tajemnica dla nikogo — odparł wojewoda; — przecie próbować potrzeba, nie tykając księcia, Kietlicza wygnać. Tak ci było z Sieciechem i z Dobkiem; gdyby wczas go odegnali, nie poszedłby Władysław precz.

— Wyście tchórze i ludzie miękkich serc — przerwała Dorota; — jeśli wam Mieszek dobry, niech na barkach siedzi; Kietlicza nie stanie, znajdzie się drugi. Wyrwiecie babie pomiotło, to weźmie kociubę, baby się zbyć trzeba, aby koniec był.

Pobożanin, zamyślony w frasobliwej zadumie, nierychło mówić począł.

— Biskup — rzekł — musi użyć naprzód wszelkich środków do upamiętania księcia, nim wyrzecze słowo ostatnie, które zważy.

Dorota nie dała mu dokończyć.

— E! słowo! słowo! Co tu po słowach? — rozśmiała się lekceważąco. — Weźcie za miecze i tarcze, one tu potrzebniejsze od gróźb i napomnień biskupich. A co pomogło, gdy gnieźnieński Wodzisława wyklinał? Macie pod bokiem księcia Kazimierza, z którymby wam było jak najlepiej, a wolicie starego tego cierpieć.

Na wspomnienie Kazimierza wojewoda niespokojnie z siedzenia się ruszył.

— Najmilsza królowko moja — zawołał czule, — jam do was przybył zapomnieć o wszystkiem, upoić się wami, a wy mnie książętami karmicie, których ja mam dosyta, i nędzą moją powszednią! Dajcież bo mi lepiej w oczy wasze popatrzeć i... — wojewodzie plątał się język.

Rozmiłowany drżący starzec tak był śmiesznym, gdy powagę swą na młodzieńczą swawolę chciał mieniać, iż Dorota mu się w oczy rozśmiała.

— E! stary ty grzybie — przerwała mu nagle, — młodości ci się zachciewa! Biedaku ty! Nie wraca ona, nie wraca!

Twarz wojewody, który bliskim był gniewu, okryła się purpurą, ale dość wdowie było spojrzenia nań, aby nie chcąc go przywodzić do rozpaczy, zmieniła ton natychmiast. Białą rączką pogłaskała po zmarszczonej twarzy i, tem trochę ułagodziwszy, klasnęła w ręce.

Dwoje dziewcząt z długiemi kosami, w białych obcisłych sukienkach, w wiankach różanych na głowach, wbiegło na próg.

— Hej, żywo, grzanego wina dla pana!

Był to środek, którego zwykle używała Dorota, aby się trochę jego pieszczot i umizgów pozbyła. Wniesiono zaraz dzban pozłocisty i kubki, sama nalała mu po brzegi. Wzdrygnął się zrazu, bo znał napój zdradliwy.

— Dla miłości i dla rozkazania mojego musicie pić! — zawołała i sama mu do ust, śmiejąc się, kubek przyłożyła.

Patrząc w jej oczy, rad nie rad wojewoda pić musiał. Wnet Dorota, unikając czulszych rozmów, zagadnęła o sprawy poważne.

— Nie myślcie — rzekła, — że ja darmo się tak troszczę, co się z Mieszkiem stanie. Rozumiecie to, że bracia, którzy czyhają na mnie i nienawidzą, radziby mnie pochwycić i zamknąć, u Mieszka służą, jemu dworują i z Kietliczem na mnie zmowy czynią. Jeżeli Mieszko rządzić będzie, mnie chyba w świat przyjdzie uciekać!

Wojewoda się porwał gwałtownie.

— Do tego nie dopuszczę! — zawołał. — Gdyby, uchowaj Boże, targnąć się i porwać was śmieli, z wojskiembym na Tęczyn poszedł i zdobył go, aby was uwolnić!

— I nimbyście go zdobyli, braciaby mnie udusić dali! — odparła Dorota. — Niema co czekać, panie wojewodo, chce się wam ze mną spokojnie siedzieć i zalecać się, myślcie zawczasu o Mieszku i o Kietliczu. Muszą oni precz iść!

To mówiąc, staremu drugi kubek nalała, a że się opierał, znowu podała mu go do ust ręką własną, gładząc drugą po twarzy.

— A no, pijcie! — rzekła, swawolnie nóżką tupiąc. — Nie wiecie chyba, że wino was odmładza, rumieni się zaraz twarz, oczy poblyskują, zarazeście inni! Pij, miły wojewodo, pij!

Oczarowany starzec chciał ją wpół ująć ręką, ale mu się zręcznie wyśliznęła. Musiał naprzód spełnić kubek, po którym, gdy go wino grzane a korzenne

rozmarzać zaczęło, pochylił się na poręcz ławy i westchnął. Czuł, że mu ono nie dodawało sił, a odejmowało.

Dorota siadła opodal trochę, dała znak, z drugiej izby ode drzwi ozwała się pieśń dziewcząt, która miała doreszty rozmarzyć starego gacha. Była już teraz uspokojoną, że zbyt natarczywym nie będzie.

Trzeci kubek rozpaczliwie sam już wychylił za zdrowie gospodyni i tak w nią patrząc nieruchomy, przykuty do ławy, pozostał z oczyma osłupiałemi.

VIII.

W rozwartem oknie biskupiego dworu w Krakowie, w jednej z izb jego przedniejszych, której ściany ciemnem obiciem były pokryte i zawieszone godłami pobożnemi, stał mąż lat średnich, z twarzą posępną, zadumany. Chociażby nie miał na sobie duchownego stroju, krzyża złocistego na piersiach i ogromnego pierścienia na palcu, choćby miejsce, w którem się znajdował, nie kazało się domyślać jednego z najwyższych dostojników — z postawy i twarzy wszędzie w nim łatwo było poznać człowieka wielkiego rodu, ciężkie brzemię dźwigającego na ramionach.

Twarz to była już długiemi laty jak wyrzeźbiona do infuły, usta nawykłe do błogosławieństwa i nauczania, rzekłbyś, jedna z tych głów Cezarów rzymskich, w twardym kamieniu wyrzezana, co się wiekom oparła, świadcząc, jakiego majestatu panowie ziemią dawniej władali. Czoło wysokie, jak kopuła świątyni, siwiejącemi włosy, gdyby wieńcem opasane, mimo zmarszczek, które myśli na niem poorały, wypogodzone było siłą woli. Z pod niego patrzało oczu dwoje wielkich, jasnych, niezamglonych, choć barwy lazurowej i razem łagodnych. Usta, około których pofałdowała się twarz pełna, wyraz miały zgodny z wejrzeniem, namaszczone były dobrocią razem i ukrzepione siłą. Całość przedstawiała piękne, harmonijne oblicze,

choć ze śladów pozostałych na niem widać było, że się ono ogniem i potęgą wielką zmienić mogło w groźne i nieubłagane.

Cała postać odpowiadała wspaniałej głowie, a była krzepką, silną, pełną, choć nierozrosłą zbytecznie. Pół kapłana, pół rycerza, coś królewskiego w nim było, a więcej nad wszystko spokoju i majestatu, jakie daje poczucie własnej potęgi.

Był to Gedko Gryf, biskup krakowski, po gnieźnieńskim metropolicie pierwszy w kościele dostojnik, a ze stanowiska swego przy głównej państwa stolicy, u boku najwyższego księcia, często większego wpływu i znaczenia na losy kraju od samego arcybiskupa.

Gedko nie od dziś w rozmyślaniu pędził godziny swe i w rozterce z sobą. Wiedział on, co się działo: na Kietlicza wykrzykiwano, odgrażano się na księcia, zjazdy po zjazdach się mnożyły; w Krakowie, po gródkach, tu i owdzie już coraz głośniej przebąkiwano, że Kazimierz lepszymby był, że potrwa-li Mieczysław, swoboda i prawa ziemian za niego przepadną. Duchowieństwu też zagrażała samowola księcia, bo nie tajnem było, iż Mieszko się i na biskupów odgrażał, że ich do posłuszeństwa przywiedzie. Trzeba ratować było kraj od zamieszania i samowoli.

Biskup dnia tego wysłał był właśnie po wojewodę Szczepana, który mu powinowatym był i we wszystkiem szedł za nim. Gedko znaj jego nieszczęśliwe miłostki i oburzał się na nie, ale bez Szczepana obejść się nie mógł. Postanowił więc razem zagrozić mu i przywieść do upamiętania, a naradzić się, co czynić przystało, aby się uciskowi oprzeć i praw swych bronić.

Wysłany w świat za wojewodą dworzanin biskupi, Samko, pojechał był, języka dostawszy, do dworu wojewody, o mil kilka od Krakowa ku górom położonego. Zastał tam orszak jego, dwór i kilkuset ludzi, leżących obozem; powiedziano mu zrazu, że Pobożanin chory był, że widzieć go podczas nie mógł, ale sprawny Samko rychło się dorozumiał, iż wojewody na dworze nie

było, a kędy go szukać miał, o tem mu powiadać nie potrzebowano.

Miłostki wojewodzińskie, o których już raz dzwony krakowskie z rozkazu biskupiego głosiły, nikomu nie były tajne; namyślał się więc krótko Samko, co miał czynić i że sprawa ważną była, ruszył zaraz nazad na Panicńskie skały. Tu przybywszy i ludzi wojewody znalazłszy, mocno ich zmieszał tem, że biskupi poseł na gorącym ich złapał uczynku.

Koniuszy Pobożanina, wierny jego sługa, nieodstępny, który mu wszędzie towarzyszył, natychmiast do dworu pobiegł oznajmić panu.

— A niech idzie nawskroś ziemi! — krzyknął w uniesieniu wojewoda, — niech przepada! Ubij go, rób z nim, co chcesz, a mnie tu nie było i niema. Słyszysz! Zapakuj mu gębę złotem, aby milczał. Niema mnie tu... nie było; niech idzie precz do kulawego szatana, szpieg ten niegodziwy! Kto mu o mnie powiedział? Kto zdradził, bodaj go pioruny paliły! Ja jutro do biskupa przybędę!

Koniuszy chciał coś odpowiedzieć, gdy wojewoda dodał pośpiesznie:

— Daj mu, co sam chcesz! Łańcuch z szyi, kiesę moją całą, aby mi przed biskupem milczał. Mnie tu niema! niema! nie było nigdy. Niech mi się stąd wynosi!

Tak odprawiony koniuszy pobiegł posłuszny pańską sprawę naprawiać, lecz stała źle. Samko, dworzanin biskupa, przyjąć nic nie chciał, milczeć obiecywał, ale się domagał, aby wojewoda zaraz z nim jechał do Krakowa.

Gdy koniuszy z tem do starego pana powrócił, wyszła doń razem z wojewodą Dorota, rozsierdziwszy się mocno, jak to jej było łatwo. Wnet wojewodzie kazała podawać płaszcz, miecz przypasać, konia podprowadzić, aby, nie mieszkając, jechał.

Stary gniewał się, opierał, modlił, prosząc do jutrzejszego ranka — nie pomogło nic, Dorota rozkazy-

wała, słuchać musiał. Co się tam przekleństw posypało pocichu, zliczyć nie można.

Kazano na kilkoro stai jechać przodem posłańcowi biskupiemu, a otrzeźwiony już wojewoda, rad nie rad konia dosiadł i, kazawszy się przez las i wąwozy wieść przy łuczywach w ręku, nie pożegnany prawie ruszył nocą już ku Krakowu.

Nadciągnęła nawałnica, pioruny zaczynały trzaskać w okoliczne drzewa, gdy po utrapionej tej wędrówce nocnej wojewoda stanął na dworcu biskupim.

Było późno, ale się u Gedki jeszcze świeciło, bo czekał na wojewodę, modlił się i sen go nie brał. Właśnie kończył pacierze, gdy mu oznajmiono Szczepana.

Wyszedł kapłan z surową twarzą przeciwko niemu, ale że obcy ludzie byli przytomni w pierwszej izbie, rękę dał do pocałowania i, nic nie mówiąc, powiódł przybyłego za sobą.

Wojewoda szedł, czując winę swoją, gotując się na wyrzuty, upokorzony, milczący, zawstydzony, gdyż wiedział, że Gedko się domyśli, skąd go ściągnięto. Choćby mu nikt nie powiedział o tem, gdzie znaleziono starego, ze zdradzieckiej twarzy starca byłby odgadł winę!

Zamknęły się drzwi za nimi. Gedko odwrócił się do krewniaka, stojącego w pokornej postawie, popatrzył nań i poruszył głową.

— Szczepanie mój — odezwał się, ręce załamując, — będziesz-że ty wiecznie zakamieniałym grzesznikiem?

Wojewoda podniósł głowę milczący.

— Widzę z twarzy twej, na której się poczciwsze od ciebie odbiło sumienie, że znowu popadłeś w sidła wszetecznicy! Miłościwy Boże! Policz-że się z latami, rachuj z sumieniem, rozum powołaj, patrz na dostojeństwo, które ci w ręce dano — a godziż się to? a godzi?

Szczepan bełkotał:

— Ojcze mój! ale cóż... cóż się stało?

— Ja o niczem nie wiem — rzekł Gedko, — ale ty

się sam obwiniasz! Nie masz wejrzenia i twarzy człowieka, co staje z czystem sumieniem.

Biskup załamywał ręce. Wojewoda po spotniałem czole powiódł dłonią drżącą, jakby z niego zetrzeć chciał ślady myśli i westchnął głęboko, bijąc się w piersi.

— Bracie kochany — mówił Gedko, — ty i ja stoimy na straży poczciwości ziemi tej; cóż będzie, gdy ta straż sama jawnie grzeszną się staje? gdy sól ziemi tej zwietrzeje? Małym jest grzech jeden, ale jak plugawy robak mnoży się on w tysiące. Nie swój tylko grzech, ale zrodzone z niego mieć będziesz na swem sumieniu, a ja wasze wszystkie, jeżeli im pobłażę.

Powietrze to, którem na biskupstwie oddychał, zdało się wpływać na niego; wojewoda upokorzony ciągle się bił w piersi i stękał.

— Ojcze mój! — wyjęknął — winienem, ale obiecuję poprawę.

— Nie dosyć jej chcieć — zawołał biskup, — trzeba na nią pracować. Znasz słabość swą, uciekaj od tego, co ją sprowadza. Nie idź tam, gdzie upadasz! Bracie mój, bracie! — dodał coraz silniej — ty mi zakrwawiasz serce, ja cię kocham, a muszę ci być sędzią i katem, bobym z tobą winę dzielił. Gdy nic nie pomoże, świecę wezmę i rzucę i wyklnę cię, do kościoła nie puszczę, z miasta znowu wydzwonię.

Wojewoda po rękach go całował.

— Ojczulku — rzekł, — nie będę! Niech licho porwie tego szatana-niewiastę. Urok rzuciła na mnie... Przysięgam ci, sromam się, płaczę, a siła jej nieczysta wlecze mnie.

Biskup krzyż zrobił nad pochyloną jego głową

— Zbierzcie myśli — mówił po chwili, — bo nie o tobie i nie o płochych sprawach twych mówić mamy, ale o tem, co nad wszystko waży. Na nas teraz leży wszystko. Książę Mieszko słucha Kietlicza, obcego człeka, lekceważy sobie ziemian i rycerzy swych, ufa w siły cudze. Mało tego, wczora na zamku, gdy mu zausznik doniósł, że biskupi i duchowni na zajazdy

majętności swoich się uskarżają, rzekł, co kapelan słyszał:

— Biskupów tak potrafię obuzdać, jako innych: poddani moi są!

— Ani ja chcę wierzyć temu — mówił biskup dalej, — aby ze krwi świątobliwego Krzywousta miał powstać taki wyrodek, któryby zbrodnią, na pomazańcu Bożym spełnioną, się pokalał, a jednak wcześnie radzić potrzeba! Od ziemian się gwałty poczynają, na nas skończą.

Przeszedł się Gedko po izbie; wojewoda stał z rękami założonemi.

— Czyżbyśmy już byli zmuszeni o innym panu myśleć? — szepnął nieśmiało.

— Chyba, gdy już żadnego innego nie będzie ratunku — odrzekł biskup. — Póki nadzieja w Bogu, na wojnę domową hasła lekko dawać się nie godzi. Mieszko jeszcze opamiętać się może.

— Podżegacza oddalić trzeba — rzekł wojewoda.

— Ziemianie — ciągnął dalej Gedko — już, za gorąco biorąc krzywdy swoje, o Kazimierzu przebąkują; wzięli się żywo do popierania go na stolicę. Znam ci i ja tego dobrego, pobożnego, czcigodnego księcia, który najwyższej władzy jest godzien, ale anim pewny, czy ją przyjmie, bo dwakroć odmawiał, ani wiem, czy godzi się go obarczać tem brzemieniem.

— Cóż więc myślicie? — zapytał wojewoda.

— Chcę wyczerpać środki wszelkie — rzekł biskup. — Nie oddalajcie się ani na chwilę stąd, bo i dzień jeden wiele dziś stanowić może. Wstrzymujcie ziemian waszych, aby nierozważnych kroków nie czynili; stójcie przy mnie, potrzebuję was. Zrozpaczym-li o Mieszku — niech się dzieje wola Boża. Pismo święte powiada: godzi się, aby jeden człowiek ginął, gdy przezeń lud ma być wybawiony. A tu i nie o los ludu idzie, ale o władzę Rzymu najwyższą i o prawa tej ziemi naszej. Jeśli to wszystko dla jednego ma przepadać człowieka... ocalić musimy prawa, choćby przyszło go skazać!

Słuchał, nie odzywając się wojewoda, przybity widocznie.

— Na zamku dawno nie bywałem — rzekł Gedko; — wiem, że tam na mnie kosem okiem patrzą; ale jutro na sądy pojadę, jako pasterz tej owczarni obowiązek mój spełnię.

Tu biskup zawahał się nieco.

— Wy bądźcie wpogotowiu stawać w mojej obronie, jeślibym jej potrzebował. Wnosząc z tego, co od zamku zawiewa, groźno tam dla mnie być może. Nie ulęknę się przecież, ale chcę, byście wy wpogotowiu stali i gwałtu jakiego nie dopuścili.

— Na jakiż gwał ważyć się mogą? — zapytał Pobożanin, przejęty i nastraszony, zbliżając się do biskupa.

— Na wszelaki — odparł Gedko spokojnie. — Alboż Szczodry nie zarąbał u ołtarza poprzednika mojego, a ten mi nie jest przykładem, co w zaślepieniu stać się może?

Wojewoda wzdrygnął się, zaprzeczając:

— A, nie! To być nie może!

Wysłuchał go biskup niestrwożony.

— Chcesz posłyszeć, co na zamku śpiewają? — zapytał. — Będziesz miał sprawę.

Uderzył w dłonie i wszedł kleryk, który w drugiej izbie czekał.

— Ojca Siegfrieda proście do mnie, boć do snu pewnie się nie udał jeszcze.

Kleryk wyszedł pośpiesznie, a po krótkiej chwili zjawił się mężczyzna młody, blady, w długiej sukni czarnej, przyklęknął przed biskupem i w rękę go pocałował.

— Ojcze Siegfriedzie — odezwał się Gedko, — powiedzcie, coście na zamku słyszeli. Nie tajono się z tem przed wami, nie podsłuchiwaliście, chciano, aby o tem wiadomość doszła do mnie. Mów!

Kapłan, chwilę pomyślawszy, rzekł głosem stłumionym.

— Kietlicz począł naprzód oskarżać o spiski zie-

mian, potem duchownych, że z nimi są we współce. Otwarcie wymienił imię pasterza naszego, dowodząc, że nietylko u ziemian, ale i na biskupstwie już mowa jest i zmowa, aby powołać księcia Kazimierza. Książę się począł śmiać z tego i szydził. A gdy Kietlicz ponownie dowodzić usiłował, iż duchowni wszyscy rękę do tego przyłożą pewnie, bo się na gwałty i zajeżdżanie majętności żalą — książę rzekł:

— Biskupów tak posadzam do ciemnic, albo precz z kraju wyżenę, jak i prostych ludzi. Niech ołtarza pilnują i Boga chwalą, a w moje sprawy się im mieszać — wara! Pierwszy ksiądz Gedko pójdzie na wygnanie; niech się w Rzymie skarży, znajdę ja na to sposoby, aby posłuchanym nie był. Na jego miejsce powołam takiego, co mnie słuchać będzie. Nieposłuszny, choćby najwyżej siedział, ściągnę go z wyżyny i zgniotę, a na dostojeństwo zważać nie będę!

Gedko spojrzał na wojewodę, który znów ręce załamał.

— Idź, ojcze Siegfriedzie, na spoczynek — dodał biskup, — chciałem, abyś mi był świadkiem. Niech ludzie wiedzą, co nam zgotowano.

Gdy ksiądz wyszedł, Szczepan się długo na słowo zebrać nie mógł.

— A wy, ojcze — rzekł wreszcie, — jeszcze się czego po Mieszku spodziewacie?

— Tak, dziecko moje, bo znam, jak wielka przestrzeń dzieli słowo od czynu. Rzecze się słowo płoche łatwo, gdy gniew oczy zaciągnie, ale porwać się ręką — nielacno. Zadrży ręka i serce.

— Słuchaj więc — kończył biskup. — Bądź ty przygotowanym i ludzi miej na pogotowiu; zobaczymy, co czynić mamy. Nie upamięta się Mieszko, Bóg miłosierny przebaczy, musimy nastąpić nań — i niech padnie! — dodał głosem uroczystym — niech tak padnie, jako padł Szczodry i brat Mieszków, Władysław — niech padnie!

Temi wielką groźbą brzemiennemi słowy pożegnał

wojewodę, a gdy ten go w rękę całował, błogosławiąc go, szepnął jeszcze:

— Bracie, bracie! Uczyń, jakoś obiecał, kajaj się, popraw, nie chcesz-li mieć nieprzyjaciela we mnie!

Miasto już całe spało, gdy Szczepan z biskupiego dworca powracał na swój wojewodziński dla spoczynku. Potrzebował go wiele starzec utrapiony i złamany przygodami dnia tego.

Droga najbliższa wiodła pod dworek Leszczyca, około którego tuż przejeżdżać było potrzeba. Dnia tego, choć świeżo burza sroga przeszła była nad Krakowem, zabawiano się w gościnnym domku, jak niedawno, ale zgromadzenie mniej było liczne i spokojniejsze daleko. A że deszcz niewiele powietrze ochłodził, okiennice wszystkie pootwierano, część nawet gości przed dworem stała w dziedzińcu, aby świeżem powietrzem odetchnąć.

Wojewoda chciał się przesunąć mimo niepostrzeżony, gdy stary Leszczyc, który po nocy miał dobre oczy, poznawszy go, aż do konia pobiegł z pokłonem. Ziemianie wszyscy lubili wojewodę, choć milczący był i nie zalecał się im bardzo. Przebaczano mu słabości jego, wiedząc, że sprawę ziemiańską na sercu miał i był zawsze gorliwym jej obrońcą.

Za Leszczycem pobiegli ku niemu i inni, tak, że wojewoda mimowoli zatrzymać się musiał, aby na powitanie odpowiedzieć.

— Wojewoda nasz! — ozwał się stary Cholewa — a to nam z nieba spadłeś; głowę tracimy! Część nocy i tak ci już przepadła; zleź-że miłościwie ku nam z tej szkapy a uspokój...

— Wstąpcie, prosimy! — wołał Leszczyc natarczywie.

Opierać się nie było sposobu. Ziemianie byli poważni ludzie, starszyzna sama. Zsiadł więc i wszyscy za nim wtoczyli się do izby, otaczając go kołem.

— Nie wiecie o niczem? — odezwał się Leszczyc. — Dzisiejszego dnia dwu naszych ziemian pochwycił Kietlicz i pod błahym pozorem zasadził do ciemnicy,

aby nam tylko grozy napędzić. Jednemu z nich, co się śmielej odzywał, gardłem grożą, drugiemu wygnaniem.

— Cóż za wina? — zapytał wojewoda.

— Jeden pono zdala na gościńcu na Kietlicza pięścią pogroził, a drugi mu w pomoc przyszedł ze słowem. Sługa ten Mieszkowy, nie ojczyc tuteczny a przybłęda, i on tu nad nami panem, sędzią i sprawcą ma być?!

— Jacyż to ziemianie?

— Janek Lubicz i Matek Zadora.

Wojewoda zakłopotany ruszył ramiony i głową.

— Chodził kto za nimi? — spytał.

— Niema po co! Daremne upokorzenia i pokłony — przerwał Leszczyc; — dosyć nam już tego, trzeba myśleć o sobie. Bez pana żyć nie możemy, a z tym nie wytrwać. Trzeba o tem myśleć.

Wszyscy spojrzeli po sobie, odwagi dodając oczyma. Wojewoda rękę podniósł i położył ją na ustach.

— Nie śpieszcie-no się, nie śpieszcie! — rzekł cicho; — powracam od Gedki, cierpliwość nakazuje. On sam jutro na zamku będzie i nie napróżno jedzie. Słowo powie, które zaważy.

— Darmo — rzekł inny z gości, — u nas już postanowiono; z Mieszkiem niema co i mówić, poślemy do Kazimierza, aby go wybadać.

— A tak — dodał Leszczyc, — wypadałoby posłać znacznego człowieka, ale zaraz podpatrzą i przewąchają. Musimy tymczasem potajemnie i ostrożnie poczynać. Mamy takiego małego człeczka z dużą głową, co się do Sandomierza ofiaruje jechać. Sam on nie dostąpi do księcia, a przez drugich przygotuje, aby się nam nie opierał.

Wtem jeden ze starszych odwrócił się, odszedł kroków parę i z drugiej izby Stacha przyprowadził. Wojewoda, który bliżej go nie znał, choć po świecie spotykał, ciekawie nań począł patrzeć.

— Nie śpieszcie zbytnio, czekajcie! — przebąknął; — przed niewodem ryb łowić nie trzeba.

— Ale! ale! — zawołał Cholewa — i ja zrazu tak

radziłem, do tego jednak doszło, że już nóż mamy na gardle. Dosyć tego pana i jego sługi! precz z nimi!

Szczepan wojewoda, jak był małomówny, szczególniej gdzie ludzi dużo widział, na to gwałtowne wyrzeczenie ramiona tylko ściągnął i ku Stachowi się obrócił.

— Księcia Kazimierza znasz? — spytał.

— On mnie niebardzo, ja jego doskonale — odezwał się Stach śmiało. — Ze wszystkich synów nieboszczyka króla, Henryk i on, to były dwie perły najpiękniejsze. On nam jeden został, równego jemu niema i po długie wieki nie będzie. Szkołę sieroctwa i nieszczęścia przechodził, bezdomny był, w niewoli się męczył, a świętym z niej powrócił. Ten nam panować powinien, a nie inny!

Mówił Stach z takim zapałem, iż we wszystkich przelał uniesienie swoje. Widząc to, bił dalej gorące żelazo.

— Dosyć nam spojrzeć — kończył, — aby z nim majestat, do którego był przeznaczony, poznać i uszanować. Krzywousty to żywy, aliści piękniejszy od ojca, powaga z dobrocią, majestat z łaskawością w nim, cześć sprawiedliwości wielka. Nie sięgnie on po swobodę niczyją, nie będzie nam innym, tylko ojcem rodzonym. On nam powinien panować! On! Sam Pan Bóg tego chce, gdy Mieszka powiódł na manowce, aby tamtemu drogę otworzył!

Wojewoda uląkł się i zmieszał, uszy sobie zasłonił.

— Na Boga, ciszej! — odezwał się — nie budźcie śpiącego licha.

A do Leszczyca się obracając, dodał:

— Ma-li jechać ten człek, niech się strzyma, póki ks. biskup nie powie.

— Biskup — przerwał Cholewa, — jako ojciec duchowny, z pewnością nie chce zguby grzesznego, a upamiętania. Może próbować mądrych środków, my, prości ludzie, wiemy, że się już tu niema czego spodziewać, ani czekać na co... Niechaj jedzie lepiej dziś, niżeli jutro.

— Natychmiast — powtórzyli inni, — aby książę miał czas się przygotować...

Stach już był wdział ubiór do podróży, zawinął się więc z pokłonami tym, co go wysyłali, raźno a wesoło, bo mu aż serce biło, że księciu mógł czemś usłużyć. On to pierwszy przez Bogoryję nastręczył się do tego poselstwa. Wprawdzie sam na oczy księciu nasuwać się nie mógł i nie chciał, ale na dworze, jako Zabór z Przegaju, miał siła znajomych, szczególniej rachując na prawą rękę Kazimierza, Goworka, którego dobrze znał i był przezeń lubiony. Do niego więc chciał nieść poselstwo tajemne.

Jeszcze wojewoda usiłował go wstrzymywać i hamować ziemian zapalonych, gdy Stach, obawiając się, aby mu do pożądanej nie przeszkodzono podróży, wyrwał się z izby, wybiegł w podwórze i, koni dopadłszy, korzystając z ciemności, natychmiast wyruszył z wiernym Żegciem i dwoma ludźmi do posługi.

Po burzy niebo się było prawie całkiem wyjaśniło, przebiegały po niem tylko chmurki lekkie, a z za nich dziwnie silnem, jakby obmytem świeżo światłem, płonęły gwiazdy iskrzące. Miasto jeszcze spało, a na przedmieściach, gdzie panował wiejski obyczaj, już ku dniowi po chatach budzili się ludzie ubodzy i światełka u nich płonęły.

Stach, Żegieć i czeladź znali doskonale miejskie uliczki i drogi, wiodące do gościńca, ku któremu się dostać chcieli. Przesuwali się bezpiecznie pomiędzy płotami, nikogo nie spotykając i już ostatnie chaty w ogrodach pominęli, gdy Żegieć, pod niebo już się rozjaśniające spojrzawszy, zamruczał:

— A no, paneczku, patrzcie, tam jacyś konni stoją na drodze!

Było to miejsce, gdzie się zarośla i pojedyńcze drzewa nad gościńcem tak uszykowały, że je łacno zdala bodaj za ludzi wziąć było można.

Stach się rozśmiał.

— U stracha wielkie oczy. Co ci w głowie? — rzekł. — Krzaki stoją nade drogą.

— A no się ruszają — odparł Żegieć.
— Bo wiatr gałęźmi miota.
— Wiatru ani czuć.
— Bośmy tu zakryci — rzekł Stach.
— A no, ludzie! — powtórzył Żegieć.
— Drzewa! — uparł się Stach.

Podjeżdżali tak ku temu strachowi, puściwszy konie kłusem, gdy niespodzianie wcale nagle coś z krzaków ruszyło się i, nim Stach się miał czas wziąć do miecza, ujrzał się ściśniętym przez zbrojnych, z których jeden, przypadłszy doń, za piersi go pochwycił. Drugi ręce mu porwał i wtył wykręcił. Zbliska poznać mógł jednookiego Berezę.

Żegieć próbował się bronić, drudzy też oszczepami wywijali, ale na czterech ludzi było kilkudziesięciu, którzy tak nagle nacisnęli, że i mieczów z pochew dostać nie było podobna. Bereza jeszcze pałką okutą płatnął Stacha po łbie i byłby go ranił ciężko, gdyby nie trafiła na żelazne obręcze.

Obrona była niepodobieństwem; Bereza i jego ludzie pochwyconych, poobalanych rozbrajali, łykami już pętając. Stach wrzaskiem wielkim zrazu bronił się jeszcze napaści zbójeckiej, ale nikt go tu słyszeć nie mógł, a wśród nocy nie ważyłby się biec na pomoc. Ogłuszony Stach, ranny Żegieć, powiązana czeladź nie opamiętali się jeszcze, co się z nimi działo, gdy już nazad do miasta, bocznemi drożynami wlec ich poczęto.

Jawnem było, iż Stacha wyprawę ktoś zdradził i że nań tam czekała zasadzka. Kto ją postawił, domyśleć się było łatwo. Kietlicz zręczny miał swoich wszędzie, szczególniej między służbą, bo czeladź nie wszystka rycerstwu i ziemianom sprzyjała.

Postrzegł zaraz pochwycony, że go ku zamkowi prowadzono. We wrotach dał Bereza znak, aby go puszczono, wjechali w podwórze pocichu, skręcono wbok ku szopom i tu ściągniętego z konia Stacha osobno do więzienia wepchnięto, czeladź jego gdzie indziej uprowadziwszy.

Izba, do której go wtrącono, miała wysoko w ścia-

nie małe okienko, zaparte okiennicą i kratą drewnianą, trochę słomy wyleżanej w kącie, dzbanek napół rozbity i drzwi okute, które za nim drągiem ogromnym zawalono.

Na pytania i odgróżki Bereza śmiechem tylko odpowiadał, ręce zacierając.

Nie szło Stachowi o siebie; nigdy on odwagi nie stracił, biedził się tem, że poselstwo przepadło, a ci, co go wysłali, wiedzieć nawet nie będą, co się z nim stało

Jęknął zbiedzony i, głowę potłuczoną na ręku sparłszy, gotował się na wszelki los, jaki mógł mu być zgotowany.

IX.

Na zamku wyznaczone były dnie posłuchania i sądów, czasu których nie Mierzwa, ale prastarym obyczajem sam książę zasiadał, jako najwyższy sędzia, wydając wyroki. W dni te tych szczególniej dopuszczano, którzy nie obwinieni byli, ale sami z żałobą przychodzili, domagając się sprawiedliwości.

Mieszko wymierzał ją zawsze bardzo surowo; przecież wyrokom tym nic zadać nie było można, chyba, że Mierzwa i skarbny pilnowali, aby przy każdym dla książęcego skarbu ściągnąć grzywny sądowe jak największe.

Bywały sprawy, które książę sobie przywłaszczał, a duchowni za swe uważali, rodziły się o to spory i książęta radzi byli sądy swe czynić jak najgłośniejszemi, pociągali do nich, by groźną władzę duchownych uszczuplić.

Mieszek też tego przywileju wymierzania sprawiedliwości tem bardziej strzegł, im bardziej pragnął wielką potęgę duchowieństwa ukrócić.

Dnia tego, nazajutrz po rozmowie wojewody z biskupem Gedką, przypadały królewskie sądy. Odbywały się one z okazałością wielką.

Książę zasiadł w izbie na ten cel wyznaczonej i przybranej, na krześle, szkarłatem obitem, w czapce

złocistej, z mieczem przy boku, otoczony cały swym dworem. Do pomocy mu tylko znajdować się musiał Mierzwa, który stał za innymi dostojnikami, mało tutaj znacząc i będąc widocznym.

Mieszek miał w tym dniu, jak zawsze, gdy się ukazywał publicznie, twarz surową, którą zarost bujny, długa do góry poddarta broda ciemna, włosy czarne, brwi rozrosłe i namarszczone czyniły groźniejszą jeszcze. Strój jego wspaniały był i wytworny. Za nim tuż, choć nie noszący urzędownie tego tytułu, ale pospolicie już Palatynem zwany, stał Kietlicz, którego grubej i przysadzistej postaci strój rycerski i łańcuch niewiele dodawały wdzięku.

Inni też urzędnicy dworu otaczali księcia kołem; kanclerz, osoba duchowna, stary prałat Balwin z Brzezia, marszałek pański ze złocistą laską w ręku, podkomorzowie, radni książęcy, dworzanie, służba.

Na dni te wszyscy przywdziewali stroje odświętne i oznaki swoich urzędów; miecznik trzymał ogromny miecz w pochwie nabijanej z pasem, obwiniętym koło niej, znamię sprawiedliwości, inny tarczę książęcą i t. p.

Cisnęło się na te posłuchania wiele ciekawego ludu, któremu przystępu nie wzbraniano, aby mógł oglądać oblicze pańskie i sprawom się przypatrzeć. Drzwi stały otworem, a straże książęce nie odpędzały nikogo, chyba, gdy tłok stawał się zbyt wielki.

Sądy rozpoczęły się od wczesnego ranka, na żałobach nie zbywało, Mieszko sam odzywał się mało, za siebie rozkazując Mierzwie dawać pytania, słuchając odpowiedzi, wkońcu za poradą z przybocznymi sam wyrok ogłaszając.

Kilka już spraw z dość surową poszło odprawą i zapłakanych ludzi straże wypychały, gdy Kietlicz, stojący u tronu, spojrzawszy ku wrotom oknem otwartem, zobaczył coś i niespokojny pochylił się do ucha pańskiego, szepcząc głosem napół szyderskim, pół złośliwym:

— Jego miłość, ksiądz biskup Gedko na sądy też przybywa.

Książę zdziwiony, z brwią namarszczoną mocniej jeszcze, spojrzał na mówiącego, jakby pytał, co to miało znaczyć. Było w tem bowiem coś niezwyczajnego. Biskup, jak inni, wiedział o dniu sądów książęcych, nie mógł więc przybyć, chyba z jaką żałobą. Rzecz to znowu była nieprawdopodobna, bo duchowni sprawy ich się tyczące sądzili sami.

Mieszko, jak zawsze był panem siebie, tak i teraz nie okazał po sobie nic, choć go to niepokoiło. Sprawa tylko, którą powołać miano, wstrzymaną została. Zwyczajem było, iż książę naprzeciw pasterza do progu wychodził, tym razem Mieszek, nie poruszając się, pozostał na siedzeniu swojem.

Gedko przybywał z uroczystym występem, ubrany w szaty odświętne, w płaszczyku złocistym na ramionach, jaki naówczas biskupi nosili, niesiono przed nim krzyż, towarzyszyli mu prałaci i dwór okazały. U drzwi biskup się zatrzymał, jakby oczekując należnego powitania; książę wstał tylko z tronu, ale się do wnijścia nie ruszył. Na twarzy Gedki przebiegł rumieniec doznanej obrazy, nie wstrzymało go to jednak od wnijścia i żywo sam zbliżył się do księcia, obok którego było jego miejsce.

Wspaniała postać biskupa, z wyniosłem i pogodnem czołem, nabrała jeszcze majestatu od uczucia godności dotkniętej. Szedł zwolna, a gdy Mieszek z pewną niechęcią, zmuszony schylił się, w pierścień go całując, Gedko odezwał się doń głosem spokojnym, ale w którym czuć było siłę pewną siebie.

— Miłościwy książę, choć na twych sądach ja nie mam co czynić, tylko im błogosławić, pozwólcie, abym się pocieszył ich widokiem i wymiarem sprawiedliwości. Najpiękniejszy to przywilej monarchów być szafarzami tego, co najdroższe na ziemi.

Mieszek nic nie odpowiedział; można było z twarzy dwu mocarzy tych wyczytać jakby wzajemne wypowiedzenie wojny. Biskupa odtrącić nie było sposobu, książę skinął na dwór. Niespodziane przybycie Gedki wymagało, aby mu obok książęcego narówni z nim

przygotowano siedzenie drugie. Choć niechętnie, musiano to spełnić; przyniesiono siedzenie okryte z drugiej izby i postawiono je przy Mieczysławowem. Biskup czekał, stojąc, a książę też siadać nie mógł. Zapaśnicy mierzyli się oczyma.

Już to samo, że biskup w oczach ludu i dworu tuż obok księcia miał zająć miejsce, oznaczające, że z nim dzielił władzę, dumnego Mieszka poruszało do głębi.

Gedko, choć czuł dobrze, iż nie był tu pożądanym gościem, nie zmienił oblicza pogodnego, zasiadł należne sobie krzesło, które służba coprędzej ustawiła. Książę zasiadł, widocznie uchylając się od biskupa i zwracając w inną stronę.

Jak przy Mieszku dwór jego, tak obok Gedki stanął krycyfer z krzyżem, który tu zastępował miecznika, bo władzy duchownej orężem było to znamię; dalej prałaci, dwór, prawie tak mnogi i wspaniały, jak książęcy.

Gdy się uciszyło, ludzie u drzwi stojący wołać zaczęli, czyby kogo nie było z żałobą, aby występował. Ujrzano naówczas niewiastę lat średnich, odzianą, jak naówczas ubogie ziemianki się nosiły, w odzieży ani nazbyt starej, ni nadto okazałej, z namitką białą na głowie, w płaszczy na piersiach spiętym. Twarz jej zżółkła, poorana zmarszczkami, oczy od łez zaczerwienione, wyraz ust zbolały obudzały litość. Tuż za nią szedł człek młody, dosyć pokaźno przystrojony, twarzy butnej, zuchwałego spojrzenia, w krótkiej sukni wełnianej, pasem nabijanym ujętej, w spodniach obcisłych i miękkich chodakach, przy mieczyku, z włosami długiemi, rozrzuconemi na ramiona. Twarz niewiele o nim dobrego powiadała; choć młoda jeszcze, już jakby życiem sterana wyglądała, pofałdowana, niespokojna, krzywił usta, mrużył oczyma, drgały mu muskuły niespokojnie. Piamy czerwone i blizny szpeciły go też niemało.

Za nim szło aż pięciu ludzi wystraszonych, w siermiążkach prostych, bez koszul, w chodakach dziurawych, z włosy krótko ostrzyżonemi. Niektórzy kije

pstre mieli w rękach. Łatwo w nich było poznać parobków od pługów, albo też pastuchów, świeżo od trzody tu przypędzonych.

Ludzie ci, zobaczywszy przed sobą dwór świetny i pana na majestacie, strwożeni, ledwie kilka kroków podszedłszy, popadali na kolana, głowy pochylili ku ziemi i nierychło wstać się ośmielili na znak, który im dano.

Staruszka niewiasta, patrząc na biskupa, to na księcia, zdawała się być w niepewności, do kogo zanieść ma skargi. Wahała się jeszcze, gdy Mieszek, obawiając się snać, aby do biskupa się nie zwróciła, sam powołał ją, rozkazując bliżej przystąpić i opowiadać, czego chciała.

— Miłościwy książę a panie — poczęła niewiasta ze zwykłą płci swej i wiekowi gadatliwością nieporządną — miłościwy panie! Jestem wdowa strapiona i nieszczęśliwa, którą ostatniego mienia i chleba pozbawiono! Miłościwy książę, mąż mój nieboszczyk służył i zasłużył się panom swym, zwali go Błażkiem, był koniuszym przy zamku. Człek był poczciwy a pracowity. Nieboszczyk książę dał nam ziemię, pola i łąki, gdzie i dworek postawił nieboszczyk. Nakupił potem owiec, a te się nam z łaski Bożej rozmnożyły, miałam stadko ich piękne (tu łzy otarła), a! z niego całe było utrzymanie moje.

Płacz i szlochanie na chwilę jej odjęły mowę.

— A! ja, nieszczęśliwa sierota! — mówiła dalej wśród łkania, które ciągle głos tamowało. — Gdy wspomnę, serce mi się kraje! Miałam mleko i ser na sprzedaż i wełnę. Było się czem okryć i czem pożywić i jaką odrobinę schować na złą godzinę. A! ja nieszczęśliwa sierota! Co ja teraz pocznę wyzuta ze wszystkiego!

Płacz znowu Błażkowej mowę stłumił, a Mieszek rzekł:

— Mówcież, kto was o szkodę przyprawił?

Niewiasta, jakby przemówić jeszcze nie mogła wskazała ręką na stojących ztyłu parobków.

— A! oto ci niegodni słudzy. Syn mój do dozoru ich przyjął. Dobrze dozorowali! Łajdaczyli się gdzieś, czy spali, dosyć, że wilcy, z lasu wyszedłszy, jak się do stada wnęcili, jak zaczęli łasić, tak mi prawie nic nie zostało. Barany, owce, jagnięta — poszło wszystko biedactwo na głodne zęby! A! ja nieszczęśliwa sierota, już mi chyba przyjdzie z głodu umierać.

Zaniosła się biedna niewiasta płaczem wielkim, a książę, który sprawę tę wziął tem goręcej do serca, że miał tak dostojnego świadka swych sądów, odezwał się:

— Któryż jest synem twoim?

Wdowa Błażkowa zwróciła się, wskazując na młodzieńca, który, pokłon oddawszy księciu, dosyć śmiało, ale głosem zachrypłym rzekł:

— A to ja jestem, miłościwy książę, ja, Tymek Berdów, ja.

Wskazał palcem na pierś swoją.

— Ja syn sługi twej, miłościwy *królu!*

Tytuł ten nie czynił wstrętu Mieszkowi, choć do niego prawa nie miał i nie nosił go.

— A gdzież są ci najemnicy? — zapytał.

Między parobkami, którzy spojrzeli po sobie i łokciami się trącać poczęli, stało się zamieszanie chwilowe i jakby za przyzwoleniem ich ogólnem starszy jeden z kijem w ręku, u którego uwiązana wisiała mała flaszeczka, wystąpił naprzód i gwałtownie rzucił się na kolana, wskazując towarzyszów.

— Miłościwy królu, to my: Łupa — ja, Zgonina — oto ten, Bajda, Chromek i Brechun.

Wstawszy, Łupa począł szybko a frasobliwie, targając krótkie włosy:

— A to nas winią, a to skarżą, a no i my tu przyszli do miłosierdzia pańskiego, my Łupa, Bajda ta i wszyscy. Jak się pan nie zmiłuje a Bóg, to któż? Ginąć przyjdzie.

Pozostali za Łupą stojący potwierdzili, co za nich prawił.

— Jakże to było? Prawcie śmiało — odezwał się książę.

Łupa począł śmielej, potarłszy głowy:

— A no, jak było, Bóg najjaśniejszy świadek, że prawdę mówimy, i że oto jak było. Choćby krzyż całować przyszło, my wszyscy gotowi, a choćby na żelazo i wodę. My nie jesteśmy ludzie niewolni, ale swoboda i najemnicy. Tak oto ten Tymek Berdów — wskazał na młodzieńca, który się niecierpliwie poruszył — oto ten, ale proszę miłości waszej, jako żywo on nie jest syn wdowy Błażkowej, ale pasierb, tak pasierb.

Odwrócił się, powołując do swoich, którzy mu głowami, coś pomrukując, świadczyli. Ani wdowa, ani Tymek nie zaprzeczali.

— Ten Tymek — mówił dalej pastuch — najął nas, mnie Łupę, Bajdę i Zgoninę, potem Chromka i Brechuna naostatku.

— A no, tak — potwierdził, kłaniając się, Brechun.

— Najęli nas — ciągnął Łupa, — najęli, trzoda była duża, roboty koło niej strach! Wszystkich razem pędzić nie było można, a tu w szkodę zapuścić wara, tam łęgi pozatykane, nie można, a tu od lasu i zwierza pilnować, a od moczarów odganiać. Wilcy w trzodzie szkody nie robili... Kto nas trzody pozbawił! e! e!

Tu odwrócił się i na Tymka palcem wskazał.

— Ot, kto! ot! Jemu tylko aby polować a polować z psiskami, a sobaki złe, że co napadną, bywało rozszarpią. Wpadli raz na trzodę, jak nie poczną się znęcać, my z kijami. Gdzie zaś! i nam się dostało. Tymek, nadbiegłszy, jak wziął nas okładać, ażebyście mi milczeli, żebyście nie gadali na psy, pamiętajcie! Powiecie, że wilki w trzodzie szkodę zrobiły, nie, to stłukę na miazgę.

— Cóż my, proszę miłości waszej, mieli robić? Przyszło pędzić do obory, niema liku, wdowa w płacz a na nas wymyśla. — Taki to z was dozór, darmozjady, a ja was za co karmię moim chlebem, a wy tacy, owacy... Co było robić, musieliśmy milczeć! Drugiego dnia, jak się psiarstwo zaprawiło na owcach, gdzie! ani

go wstrzymać. Poczęli dusić znowu. Bieda! strach! gwałt! my na nich z kijami. — A żebyście się nie ważyli moich psów tykać — woła Tymek, — ani na psy skarżyć, bo żywi nie ujdziecie.

Gdy Łupa rozpowiadał tak szeroko, Tymek już ledwie się mógł utrzymać.

— Miłościwy królu! — zawołał — to są wierutne łajdaki i kłamcy... spali a nie pilnowali, wilcy trzodę wydusili, teraz na moje psy składają. To zbóje i nicponie, bez czci i wiary poganie, których słowom ani przysiędze wierzyć nie trzeba. Nie tak było, kłamstwo wszystko. Ja ze psy mojemi wilki ścigałem, odganiałem, a oni, ufając w to, pokładli się na brzuchach i spali i wilczyska trzodę całą wymordowały.

Odwrócił się do Łupy.

— Będziesz ty mi łgał!

Łupa do księcia, milcząc, ręce wyciągnął.

— Panem Bogiem się świadczę — odparł, — kłamie on! Myśmy nie winni nic.

Stało się milczenie, ks. Mieszek oparł się na ręku i zadumał, widać było, że przed biskupem chciał okazać mądrość i przebiegłość. Sprawa była do rozsądzenia dosyć trudną. Komu tu dać wiarę? Gedko spoglądał milczący na księcia, czekając, co też powie. A że Mieszek ani nań patrzał, ani się odzywał do niego, na twarzy biskupa występowało coraz większe rozdrażnienie. Lekceważono go publicznie i chciano zapomnieć o nim, jakby go tu nie było.

Mierzwa, człek przewrotny, widząc sprawę zawikłaną, z uciechy, że inni sobie może nie poradzą z nią, tam, gdzie on łatwoby wiedział, kędy wynijść, brodę ręką gładził i uśmiechał się do siebie. Wdowa płakała, parobcy szeptali między sobą. Tymek z nogi na nogę przestępował, zerkając zukosa na księcia.

Wtem książę, długo pomyślawszy, podniósł głowę i rzekł zwolna:

— Jedna i druga strona prawi tak, że jedno i drugie zda się równie wiary godnem. Mogły psy być przyczyną, mogli i wilcy Ani pastusi, ani pasierb nie sta-

wią świadków. Zresztą parobcy czynili, co mogli, nad siłę zrobić nie byli w możności. Wilcy czy psy, silniejsze były od nich. A no, na pastuchów zwierzona była trzoda, oni za nią odpowiadają, co o psach prawią, łżą, być może, bo ktoby własne owce dał dusić? Co tu rzec? Pastusi winni za owce zapłacić, a jak nie mają czem, w niewolę iść.

Odwrócił się książę nie ku biskupowi, ale ku swoim.

— Cóż, jak wam się zda? — spytał.

Kietlicz, Mierzwa i cały prawie dwór jednym głosem zawtórowali:

— Najsprawiedliwszy wyrok w świecie.

Biskup, nie powoływany do zdania, nieco szydersko się uśmiechnął, książę to spostrzegł. Tymek zdawał się triumfować, ale Mieszek, którego uśmieszek Gedki ubódł mocno, sparł się na dłoniach i myślał znowu.

— Tak się zda — odezwał się, wstrzymawszy nieco, — a gdyby prawa surowego się radzić, wyszłoby inaczej. Jest dowód pewien, czemu sam pasierb nie przeczy, że złe psiska chował, że na te psy inni się uskarżali. Ja to wiem. Sam przyznaje, że z temi psy około trzody się zwijał. Cóż dziwnego, że wściekłe bestje na owce się rzuciły? Albo to nowa i niezwykła rzecz? Dowodów innych niema, oprócz tego prawdopodobieństwa, prawo więc nakazuje na niem się opierać. Owa baśń o gonieniu za wilkami pachnie wykrętem. Prawdę rzekłszy, pasierb winien nie pastuch i on matce swej czy macosze trzodę nagrodzić powinien on! on, nie kto inny! Sprawiedliwość tego wymaga!

Znowu książę odwrócił się do swoich, a Mierzwa z rękami do nieba wzniesionemi, z twarzą rozpromienioną, wielbiąc rozum pański, zawołał:

— O, niezrównana mądrości pana naszego!

Inni za nim pomrukując, sławić ją poczęli.

Z twarzą wyzywająco szyderczą książę się zwrócił ku biskupowi, jakby go do wypowiedzenia zdania wyzywał, gdyż Gedko milczący dotąd, oprócz urazy, że

był zapomniany i lekceważony, nie dał znaku ani przeciwieństwa, ani zgody.

— Cóż wy na to ojcze? — spytał.

Gedko twarz przyoblókł powagą wielką; zmieniła się ona, rozpromieniła natchnieniem razem i obrażoną dumą; odwrócił się do księcia powoli.

— Miłościwy panie — rzekł poważnie, — istotnie Bóg sam mnie tu dał sprawę, która jakby umyślnie dziś się właśnie przygodziła, abym ja z niej dla was samych prawdę pożyteczną wydobył.

Dałeś wyrok sprawiedliwy, miłościwy panie, ale na samego siebie. Pomyślno, nie jest-li ta niewiasta jakoby ziemią krakowską, a ty zaprzeczyć nie możesz, iż do pasierba tegoż jesteś podobny. Ona cię synem zwie, inni mogą pasierbem mianować, a trzoda owiec — nie jest-li to lud twój wszystek, który powierzyłeś pono nie skotarzom wiernym, ale takim obcym najemnym pastuchom, którzy z niego skórę, wełnę i mleko chciwie dla siebie chwytają.

Tu ręka biskupa wyciągnięta, jakby mimowolnie wskazała Kietlicza.

— Postąpiłeś z tą ziemią, nie jak z matką, a z macochą, nie litując się jej nędzy. Wściekłe psy — są to twoi urzędnicy, żądni krwi i okrutni, których ty na wodzy nie trzymasz a pastwić się im dajesz nad trzodą własną. Bezkarności pewni, rzucają się rozjuszeni na trzodkę twoją i szarpią, a krew jej chłepcą.

Wyrok twój, panie, na cię samego pada, tyś winien tak, jako ten pasierb wdowy! Powiedz więc, panie — zgrzeszyłem, a kaja) się, aby cię ręka Boża nie dotknęła!

Śmiałe to wystąpienie biskupa, jak piorunem raziło księcia; nie chciał zrazu wierzyć uszom swym, zbladł, rzucił się z krzesła, jakby na Gedkę chciał porwać, ledwie gniew swój zdołał poskromić.

Niezłomna ta odwaga biskupa przeraziła więcej jeszcze dwór pański, który stał oniemiały i struchlały. Kietlicz czerwienił się, bladł trupio i radby był pójść wskroś ziemi. Mierzwa skrył się za innych; widać go

nie było. W izbie całej popłoch się stał, jakby w oczekiwaniu wielkiego jakiegoś wypadku.

Tymczasem Gedko zwolna podniósł się z siedzenia, ostatnich słów domawiając, rzucił wzrokiem dumnym, surowym, spokojnym na księcia, który oczy musiał spuścić i, dawszy znak prałatom swym, wolnym krokiem, tłum rozstępujący mu się przerzynając, izbę sądową opuścił.

Co było jeszcze ludzi z żałobami straże na znak gniewny Kietlicza precz wyganiać poczęły, wdowę naprzód, syna i jej parobków i innych, na sądy oczekujących. Mieszek, który też się podniósł z siedzenia z twarzą bladą, ale straszliwy gniew tłumiony wyrażającą, rzuciwszy okiem po swoich, do drzwi się bocznych skierował.

W chwilę potem izba była pusta, a na zamku zapanowało złowrogie jakieś, tajemnicze milczenie.

Książę wprost stąd, zamiast do komnat żony i izb, w których ze dworem do stołu zasiadał, poszedł do swej sypialni. Skinął na Kietlicza, który się wlókł za nim posłuszny.

Wszedłszy, Mieszek padł na siedzenie, kubek wody wychylił, długo nieruchomy trwał, nie mówiąc słowa. Kietlicz, stojący u progu, patrzał nań, odzywać się nie śmiejąc; nogi pod nim dygotały, pot z czoła padał kroplami — oddychał ciężko.

Upłynął dobry kawał czasu, książę dwa czy trzy razy usta otwierał i milkł, nie mogąc się zdobyć na słowo; ręka, która leżała na stole, konwulsyjnie drżała. Spojrzał na Kietlicza, ani go odpędzał, ani powoływał. Dumał z sobą. Naostatek, jakby bój stoczywszy i zwyciężywszy, Mieszek powstał, kołpak, który miał na głowie, poprawił zrazu, a potem na stół go rzucił. Stanął naprzeciw Kietlicza, brew mu się ściągnęła, usta drgały. Odzyskał już był męstwo i władzę nad sobą.

— Mów — odezwał się głosem zmienionym, — którzy są, co z biskupem trzymają?

Kietlicz zawahał się z odpowiedzią.

— Miłościwy panie — rzekł, — ledwie nie przyszło-

by pytać dziś, którzy z nim nie trzymają i przeciw własnemu panu nie są? Napewno wiemy, że wojewoda Szczepan, krewny jego, należy doń cały. Leszczyc co nocy zbiera u siebie narady, knuje zmowy. Wczoraj ich podsłuchano, że już na zwiady wysyłać mieli do Kazimierza. Posłańca schwytanego trzymam w więzieniu. Biskupi wszyscy z Gedką trzymać będą, księża pójdą za nimi, ziemiaństwo nie odstąpi ich.

— Więc na nim pierwszym — odezwał się Mieszek, — na buntowniku jawnym przykład uczynić trzeba. Zuchwały klecha wyzywał mnie, sądząc, że się porwę nań i uczynię go męczennikiem? Nie! Księdzem jest, nie tknę go, z Rzymem się zadzierać nie chcę. Dziś nocą stu ludzi weźmie go z dworca, niech mu włos nie spadnie z głowy, ale zuchwalca, co nic nie szanuje, precz za granicę wyrzucić. Powiedzieć mu, jeśli się wrócić ośmieli, głowę mu kto zdjąć może. Znajdzie się taki, co to uczyni.

Przeszedł się po izbie, wodę pijąc i uspokajając

— Wojewodę, gdy do swej miłośnicy jechać będzie, bracia jej mogą ubić na drodze, albo u niej w domu. Nie będzie im za to nic, można powiedzieć. Stary łotr winien dać gardło; sprzeniewierzył mi się.

Znowu chodząc, dumał Mieszek.

— Leszczyca, Bogoryjów, Cholewę, gdy się zejdą, pobrać na gród i posadzić. Sądzić ich sam będę, winni zdrady. Kto życiem nie przypłaci, oczyma lub ręką. Nadto byłem powolnym, nie znają mnie jeszcze; krwi potrzeba, aby postrach był.

— Miłościwy panie — przerwał Kietlicz, — ziemiaństwo nastraszyć dość, a lepiej go nie drażnić. Silni są.

— I jam nie słaby — odparł książę, odwracając się od niego. — Nie straszyć ich próżno, ale wydziesiątkować trzeba. Biskupa jednego stanie, aby reszta milczała, ziemian pobrać więcej. Ha! słali już do Kazimierza — dodał, uśmiechając się gniewnie, — do Kazimierza! Tylko nie zmogą Kazimierza, bojaźliwy jest,

miękki, przeciw mnie się nie ośmieli, bo zna, żem nie na jego siły!

Kietlicz ani przeczył, ni potwierdzał.

— Kogo słali do Kazimierza? — zapytał.

— Ziemianie, u Leszczyca zebrani, którzy niemal co noc się tam zjeżdżają, małego człeczka wybrali. Czeladź podsłuchała i doniosła. Ten już siedzi.

— Drugiego znajdą — dodał Mieszek. — Zabrać ich wszystkich z Leszczycem do nogi!

— Nuż się opierać zechcą? — szepnął Kietlicz. — I to już może być.

Mieszek głową potrząsł pogardliwie.

— Ludzi masz dosyć!

— A jeżeli wojewoda swoich powoła!

— Wojewoda! — parę razy powtórzył Mieszek z lekceważeniem. — Wojewodę mogą sprzątnąć ci z Tęczyna; starzec jest niedołężny. Ja wojewodów, krom ciebie, nie potrzebuję; do wojny znajdę dowódców, warchołów wymieść trzeba precz.

Znowu umilkłszy, książę zaczął się przechadzać, pomrukując, jakby to, co myślał, ciężko mu było wypowiedzieć. Stanął potem naprzeciw Kietlicza.

— O Kazimierzu prawią między sobą — rzekł, — ja się go nie lękam, ale póki on tam siedzi za oczyma, wszystko się do niego gromadzić będzie. Słać potrzeba, ażeby do mnie przybywał. Raz go tu sprowadziwszy, nie puszczę od siebie. Ślij po niego zaraz — dziś... prędko!

Kietlicz stał tem mnóstwem pańskich rozkazów zmieszany nieco.

— Miłościwy panie — odezwał się, — co rozkażecie, to dla mnie święte, ale czy podołam naraz tylu sprawom? Biskup, wojewoda, ziemianie, książę Kazimierz...

Mieszek odwrócił się ku niemu gniewnie.

— Tak, albo naraz wszystko zrobić potrzeba lub ze wszystkiego nic nie będzie! — krzyknął ostro i zapalczywie. — Gdy popłoch się rzuci, nie czas będzie ludzi łapać, bo się rozbiegną. Nie dzwonić na trwogę,

a ująć razem tych, co zmowy czynią. Masz ludzi, masz siłę, masz przykaz mój, czyń, co chcesz... Tak musi być. Cóż, trwożysz się? ty?

Kietlicz poruszył się żywo.

— Nie trwożę się, choćbym i życie miał dać. Nie pożałuję nikogo...

— Natychmiast do dzieła — dodał książę. — Biskupa wziąć i zagranicę go wywieźć; jeśli chce, niech skarży na mnie w Rzymie, znajdę sposób na to! Z wojewodą rozprawią się bracia tej wszetecznicy; daję im go na wolę. Leszczyca dwór otoczyć i na zamek pobrać wszystkich.

Kietlicz stał jeszcze.

—Nie masz czego czekać — zakończył książę. — Idź, czyń! Nie trzeba okazywać nic, na zamku do wieczora, niech się nic nie rusza. Mierzwę ślij do Sandomierza; naglić ma, by przybywał do mnie. Opierać się nie będzie — starszy brat wzywa i rozkazuje; idź! rób!

To mówiąc, książę z ramion zrzucił płaszcz, odpasał miecz, zdjął suknię i, pochwyciwszy kaftan ze skóry bawolej, szybko wciągać go zaczął, natychmiast nań suknię wdziewając i mieczem opasując się znowu.

Kietlicz, postawszy u progu chwilę, ze spuszczoną głową odszedł powoli, ciężkie brzemię niosąc na sobie.

W komnacie, w której się to odbywało, nie było nikogo, lecz gdy Kietlicz drzwi jej otwierał, zdało mu się, iż posłyszał szybko oddalające się kroki, jakby od progu uciekającego co żywiej człowieka. Rzucił się za nim strwożony. Łatwo który z dworzan lub czeladzi stać mógł na podsłuchach; uląkł się, by zdrady nie było. Nie dowierzał nikomu.

Pędził, co sił stało, lecz ociężały i krótkonogi, nim do przedsieni dobiegł, nie znalazł śladu, ni słychu. Tu chodniki kryte rozchodziły się na różne strony. Cicho było dokoła i pusto; pusto nawet w wewnętrznych dziedzińcach. Pocieszał się tem Kietlicz, pot ocierając z czoła, że mu się ów szelest przesłyszał.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XIX

J. I. KRASZEWSKI

STACH Z KONAR

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW
KAZIMIERZA SPRAWIEDLIWEGO

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Zameczek sandomierski, zwłaszcza od czasu, gdy go po Henryku wziął piąty syn Krzywoustego, sierota, zostawiony bez wyposażenia, stawał się coraz piękniejszym na oko, wygodniejszym dla mieszkańców.

Ciche to było schronienie, lecz od wrót począwszy, podróżny wchodząc, mógł poznać, iż tu zamieszkuje pan, który musiał widzieć wiele świata i miłował ład wszelki. A z ludzkiej twarzy i ruchów mógł też odgadnąć, iż tu więcej miłość, niż groza rządziła. Chodzili wszyscy uśmiechnięci, spokojni, sporów nie zawodząc, nie śpiesząc, aby próżnować potem. Szło wszystko ładem i cicho.

Oprócz teremów drewnianych księżnej, które ze starym zamkiem przejściem słupiastem się łączyły, same zamczysko, w części murowane, zawierało izby niskie, różnej wielkości, jak w różnych czasach dobudowane, utrzymane czysto i w godła rycerskie i religijne poprzybierane. W izbach, dla księcia przeznaczonych, spotykało się wszędzie broń wschodnią różną, po ścianach rozwieszoną, obrazy na złotych tłach, ołtarzyki szafiaste, rzeźby z kości słoniowej, szyte i tkane opony, na których widać było napisy arabskie. W niektórych komnatach okna już miały małe błony szklane, w ołów oprawne.

Komnatę, w której niegdyś książę Henryk przemieszkiwał, po zgonie jego na znak miłości braterskiej Kazimierz tak pozostawił, jak ją zastał po zmarłym. Stała w niej zbroja jego ulubiona, wisiały kolczugi, hełmy,

miecze, włócznie, proporce, a część ich ustawiona umyślnie przedstawiała zbrojnego rycerza. Wisiał nawet płaszcz, który z Henrykiem wrócił z Jerozolimy.

Książę Kazimierz, przebywając tu, patrząc na te pamiątki, mógł sobie przypominać brata, którego opłakiwał. Przychodził się tu modlić za niego i młodość swą rozpamiętywać.

Gdyby jednak księciu przyszło wskazać najulubieńszą ze wszystkich izb, trzeba było wybierać tę, w której do stołów zasiadano nie dla jedzenia, ale dla długiej po niem rozmowy i czytania. Zimową porą palił się tu ogromny ogień, co ją wieczorami ogrzewał i oświecał. Przy wielkim stole dębowym, otoczonym ławami i stołkami, zasiadał książę i jego ulubieni towarzysze, niegdyś Mateusz Cholewa, biskup krakowski, potem Cystersi opaci, mnisi i duchowni. Najrozumniejszych mężów obcych i swoich dobierał sobie Kazimierz do towarzystwa, ugaszczał ich, obdarzał, zatrzymywał przy sobie, a trafiało się nieraz, gdy wieczorem rozpoczęto rozmowę, czytania i opowieści, iż się one dopiero o brzasku kończyły.

Najszczęśliwszym bywał książę, gdy się mógł czegoś nowego nauczyć i dowiedzieć, gdy mu przyniesiono wieści o tem, co się na szerokim świecie działo; albo gdy uczony człek stare dzieje z księgi mu czytał i tłumaczył.

Gdy z zagranicy do Krakowa, albo do którego z nowo założonych klasztorów udało się zdobyć rękopis drogi a rzadki, radość była wielka a niewypowiedziana. Książę zapomniał potrosze o żonie, o myślistwie i o całym świecie, zdawał sprawy na ulubionego Goworka i innych urzędników, których szczęśliwie sobie do boku dobierać umiał, a sam z głową, wspartą na ręce, słuchał a słuchał czytania i opowiadań, których nigdy dość nie miał.

Z czytania wywiązywały się nieraz rozprawy o rzeczach różnych, w których brali udział duchowni i świeccy, spierano się, roztrząsano i czas schodził niepostrzeżony.

Książę Kazimierz, pięknej twarzy, wdzięcznego lica, wielkiego serca, łatwo u niewiast znajdował powolność, chociaż mężczyźni tak samo lgnęli doń i kochali go. Dusza w nim była piękna, która do wszelkiego dobra i piękna, jak słonecznik do jasności dziennej się zwracała. Nigdy on nie zapragnął zemsty, nie pokrzywdził z dobrej woli nikogo, a wielką cześć sprawiedliwości nosząc w duszy, każdy krok swój do niej stosować się starał.

Już sławne owo z pierwszej młodości znalezienie się jego ze Stachem z Konar malowało i słabość i szlachetność człowieka; później wielu słabości młodzieńczych się pozbył książę, a cnót nabył jeszcze. Patrzano nań ze wszech stron ze czcią, jak na wybrańca Bożego. To też cała rodzina, brat Mieszek i dalsi zazdrościli mu miłości ludzkiej, a z heroizmu jego nieraz się naśmiewali. Ale kto raz się doń zbliżył, nigdy mu się nie stał niewiernym, tak wielki urok miał książę, tak wielką siłą przywiązywał do siebie.

Liczył już naówczas Kazimierz lat około czterdziestu, ale spokojna i piękna dusza czyniła go tak młodym twarzą, tak powabnym, iż mu dziesięć lat mniej z pozoru dać było można.

Zdawałoby się na oko, że ten mąż, otoczony spokojem, ludźmi wybranymi, gromadką wierną, musiał być szczęśliwym; jednak nieraz twarz jego przybierała wyraz cichego jakiegoś smutku i widać było, że mu do życia brakło czegoś, że cierń jakiś w sercu nosił.

Nigdy nikomu książę nie objawiał, co go bolało, owszem, dobrotliwie uśmiechając się do ludzi, zdawał się rad ze swego losu. A przychodziły nań chwile ciężkie, w których krew rycerska gorąca, poskramiana życiem i modlitwą, odzywała się gwałtowniej, naówczas, jak rozbudzony rwał się do konia, jechał na łowy i zwykle z czem się już ludzie oswoili, znikał na dni kilka tak, że dwór nawet o nim nie wiedział, a powracając, przynosił z sobą nie uspokojenie, ale smutek większy jeszcze i znużenie.

Starzy słudzy i dworzanie, choć szpiegować pana

nie śmieli, domyślać się wzdragali, mimowolnie dostrzegli, że zwykle przed taką wycieczką w lasy zjawiała się na zamku stara baba żebraczka, która w podwórcu siadywała, dopóki książę jej nie zobaczył. Często sam do niej wychodził z jałmużną i zakazane było ludziom, ażeby jej nie odganiali a nic złego czynić się nie odważyli.

Stara, którą przezwano Kozichą, bo czasu zimniejszego kożuszek z koziej skórki nosiła, zjawiała się jakoś zawsze w przededniu, gdy księcia miała napaść ochota do łowów i znikała potem tak, że jej ani na zamku, ani w mieście nie widywano. Domyślali się więc przyboczni, że tam coś innego, nie łowy księcia do lasów pędziło i szeptali o jakichś miłostkach tajemnych, ale nikt dośledzić ich nie śmiał i nie wiedział, dokąd jeździł książę oprócz jednego sługi milczącego, którego zwano Smokiem.

Duchowni też musieli się czegoś dorozumiewać, gdyż choć nie wprost, ale ubocznie, o niewiastach zagadując, ostrzegali często księcia o niebezpieczeństwie obcowania z niemi, pokusach i uroku zgubnym, jaki na mężczyzn wywierały. Kazimierz słuchał pilno, spuszczał oczy, jakby się do winy przyznawał, ale łowy tajemnicze powtarzały się zawsze.

W domu jedyną rozrywką księcia były pobożne śpiewy przy organie, na którym grywać lubił *) i biesiady wieczorne z mężami dobranymi. Dlatego zawsze przebywał na dworze ktoś z księży albo z Krakowa, lub z jednego ze świeżo pozakładanych cysterskich klasztorów. Czasem po kilku ich się zbierało, a wówczas dla księcia gody były prawdziwe.

Podtenczas bawił właśnie opat zakładającego się w Sulejowie klasztoru, Francuz Lucius, Lambert, scholastyk z Krakowa i młody, bo ledwie siedemnastoletni, wielkich nadziei, nauki chciwy, Wincenty, syn Boguchwała, sposobiący się do stanu duchownego, którego

---

*) Kadłubek.

dla żywości umysłu, pamięci, nadzwyczajnej i łatwiej wymowy, książę bardzo miłował.

Był ten Wincenty jakby cudownem dziecięciem swojego czasu; starzy mu się dziwowali i zdumieni słuchali go, wróżąc mu przyszłość wielką. Bóg go tak obdarzył, iż więcej się w lat kilka nauczył, niż drudzy przez całe życie, a cokolwiek raz usłyszał, pamiętał dziwnie tak, iż całe ustępy z pisarzy łacińskich bez księgi powtarzał. A miał też dar słowa osobliwy, że z niem, jakby igrając, tkał najmisterniejsze wzory. Noce i dnie siadywał niezmordowany nad księgami, pielgrzymując, gdziekolwiek o nieznanych sobie zasłyszał, wpraszając się do bibljotek klasztornych, trawiąc wśród postów i umartwień miesiące całe nad niemi. Więc też w krótkim czasie pochłonął Wincenty wszystko niemal, cokolwiek w Polsce przy kościołach, szkołach, po biskupich dworach i klasztorach się znajdowało, a książę Kazimierz głośno o tem mówił, iż go chce słać do Rzymu i do Paryża, aby się nasycił, zbogacił i do kraju z plonem obfitym powrócił.

Miało się ku wieczorowi dnia tego, gdy książę, od żony i synka powróciwszy, obyczajem swym w izbie wielkiej miał zasiąść do stołu ze dworem i gośćmi. Dzień był wiosenny i dziwnie pogodny i piękny, okna wszystkie stały otworem, świeże powietrze od łąk nadwiślańskich niosło z sobą woń młodych kwiatów i drzew zaledwie porozpękanych. Kazimierz siedział jeszcze w izbie swej, czekając oznajmienia, spoczywając z głową na dłoni opartą. Do jego cichej komnaty dochodziły głosy zgromadzonych już w wielkiej izbie biesiadników, których od niego tylko komnata, Henrykową zwana, dzieliła. Mógł tu nawet rozpoznać rozmawiających po mowie i byłby może ku nim pośpieszył, ale go jakieś znużenie ducha do krzesła przykutym trzymało.

I siedział tak dosyć długo, zapatrzywszy się ku niebu zachodniemu, bardzo smętny, sam może smutku tego nie znając przyczyny. Przychodzi on tak często do serca ludzi właśnie, gdy ich otacza wesele i pogoda,

niosąc przeczucie ich niestałości, przestrogę znikomości.

Wtem coś około okna, przez które tylko wieczornemi loty przemykały jaskółki, przesunęło się jak cień; książę powstał żywo, wyjrzał.

Podwórzem pod murem samym przesunęła się zwolna stara baba, płachtą otulona, w podartych chodakach na nogach, o kiju, z garnuszkiem u pasa, z sakwą na plecach. Szła i zdawała się upatrywać czegoś. Z pod zawieszonej nad czołem chusty widać było twarz bladą, zmarszczkami okrytą, w której biegały czarne, niespokojne, małe oczka.

Ujrzawszy księcia w oknie, baba obejrzała się dokoła, podniosła rękę do góry, dała mu znak jakiś, ukazując na lasy, i żywo pod mur się przysunęła, szepcząc coś niedosłyszanego. W części tej podwórza nie było nikogo; książę sięgnął do kalety i garść pieniążków jej wyrzucił.

Słów jej książę nie dosłyszał pewnie, ale się ich domyślił. Mówiła cicho, ale żywo, gorąco, natarczywie, rękami przebierając, głowę zwracając, postukując kijem, który trzymała w ręku. Książę szybko skinieniem głowy tylko jej odpowiedział i cofnął się od okna.

Właśnie podkomorzy książęcy, Prandota, mąż podżyły, rumiany, wesołego oblicza, pełnego, wszedł, zwiastując gościa.

Przybyły był Jaksą z Miechowa, miłym niegdyś towarzyszem księcia Henryka na wyprawie krzyżowej do Jerozolimy. Kazimierz go i sam przez się miłował wielce, i dla miłości brata, któremu on ukochany był, przywiązał bardziej jeszcze do niego. Jaksa też na miłość zasługiwał rycerskiemi przymioty, pobożnością i przywiązaniem, a niezłomną wiernością dla książąt obu.

Ujrzawszy go o tak późnej godzinie, Kazimierz zdziwił się nieco. Wiedział dobrze, iż po nocy nie przybyłby daremnie na zamek i rozmowy się nie dopominał.

— Jakso mój — odezwał się, gdy się znaleźli sami w komnacie księcia, — z czemże ty do mnie tak późno, złem czy dobrem, boć nie z próżnemi rękami? Widzę

to po tobie. Mów śmiało, wiesz, iż złe w pokorze przyjmę z ręki pańskiej, a dobre sercem wdzięcznem.

Spojrzał mu bystro w oczy, ale ze wzroku Jaksy nic nie mógł wyczytać.

Niestary jeszcze, Jaksa był już życiem dobrze skołatany. Po śmierci żony, wielce ukochanej, córki Petrka wrocławskiego, puścił się był do Ziemi Świętej, gdzie przy księciu Henryku wiele złego zażył i ze smutkiem wrócili oba, bo krzyżowa wyprawa z winy Ludwika francuskiego się nie powiodła. Wojny, smutki, tęsknoty uczyniły z żywego niegdyś, niepohamowanej ruchliwości rycerza, powolnego dziś a zasępionego męża, na którego czole wiecznie czarne jakieś błądziły chmury. Zahartowany, twardy, Jaksa małomówny był, a mniej jeszcze po sobie okazywał twarzą, która wydawała się zawsze zastygłą i jakby jedną.

— Nie mylisz się, miłościwy książę — odpowiedział przybyły po namyśle niejakim, — niedarmo was niepokoję. Musiałem przybyć; gniewajcie się lub przebaczcie, co na sercu mam, wypowiedzieć muszę.

Książę Kazimierz cały się obrócił ku niemu.

— Stara to piosnka — mówił Jaksa. — Krakowianie wszyscy wołają ku wam: ratunku! Mieszek ze swym Kietliczem do rozpaczy ich już przywiedli... Będziecie musieli siąść tam, gdzie ja was dawno, dawno posadzić chciałem. Wola w tem Boża!

Kazimierz, który był usiadł na chwilę, wstał żywo, ręce składając jak do modlitwy.

— Człowiecze! — zawołał gorąco — i ty się zowiesz przyjacielem moim? Ty mówisz, że pragniesz dobra mojego? Jakso miły! Tyż to znowu masz mnie wieźć ku temu, abym ja brata wyganiał, władzę sobie przywłaszczał, krew przelewał?

— Miłościwy książę, — przerwał Jaksa — dzisiaj nie o was idzie, ale o ziemie te wszystkie, idzie nawet o żywot brata twego, bo nie spotka-li go wygnanie, gorszy los zgotowany mu być może. Nie, nie o was już idzie! Nie wątpicie, iż kocham was, a no dzisiaj powiem szczerze, iż ziemię tę, której ojczycami oba je-

steśmy, jeszcze mocniej, niż was miłuję. Wy dla niej, wy jesteście potrzebni. Wy! tylko wy!

— Jakso! — zawołał Kazimierz z wybuchem wielkim — przypomnij sobie nalegania wasze dawne. Czem mnie naówczas znaleźliście, tem i dziś będę; nie zmieniłem się.

— Ale czasy się zmieniły — odparł Jaksa. — Naówczas myśmy wytrwać mogli, dziś już nie. Nie zechcecie wy, wezmą innego księcia. Mieszka nie zniosą.

Kazimierz pobladł.

— Jakso mój, — rzekł z wyrazem głębokiego smutku — nie upłynąłby rok po wyniesieniu mojem, a ten sam los, co dziś jego, mnieby spotkał. Powiedzą mi, gdy się im sprzeciwię i uprzykrzę, żebym precz szedł. Ziemianie sami chcą panować, słuchać nieradzi nikogo. Wygnali Władysława, burzyli się przeciw Bolesławowi, teraz Mieszka się radzi pozbyć, jakaż nadzieja dla mnie?

To mówiąc, załamał ręce.

— Miłościwy książę — przerwał, zbliżając się Jaksa. — Ty nam panować będziesz spokojnie, my cię jak ojca strzec, bronić, szanować będziemy i nietylko tobie, ale krwi twojej wierni być przysięgamy, boś ty innym od braci twej. Miłujesz sprawiedliwość, nie pragniesz władzy, tylko dla dobra, gdy inni chcą dla krzywdy i ucisku. My tylko bronimy praw naszych, które nam odbierają, karząc bez sądu, chwytając bez winy. Ziemianie zresztą nie sami burzą się i narzekają; spytajcie się ojców duchownych, którzy w tem królestwie i na całej ziemi są stróżami praw Boskich i ludzkich, azali oni radzi są z Mieszka, który własności ich ani klasztornej nie szanuje, wydając ją na łup swoim urzędnikom?

Książę w czasie, gdy Jaksa mówił, stał zamyślony i smutny, przystąpił potem doń i, kładąc ręce na ramionach, począł głosem łagodnym:

— Jakso mój! Nie bądź kusicielem dla mnie! Słodkie są słowa twe, ale serce moje odepchnąć je musi. Jam rad z tego, co mam, przestaję na tej dzielnicy; wię-

cej nie chcę nic, ani panowania, ani potęgi i blasku. Mam was kilku wiernych druhów moich, mam chleb z łaski Bożej, którym się jeszcze z biedniejszymi podzielić mogę, mam czem granice obronić od napaści; lubię tę moją ciszę i życie swobodne, dajcie mi je spędzić tu, gdzie mam wspomnienie matki i kochanego brata! Nie! nie chcę waszego Krakowa, któryby mi przyniósł tylko troski i niepokoje! Oblała go krew biskupa Stanisława, drugiego Tomasza Kantuaryjskiego, tkwi na nim wspomnienie Szczodrego. Ziemianie krakowscy niechętnie znoszą książąt, Mieszko silniejszy jest. Idźcie doń, jego proście; oddali tych, co wam ciążą. Mnie zostawcie, proszę, na Sandomierzu moim. Jakso mój, nie żądaj tego po mnie.

Jaksa, poruszony mocno, stał smutny i milczący. Nie wiedział już, co miał dodać, aby księcia skłonić do swej myśli, gdy Kazimierz wyjrzał przez okno, dotąd otwarte, ku wypogodzonemu niebu, którego gwiazdy wskazywały późną godzinę nocy.

— Idź, spocznij — odezwał się cicho, — patrz, noc już jest, a i mnie czas do spoczynku.

To mówiąc, ujął go za ręce obie i w schyloną głowę pocałował, szepcąc:

— Mój Jakso, bądź mi druhem prawdziwym, nie wrogiem! Nie wiesz, jak mnie boli sama ta myśl, że mógłbym wystąpić przeciw bratu.

Jaksa już nie odpowiedział, skłonił się i powoli przez izbę księcia Henryka wyszedł do wielkiej, która już stała pusta. Cisza panowała na zamku. W ostatniej izbie komornicy książęcy, zobaczywszy Jaksę wychodzącego, ruszyli wnet, aby mu izbę jego pokazać i chłopca do niej dać z pochodnią. Poszedł za nim Jaksa tam, gdzie nań jego ludzie czekali i, nie bawiąc, pomodliwszy się, położył na spoczynek.

Gdy dzwony kościelne zbudziły go, na jutrznię się odzywając, a Jaksa co rychlej wstał i odziewać się począł, poranek był dziwnie piękny i pogodny, ale spojrzenie na niebo tych, co się na niem znali, dnia trwałej pogody nie zapowiadało. Zbyt wcześnie się rozjaśniło,

słońce weszło bez chmurki, ciepło było wielkie, wiatr wiał z zachodu.

Wahał się jeszcze Jaksa, czy iść do kościoła na mszę ranną, czy do księcia, aby mu towarzyszyć na nabożeństwo, którego Kazimierz codzień słuchał, gdy pacholę mu znienacka oznajmiło, że księcia na zamku już nie było.

Zdziwiony wielce Jaksa podniósł oczy, pytając:

— A gdzież jest książę?

— Jak świt ruszył z zamku z małą garstką ludzi; mówią, że na łowy.

Chłopak się dwuznacznie jakoś uśmiechnął.

Jaksę to tem mocniej dotknęło, że książę mu wczoraj nic nie wspominał o łowach, a wyjazd ten nagły był jakby ucieczką przed nowemi naleganiami. Słudze jednak nie chcąc okazać, iż go ta wiadomość obeszła, nie rzekłszy nic, wyszedł Jaksa w podwórze, nie pewien, co pocznie. Wiedział on, jak inni, że książę na tych łowach, które żadnej nie przynosiły zdobyczy, bawił nieraz tygodnie całe. Miał-li czekać na powrót, czy jechać precz? Znaczyłoż to, że książę chciał się go pozbyć i uniknąć?

Tak dumał, gdy naprzeciw siebie ujrzał idącego powiernika i najbliższego przyjaciela Kazimierzowego, którego wczoraj na dworze nie spotkał.

Dawny ten druh i wierny sługa księcia, który był powiernikiem najtajniejszych myśli jego, latami mu prawie równy, zwał się Goworkiem, a był Mazurem z pod Płocka, kędy posiadłości znaczne trzymał. Nie opuszczał on nigdy osoby i dworu Kazimierza, którego w Sandomierzu w rządach i sądach zastępował, wszystko niemal mając w rękach swych: skarbiec, ludzi i żołnierza. Powiernik księcia, ukochany mu, mógł być tylko po sercu jego mężem sprawiedliwym i dobrym. Takim też był Goworek, oprócz innych wielu przymiotów mając i ten, że nie spracowanym był, rozumu bystrego a obyczajów ludzi przywiązujących.

Mężczyzna był wzrostu średniego, rumiany, hoży, już nieco otyły, z bródką płową i wąsem do góry pod-

kręconym, z wyrazem twarzy i oczów niebieskich miłym i pociągającym. Będąc zmuszonym od rana za księcia gości przyjmować, słuchać przychodzących z żałobą, porządek na zamku i w załodze utrzymywać, odziany już był, jak przystało, przy mieczu, w kołpaku, jakby w gotowości być musiał do wyjazdu każdego czasu. Jak książę sam, lubili Goworka wszyscy, nawet księżna Helena, która Rusinów swych nad tutejszych ludzi przekładała, miała w nim ufność wielką.

Goworek, gdy księcia nie było, namiestnikiem się jego stawał, a co on rzekł, to się spełniało.

Z Jaksą byli zdawna dobrze i poufale, więc gdy go zobaczył, ręce wyciągnął ku niemu i na spotkanie pośpieszył. Zeszli się sam na sam w podsieni.

— Cóż to księcia już niema? — spytał Jaksa. — Wczoraj widziałem go późną porą, słowa mi nie rzekł o żadnym wyjeździe, ni o łowach. Cóż się stało?...

Goworek, dawszy mu się wygadać, odparł zwolna głosem spokojnym:

— Nic się nie stało! Książę zapragnął lasów i rozrywki, kazał sobie dodnia konia podać.

— Widzieliście się z nim na wyjezdnem?

— Książę mnie kazał wołać, jużem nie spał — rzekł namiestnik.

— Nie wspominał wam nic o mnie, przykazania jakiego nie dał?

— Sądzę, że was miał na myśli — odparł Goworek, — gdy mi mówił, że zapewne łowy długo nie potrwają, ale kresu im zamierzyć trudno. Bywa różnie.

Zasępił się trochę Jaksa, Goworek śledził wyraz jego twarzy.

— Nie uciekajcie dlatego do Miechowa — rzekł, — tu wam przecie nudno nie będzie. Jest ludzi dużo, pomogą wam czas przepędzić. Książę może rychlej powrócić, niż się spodziewamy.

— Albo później, niż sądzimy — dodał Jaksa ze smutną żartobliwością jakąś. — Przybyłem nie z pokłonem, ale z prośbą, odprawym nie dostał — i...

Ręce niecierpliwie rozwarł, okazując niepokój i frasunek.

Goworek czy nie mógł, czy nie chciał mówić, uśmiechnął się tylko łagodnie i miał Jaksę pociągnąć z sobą do dworu, gdy z dziedzińca ujrzeli zbliżającą się postać obcą, która oczy ich zwróciła na siebie.

Był to suchy, kościsty, chudy, trochę na jedną stronę przegięty mężczyzna, blady, lat średnich, z głową śpiczastą, w twarzą wygoloną, w sukni jakby kleszej, w czapce czarnej, wysokiej, nakształt zawoju dziwnego kształtu, pasem skórzanym nisko podpasany. Twarz z małemi oczętami biegającemi, roztropna, ale odstręczająca, krzywiła mu się, marszczyła; wygładzał ją też ręką nieustannie i jakby osłonić pragnął.

Jaksa poznał w nim zaraz sędziego czyli podsędziego głównego krakowskiego, Gabrjela Mierzwę, a i Goworek domyśleć się musiał, co zacz był i że z Krakowa przybywał, bo natychmiast, jako ku gościowi, wyszedł przeciw niemu.

Mierzwa szedł, bacznie po zamku się rozglądając, z twarzą posępną, zwolna krocząc, a zobaczywszy Goworka, zdala już witać go począł, zmuszając się do jakiegoś niezdarnego uśmiechu.

— Wasza miłość jesteście tu na zamku? — począł Mierzwa słodkim głosikiem

— Jestem sługą księcia Kazimierza — przerwał Goworek — i podczas tu gospodarzę, gdy miłościwego pana niema.

— A! a! — mruknął Mierzwa, gładząc się po brodzie. — A ja jestem podsędzią krakowskim, służeczką księcia Mieszka, od którego przynoszę pokłon i posłanie od brata.

— Książę właśnie dziś dodnia wyruszył na łowy — rzekł Goworek zimno.

Jaksa, nie odchodząc, stał nieco zboku, przysłuchując się rozmowie.

— To mi już we wrotach zwiastowano — odezwał się Mierzwa, wzdychając. — Prawdziwe nieszczęście

dla mnie, bo poselstwo pilne, a jam też człecze, od roboty wzięty, czas mój drogi, służba nagli.

— Wszak ci poselstwo księżnie Helenie, lub mnie zwierzyć można — odezwał się namiestnik.

Mierzwa z twarzy uczynił osobliwie wykrzywioną maskę — zmilczał.

— A kiedyż książę powróci? — zapytał.

— O tem wiedzieć trudno — odezwał się namiestnik. — Czasem powraca tegoż wieczora, niekiedy ledwie po tygodniu.

Usłyszawszy to, podsędzia wykrzywił się okropniej jeszcze i, spuściwszy ręce, długie, kościste palce wyłamywać począł z niecierpliwości.

— A nie posłać żeby za księciem? — przebąknął; — to poselstwo od pana mojego najwyższego książęcia nielada czem jest, a choćby dla niego i z łowów powracać przyszło? hę?

— Któż wie, dokąd się udał książę? — odparł Goworek obojętnie.

— Po lesie bo szukać trudno — dołożył Jaksa, którego głos posłyszawszy, Mierzwa począł mu się pilno przypatrywać.

Znać, że go sobie musiał przypomnieć, gdyż czapką mu się skłonił pięknie i dla niego nawet twarz rozchmurzył trochę. Jaksa mało co na to powitanie odpowiedział.

— Jeżeli mnie oczy moje nie zwodzą — odezwał się Mierzwa nadzwyczaj osłodzonym głosem pokornie, — wszak mam szczęście oglądać rycerza, którego stopy ziemi świętej dotykały, miłościwego pana Jaksę z Miechowa?

Jaksa spokojnie głową potwierdził, a Mierzwa raz jeszcze pokłon mu oddał.

— I wy też, miłościwy panie, nie zastaliście księcia Kazimierza! Co za nieszczęście! Pan mój, który go tak kocha, stęskniony jest za nim, radby go u siebie gościem miał. Zamek nasz krakowski rzadko go ogląda. Rzekł więc do mnie: nie doczekam się najmilszego brata mojego, jedźcie wy, powiedzcie mu, że mi tu

pożądany jest i potrzebny, niechaj mnie rychło nawiedzi.

Jaksa nieznacznie ramionami poruszył, a Goworek wnet dodał:

— Jeśli to wasze poselstwo całe, my je wiernie do uszu pańskich podamy. Wam z obowiązku sędziowskiego gdyby pilno było, możebyście też chcieli księżnie Helenie się stawić i jej to zlecić!

Mierzwa zakłopotany wciąż ręką twarz wygładzał, jakby się namyślał, co ma poczynać.

— Pewnie, pewnie — zamruczał, — uderzę czołem przed księżną, lecz nie godzi się, bym choć dzień jeden nie czekał na księcia. Sam też do konia nie nawykły, rad spocznę.

— Na obiad więc do stołowej izby proszę — odezwał się Goworek, — bo oto czas obiedni przychodzi, a nasz dwór cały ciągnie.

Jakoż w podwórzu ukazali się opat Lucjusz, scholastyk Lambert, młody Wincenty, a z innych stron starszyzna dworowa, urzędnicy, komornicy i służba.

Goworek ręką wskazywał drogę, ale Mierzwa, duchownych zobaczywszy, natychmiast się ku nim zwrócił z pokorą i jak do swoich przybliżył, opata witając łaciną i uśmiechem.

O. Lucjusz, który go nie znał i za duchownego poczytał, powitanie oddał uprzejmie, gdy scholastyk zbył go dosyć sucho i krótko.

Mierzwa ożywił się natychmiast, stał nad wyraz miłym, pokornym, zalecającym, poczynając od tego, że, cysterską suknię zobaczywszy, wnet w pochwały zakonu św. Bernarda uderzył.

— Szczęśliwym się nazwać mogę — rzekł, — iż jednego z dostojnych synów czczonego przeze mnie najwyżej ojca Bernarda oglądać i poznać mogę. Niesiecie na naszą ziemię przykład świątobliwości, światło, opiekę Bożą, które za sobą cnoty wasze ciągną.

To mówiąc, z przesadzonym zapałem złożył ręce i oczy podniósł ku niebu; opat popatrzył na nieznane-

go sobie człeka i przyjął z pewną oględnością ten objaw uwielbienia dla zakonu.

— Daj Boże — odezwał się skromnie, — abyśmy w ślady ojca naszego iść potrafili i gościnność tej ziemi wypłacili modlitwą i pracą.

Rozmawiając tak, szli ku izbie zamkowej, do której podążali i Goworek z Jaksą.

Tu opat odmówił modlitwę zwyczajną i wszyscy około stołu zasiadać zaczęli. Mierzwie, jako posłańcowi księcia Mieczysława, dano poczetne miejsce przy opacie, co miłem mu było, bo głos zaraz zabrawszy, nader uczenie, wytwornie, z pokorą i słodyczą popisywać się zaczął przed sąsiadem z prawniczną i biblijną erudycją swoją.

Scholastyk Lambert, znając go dobrze z Krakowa, milczał, spoglądając nań zukosa, przybierając wyraz twarzy pogardliwy i niechętny. Nie odzywał się, ale milczenie jego było pełne znaczenia.

Mierzwa byłby może Lucjuszowi towarzyszył po obiedzie, chcąc mu dworować i mając zamiar z nieznajomego wyciągnąć coś, gdy Goworek odwołał go, zapraszając z sobą do księżnej Heleny.

Wezwaniu temu odmówić nie było można; szli więc podsieniami, które wiodły do drugiej zamku połowy, zajmowanej przez księżnę i niewiasty. Tu dojrzeć już było można nieco rusińskiego obyczaju i w stroju służebnic Bełżanek i w urządzeniu izb, które zajmowała księżna. Wspaniałe były a zamczysto od reszty dworu, jakby klasztor, oddzielone. W komnacie księżnej Heleny pełno było obrazów złocistych z surowemi obliczami, przed któremi lampy gorzały; kobierce wschodnie okrywały podłogi i ściany.

Sama ona z pierworodnym swym synkiem, siedmioletnim Bolesławem, który stał przy matce, siedziała, oczekując, nie mając przy sobie nikogo, oprócz starszej niewiasty dla posługi, która zdala u drzwi się trzymała.

Była księżna Helena, choć młoda jeszcze, nieco już zbytniej tuszy, białej płci, oczu jasnych, twarzy choć

niepięknej, miłej i rysów regularnych. Tylko wyraz jej, niespokojny i jakby strwożony ciągle, wdzięk jej odbierał. Zdawała się ciągle czegoś obawiać, a tego, co czynić, niepewną. Zresztą powagę w niej wielką i w obejściu się majestat pański czuć było. Strój książęcy, któremu łańcuchów, naszyjników, pierścieni i ozdób z drogich kamieni nie brakło, dodawał pani świetności. Nie dla zalotności żadnej, bo tej w licu i w wyrazie twarzy skromnym a wstydliwym śladu nie było żadnego, przybierała się tak bogato księżna Helena, ale panu swemu i dostojeństwu chcąc cześć uczynić.

Gdy Goworek Mierzwę, wpół zgiętego pokornie, wprowadził do komnaty, księżna mu się przybliżyć kazała i białą rączkę, okrytą pierścieniami, dała do pocałowania.

Począł sędzia poselstwo swe od tego, iż książę Mieszko z miłości nadzwyczajnej ku bratu, którego był niegdy opiekunem i jakby ojcem przybranym, pożądał go widzieć w Krakowie, słał mu pozdrowienia i prośby, aby go co najrychlej odwiedził.

Księżna Helena słuchała z dobrą wiarą, dosyć rada i dziękując odpowiedziała, że gdy pan a małżonek jej powróci, pewnie na to wezwanie pośpieszy.

Bolał tedy Mierzwa, iż go nie zastał, na co księżna odpowiedziała tylko głowy skinieniem.

Dalej już i mówić nie było o czem; Mierzwa jeszcze do synka książęcego słodką mowę obrócił, życząc mu wszelkiego od Boga błogosławieństwa, a za gościnę dziękując.

Wkońcu Goworek dał znak, iż czas wychodzić było, a Mierzwa, znowu rękę księżny ucałowawszy, miał się wycofać. Chciał jednak spróbować, azali nieopatrzną niewiastę na słówko nie wyciągnie i wyrwał się z tem, czyby mu radziła oczekiwać na księcia i jak on prędko mógł powrócić?

Księżna zarumieniła się, zakłopotała, spojrzała na Goworka i przebąknęła nieśmiało, że o powrocie nic wiedzieć nie może, a jeśli czekać zechce, rada mu bę-

dzie. Tak tedy i tu Mierzwa odszedł z niczem, a że dnia dużo zostawało, niebardzo wiedział, jak i gdzie się obrócić.

W niepewności był wielkiej, co pocznie, polecono mu bowiem Kazimierza przywieźć z sobą, a tu składało się tak wszystko, iż czasu przychodziło zmarnować wiele, a skutku mało się można było spodziewać. Chciał siedzieć Mierzwa, ażeby wymową swą księcia do podróży skłonić, a niecierpliwił się, jak długo trwać może pobyt na zamku, gdzie ani w kości grać, ani się upić wypadało, ani było do kogo zalecać. Szpiegostwem chyba mógł czas zająć.

W milczeniu wyszli z Goworkiem w dziedzińce; namiestnika wnet gdzie indziej odwołano, powlókł się skwaszony i frasobliwy Mierzwa do izby, która dlań była przeznaczoną. Szczęściem okna jej wychodziły w podwórce zamkowe i stąd cały ruch ich widać było. Mierzwa zasiadł, przypatrując się tem pilniej, iż nadzwyczajne jakieś spostrzegał krzątanie się.

W istocie ludzi było różnych wiele, a ci na podróżnych i zdala przybywających wyglądali. Kilku poważnych ziemian wjechało z pocztami na zamek, zdawało się rozpytywać, naradzać, jedni z nich zostawali, drudzy precz pośpiesznie odjeżdżali. Goworek z jednymi rozmawiał żywo, z drugimi Jaksa tajemniczo się naradzał. Nie zdało się podsędziemu, aby to miał być zwykły stan zamku sandomierskiego, znanego ze spokoju i ciszy. Wydało mu się też, iż między przybyłymi gośćmi widział jakieś krakowskie, znane twarze. Zdziwiło go i to, że po rozmowie z Goworkiem, kilku niespokojnie ku oknu jego spojrzało, od którego się cofnął — wszyscy zaś rozjeżdżać się zaczęli.

Rozmowy w podwórcu, choć tuż o okien, tak były cicho prowadzone, że Mierzwa słowa z nich pochwycić nie mógł. Sam tedy z ruchu tego nic nie mogąc pewnego wywnioskować, musiał do pomocy wezwać sługę, którego na obraz i podobieństwo swe wykształcił. Chłopak, czysto krakowskie dziecko uliczne, zwał się Pawłek, a wybrany był z tych żaków, co od domu do

domu chodząc i żywiąc się o łaskawym chlebie, do szkoły biskupiej chodzili. Sprytny był, jak ogień, a że go pan do różnych posług używał, zepsuty i przebiegły, jak on. Nie wzbudzał podejrzenia, bo niepocześnie wyglądał, wszędzie go więc bezpiecznie posłać było można z uszami po język.

W Krakowie samym już był Pawłek zaprawiony do tych posług, umiał się podkradać, zręcznie, gdy było potrzeba, udawać głuptaszka, a pochwycić zawsze słówko jakie.

Mrugnął nań Mierzwa, poszeptał mu coś i Pawłek wnet się znalazł w podwórcu, wsunął pomiędzy konie, nie obawiając się, aby go który poczęstował nogą, wśliznął się między ludzi, tu przysiadł, tam podlazł, przerznął dziedziniec w różnych kierunkach i w niespełna godzinę powrócił do pana.

Wiedział on już, iż ziemianie przybywający niektórzy byli z krakowskiej ziemi, że przyjechali ze sprawami bardzo pilnemi, niektórzy na księcia czekać się obiecywali, inni bodaj za nim gonić chcieli. Zmiarkował i to Pawłek, że przybycie ich na zamek obudziło pewien niepokój, a Goworek straże postawił i ludzi od wrót posłał, by tam czegoś pilnowali.

Wszystko to razem Mierzwę mocno zaniepokoiło. Przyszło mu na myśl, że się coś wydać mogło, że księcia ostrzec pośpieszano, że i jego tu gotowi byli przytrzymać. Strach go ogarnął. Sam wyszedł na zwiady, ale gdy się ukazał w podwórcu, obcy ludzie znikać poczęli, gromadki się porozpierzchały, większa część na miasto wyruszyła. Goworka tylko zastał, którego badać począł, skąd tyle gości na Sandomierzu.

— A! to ziemianie nasi od Lublina — odpowiedział namiestnik, — sprawy nasze domowe. Książę ma miłość u wszystkich, inni go też i bez spraw żadnych nawiedzają z pokłonami.

— Mnie bo się zdało — przebąknął Mierzwa, — żem ja tu pomiędzy przybyłymi i pana Mikołaja, brata księdza dziekana Pełki, dojrzał.

Goworek popatrzał nań i rozśmiał się.

— Gdzie-zaś! A coby tu u nas Krakowianie robili — odpowiedział, — przecie swego pana mają. Z Krakowian my tylko czasami Kietlicza jednego widujemy, bo ten się aż tu zapędza na sandomierską dzielnicę, inni rzadko. Za pana Mikołaja wzięliście pewnie naszego Bufała Srokę, który do niego bardzo jest podobny.

Mierzwa wyraził się jeszcze ze swą za księciem tęsknotą, Goworek go pocieszyć nie umiał, bo o księciu słuchu nie było i żadnej nowej wieści.

— A ja tu tak bez miary i końca siedzieć nie mogę! — westchnął Mierzwa.

— A no — odparł żartobliwie Goworek — najdalej jeżeli do siedmiu dni poczekacie, za to ręczę, bo książę nigdy dłużej na łowach nie bawi.

Zakrzyknął podsędzia na to.

— Być jednak może, iż nocą lub jutro rankiem powróci — pocieszał namiestnik. — Zbiera się na burzę srogą, ława na zachodzie stoi okrutna, coraz czarniejsza, grzmi w niej i błyska, może go nawałnica do domu przypędzi.

Mierzwa tedy na noc pozostał, zabawiając znowu opata u wieczerzy. Nocą w istocie sroga burza nadciągnęła, ale książę nie przybył, nazajutrz pogoda znowu była piękna, już go się tak rychło nie spodziewano. Mierzwa wygoloną brodę gładził a włosy targał, sam nie wiedząc, siedzieć, czy jechać. Coraz mu tu było goręcej i niespokojniej, coraz nudniej bez zwykłych rozrywek, któremi sobie twardą pracę wynagradzał.

II.

Na brzask się brało, gdy książę Kazimierz z zamku wyjechał w sześć koni tylko. Przygotowanie do tej wycieczki musiało być wczesne, bo gdy z pacholęciem, co u drzwi śpiało, wyszedł rano, konie już stały wpogotowiu, na ludzi czekać nie potrzebował.

Stępa, pocichu ruszono za wrota ku miastu, potem

drożyną, nad wodą wierzbami obstawioną, która ku borom i lasom wiodła. Psów najlepszych wzięto nie więcej nad cztery, a księciu towarzyszyli ludzie, co z nim zwykle w lasy jeździli. Na czele ich Smok, podżyły człek, którego Łowczym nazywano, wierny i najulubieńszy Kazimierzowi, któremu on mówić nawet nie potrzebował, co chciał, bo się oczyma rozumieli.

Smok ten od dzieciństwa mu służył, dwa razy życie ocalił: raz, gdy się nań rzucił dzik, którego już przypadającego na włócznię wziął i przebił, drugi raz, gdy w bitwie na Rusi opadło go kilku wojów z maczugami, którymby nie był uszedł, gdyby Smok w pomoc nie naskoczył. Smok nie miał żony, ani dzieci, brata ni swata, a gdyby księcia nie pilnował, z nim nie jeździł, umarłby z tęsknoty. Zwali go, jak mówiliśmy, Łowczym, bo do łowów pokierowania miał pierwsze prawo, ale naprawdę nie opuszczał Kazimierza nigdy.

Wyglądał bardzo brzydko, ale człek był dobry z kościami, cudze dzieci bardzo lubił, szczenięta chował, ptaki karmił, a jeśli się komu krzywda działa, nie pytając, co zacz był, stawał w obronie. Ale spojrzeć było na niego, rzekłby kto, że na innej ziemi się rodził, gdzie słońce gorętsze na czarno opala, tak był ogorzały, przytem chudy. Włosa kręconego miał mało co, brody nic, wąsa żadnego, nosa niewiele, gęby dużo, a w niej zęby żelazne. Gdy się rozśmiał, z paszczęki mu, jak wilkowi, kły białe rzędem patrzały. Chudy, długi, zdawał się jak połamany, był niezgrabny, ale na koniu nikt tak, jak on nie jeździł; byle się go uczepił, najdzielniejszego zmógł. Na łowach, choć żubra za rogi gotów był pochwycić. Paskudna jego twarz, gdy się śmiał, tak się robiła poczciwą, że się nawet mniej brzydką zdawała.

Ludzie się go obawiali i lubili. Mógł co komu dobrego, to uczynił; dla siebie nie potrzebował wiele, surową rzepą gotów był żyć, głód znosił, jak nikt, bez wody tylko, jak koń, żyć nie mógł.

Ten Smok i pod nim kilku młodzieży składali cały orszak książęcy. Gdy wjeżdżali w wierzby, słońce je-

szcze nie schodziło — mrok był. Smok, po niebie popatrzywszy, na wieczór lub na jutro najdalej wróżył burzę. Rosy nie było nic, niebo wypogodzone jakoś strasznie i jak z ołowiu odlane. Już do lasów dojeżdżali, gdy się słonko pokazało i zaraz poczęło robić strasznie gorąco, choć lasem i cieniem jechać było znośnie.

Psy nie mogły nic zwietrzyć, tak w lesie było sucho. Dzień do łowów, żal się Boże!

Smok, za księciem tuż jadąc, parę razy o tem zagadał, ale książę ni zważał, ni odpowiedział.

Wjechali w las, a tu już Smok po jakimś znaku zmiarkował, dokąd zawrócą, bo psy zwołał i z ludźmi powoli przyzostawać zaczął. Książę coraz ich więcej wyprzedzał, konia pędził — nareszcie z oczu zupełnie zniknął.

Smok, jakby to była rzecz zwyczajna, wcale nie zważał na to, ludzi zagadywał i dopiero po niejakim czasie puścił się wrzekomo w pogoń za panem, ale go już śladu nie było.

Choć trąbkę miał na sobie, nie uderzył w nią i gromadka pod dowództwem Łowczego pojechała zwolna w las, hukając tylko, szukając niby, błądząc tam i sam do południa. Nareszcie na wzgórku pod dębami, gdzie była i trawa i woda, zatrzymali się dla spoczynku. Nikt się zdawał troszczyć zbytnio o to, że księcia nie było.

Smok ludzi swych poustawiał, zarządził strawę, kociołek na ogień dano i popasano, nie śpiesząc wcale. Widać to było we zwyczaju.

Książę tymczasem w puszczę zajeżdżał głębiej coraz krokiem tak pewnym, jakby i on, i koń jego nie po raz pierwszy tę drogę przebywali. Musiało mu być pilno, bo konia ściskał a zażywał, na niebo patrzył, a popędzał.

Powietrze stawało się coraz skwarniejsze, czuć było przedburzę; koń cały okrył się pianą, czas było odpocząć, a Kazimierz jechał ciągle. Już było dobrze z południa, gdy zdala w lesie cicho ozwała się trąbka,

książę schwycił swoją, wiszącą na sznurze i odpowiedział raźno. Tak z jednej i drugiej strony pytano i odpowiadano coraz bliżej, aż zaszeleściało w krzakach i na koniu karym ukazał się jeździec, piękny chłopak młody — można go było wziąć za przebraną dziewczynę, taki był zręczny i urodziwy. Ale ubiór miał męski a koniem władał śmiało. Zobaczywszy Kazimierza, przyskoczył ku niemu, oba konie ku sobie zarżały, chłopak biegł, zwiesił się ze swojego i rękami objął Kazimierza za szyję.

Stanęły oba wierzchowce, nozdrza wyciągając ku sobie, a Kazimierz i Ściborzanka (bo ona to była) ściskali się w milczeniu.

Twarzyczka Jagny, rumiana od gorąca i wzruszenia, świeciła radością, Kazimierza oblicze stało się dziwnie wesołe i promieniste. Rozśmieli się ku sobie — szczęśliwi. Dziewczę chwyciło cugle, puszczone na chwilę dla uścisku, i wnet oboje, jakby się wyścigać chcieli, w cwał puścili łąką ku gajowi, wśród którego górą widać było dym.

Lecieli czwałem, ale ich konie tak były nawykłe dotrzymywać sobie kroku, że szły głowa z głową i jeźdźcy mówić z sobą mogli a śmiać się do siebie, nie troszcząc się i nie kierując niemi.

Widok był osobliwy tych dwojga koni i ludzi tak jakoś dobranych, jakby ich czworo stanowiło jedną skrzydlatą, wesołą istotę.

Śmiały się im twarze i drgały usta, oddechu brakło na mowę, oczyma tylko wiodła się rozmowa. Z dwojga jednak twarzy tych równie pięknych, Jagny była weselszą i szczęśliwszą; w Kazimierzowej z poza szczęścia patrzała ukryta troska, jak z poza przejrzystej zasłony druga suknia przegląda. W oczach, blasku pełnych, zdała się połyskiwać łza ukryta, na ustach w uśmiechu była boleść, czoło wypogodzone przebiegały chmurki, które rozpędzało wejrzenie Jagny.

Biegli tak, nie patrząc na konie, które same drogę sobie znajdowały, omijały trzęsawiska, zdały się po niewidzialnej dla oczów, a znanej sobie lecieć ście-

żynie, aż dobiegły do gaju, w którym brzozy pochylone, stojące na skraju, zdały się oddawać pokłon przybywającym. Przez pnie ich białe, gdzie niegdzie wysoko rozrosłemi sosnami poprzedzielane, wdali przeglądało domostwo, coś jak kmieca osada, jak obejście wieśniaka, ale od obojga schludniejsze, jakby dom ziemianina na nowinach.

Dokoła wysoki ostrokół ogradzał dziedziniec, wśród którego brama wielka z dachem, słomą krytym, stała szeroko otworem. Poza nią widać było niski, obszerny dwór i zabudowania gospodarskie, studnię z żórawiem wysokim, szopy i na słupach nieociosanych sparte odryny. W podwórku kilku zprosta odzianych ludzi kręciło się, jakby na przybywających oczekiwali, kilka schludnie przybranych niewiast wyglądało ze drzwi jednych.

Tętent zbliżających się koni wywołał parobków, którzy już stali do przyjęcia wpogotowiu.

— Tyś tu już nie żaden książę, nie pan, ale gość mój! — zawołała Jagna — mój miły, wybrany, którego nikt nie zna i znać nie powinien. Pamiętajże o tem, byś mi się z wielmożnością swą słowem, ni ruchem nie zdradził.

— A! tu ja twoim sługą — odparł wesoło książę, — a Bóg widzi, że nie pożałowałbym księstwa mojego, gdybym z tobą...

— Cicho! dość! — przerwała Jagna. — Już nas posłyszeć mogą.

Zmęczone konie stały pod słupiastą podsienią, parobcy poprostu, ale czysto odziani, do stóp się skłoniwszy, schwycili konie za uzdy, ale tego nie było potrzeby, bo one same stanęły oba, a gdy Kazimierz i Jagna zsiedli — razem się ku stajni zwróciły.

Na przyjęcie gościa od progu izby były wysypane świeżym kosaćcem wonnym, drzwi i okna stały otworem. Wesoło było na dworku, którego izby i komory, jakby nikt w nich nie zamieszkiwał, świeże były i czyściuchne. Nie zbywało w nich na niczem, ale co było sprzętu i dostatku, proste i wiejskie. W drugiej izbie

już umyślnie zgotowany był stół, pokryty białym czerwono wyszywanym obrusem. Widać na nim było dzbanki i kubki, świeży chleb pozłocisty, od którego się woń rozchodziła, podpłomyki, kołacze. W misach stało mleko, masło, ser, poziomki i grzyby wiosenne.

Nie zważając na ludzi, którzy nawskroś przez drzwi otwarte patrzeć mogli, Jagna rzuciła się księciu na szyję i w długim zatrzymała go uścisku, oddanym namiętnie — książę podniósł ją w silnych rękach, zamiast pochylić ku niej. Postawił ją potem lekko na ziemi, zobaczywszy, że niewieści dwór już z kuchni szedł, niosąc misy, parujące wyziewem mięsiwa, który się rozchodził dokoła.

Oboje gwarząc, ręce wyciągali do misy, a Jagna starała się księcia rozweselić, bo czuła, mimo uśmiechów, że przybył smutniejszy, niż zwykle.

Nalała mu wina, które umyślnie dlań przygotowane we flaszy stało, sama podała kubek. Sprzeczali się, kto pierwszy pić będzie, chwytali za ręce, pochylali ku sobie; Jagna ciągle białe ząbki pokazywała, każąc mu być wesołym.

Tak zbiegła krótka chwila u stołu, książę wprędce chlebem i winem był syty — jeść nie mógł. Jagna powoli z trzpiotowatego wesela, jakby zarażona skrytym jego smutkiem, zachmurzyła się.

— W izbie siedzieć zaducha — zawołała, — ino nie widać, jak nadciągnie burza... Ja ją już czuję; chodźmy do pasieki, siądziemy pod lipą.

Książę wstał i, jak dwaj dobrzy towarzysze, bo Jagna męskiego stroju nie zrzucała, wziąwszy się pod ręce, przeszli dziedziniec ku bliskiej pasiece. Mały płot dzielił ją od niego.

W głębi widać było ule, zprzodu stało kilka lip starych, którym się właśnie na wczesny kwiat zbierało. Trawa pod niemi była zielona i miękka, świeża, jak kobierzec tylko co utkany.

Siedli oboje pod pniem. Tu nie było nikogo, cisza błoga, szelest drzew, które czasem, jak drżenie jakieś

poruszało i usypiało znowu. Wdali świergotały ptaszęta, brzęczały pszczoły.

— Coś mi gość przybył z chmurą na czole — zawołała Jagna, — a tu, do Gaju, nie godzi się z miasta przynosić troski. Co wam?

— Nic mi; burzę tylko czuję i ciężko na piersiach a głowie — rzekł Kazimierz, uśmiechając się.

— Jabym burzy była rada — mówiła Jagna, — potem się lżej oddycha. Niedługo czekać, a zaszumi i zahuczy.

Książę westchnął i dłonią potarł czoło.

— Tak — ciągnęła dalej Jagna, — musi burza przyjść i przejść, aby nam potem dobre zaświeciło słońce. Moje słonko, to wy!

Uśmiechnął się.

— Nie wiecie wy nic, jakie tu mieliśmy odwiedziny; jakby wróg zdobywał zamku.

— Napad jaki? — spytał trwożnie książę.

— A tak! — kończyła Jagna. — Mieszkowy ulubieniec Kietlicz, któremu wszystko widać wolno, zabłądził do nas, choć to przecie Sandomierska właść czyjaś inna. Chciał aż wrota wyłamywać, że mu nasi ludzie przewodu nie dawali. Wdarł się do chorego ojca i gościa, co u nas był, który starego bronić chciał, związanego uprowadził.

Zachmurzyło się mocniej jeszcze czoło Kazimierza.

— O, ten Kietlicz! — zawołał. — Brat Mieszko, ręczę, nic o tem nie wie, a on mu wrogów przyczynia.

— Władzy mu się chce! władzy — zawołało dziewczę — coraz większej, a tej mieć nie będzie, nie będzie! nie!

I widząc, że Kazimierz się marszczy, dodała żywo:

— My wszyscy jednego, zwierzchniego pana mieć chcemy i mieć będziemy, musimy! Mój pan będzie wszystkich panem!

I namiętnie rzuciła mu się na szyję. Kazimierz zlekka ją od siebie odtrącił.

— Jagno! — zawołał — nie mówże tego, abyś mi nie psowała serca! Czy ci moje szczęście, mój spokój

nie miły? Znasz ty mnie, czy nie? Ja nie pragnę nic! Sandomierzabym się prędzej zrzekł dla tej chaty. Tyś niepoczciwa!

— Ja chcę, byś miał pańskie serce i pragnął więcej! — zawołała nieposłuszna Jagna, nie dając się odepchnąć. — Chcę, żebyś był wielkim królem, wojownikiem, bohaterem; bym sobie mówić mogła: ten wielki jest mój!

— Tak! I ten wielki, a nieszczęśliwy naówczas już twoimby być nie mógł, ani przyjeżdżać do Gaju, ani tak z tobą usiąść na trawie pod lipą i Jagnę swą ściskać.

To mówiąc, pochwycił ją w ramiona, ona pochyliła się ku niemu, na piersi jego położyła głowę i zadumała smutno. Łzy się pokazały na powiekach.

— A! niewiedzieć czego chcieć — odezwała się. — To szczęście, co jest, ktoś mi je odbierze, niechby choć drugie zostało — duma w sercu!

— Dlaczegóż ma ci kto mnie odbierać? — rzekł Kazimierz. — Byleby mi spokojnie dali zostać w Sandomierzu.

Dziewczę mu się wyrwało i siadło.

— Nie! nie! Na Sandomierzu mojemu panu siedzieć mało, wart on Krakowa i korony. Nie ja to mówię, ale świat cały. Ziemianie wołają jednym głosem, zmuszą cię!

Kazimierz prawie gniewnie zacisnął jej usta dłonią, którą ona całować zaczęła.

— Aż tu mnie prześladuje ta nieszczęśliwa dola moja! — zawołał. — Nigdzie od niej spokoju, nawet tu! Nawet ty mówisz o tem, gdzie jabym rad zapomnieć, co mnie przygniata. A! nigdzie spokoju!

Wymówił to z taką boleścią, że Jagna się nią poruszyła i poczęła go ręką białą głaskać po czole i twarzy.

Szeptali cicho.

Wtem słońce, które pałało i doskwierało — nagle jakby gdzieś się skryło, cień jakiś padł na pasiekę, na dwór, na las. Pół nieba jeszcze było jasnego, za drze-

wami chmury nadciągające się kryły, zasłaniając już słońce. Powietrze było ciężkie, cisza grobowa.

Przez las przebiegł nagle jakby pęd lecącego wichru, drzewa się zakołysały, zaszumiały, gałęzie zatrzeszczały i ucichło znowu. Jagna podniosła głowę. Nad nimi jeszcze niebo stało jasne.

— Chodźmy do izby — rzekła, powstając, — burza nadciąga.

Kazimierz wstał leniwo milczący. Po rozmowie ciężej na sercu stało się jeszcze. Jagna próżno go się starała rozweselić. Pobrawszy się pod ręce, znowu poszli do dworku, którego izby stały puste otworem i, nie zatrzymując się w pierwszych, pociągnęli do małej komory o jednem oknie.

Tu na posłaniu leżały zrzucone niewieście szaty Jagny. Pod oknem stała ława z poduszkami, a z okna w głąb lasu widać było daleko przez dęby stare łąki zielone, które szmaragdowo przeglądały.

Choć w dworku nic jeszcze słychać nie było, w lesie już drzewa gięły się gwałtownie, gałęzie wiły, liście z nich oberwane leciały, robiło się coraz ciemniej, coraz nocniej, choć do wieczora dość było daleko, mrok jakby schyłku dnia zalegał okolicę. I pierwszy grzmot głuchy rozległ się po lesie, a pierwszy błysk przedarł ciemności, szumem strasznym odezwały się bory. Ludzie przerażeni kryli się pod dachy.

Jagna i Kazimierz z rozkoszą prawie patrzyli na to nagłe zawichrzenie, dziewczyna wyglądała z dziecinną ciekawością. Burza nadciągała z pośpiechem wielkim, pędem i gwałtownością niesłychaną, grzmot nie ustawał, jeden zlewał się z drugim, błysk następował po błysku, pioruny biły w lesie. Ulewa z gradem szły od niego, zbliżyły się, zakryły widok, szarą oponą zasłoniły drzewa. Grad kamienny bił po dachu dranicowym. Jagna nie zasuwała okna, owszem, wychyliła głowę, jakby ochłodzić i obmyć ją chciała.

Tak siedząc u okna przy oślepiających błyskach i szumie burzy, mieniając zaledwie słowa, dosiedzieli aż do nocy. Wicher zaczynał ustawać powoli, powie-

trze ostygło nagle, ale deszcz lał jeszcze ulewny i blade błyski oświecały podwórze i izbę.

Jagna wyszła, aby kazać podać wieczerzę i światło

Wszystkich ludzi znalazła w przedsieni, oczekujących i przypatrujących się odchodzącej nawałnicy, która w bliskości kilka drzew obaliła i strzaskała. Właśnie się miano zakrzątnąć około światła, gdy Jagna, która wyszła pod słupy, usłyszała wołanie od zamkniętej bramy.

Dobijano się do niej, krzykami coraz silniejszemi domagano się wpuszczenia wewnątrz. Rozpoznać było można kilka różnych głosów męskich, powtarzających ciągle:

— Wrota! otwierać wrota!

Najście to było cale niespodziane, bo do chaty w Gaju mógł zajrzeć chyba zabłąkany podróżny. Stała nauboczu i nikt tu nigdy nie widział gości. Jagnie krew uderzyła do twarzy. Ani sama kryć się chciała, ani księcia na poznanie narazić. Zresztą wiedzieć nie było można, kto się wpuszczenia domagał, i czy nie jaka szajka zbójców leśnych chwilę tę sobie upatrzyła do napadu.

Kazimierz na wieść o przybyszach rzucił się do miecza naprzód, ale przeciwko dwudziestu zbrojnych oporu stawić nie było można. Chciał potem z Jagną razem uchodzić w lasy, lecz trzeba było zaczekać i widzieć, a wiedzieć, co byli za ludzie, którzy się tu nocą, na bezdrożu znaleźli kupą taką.

Z za drzwi słyszeć było można, gdy nadchodzili.

Gdy stary sługa pobiegł im otwierać wrota, stanął przed nim cały zastęp jezdnych, którzy natychmiast, złorzecząc, na podwórze się wtłoczyli z naleganiem: czyja chata była, kto w niej gospodarzył?

— Podczas gospodarza niema — odparł sługa — a panem naszym jest Ściborzyc. My tu słudzy, a już i tak gości mamy zajezdnych (tak mówić mu kazano); nocą nam nikogo puszczać nie wolno.

Starszych trzech, jadących na dzielnych koniach z pięknym orężem, poczęli wołać:

— A toć nie zbóje jesteśmy; w burzę i słotę nikt dachu zbłąkanym nie odmawia. Licho w drodze obłęd i burzę nadało!

Nie pytając więcej, poczęli zsiadać z koni, otrząsali się z wody i pytali zaraz o najbliższą drogę do Sandomierza, którą po nocy zgubili.

Jeden stary z siwą brodą wszystkim im przodował, pańskiej był i rycerskiej postawy, dumny i butny, mówił głośno i wrzaskliwie.

Dwu towarzyszących mu młodszych, nawykłych widać także do rozkazywania, rozgaszczali się, nie hamując głosów. A że się pod strzechę dostali z ulewy, już im szpary odchodziły, gwarzyli wesoło, stukali i hukali, wcale się nie troszcząc, czyj dom był.

Nagle drzwi od izby sąsiedniej otwarły się i wszedł Kazimierz.

Chłopak był wprzódy jeszcze nadbiegł z drzazgami, więc w izbie widno już było. Goście odwrócili się do wchodzącego. Żaden z nich Kazimierza i on żadnego z nich nie znał; postrzegłszy jednak tę piękną, urodziwą i wspaniałą postać, dorozumieli się, że nielada człeka mają przed sobą. Strój też, acz skromny, zdradzał pana, a wiszący na piersi rożek myśliwski, rzeźbiony z kości słoniowej, sam już, jako rzecz droga i osobliwa oznaczał, że mieli do czynienia z kimś majętnym i dostojnym.

Zobaczywszy go niespodzianie, wszyscy trzej, nim się zebrali przemówić, długo mierzyli go oczyma.

— Niech Bóg będzie pochwalony! — odezwał się książę głosem jasnym — witam gości! Jam tu nie gospodarz, ale Ścibora ze Ściborzyc krewny; na łowy zjechałem do niego. Burza mnie tu, jak was zaskoczyła. Z biedy gospodarza muszę zastępować.

Starszy się skłonił nieco.

— Jestem Lassota ze Steblowa — rzekł, — a choć na Śląsku mam mienie i w Krakowskiem też ojczycem jestem. Oto mój towarzysz, Jaśko Bogoryja, a to Leszczyc młody.

Skinął Kazimierz na sługę, aby wieczerzę dawano.

— Radem, że was tu widzę — rzekł, — a nie kogo innego, bo gdy do wrót wołano, myślałem, że leśni włóczędzy.

Uśmiechnął się.

— Jam tu sam, ludzi nie mam, wybierałem się już uchodzić chyba.

— Ano, miłościwy panie, nie wiemy jeszcze, kto jesteście? — przerwał Jaśko Bogoryja.

Kazimierz się zawahał trochę, ale poznać się im dać nie mógł; odparł po krótkim namyśle:

— Sandomierzanin jestem, Busław z pod Sulejowa.

Wymówił to jakoś głosem niepewnym; ciężko mu było.

— Cośmy to o was nigdy nie zasłyszeli? — odparł stary Lassota. — Ja niemal wszystkich ziemian sandomierskich znam.

— Długom się włóczył zagranicą, po Niemczech— rzekł Kazimierz raźniej — nie dziw, żeście o mnie nie słyszeli. A was tu jaki traf przyniósł? Droga tędy nie wiedzie żadna.

— Prawe licho! — zawołał Bogoryja. — Zbiliśmy się szkaradnie z gościńca; jedziemy bardzo pilno do Sandomierza.

— Gościniec stąd daleko! — rzekł książę.

— Myśmy też dawno go zgubić musieli, a wszystkiemu winien Zbożek, sługa Lassoty, który przewodu zaniechał brać, ufając, że wszędzie trafi, i ot, w jaką nas zapchał dziurę.

Gdy tak rozmawiali, nad wszelkie ich spodziewanie, dostatnią wieczerzę poczęli nieść ludzie, aż się zdumieli. Książę Kazimierz zapraszał. Siadł więc stary Lassota na pierwszem miejscu, młodzież dalej, a gospodarz w końcu stoła.

— Pożywajcie i posilajcie się zdrowi — rzekł do nich, — jam już syt.

Dostatkowi, który znaleźli w lichym dworku, nie mogąc się wydziwić, głodni łapczywie się raczyć zaczęli, aż Lassota, popatrzywszy na księcia, zapytał:

— Wyście też Sandomierzanin, miłościwy Busławie?

— A tak — odparł książę.

— Swojego pana znacie pewno i miłujecie? — dodał stary.

Książę się zarumienił.

— Małom go widział — rzekł, — bo jako mówiłem, nie siedziałem doma.

— Z nas też go żaden w oczy nie oglądał nigdy — mówił Lassota — oprócz mnie; ale on wówczas jeszcze małem dzieckiem był. Dobry pan, wszyscy go chwalą.

Spuścił głowę Lassota, napiwszy się trochę, począł być szczerszy i dodał po chwili:

— Co mamy taić przed wami, toć swoich nie zdradzicie. My do niego, do Sandomierza ciągniemy.

— Do niego? — zapytał nieśmiało książę.

— Tak jest — ciągnął dalej Lassota. — Cała ziemia krakowska do niego wzdycha! Musi nam panem być. Nie pomoże nic. Słaliśmy byli do niego naprzód jednego zaufanego człeczka, aby mu doniósł o tem; Kietlicz go pochwycił i uwięził. Wybrało się nas więcej różnemi drogami. Musimy go mieć!

Książę słuchał pomieszany.

— Ja tyle wiem — odparł po namyśle, — że on rad spokojnie na Sandomierzu siedzieć, a o panowaniu na Krakowie słyszeć nie chce. Znam Goworka, mówili mi inni przyboczni. Wiecie, że za Kędzierzawego już nalegano nań, a przeciwko bratu iść nie chciał.

— Wszystko my to wiemy — zawołał Bogoryja, — ale kiedy go ziemianie wołają, musi iść!

— A cóż przeciw Mieszkowi macie? — zapytał książę.

Tu wybuchli wszyscy razem:

— Kat jest, a nie pan! precz bo z nim! Ziemianie sobie na karki jarzma nakładać nie dadzą!

— Pójdzie precz, pójdzie!

— Jam bliżej tych dzisiejszych spraw nieświadom — rzekł książę; — wiem tylko, że na miejscu Ka-

zimierza nie przyjąłbym stolicy, na której i najlepszemu usiedzieć trudno. Wszystkim nigdy nie dogodzi, a byle się znalazła garść niechętnych, to go obalą.

— Nie garść nas jest — krzyknął z oburzeniem Lassota. — Wy nie znacie, ani wiecie, co się u nas dzieje! Nie garść niechętnych idzie na Mieszka, ale do nogi wszyscy! Z nim niema nikogo!

Drażliwa rozmowa na tem się przerwała nieco. Lassota począł oknami wyglądać.

— Pilno nam strasznie do Sandomierza — dodał. — Gdyby nocą, jak księżyc zejdzie, można ruszyć, gotowibyśmy jechać, ale kto poprowadzi? Księciu Kazimierzowi jedziemy oznajmić, aby wezwaniu brata, który posłał po niego, zadość nie uczynił. Woła go do Krakowa, a gdy tam przybędzie, kto wie, jaki go los spotkać może! Szkoda pana!

Zbladł Kazimierz.

— Wiecie, że posłano po niego? — spytał zmienionym nieco głosem.

— Wiemy na pewno, iż podłego służkę, podsędziego Mierzwę wyprawiono z rozkazem, aby Kazimierza z sobą zabrał i przywiózł — rzekł Lassota. — Wiemy wszystko, co się na zamku dzieje, bo tam już trupa czują ci, co go otaczają i służą nam, nie jemu.

— A i to prawda — dodał Jaśko, — że nasza czeladź tak samo nas zdradza, bo przez nią Zabora straciliśmy.

Poczęli się śmiać.

— Tych łotrów, co i Kietliczowi służą, na palcach zliczyć — dodał stary, a my wszystkich mamy z sobą. Mieszek ani wie, ani czuje, jak się ziemia rozstępuje pod nim. Dni jego policzone. Biskup Gedko, wojewoda Szczepan, wszyscy z nami!

Kazimierz, zafrasowany, nic nie odpowiedział na to.

Wieczerza się dawno skończyła.

Niebo było wypogodzone, księżyc się z za lasów wydobywał. Lassota, z za stoła wstawszy, gdy postrzegł, że jaśniej się zrobiło, pilno o przewodnika się

jął upominać, Książę Kazimierz sam wyszedł, aby słudze dać rozkazy i polecić milczenie, gdyby go rozpytywano.

Z północy niespokojna gromadka, wypiwszy, co było, podochocona, może niezbyt rada z gospodarza smutnego i milczącego, poczęła nagwałt wyrywać się z Gaju. Nie zatrzymywano ich.

I tak, jak burza druga, zaszumiawszy, wyjechali nazad z okrzykami, dziękując za gospodę, jadło i napój.

Książę Kazimierz stał jeszcze u wnijścia, patrząc za odjeżdżającymi, gdy ztyłu nadbiegła Jagna i rzuciła mu się na szyję. Twarz miała jaśniejącą, co dowodziło, że podsłuchała rozmowę. Nie dając się opamiętać księciu, pociągnęła go za sobą.

— Będziesz królował na Krakowie — wołała, — bo tak chce Bóg... i ja!

III.

Gdy Stacha wrzucono do ciemnicy, po pierwszej chwili osłupienia mężny człek, cokolwiek przyszedłszy do siebie, nie tracąc czasu, izbę swą opatrywać, albo raczej obmacywać począł, bo światła w niej było mało. Oprócz wnijścia i okienka zakratowanego gęsto, nie było w niej nigdzie szpary, otworu, któryby do wydobycia się nazewnątrz mógł posłużyć.

Ze szmerów i głosów, które go dochodziły, nic nie mógł zmiarkować. Myśli różne roiły mu się, nadziei nie tracił. Żałował tylko zmarnowanego czasu, który tu przesiedzieć musiał.

Czuł, że się tam właśnie na świecie rozstrzygać będą losy księcia Kazimierza i Mieszka; jemu dostało się siedzieć bezczynnym, zapartym, nie wiedzieć o niczem i nie móc nic robić!

Przeklinał siebie, iż Żegcia, który go ostrzegał, nie posłuchał a z gościńca nie zjechał; obwiniał nieopatrzność swoją i trapił się tem bardziej, że pokutował za własną winę.

Szczęściem, gdy Bereza go brał, z wielkiej radości i pośpiechu zapomniano go obedrzeć. Miał więc i trochę srebra w kieszeni i ów łańcuch złoty, który mu zwrócił Juchim. Rachował, że się to na coś przydać może.

W tych myślach usnąwszy, nie obudził się, aż pachołek milczący, drzwi odemknąwszy, przyniósł mu chleb i wodę. Chciał z nim jaką taką rozmowę zawiązać Staszek, ale głową pokiwawszy, stróż mu nawet nie odpowiedział.

Przez cały dzień następny nie oglądał ludzkiej twarzy, słyszał tylko niedaleko rżenie koni, wrzawę, rozmowy, hałasy ludzi swobodnych — ale do niego nie zajrzał nikt.

Pod wieczór z gniewu i zmartwienia Stach chorym się czuł.

Gdy znowu nocą uspokoiło się wszystko, wrócił do swego zajęcia, począł po izbie macać, rozglądać się, drzwi próbować. Ogarniał go niepokój coraz większy. Nie mogąc zasnąć, dotrwał tak do białego dnia i przyjścia stróża, z którym już rozmowy nie próbując, począł od tego, że mu dał kilka pieniążków.

Pachołek popatrzał zdziwiony na nie, potem na Stacha, mruknął coś do siebie, drzwi zaryglował i poszedł. Wieczorem w dowód wdzięczności przyniósł świeżej wody.

— Znasz Juchima, skarbnego? — zapytał Stach.

Stróż milczący począł trząść głową, nie odpowiadał nic, i po długim namyśle i wahaniu wyrwało mu się.

— A, he!

— Powiedz mu, aby tu przyszedł do mnie. Powiedz, że tu siedzi ten, co mu winien siedemdziesiąt grzywien i chce je oddać. Rozumiesz! On ci da coś za to!

Wcisnął mu znowu kilka pieniążków. Stróż stał długo, skrobiąc się, jak osłupiały. Niełatwo mu przychodziło myśli zebrać, spamiętać nazwiska; nierychło też dopiero rozważywszy wszystko, skinął głową i rzekł:

— A, he!

Z tem poszedł.

Gdy się Stach obudził następnego poranku i drzwi otworzyły, postrzegł w nich chudego Juchima w wysokiej czapce, który z obawą zaglądał do więzienia, nie chcąc przestąpić progu.

— Na miłość Boga — zawołał, biegnąc ku niemu Stach, któremu na drodze stróż stanął, — uwolnij mnie stąd, bo inaczej grzywny twoje ze mną przepadną. Nie wiem, za co mnie pochwycono, nie jestem nic winien.

Juchim, czesząc rzadką brodę palcami, usta podniósł do góry.

— Nie winien! — począł mruczeć. — Aha! nie winien! Was teraz ani wymodlić, ani wykupić, choćby za dwieście grzywien.

— A za trzysta? — przerwał Stach.

— Hm! kiedy wy i jednej nie macie — rzekł skarbny chłodno.

— Ale ziemię mam; sprzedam ją, zastawię, a zapłacę! — wołał Stach.

Juchim ręką zamachnął w powietrzu; wtem stróż, szelest jakiś posłyszawszy, rozepchnąwszy ich co prędzej, drzwi zaryglował.

Znowu tedy dzień cały zszedł na próżnem dręczeniu się myślami. Pod wieczór, dosięgnąwszy okna, począł więzień próbować, czy go nie potrafi wyłamać; ale gdyby się to nawet udało, przekonał się, że przez ciasny otwór wydobyć się nie potrafi.

Padł tedy zrozpaczony na słomę.

Późno już, gdy wokoło ucichło wszystko, drzwi się bardzo ostrożnie i bez szmeru odryglowywać poczęły, z ciemności posłyszał Stach głos Juchima. Pobiegł do drzwi, które mu stróż zapierał ręką, jak żelazo twardą, aby się za próg nie wydobył, ale mówić nie bronił. Rozmawiać przy nim można było śmiało, gdyż rozumiał mało, albo nic.

Juchim szeptać począł:

— Chcecie być wolni, mało przysiąc na trzysta

grzywien, trzeba też przysiąc, że panu naszemu wiernie służyć odtąd będziecie.

Stach chwilę nie odpowiadał.

— Albożem ja go zdradził? — zapytał.

Skarbny zamruczał coś. Sprawa była trudna. Do przysięgi naówczas większą, niż dziś, wagę przywiązywano: była obrzędem świętym, składano ją przed Bogiem. Popełnić krzywoprzysięstwo nie w namiętności i uniesieniu, ale z rozmysłem, było grzechem śmiertelnym. Stach nie mógł się ważyć na to, nawet dla odzyskania swobody i milczał.

Chwilę jeszcze stał skarbny, pomrukując i jakby oczekując odpowiedzi, potem stróż począł naglić, aby odchodził i drzwi się zamknęły.

Nie było więc ratunku.

Nocą Stach powrócił do okna. Zabite było łatami zewnątrz, ale wyrwać je nic zdawało mu się niepodobieństwem. Cóż, gdy otwór ciasny ledwieby był dziesięcioletnie dziecko przepuścił. Napróżno się około niego znużywszy, Stach legł znowu na barłóg, przeklinając swo dolę; żadnej już nie miał nadziei oswobodzenia, chyba porywając się na stróża i zamykając go na swem miejscu. Było-li to możliwe?

Kilka dni przeszło na chorobliwym śnie i próżnych rozmysłach.

Jednego ranka, gdy się ruch wielki dał słyszeć na podwórzu, zdało mu się, że posłyszał podniesiony bardzo, jakby naumyślnie, głos Żegcia. Spierał się o coś z drugim. Stach dowiedział się, że wolnym był i że około koni jakichś pełnił służbę.

Nadzieja wstąpiła w serce, bo Żegieć uwolniony, (Stach był pewien) musiał się starać, aby go wyswobodzić.

W istocie tejże nocy zaskrobało coś do okna; Stach podlazł prędko. Na drabince od siana, ze stajni pochwyconej, stał Żegieć. Stach począł doń wołać natarczywie:

— Człecze, jeśli ty Boga masz w sercu, ratuj mnie, albo zdechnę rychło! Nie wytrwam!

Żegieć szepnął, aby był spokojny. Dodał, że o oknie nie było co myśleć. Drugiej nocy miał się sługa pod ścianę podkopać, we dwu mogli tę robotę dokończyć przed rankiem. Stanęła o to umowa.

Nie śpiąc już, nie jedząc i nie pijąc, Stach czekał zapukania do ściany, aby wiedzieć, gdzie ze swej strony ma się wziąć do roboty. Gdy się wszystko uśpiło, dało się słyszeć drapanie i szmer; Stach, który był gotów, ze wnętrza też począł kopać, natychmiast rękami ziemię jął odgrzebywać.

Nie była to robota łatwa, nie mając ani deseczki, ni kija do pomocy, ale pragnienie oswobodzenia sił dodawało.

Żegieć ze swej strony pracował pilnie i żwawo, chociaż przeszkadzali mu jacyś przechodzący, których to tem, to owem zbywał. Po północy doły, z obu stron wygrzebane, niewielka już od siebie przestrzeń dzieliła. Ściankę tę udało się obalić nareszcie. Stach bodaj z największą męką postanowił wydobyć się ciasnym otworem. Rozszerzono go nieco, czasu nie było do stracenia i więzień dał się wyciągnąć zgnieciony i pokaleczony. Wydobywszy się z jamy, Stach naprzód poczciwego sługę uściskał, zdało mu się, iż wykradzenie się z zamku było rzeczą stosunkowo łatwą. W podwórcach panowała jeszcze cisza głęboka, około wrót tylko słyszeli zdala ciężkie stąpające straże.

Ale Żegieć wszystko był naprzód obmyślił, powiódł więc pana swego do upatrzonego miejsca na wałach, skąd, jedną deskę wyjąwszy w zagrodzie, mogli się nadół spuścić, bo tu pilności nie było. Po nocy w miejscu nieznanem zejście z okopu było trudnem, ale ówcześni ludzie mieli instynkta, które ich w złych razach ratowały. Przeczuwali, czego widzieć nie mogli.

Stach i Żegieć obsunęli się, chwytając za krzewy i trawy, aby zbyt gwałtownie nie spaść nadół i znaleźli się z wielką radością swą u stóp góry, od strony rzeki. Tu jednak popadali znużeni, długi czas tchnąć nie mogąc, a na spoczynek czasu nie było. Uchodzić dalej musieli co rychlej, dopókiby dzień, którego już

brzaski widać było, nie zdradził ich ucieczki i nie wywołał pogoni. Żegieć przypomniał sobie, że deski wyjętej ztyłu zatknąć zabył, a ta drogę ich wykazywała.

Wstali więc, biegnąc ku rzece. Szczęściem znalazł się u brzegu stary czółen, do kołka przymocowany, choć bez wiosła. Żegieć oderwał go, wskoczyli oba i puścili się z biegiem rzeki, byle tylko od zamku oddalić.

Dniało już dobrze, gdy Wisła ich unosić zaczęła. Stach położył się na dnie czółna, a Żegieć, rękami obnażonemi w wodzie robiąc, wiosło i ster musiał zastępować niemi.

Prąd rzeki dosyć bystry, bo wody jeszcze szły wiosenne, prędko ich uniósł poza miasto i osady otaczające.

W pierwszym kątku, trochę osłonionym wierzbami i łoziną, Żegieć przybił do lądu i oba wyskoczyli, aby się skryć w zaroślach a obmyśleć, co mieli poczynać dalej. W biały dzień po okolicy snuć się nie było bezpiecznie... Stach też tak był znużony więzieniem, kopaniem, wygrzebywaniem się, ucieczką, iż potrzebował spoczynku. Jakkolwiek silny i zahartowany, omdlewał; Żegieć, czując się silniejszym, miał tymczasem szukać jakiegoś sposobu do dalszej ucieczki, sukien, koni, drogi.

Dostarczyłby pewnie wszystkiego pierwszy lepszy z ziemian krakowskich, ale kędy ich szukać było? Wschodzące słońce zastało ich głodnych, znękanych, zaszytych w gęste łozy, rozmyślających jeszcze o ratunku. Żegieć radził, aby Stach tu pozostał, ofiarując się ruszać na zwiady. Nie był tak bardzo znanym, aby mu groziło niebezpieczeństwo, a zręcznym wielce i ze wszystkiem obytym. Jeszcze się naradzali, gdy na łąkach nad Wisłą tu i owdzie ukazały się trzody i pastuszkowie.

Żegieć ku pierwszemu z nich pośpieszył po kawałek chleba. Dostawszy kromkę dla głodnego pana, odzież swą wywróciwszy na nice, umazawszy twarz błotem, odważny chłopak puścił się nazad do miasta.

Miał myśl naprzód przekraść się do dworu Leszczyca i tam szukać pomocy.

Przez ogrody, ciasne uliczki i opłotki, pomijając ludzi, czyniąc się starym i udając żebraka, Żegieć dotarł do dworku, ale tu wrota zastał zaparte, ciszę w nim i pustkę.

Po długiem śledzeniu we wszystkich kątach Żegieć nareszcie w sianie znalazł parobczaka, którego widział, gdy tu z panem stali. I ten niebardzo chciał być rozmownym, mało co też wiedział, mówił tylko, że panowie, jakąś wiadomość otrzymawszy, nocą, bardzo gniewnie, odgrażając i krzycząc, na konie siedli natychmiast i w różne się strony rozbiegli. O brzasku tegoż dnia przybył potem oddział żołnierzy z zamku, opasał dwór, wtargnął do środka, przetrząsając wszędzie, szukając i pytając, gdzie się Leszczyc podział. Parobczak jeszcze był wystraszony, bo go osmagano, chcąc z niego dobyć wiadomości, co się z panami stało...

Tu już więc pomocy żadnej nie mógł się Żegieć spodziewać, trochę jadła tylko wyprosił sobie do torby i wyszedł wielce zafrasowany.

Puścił się potem na miasto, sznurkując, czy gdzie nie spotka znajomych ziemian, których zawsze w Krakowie pełno bywało, ale miasto puściejsze było, niż zwykle, a ziemianina nigdzie ani śladu.

Niewiele myśląc, choć odarty i niepozorny, w nadziei, że mu tam zaufają, puścił się do dworu na Panieńskiem. Na pieszą przechadzkę było to kawał drogi, ale wozy włościańskie szły w tamtą stronę. Żegieć się przysiadł, wpraszał i tak się dostał do dworu Doroty.

Tu także pozamykane było i puściej, niż dawniej. Ostrożnie rozpatrując się dokoła, Żegieć znalazł sposób przemknąć się do drzwi i śmiało, a natarczywie począł domagać do pani samej, opowiadając, że posłany jest w bardzo pilnej sprawie.

Czekać musiał czas jakiś, nim do niego wyszedł Przegala i jął go rozpytywać od kogo i z czem przyby-

wał; Żegieć śmiało mu oświadczył, iż tylko z samą wdową mówić może. Zbywano go tem, że jej doma niema, rozpytywano się w nim, badano, wreszcie wyszła sama pani do niego z niespokojnym twarzy wyrazem, nadąsana i gniewna.

— Miłościwa pani — począł śmiało, do nóg się jej skłaniając, Żegieć — jestem sługą tego, który tu u was niedawno gościł z Jaśkiem Bogoryją; zwie się on Zabor z Przegaju. Stał się z nami przypadek straszny, chwycili nas ludzie księcia Mieszka, nie wiedzieć za co, na gościńcu, posadzili do ciemnicy, ledwieśmy się zdołali z wielką biedą, podkopawszy, uwolnić.

Wdowa poczęła ciekawie rozpytywać, bo i owego Zabora pamiętała mało i niewiele on ją obchodził; Żegieć, jak mógł i umiał, litość się w niej starał obudzić. Napomknął jej cicho, że do ks. Kazimierza w drodze byli. Dorota baczniej się przysłuchiwać zaczęła.

— Miłościwa pani — mówił Żegieć, — jak ty nas nie poratujesz, zginiemy. Pan w podartej odzieży kryje się w łozach, ani konia, ni broni nie mamy, nie wiedzieć, dokąd iść i o czem. Zlituj się, ratuj!

Po krótkim namyśle wdowa, która była zawsze hojną do zbytku, rozkazała Żegocie dać koni parę i przyodziewek dla Stacha.

— Nocą, gdy się ściemni, niechaj przyjeżdża tu, a co dalej robić, zobaczymy.

Opatrzony szczęśliwie w to, co było najpotrzebniejszem, Żegieć, siadłszy na konia i prowadząc drugiego, pobiegł nazad z wielkim pośpiechem. Jednak cała ta włóczęga tyle mu czasu zabrała, że gdy się znów na brzeg Wisły dostał w zarośle, już dobrze zmierzchało. W łozach też ukrytego Stacha nierychło mógł znaleźć, a na nizinach konie mu grzęzły.

Huknąwszy parę razy ostrożnie, miał tę pociechę, iż pana odkrył, i przypadł doń, sądząc, że się bardzo wiadomością rozraduje. Ale Stach, o Dorocie posłyszawszy, namarszczył się strasznie, ledwie nie łajał i w początku się nawet oparł wracaniu do niej; chciał wprost ruszać do Sandomierza. Dopiero po namyśle

i z niechęcią wielką, aby dostać języka, zgodził się wracać do Skały... Niecierpiał Stach wdowy i pomoc od niej przyjąć było dlań wstrętliwem, lecz rady innej nie miał.

Późnym wieczorem przemknęli się około miasta, a noc się poczynała, gdy stanęli na górze i opowiedzieli się u wrót na Skałach, gdzie straż znaleźli czujną i ludzi pozbrojonych, jak do pochodu.

We dworze świeciło się jeszcze. Stach musiał iść doń. Przegala go zaraz do wielkiej izby wprowadził. Niedługo czekał i piękna wdowa wyszła doń przyodziana niedbale, z włosami ledwie przywiązanemi, niewiele pono troszcząc się o to, jak się wyda z brwią namarszczoną, z oczyma jakby troską wygorzałemi. Wpatrzyła się pilno w Stacha, którego, że raz tylko widziała krótko, zdawała się chcieć go sobie przypomnieć, gdzie i jak się spotkali.

— Kietlicz was znowu pochwycił? — odezwała się, namyśliwszy. — Gdzie? jak?

Stach taić się przed nią z tem nie potrzebował.

— Posłany byłem do księcia Kazimierza — rzekł krótko, — zdradzono nas widać i wzięto na gościńcu przemocą. Żem się wykopał z ich kupy, łaska to Boża.

— Strzeż się raz jeszcze wpaść w ręce tego oprawcy — odezwała się Dorota.

Widać po niej było rozgorączkowanie i niepokój; przechadzała się po izbie, wzdychając.

— Niema dziwu — dodała, — że was schwycono; na wojewodę też pono uczyniono zasadzkę, szczęściem był zawczasu zawiadomiony. Biskupa ująć chciano, i ten im uszedł, ziemian jak dzikie zwierzęta ścigają, nikt życia a zdrowia niepewny. Mieszek wie, co go czeka, broni się, jak borsuk, osaczony w jamie.

Zwróciła się żywo do Stacha.

— I mnie stąd przyjdzie uchodzić — rzekła — lada godziny. Moi bracia korzystać z tego będą, iż bronić mnie niema komu, bo wojewoda o czem innem myśleć musi. Gotowi mnie ubić, gotowi zamknąć, a dla

Doroty niewola — gorzej śmierci! Zechcą-li napaść, ja się im tu z garścią ludzi nie obronię.

Łzy gniewu stały w jej oczach, pomieszana była i podrażniona.

— Radźcie wy mnie teraz, gdym ja wam radziła— rzekła, — co robić z sobą! Nie mam teraz nikogo. Gachów zawsze pełno bywało, a przyjaciela nie mam ani jednego. Pustki u mnie, ja sama, choć głowę o mur rozbijać.

Stach się zadumał, mało ona w nim obudzała litości, czuł wstręt do zuchwałej niewiasty, mimo to czuł się obowiązanym w niebezpieczeństwie radzić.

— Miłościwa pani — odparł, — rada tu krótka. Jeżeli się napaści na dwór obawiacie, trzeba uchodzić stąd i to nie omieszkając. Po lasach się tułać niewiele pomoże. Macie jaki dwór obcy, do któregoby się schronić można?

Dorota ruszyła ramionami.

— Ani domu ani łomu — odparła — a człowieka jednego, któremubym zaufała, krom starego grzyba wojewody.

— Nie już do niego do obozu? — zapytał Stach.

— No? A czemuby nie? — zawołała Dorota.

Stach ramionami ruszył.

— Do niego, czy do lasu — rzekł, — juści, gdy się obronić nie można, trzeba ucieczką się ratować.

Dorocie oczy zabłysły, drgnęła.

— Więc ruszym, gdzie oczy poniosą, ale i wy ze mną! — zawołała.

— Doprowadzę was — odezwał się Stach — do pana wojewody, gdy Bóg pozwoli; dalej ja muszę jechać, gdzie mi polecono.

Dorota namyślać się zdawała...

— Dobrze tak — rzekła, — wiedźcie mnie do obozu, tam ja będę bezpieczna. Sami ruszajcie do ks. Kazimierza. Wojna wypowiedziana, w domu siedzieć nie czas nikomu, na koń potrzeba wszystkim! na koń!

Poruszona wielce, chodziła, włosy rozwijające się zgarniając coraz niecierpliwiej.

— Do jutra rana! — odezwała się. — Potem i ja z wami na koń, do obozu. Prowadźcie mnie do wojewody, z sobą potem czyńcie, co chcecie.

Stach możeby był do ranka niebardzo chciał czekać, ale znużony przystał i na to.

Już miał odejść, aby sobie szukać miejsca do spoczynku, gdy Przegala wpadł cały drżący, z oczami osowiałemi, dając po sobie poznać, iż niósł wieść groźną. Dyszał tak, że mówić nie mógł. Dorota nogą tupnęła.

— A mów, stary tchórzu! — krzyknęła — co ci jest?

— Kurek powrócił z Tęczyna — zawołał Przegala, — tam już wpogotowiu wszystko do najścia na nasz dwór dodnia, aby was pochwycić. Panowie bracia jadą oba; sto koni z sobą mają.

Wdowa rzuciła się z wściekłością niemal, uderzając go po ramieniu i popychając do drzwi.

— Ludzie na koń! — zawołała. — Ja będę zaraz gotowa. Na koń, kto żyw!

Skinęła na Stacha.

— Ty z nami!

Stach, który się ledwie z jednego wyrwał niebezpieczeństwa, wpadł tu w drugie, nie mniejsze. Nie było wątpliwości, że panowie z Tęczyna za siostrą pogonią i ślad jej wytropią. Czekała walka nierówna, śmierć, rany lub niewola znowu. Lecz wyboru nie było; odstąpić niewiasty, choć wstrętliwej i winnej, nie godziło się.

Piorunem gotowano się do podróży; cały dwór ruszył się, wśród płaczu i zawodzenia dziewek, które zbiegły się do swej pani, narzekając na los i na to, co je spotkać miało. Izby się od wrzawy i jęków rozlegały. Dorota już wdziewała odzież, sposobiła oręż, zagarniała kosztowniejsze sprzęty na wozy, które z nią iść miały, pędząc ludzi do pośpiechu.

We dworze miał pozostać tylko stary Przegala, dziewczęta i niedołężna służba; reszta jechać z panią musiała.

Stach, nim się opatrzył, znowu konia dosiadać mu-

siał, ale już był zbrojnym, bo mu dano kaftan, łuk, hełm jakiś i miecz niezgorszy. Wszystkich koni i ludzi orężnych nie było więcej dwudziestu. Przystojny, młody koniuszy dowodził nimi, jak pan sobie poczynając, bo był w łaskach u wdowy i ta mu wolę dawała wielką.

Pociemku jeszcze wyciągnęli ze dworu, puszczając się w dolinę, by jak najprędzej od Tęczyna się oddalić. Dorota jechała posępna i milcząca, niekiedy głowę zwracając w stronę dworu swojego, jakby przeczuwała, że jej do niego powrócić będzie trudno.

Jechać miano do obozu wojewody Szczepana, ale gdzieby się on znajdował, nie wiedział nikt spełna; pytać się oń i szukać go było trzeba, ku Sandomierskiej kędyś granicy.

W pierwszym popłochu kupka ludzi, otaczających wdowę, przedarłszy się pocichu przez dolinę, lasów szukała, aby w nich, bezpieczniejszą się czując, o dalszym pochodzie myśleć. Dorota nalegała o pośpiech tylko, resztę zdając na Stacha i koniuszego. Gdy na wytchnienie stanęli w lesie, nie rozmyślając się długo, odziała się całkiem po męsku, wzięła zbroję, głowę okryła hełmem, który jej twarz okrywał, a że do konia dosyć była nawykła, wzrostem zaś mężczyźnie równała, płci jej trudno w przebranej poznać było. Ludziom pod najsurowszą karą zakazano mówić o pani — jako rycerz i ziemianin przybyć chciała do obozu wojewody, do którego się wszyscy garnęli.

Gdy ją Stach zobaczył tak przebraną a zbrojną, ledwie i onby był Doroty się w rycerzu mógł domyślać. Z odzieżą tą i orężem przypasanym nowe w nią wstąpiło męstwo; odzyskała śmiałość i butę, a lekceważenie wszystkiego. Po drodze pytano języka u ludzi, po chatach, od przejezdnych, nie umiejąc pogodzić sprzecznych wieści, które co krok się mieniły.

Wiedzieli tylko wszyscy i na to się godzili, że w Krakowie już ani biskupa, ani wojewody, ani ziemian nie było żadnych, nikogo, prócz dworu i ludzi książęcych. Po zamkach i dworach wszyscy siadali na konie i sposobili się do obozu.

Stach ze wstrętem wlókł się za swoim dowódcą, który, pozbywszy się strachu i widząc się na swobodzie, w położeniu nowem, niezwyczajnem, nabrał już trzeźwości i wesołości lekkomyślnej. Rycerska zbroja bawiła wdowę, na koniu w orszaku orężnych ludzi, którym rozkazywała, raźno jej było. Stacha już gotowa mianować swym pułkowódcą i zapowiadała, że jeśli jej do dworu na Skałach wrócić nie dadzą, puścić się chciała ze swą garścią bodaj na rozbój po gościńcach. Śmiały się jej przygody, jakie ją spotkać mogły. Płocha niewiasta znowu była w swym żywiole.

Ciągniono tak, swawolnie dosyć, dni parę. Stach się zżymał, trzymając nauboczu, gdy nad wieczorem drugiego dnia, u granicy Sandomierskiej kilku ziemian spotkanych oznajmiło, że wojewoda Szczepan z obozem i ludźmi swymi leżał już tylko o pół mili. Natychmiast Dorota kazała pośpieszać i radowała się niezmiernie tej myśli, że starca oczaruje na nowo, stawiąc się przed nim po rycersku.

Na zmierzch się brało, gdy się namioty wojewodzińskie rozbite ukazały w dolinie, pod małym gródkiem i wioską. Wprost na obóz puściła się wdowa.

Na wzgórku widać było już namiot wielki i chorągiew powiewającą. Nikt szczupłej garstce drogi nie tamował, mogła się dostać niemal pod opłotki ogromnego szarego namiociska, pod którym spoczywał Szczepan, pan Pobożanin. Ale tu zuchwałą niewiastę czekała niespodzianka. O kilkanaście kroków już usłyszała wrzawę ogromną; namiot otoczony był rycerstwem, którego konie i ludzie szeroko dokoła się rozlegały. Gwar i ruch panował niezmierny.

Zdawało się, jakby z całej ziemi krakowskiej zebrało się tu co było najprzedniejszego, najburzliwszego, najśmielszego. I tak było w istocie. Ponieważ namiot wojewody już był przepełniony, skupili się ziemianie dokoła niego, głośno nawołując i rozprawiając. Gromadki stały, snuły się, łączyły, rozchodziły z niepokojem wielkim. Wybiegali do nich jedni z pod namiotu, drudzy do niego się cisnęli.

Dorota, aż tu się zapędziwszy, nie wiedziała, co począć, ale nie traciła przytomności; zatrzymała się, opodal trochę obrawszy sobie miejsce i jak inni, rozgościła się na łące, stawiąc wozy i ludzi. Namiocik kazała rozstawić. Ten i ów popatrzył na przybywającego towarzysza, lecz, że było ludzi różnych mnóstwo, a coraz ciągnęli nowi, niebardzo na jednego więcej zwracano uwagę.

Obóz wojewody przedstawiał ciekawe widowisko. Jedna część jego, z prostego żołnierza złożona, obojętna spoczywała przy ogniskach, sprawując się cicho i nie poruszając zbyt żywo. Za to około namiotu Szczepana jakby wiec się wrzawliwy odbywał. Coraz to się głos jakiś krzykliwy i ręce podniosły do góry; czasem dwu usiłowało się nawzajem przekrzyczeć, niekiedy dziesięciu naraz wołało, a zamęt mnożyło. Poruszenie umysłów i rąk widać było niezmierne. Do tych, co spokojniej stali nauboczu, podbiegali czynni, nie dając im gnuśnieć, ciągnęli z sobą. Rzucano słowy ciężkiemi, ostremi jak kamienie, kłócili się jedni, ściskali drudzy. Stach poznał tu swoich: Leszczyców, Cholewę, Bogoryję i kilku najgorętszych przewódców. Wielu, co świeżo przybywali, rozsłuchali się dopiero i powoli w sprawę gorącą wtajemniczali.

Pod namiotem wojewody Szczepana główni naczelnicy, władykowie, żupany, starszyzna wybrana obradowała, a raczej wtórowała sobie tylko i zagrzewała się, bo rzecz już była postanowiona.

Wojewoda sam, dawno nawrócony, słuchał milczący, potakując głową.

Jednym, co jeszcze nie zdawał się z drugimi w zgodzie, był stary Greżek z Potoka. Możny pan, wyglądał jak kmieć prosty, bo nie dbał o to, znano go, że mienie miał książęce, a obyczaj starodawny, surowy. Gdy inni stali, stary siedział trochę przygarbiony, ręce obie w kabłąk zgięte trzymając sparte na kolanach. Usta mu się uśmiechały, jakby drwił, a co myślał, Bóg go wiedział.

— Cóż wy, Greżek, nie pochwalacie? — ozwał się

doń Cholewa. — Nie w smak wam to, co się poczyna?

— Ja? — rozśmiał się Greżek — ja słucham. Więc na Kazimierza kolej; a to mi go żal, choć płacz, bo go w jarzmo wprzęgacie.

— Dlaczego się tak litujecie nad nim?

— Albo niema czego? — mówił stary. — Ta to biedny pan! Albo on może wiedzieć, jak go długo cierpieć będziecie? Nuż się wam jego Jaksa, Goworek albo Wichfried nie podoba, przepędzicie jako i tamtych.

Poczęli wszyscy wołać i krzyczeć na Greżka, ten się śmiał.

— Ja bo Kazimierza lepiej kocham od was — ciągnął dalej, — kiedy mu tej cierniowej czapki a bodaj i korony nie życzę. Na Sandomierzu siedzi, jak u Boga za piecem, a w Krakowie wszystkim nam służyć będzie musiał. Sroga to rzecz. Patrzcie ino, że każdy z nas czego innego od niego zechce, ja, Leszczyc, Cholewa, nawet ten stróż, co bramę na Wawelu omiata; a i to wiem jeszcze, o czem wartoby pomyśleć, że Kazimierz, rozumny pan, jak wiecie, bo mu tego nie zaprzeczyć, gotów nie przyjąć kota w worku, którego mu dajecie.

— Musi! musi! — krzyknął zamaszysto Leszczyc.— Między nami ziemianami a Mieszkiem wszystko skończone! Gdyby dziesięć razy do Krakowa wchodził, to go wygonimy. Ha! — odgrażał się — mówił, że nas obuzda! twardziśmy w pysku! My tu gospodarze, a on włodarzem, jakoś rzekł. On nas, nie my jego słuchać mamy!

— To dopiero będzie doskonale — rzekł Greżek, — gdy mu stu będzie rozkazywało, każdy co innego! No i lepiej chyba nie może być!

Znowu zakrzyczano starego, który zamilkł, przygarbiwszy się, i słuchał. Było czego; krzyczano okrutnie, wywłóczono stare sprawy, każdy coś miał, prawdę, czy nie, do żałoby.

— Tak — powtarzano, — między nami skończono! Nie zechce ustąpić po dobrej woli, mamy ludzi, pój-

dziemy i wymieciem go z gniazda. Ruszaj do Niemców na piwo! Zięciów ma dosyć, chleba mu nie zabraknie.

— Patrzajcie tylko, aby z zięciami wielu i żelaz nie miał wiele! — szeptał Grężek.

Toczyła się tak rozmowa coraz hałaśliwiej, a beczułki wypróżniały.

IV.

Gdy z rozkazu księcia nazajutrz po widzeniu się z Kietliczem dodnia obstąpili ludzie zbrojni pod jego dowództwem dworzec biskupi, a on sam do bramy dobijać się zaczął — milczało zrazu wszystko. Wyjrzał potem stróż, zawołano odźwiernego, odźwierny poszedł do ochmistrza i wkońcu, nierychło, otworzyła się Kietliczowi furta.

Niełatwa to była naówczas rzecz biskupa ująć, musiano mieć baczenie, jak to uczynić, bo pasterz każdy miał i koło siebie dosyć ludzi zbrojnych i we dzwony mógł kazać na gwałt uderzyć. Nie każdy też z książęcych ludzi chciał się targnąć na niego.

Kietlicz jeden ważył się na to, a i on szedł nie bez trwogi. Ale panu swojemu oddany będąc, posłuszny rozkazom jego w sumieniu się czuł zwolnionym. Zawczasu, nim na dwór biskupi obmyślano najście, obliczono się z siłami. Księciu zdawało się, że Gedko zbrojnych ludzi miał mało. Zażyć też miano fortelu: wyciągnąć go na zamek do pana, skąd pokryjomu na wozie okrytym wysłać go chciano.

Była godzina ranna bardzo, ale naówczas dzień się dla ludzi wcześnie poczynał. Na prymę już wydzwoniono, nie spał nikt.

Gdy się ochmistrz ukazał, Kietlicz zapytał o biskupa.

— Książę go pilno dla rozmowy na zamek prosi i mnie przysyła — odezwał się.

— Dla rozmowy?—powtórzył urzędnik biskupi, poprawując na sobie odzieży,—ale księdza biskupa niema.

Kietlicz się cofnął.

— Jakto, niema? — krzyknął

— A niema!

— Gdzie jest? W kościele?

— Nie w kościele — odparł ochmistrz, ruszając ramionami. — Jego miłość nie tłumaczy się przede mną, dokąd idzie lub jedzie.

— Pojechał? poszedł? — wołał Kietlicz rozpaczliwie.

Na to pytanie urzędnik zwlókł odpowiedź, gdyż ukazał się mężczyzna poważny w sukni duchownej i przystąpił do Kietlicza.

— Biskupa niema? — powtórzył pytanie Ketlicz.

— Niema!

— Kiedyż, jak, dokąd wyruszył?

— Przecie się ojciec dzieciom opowiadać nie ma obowiązku, gdy z domu jedzie — odparł ksiądz.

Kietlicz pobladł.

— To nie może być — zawołał w uniesieniu, — to nie może być! Kłamstwo jest! On się ukrywa!

Duchowny nic nie odpowiedział nawet, odwrócił się tylko, jakby rozmowa była skończona, pogardliwie.

Kietlicz wszedł w podwórze i porywczo wprost pobiegł do dworca. Gniew go uczynił zapamiętałym, drzwi począł otwierać gwałtownie, komnaty przebiegał i nie opamiętał się, aż gdy, nikogo nigdzie nie znalazłszy, wszedł do pustej kaplicy.

Widok miejsca poświęconego zmieszał go, drzwi natychmiast zatrzasnął, odwrócił się. Wdali stanął ksiądz i patrzał.

— Dokądże zbiegł? — zakrzyczał.

— Kto *zbiegł?* — zapytał duchowny.

Kietlicz zmuszony był się poprawić, sam czując nieopatrznie wyrzeczone słowo.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem — rzekł ksiądz spokojnie.

— Dawno?

— Jeszcze wczoraj — odparł tak samo zapytany.

— Wczoraj! wczoraj! — krzyknął wysłaniec ksią-

żęcy, rzucając się gniewny. — Wczoraj? Nie możecie wiedzieć dokąd?

— Nie wiem — stanowczo odezwał się kapłan.

Tak się skończyła napaść próżna na dwór biskupi.

Gdy Kietlicz na zamek powrócił i do księcia pobiegł z doniesieniem, żaden muskuł nie drgnął na twarzy Mieszka. Rzekł spokojnie:

— Rozumny ksiądz! Czuł, że zgrzeszył i że ja mu tego przebaczyć nie mogę. Ale zwolna, nie potrzeba robić wrzawy, znajdziemy go.

Zamyśliwszy się nieco, nakazał natychmiast wysłać ludzi, aby się potajemnie dowiadywali, dokąd biskup się udał.

— Potem zobaczymy, co czynić wypadnie.

Twardy charakter Mieszka niełatwo złamać się dawał przeciwnościami, które znosił cierpliwie. Nie zbaczał przez to z drogi, iż mu się nie powiodło, rzecz dlań była odłożona, nie stracona. Kietliczowi dał rozkazy. Wysłano natychmiast na gościńce różne. Niepojętą zdawało się rzeczą, jak biskup z miasta z pod zamku, w biały dzień ujechać mógł tak, by nikt o tem nie wiedział. Zwykle każdemu poruszeniu jego towarzyszyła pewna obrzędowa wystawność, występował dwór, szło z nim duchowieństwo. Tym razem biskup, którego zawczasu ostrzeżono, w kilka koni, wrotami tylnemi, bez orszaku i krucyfera, konno, okryty płaszczem, otoczony gromadką niepokaźną, wymknął się tak, iż go wcale nie postrzeżono. Ci nawet, co go widzieli, nie poznali. W samym dworze nikt nie mówił o wycieczce, wielu o niej nie wiedziało.

Gedko wprost stąd podążył do Tyńca. Tu mógł być czas jakiś bezpiecznym, a w razie zamachu, łatwą była ucieczka i schronienie pewniejsze jeszcze.

Położenie Tyńca na wysokim brzegu Wisły, panującym okolicy, czyniło doń przystęp niespodzianie trudnym. Klasztor od pierwszych czasów po swem założeniu urósł już był, rozwielmożniał, otoczył się murami, rozszerzył, choć jak mówiono, ostrość reguły znacznie zwolniała. Benedyktyni tutejsi mieli w kraju poszano-

wanie, powagę wielką; targnięcie się na nich gwałtowne nietylko tu, lecz odbić się mogło w Europie.

W Tyńcu opat Kazimierz oczekiwał już na biskupa. Jak imię jego zwiastuje, był on Polakiem.

Na tę wycieczkę wziął z sobą biskup jednego tylko duchownego, mistrza Amiljusa, ale rozkazy wydane były, aby dwór, lud zbrojny i wszystka siła, jaką miał Gedko przy sobie, różnemi za nim podążała drogami.

Gedko nie z przeczucia i z obawy, że go ścigać i uwięzić mogą, opuścił Kraków, tego się bowiem zrazu nawet po surowym Mieszku nie spodziewał, ale po stanowczem doniesieniu, iż go skazano na wygnanie i zamach się nań gotował — wyruszył natychmiast do Tyńca.

Dumny, nieugiętego ducha Gedko, gdy raz zgodził się na to ustąpienie przed księciem, wyrzekł zarazem, wyjeżdżając z miasta, iż nie powróci tu, chyba z Kazimierzem, wygnawszy tego, który się nań śmiał porwać.

Przez całą drogę do Tyńca biskup musiał odmawiać pacierze, aby pohamować w sobie oburzenie. Nie szło mu tyle o siebie, bo gotów był na męczeństwo nawet, ale myśl, iż się na władzę mu powierzoną targnąć śmiano, zdawała się świętokradztwem.

Gdy u drzwi opactwa ukazała się gromadka, towarzysząca biskupowi, stał już tu opat z całem duchowieństwem swem, z cichem, ale uroczystem powitaniem pasterza. Gedko na chwilę wszedł z nimi do kościoła, aby się pomodlić u ołtarza, i z opatem razem udał się do przeznaczonego mu mieszkania.

Opactwo Tynieckie ze skromnych swych początków wzrosło było teraz w mury, w majętności, dochody i dostatki wielkie. Klasztor się rozprzestrzenił znacznie, zwiększyły budowy gospodarskie i cały gród benedyktyński wyglądał na zamek warowny.

Ogromne przestrzenie ziemi już naówczas należały do niego, a lasy, barcie, rybołówstwo, dziesięciny z pól, służba z osad, dozwalały mnichom prowadzić życie wygodne. Zwolna też przepisy, zmuszające do pracy ręcznej, zaniedbane zostały. Mnisi zadowalniali się pil-

nowaniem ludzi służebnych, zakładaniem ogrodów, a większa ich część wolała przesiadywać w bibljotece, niż kopać w polu. Życie też pod pozorem ostrego klimatu, który nie dozwalał trzymać się ściśle przepisów, dla innego kraju postanowionych, stawało się coraz miększem i zbytkowniejszem. Warzono miody i piwo dla gości, ale dla mnichów z zagranicy sprowadzonych zakupywano wino i stół się bez niego nie obchodził.

Jak we wszystkich naówczas klasztorach w Polsce i tu cudzoziemcy liczbą przeważali, rej wiedli. Na Tyńcu może mniej ich było, niż gdzie indziej, ale i tu język, obyczaj, życie cudzoziemskie było raczej, niż domowe.

Opat Kazimierz, sam Polak, wywdzięczając się za to, iż go obrano, tem pilniej dogadzał starszyźnie, z Włochów, Francuzów i Niemców złożonej. Ta przynosiła tu zwyczaje obcych krajów, tak, że wielu braci brodatych spędzało całe dnie na koniu, ze psy, w lesie, a trąbki się odzywały w podwórzach narówni ze dzwonkami.

Biskupi się mało w dozór karności klasztornej wdawali, zostawując rządy opatom i naczelnikom zakonu, zresztą ilekroć oni sami wyjeżdżali do klasztorów, życie mnisze wchodziło w karby ściślejsze.

Gedko wspanialej był tu przyjęty, niż zwykł żyć we własnym domu. Prawdziwe gody zgotował dlań opat z przepychem i wystawnością pańską. Biskup, zasiadłszy do stołu, mógł się przy książęcym sądzić. Srebra, złocone kubki, szkła weneckie, wino stare, misy kute misternie, opony, któremi stołowa izba gościnna okryta była, godne były zamku pańskiego.

Sami zasiedli do stołu z opatem i mistrzem Amiljusem, który był ulubieńcem Gedki, człowiekiem nauki wielkiej, do pióra szczególniej zdolnym. Gdy pismo do Rzymu, lub jeden z tych pięknych wstępów do jakiego aktu stylizować było potrzeba, na które się wówczas sadzono, by myślą i formą się odznaczały — bez niego się żaden nie obszedł pergamin. Mistrz Amiljus był do tego jedynym, bez namysłu płynęły mu naj-

piękniejsze zwroty o znikomości rzeczy ludzkich i t. p. Zresztą był i z tego miłym biskupowi, że nigdy własnego nie objawiając zdania, gorąco zawsze popierał, co Gedko wypowiedział.

Już z twarzy pasterza i obejścia się jego opat Kazimierz, człek bardzo bystry, przebiegły i zręczny, obyczaju uprzejmości pełnego i postawy nader miłej — domyślał się, iż pasterz przybywał z brzemieniem jakiemś na piersi. Dano mu znać wcześnie, że do Tyńca przyjedzie, ale nie tłumacząc podróży.

Gedko, siadłszy za stół, ukończywszy modlitwy, długo pozostał zadumanym i milczącym. Gdy misy postawiono a braciszkowie się oddalili, biskup dopiero puścił swobodnie cugle myśli i z wezbranej piersi popłynął potok.

— Ojcze Kazimierzu — zawołał, wzdychając ciężko, — ojcze Kazimierzu, zaprawdę, twardych dożyliśmy czasów. Oto znowu chmury ciągną, oto znowu my, pasterze duchowni, musimy wtargnąć z władzą naszą w świeckie sprawy. A co się gotuje, Bóg jeden wie! Odmówił książę Kazimierz dwakroć spuścizny po Kędzierzawym, nawet gdyśmy go przy trumnie nieboszczyka prosili, aby ją przyjął. Prawem starszeństwa oddaliśmy Mieszkowi stolicę na to, aby on nas z niej wyganiał!

— Ha! — dodał — sługom Bożym bez obrazy swojego pana nie godzi się dać sobą pomiatać.

Westchnął znowu. Mistrz Amiljus rzekł, zwracając się do opata:

— Wiecie o tem? Książę wydał wyrok, skazujący pasterza naszego na wygnanie!

Opat ręce złożył i oczy podniósł ku niebu.

— Jakimże prawem?

Gedko posępną twarz zwrócił ku niemu.

— Prawa nie pyta! — rzekł. — Nie Gedki bronię, ale dostojności biskupa krakowskiego. Co mnie dziś, jutro mogłoby spotkać brata mojego w Gnieźnie. Wszyscyśmy dotknięci. Chcą z nas mieć nie sługi Boże, ale czeladź posłuszną.

Opat zdumiony słuchał, biskup mówił dalej:

— Ojcze mój, my tu z waszego spokojnego klasztoru na czas musimy uczynić obozowisko i wiecową szopę; nie może być inaczej. Rozkażecie wpuszczać, ktokolwiek przybędzie do mnie, bo ja dziś oka nie zmrużę nocą. Ludzie moi wszyscy podążyć tu muszą, ziemian pewnie zjedzie kilku — naradzać się trzeba a ratować!

Ranek też następny upłynął na przygotowaniach wojennych.

Klasztor napełniał się jezdnem rycerstwem, dwór zajmował refektarze, poza murami rozkładał się obóz niemały, do którego coraz nowe posiłki przybywały, bo się rycerstwo łączyło z biskupstwem.

Nie czekając już na to, aby książę miał czas się wywiedzieć o miejscu pobytu biskupa i nasłać może na Tyniec, Gedko natychmiast wyszedł dla obliczenia sił swoich i wydania nowych rozkazów wyjazdu, aby się połączyć z wojewodą.

Tak stały rzeczy na Tyńcu, gdy na Wawelskim grodzie w istocie zamęt się brał coraz większy i już rodziła niepewność, co dalej czynić przeciw powszechnemu zburzeniu.

Kietlicz, pomimo zręczności swej i zuchwalstwa, mimo gorliwości, żadnego prawie z odebranych rozkazów spełnić nie mógł. Wszystko mu się z rąk wyślizgało. Z rana nie znalazłszy biskupa, gdy tegoż dnia obstąpić kazał dworek Leszczyca, pustki w nim zastał; posłani po innych ziemian nie byli szczęśliwsi. Dorota, u której zasadzkę chciano uczynić na wojewodę, uciekła. Szczepan był w obozie, nikogo z obwinionych ująć nie było podobna.

Mieszek czekał na wiadomości następny dzień cały; przynoszono mu coraz gorsze, ale nie był to mąż, któryby się strwożył niepowodzeniem, lub mógł stracić ducha. W przeciwności równo jak w szczęściu umiał zachować zimną krew i wytrwałością żelazną stał przy swojem. Myślał, co czynić dalej, nad tem, co się nie powiodło, nie bolejąc napróżno.

Dnia tego jednak, Kietlicza się doczekać nie mogąc, wysyłał po niego kilka razy i sam wyszedł w podwórce, aby siły swoje obliczyć.

Kietlicz, wszędzie się znajdując zawiedzionym, nie mogąc dokazać nic, w bezsilnem miotaniu się i złości spędził dzień cały. On i jego siepacze pod dowództwem Berezy mścili się na bezbronnych za tych, których pochwycić nie mogli.

Noc już była, gdy Mieszek, raz jeszcze posławszy po swojego palatyna (jak go tam nazywano), ujrzał nareszcie przybywającego, z twarzą bladą, drżącego, w sukni potarganej, z piętnem rozpaczliwej złości na czole i wargach drżących. Mieszkowi dość było spojrzeć nań, aby odgadł wszystko — nie pytał o nic.

Stojący u progu milczał.

Raz i drugi książę go zmierzył oczyma, chcąc wyczytać, ile złego przynosił z sobą. Ucieczka biskupa już mu była wiadomą.

Gdy Kietlicz ochłonął nieco, posypał się z ust jego cały szereg wyrzutów, przekleństw, skarg na ludzi.

— Miłościwy panie — wołał, — tu na nikogo nie można liczyć, wierzyć nikomu! Zdrajcy wszyscy. Jednego poczciwego niema między nimi; wszystko już się ciśnie ku Sandomierzowi do Kazimierza, opuścili nas! Trzeba słać do Czech i Niemiec o posiłki.

Nie dokończył; książę chodził nieporuszony prawie, brodę dłonią poddzierał do góry, jak był zwykł, gdy rozmyślał nad czem ważnem.

— Wy wszyscy i ty mylicie się, patrząc na Kazimierza — rzekł ze spokojem. — Ja go znam, iż się nie da ująć i przeciw mnie wysadzić. Nadto dobry jest i miłujący spokój. Miał Kraków w ręku, mnie tu wówczas nie było, prosili go, dawali mu, nie wziął, bo czuł, że prawa doń nie miał. Zresztą Mierzwa go tu z sobą przywieźć powinien. Kazimierz mi nie straszny! — dokończył.

— Nie jego, to innego sobie przybiorą — począł Kietlicz rozpaczliwie, — nie wiem już kogo, małoletniego Leszka chorego, albo którego z Władysławowiczów.

Na waszą miłość wszyscy się sprzysięgli! Wypowiedzieli nam posłuszeństwo.

Milczał książę; naówczas dopiero Kietlicz, którego do żywego bolało niepowodzenie, począł szeroko opisywać, co go na każdym spotykało kroku, jakie wszędzie znalazł pustki i opróżnione gniazda.

Książę słuchał bez widocznego wzruszenia; gniewu nawet nie okazywał przeciw Kietliczowi, który sam na siebie i wszystkich więcej się sierdził, niż pan na niego. Ta zimna krew księcia gorącego Serba tem mocniej rozjątrzyła, iż położenie widział groźnem, a pana jakby obojętnym na nie.

Mieszek, najmniejszej nie okazując obawy, dał chłodno rozkazy, aby zamek opatrzyć i ludzi zebrać co najwięcej. Nieograniczoną ufność zdawał się mieć w sile własnej i w dobroduszności Kazimierza.

Gdy Kietlicz potem narzekać jeszcze począł, iż nikogo z winnych nie pochwycił, odparł mu książę:

— Dali się który wziąć, łeb mu ucinać, bo przykładu trzeba.

Późnym wieczorem nadciągnął Mierzwa, powracający z Sandomierza. Stawił się naprzód do Kietlicza. Zobaczywszy go samego, zrozpaczony już i tak Kietlicz rzucił się nań, jak na pastwę, chcąc dowiedzieć, co przywoził.

Pierwsze, co widocznie niósł z sobą na twarzy i w ruchach podsędzia, były to resztki pijaństwa, jeszcze zupełnie nie otrzeźwionego. Sprawiło ono, że Mierzwa mimo niepowodzenia, widział wszystko w barwach jasnych.

Gdy Serb przypadł doń gwałtownie, z pogardą wpatrując się w zataczającego trochę przybysza, Mierzwa słodko bardzo przemawiać doń zaczął.

— Niechno miłość wasza ma cierpliwość — rzekł,— niema nic tak zrozpaczonego, aby się niepomiernie sierdzić. Niema jeszcze nic.

— Powracasz sam? gdzie książę? Odmówił więc przyjazdu? Czemużeście go nie przymusili?

Mierzwa niegoloną od dwóch dni brodę pocierał z nałogu.

— Niechże-no miłość wasza posłucha, jak to było — odezwał się, — rzecz to ciekawa. Przybyłem na zamek do Sandomierza, mogę powiedzieć, przyjęty tam, jak słudze pańskiemu przystało, najśliczniej. Posadzono mnie u stołu przy ks. opacie.

— Mów do rzeczy! — zawołał Kietlicz. — Książę Kazimierz?

— Nie było go! nie było! — odparł Mierzwa. — Wyjechał i nikt nie wie, kiedy powróci. Wyruszył na łowy. W lesie ma gdzieś zwierzynę z długiemi kosami i białem liczkiem. Jak na te łowy pojedzie, gnaj wiatr w polu! Nie powraca rychło! Gdym przybył, już go nie zastałem.

— Nie czekaliście?

— Czekać dwa tygodnie! — zawołał Mierzwa, rękami ruchy czyniąc osobliwe. — Ludzie wiarogodni zapewniali mnie, że gdy wyruszy w te lasy na tego dwunożnego zwierza, czasem go dni kilkanaście niema. Com miał robić?

Tu zniżył głos, uśmiechając się a nie zważając, że się Kietlicz burzył gniewem, ciągnął dalej:

— Książę poniekąd jest uniewinniony; Rusinka, z którą go ożenili, niepowabna i niewesoła, choć pani cnót wielkich. Ludzie ludźmi!

Kietlicz się miotał, ochota go brała precz za drzwi wymieść nieszczęsnego posła.

— Gadajże — zawołał, — coście na zamku widzieli? Gotuje się tam co?

— Tak dalece nic nie słyszałem, oprócz uczonych i mądrych rozpraw, w których udział brałem, wstydu księciu mojemu nie uczyniwszy — mówił Mierzwa, śmiejąc się. — Opat Lucjusz, a choćby i scholastyk Lambertus, uczeni mężowie, ale w jurysprudencji biegli nie są, co im dowiodłem. Ile razy się puścili w pandekty, dekretalja, zakony, pobiłem ich na głowę zawsze. Chodzili jak po gołoledzi, nie wytrzymywali ze mną — z dumą rozpowiadał Mierzwa.

Kietlicz spluwał.

— Widzieliście kogo więcej na zamku? — pytał.

— Przemykających się różnych dużo — rzekł Mierzwa, — podejrzanych, bardzo podejrzanych! Oprócz tego zwykły dwór, Jaksę z Miechowa, Goworka, Wichfrieda. Ruch w Sandomierzu wielki; ale co to znaczy, gdy księcia niema.

— Nagliliście, aby tu przybywał?

— Toć było poselstwo moje — zawołał niemal urażony podsędzia, — jakżebym ja nie spełnił misji? Sambym się naówczas osądził nietylko na grzywny, ale na chleb i wodę! Prosiłem o naglenie nietylko Jaksy, nietylko Goworka, opata i wszystkich, wiążąc ich uroczystemi obietnicami, ale zdałem to na księżnę. Przyrzekła mi pani miłościwa małżonka wyprawić.

Kietlicz, nie chcąc już słuchać więcej, pogardliwie dał znak Mierzwie, by się oddalił.

V.

W cichej dolinie, otoczonej lesistemi wzgórzami, u brzegów wijącej się zielonemi łąkami, pośród wierzb i olch Pilicy, kryła się maleńka osada z kilkunastu chat złożona, zasłonięta od wielkich gościńców i od ludniejszych okolic. Zwano ją Sulejowem.

W chwili, gdy się nasza powieść poczyna, w zakątku tym spokojnym widać było na wznioślejszym nieco brzegu rzeki szeroką dosyć przestrzeń, zajętą jakby naprędce pokleconemi drewnianemi budowlami, wśród których gdzie niegdzie ściany rozpoczętych zaledwie murów się wznosiły. Zdala było coś podobnego do zamczyska, a w istocie niedawno założony klasztor mnichów białych, dzieci Bernarda świętego, których od pierwszego ich gniazda Cystersami, lub założyciela Bernardynami zwano.

Potężny duch reformatora, ojca zakonu, jednego z najdzielniejszych mężów swojego wieku, zdał się

w nową regułę przelewać, i za życia św. Bernarda zakon wzrósł do przeszło półtorasta klasztorów.

Wszędzie, gdziekolwiek chciano wiarę szczepić i pobożność rozkrzewiać, zakładano domy Cystersów.

Sława Benedyktynów zaćmioną została przez wyszłą z łona ich nową milicję Chrystusową. Na chorągwi jej stała znowu, jak za czasów Benedykta świętego: „Praca!“

Gdy Benedyktyni już się teraz tylko o mądrość kusili, mnisi biali chcieli dać światu przykład wstrzemięźliwości, pokory i pracy.

Pomiędzy starszymi i młodszymi powstało współzawodnictwo. Starsi bracia patrzali z pewną trwogą na rozrastające się z nadzwyczajną szybkością młode pokolenie białych mnichów.

Benedyktynom zarzucano już życie rozpieszczone, a porównywając ich do pierwszych pustelników, Antonjusza i Hilarego, Cystersi wołali:

— Tamtym starczyła licha skóra zwierzęca, aby tylko nagość ich ciała zakryła i od srogości zimna zabezpieczała; a wy nie tak się odziewacie. Tamci głodni pracą rąk własnych, z motyką i widłami szukali dla siebie pożywienia, czy wy tak czynicie? Tamci cierpieli niedostatek, wy opływacie we zbytkach. Tamtych prześladowano i trwożono, wy wiedziecie życie wygodne i dostatnie. Tamci błądzili po puszczach, wy siedzicie wśród swoich na wywyższonych siedzeniach.

Reguła nowego zakonu, który już był wprowadzony do Polski, surową była i nieubłaganą. Wszystkie klasztory św. Bernarda łączyły się w jedną ogromną rodzinę i wiodły ród swój, jak dzieci od matki, od zgromadzeń, z których powstały, wiążąc się z sobą nieustannem czuwaniem wzajemnem.

Jak wszędzie, tak w Sulejowie zakładający się klasztor przedstawiał już zarys wszystkim innym podobny, z jednych części złożony. Nie wolno było zmieniać nic nigdzie w normalnym kształcie cysterskiego klasztoru.

Jak Benedyktyni zwykle się mieścili na górach, tak

pokorni Cystersi chętniej zamieszkiwali doliny i od dolin (vallis) najczęściej zwali swe schronienia.

Sulejów właśnie dla nich przypadał dobrze ze swą kotliną, lasami osłoniętą.

Kościół się zaczynał dopiero budować, gdy pierwsi dwunastu apostołowie weszli na poświęconą siedzibę swoją. Właśnie niedawno opat Lucjusz z towarzyszami zajął był ubogie jeszcze budynki, na których miejscu miał później stanąć kościół i klasztor wspaniały, osobny dwór opata, folwarki i ogrody.

Całem wyposażeniem, jakie z sobą od matki klasztoru przynosili wszędzie pielgrzymi, było kilka ksiąg niezbędnych, bez których obejść się nie mogli: Psałterz, Hymny, Collectaneum, Antyfonarz, Graduał, Msza i „Charta charitatis", karta miłosierdzia, która zamykała w sobie prawo.

Ubogo jeszcze wyglądał Sulejów, chociaż obok tymczasowych drewnianych szop, w których mieścili się mnisi, już żwawo rozpoczynała się budowa kościoła pod ich dozorem, wedle ich formy. Mury już wyrastały z ziemi. Około nich roiła się gromadka robotnika i widać było białe suknie przewodniczących im mnichów.

Drogą, wiodącą ku temu nowemu klasztorowi, jechała pięknego poranku wiosennego mała garstka ludzi, rycersko a myśliwsko odzianych. Przodem urodziwy mężczyzna, lat średnich, z twarzą piękną a smętną, z długiemi włosami, puszczonemi na ramiona. Za nim, z brzydką, a poczciwą twarzą, jechał ogorzały, chudy pachoł, oczyma ścigając każdy ruch pana, dalej z kilku łowczymi było psów kilka.

Gromadka ta, wyjechawszy z lasu, zatrzymała się nieco. Jadący stanął przodem, stanęli i inni. Zdawało się, że chciał się przypatrzeć okolicy. Oczy jego skierowały się ku klasztorowi, bielejącemu wdali poczętemi mury. Nie pilno mu było, stał długo i patrzał. A gdy potem, westchnąwszy, koniowi dał znak, aby szedł dalej, nie popędził go żywiej, owszem chód jego

hamował, jakby się śpieszyć nie chciał. Rozglądał się po okolicy, dumał.

Był to, jak się domyśleć łatwo, książę Kazimierz, spłoszony z Gaju przez ziemian, którzy go nocą najechali. Jagna też musiała powracać do starego ojca, a książę, lękając się do Sandomierza jechać, gdzie nań czekali ziemianie krakowscy, od których natrętnych nalegań się spodziewał, — wolał zawrócić do cichej ustroni w dolinę Siloa, w której jego staraniem słało się gniazdo modlitwy, zapalało ognisko światła.

Na to dzieło rąk swoich książę spoglądał rozrzewnionem okiem, z myślą jakąś tęskną, jakby zazdrościł tym, co tu mieli zażywać pokoju, przy pracy, zrzekając się woli własnej, aby mieć spokojne sumienie.

Przebył już wiele, odcierpiał niemało, a nie wiedział, co go czekało jeszcze. Jeżeli w Sandomierzu nieszczęśliwe życie było znośne, w Krakowie czekała niewola złota, niepokój, niepewność, wrzawa. Miłość ziemian pchała go tam, skąd niechęć może wkrótce spychać miała. Wstręt też czuł do rzucania się na nowe, nieobliczone losy.

Jechał, w myśli tak przebiegając wszystko przeszłe, aż do ostatniej godziny przebytej w Gaju, przy tej szalonej dziewusze, od której nie mógł się oderwać. Sto razy postanawiał zostać wiernym żonie, spełnić przyrzeczenia, dane duchownym, potem przychodziła chwila namiętności, żebraczka posłanka zjawiała się pod oknem, Kazimierz nie miał siły z niczem ją odprawić — i jechał. A wracając potem, gryzł się w sumieniu własnem, wstydził sam przed sobą, pokutował na duchu.

Chciał się czulej przywiązać do żony, którą mu narzucono, a nie mógł się przezwyciężyć.

Pokorna, dobra towarzyszka jego namiętnej miłości w nim obudzić nie umiała. Szanował ją, a dzika żądza jakaś, piastowska krew, ciągnęła go ku drugim niewiastom. Jagna była najukochańszą, ale może nie jedyną. Nowe liczko, nowe słowo, młodość a krasa świeża jakiemiś obietnicami nowego szczęścia porywa-

ły go ku sobie. Szukając szczęścia po bezdrożach, w istocie był nieszczęśliwy.

Kazimierz jechał powoli zadumany, rozpatrywał się po okolicy, myślał, jak się tu podźwignie kościół, jak tych dwunastu pierwszych wzrośnie do kopy i, jak tej liczby doszedłszy, klasztor jego nowych dwunastu krzewicieli wyśle stąd na jakąś pustą dolinę, aby się rozległa chwała Boża.

W okolicy życia jeszcze było mało, osada uboga, trochę ludzi kręciło się tam około budowy, kilku pastuszków stało około trzód na łąkach, na pólkach u wzgórzy widać było białe koszule wieśniaków, którzy coś przy roli robili. Spokój wielki, błogosławiony a uroczysty, rozlany był na tym krajobrazie nie szerokim, tęsknym, miłym, dzikim trochę.

Książę jechał, nie śpiesząc.

Uciekał tu, gdzie go pewno nikt nie miał szukać, gdzie go się nawet domyślać nie mogli. Chciał tu z mnichami pomodlić się, rozmówić, popatrzeć, jak rosło *claustrum,* a zapomnieć, że go z Sandomierza wypędzano. Spodziewał się tu czas jakiś przebyć ukrytym, dopókiby pierwsza gorączka tych, co go na tron powoływali, nie przeszła. Żal mu tylko było, że opata Lucjusza, którego w Sandomierzu zostawił, nie znajdzie tutaj; pocieszał się przeorem, który go zastępował.

W tych myślach powoli zbliżył się ze swoimi do furty klasztornej, która, jak wszystko tu, tymczasową była. U drewnianych wrót, zbitych z desek, na koziej nóżce wisiał prosty sznur od dzwonka, lecz nim go Smok pociągnął, przez okienko wyjrzał furtjan, siedzący tam cały dzień i, poznawszy księcia, bo go tu znali wszyscy, pośpieszył otwierać, dając znać przez braciszka do klasztoru, jaki im wielki gość przybywał.

Gdy Kazimierz, z konia zsiadłszy, wchodził, wedle zwyczaju Cystersów furtjan przyklęknął do powitania.

— Mój ojcze — rzekł książę do niego, — o przybyciu mojem nie głoście; nie z urzędu opiekuna dla oglądania, ale schronić się do was przyjechałem.

W klasztorze tymczasem wszystko się już poruszy-

ło i białe habity śpieszyły na powitanie założyciela swojego. Jakiż było zdziwienie księcia, gdy ujrzał idącego przodem ojca Lucjusza, opata, o którym sądził, że jeszcze w Sandomierzu przebywa. Za nim szli: o. przeor, kantor, kustosz i cała starszyzna niewielkiej gromadki, która, jak zawsze w początkach, składała się tylko z osób dwudziestu. Dwu młodych Polaków, żaczków z Krakowa, do nowicjatu przyjętych, służyło Francuzom za tłumaczów i pomocników.

Wszystko tu jeszcze, jak powiedzieliśmy, ubogo i tymczasowo wyglądało, szczególniej klasztor sam drewniany, sklecony naprędce, aby mnisi przybyć mogli, ale już wedle prawideł zakonu mający w sobie to wszystko, co każde klaustrum cysterskie składać musiało.

Opat, witając księcia, uśmiechał się wesoło i wnet do osobnego dworku swojego poprowadził; opactwo bowiem stało zawsze oddzielnie od zabudowań klasztornych i było niejako wrotami, przez które zgromadzenie ze światem zewnętrznym się łączyło.

Cały plac, który zająć miały obszerne budowy, był jeszcze pełen nawiezionego drzewa, kamieni, cegły, wapna, materjału najrozmaitszego, około którego krzątali się cieśle, murarze, kamieniarze i ich pomocnicy. Z ziemi gdzie niegdzie wyglądały wyrastające fundamenta, zarysowując przyszłe budowy i podnioślejsze już kawałki ścian.

Opodal widać było opasane zagrodami z drzewa i płotów ogrody klasztorne, wirydarze przyszłe, ogród opata, folwarki i stajnie. To, co było dotąd, ledwie obietnicą przyszłości nazywać się mogło.

Część zakonników była przy robotnikach w ogrodzie, część około klasztoru, a wszyscy, mimo niewygód i nieładu, wśród którego dla przyszłości pracować musieli, mieli twarze uśmiechnięte. Nie przerażało ich, że tu wszystko stworzyć było potrzeba.

— Ojcze Lucjuszu — odezwał się książę, — jakże i czem się to dzieje, że ja tak szczęśliwie was tu znaj-

duję? Sądziłem, że poczekacie na mnie tam, dokąd ja teraz jechać nie mam ochoty.

— Niepokój miałem o gniazdo nasze — odpowiedział opat, — nie mogłem tam bezczynny siedzieć dłużej, a w Sandomierzu nie czułem się potrzebnym. Bóg dobry sprawił, że ja tu sam waszą miłość powitać i przyjmować mogę. Lecz jakże nas ta łaska spotkała, że książę zamierzyłeś odwiedzić Siloę, mnie nawet o tem nie wspomniawszy?

— Bom wyjeżdżając z Sandomierza, nie wiedział wcale, że się tu znajdę — rzekł Kazimierz smutnie. — Niepokój i mnie zmusił u was szukać trochę pokoju. Chciałbym tu spocząć i przypatrzeć się życiu waszemu.

— A! — odparł Lucjusz — jeszcze ono dziś nie jest takie, jakiemby być powinno wedle ścisłej reguły. Staramy się jej nie uchybić, aleśmy na obozowisku i obcy, a nie oswojeni z krajem.

Książę nie śmiał, choć pragnął go o Sandomierz pytać, gdy opat, wprowadzając go do swojego dworku z drzewa pobudowanego, ale przystojnie przybranego wewnątrz i czystego, odezwał się:

— W Sandomierzu zostawiłem ludzi tak dużo, żem się tam nie czuł potrzebnym. Wrota i drzwi przez cały dzień stoją otworem, a Goworek nie może spocząć, takie tłumy ziemian ciągle płyną z Krakowa.

Książę spuścił oczy zachmurzony.

— Wołają Waszą Miłość na stolicę — dodał Lucjusz.

I na to Kazimierz nie odpowiedział. Oczy miał w ziemię wlepione i opat łatwo mógł poznać, iż wiadomość ta niemiłą mu była. Nie pytał nawet o osoby, ani chciał wiedzieć, którzy tam byli. Lucjusz zamilkł, postrzegłszy to wrażenie na księciu.

Nierychło Kazimierz odezwał się od niego:

— Otóż masz, ojcze mój, tłumaczenie, dlaczego wolałem tu zbiec, aby w zaciszu przetrwać burzę. Burza to jest i mam nadzieję, że jak nawałnica przeminie. Umysły ludzi gorących uniosły się, serca podraż-

niły; uspokoją się, da Bóg. Jam do wielkiego państwa ani stworzon, ani z prawa powołany.

— Pokora chrześcijańska mówi z was, miłościwy panie — odezwał się opat, — ludzie sądzą inaczej! Nie wiem, czy się zdołacie oprzeć naleganiu i czy się mu godzi opierać? Wszyscy pasterze nasi wołają do was. Umiłuj się nad nami!

— A któż zmiłuje się nade mną? — przerwał Kazimierz. — Nietylko sumienie się przeciwi, ale przykład starszej braci, zdolniejszej ode mnie, trwoży. Jeżeli Władysław, Bolko, Mieszek nie zdołali ich zaspokoić, czyż ja to potrafię? Nie, mój ojcze, nie mówmy nawet o tem.

Wnet zmieniając rozmowę, książę zażądał, aby nie jako gość, ale jako jeden z braci podzielał życie zakonne. Prosił o to tak mocno, iż opat przystać musiał. Na to tylko zgodzić się nie chciał, aby książę razem z innymi sypialnię dzielił. U Cystersów bowiem wszystko wspólnem było i nikt własnej celi nie miał.

Ponieważ już było po tercji i po Mszy Świętej, a czas obiadu następował, książę zaś z opatem na osobności nie chciał zasiąść do stołu, pragnąc się do życia klasztornego stosować, o. Lucjusz poprowadził go do skromnej szopy, w której jadano.

Maleńka kazalnica z desek zbita, na boku stojąca, przeznaczona była dla lektora, czytającego w czasie jedzenia. Rozpoczęto wedle zwyczaju od odmówienia psalmu *„Miserere mei Deus“* i błogosławieństwa.

Na stole podane były dwie potrawy, wino z wodą mieszane i chleb czarny. Pożywano w milczeniu. Książę, z opatem usiadłszy do stołu, nic innego nad to, co wszyscy jedli, mieć nie chciał.

Wkrótce też skończył się krótki obiad, czytaniem reguły i wspomnieniem zmarłych w zakonie macierzystym zamknięty. Tygodniowi dozorcy poszli z zakonnikami do pracy, a najważniejsza tu teraz osoba, budowniczy *„Magister Operis“*, który robotami około kościoła zawiadował, pośpieszył do swych cieślów i murarzy.

Dwór księcia Kazimierza jadł osobno i daleko dostatniej nad niego był przyjęty, bo w klasztorze dla obcych na niczem nie zbywało.

Po jedzeniu opat, który znał upodobanie księcia, a pragnął go czemś rozerwać, skinął na kantora, pod którego kluczem była bibljoteka i kalendarz klasztorny, aby otworzył komorę, w której znajdowały się przywiezione skarby z Francji. Znalazły się tam poezje łacińskie chrześcijańskich śpiewaków pierwszych wieków, a nawet trochę świeckich rzeczy, bo i listy Seneki, i ułamki Cycerona, i historje rzymskie, i coś o Aleksandrze Wielkim, i różne legendy świętych.

Niektóre z tych drogocennych pergaminów malowane były i złocone tak cudnie, iż podziw a zachwycenie obudzały.

Książę właśnie był niemi zajęty tak, iż o wszystkiem w świecie zapomniał na chwilę, ciesząc się jak dziecię, że skarby te do kraju przyniesiono, gdy słyszeć się dało natrętne pukanie do drzwi.

Książę z niecierpliwością ku nim zwrócił oczy, a opat sam poszedł zobaczyć, kto się tu dobijać ośmielił. Przez lekko otwarte drzwi Kazimierz dostrzegł twarz dobrze mu znaną, wcale tu niespodziewaną; drgnął cały.

W przybyłym łatwo było poznać można cudzoziemca; młody był, przystojny bardzo, wzrostu słusznego, suknia i zbroja Niemca raczej, niż Polaka cechowały. Twarz dosyć miła, łagodnego wyrazu, oczy niebieskie, uśmiech swobodny i niewymuszony usposabiały dobrze dla przybysza.

Opat przyjął go, jak znajomego, i poufale szeptać coś z nim zaczął, gdy książę, którego odpadła już ochota do oglądania bibljoteki, zaniepokojony, pośpieszył także do stojącego w progu.

Żywo natarł na niego, twarz okazując zdziwioną, zafrasowaną, ale niegniewną.

— Wichfried! — zawołał — ty tu?

— Tak jest, miłościwy książę — odparł, uśmiechając się przybyły, — poszczęściło się mi was znaleźć.

— Potrzebowałżeś szukać tak pilnie? — zapytał książę trochę niespokojnie.

Opat, widząc, że się na poufałą rozmowę zanosi, wskazał na drzwi sąsiedniej sali kapituły, wspaniale nazwanej tej imieniem przedwcześnie, będącej w istocie izbą pustą, w której sprzętu żadnego nie było, a jak teraz i ludzi też. Wedle reguły schodzili się tam zakonnicy w pewnych godzinach.

U drzwi jej o. Lucjusz wytłumaczył się zajęciem pilnem i odszedł; przybyły gość sam z księciem pozostał. Z obejścia się z sobą widać było zażyłość dawną i wielką poufałość.

Wichfried, o którymeśmy już wspominali, jako o przyjacielu księcia, niegdyś towarzysz jego, gdy w Niemczech jako zakładnik przebywał, był wnukiem starego Lanfrieda, który u siebie ze szczególną gościnnością przyjmował młodego sierotę, opiekował się nim, a gdy na czem zbywało, nie żałował swojej majętności. Pamiętny tych usług Kazimierz później wziął do siebie jego wnuka, którego chciał wyposażyć i w Polsce osiedlić.

Stosunki ścisłe dawno ich łączyły, gdy Kazimierz był wygnańcem opuszczonym; wpłynęły one na późniejszą zażyłość obu. Mieli z sobą niegdyś braterstwo rycerskie, żyli jak równi i druhowie, pozostała i teraz przyjaźń, na którą Wichfried zasługiwał, ale płochy człek nie zawsze na dobre jej użyć umiał. Był to powiernik i pomocnik księcia we wszystkich jego tajemnych miłostkach, od których Kazimierza nie odciągał, ale raczej ośmielał.

Wichfried lubił życie, pojmował je jako zabawę i rad był ze wszystkiego korzystać, co je mogło uprzyjemnić. Z Kazimierzem byli niemal jak bracia, choć książę poważniejszego nadeń umysłu, czasem go za płochym i lekkomyślnym znajdował.

Gdy się w kapitularzu znaleźli sami, książę, ujmując go za rękę, zapytał powtórnie:

— Wichfriedzie, jakżeś ty mnie znalazł?

— Jak znalazłem? Doprawdy sam nie wiem — od-

parł, śmiejąc się Niemiec, — alem szukał pilno, bo mi potrzeba było widzieć was rychło i mówić z wami. Od kilku dni serce mi bije żywiej; to, com przeczuwał i czego pragnąłem, ziszcza się. Jadę z Sandomierza, pędzę raczej. Wiedziałem, domyślałem się, że jesteście w Gaju; tam już nie zastałem nikogo, śladem, węchem, domysłem, przeczuciem jakiemś tu się dostałem.

— Mów prawdę! — przerwał Kazimierz — wskazał ci kto?

— A miły panie — odparł Wichfried, — wam bo się ukryć trudniej, niż komu. Poznają was wszędzie i domyślają się ludzie. W istocie po drodze ten i ów dał mi wskazówkę, a raz na gościniec do Sulejwa wpadłszy, reszty się domyśliłem. Ale poco książę tu zbiegłeś? Teraz, w tej chwili, gdy tam tłumy z niecierpliwością na was czekają, wyglądają, wołają?

— Wichfried! — przerwał Kazimierz surowiej — dość tego. Wiem o tem, przestań, nie dopuszczę się bezprawia! Nie chcę władzy, pragnę spokoju. Nie mogę słuchać tych głosów, które nie są głosem miłości, ale gniewu; nie miłość ku mnie to sprawuje, ale niechęć ku bratu mojemu.

— A! — przerwał Wichfried śmiało — nie wchodzę w przyczyny, jakie was ku wielkim ciągną przeznaczeniom; błogosławię Boga, który je daje. Miły panie! spojrzyjcie na te ziemie wasze wszystkie, ile wy dla nich uczynić możecie. Co tu znaczy brat, co jeden człowiek, gdy do was wszyscy wyciągną ręce, a wy ich z barbarzyństwa wywieść możecie!

— Ja? — odparł żywo Kazimierz. — Ja! mylisz się! Czuję się słabym, jestem nim! Chcę dobra, ale go uczynić nie potrafię. Mieszek ma siłę i rozum, ja ich nie czuję w sobie! Nie! nie!

I ująwszy go pod rękę, Kazimierz wyszedł z nim z kapitularza przez ganki ku podwórcom.

Tu się wszystko ruszało około budowy, wesoło razem mieszali się z sobą mnisi i robotnicy. Ciosano kamienie, rozmierzano belki. Magister z pergaminem w ręku, na którym nakreślony był plan kościoła i kla-

sztoru, chodził, rozporządzając ludźmi, tłumacząc się napół znakami, wpół połamaną mową.

Twarz księcia rozjaśniła się.

— Patrz — odezwał się do Niemca, — oto najmilsze zajęcie moje! Zastałeś mnie nad malowanemi ich księgami, które mi dały na czas o wszystkiem złem i niedorzecznem zapomnieć! Tu serce mi bije żywiej, patrząc, jak się na chwałę Bożą w pustyni świat podnosi! To moje najupodobańsze dzieła!

— Tych dzieł, mając tak rozległe ziemie w ręku, będziecie mogli dokonać więcej, niż teraz — odezwał się Wichfried. — Odziedziczycie skarby, za które nakupicie ksiąg, będziecie mogli ziemiami ogromnemi uposażać klasztory, sprowadzać ludzi z całego świata. Stworzycie wreszcie rycerstwo karne z tych poczciwych i warchołowatych ziemian.

Smutnie uśmiechał się Kazimierz, słuchając.

— Ja? ja? — spytał. — Wichfriedzie! pochlebco! mów prawdę! Jeżeli surowy Mieszek nie zdołał ich uspokoić i zaprząc do ładu, ty myślisz, że ja co potrafię?

Roześmiał się i ruszył ramionami.

— Mieszek wszystko chciał robić siłą, wy to dokonacie miłością. Was kochają.

Nie odpowiedział książę, a odwróciwszy się i popatrzywszy, spytał niespokojnie:

— Sądzisz, iż się mogą domyślać pobytu mojego w Sulejowie?

— Nie wiem — rzekł Wichfried, — ale jestem pewny, że prędzej czy później znajdą was, bo na wszystkie strony rozsyłać mieli.

— A no! później! później! — odezwał się książę weselej. — Tymczasem wiesz co, Wichfriedzie? Jutro sobie sprawimy łowy. Spojrzyjno, co to za lasy dokoła, ile tam zwierza w nich być musi? W lasach tak cicho, tak spokojnie, tak pięknie! I ani jednego ziemianina krakowskiego! Tymczasem wracajmy do opata, bawmy się rozmową, mówmy o dawnych czasach, o czem chcesz, byle nie o tem, co mi wisi jak miecz nad głową.

Słów tych domawiał książę i szedł już ku dworkowi opata, gdy ukazał się o. Lucjusz, idący od wrót, dając znaki, iż miał z księciem do mówienia.

Zmieszany był nieco.

— Co mam czynić! — odezwał się cicho. — U furty stoi jakiś człek posłany z Sandomierza od księżnej, która was wszędzie szukać kazała.

— Zdradzono mnie! — zawołał książę.

— Nie, wrótny wedle rozkazu waszego, powiedział, iż nie wie nic — rzekł Lucjusz.

Książę Kazimierz szybko do dworku pośpieszył.

— Proszę — odezwał się niecierpliwie, — odprawić go każcie; chcę mieć czas do spoczynku i namysłu. Nie jestem tu księciem, ale gościem waszym. Nie wypędzajcie mnie!

Opat się zawrócił do wrót. Wichfried patrzał na Kazimierza z rodzajem współczucia, czy politowania. Znowu się znaleźli sami.

— Uspokójcie się, błagam was! — zawołał Wichfried.

Kazimierz wcale jednak nie uspokojony, żywo począł, zwracając się ku niemu.

— Ty jeden przynajmniej powinieneś mnie zrozumieć, Wichfriedzie. Znasz mnie od młodu. Nie pragnąłem nigdy ani władzy, ni skarbów, trochę pospolitego szczęścia, jakie dano na tej ziemi wszystkim prostym ludziskom. Pamiętasz mnie ubogim zakładnikiem, gdy wasz dziad sprawił mi odzież i zbroję, abym mógł z Rudobrodym bez wstydu iść na włoską wyprawę. Dano mi żonę, wiesz jak, niemal za warunek objęcia księstwa — dziś mi wydrzeć chcą tę trochę swobody, jaka mi została, i każą panować, a raczej iść w niewolę! Nie macie litości nade mną!

— A! miły panie — roześmiał się Wichfried. — Wszakże mi do was wolno mówić jeszcze tak, jak niegdyś, kiedyśmy się sami przechadzali nad brzegami Renu. Gdy będziecie panem, nikt wam nie zabroni szukać sobie szczęścia i rozrywki, która sama nastręczać się będzie! Wszystkie piękne dziewuchy uśmiechać się

będą swojemu panu i narzucać mu! Wybierzecie, jaką zechcecie!

Kazimierzowi oczy zabłysły.

— Cicho! — zawołał — a! dość tych niewiast, dość, biskupi mnie o nie strofują, ja sam kłócę się z sumieniem, o nie!

— No, i Ściborzanki byście się wyrzec gotowi! — zaśmiał się Niemiec.

Kazimierz jak zawstydzony oczy spuścił.

— Ona mnie więcej może kocha, niż ja ją — rzekł smutnie. — I ta będzie dla mnie straconą; przepadły moje wycieczki do Gaju!

— Dziewucha poleci za wami! — szepnął Wichfried. — O to bądźcie spokojni.

— A Gedko mnie za nią wyklnie i wydzwoni z Krakowa, jak wojewodę Szczepana za tę wdowę z Tęczyna

— Szczepan stary — odparł Wichfried, usiłując rozweselić księcia, — to zupełnie co innego. Wdowa też bałamutka i w ludziach nie przebiera.

Chwilka milczenia zmieniała usposobienie księcia.

— A ty ją znasz? — spytał Wichfrieda.

— Zdalekam ją widział kędyś! — rzekł Niemiec. — Wydała mi się bardzo powabną. Co gorzej, że gdyby nie wzrost większy, do Ściborzanki podobna! A co gorzej jeszcze — dodał — to, że za wami pono przepada i radaby się zbliżyć...

— Cóż znowu! — ofuknął Kazimierz.

— Naprawdę tak jest; wiedzą ludzie, nie jeden raz mi o tem mówiono — kończył Wichfried. — Ledwie się w Krakowie zjawicie, a będziecie ją mieć! Przyleci pod opiekę waszą, bo ją bracia prześladują, a podobno grożą zamknięciem, że się nie po ich myśli prowadzi. Naprawdę nie o to im idzie, ale pono o ziemie, które ojciec jej przekazał. Niewiasta śmiała, żwawa i wesoła. Uciekając od braci, padnie wam w ręce.

Zmarszczył się Kazimierz.

— Dość bo już — przebąknął kwaśno.

— Patrz! — rzekł, wskazując na podwórce kla-

sztorne — żadnej niewiasty stopa nie przestąpi nigdy tej zagrody; zakonnicy ani ich widzą, ni słyszą o nich. Spokojni są i szczęśliwi! Ja tym ludziom, w grube sukno odzianym, poszczącym przez rok cały, śpiącym na twardych deskach, dobrowolnie trapiącym ciało, zazdroszczę!

Zwrot ten rozmowy, do którego książę był zwyczajnym, nie zmieszał jego przyjaciela — zamilkł tylko na chwilę. Szli dalej, gdy opat zbliżył się, zapraszając na chleb wieczorny do swojego dworku.

Książę zwracał się uparcie do refektarza wspólnego.

— My już dzisiaj jeść nie będziemy — odezwał się ojciec Lucjusz. — Dziś tylko, czcząc przybycie dostojnego gościa, rozdaliśmy braciom nadzwyczajny podwieczorek, bo kawałek chleba i sera. Wam, miłościwy panie, nawykłym do innego życia i temu rycerzowi (wskazał na Wichfrieda) głodem u nas mrzeć nie damy.

Dał się książę namówić na wieczerzę dla Wichfrieda i opat ich poprowadził, gdy tymczasem przeor, zastępując go, powiódł braci do refektarza, a między robotników kazał rozdzielać napój i posiłek.

Tak się skończył pierwszy dzień pobytu w Sulejowie. Kazimierz z Wichfriedem zostali na noc w dworku opata.

Nie zmienił postanowienia, aby pozostać dłużej w tem ustroniu, zatrzymując przy sobie Niemca. W sąsiednie lasy mogli codzień czynić wycieczki, codzień o pierwszych godzinach dnia słuchać rannej mszy w drewnianej kapliczce, przypatrywać się rosnącej budowie, obyczajom, karności mnichów, a naostatek i z kantorem przezierać rękopisy klasztorne.

Wichfried się tem tak bardzo może nie zabawiał, ale książę Kazimierz zapomniał o tem, co mu zagrażało i czuł się niemal szczęśliwy ciszą i spokojem, jakich zażywał.

VI.

Na zamku w Sandomierzu od wieczora tego, gdy Kazimierz po rozmowie z Jaksą ujechać w lasy postanowił — panował w istocie ruch i niepokój wielki. Nie trwożono się tak bardzo nagłem zniknięciem księcia, ani tem, że dłużej, niż zwykle, bawił na mniemanych łowach.

Dwór i bliżsi wtajemniczeni byli i nawykli do wycieczek podobnych, księżna nawet cierpliwie je znosiła, choć codzień potrzebowała uspokojenia Goworka, że księcia tylko co nie widać zpowrotem.

Jaksa, też siedzący na zamku ciągle, od wyjazdu księcia niecierpliwił się nieobecnością jego. Należał on do tych, co wyniesienia Kazimierza najdawniej i najgoręcej pragnęli, nie dla żadnych widoków osobistych, ale przez miłość dla niego. Niecierpliwiła go obojętność księcia i to, co uporem nazywał. Rosło jeszcze podrażnienie w miarę, jak coraz więcej ziemian krakowskich przybywało, upominając się o księcia.

Nie było wątpliwości, że go na rękach na zamek zaniosą i Mieszek mu się oprzeć nie będzie w mocy. Codzień jakaś nowa gromadka przyjeżdżała to sama po swej woli, to wysłana przez wojewodę, to z namowy biskupa do skłonienia Kazimierza, aby się nie opierał prośbie wszystkich. Tymczasem jego — jak na przekorę, nie było.

Słać po niego niewiadomo było dokąd. Goworek się przeciwił, dowodząc, iż lada chwila sam powrócić musi. Ulegając woli księżnej, wyprawiono jednego z dworzan, który dotarł do Sulejowa, i jak widzieliśmy, z niczem stamtąd został odprawiony.

Ziemian krakowskich przyjmowano gościnnie, zastawiano stoły, Goworek gospodarzył, Jaksa pomagał, zatrzymywano niektórych, dawano dobrą otuchę, miasto i zamek pełne były.

Jednego z tych dni i Stach, nie obawiający się, by go tu poznano, wyrwawszy się jak mógł najprędzej z orszaku wdowy i obozu wojewody, przybiegł do San-

domierza. Jemu może najwięcej z wszystkich leżało na sercu, aby tego pana, któremu życie zawdzięczał, wynieść na najwyższą stolicę. Marzył o tem tylko od lat wielu; teraz goręcej, niż kiedy, brał się do czynu. Mały człeczek, mógł jednak coś zrobić, znając ludzi i kręcąc się między nimi. Sam on z wiernym Żegciem wyrwał się z obozu, niebardzo opowiadając komu, dniem i nocą śpieszył do Sandomierza.

Jako Zabor z Przegaju miał tu dawnych znajomych, jako Stacha nie pamiętał go już nikt. Owego nicponia miano dawno za umarłego. Sam Kazimierz, kilka razy go potem spotkawszy (choć jak mógł, Stach unikał tego), zdawał się nie domyślać, kto był, lub nie chcieć wiedzieć o tem.

Szerzyła się już wieść wszędzie, że Kazimierz panowania nie przyjmie. Stach biegł, aby podburzać ziemian i skłonić ich do upornego nastawania. Nie wiedział spełna, jak to uczyni, ale wolę miał silną. Na zamku nie trudno było być przyjętym, tembardziej, iż Stach mógł się opowiadać, jako wysłany przez wojewodę. Tłumy Krakowian, z którymi się połączył, nastręczyły mu się zaraz na wstępie do Sandomierza.

Stach, u mieszczanina zająwszy gospodę, wszedł między przybyłych, nie zwlekając. Wszyscy wołali jednym głosem, że księcia nie było.

— Juści nam za morza nie zbieży — zawołał, wcisnąwszy się w gromadę, — a no i do księżnej i do tych, co na zamku pozostali, musimy tęgo szturmować, nie folgując. Muszą wiedzieć, gdzie książę jest! Czasu do tracenia nie ma.

— He! he! a gdzie najpiękniejsza dziewucha we dworze w sąsiedztwie — rozśmiał się jeden, — tam go na pewno przy niej znajdziemy.

Śmieli się i drudzy, potakując.

— Przy księżnie tylko o tem nie gadajcie! — dodał drugi.

— Na zamek! — powtarzał Stach. — Goworek i Jaksa niech co chcą prawią — wiedzieć o nim muszą i dostawić go nam!

— Gwałtem go na Kraków zaprowadzimy! — powtarzali niektórzy.

— Musi nam panować!

— Choćby się opierał przez poszanowanie dla starszego brata — mówił Stach, — gwałt mu zadamy. A i to pewna, że gdy my go nie znajdziemy, gotów Kietlicz odkryć, dokąd się skrył, i pochwycić go. Na to już ma rozkazy.

— Uchowaj Boże nieszczęścia; jak nie pośpieszymy, wezmą go nam!

— Odbijemy siłą — poczęli krzyczeć Krakowianie.

— Jak się im raz dostanie, ratować go późno będzie — odparł Stach. — Żyw się z ich rąk nie wyrwie...

— Na zamek! na zamek! — krzyczała gromada, cisnąc się i popychając.

Ziemianin z Proszowic, niejaki Gąsior, niegdyś wojak, teraz gospodarz, człek już niemłody, mienia niewielkiego, ale gęby ogromnej, wybrał się przodować i, rękę podnosząc, najgłośniej począł krzyczeć:

— Na zamek!

Wszyscy szli za nim. Znano Gąsiora, że do robienia zawieruchy nie było nad niego. Miał to do siebie, iż mówić tak umiał, jakby ludziom z gęby słowa dobywał. Na słowach mu nigdy nie zbywało, kłamał z zuchwalstwem niezmiernem ludziom, co lepiej od niego o czemś wiedzieli, w żywe oczy dowodząc, co chciał — zakrzyczał, zahuczał i nikt się odzywać nie śmiał.

Gąsior, mało komu znany, choć tam siła było godnaprzód, poczuwszy, że tu jego miejsce było, Stach go popierał.

Co było ziemian w miasteczku, polało się na zamek. Kupa ludzi, stojącą pod wrotami, przyłączyła się do nich, potem ci, co byli w podwórzu i ci, co za stołem siedzieli.

Gąsior mało komu znany, choć tam siła było godniejszych od niego do przodowania, sunął już na czele, jakby miał do tego wszelkie prawo.

Goworek z Jaksą stali w przedsieniu, gdy tłum ten wtargnął zamaszysto. Od kilku dni nie było to no-

wością widzieć ziemian natarczywie upominających się o księcia. Ci przychodzili tak butnie, jak żaden. Gąsior począł od tego, że tu nie przelewki są, bo księciu grozi niebezpieczeństwo.

— Jakie? — spytał Goworek.

— Oto w tej chwili — począł Gąsior — pan wojewoda przysłał tu z doniesieniem, z najpewniejszą wiadomością, że Mieszek rozesłał ludzi najsprawniejszych, aby żywcem czy trupem dostawili mu Kazimierza. Naszemu umiłowanemu panu największe grozi niebezpieczeństwo! Ratować, nagwałt ratować! Niema chwilki do stracenia — a no za późno będzie, gdy go uśmiercą lub oślepią.

Goworek i Jaksa strwożyli się w istocie.

— Skądże? Kto tę wiadomość przyniósł? — zawołali.

— A z Krakowa wojewoda miał pewną wiadomość, kiedy z nią wyprawił — krzyczał Gąsior, bijąc się w piersi. — Rzecz pewna! jasna jak słońce! Kto żyw, powinien stawać w obronie.

Gdy ściślej dopytywać zaczęto, Gąsior wskazał Stacha; ten, niewiele myśląc, potwierdził, że o zamierzonym zamachu pewność była, że jechał z nią i przybył z obozu wojewody.

Wszyscy po sobie spoglądali z trwogą.

— Wasza miłość — odezwał się Gąsior do Goworka, — musicie wiedzieć, gdzie się pan nasz ukrywa. Gotowiśmy wszyscy życie dać! Trzeba rozesłać na wsze strony! Jedziemy wszyscy!

— Jedziemy! jedziemy! — poczęli wołać, ręce podnosząc, zebrani ziemianie — jedziemy!

Goworek naciśnięty, zaklął się, że o księciu nic nie wie. Gąsior z całą swą gromadą rzucił się, pomijając go, ku komnatom samej księżnej.

— Pójdziemy do Jej Miłości, niech ona pana swego a małżonka ratuje!

Chciano ich wstrzymać, aby nie strwożyli księżnej, ale tłumu zahamować niepodobna było.

Gąsior, któremu w pomoc przyszło dwóch znacz-

niejszych ziemian, Papibor i Sułek, przebojem poszli ku głębszym budowom zamku, ku teremom księżnej

Gwar pod oknami jej wszczął się tak wielki, iż Helena mocno się ulękła. Wybiegli dworscy jej, Bełżanie, strwożeni, dopytując z ruska, czego chciano.

Gąsior wołał, aby wyszła sama księżna, że z nią mówić potrzebują. W tejże chwili Goworek środkiem zamku pobiegł, aby ją uprzedzić, w sam czas, gdyż tuląc ku sobie dziecię, zalana łzami, sądziła się już w niebezpieczeństwie. Uspokoił ją namiestnik, radząc, aby dla ułagodzenia i zadośćuczynienia ziemianom sama do nich wyszła.

Wiodąc więc wystraszone dziecię za rękę, razem z Goworkiem wystąpić musiała na przedsienie. Zobaczywszy ją, naprzód okrzyknięto, podrzucając czapki do góry, życząc lat setnych, czem się już mogła uspokoić do reszty. Gąsior wystąpił.

— Najmiłościwsza pani — zawołał, — my księcia przez miłość dla niego szukamy, my go dla jego bezpieczeństwa chcemy mieć! Pomóżcie nam, dajcie go! Mieszek na życie jego czyha! Jeżeli się gdzie książę ukrywa, nim my go potrafimy wyszukać, on gotów nań napaść! Księcia nam trzeba!

Księżna zapłakana próżno ich zapewniała, że o nim nie wie. Ziemianie z Gąsiorem wołali a powtarzali swoje, że księcia należało wyszukać co rychlej i otoczyć strażą, aby go od wszelkiej napaści uchronić.

Posłyszawszy o niebezpieczeństwie, księżna uczuła postrach wielki, wyciągnęła ręce ku burzliwemu tłumowi.

— Więc idźcie — zawołała z płaczem, — szukajcie go, osłońcie, brońcie, proszę was! Jego, siebie i dziecię wam polecam! Czyńcie wszystko, co się wam zda dla jego bezpieczeństwa potrzebnem!

Usłyszawszy to, Gąsior zakrzyknął wnet:

— Hej! kto żyw! na konie! za księciem, nie mamy tu co robić. Na koń!

Ruszyli wszyscy; księżna, którą strach prawie o słabość przyprawił, zakrywając oczy spłakane, sparta na

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

ręku Goworka, chwiejącym się krokiem powróciła do swych komnat, gdy zebrany ów tłum ruszał się już hałaśliwie, wybierając, sam nie wiedział dokąd.

Gąsior wołał nieustannie, aby siadać na koń, iść, śpieszyć, ale sam stał. Inni kręcili się, odgrażając na Mieszka i jego wspólników, aż Stach, widząc ten zamęt, wystąpił.

— Niema tu co zwlekać i tracić czas drogi — zawołał; — podzielim się natychmiast na kilka oddziałów i każdy wyruszy w inną stronę szukać i przepytywać o księcia.

Gąsior mu zawtórował.

Czynniejsi zaczęli się zbierać gromadkami, Stach kierował nimi, rozporządzając, w którą kto z nich miał iść stronę. Gdy się to stało, a przyszło już wyciągać w drogę, ochota ku obronie księcia znacznie zaczęła ostygać. Stach jeden poddawał im ducha. Około niego zebrali się młodsi i żarliwsi, inni chcieli ciągnienie odkładać do jutra, niektórzy znajdowali przeszkody w koniach, ludziach i rynsztunkach. Woleli siedzieć na zamku spokojnie, żywić się tu i wykrzykiwać. Stach jednak nie dopuścił, aby to na niczem spełzło.

— Co postanowione, to się spełnić powinno — wołał głośno, — zatem, komu w drogę, temu czas, a kto się cofnie od tego, co gromada postanowiła, ten zdrajca!

Gąsior, to usłyszawszy, podniósł pięść do góry, powtórzył parę razy — zdrajca! i, natychmiast zaszywszy się w tłum, zniknął. Tyle go ludzie widzieli.

Szczęściem inni wzięli sprawę do serca. Z wielkiej jednak tej wrzawy zaledwie cztery poczty niebardzo okryte dały się zebrać, jednym z nich tymczasowo dowodził Staszek, innemi młodsi, z jego ramienia wybrani.

Chciano jeszcze konie karmić i zwlekać, a byłby tymczasem wieczór nastał i wszystko się znowu może nazajutrz rozchwiało, ale Stach przynaglił, by na konie siadać i inni, radzi nie radzi, za jego przykładem iść musieli, w duchu gorliwość jego przeklinając.

— Temu bo pilno! — mruczeli. — Bodaj karku nadłamał.

Wyznaczono cztery gościńce, któremi udać się miały oddziały, dostając języka, przezierając lasy, zajeżdżając do dworów, aby się dowiedzieć o księciu.

Staszek po części rachubą, częścią przeczuciem jakiemś wybrał się ku Sulejowu. Oddział ten był najliczniejszy, najlepiej zbrojny i najgorętszego ducha. Stachowi szło o to, aby znalazłszy Kazimierza, jakimkolwiek sposobem do jego przybocznej straży się wśliznąć. Obawiał się on naprawdę o księcia i sam chciał czuwać nad nim.

Mało co od Sandomierza odciągnąwszy, zaczęli zaraz po osadach i chatach przepytywać. Dostać języka nie tak było łatwo, bo gdziekolwiek się oddział rycerstwa pokaźniejszy ukazał, osadnicy z chat uciekali i co żyło, ukrywało się. Uprowadzano konie w lasy, pędzono stada w gąszcze, aby się uchronić od przewodu i przeżywiania.

Wszyscy słudzy książęcy i duchowni, a nawet możniejsze ziemiaństwo miało prawo po gościńcach brać konie i ludzie i żywić się kosztem wiosek. Nawet psiarzom i sokolnikom pańskim odmawiać tego nie było można. Lud więc po osadach, gdy zoczył nadjeżdżających, natychmiast skryć się starał. Pomimo to Stach, konia nie szczędząc, łapał zbiegów po polach, ale od nich o księciu nic dowiedzieć się nie mógł.

Nie tracił przeto nadziei, by dalej puściwszy się w lasy, nie wpadł na jakieś poszlaki.

Tymczasem książę Kazimierz, któremu Wichfried tak w porę przybywał, łowami się zabawiał w okolicy Sulejowa, ale nie myślistwo to było, a włócznie się po lasach, bo psów i ludzi brakło. W Sulejowie pomocy żadnej nie znaleźli. Wichfried przybył samotrzeć. Choć więc lasy w zwierza obfitowały, uchodził im wszystek z przed nosa. Drugiego dnia książę już był bardzo markotny.

Smok, który na to patrzał, nie śmiał mówić nic, ale mu pana było bardzo żal.

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

Po nieszczęśliwych łowach zamruczał wieczorem, że lepiejby było do Sandomierza powracać.

Zmarszczył się na to Kazimierz i milczeć mu kazał. Po chwili namysłu zwrócił się do niego.

— Jedź ty — rzekł, — nie opowiadając, gdzieś mnie zostawił, jedź i przyprowadź z sobą psy i ludzi trocha. A no mnie nie zdradź, gdzie jestem, bo chcę tu spocząć.

— Miłościwy panie — odparł sługa, — a jakże ja was tu samego porzucę? To nie może być!

— Z mnichami i Wichfriedem cóż mi się tu stać może? — zawołał książę.

— Albo ja wiem — mówił Smok zafrasowany. — Mnie się opuszczać was nie godzi.

Uśmiechnął się Kazimierz.

— Jedź, nie pytaj — rzekł, — jam tu bezpieczniejszy, niż w Sandomierzu! Wracaj mi tylko rychło. Spytają cię, gdzie jestem, mów, że w lesie i że mi tam dobrze.

Smokowi się na żaden sposób jechać od pana nie chciało; poszedł do Wichfrieda na radę, ten mu kazał spełnić wolę księcia. Musiał się więc w drogę wybierać.

Nie wziął nikogo z sobą, a postanowił, choćby konia zapędzić do zdechu, powracać co najrychlej. Znał stary wyga okolice tak, że drogi do podróżowania nie potrzebował, szedł instynktem myśliwca i napół dzikiego człowieka, we dnie patrząc po drzewach, w nocy po gwiazdach. Gdy tych zabrakło, wiatr musiał być wskazówką, koń przydał się nieraz. Wyjechawszy z Sulejowa, obejrzał się tylko po górach, konia zwrócił i ruszył.

Gromadka Stachowa, szukająca księcia, żywo się też naprzód posuwała, choć języka nie dostając, w kierunku Sulejowa. Tu i ówdzie opowiadano im, że ktoś w lesie trąbił, że oddział jakiś widziano; potem się okazywało, że to był ktoś z sąsiadów. Stach się jednak nie zrażał, mając przeczucie, że mu się poszczęścić musi.

Gdy jednego dnia na łące stanęli popasać koniom, wypadek zrządził, że Smok właśnie u strumienia swo-

jego poił. Nim mu uzdę narzucił i wsiadł nań, już Stach był przy nim.

Znał go z twarzy, bo Smoka znali wszyscy; krzyknął zaraz:

— Smocze! gdzie książę?

— Jaki książę?... — wyjąknął zmieszany drab i chciał się już zabierać do ucieczki.

— Stójże no, szalony człecze — za szyję go chwytając, zakrzyczał Stach, — jam przecie nie wróg, a swój i temu samemu, co ty panu służę. Znam cię, jak szarą gęś, wykłamać mi się nie możesz, boś z panem był. Jeśli pytam, to nie dla zdrady, a dla dobra.

— Tyś kto? — zapytał Smok.

— Kto jestem, tom jest — zawołał Stach, — dosyć, żem sługa Kazimierzowy. Jedziemy, szukając księcia, bo mu od Mieszka grozi niebezpieczeństwo, pochwycić go chcą. Zasadzki nań czynią, ludzi nie ma, idziemy w pomoc i dla straży. Nie zechcesz gadać, a stanie się co złego, gardłem odpowiesz.

Smok miał w podejrzeniu Stacha, chciał mu się wyśliznąć i ujść, ale konia trzymano; myślał obalić na ziemię napastnika i byłby się rzucił nań, ale gromada nadciągnęła i obstąpiła. Zaciął się tedy i stał milczący.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Ja cię znam — mówił do niego Stach, — wiem, że panu jesteś wierny, jak nikt, że go nigdy na krok nie odstępujesz, dlaczegożeś go teraz porzucił? Cóż się z nim stało?

— Mów! — krzyczano ze wszystkich stron nadaremnie.

Gorętsi już się doń z pletniami brać chcieli, ale Stach go osłonił.

— Z tego człowieka groźbą nic się nie dobędzie — rzekł, — ja go znam.

Zbliżył się znowu sam do niego.

— Słuchaj — rzekł, dobywając z pod kaftana krzyż, który zawsze na piersiach nosił. — Widzisz go, jest to Krzyż Pański, na który kto przysięga krzywo, na tym i na tamtym świecie jest przeklęty. Ja ci na

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

ten Krzyż Chrystusowy przysięgam, że my księcia idziemy osłaniać i bronić. Mów, gdzie jest.

Smok słuchał i patrzał, a był człek pobożny.

— Gdzie? — odburknął wreszcie, — mnie zakazano mówić, gdzie jest.

— I wolisz przez posłuszeństwo dopuścić, aby go, nie mogącego się bronić, wzięto? Żeby może postradał życie lub oczy?

Smok aż się wstrząsnął cały.

— A no, on tam, gdzie jest, bezpieczny! — zawołał.

— Jakto? Mając przy sobie trzech czy czterech ludzi?

Smok głowę spuścił — prawda była.

— Dlaczegożeś ty go porzucił, co mu byłeś najpotrzebniejszy? Dokądże jedziesz? Toć książę wpobliżu być musi?

Głową potrząsał sługa.

— Posłał mnie — rzekł.

— Niechże cię piorun ubije! — krzyknął Stach, — wolisz, by pan zginął marnie, niż zdradzić przykazanie! Powtarzam ci to do sumienia twojego, stanie się co złego panu, ty winien będziesz! Kat cię bierz, puszczę cię wolno. Gdy Mieszek na polowaniu w lesie, w zasadzce ułapie Kazimierza, tyś tak chciał.

Odstąpił od niego i dał znak, aby drudzy go nie wstrzymywali. Ujrzawszy się wolnym, Smok naprzód chciał się do konia rzucić i uchodzić, ale pogróżka w nim tkwiła, zatrzymał się.

Stach już odchodził, gdy on dobrowolnie za nim postąpił, pociągnął za rękaw i w oczy mu wpatrzył się mocno.

— Prawda, co mówicie? — spytał.

— Jak Bóg na niebie! — odparł Stach. — Tyś chyba bezmózgi; jabym przecie sam za niego życie dał, czyżbym miał zdradę w sercu?

Drab głowę skrobał.

— Mnie — odezwał się cicho, — mnie po psy i ludzi posłano do Sandomierza.

— Właśnie czas o łowach myśleć, gdy w lasach

największe niebezpieczeństwo. A toż go razem z Wichfriedem pochwycą.

Smok nagle, jakby go rzuciło, na konia skoczył, obejrzał się po gromadzie zbrojnej i licznej, policzył ich oczyma, przeżegnał się i, milcząc, konia nazad zawrócił.

— Za mną — rzekł krótko, — poprowadzę!

Nie spuszczając go z oka, Stach natychmiast dał znak swoim, którzy pośpiesznie na konie siedli i jechali za przewodnikiem.

Smok po swojemu z sumieniem wszedł w porozumienie, nie chciał powiedzieć, gdzie pan był, bo mu to zakazano, ale groźbami przestraszony o los jego — prowadził. A że mu pilno było zbyć się tej męki, wiódł po swojemu, bez dróg, przez gąszcze, moczary, wzgórza, nie pytając, jak tam sobie drudzy radę dadzą.

Czasami odwracał się ku Stachowi, który go już badać nie próbował i nieznużony ciągnął dalej. Rycerstwo, jadące za nim, musiało się doń stosować z krótkiemi popasami i małym spoczynkiem.

Stach, który nietylko Krakowskie, Sandomierskie, Lubelskie, ale całe Mazury znał dobrze, wkrótce się już mógł domyśleć, dokąd dążyli, a że o nowo zakładającym się klasztorze słyszał wiele, pewien już był, że książę się tam ukrywał.

Na porannym spoczynku podszedł do milczącego Smoka.

— Smocze, niebożę, jedź już sobie teraz po psy i ludzi, abyś rozkaz pański spełnił; trafię ja i sam bez ciebie.

Smok głowę podniósł.

— Książę jest w Sulejowie — dodał, — tyś go nie zdradził; bądź spokojny, my strzec będziemy, aby mu się nic nie stało.

Zrazu Smok głową potrząsł, nie godził się, lecz gdy Stach dodał, że więcej ludzi z zamku ma dla bezpieczeństwa przyprowadzić i Jaksę z sobą wziąć, który był dowódcą dzielnym — dał się przekonać. Z popasu

tego rozstali się, nic nie mówiąc. Smok tąż samą drogą ruszył nazad, a Stach z oddziałem ku Sulejowu.

Gdy z lasów wyjeżdżając, ujrzeli już zabudowania klasztorne, Stach, dotąd dowodzący oddziałem, wziął Papibora na stronę.

— Miły panie, dużoby mówić dlaczego, ale mnie się nie godzi stanąć przed księciem, jako dowódcy. Jam człek mały i w Krakowskiem nieznany, nie przystoi mi się piąć nad innych. Wy teraz prowadźcie. Powiecie księciu, żeśmy przyszli, aby go od napaści strzec i stać przy nim.

Zdziwił się zrazu Papibor temu dobrowolnemu zrzeczeniu się, ale że dość miał dumy i ochoty do przodowania, nie opierał się.

— Mnie to tam wszystko jedno — rzekł, — niech drudzy wybiorą i obwołają kogo chcą.

— Byle nie mnie, bom ja nieznany człek — odpowiedział Stach; — ja sobie stanę w kupie.

W początku chciano Stacha zmuszać, wołano nań, ale się wyprosił. Głosowano więc, jedni Papibora, drudzy Sułka mieć chcieli — stało się na pierwszym. Stach wjechał w szeregi i skrył się w ostatnich, aby na oczach nie być.

Zbliżali się już do klasztoru, około którego, jak innych dni, ruch żywy panował, bo pośpieszano z budową dopóki służyła pora. Z górnego brzegu, na którym się mieściły cysterskie szopy i mury, widać było okolicę; znaczny oddział rycerstwa, jadący ku klasztorowi, nie mógł ujść oczów księży i robotników. Stach postrzegł, że tam już stawano, przypatrując się im i w obawie, aby książę nie uszedł, radził kroku przyśpieszyć.

Stanęli u furty i zaczęli dzwonić; wrotny otworzył okienko, niespokojnem okiem mierząc przybyłych, którzy się natarczywie domagali wpuszczenia i rozmowy.

Papibor, zsiadłszy z konia, wołał o opata lub przeora. Wpuszczono go samego, gdy tymczasem reszta z koni złazić i rozkładać się u bramy poczynała.

Opat Lucjusz z braciszkiem Polakiem, za tłuma-

cza służyć mającym, zjawił się wkrótce, zapraszając do refektarza. Rozmowa z pomocą chłopaka, który z łaciną nie łatwo sobie rady dawał, a opat, oprócz francuskiego i łaciny, innego nie rozumiał języka — szła jak po grudzie. Migami sobie dopomagać musiano, młody tłumacz potniał i jąkał się.

Papibor po kilkakroć powtarzał, że ziemianie, rycerstwo przybywali do księcia, służyć mu i od niebezpieczeństwa, jakie mu od brata groziło, obronić. Opat niewiele mógł zrozumieć. Dopiero Stach, który się domyślał trudności tych i w pomoc pośpieszył, sam się mógł z opatem rozmówić i wytłumaczyć jaśniej, z czem przybywali.

Opat Lucjusz, jako polityk mądry, z początku udał zdziwienie wielkie, aby brat mógł na brata nastawać i ks. Mieszka, jako fundatora, bronić się starał. Nie wierzył, aby ks. Kazimierzowi niebezpieczeństwo jakie zagrażać miało. Stach odezwał się śmiało:

— Wiemy dobrze, jak rzeczy stoją, a gdyby i zbytnia troskliwość nas tu ściągnęła, grzechem ona nie będzie. Lepiej nadto ostrożności, niż za mało. Wiemy, że książę jest tutaj.

Opat wahał się z wypowiedzeniem czegoś jasnego; kłamać nie chciał, przyznać się obawiał, milczał skłopotany.

— Mamy wiadomość pewną — dodał Stach, — że książę i Wichfried tu się znajdują.

Opat Lucjusz nic nie odpowiedział.

— Oddział wasz znaczny jest? — spytał, unikając tłumaczenia się.

— Jest nas około seciny — rzekł Stach.

— W klasztorze się nie pomieścicie — odparł opat, — choćbyśmy wam radzi byli, przyjąć nie możemy.

— Myśmy nawykli — odezwał się Stach — stać pod namiotami i bez namiotów, pod lada szałasami, a choćby pod gołem niebem. Rozłożymy się obozem byle gdzie.

Widząc zakłopotanie opata, Stach powtórzył raz jeszcze, że o księciu wiadomość mieli od jego własnego sługi, że przychodzili w pomoc nie ze złą myślą, spodziewali się więc, że książę dla nich taić się z sobą nie będzie.

— Książę w istocie był tu z Wichfriedem — rzekł nareszcie opat po namyśle, — zaprzeczać nie chcę, ale dzisiejszego dnia rano z kilku ludźmi o brzasku wyruszył. Niema go tu.

— Na łowy! — zawołał Stach wylękły — w kilku ludzi! A jeśli, uchowaj Boże, wpadnie gdzie w zasadzkę! Jeśli go zechcą pochwycić, w kilku ludzi ani się będzie mógł bronić!

Opat głową potrząsł; widząc zaniepokojonych, sam też okazał, że to go obeszło.

— W Bogu nadzieja — rzekł, — że nie dopuści nieszczęścia. Na to, co się stało, radzić nie możemy, bo nawet nikt nie wie, w którą się udali stronę.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich. Stach, podejrzewając jeszcze, iż książę chciał się ukrywać, zaklął opata, aby mu powiedział prawdę. O. Lucjusz najuroczyściej potwierdził, że było tak, jak mówił.

Stachowi szło o to także, aby książę, powracający z łowów, gdy zdala ich oddział zobaczy, nie rzucił się w lasy znowu, chcąc uniknąć spotkania z ludźmi. Wypadło więc z narady, aby Papibor pozostał sam w klasztorze, a ludziom trzeba było ustąpić gdzieś do bliskiego lasu i w ukryciu oczekiwać powrotu Kazimierza. Stach wyszedł z tem zaraz. Opat chciał im dać jeść i pić, ale czekać na przyjęcie to niebezpiecznem było, pobrali więc chleby i beczułki, które im ks. Cellarius i Hospitalarius wynieśli — i pociągnęli w zarośla.

Znużeni ziemianie, choć mrucząc, musieli Stacha posłuchać i z pod klasztoru się wynosić.

Z miejsca, które w bliskości na obozik zajęto, widać było klasztor w dolinie i wiodące do niego drogi. Nie rozpalano ogni, aby się nie zdradzić dymem, konie spętane poszły na paszę, panowie na siodłach i kobierczy-

kach pokładali się do snu, postawiwszy straże. Stach też na czatach pozostał.

Dzień był skwarny i wydał się im długim. Księcia do północy i po północy jak nie było, tak nie było.

VII.

Myślistwo w owych czasach było tak w męskim obyczaju, tak się do niego od najmłodszych lat wdrażano, iż najmniej namiętni łowcy, przecie dni kilka, nie wyjechawszy w pola i lasy, wytrwać nie mogli.

Kazimierz lubił myślistwo, jak wszyscy, chociaż inaczej; wyjeżdżał, szukając ciszy, potrzebując ruchu, gdy nic go ważniejszego nie zajmowało. Codzień z Sulejowa puszczał się z Wichfriedem w sąsiednie bory i ostatniego dnia też wyjechał z nim na góry, klasztor otaczające. Tu zwierz był sąsiedztwem nowej osady spłoszony, wyrąbywaniem lasu i trzebieżami wylękły, cofał się głębiej. Książę i Wichfried z trzema ludźmi pół dnia jeździli nadaremnie. Kiedy niekiedy zaszeleściało coś zboku, przemykało się zwierzę, ale po gąszczach gonić go nie było sposobu, łowców do osaczenia było za mało, psy się rozbiegały i nie wracały. Myślistwo więc było nudne i zawodne, chyba szczęśliwy jakiś traf mógł im napędzić zwierza.

Księciu mniej szło o to, jechali lasami ślicznemi, we dwu z druhem, z którym o wszystkiem w świecie mówić było można otwarcie, a jeden las ich słuchał...

Z Wichfriedem płochym, niezbyt uczonym, nie ubiegającym o mądrość wielką, rozmowa była mu miłą. Umiał słuchać i rozumieć. Głowę miał otwartą, a choć po niej chodziły myśli własne, nie podlatujące wysoko, cudze zato przyjmował gościnnie, choć nie na długo. Często też w najpoważniejszą mowę umiał wtrącić rzecz płochą, która księcia rozweseliła.

Im książę Kazimierz był smutniejszym, tem on weselszym się być starał. Ten wzdychał nad przyszłością groźną, Wichfried zagadywał o miłostkach i, choć ksią-

żę był posępnym, często uśmiech na usta jego wywołał. Godzili się z sobą.

I dnia tego dość długo sprzeczali się tak, aż książę dołożył wkońcu:

— Ty, Wichfriedzie mój, nigdy poważnym się nie staniesz i zestarzeć nie potrafisz.

— Tem się cieszę — odparł Niemiec; — coby mi z tego przyszło, gdybym zawcześnie zaczął się truć smutkiem!

— Zdrów bywa smutek — rzekł Kazimierz.

— Wesele też chorobą nie jest.

— Ale po niem zawsze idzie znużenie i zawód.

— Po niem — przerwał Wichfried — ja, nie czekając, idę spać. Położywszy się, żadnych złych snów nie miewam i nazajutrz wstaję, gotowy do dobrej myśli. Wszystko na tym świecie pustem mi się wydaje.

— Boś sam pusty, ale i z tem jesteś pono szczęśliwy! — rzekł książę.

— Książę, gdybyś chciał, mógłbyś być stokroć szczęśliwszym ode mnie.

— Nie, bom się z inną myślą urodził. Jakże mnie wesołym być! Powiedz! W Sandomierzu biedna niewiasta płacze niespokojna, a ja się po lasach włóczę z myślą dla niej niewierną. W Ściborzycach tęskni druga.

— E! o tem myśleć nie warto — przerwał Wichfried. — Gorzej, że w Sandomierzu i Krakowie czekają na was, wołają, budują, a książę w lasy uchodzisz od tych, co mu dobrze życzą.

— Bo mi oni nie życzą dobrze — zawołał Kazimierz niecierpliwie. — Ilem ci to razy powtarzał? Szczęścia nikomu nie narzucić. Duchowni w najlepszej myśli żonę mi dali, której ja kochać nie mogę; ziemianie chcą mi dać panowanie, którego nie pragnę, bobym na sumieniu miał krzywdę brata.

— On się skrzywdził sam — zawołał Wichfried; — książęta, mówi polskie przysłowie, braci nie mają.

— Złe to przysłowie — przerwał Kaziemierz; — ja go znać nie chcę. Nikogom w życiu nie kochał, jak

Henryka, nikogom nie szanował, jak Bolka, a Mieszka, jako starszego pana, z woli ojca uznaję zwierzchnikiem i czczę.

Przy pierwszej lepszej łączce, gdzie dla koni była woda, siedli spoczywać. Skwar dopiekał, zatrąbiono na ludzi. Ludzi, ni psów słychać nie było. Wichfried z klasztoru wziął był opatrznie posiłek do torby. Mieli kubki i kubłaczek z winem, mieli się i napić czego. Potem spoczywali długo w cieniu, koniom dając dobrze wytchnąć.

Kilka razy jeszcze Wichfried w trąbkę uderzył, nikt nie przybył, nikt nie odpowiedział. Zdrzemnęli się trochę na trawie; gdy przebudziwszy się, spojrzeli na niebo, poznali, że się miało ku wieczorowi. Należało powracać; książę Kazimierz był tak obojętnym, iż go wcale nie obchodziło, ani kiedy i jak powróci. Wichfried mocno się niepokoił, on uśmiechał, przeciw zwyczajowi.

— Ks. opat będzie niespokojny.

— Wrócimy nocą — odparł książę, — noc będzie do powrotu milsza, niż skwarny dzień do włóczęgi.

— Byleśmy drogę znaleźli.

Kazimierz ramionami ruszał. Siedli na konie znowu i, zawróciwszy, jak się im zdało, jechali borem. Chcieli powracać tąż samą drogą, którą jechali wprzódy, ale postrzegli rychło, że ją zgubili. Zaczęło zmierzchać dobrze. Wichfried trąbił nieustannie, nikt mu nie odpowiadał. Trzeba było dawać sobie samym rady, bo na łowczych Wichfried rachować już nie mógł.

Szukając drogi, jak się to często trafia, gdy się ją niespokojnie chce odnaleźć, ślady jej zatracili, kierunek zmylili, wjechali w okolicę nieznaną, w gąszcze i zawady coraz straszniejsze, które pomijając w lewo i w prawo, zbłąkać się musieli zupełnie.

Sciemniało zupełnie, nad wierzchołkami drzew pokazały się gwiazdy, las stał cicho, wiatr ustał. Zdala gdzieś słychać było wycie wilków.

W lesie spokojnie było, pięknie, tylko żyć — sosny pachniały i brzozy.

Księciu jechać się nie chciało i zawołał, pod stary dąb podjechawszy, że spocznie tu. Nie sprzeciwiał się Niemiec; miał na myśli, gdy Kazimierz położy się i zaśnie, sam pójść drogi szukać.

Lecz stanąwszy na nocleg, było co robić, ogień rozpalić, posłanie przygotować, konie popętać. Wichfried we wszystkiem chciał zastąpić księcia, ale ten mu się nie dał i wesoło sam się też zajął tem, co na niego przypadało.

— Przepadła wieczerza o. opata — wołał, śmiejąc się, — sam ją chyba zje, a że oni mięsa nie tykają...

— Znajdą gościa, co ją spożyje! — dodał Wichfried.

Śmiejąc się i podżartowując, poszli spać; las ani szumiał nawet, ogień się palił tak, że dym słupem szedł nad drzew wierzchołki ku niebu. Wichfried, siadłszy na straży, sparty o pień, miał czuwać, ale go sen wkrótce zmorzył.

Krótka noc wiosenna przeszła tak szybko, że gdy się przebudzili, rosą okryci, dniało dobrze. Wichfried, zostawiwszy księcia, sam poszedł drogi szukać i rozglądać się po okolicy. Miejsce było całkiem nieznane, dróg dokoła żadnych. Głos trąbki rozchodził się po lesie długo bez odpowiedzi.

O białym dniu, napróżno się odzywając, siedli na konie, książę wesół, żartując ze złego przewodnika, Wichfried gniewny sam na siebie, nie umiejąc już radzić, bo nawet strony, w której klasztor leżał, nie był pewnym.

— Jedźmyż, gdzie konie poniosą, one więcej od nas rozumu mają; głód poprowadzi je do żłobu.

Gdy im cugli popuścili, rozum ten koński tak się niedorzecznym okazał, że jeden chciał iść w prawo, drugi w lewo — książęcemu dano pierwszeństwo.

Jechali trochę już głodni, śmiejąc się ze swej przygody.

Los tak zrządził, by ani na żadną osadę, ani na człowieka, ani na gościniec, nawet na samotną chatę nie trafili. Gdzie się zapędzili, żaden z nich nie wie-

dział. Około południa książę, który dotąd bardzo brał wesoło obłąd swój, zaczął też być trochę niespokojnym.

— Licho już wie, gdzie my jesteśmy — rzekł. — W półtora dnia okrutny kawał drogi zrobić można, gotowiśmy się znaleźć, gdzie się wcale nie spodziewamy.

Właśnie, gdy to mówił, zastąpiła im drogę rzeka dosyć znaczna. Pilica, nie Pilica? Nie poznali, co za jedna.

Wichfried był tego zdania, aby nazad zawracać, książę utrzymywał, że gdzieś nad brzegiem najpewniej osada jakaś znaleźć się musi, chciał ją nawet przebywać wpław, aby na drugim brzegu ludzi szukać.

Znaleźli jeśli nie bród, to płytkie miejsce, gdzie konie, mało co spłynąwszy, dobiły się na drugą stronę. Tu znowu stał las gęsty na wzgórzu, ale pusto było, jak zajrzeć. Oko, z zakrętami rzeki biegąc, tylko ługi zielone i piaski żółte spotykało. Na łąkach nawet stożysk, ani stad nie było, trawy rosły w pas, jakby ich nigdy nie koszono.

Jechali dalej w milczeniu, bo położenie stawało się coraz przykrzejszem. Wichfried z rozpaczy rwał się ciągle do trąbki, ale na wołanie jego echa tylko leśne odpowiadały. Nadchodziło południe. Jedzenia było tak mało, że ledwie do wieczora starczyło, aby głodem nie marli. Zwierzyna się nie nastręczała. Wichfried zaczynał po niemiecku kląć polskie lasy, utrzymując, że i w Niemczech były puszcze niemałe, ale takich borów, co się na dziesiątki mil nieprzerwanie ciągnęły, nigdzie nie było, tylko w Polsce.

Popasłszy, jechali znowu. Wichfried dął w trąbkę, aż mu tchu brakło.

Miało się już ku wieczorowi, gdy zdala odezwała się w odpowiedzi druga trąbka. Poczęli więc jechać coraz prędzej ku głosowi jej, dając o sobie znać — nadzieja wstąpiła w serca.

Wprawdzie ucho myśliwych rozpoznać mogło, iż ten, co im odpowiadał, nie swój był, ale obcy. Róg je-

go brzmiał inaczej. Kazimierz nie poznał go, choć zdało mu się, że głos był znajomy.

Las się trochę przerzedzał tak, że pośpieszyć było łatwiej. Odpowiadający na trąbienie, jakby równo z nimi niespokojny był, nawoływał szybko, gwałtownie.

Mały kawałek łąki leśnej zdawał się ich dzielić od łowca, którego wreszcie spostrzegli, stojącego na koniu zdala, z rogiem małym w ręku. Mężczyzna był wzrostu słusznego, z brodą ciemną, w kołpaku, z łukiem na plecach, mieczem u nogi, na koniu dzielnym. Wichfried, wpatrzywszy się weń, pobladł.

— Stój, — zawołał do księcia — to książę Mieszek! Zawracajmy! to on!

Kazimierz stanął i wlepił oczy.

— Tak, to on — rzekł spokojnie. — On sam, ale nie godzi mi się, abym przed nim uciekał. W sumieniu jestem czysty, czegóż się mam lękać od brata?

I posunął się szybko ku niemu.

Mieszkowi, który także musiał Kazimierza rozpoznać, ręka, w której róg podniesiony trzymał, drgnęła. Ujrzawszy zbliżającego się, ruchem niespokojnym i oczyma dokoła się obrócił.

Stali o trzy kroki od siebie. Kazimierz z konia zsiadł i szedł starszego przywitać. Wichfried też co prędzej skoczył ze swojego i, nie chcąc Kazimierza samego zostawić, pośpieszył za nim.

Mieszka twarz, z brwiami nawisłemi i czołem pomarszczonem, ponura była i zasępiona. Wśród ciemnego zarostu błyskały tylko oczy i lice zbladłe.

Gdy Kazimierz zbliżył się z poszanowaniem, oba milczeli, długo patrząc na się. Zdumienie odbierało mowę. Wichfried tymczasem oczyma niespokojnemi sięgał w las, upatrując, czy dwór i łowcy książęcy nie nadciągają. Obawiał się napaści, pochwycenia. Gotów już był do rozpaczliwej obrony i ręka, mimowoli za miecz chwyciwszy, już go nie puszczała.

Naostatek Kazimierz przerwał milczenie, głosem odzywając się łagodnym:

— Prawdziwe zrządzenie Boże, żeśmy się tu spotkali.

Mieszek ręką rzucił, obejrzał się wkoło, jakby niespokojny był, że ludzie nie nadciągają. Po krótkim namyśle z konia zsiadać począł. Wichfried, choć powinien był, nie ruszył się mu pomagać; stał na straży.

Na twarzy Kazimierza nie widać było wielkiego poruszenia; pozostał prawie spokojnym i uśmiechniętym, spoglądał na brata z życzliwością i uczuciem braterskiem, gdy Mieszek drżał ze wzruszenia, gryzł usta i hamował się, by nie wybuchnąć.

Z wejrzeń, rzucanych na Wichfrieda, widać było, że pragnął, aby się oddalił; świadek mu był niepotrzebny. Spostrzegłszy to, Kazimierz szepnął Niemcowi, aby szedł na stronę, co ten spełnił dosyć niechętnie, stanąwszy w niewielkiej odległości, aby móc księciu nadbiec w pomoc, gdyby się okazała potrzeba.

Wzrokiem niespokojnym patrzał ciągle w las, gdyż zdało mu się, że niechybnie orszak Mieszka nadciągnąć musi, a książę da hasło do jakiego zamachu.

Ten jednak, komu się on zdawał grozić najwięcej, nie okazywał najmniejszej obawy.

Mieszek mierzył go oczyma z powagą starszego brata i zwierzchnika.

— Co tu robisz? — spytał ostro.

— Zbłąkałem się na łowach, jak ty.

— Jam się nie obłąkał — odpowiedział Mieszek, — ja zawsze wiem, dokąd i kędy idę.

Kazimierz spojrzał nań wzrokiem rozbrajającym, pod którego szczerością i wyrazem łagodnym Mieszek się czuł, jak nieswój i poruszył dziwnie. Spojrzał na stojącego wdali Wichfrieda i rzekł głosem przytłumionym:

— Słałem po ciebie, wołając do Krakowa.

— Nic o tem nie wiem; poseł musiał nie zastać mnie w Sandomierzu, byłbym pośpieszył na wezwanie.

Mieszek niedowierzająco nań patrzał.

— Byłbym się stawił — powtórzył Kazimierz z uśmiechem.

— Potrzebowałem mówić z tobą — dodał Stary głosem poruszonym i przerywanym. — Chciałem cię przestrzec, abyś ze mną nie poczynał wojny.

— Ja z tobą? — podchwycił Kazimierz. — O cóż mybyśmy z sobą wojować mieli?

— Nie udawaj, jakobyś nie wiedział — wybuchnął Mieszek, następując nań groźno. — Te warchoły, którym Władysław był za ciężkim, którym Bolko nie mógł dogodzić, chcieliby i mnie zrzucić, a ciebie w mem miejscu osadzić. Wiesz o tem?

— Wiem — rzekł Kazimierz spokojnie.

— Nie radzę ci dać się uwieść — mówił Stary; — prędzej ty nałożysz głową i swojem księstwem, niżeli moje zajmiesz miejsce.

— Ja też go nie chcę — odpowiedział Kazimierz, z pewną wyższością i zimną krwią patrząc na rozjątrzonego brata, — nie chcę go!

— Choćbyś chciał, to go nie dostaniesz! — odezwał się Mieszek. — Ten tłum oszalały, któremu dowodzi biskup buntownik i głupi wojewoda, nowe prawo chce wprowadzać! Ja mojej władzy i panowania nie winien ich łasce, ani ich wyborowi, ale mojemu starszeństwu, a przy prawie mojem stać i trzymać je będę. Król ojciec nasz miał wolną wolę rozporządzać tym swoim krajem dziedzicznym, było to jego mienie, krwią kupione; rozdzielił je, naznaczył, kto ma panować; ziemian się o to nie pytał i ja łaski ich prosić nie będę! Oni u mnie tyle znaczą, co kmiecie i osadnicy; słuchać muszą i będą. Biskupom się ja nie dam narówni z nami rozsiadać!

Kazimierz słuchał bez wzruszenia.

— Czyń, co chcesz i do czego masz prawo — rzekł, — to nie moja rzecz. Ja niczego nie pragnę, tylko spokojnie siedzieć w domu, Boga chwalić, a zabawiać się, jak mi się zda.

Mieszek patrzał nań pilno; badał, czy mówił prawdę.

— Tak, z tem ci lepiej będzie — począł, przechadzając się tam i sam przed stojącym bratem. — Nie radzę ci ani słuchać warchołów, ani się zadzierać ze

mną. Dziesięć razy mogą mnie wyrzucić z Krakowa, wrócę jedenasty raz i nie daruję swojego, wrócę siłą, wojną, zdradą, a moje prawo utrzymam. Rozumiesz to?

— Rozumiem dobrze — odparł chłodno Kazimierz, — to twoja rzecz!

— A twoja mieć rozum i nie dać się tym ludziom pochwycić w kleszcze, bo między nimi a mną ty zostaniesz na miazgę zgnieciony.

Jakby mu tchu zbrakło, Mieszek pociągnął powietrza, gniew obejmował go coraz większy.

Powoli Kazimierz przystąpił doń i ujął go w ramiona.

— Mieszku — zawołał błagająco, — uspokójże się. Jeśli kto, to ty mnie od dziecka znać powinieneś. Wiesz, żem nigdy nie pragnął wiele, a od żądzy panowania Bóg mnie strzegł i sił mi nie dał po temu. Przypomnij sobie, żem po śmierci Bolka miał Kraków w ręku, a ziemianie przede mną klęczeli, prosząc, abym został z nimi. Dla ciebie im odmówiłem, znając, com starszemu winien.

Mieszek, jeszcze nieuspokojony, wyrwał się z objęć jego.

Nie o ciebie szło i idzie warchołom — począł żywo; — nie ciebie oni chcą! Dawno do tego dążą, aby prawa nasze dziedziczne znieśli, a sobie wolność wybierania panów, jakich chcą, i zrzucania ich zdobyli. Ale pókim ja żyw, nie dam im tego. Jutro nas wszystkich wygnają, aby obcego posadzić.

Kazimierz słuchał go smutny.

— Dlatego — dodał Stary — chcą ciebie na Kraków i na mnie prowadzić. Tyś słaby, ulegniesz biskupowi, wojewodzie i krzykaczom, ale pomnij, że tu nie o mnie idzie, jak o głowę twą i dziecka twojego.

— Bracie! — odezwał się Kazimierz — krzywdzisz mnie.

— Przestrzegam cię! — odparł Mieszek groźno, przechadzając się ciągle.

— Chcesz zapewnień z mojej strony?

— Jakich? — przerwał Stary. — Ty mi żadnych

dać nie możesz nad jedno! Jedź do mnie do Krakowa i siedź przy mnie.

Spojrzał nań. Kazimierz głową potrząsał.

— Tego nie uczynię — odparł; — byłaby to niewola dla mnie upokarzająca, ciebie obwiniająca. Nie mając mnie, jeśli im idzie o nowego pana, wezmą Leszka...

— To pisklę schorzałe! — zaśmiał się Stary pogardliwie. — Zapewne! Im co słabsze, to lepsze; mocnej ręki nie znoszą nad sobą, a im potrzeba żelaznej. Potrzeba żelaznej — dodał, — jeżeli się te ziemie nie mają rozpaść na szmaty i kawałami pójść w obce ręce. Nie! nie! Tę żelazną rękę ja mam i nie dam się ojcowiźnie Chrobrego roztrząść i przepadać!

Zmilczał chwilę.

— Na Kietlicza krzyczą... — począł. — Kietlicz sługą jest u mnie, ja nim obracam. Co on czyni — ja robię. Drę ich ze skóry, aby mi siedzieli cicho. Za małom zrobił jeszcze, nie posiałem dość trwogi, kiedy się ruszać śmieją! Biskupa przecherę dawniej potrzeba było uwięzić!

— Mieszku, bracie! — przerwał Kazimierz gwałtownie. — Biskupa! pasterza! Abyś wszystkich duchownych i Rzym oburzył na siebie? Duchownego tknąć!

— I jam też nie bez Boga — zawołał Mieszek. — Wiesz, żem zakonników sprowadzał, osadził, nadał im włości i ubogacił na Chwałę Bożą. Imię Pańskie niech się święci na niebie i ziemi, ale ład musi być na niej, a gdzie dwu panów, tam żadnego; gdzie nas dwu, tam wojna wieczna!

Nastąpiło milczenie. Kazimierz przerażony wzdychał.

— Na miłość Bożą! — odezwał się łagodnie — na pamięć pobożnej matki naszej zaklinam cię, rzuć te myśli i gniewy, one cię do zguby prowadzą!

— Nie są to zabawki dziecinne, któreby można precz kinąć! — rzekł Mieszek. — Myślałem dobrze, co czynić mam, wiem, co czynię. Stanie się, com zamierzył, lub zginę. Nie u nas, po całym świecie, moc

duchownych wzrosła tak, że nas wzięli pod stopy swoje, nie ja jeden z nimi walczę; wszyscy królowie i książęta bój z nimi staczać muszą, aby się ich czeladzią nie stali.

Kazimierz zrobił krzyż w powietrzu, jakby myśli złe chciał odżegnać od brata.

— Nie giń — rzekł — a nie chciej, co niemożliwe. Cesarz silniejszy od ciebie, a rzymskiemu biskupowi oprzeć się nie może, a ty z Rzymem i jego sługami chcesz walczyć?

— Bo oni do walki wyzywają — zawołał Mieszek, — jam ich obsypał dobrodziejstwy, oni się przeciw mnie wiążą.

Wtem zamilkł, jakby czuł, że mówi nadaremno i dodał porywczo:

— Dość tego! Jedź ze mną!

— Nie mogę — rzekł Kazimierz stanowczo. — Nie masz się co mnie lękać. Z dobrej woli nigdy nie pójdę przeciwko tobie; to, co mam, starczy mi, nie chcę nic więcej. I jedno to księstwo często zaciąży. Kocham spokój i ciszę, kocham sprawiedliwość, kocham ciebie, tak, jak pamięć ojca! Ufaj mi!

— Tak! Aleś słaby i miękki jesteś — odparł Stary! — Wezmą cię w garść i uczynią, co zechcą. Nie wiesz, co cię czeka, ani oni wiedzą, co cię oczekuje. Jam nie Władysław, mnie wygnać trudniej im będzie. Starał się i on, bronił, ale ja nie dam wam chwili wytchnienia, nie ulegnę, prawo me znam i życie dam za nie. Jestem głową rodu!

W czasie tej rozmowy, która częściej głośniej wybuchała, Wichfried, stojący na uboczu, który nie słuchając nawet, mógłby ją był odgadnąć, wykrzyki namiętniejsze chwytał i drżał z niepokoju a trwogi, posłyszał, że książę chciał Kazimierza zabierać z sobą i obawiał się, aby ten mu się nie dał pociągnąć. Przedłużająca się ta walka na słowa coraz bardziej go trwożyła, bo lękał się ciągle przybycia orszaku Mieszka i zamachu na swego pana. Kilka razy wejrzeniem ostrzegającem, a gdy się Mieszek odwracał, ruchami starał

się dać poznać Kazimierzowi, aby skończył rozmowę, ale ten nie ruszał się i spokojny, łagodny, usiłował tylko brata uśmierzyć i ukoić...

Wszystko to jednak, zamiast dobrego skutku, drażnić się go jeszcze zdawało coraz więcej i wzburzenie pomnażać.

Skończywszy, a raczej przerwawszy rozmowę, Mieszek szybkim ruchem ręki sięgnął po róg, który miał na piersiach, jakby na pomoc chciał zawołać swych ludzi. Wichfried, ujrzawszy to, rzucił się ku niemu.

— Miłościwy panie — zawołał żywo, — nasi ludzie są pewnie bliżej, mamy ich z sobą poddostatkiem, czekają stąd niedaleko. Jeżeli potrzeba posługi, ja na moich zatrąbię.

Kłamstwem tem, które zarazem groźbą było, chciał odwieść Mieszka od powoływania swego orszaku. Na znaczeniu tych wyrazów książę się nie mógł omylić, i — zatrzymał się, róg podniesiony gniotąc w ręku.

— Najlepiejby było — dodał Wichfried, — abyśmy ani my, ani miłość wasza świadków tu nie ściągali. Ludzie są podrażnieni; mogłoby co z tego niesfornego wyniknąć.

Mieszek ze wzgardą zgóry popatrzał na niego.

Kazimierz stał z oczyma spuszczonemi, jakby się za kłamstwo towarzysza swego wstydził, ale nie mówił nic. Wichfried nalegał.

— Jakeśmy się zjechali znienacka, takby się i rozstać najlepiej — mówił Niemiec śmielej, — świadków nie trzeba, aby paplaniny nie było.

— A ty! ty mnie chcesz uczyć, co ja mam czynić! — gniewnie krzyknął Mieszek.

— Miłościwy panie — odparł Wichfried, chwytając za trąbkę swoją, — jeżeli powołacie swoich, ja moich Krakowian też muszę... Ludzie są zburzeni i warcholy!

— Krakowianie? wasi? Ci wszyscy moi są! — zawołał Mieszek.

— Mamy ich trochę w gościnie — żywo odparł Wichfried, nie dając się odezwać Kazimierzowi, który zdawał się chcieć wmieszać do rozmowy.

Książę Stary z Niemcem spojrzeli sobie w oczy. Wichfried był zuchwały, książę zawahał się, trąbka mu wypadła z ręki; odwrócił się tyłem do niego, nie odpowiadając.

— Rozstajemy się więc — zawołał do brata, — jakeśmy się zeszli, nie sprawiwszy nic?

— Owszem — rzekł Kazimierz, — bo spodziewam się, że moim zapewnieniom uwierzysz, iż nie godzę na ciebie, nie pragnę nic.. Kocham cię i szanuję.

— Ja pójdę z tem przekonaniem — odezwał się Mieszek, — że ty, Kazimierzu, wolę masz czystą, ale ducha słabego, ludzi nie znasz, ani samego siebie.

Przeszedł się poruszony i jak niepewny, co pocznie.

— Pamiętaj to — dodał, — oni cię wplączą w wojnę ze mną, a będziesz ją miał na życie całe! Stanie jej i dla dzieci twoich! Jam nie ten, co wygnany, siada na kamieniu i płacze, łez nie mam, ale dłoń żelazną.

Podniósł pięść do góry i poruszył się jakby szedł ku oczekującemu nań koniowi. Wichfried, któremu lżej się zrobiło, gdy ujrzał już niemal oddalające się niebezpieczeństwo, sam poskoczył uzdę potrzymać, ale Kazimierz go wyprzedził i z pokorą młodszego brata wziął konia, przyprowadzając go sam Mieszkowi.

Stary drżał jeszcze tak, że cugli nie mógł ująć, ani znaleźć strzemienia. Stał, patrząc na Kazimierza i powtarzając mu cicho:

— Pomnij, wojna ze mną nie igraszka! To bój na cały żywot twój i poza żywot może! Jam twardy, ustraszyć się, ani zmóc nie dam, ni biskupom, ni ziemianom — nikomu!

To mówiąc, na konia skoczył, który, poczuwszy go na sobie, drżał już cały i rwał się do chodu, aby doń nie był zmuszony ostrogą.

Kazimierz, nie zważając na groźby, ścisnął go za

kolano. Mieszek wejrzeniem ostrem i przenikającem zmierzył go i w las popędził. O kilka kroków zaledwie oddaliwszy się, chwycił trąbkę i zaczął w nią dąć tak gwałtownie, że się Wichfried uląkł.

— Na Boga! — zawołał — na koń! napowrót w lasy, a nie, tośmy zgubieni! Z oczów Mieszka widzę, że na was rad rękę położyć. Jeżeli ludzie nadbiegną, pochwycą nas!

Kazimierz okazał więcej odwagi, głową potrząsał, ale natręctwu nie mogąc się obronić, posunął się ku koniowi. W jednej chwili oba byli na siodłach, a że książę się ociągał, Niemiec pochwycił konia jego za uzdę i puścił się co żywiej ku rzece.

Pośpiesznym krokiem jadąc, do zmierzchu nie natrafili na żadną utartą drogę, ani na osadę, ni na człowieka. Już mrok padał, a strach coraz większy ogarniał Wichfrieda, gdy w dolinie u skraju boru ukazała się chata, otoczona płotami, z której dymnika siny słup się dobywał.

Stanąwszy u wjazdu, musieli długo stukać, wołać, dobijać się, nim naostatku, gdy wyłamywaniem wrot grozili, nie wyszedł staruszek bosy, w grubym przyodziewku parcianym, z brodą białą do pasa i głosem drżącym, nie począł się im tłumaczyć pokornie, że sam ze starą babiną tu siedział, ubogi był, koni nie miał.

— Ale my od was ani koni, ani przewodu daremnego nie chcemy — zawołał książę, — jesteśmy zbłąkani, głodni, chleba nam dajcie, zapłacim, jak Bóg przykazał.

Staruszek, choć nie dowierzając, otworzył im. Chata była czysta i nie licha, obejście porządne, po którem poznali łatwo zamożnego gospodarza, a ten się im stawił, jako bartnik. Na stole znalazł się chleb, w sklepiku miód, w komorze — jaja świeże i mięso suszone.

Nazajutrz rano, spocząwszy na sianie w szopie, książę z Wichfriedem puścili się pokazaną im drogą ku Sulejowu, a mieli jej jeszcze na dnią półtora.

VIII.

W obozie wojewody Szczepana, w którym się ciągle gotowało, jak w garnku, bo coraz nowe poczty na dane hasło się ściągały, oczekiwano teraz zapowiedzianego przybycia Gedki.

Kości były rzucone, burzącym się ziemianom zapowiedziano, iż biskup z wojewodą, ze starym Żyrą Gryfem i innymi przedniejszymi natychmiast do Sandomierza wyruszą i Kazimierza, choćby poniewoli, wezmą, aby go na Krakowie posadzili.

Wszystko już było tak przygotowane i umówione, że oprócz Kietlicza i małej garstki tych, co Mieszka najbliżej otaczali, reszta na dany znak, opuścić go miała i do swoich się przyłączyć.

Stary wojewoda oczekiwał tylko na biskupa.

Tego wieczora, gdy Dorota do obozu przybyła po rycersku przebrana, chciała niecierpliwa natychmiast o sobie dać znać staremu miłośnikowi, ale tłum w namiocie był wielki, świadków mnóstwo, obawiała się, aby staremu wiadomość o jej przyjeździe nie sprawiła więcej przestrachu, niż radości. Czekała do późnej nocy, ażby się pod namiotem uspokoiło, sama zaś, bojąc się iść, gdy się ludzi nieco przebrało, pacholę swe posłała do Szczepana.

Wojewoda prędzej się śmierci, niż gościa takiego spodziewał. Nie czas mu było myśleć o niewiastach, gdy wszystkie sprawy na głowie jego leżały, a biskup lada chwilę miał przybyć. Stał we drzwiach namiotu sam, oddychając świeżem, wieczornem powietrzem, pot ocierając ze znużonego czoła, gdy nadbiegło pacholę.

Wojewoda znał je dobrze ze dworu wdowy, ale spostrzegłszy, tak się mało spodziewał, iż oczom swym nie uwierzył. Dopiero gdy chłopak przemówił, ocucił się stary Szczepan.

— A ciebież tu jakie licho przyniosło? — zawołał.

— Z jej miłością razem! — odparło chłopię.

— Czyś oszalał? z kim?

— A no, z jej miłością, panią naszą, Dorotą.

Wojewoda ręce załamał.

— Gdzie, gdzież ona jest?

Chłopak wskazał namiot, niedaleko rozbity, dodając głosem cichym:

— Czeka na miłość waszą.

Staremu żadne odwiedziny strasznemi nad te być nie mogły, nie mógł się wydziwić zuchwałej niewieście, drżał i bladł, zimny pot go oblewał. Lada godzina mógł nadjechać biskup, biskup groźny, który go już za te niewczesne miłostki chciał wyklinać. Nużby się dowiedział, że Dorota tu aż za nim przypędziła? Wprawdzie pochlebiało to staremu, ale z obawy publicznego zgorszenia struchlał. Co tu czynić było?

— Ale to nie może być? — zawołał.

Chłopiec za całą odpowiedź namiot wskazał i ramionami zżymnął.

Jak stał, natychmiast poszedł za chłopcem. Namiot był niedaleko rozbity, do innych podobny, ludzie około niego zbrojni, szczęściem, niewiasty nie było widać.

Gdy podniósłszy płotek, wojewoda wszedł do środka, od progu zatrzymał go widok osobliwy. Tyłem do wnijścia stał rycerz średniego wzrostu, pięknej postawy, a obok niego urodziwy koniuszy właśnie go ze zbroi i kaftana rozdziewał.

Usłyszawszy chód, rycerz się obrócił i wojewoda poznał Dorotę, której w tym stroju męskim do licha było wdzięcznie. Dziwnie mu się piękną i pokuśliwą wydała. Przy niej stał jeszcze szyszak zamknięty, który z głowy zrzuciła.

Zobaczyła wojewodę, szepnęła coś koniuszemu, który natychmiast, pokłoniwszy się wojewodzie, z szyderskim wyrazem twarzy się oddalił. Gdy zostali sami, Dorota wprost przypadła do wojewody. Ten się cofnął.

— A toś oszalała! — zakrzyczał. — W ogień leźć, mnie i siebie gubić, trzeba rozumu nie mieć!

— Milczałbyś, ty stary grzybie — gniewnie odpowiedziała Dorota, która się takiego przyjęcia nie spodziewała, — cobyś mi miał do nóg paść, łajesz jeszcze.

— Ja ci padnę do nóg, tylko żebyć sobie stąd szła co najprędzej — odparł Szczepan. — Biskupa tylko co nie widać; niechże się tylko o was dowie, a on będzie wiedział wszystko, co mnie tu czeka, a co was!

— A tyś chciał, żeby mnie bracia, jak raka pod kamieniem garścią wzięli w domu! — zawołała wdowa. — Już byli na mnie gotowi najść tej nocy, gdym uciekła. Nie miałam co czynić, tylko opieki szukać, albo ginąć.

— Ależ tu obóz! targowica! ludzie, stek, biskup! na srom się wystawić! — odparł wojewoda, za głowę się chwytając.

— Jaki srom! Ja czego się mam sromać? — zawołała wdowa, brwi marszcząc groźno. — Czego ja się mam wstydzić? mów? Czego? kto lepszy? Drugie robią to pocichu, co ja głośno! Jestem wolna i pani siebie. I ten mi jeszcze będzie oczy wypiekał! — dodała, odwracając się od niego. — Patrz go! zamiast pomocy, on mnie wstydem jeszcze karmi! Coś to ty? Ksiądz na spowiedzi? a no już po Wielkiej Nocy!

— Ale wy tu nie możecie pozostać — błagając, rzekł wojewoda. — Zgubicie mnie i siebie. Biskup mnie i was z obozu wyświeci. Chwyci się za głowę — choć ty tu giń!

— A dokądże mam iść — zawołała Dorota, — dokąd?

— Albo ja wiem! — rzekł Szczepan; — wiem tyle, żeś tu być nie powinna. Jedź gdzie na dwór do ziemian, to cię przyjmą.

— Między baby, co mi kądziel do rąk dla zabawy dadzą, żeby mnie z między nich bracia gołą ręką za kark wzięli. Mądry jesteś do rady!

Odwróciła się; wojewoda znękany jęczał prawie.

Im więcej okazywał bojaźni, tem Dorota więcej się tem zabawiać zdawała. Śmiała mu się w oczy.

— Idźże sobie, panie wojewodo, do swoich — rzekła; — ja wiem, co robię. Bywaj zdrowy, ja cię już na oczy widzieć nie chcę. Ruszaj do starej żonki pomarszczonej, koło niej od biskupa będziesz bezpieczny!

Wskazała na drzwi namiotu. Szczepan stał, wal-

cząc z sobą, ale obawa przemogła nad namiętnością, milczał, Dorota kończyła:

— Darmom na stare próchno rachowała! Jutro ruszę wprost do Sandomierza do księcia i oddam mu się w opiekę. Ten mnie nie odpędzi, jak wy! Kazimierz piękny, dobry i biskupa się nie ulęknie!

— Książę żonaty! — mruknął wojewoda.

— A ty nie? — śmiała się wdowa. — Przeto pięknej niewiasty się nie wzdraga!

Pokazała mu znów na drzwi.

— Idźcie patrzeć, czy biskup nie jedzie z Panem Bogiem!

Wojewoda radby był znalazł jakiś środek między zupełnem rozstaniem, a bezpieczeństwem swem w tej chwili, ale wdowa mówić już z nim nie chciała. Zawołała koniuszego, stojącego pod namiotem, aby z niej kaftan zdejmował.

— Jutro dodnia — wydała rozkaz głośno — do Sandomierza; tu nas nie przyjmują.

— My tam z ks. biskupem ciągniemy! — zamruczał wojewoda.

Wojewoda zmieszany pozostał jeszcze czas jakiś, lecz widząc, że wdowa nań oka nawet nie myśli zwrócić, wyniósł się trochę gniewny, a bardzo niespokojny.

Oznajmywany Gedko ani tej nocy, ani nad ranem nie przybył. Posłano na zwiady, aby przyjazd jego przyśpieszyć. Z rana, jak tylko rozwidniało, wojewoda sam uchylił ściankę namiotu, aby przekonać się, czy Dorota, która obozowała niedaleko, dotrzymała słowa i wyruszyła do Sandomierza. Właśnie, gdy wyglądał, zwijano jej namiot i konie prowadzono, zobaczył ją w hełmie zamkniętym i płaszczu, a raczej domyślił się, gdy, dosiadając karego, ze swoimi wyruszać miała.

Lżej odetchnął Szczepan, w oczach mu się rozjaśniło. Położył się dopiero i zasnął. Czuł, że to utrapienie tak groźne, które mu przesunęło się przed oczyma, było karą Bożą i przestrogą ku poprawie.

Około południa ludzie nadbiegli, oznajmując, że biskup Gedko ciągnie już; wojewoda z przedniejszymi

władykami wybrał się zaraz na spotkanie pod krzyż o staj kilkoro na gościńcu.

Pasterz krakowski przybywał tu już, nie jako do Tyńca wyruszył, a z całą wspaniałością książęcego swego dworu i otoczenia.

Pochód był, jakiego wymagało dostojeństwo pierwszego w kościele po arcybiskupie gnieźnieńskim prałata, i ród jego stary a możny, pochód wspaniałości książęcej, wrażający poszanowanie większe, niż panującego, bo krzyż mu przodował.

Wprowadzono biskupa do namiotu, do którego zaraz ziemianie tłumnie się cisnąć zaczęli. A że każdy go widzieć i słyszeć chciał, a ciasno było we środku, musiano ze wszystkich stron podnieść ściany płócienne.

Cichość się stała na chwilę. Biskup, kłaniającym się mu i cisnących do ręki błogosławił i, modlitewkę krótką odmówiwszy, począł podniesionym głosem:

— Otom ci między was przybył, dzieci moje, aby do dzieła sprawiedliwego przewodniczyć w Imię Chrystusa Pana. Dzieło sprawiedliwe jest i chwalebne. Nie godzi się, aby dla jednego człowieka cierpieli wszyscy.

Książę Mieszek nie szanuje kościoła ani jego sług, ani starych praw i zakonów ziemi naszej. Prawo swoje bezprawiem chce gruntować. Myśmy nawykli panów sobie dawać sami i wybierać, on siłą panować chce. Szanujemy krew pańską! Gdy jeden obrany nie godzi się nam, drugiego wziąć możemy. Niech nam panuje Kazimierz, który Boga się boi i dla ludzi ojcem będzie.

Na to hasło zawołali wszyscy:

— Kazimierza mieć chcemy! Kazimierza!

Obóz rozległ się cały aż do krańców wywoływaniem tego imienia.

Biskup skończył na tem; usiadł znużony, zapuszczono ściany namiotu, ziemianie rozchodzić się zaczęli, a wojewoda przyjmował Gedkę.

Zaczęła się rozmowa poufna. Postanowiono, jak tylko wypoczną konie i ludzie się posilą, ruszać natychmiast w dalszą drogę do Sandomierza.

Tymczasem wdowa przodem tym gościńcem się puściła.

Oddział jej przyciągnął do miasta; w bramach zaraz koniuszy, spytawszy o księcia, dowiedział się, że go nie było. Nie wiedziano dokąd pojechał, ani kiedy powróci. Powiadano tylko, że dosyć już dawno ruszył w lasy; na zamku niepokój był wielki i ludzie się w różne strony, szukając go, rozbiegli.

Pod miastem, na podzamczu, musiano szukać miejsca na obóz dla ludzi, a w chacie mieszczanina Dorota wprosiła się do komory. Służba jej wnet ubogą tę świetliczkę przybrała tak, że w niej panią znać było. Na wozach się znalazły opony, sukno i kobierce.

Pierwszy to raz po wyjeździe ze Skał Dorota się ze zbroi i z męskiej odzieży rozebrała i położyła spoczywać. Przed księciem chciała stanąć po niewieściemu i z całą zalotnością przystroić się do niego.

Dzień jeden i drugi upłynął na próżnem oczekiwaniu nań. Posyłano na zamek, zawsze tę samą odbierając odpowiedź, że o księciu słychać nie było. Tymczasem już i wojsko wojewody i orszak ks. biskupa nadciągnęły do Sandomierza. Obaj dostojnicy na zamku się rozgościli, a wojska ich szeroko zaległy pod miastem dolinę.

Z przybyciem biskupa inaczej się wszystko poruszać zaczęło, podwojono troskliwość w poszukiwaniach księcia. Księżna Helena, zarazem uradowana i przelękła, z Goworkiem i Jaksą przyjmowała gości.

Jawnem już było z tego ociągania się księcia z powrotem, iż chciał uniknąć posłów, po niego przybywających, a władzy ofiarowanej przyjmować się wzdragał.

Ale biskup Gedko o oporze z jego strony słuchać nie chciał, pewien będąc, że powagą swą zmusi go do posłuszeństwa. Władzy duchownej nic się odmawiać nie godziło.

Jednego rana wreszcie spostrzeżono ruch wielki w zamku i na mieście, zaczęli wyjeżdżać ludzie zbrojni

i postrojeni, oddziały szykować się, rycerstwo chorągwie podnosić i wypływać na gościniec.

Koniuszy doniósł, że się księcia spodziewano.

Jak tylko znać dano o zbliżaniu się Kazimierza, Gedko uroczyście naprzeciw niemu wyruszył.

Dorota z chaty, którą zajmowała, widzieć mogła, jak po prawej ręce mając Gedka, po lewej Szczepana, książę otoczony tłumem, okrzykującym go, blady i pomieszany na zamek wciągał, gdzie u wrót czekała nań księżna z synkiem.

Wdowa po raz pierwszy po latach wielu zobaczyła Kazimierza, a wydał jej się piękniejszym jeszcze, jadąc tak smutny a poważny, gdyby męczennik jaki, z wielką w twarzy boleścią, która dlań miłosierdzie obudzała.

Pochwycony, otoczony, witany z miłością, za którą musiał być wdzięczen, książę czuł całą przykrość położenia swojego, na obliczu jego malowało się wzruszenie i strapienie, upokorzonym się czuł niemal. Ile razy powtarzany okrzyk: — Żyw niech będzie nasz pan! — zabrzmiał z ust Krakowian, wzdrygał się, odwracał głowę i błagać zdawał, aby się nad nim ulitowano. Słowa jednak wymówić mu nie dano, tak nieustannie go odwoływali.

Cały orszak książęcy przeciągnął mimo chaty, w której oknie z bijącem sercem siedziała sparta na ręku Dorota, pożerając oczyma pięknego pana.

Serce jej, od pierwszej młodości przywiązujące się łatwo i płoche, nigdy jeszcze tak gwałtownie nie zabiło, nigdy jeszcze mąż żaden nie zdał się jej tak dziwnie promienistym swą wielkością, a zarazem pociągającym boleścią i smutkiem. Namiętna niewiasta załamywała ręce, przemyślając, jak go sobie potrafi pozyskać. Przez głowę przechodziły jej myśli najdziwaczniejsze. Stach, którego zobaczyła za orszakiem księcia, nawet wojewoda, którego się pozbyła pogardliwie, zdali się jej na chwilę narzędziami, jakichby użyć mogła, aby się zbliżyć do Kazimierza. Po krótkiej rozwadze wszystko to okazywało się trudnem lub niepodobnem.

Ze smutkiem rachowała, jak ciężko jej będzie dostać się do niego.

Zaledwie do komnaty swej się dostawszy, Kazimierz padł na siedzenie z wyrazem smutku, głowę kryjąc w dłoniach. Wszyscy dokoła mieli twarze wesołe, Bolko tulił się do niego, żona dopytywała o zdrowie, Kazimierz głosem niepewnym odpowiadał tylko łagodnie, że potrzebuje spoczynku.

Tymczasem w wielkiej izbie, w której biskup zasiadł, oczekiwano na księcia. Biskup się niepokoił coraz więcej, szemrali inni, gdy Kazimierz, który z sobą, ani za sobą nikomu iść nie kazał, wyszedł w ubiorze prostym ciemnej barwy, jakby i tem okazać chciał, że mu wszelki blask był przykrym. Twarz miał bladą, ale wypogodzoną, zmuszał się do uśmiechu. Przyszedł biskupa powitać, całując go w rękę, obrócił się ku innym, a spostrzegłszy, że sami prawie Krakowianie go otaczali, oczy spuścił.

Wnet na rozkaz wydany wieczerzę dawać poczęto. Zasiedli wszyscy obok biskupa i księcia, którzy pierwsze miejsca zajęli. Goworek i Jaksa z Wichfriedem gospodarzyli przy innych stołach. Przy uczcie nie bywało zwykle mowy o sprawach publicznych, a tłum też nie dopuszczał o nich rozprawiać. Zagaił Gedko o potocznych rzeczach, czemu książę rad się okazał.

Gwar wkrótce nie dopuścił już innych rozmów nad te, jakie z sąsiadami prowadzono.

Z krakowskich ziemian większa część już zawczasu pewna zwycięstwa, dobrą myśl okazywała.

Wtem Leszczyc, niedaleko od księcia siedzący, rozpowiadać począł, iż w Sandomierzu widział już niewiastę, która chroniąc się od ucisku braci, pod opiekę księcia się schroniła, przeczuwając, że tu jest sprawiedliwość i moc wszelka. Zagadali inni zaraz, iż o Dorocie z Tęczyna mowa była, która i z wdzięków i z zalotów swych słynęła.

Wojewoda, do którego imię to doszło, spuścił głowę, biskup ją podniósł, namarszczywszy brwi.

— Bracia na nią zdawna czyhają — odezwał się, —

aby ją zamknęli, bo ich słuchać nie chce i zbytniej swobody zażywa. Musiała się tu schronić między ziemiany naszemi, na przyjacioły rachując, których do zbytku ma. Krakowska ziemia wszystka teraz w Sandomierzu.

O przyjaciołach wdowy mówiąc, biskup zukosa spojrzał na wojewodę, ale Szczepan oczu nie podniósł i uczynił, jakby nie słyszał wcale.

Książę rad, iż o rzeczach obojętnych mówiono, o wdowę pytać zaczął, przypomniawszy ją sobie. Opowiadał Leszczyc różne jej sprawy, wojewodę biorąc na męki, ale pominąwszy go i nie tykając, strachu mu tylko napędził. Gdy się już za długo o tem ciągnęło, biskup przerwał:

— Ani prawić tak wiele, ani słuchać o tej niewieście nie przystało; płochą jest i nieporządną. Bracia, że ją zamykać chcą, azali nie mają słuszności, nie wiem, bo im srom czyni, siebie i drugich wiodąc na zgubę.

— Jeśli jako wdowa wolną jest... — rzekł Leszczyc.

— Nie, bo do żywota niewiasta ani letnią, ni panią swej woli być nie może — rzekł biskup.

Nikt mu się sprzeciwić nie śmiał i zamilkli wszyscy, czemu wojewoda rad był, gdyż w obawie, aby mu łaty nie przypięto, oczu podnosić się nie ważył.

IX.

Następnego dnia ks. biskup Gedko mszę ranną sam odprawił w zamkowej kaplicy. Książę klęcząc jej słuchał, przedniejsi ziemianie i rycerstwo napełniali szczupłą budowlę i zalegali tłumem u proga. Księżna z synaczkiem także była przytomna.

Po wczorajszem gorączkowem usposobieniu wszystkich dnia tego widać było na czołach myśli poważne i niemal troskę. Począwszy od księcia i biskupa, każdy się zdał przywalony brzemieniem, ale z rycerstwa patrzała jakaś odwaga i postanowienie silne, jakby się na wielki i stanowczy krok gotowało.

Zaledwie dokończywszy mszy cichej, biskup skinął na wojewodę i, gdy książę wstał od klęcznika, starszyzna wszystka z Gedką na czele za nim się potoczyła.

Czuć było, że chwila, w której się losy Kazimierza i Krakowskiej ziemi rozstrzygać miały, bliską była; gotowali się do niej wszyscy na duchu. Książę dnia tego już nie starał się uniknąć rozmowy, wolnym krokiem szedł obok Gedki do wielkiej izby. W drodze nikt nie przemówił słowa, spoglądali na siebie, dając znaki porozumienia.

Kazimierz szedł blady, jak winowajca, którego wiodą na plac kaźni, ale z rezygnacją i powagą. Uniknąć spotkania i starcia dłużej już nie było podobna.

Gdy się naprzód książę z biskupem, potem wszyscy przedniejsi znaleźli w izbie, stanęli kołem, otaczając Kazimierza. Cichość panowała uroczysta, przerwał ją pierwszy Gedko.

— Miłościwy książę — odezwał się, — przyszliśmy do ciebie, jako dzieci do ojca, a ja pasterz wiodę oto gromadkę tę, która ci się do stóp kłaniając, prosi, abyś objął krakowską stolicę i wierzchnią władzę. Nie tajno wam, że panowanie Mieszkowe stało się wszemu ludowi nieznośnem, czyny jego o pomstę do Boga wołają, a cnoty twe o nagrodę do niebios. Idź więc, siadaj na stolicę i rządź nami. Niech pokój i błogosławieństwo Boże zstąpią na utrapioną ziemię naszą!

Tak począwszy, wymowny biskup sławił Kazimierza, który z oczyma spuszczonemi słuchał niemal zawstydzony. Wynosił jego rozum, naukę, miłość sprawiedliwości, waleczność, łagodność, miłosierdzie, chętne wybaczenie uraz, skromność, szczodrobliwość, zamiłowanie w pracy, cierpliwość.

Ziemianie słuchając, coraz to mruczeniem, szmerem, okrzykami mu potakiwali. Gdy biskup długą swą mowę skończył, książę wzruszony zrazu odpowiedzieć nie mógł; łzy mu z oczów płynęły. Wreszcie począł słabym głosem:

— Nie pierwszy to raz dajecie mi dowody miłości waszej — rzekł, — wiodąc mnie na pokuszenie władzy,

której ja nie pragnę. Przypomnijcie sobie, że niektórzy z was: Światosław, Jaksa i inni, ciągnęliście mnie już, abym to sławne państwo objął za żywota brata mojego, Bolesława! Odrzuciłem wówczas nagabanie to, przenosząc miłość i wierność bratu nad urok potęgi znikomej. Albowiem, kto na brata godzi, jakby sam na siebie uderzał. Jeżelim naówczas, młodszym będąc, nie chciał się zmazać niewiarą, cóż dzisiaj? Godziłoby się iść tą drogą do władzy? Nastawać na wygnanie starszego brata, który mnie kocha, i pozornej wielkości poświęcać poczciwość? Sami bądźcie sędziami.

Biskup nie dał mówić mu dłużej.

— Miłościwy panie — przerwał, — wcale inaczej stały sprawy naówczas, a dzisiaj. Kilku ludzi przyjaznych chciało cię prowadzić na stolicę, dziś wszystek lud woła do ciebie. Zginie państwo to, jeżeli ty go ratować nie będziesz. Zlituj się nie nad nami, a nad ziemią swą, której winieneś życie.

— Nie czyńcie mnie zdrajcą, nie czyńcie bratobójcą! — przerwał Kazimierz.

— Nie chcemy zguby Mieszka — odparł biskup; — zdali się wam, niech wraca na dzielnicę swą, ale gdy starszym być nie umiał, niech będzie posłusznym młodszemu.

Kazimierz, z opuszczonemi rękami słuchając, milczał, gdy ziemianie zbliżyli się doń i przyklękając, za kolana go i za ręce chwytać poczęli.

— Idź z nami, panuj nam! — powtarzali.

— Nie odstąpimy stąd bez ciebie — zawołał biskup. — Ma-li to być grzechem, co czynimy, ja grzech ten na sumienie nasze rozkładam. Gwałt ci zadamy! Wybłagamy to, abyś się dla nas poświęcił.

— Panem nam musisz być, ty lub nikt — dodał wojewoda, a za nim Leszczyc, Cholewa i wszyscy. — Niema tu jednego, coby mówił inaczej, coby przeczył. Zgodnie wszyscy prowadzimy cię na stolicę.

— Krew przelaną będę mieć na sumieniu! — zawołał Kazimierz.

— Jedna kropla jej nie popłynie, bo walczyć nie

potrzebujemy — odparł biskup. — Krom samego Mieszka i małej garstki zauszników jego, w krakowskiej ziemi niema żywego człowieka, coby z nim i przy nim stanął. Nawet przyboczne jego straże z nami się połączą.

— Tak jest — ciągnął dalej wojewoda, — mamy tę pewność. Zamek czeka tylko, aby ci otworzyć bramy.

Nalegano coraz silniej, gdy Kazimierz, który nie wiedział już jak się opierać, o czas do namysłu prosił.

— Sumienie nie dopuszcza! — rzekł.

— Daną mi od Boga władzą rozgrzeszam je — przerwał biskup.

Kazimierz, wzburzone jeszcze zgromadzenie porzucając, szybko się oddalił.

Po wyjściu jego powstał gwar ogromny. Chciano gonić za nim, ale Jaksa i Wichfried zaparli drogę. Biskup zalecił spokój, głosy ucichły i zmieniły się w szemranie.

Kazimierz tymczasem, w izbie swej zamknąwszy się, przebiegał ją krokami wielkiemi. Od niej stały drzwi otworem do drugiej, w której wisiała po Henryku spuścizna, zbroja jego i płaszcz; rzucił się ku tym pamiątkom drogim, jakby chciał uciec na łono brata, u niego szukając opieki i rady. Drżący cały, zburzony, łzy miał na oczach.

Nie dano mu długo spoczywać samemu; wcisnął się Jaksa, stary druh i napastnik stary, który już dwakroć ciągnął Kazimierza na stolicę, z nim Wichfried, przyjaciel młodości, oba z twarzami rozjaśnionemi.

— Próżna rzecz opierać się — rzekł Jaksa, wchodząc śmiało. — Nastają na szyje ziemian, wyroki na nich wydane, biskup zagrożony wygnaniem; książę musisz iść do Krakowa. Mieszka opuścili już wszyscy; krom Kietlicza i kilku ludzi, nikogo nie ma.

— Mówiłem wam — odparł Kazimierz, — pójdę, ale jako pośrednik, jako pojednawca, sam się oddam w jego ręce, aby was zasłonić. Tak, idę, ale nie inaczej jak z małą garścią ludzi, któraby seciny nie prze-

nosiła. Zdobywać Krakowa nie myślę, brata wypędzać nie będę. To moje słowo ostatnie.

Jaksa z Wichfriedem spojrzeli na siebie.

— Dobrze tak — rzekł pierwszy, — idźcie w stu, idźcie w pięćdziesięciu ludzi, ale idźcie i ratujcie. Przekonacie się sami, czy jest co do uczynienia. Więcej od was nie żądają.

— Jako pośrednik, nie inaczej — dodał Kazimierz.

— Jako chcecie — potwierdził Jaksa. — Zatem pozwólcie, abym o tem, dla ich uspokojenia, oznajmił biskupowi i ziemianom.

Jaksa żywo wyszedł z komnaty, pozostał Wichfried. W chwilę potem okrzyk ogromny rozległ się po zamku, w podwórcach, dokoła.

Zbladły Kazimierz rzucił się na krzesło.

Wtem wbiegł rozpromieniony Goworek i, całując księcia po rękach, wołać począł:

— Na kiedy, książę, konie mieć każesz gotowe?

Książę pomyślał chwilę.

— Choćby jutro, jadę — ale nie więcej, jak w pięćdziesiąt.

— Kilkaset jest ich na zamku i w mieście — rzekł Goworek.

— Niech idą, gdzie chcą, rozjadą się, stoją i czekają, z większą siłą ja nie ruszę. Rzekłem i uczynię, jakom rzekł.

Goworek głowę skłonił i wyszedł.

W wielkiej izbie zebrani już się zwycięstwem cieszyli, biskupa twarz się uśmiechała, wojewoda był wesół, ziemianie się ściskali.

Książę, zaledwie wyrzekłszy słowo stanowcze, już go żałował. Wichfried, który go nie odstępował, spostrzegł posmutniałe i zmienione lice, począł go pocieszać i krzepić, ale Kazimierz zamknął mu usta.

Nieprędko wyszedł znowu do zgromadzonej starszyzny. Tu, jakby sobie na to słowo dano, nie wznowiono rozmowy, nie nalegano; przyjęto go jak pana w milczeniu. Ziemianie według danych im przez biskupa i wojewodę wskazówek rozjeżdżać się zaczynali.

U stołu wieczornego gdy zasiedli, biskup zagaił rozmowę o świątobliwych sprawach innych panów i królestw, o kościołach, klasztorach, relikwjach świętych, budowaniu gmachów na chwałę Bożą, jakich w Polsce nie widziano.

Kazimierz mocno się tem zajął. Przeszedł czas na opowiadaniach o ziemi włoskiej, niemieckiej i francuskiej, o nowych na krzyżowe wyprawy przygotowaniach.

Ku końcowi tylko, gdy się rozejść mieli, gdyż pobożny biskup chciał wieczorne godziny odprawić, rzekł do księcia:

— Dziękujemy wam za obietnicę. Weźmiesz książę koni ile zechcesz, a my we dwu nieodstępnie towarzyszyć wam będziemy. Choćby bez orszaku pójdziemy z tobą.

Tak się rozstali.

Gdy się to na zamku działo, w chacie, zajmowanej przez wdowę, gotowała się nowa napaść na księcia i nowe dlań niebezpieczeństwo. Nie bez przyczyny rzeczono, że co niewiasta mieć chce, to się stać musi. Mają one ten zmysł, iż gdy czego pragną, ku temu wszystkie siły swe narazie skierowują; nie trwa ten ogień słomiany długo, ale wielkim płomieniem goreje.

Wdowa namiętną była, a raz powiedziawszy sobie, że księcia pozyskać musi, ku temu celowi z całą swą gorącością się zwróciła. Koniuszy i sługi nie mieli pokoju, póki nie dowiedzieli się przez kogo i jak do księcia najłatwiej trafić można. Na zamku już miała przekupione sługi.

Radzono różnie, jedni Goworka, drudzy Jaksę, inni Wichfrieda, jako poufałego przyjaciela od młodości, któremu książę najwięcej pozwalał.

Wiedząc o nim dawniej i rachując na to, że młodego łatwiej sobie pozyszcze, Dorota postanowiła udać się do Wichfrieda. Wybór był szczęśliwy. Niemiec sam lubił niewiasty, z księciem o nich rozmawiał, wchodził do izby kiedy chciał, wprowadzał z sobą, kogo mu się podobało.

Wichfried kręcił się koło zamku nieustannie, a tego dnia, z powodu wyboru w podróż, w której miał księciu towarzyszyć, więcej niż kiedy. Dorota, upatrzywszy chwilę, gdy z zamku do koni jechał, wybiegła z dworka, drogę mu zastąpiła i poczęła błagać a prosić, aby do niej zaszedł na chwilę rozmowy.

Gdy, rzuciwszy konia, wszedł za nią do dworku, zdziwiony trochę napaścią bardzo dlań miłą, już błagająca przed chwilą niewiasta zmieniła się w miłościwą panią, gotową mu rozkazywać; zawsze piękna, teraz rozognieniem, niecierpliwością stała się wdzięczniejszą jeszcze.

— Wyście druhem a bratem księciu naszemu — zawołała, śmiało doń przystępując, Dorota, — uczyńcie to, uczyńcie, abym ja mu do nóg rzucić się mogła, aby moje prośby posłuchał na chwilę! Jestem nieszczęśliwą, prześladowaną sierotą, rodzeni bracia godzą na życie moje — opieki szukam u księcia.

Załamała przed nim białe dłonie. Wichfried się uśmiechał, patrząc i niedowierzając jej wielkiej boleści i niebezpieczeństwu.

— Wiecie pewnie, kto jestem — mówiła coraz śmielej, — ludzkie języki mnie szkalują, jestem Dorota z Tęczyna.

Wichfried słuchał, nie przerywając, przypatrując się z przyjemnością pięknej wdowie, która, mówiąc o miotanych na nią potwarzach, postawą, wejrzeniem, obejściem całem zdawała się dowodzić, iż nieprzyjaciele niedarmo ją obgadywali. Ale w oczach Wichfrieda zalotność nie była występkiem, a wdowa w pełnym rozkwicie swych wdzięków tak go zachwycała, że rad był jej służyć w czemby mu przykazała, byle u niej łaskę zyskać. Nie zdało mu się też grzechem i znękanego Kazimierza widokiem tak pięknej niewiasty rozweselić. Pomyślał nawet w duchu, że ta wspaniała postać jakby na kochankę króla była stworzoną. Chciał się tylko nieco podrożyć.

— Miłościwa pani — zawołał, — wcale to nie

wczas teraz księcia niepokoić. Smutny jest zaprzątniony, zmęczony przez biskupa i ziemian.

Dorota spojrzała szybko.

— O! — odparła, — ja mu długo czasu nie zabiorę; ażeby dlań męką być miało z niewiastą młodą pomówić chwilę — nie wiem!

Zrobiła minkę nadąsaną i dumną.

Wichfried stał, jedząc ją oczyma, co postrzegłszy, obróciła się kilkakroć, jakby mu się lepiej pokazać i popisać z sobą chciała, z taką zalotnością zuchwałą, iż Niemiec oszalał.

— Miłościwa pani — zawołał, — mając litość nad księciem, nie mogę wam wyrobić posłuchania. Gdybyście starszą, a mniej piękną byli, ale co na to powie księżna pani, gdy się dowie?

Uśmiechnęła się wdowa, udając skromną.

— Ja zalecać mu się nie myślę — rzekła, oczyma sobie kłam zadając, — tylko prosić o opiekę.

— Niebezpieczna rzecz brać was w opiekę — począł wesoło, zbliżając się do niej Wichfried, — to jak zarzewie za pazuchę. Ja com tu wszedł ino, a już mi się wychodzić nie chce. Siedziałbym jak wkuty, choć sprawa pilna.

— Siadajcież proszę — rozśmiała się rada z siebie wdowa i klasnęła na sługę, aby podał wino, które zawczasu było przygotowane.

Miała już Wichfreda i pewną była swego. Gdy przyszło pić, Niemiec wymógł na niej, aby wprzódy do kubka przyłożyła usta, dla nadania napojowi smaku, potem przysiadł się do niej tak blisko, iż czuł jej oddech i mógł patrzeć na białe ramiona.

— Wiem — odezwała się do niego, — że książę jutro jedzie do Krakowa: ja czekać nie mogę, wprzódy się z nim widzieć muszę i zapewnić sobie jego opiekę. Zatem, miły panie, dziś mi wyrobicie posłuchanie.

— Dziś? kiedy? chyba o mroku?

— O mroku! w nocy! wszystko mi jedno — odpowiedziała Dorota, — księcia się nie boję. Padnę mu do

nóg, powiem o prześladowaniu mojem, ojcem mi musi być.

— Za młody na to jest! — rzekł Wichfried.

Dorota, niby nic zrozumiawszy, ciągnęła dalej:

— Będę na was czekała do nocy — rzekła; — wprowadźcie mnie tylko, nie lękajcie się o mnie, ni o niego.

Wichfried nie przyrzekał jeszcze, ona nacierała.

— Musicie to uczynić dla mnie.

Uśmiechnęli się ku sobie. Dorota poczęła coraz zuchwalej.

— Miałam opiekuna w starym wojewodzie, Szczepanie; biskup się gorszył tą opieką i klątwą mu zagroził — nic mi już po tym trupie.

— Biskup gotów potem mnie i księcia wyklinać — rzekł Wichfried.

— Czyście żonaci? — spytała wdowa.

— Ja nie.

— Nie ma więc za co, bo wam szukać sobie niewiasty nie grzech, a książętom dużo wolno! Jam też już stara i ktoby tam o mnie myślał! — dodała, śmiejąc się sama.

Wichfried ujął ją za białą rękę, nie wyrwała mu jej, zbliżył się jeszcze, nie uchyliła się, owszem, skorzystała z tego, aby mu coś do ucha szepnąć żywo i wnet z siedzenia wstała, jakby już pewną była swego.

— Teraz sobie na koń siadajcie — dokończyła, — a wieczorem przyjdziecie po mnie.

Posłuszny, jak dziecko Wichfried spełnił przykazanie, ale z chaty, wyrwawszy się jak pijany, ledwie konia mógł dosiąść.

— Czarownica! — rzekł w duchu.

Przed wieczorem Niemiec, który o niej zapomnieć nie mógł, znalazł się sam na sam z księciem.

— Mam i ja poselstwo z prośbą do was — odezwał się żartobliwie, — ale moje nie straszne! Owa wdowa, Dorota z Tęczyna, o której przy stole mówił Leszczyc, prosi a błaga o chwilę posłuchania dziś wieczorem.

— Dziś? tu? — zapytał książę.

— Pilno jej — dodał Wichfried. — Sprawy nie

znam, wiem tylko, że na nią bracia godzą. Niewiasta urokliwa, ale ponętna... choćby w oczy jej zajrzeć tylko — miło. Do nóg się wam rzucić chce, aby opieką wyprosić.

Kazimierz, choć ciekaw jej był, zawahał się.

— Nie pora — rzekł — z niewiastą do mnie po nocy iść? Co ludzie rzeką?

— Przecie córka ziemianina z żałobą do pana każdego czasu przyjść może — rzekł Wichfried. — Nie pozostanie długo.

Zręcznemu Niemcowi, opowiadając o swych rannych odwiedzinach w chacie, łatwo było obudzić ciekawość księcia. Znał go dobrze i wiedział, że się da jej uwięzić. Niełatwo to jednak przyszło; Kazimierz się opierał, wstręt jakiś i obawę czując, choć go ciągnęła ciekawość, aż Wichfried, strach jego wyśmiewać począwszy, prawie gwałtem wymógł, że przyprowadzić mu ją na chwilę pozwolił.

Zawczasu tego dnia przed jutrzejszą podróżą wszyscy się porozchodzili. Kazimierz, u żony posiedziawszy chwilę, powrócił do swej komnaty.

Tak mu jednak wiele na głowie ciężyło, iż choć z Wichfriedem się umówił o posłuchanie dla wdowy, zapomiał o niem zupełnie. Goworek był z nim jeszcze na rozmowie, gdy Niemiec, wszedłszy, dał znać, że wdowa nań czekała w Henrykowej komnacie.

Kazimierz z pewną obawą i wahaniem wszedł do niej.

Izba była przyćmiona nieco, gdyż tylko dla przejścia przez nią mała się w niej lampka paliła. Wśród tego mroku, na którego tle biały płaszcz Henryka i zbroja jego, jak widmo stały — zaledwie dojrzeć mógł książę niewiastę, która nań oczekiwała.

Stanęła jednak tak, aby słabe światełko lampki całe na nią padało, a w półcieniu tym, który piękność jej czynił powietrzną i mglistą, jak drugie widmo jakieś zjawiła mu się ta piękność, któraby może o świetle słonecznem namiętnem swem licem mniej uczyniła wrażenia.

Z żałobą idąc, ubrała się też żałobnie, czarno, lecz zalotnica i wielka pani nie zapomniała łańcuchów i złota. Zdobiły ją klejnoty, uwydatniając kształty, które znikały we mroku.

Z niespokojną ciekawością wpatrywał się w nią Kazimierz, gdy wdowa naprzód do kolan mu się pochyliła, potem, schwyciwszy za rękę, gorące do niej przyłożyła usta. Tym pocałunkiem, namiętnością zatrutym, jakby chciała przelać w niego gorączkę swoją, zmieszała księcia, który napróżno dłoń jej usiłował wyrwać.

Wlepiła w niego błagające oczy.

— Miłościwy książę, ojcze, ratuj mnie sierotę, wdowę — poczęła półgłosem, by nie być podsłuchaną, — cała ci się w opiekę oddaję. Bracia, potwarzami mnie obrzuciwszy, czyhają na życie. Broń mnie, panie! Od ich napaści z domu uchodzić musiałam.

To mówiąc, powtórnie rękę jego chwyciła i zręcznym ruchem zbliżyła się do niego.

Ta postać piękna, przypominająca mu drugą ukochaną, podobną do tej, a różną, tak dziwne wrażenie uczyniła na księciu, iż długo stał niemy, nie mogąc przemówić słowa. Czuł, że mogła urokiem jakimś pociągnąć go ku sobie. Obawiał się zdradzić głosem, wyrazem.

— Tyś pan dobry, miłosierny, litościw — mówiła Dorota, — wydziedziczonej, spotwarzonej, odrzuconej nie odepchniesz! Szłam do ciebie, panie, z ufnością, jak do Boga!

Złożyła ręce przed nim.

— Uspokójcie się — rzekł Kazimierz, — mówcie, czego żądacie? Uczynię, co mogę.

— Tyś pan nasz! Ty możesz wszystko! — wykrzyknęła wdowa.

— Mylicie się — odparł książę; — jam pan na Sandomierzu, w Krakowie sługa starszego brata.

— Nie! nie! — przerwała Dorota — wszyscy wiedzą, że się jego panowanie skończyło, a wasze zaczęło!

— Tak nie jest! na Boga! — oparł się Kazimierz.

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

— Tak być musi! — powtórzyła niewiasta. — Inaczej wszyscy i jabym zginęła...

Książę, nie mogąc się już zdobyć na wyraz inny, zażądał znowu, by się uspokoiła. Piękna wdowa, jakby ją nagle wielka boleść ogarnęła, niby osłabła, zachwiała się, rękę przykładając do czoła, zdało się, że upaść może.

Książę, uląkłszy się, wskazał jej ławę, by usiadła. O to może zręcznej niewieście chodziło, padła na nią, zwiesiła głowę na piersi, milczała, coś nakształt tłumionego łkania dobywało się z ust wpół otwartych.

Książę stał pomieszany, mając czas przypatrywać się wdowie i wszystkim jej wdziękom, które niby mimowolnemi ruchy zdradzała, to się osłaniając, to chyląc, to podnosząc, to upadając pod ciężarem nieszczęścia swojego.

Przedłużało się posłuchanie, a że Dorota milczała, nie mogąc dobyć głosu i oczyma tylko badając Kazimierza, a oczarować usiłując, odezwał się łagodnie:

— Mówcie, co dla was uczynić mogę?

— A! najmiłościwszy panie — przemówiła nareszcie, — ja się na nogach utrzymać nie mogę, ty stoisz przed służebnicą twoją! Ja muszę ci opowiedzieć losy moje, posłuchasz mnie litościwie. Potem samo twe serce królewskie powie ci, co masz uczynić dla mnie. Litość czytam w oczach twoich.

Kazimierz usiadł naprzeciw niej; głos jej, postawa, wdzięk nieszczęśliwej przykuwały go do miejsca. Wdowa umyślnie przedłużała posłuchanie, a że mówić chciała cicho, pod pozorem, by słyszaną lepiej była, zbliżyła się tak, że książę oddech jej mógł uczuć prawie.

— Miałam najlepszego ojca, który mnie kochał i popsuł, bo do miłości przyzwyczaił. Jego dobroć zazdrość w braciach obudziła. Kochałam, będąc wyrostkiem ubogiego ziemianina, za którego mnie nie dali. Zabili go! Zmuszono iść za starca! Zmarł ojciec, poczęło się prześladowanie, chcieli mi wydrzeć, co on zostawił. Szukałam opieki, zakrzyczeli, żem gachów szu-

kała; ja, ja — dodała, ręce podnosząc, — com nie kochała tylko raz, gdy byłam dzieckiem prawie, a odtąd nie spotkałam w świecie, ktoby mi mógł być miłym.

Dziwnym wejrzeniem zdała się mówić księciu: — Nikt, chyba ty!

— Miłościwy książę — ciągnęła dalej, — spotwarzono mnie, jam niewinna! Chyba, że czystą się czując, śmiałą jestem. Weź mnie, panie, osłoń, będę ci wierną służebnicą! Zostanę przy dworze twym, pójdę, gdzie nakażesz, choć córką jestem możnego gniazda, będę niańczyć dzieci twoje. Dla takiego pana, jak ty, któżby życia nawet nie dał?

Śmiałe te, a dziwnie poplątane wyrazy, mieszały Kazimierza, ale widać było, że wstrętu mu nie czyniły. Uśmiechał się.

— Boże uchowaj — rzekł, — ażebyście zbyt blisko mnie być mieli; niebezpieczną jesteście. Potwarze na was rzucają, że mężczyzn za sobą wodzicie, którzy się wam oprzeć nie mogą.

Dorota oczy sobie przysłoniła.

— A! panie — wyjąknęła — czyż się to godzi tak z nieszczęśliwej naśmiewać? Piękność moja i młodość dawno poszły ze łzami... a dziś już...

Spojrzała nań oczyma przymglonemi, białe ząbki z różowych ust się dobyły. Książę patrzał, coraz bardziej czując się ujętym. Korzystając z osłupienia, wzięła rękę jego znowu, coś szepcąc a całując ją napastliwie.

Kazimierz bladł i czerwieniał; szczęściem mrok izby zmian jego twarzy widzieć nie dawał. Wrażliwy do zbytku, nie mógł się oprzeć tym pieszczotom natarczywym niewiasty — drżał cały, zapominał się. Nawzajem, ująwszy jedną z jej rąk, odezwał się głosem, który wdowa sobie wytłumaczyć umiała — niepewnym i drżącym:

— Uczynię dla was... co tylko mogę... co zechcecie... Ale wy... jesteście niebezpieczną niewiastą...

— Dla was? — podchwyciła wdowa radośnie — dla was, do którego wzdychają tysiące?

— Nikt! nikt! — odparł Kazimierz, spuszczając głowę; szumiało mu w niej, odwrócił się, uląkłszy sam siebie.

— Jadę do Krakowa — dorzucił śpiesznie, — kiedy powrócę, nie wiem, przemówię za wami do brata. Jedźcie za mną, ale nie okazujcie się ludziom, bo złe są ludzkie języki.

— O! — odezwała się szybko i wesoło, pozbywszy udanej boleści — mnie nikt nie pozna, ja się *także* po męsku, a choćby we zbroję przebrać umiem, mogę być giermkiem, gdy trzeba.

Mówiąc z przyciskiem: *także*, spojrzała na księcia, który się poruszył zmieszany, bo mu na myśl przyszła Jagna.

— O! — dodała Dorota cicho, — ja wiem wszystko i widziałem tę, co konno po męsku jeździ po lasach.

Palec położyła na ustach; książę, trochę zagniewany tą odwagą, — rzekł prędko:

— Nie wiem, kto po lasach jeździ!

Dorota potrząsnęła głową.

— Mnie ani w lesie, ni w mieście nikt nie zobaczy.

To mówiąc, przysunęła się śmiało do księcia, i chwyciwszy rękę, którą całowała długo, dodała żywo:

— Mam więc jechać do Krakowa? A tam, nieprawdaż, dacie mi znać przez Wichfrieda? Czekać będę rozkazów! O! bądźcie mi opiekunem! bądźcie! Ja was tak, jak nikt miłować będę, jak nikt!

Książę stał milczący i upojony, nie będąc panem siebie, gdy Wichfried, czatując u drzwi, który rachował, że się już nadto długo posłuchanie przeciągnęło, podniósł zasłonę i kaszlnął.

Dorota cofnęła się kroków parę, przybrała postawę skromną i pokorną, otarła oczy, które się śmiały, schyliła się do kolan księcia i, figlarnie nań spojrzawszy, powoli ustępować zaczęła.

Wichfried wchodził, Kazimierz cofnął się do swej komnaty, dwaj przyjaciele kilka słów zamienili z sobą

pocichu i Niemiec przez izby puste powiódł nazad milczącą Dorotę. Umiała tak przed nim ukryć swe wzruszenie i radość wielką, że gdy wyszli w podwórze, Wichfried jej zapytał, czy rada była posłuchaniu?

Odwróciła się doń.

— Jak sądzicie?

— Nie wiem.

— Tak dobry pan, ja tak nieszczęśliwa, mógłże mnie odepchnąć? Widział łzy moje.

— Przyrzekł co?

— Wstawić się za mną do Mieszka!

Pokręciła głową.

— Ja ufam, że wy mnie jemu przypominać będziecie.

— A wy, miła pani, o mnie też zechcecie pamiętać! — rzekł Wichfried.

— O! pewno! pewno, ale dziś — dodała wdowa, — głowę mam pełną naszego miłościwego pana; już się w niej nikt inny nie zmieści.

Gdy doszli do wrót zamkowych, Wichfried chciał ją dalej prowadzić, ale tu czekał na nią koniuszy z chłopakiem i wdowa zwróciła się do Niemca z pożegnaniem.

— Bóg zapłać — rzekła cicho, — zobaczymy się w Krakowie, mnie tam kazano, a wy też z księciem jedziecie.

Podała mu rękę, wyrwała ją prędko i wybiegła za wrota.

Gdy Wichfried na zamek powrócił, zastał księcia samym, niespokojnie się po izbie przechadzającym. Spojrzeli sobie w oczy razem, jakby w nich czytać chcieli. Książę spuścił je niemal zawstydzony.

— Czarownica to jest — rzekł, — nie dziw, że ludziom zawraca głowy; lecz lepiej się od niej trzymać zdala.

I natychmiast zmienił rozmowę, nie dając odpowiedzieć Wichfriedowi.

— O brzasku w drogę! tak — potrzeba pośpieszać, aby Mieszka ratować.

— Wichfried — dodał gorąco, — Wichfried! na twą drużbę cię zaklinam, na cienie Henryka, na sumienie twoje, uczyń, co przykazuję. Dziś zaraz nocą ślij przodem do Krakowa, do Mieszka, jedź sam, to lepiej. Oznajmij mu, że przybywam dla pojednania i zgody. Ostrzeż go, niech będzie powolnym. Mnie tam ciągną, ja muszę iść, ale idę z gałęzią oliwną. Niech Mieszek nie uchodzi z grodu, niech się biskupowi ukorzy; niech Kietlicza wygna; ja zań mówić i popierać go będę. Mów mu to, uprzedź, błagaj...

Głos jego zadrżał.

— O panie! — zawołał, podnosząc oczy — odwróć ten kielich ode mnie!

Wiechfried stał, nie odpowiadając, ale oblicze mu się zmieniło.

— Jedź! — powtórzył Kazimierz.

— Ja? — zawołał Niemiec, — ja do Mieszka? Czyń książę, co chcesz, wyrzecz się mnie, wypchnij, gniewaj, przeklnij, ja tego nie uczynię! Zdradziłbym was i te ziemie, co mnie gościnnie przyjęły... A nietylko ja, miłościwy panie, ale nikt nie pójdzie, bo na gniew Mieszka nadaremnie narażać się nie zechce, a ktoby rozkaz ten spełnił, ziemianieby go rozsiekli. Nie waży się nikt, ja nie mogę!

Księciu głowa na piersi opadła, szeptał, jakby modlitwę.

— Stanie się wola Boża!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XX

J. I. KRASZEWSKI

STACH Z KONAR

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW
KAZIMIERZA SPRAWIEDLIWEGO

CZĘŚĆ III

1929

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Kraków, ku któremu niedawno jeszcze życie płynęło strumieniami wartkiemi ze wszystkich ziem, ze wszystkich Polski krańców, tej pamiętnej wiosny drętwiał zwolna i pustoszał. Przychodziło to nieznacznie, stopniowo, ale wszystkim się czuć dawało; w powietrzu była cisza, jak przed nadchodzącą burzą. Nikt o niej dobrze nie wiedział, skąd przypłynie, a przewidywali ją wszyscy z mnogich znaków, które zwiastują gromy; wszystkim ciężko było oddychać. Wieści jakieś chodziły dziwne, niezrozumiałe, groźne, ludzie się jacyś pokazywali i znikali, jak ptacy, co wróżą nawałnicę.

Kupcy stali z założonemi rękami przed sklepami i straganami, wypatrując oczy; nie było w rynku i ulicach nikogo, oprócz swoich. Cudzoziemcy, kramarze włoscy, którzy tu stawali po dni kilka, musieli towar sprzedawać kupcom, bo do nich się nikt nie zjawiał.

We dworkach ziemian ledwie pozostali odźwierni i stróże. Gdy ich o panów pytano, milczeli, ruszali ramiony, nie wiedzieli o nich nic. Po kościołach w niedziele i święta obcego człeka z okolic widać nie było.

Dokoła zamku szczególniej pustynia się stawała coraz większa, dzika, głucha, martwa. Kietlicz, który jeszcze za rozkazem pańskim po dworach i osadach szukał, kogoby do sądów pochwycić, nie znajdował żywego ducha. Cudem jakimś zawsze ci, co byli obwinieni a mieli być ujęci, podparłszy kołem wrota, zawczasu z domostw uchodzili. Urzędnicy dworscy, których po-

syłano na zwiady, powracali, nie dostawszy języka, niektórym po drodze grożono tak, że uchodzić nazad musieli. Nieposłuszeństwo i opór rosły. Nie występowały one do walki, cofały się, zdały czekać, aż wybije naznaczona godzina.

Z rozkazu księcia Kietlicz nie zmieniał postępowania, nie popuszczano oków żelaznych, któremi spętanych trzymać chciano. Ale Mierzwa na sądy przychodził najczęściej nadaremnie, bo nie było sądzić kogo, a biedota, zaciągnięta pod ławę sędziowską, skarbnemu tylko swoją skórę dać mogła.

Ten niemy a twardy opór całej ziemi, gniew Mieszka obudzający, Kietlicza, z natury swej srogiego, czynił okrutnym, niemal go do wściekłości rozjątrzając. Lecz gniew księcia był zimny i zacięty, nie wybuchał nigdy, gdy Kietlicz miotał się w nim bezsilny, sobie więcej szkodząc, niż drugim.

Po ustąpieniu wojewody i ucieczce biskupa, szczególnie uczuć się dało na zamku, że węzły wszelkie, łączące go z ziemianami podległymi, zerwane zostały. Kietlicz rozsyłał na zwiady, przynoszono mu wieści groźne, albo niezrozumiałe. Rycerstwo skupiało się i kędyś ciągnęło, nie na Kraków jednak i nie otwarcie przeciw księciu, wysuwało się i znikało. Sprawy ziemiańskie były w rękach duchownych, oni dawali hasła, oni kierowali tą jakąś robotą podziemną i skrytą.

Co najdziwniejsza, na zamku samym posłuszne straże, urzędnicy, służba pańska, czeladzie, co dawniej skinieniu były uległe, stawały się krnąbrne, milczące, leniwe; karać nie było można, bo i stąd zbiegało wielu.

Kietlicz z przerażeniem spostrzegł, że mu ubywało ludzi. Nikt nie wiedział, gdzie się to podziewało; powoli z więzień i ciemnic zaczęli uchodzić ci, których trzymano za nieopłacone kary. Część ich, gdy ją wysłano pod strażą do kopalni olkuskich, razem z przystawami zginęła.

Każdy dzień położenie to pogarszał. Mieszek, nie pytając, widział i czuł, co się działo. Kietlicz nie donosił mu, ale się rzucał i złościł napróżno. Naostatek

stanu tego ukryć nie było podobna, codzień wybitniej dawał się widzieć nawet obcym, na zamku, jak w mieście pustoszało; w zastępstwie tych, co zbiegali, nikogo zaciągnąć nie było podobna.

Gdy Mieszek, wyjechawszy na łowy i kilkanaście dni na nich spędziwszy, po spotkaniu z Kazimierzem na zamek powrócił, zastał go ogołoconym z ludzi bardziej jeszcze, a Kietlicza uniesionego gniewem.

Najgorliwsi pomocnicy jego: Bereza jednooki, skarbny Juchim, Mierzwa podsędzia, gdy ich do rady przyzywał, milczeli wymownie, umywali ręce, stawali na stronie, jako podwładni, zrzekając się czynnego wspólnictwa we wszelkiej robocie. Słuchali jeszcze, ale biernie i kwaśno. Serb Bereza stanowił wyjątek; ten się rzucał, ale mu się nie wiodło.

Po powrocie księcia w następną niedzielę, zamkowy kościół czasu nabożeństwa nie mieścił w sobie nikogo, oprócz szczupłej garstki dworskich. Ziemianina na mieście nikt nie zobaczył, do księcia nie zjawił się żaden, nawet z żałobą. Posłano po bliższych — nie przybyli. Jedni na łowach być mieli, drudzy w podróży, inni chorzy. Mieszek znosił to z dumą milczącą, jakby wiedzieć nie chciał.

Starszy syn jego Otto, z Elżbiety, pierwszej żony, na którego pomoc rachował ojciec, niechętny macosze i rodzeństwu, znikł także ze dworu nadąsany i mówiono, że ruszył gdzieś ku Wielkopolsce. Ojciec niepokoił się nim i gryzł. Kietlicz więcej jeszcze, ale syna pańskiego imać nie mógł, choć czuł, że od niego gotowało się nieposłuszeństwo, a może spisek z nieprzyjacioły.

Czeladź pańska wystraszona, przerzedzona, oglądała się tak, jakby z dnia na dzień ją i pana stąd przegnać miano. Pomiędzy resztą załogi chodziły wieści osobliwe. Mówiono, że ziemianie krakowscy tłumami płynęli do Sandomierza, inni na drodze nad Wisłą stali obozami, jakby na coś czekali. Oddziały ich miały się gromadzić w Mogile, Opatowcu, Połańcu, Osieku, aż do samego Sandomierza. Szeptano, że biskup i woje-

woda pojechali do Kazimierza i, zabrawszy go, mają z nim ciągnąć na Kraków.

Gdy jednego z tych ostatnich dni trwogi Bereza, znowu obliczając ludzi, co dzień w dzień teraz musiał czynić, znalazł znowu znaczny ubytek w nich, a z resztą pozostałą, w zatarg wszedłszy, złajany i wyszczuty szyderstwy, ujść od niej musiał, przybiegł do Kietlicza strwożony i wściekły. Kietlicz i tak już od dwóch dni potajemnie wozy swe słał do Budziszyna, nie będąc pewien, czy się tu ostoi. Panu jednak nic donosić nie śmiał. Teraz lub nigdy pora była się rozmówić.

Jedno tylko dodawało męstwa Serbowi to, że Mieszek go nie tracił. Jak był chmurny, milczący a spokojny, tak pozostał, choć nie mógł nie wiedzieć, co się działo około niego. Trwogi nie okazywał najmniejszej. Gdy Kietlicz wszedł doń, zmierzył go oczyma bystro.

— Miłościwy książę — odezwał się Serb, — dłużej już milczeć mi się nie godzi. Źle z nami, źle u nas! Ludzie nas odstępują. Biskup i ziemianie na gardła nasze nastają, wszystkich do siebie przyciągnęli. Źle z nami; uchodzą wszyscy, a teraz już słyszę, że Kazimierza na nas prowadzą z siłą wielką.

Mieszek zbył go pogardliwem milczeniem. Wytrzymawszy go u progu chwilę niemałą, nic na to nie odpowiedziawszy, począł pytać głosem ostrym a groźnym, ile jeszcze Kietlicz miał ludzi, skąd o zbliżaniu się biskupa i księcia były wieści?

— Nawet języka już dostać trudno — odparł namiestnik. — Kogo poślę, ginie, albo go pochwycą lub uciecze. Wszyscy się na nas spiknęli, nikogośmy dziś niepewni.

— Gród zaprzeć, ludzi nie puszczać, gotować się do obrony — rzekł Mieszek zimno.

— Nas i ci, co są, zdradzą — odezwał się Serb. — Jeśli wczas nie ujdziemy, to nas tu pochwycą, jak borsuka w jamie.

Mieszek ruszył ramionami, popatrzył na Kietlicza i odezwał się, głos podniósłszy:

— Gród zamknąć, rozumiesz! Kogo podejrzewasz

o zbiegostwo, powiesić na wałach. Bronić się musimy. Kazimierz, choćby przyszedł, nie porwie się na mnie siłą — nie!

— Ziemianie się rzucą bez niego!

— On nie dopuści!

Serb chciał jeszcze coś mówić. Mieszek ręką skinął i usta mu zamknął. Ustępować nie myślał.

W południe tegoż dnia Bereza, na zwiady wysłany, bo jego jednego Kietlicz był pewien, przybiegł czwałem napowrót, strwożony, oznajmując, że ogromne ziemian tłumy obozują pod Mogiłą i, wyprzedzając biskupa Gedkę z Kazimierzem, ciągnąć mają na Kraków sami. Stało się, co Kietlicz przepowiedział; co chwila przednich straży ich spodziewać się było można.

Mieszek, posłyszawszy to, zbroję sobie tylko gotować kazał.

Kietlicz już bez wiadomości jego wozy powyciągać i skarbiec pański na nie ładować rozrządził, księżna, niewiasty, dzieci potrwożone, płaczem i narzekaniem napełniały podwórze; książę siedział spokojny niemal, nie bolało go nic oprócz tego, iż syn Otto opuścił go.

Postawiono na noc silne straże, zaparto wrota, nikt do snu kłaść się nie myślał. Bereza znowu poskoczył z kilku wiernymi w stronę Mogiły i powrócił znowu przed brzaskiem, oznajmiając, iż wielka moc ludzi jest już w drodze do Krakowa.

Tymczasem z rana, mimo, że gród na Wawelu był szczelnie zamknięty, tylu ludzi nie stało, że wrót i głównych miejsc nie było komu obsadzić.

Mieszek wyszedł sam ich obliczać, nie powiedział nic, dał rozkaz gotować wozy, a reszcie ludzi w godzinę potem na konie siadać. Gromadka około księcia była tak nieliczna, że na osłonę wozów prawie nie starczyła. Mieszek się i tem nie strwożył, zbroję wdział, szyszak włożył, miecz przypasał, napozór obojętnie to czyniąc.

Sam potem obszedł niewielką garść, która na zamku zostać musiała, przykazując jej, aby zamku nie oddawała.

— Ja wyciągam, ale powrócę rychło — rzekł, — na niewiernych i zdrajcach pomszczę się strasznie. Niedługo tu będzie obce panowanie!

Gdy przez podzamcze, miasto i przedmieścia przyszło jechać, żywa dusza w progu domostw się nie ukazała. Gród stał jak wymarły, z okiennicami pozamykanemi, psy tylko, w podwórcach pozamykane, za bramami ujadały.

Cisza ta grobowa trwała czas jakiś, aż Mieszek, jego żołnierze, czeladź, wozy, długim ciągnące się sznurem, wywlekały precz na pola.

Dopiero gdzie niegdzie na dachach pokazały się ludzkie głowy, tu i owdzie ostrożnie zaczęto otwierać wrota, odsuwano okiennice. Ludzie, bojaźliwie rozglądając się, wysuwali na ulicę. Szmer jakiś poszedł po mieście, rósł, powiększał się, zmienił w gwar, jakby szumiały lasy, jakby morze mruczało. Nie wiedzieć skąd, jak z pod ziemi wyrastali ludzie, na wałach zamkowych roiło się już. W ulicach stawały kupki, gwarząc, niektórzy wyszli poubierani świątecznie. Czegoś zdawano się wyglądać i czekać.

Wtem od Mogiły gościńcem, w tumanie pyłu, z wrzawą, jak wicher wtargnął oddział ziemian z proporczykami u włóczni! Było ich tam kilkuset, za nimi szedł drugi, okrzykujący coś niezrozumiale; wprost się rzucili ku wrotom, na zamek. Tu wszystko stało otworem, nikt ani myślał się bronić; tylko po ciszy długiej buchnęło wrzawą, hałasem, okrzykami radosnemi, wśród których brzmiało ciągle Kazimierzowe imię.

Zamek już bez walki, bez oporu zajmowali dla księcia: Jaksa, stary Żyra, Cholewa i inni ziemianie!

W podwórzu, na którem świeże jeszcze były ślady kół od wozów Mieszka, nowi ludzie słali się już obozem a starszyzna po zamku pustym gospodarzyła. Pozostała czeladź otwierała drzwi, pokazywała drogi, służyła żwawo; na wszystkich twarzach widać było radość, usta się śmiały. Nikt koso nie patrzał, nikt się nie chmurzył, księcia, co tu wczoraj panował, śladu, ni

pamięci już nie było w ludziach — nikt ani stęknął po nim.

Miasto w jednej godzinie jakby zmartwychpowstało; w rynku obozował oddział inny, dworki ziemian się pootwierały, mieszczanie szeroko rozkładali wrota swe i w progach częstowali spragnionych. Rozpoczynały się jakby gody weselne.

Na pozostałych zausznikach Mieszka i Kietlicza nikt się nawet nie myślał mścić, nie srożył na nich i nie odgrażał, bo i ci nowemu panu służyć byli już gotowi.

Coraz to gościńcem wpadał, wiejąc proporczykami, wołając, trąbiąc, swawoląc, nowy oddział rycerstwa. Jedni szli zwiększać załogę zamkową, i tak już liczną, drudzy się rozkładali obozami u stóp góry, rozgaszczali na placach przed domostwy, które im gościnnie otwierano.

— Jedzie zbawca nasz z niewoli!

Wołaniem takiem oznajmywano Kazimierza.

Wieczorem spodziewano się jego przybycia, kościół na Wawelu stroił się w zieleń, posypywano drogi liśćmi i kwiatem; duchowieństwo przybywało gromadnie na dworzec biskupi. Wrota jego, długo zaparte, otwarły się naoścież, dwór Gedki, którego nie było wprzód widać, chodził strojno i zbrojno. Toż samo było na wojewodzińskiem mieście, kto co miał warzył, dym słupami walił z dymników, beczki dobywano z piwnic, w rynku, jak w wielkiej izbie, rozkładali się ziemianie, wnosząc sobie ławy i stoły. Ale największe zbiorowisko ludu było na drodze, którą miał do zamku jechać Kazimierz z biskupem. Tu nietylko postrojeni w kożuchy i długie szaty mieszczanie, kupcy swoi i cudzoziemscy w strojach różnych, żydzi w kapeluszach śpiczastych, rycerstwo we zbrojach, ale mnóstwo poubieranych jak łątki niewiast, w oknach siedziało, stało we wrotach, cisnęło się nad gościńcem. Najpiękniejsze twarzyczki występowały na przedzie, a około nich śmiechem bujało i słówkami strzelało raźnie, bo rycerstwo rade na świeże mieszczańskie dziewuchy wytrzeszczało oczy i zaczepiało słowy śmiałemi.

Zmierzchało już, a ów zapowiadany Kazimierz się nie ukazywał; natomiast coraz nowe poczty przybywały.

— Oto ciągną! oto idą! — wołano, poznając okolicznych ziemian.

Oczy się obracały tęskliwie ku gościńcowi, na którym za pyłem ledwie coś szarzało zdala.

Tu, jakby na dany znak, z dzwonniczek po kościołach zaczęło dźwięczeć radośnie na jakąś weselną nutę. Rozkołysały się dzwony, rozśpiewały coraz ochoczej, coraz żywiej, coraz głośniej, ze dwu, ze trzech urosło tyle naraz dźwięku, iż ludzie, stojący obok siebie, rozmówić się już nie mogli. Wszystkiemi głosy wołały dzwony, jak ludzie.

— Zbawca nasz z niewoli!

Rycerstwo siadało na konie, włócznie z proporczykami unosząc do góry. Na gościńcu tuman się wzbijał i opadał.

Ujrzano naówczas przodem jadącego na okrytym koniu biskupa Gedkę, który w bok się lewą ręką ująwszy, prawą trzymał podniesioną, jak do błogosławieństwa. Na twarzy jego był wyraz zwycięstwa i dumy. Obok niego jadący w ciemnej sukni, z jednym łańcuchem na szyi, Kazimierz blady, strwożony, z oczyma na dół spuszczonemi, wydawał się jak więzień lub żaczek, którego szkolnik wiedzie ze sobą.

Przecież te oczy spuszczone i pokorne oblicze były tak piękne i tak ujmujące po twarzy ponurej Mieszka, iż wszyscy, ujrzawszy go, z uniesieniem wołać zaczęli:

— Zbawca z niewoli!

Krzyk się wzniósł taki, że zagłuszył dzwony, widać było, jak Kazimierz zbladł trupio, zachwiał się na koniu, głowę spuścił jeszcze, ku zamkowi, na który go prowadzono, nawet spojrzeć nie śmiejąc.

Tam z wałów wiały już chorągwie i okrzyki leciały ku niemu. Biskup pochylił się, szepcząc jakieś słowa, które go pokrzepić i orzeźwić miały, ale Kazimierz nie dźwignął głowy; jechał ciągle jak winowajca na opróżnioną stolicę brata, z trucizną w sercu.

Za nim na koniu dzielnym ciągnął wojewoda Szczepan, wąsa podgryzając, dalej co najprzedniejsi krakowscy ziemianie, stare rody tutejsze, ojczyce odwieczni, co razem z Piastami tu przyszli, albo przed nimi się poczęli.

W orszaku księcia jechał i Stach, któremu oczy błyskały i weselem razem i łzami, dalej Wichfried szczęśliwy i co żyło przyjaciół tego, który dotąd nie miał wrogów.

Ten dzień miał mu ich uczynić.

Strwożony w sumieniu gwałtem, jaki na nim popełniono, pół żyw wjechał Kazimierz i stanął u progu kościoła na Wawelu. Tu stał archidiakon w szatach uroczystych, z krzyżem i wodą święconą i duchowni wszyscy, nucąc hymn Ambrozjański, hymn triumfu i dziękczynienia, któremu przygrywały dzwony.

Przodem wszedł biskup, za nim książę do ołtarza wielkiego, przed którym padł na kolana, twarzą na ziemię i płakał.

— Odwróć, Panie, ten kielich ode mnie!

Gdy się to działo, dworek skarbnego Juchima ponad samą wjazdową drogą, którą książę przeciągał, stał tak zamknięty i zabity szczelnie, jakby w nim wymarło wszystko, lecz ktoby był zajrzał do środka ponad wysokie parkany z dylów grubych, zobaczyłby przez szpary przypatrujących się pochodowi a drżących bladego Juchima, targającego rzadką brodę siwą i bledszego jeszcze Mierzwę, trącego niespokojnie twarz, ściągniętą trwogami i troską. Obaj milczeli, jakby się lękali wydać głosu, by ich nie zdradził.

Z nich dwu Juchim się jeszcze zdawał odważniejszy; Mierzwa, choć męstwa sobie dodawał, popijając potrosze, choć się krzepił na duchu filozoficznemi argumentami, chwilami zimnym oblewał się potem. Wśród tych, co z Kazimierzem przeciągali, poznawał ludzi, których sądził. Juchim liczył tych, których odzierał i mękami zmuszał do oddania ostatniego grosza. Wszystko to teraz zwycięskie zapanować im miało!

Gdy obaj o padającym już zmroku zeszli ze stano-

wiska, skarbny i Mierzwa spojrzeli sobie w oczy i głowami potrzęśli.

— No, a co teraz będzie? — zamruczał Juchim.

— Co ma być! — odparł Mierzwa, udając wielce śmiałego. — Nie boję się niczego! Sądziłem, jak mi sądzić kazano!

— Cóż ja gorszego? — zawołał Żyd; — jam te pieniądze pobierał, któreście mi brać kazali!

— No, tak! tak! — rzekł Mierzwa. — Ale nie chciałbym być w waszej skórze! Ja siedziałem na ławie z prawem w ręku; wy jak przyszło wycisnąć grzywny i na mękiście brali.

— Czy to z nimi można było inaczej? — zawołał Żyd. — Albom to ja grzywny dla siebie ściągał? Hm, ja w waszej skórze nie chciałbym być. Gdyby nie wasz sąd, nie byłoby moich grzywien.

— Słuchaj Juchim — przerwał Mierzwa, — ani ty mnie, ani ja ciebie nie powinniśmy się zdradzać i oczu sobie wykałać.

— Który z nas zaszkodzi drugiemu — rzekł Żyd, — albo to nie ma czem mu oddać?

Mówili jeszcze urywanemi słowy, gdy do wrót silnie dobijać się zaczęto. Był to Stach, który choć w orszaku księcia z innymi przybył, dla wielu oczu i świadków nie chciał na zamku nocować. Szukał sobie na uboczu miejsca, z któregoby mógł pana swego strzec, niewidziany bronić go i osłaniać. Tymczasowo trzeba mu było kąta, w którymby stanął gospodą.

Dworek Juchima w sąsiedztwie zamku nastręczył mu się i choć nie wiedział, kto w nim mieszkał, obyczajem ówczesnym przybył prosić o przyjęcie, próbując, czy mu się tu wcisnąć nie uda.

Wrota były zaparte, biegł już do nich odrapany sługa, gdy Juchim przelękły, obawiając się, aby go na niebezpieczeństwo głupotą nie naraził, z gniewem go odepchnął i sam do bramy pośpieszył. Pomimo mroku mógł jeszcze dojrzeć, kto się dobijał i osądzić, czy wpuścić go było można, wypraszać się lub bodaj opłacić.

Przyłożył więc oko do wąskiego otworu i pilno przy-

patrywać się zaczął. Poznał Stacha. Był mu na rękę. Trwoga i nadzieja razem go objęły.

Stach dobijał się ciągle, jak pan, wołając, aby otwierano. Juchim zapytał pocichu, czego żądał.

— Czego? A to się rozumie, że gospody! — odparł przybyły. — Przyszliśmy z księciem, na zamku dla wszystkich niema miejsca. Otwierajcie a żywo! Niewiele mam ludzi i koni. Jest nas trzech, zapłacę za wszystko, dachu mi tylko i stajni potrzeba.

Po krótkim namyśle Juchim kazał wrota otworzyć, a Stach z Żegciem i służbą natychmiast w dziedziniec wbiegli. Wrota, z obawy, aby się kto więcej nie przypytał, co rychlej zaparto.

— Będziecie mnie od drugich bronili — rzekł Juchim, przystępując i kłaniając się. — Hej! hej! my z miłością waszą nie od dziś znajomi, to się dobrze złożyło.

Stach, poznawszy skarbnego, ramionami ruszał.

— A no — rzekł, — jeśli myślisz, że ja ci grzywny przywiozłem, omylisz się srodze.

— A! a! ja żadnych nie potrzebuję — rękami strzepując, odezwał się Juchim. — Co za grzywny! One pojechały z tym, co go tu niema!

I wskazał w stronę, w którą się Mieszek oddalił.

Stachowi z powodu grzywien i Żyda gospoda się niezbyt miłą wydała; gdy raz tu wpadł, a pod noc sobie innego kąta szukać nie mógł, musiał przyjąć, co los naraił.

Trochę zakłopotany Juchim do izby go wprowadził.

— Wasza Miłość u mnie wygody mieć nie będziecie. Na posłanie chyba siano i kobierczyk lichy, dla koni niema nic! Jadło! a! jakie u mnie jadło! nędzne; ja człowiek ubogi!

— Ubogi? wy? — rozśmiał się Stach, wchodząc za nim.

Uśmiech szyderski do żywego tknął Juchima, który wprost z obojętności chłodnej przeszedł do największego roznamiętnienia. Posądzanie go o zamożność było

dlań najstraszniejszą groźbą. Podniósł obie ręce wychudłe, wskazując na istotnie nędzną izdebkę, do której weszli.

— Wasza miłość nie chcecie wierzyć ubóstwu mojemu! Albo mnie Mieszek i Kietlicz nie darł ze skóry, jak i innych! — zawołał. — A! gorzej, niż innych! Na wyjezdnem ostatni im grosz oddać było potrzeba! Ja z głodu mogę umierać! Kto mnie dziś pożywi, kto się ulituje?

Stach zlekka go uderzył po ramieniu.

— Bądźcie dobrej myśli — odezwał się, — pan nasz nowy, którego wam przywiedliśmy, sprawiedliwy jest, bogobojny, litościwy, z nim i wam lepiej będzie i wszystkim. A i ci, co z tym panem jadą, nie drapieżne sępy są, ale ptactwo spokojne.

Juchim, mimo ubóstwa, na które skarżył się, postarał o godne przyjęcie gościa. Sam poszedł po chleb biały, wino i jakieś słodycze, które na miedzianej tacce, w saraceńskie wzory rysowanej, przyniósł Stachowi.

Ten więcej potrzebował spoczynku, niż pokrzepienia, miał też do myślenia wiele. Uzbierało mu się na duszy i dobra i złego dostatkiem. Najgorętsze pragnienia jego życia były dopięte: Kazimierz wszedł na stolicę. Lecz na tem się nie kończyło. Tu dopiero oczekiwać go miały największe niebezpieczeństwa, zdrady ludzi, podstępy, knowania, walka z Mieszkiem i rodzeństwem jego, chciwi połowu przyjaciele, chciwe panowania nad panem niewiasty.

Troska już jedna kamieniem mu na sercu leżała. Nie mając innego celu w życiu nad wywdzięczenie się panu swojemu, śledził wszystko pilno, co go otaczało. Nie uszło oka jego i ucha, że Dorota zastawiła sidła na słabego pana. Od pierwszego spotkania z nią na Skałach, Stach powziął do niej wstręt i obawiał się zalotnicy. Dojrzał już, jak w Sandomierzu zabiegała, aby sobie do księcia utorować drogę. Wiedział, że Wichfried był u niej, że ją wieczorem na zamek prowadził i że tam długą chwilę przebyła. Trwożyło go to wielce.

Wszystko, co słyszał o wdowie, co widział sam,

przejmowało go wstrętem. Znając z młodości Kazimierza, wiedział, że urokowi niewieściemu oprzeć się nie umiał, i żem im napastliwszą, tem była dlań niebezpieczniejszą. I o tem posłyszał Stach, że jej kazano za Kazimierzem pojechać do Krakowa. Pierwszą więc robotą, jaką sobie zadał, było księcia od niej uwolnić; ale jak to uczynić, nie wiedział jeszcze.

Gdy mu siano i kobierczyk przyniesiono, a Żegieć zniósł juki i przyszedł pościełać, Juchim stał jeszcze na uboczu, czekając, czy czego nie zapotrzebuje. Na myśl przyszło Stachowi wszystko wiedzącego żyda zapytać o wdowę, którą z jej szaleństw w Krakowie znano. Począł trochę z przełaju, zagadując go o panów z Tęczyna, którzy z Mieszkiem trzymali.

— Trzymali oni z nim — odpowiedział Juchim — ale pod koniec i oni już, gdy ich wołał, jechać do niego nie chcieli. Możni są, przecież z panem i całą ziemią do wojny nie staną.

— A co się z siostrą ich stało? — dodał Stach.

Juchim ze wstrętem ramionami ruszył.

— Któż ją wie! — bąknął.

Pono zamknąć ją chcieli?

— No — rzekł Juchim, — aby ona teraz tylko ich nie pozamykała! Wszystkim wiadomo, że stary wojewoda, choć żonę ma, choć go za to biskup łaje, bardzo się w niej rozmiłowuje... A onaby córką jego być mogła.

Juchim splunął nieznacznie.

— Onaby tu w Krakowie dom swój mieć powinna? — spytał Stach.

— Jakżeby nie miała; ma, jeżeli bracia nie zabrali. Dwór był bardzo paradny! Będzie w nim bardzo wesoło! — rzekł Żyd szydersko.

A gdy Stach pytał więcej, zakończył stary:

— Wielkiego rodu pani, ale to jest niewiasta, o jakiej król Salomon nasz, który wiele od nich wycierpiał, powiedział, że gorszego nad nie na świecie niema nic!! Niech Bóg od niej broni każdego poczciwego człeka.

II.

Nad ledwie uśpioną stolicą wstał ranek letni, złocisty, pogodny, jasny, ciepły, jakby uroczystości nieba błogosławiły. Miasto, które ucztowało noc całą, teraz odpoczywało. Ledwie czeladź pilniejsza poruszała się gdzie niegdzie, ziewając i wyciągając się, konie, podróżą popodbijane, ciągnąc i pędząc do wody.

Wszędzie jeszcze widne były ślady wczorajszego przyjęcia. W ulicach tam i sam stały ławy, powynoszone wieczorem dla chłodu, stoły pooblewane miodem i piwem. Na ławach pod domami, na przyźbach ci, co się do środka dostać nie mogli, albo nie chcieli, leżeli pookrywani ladajako, chrapiąc na twardych deskach, jakby na najmiększem posłaniu. Nie wszędzie drzwi pozamykano i pozasuwano okna. Wozy, które się pod szopami nie zmieściły, stały w rynku i na ulicach, a konie, do nich poprzywiązywane, resztek siana w głębi szukały.

Spało miasto, tylko po kościołach o swej godzinie dzwonki się już odzywały po jednemu, cicho, jakby nie wszystkich budzić chciały.

Podwórza na obóz wyglądały, tak w nich pełno było koni, wozów, różnego ludu i broni. Bezładnie, ale gęsto porozkładali się ci, co tu przywiedli Kazimierza, dokoła budowli, pod wałami, u szop i wszędzie.

Wojewoda ze swoimi ludźmi częścią na zamku stał, częścią pod nim. Znaczny oddział biskupiego dworu rycerskiego z pułkowódcami się tu znajdował.

Pilnować się musiano nietylko od Mieszka, ale od samego Kazimierza, z którym sprawa nie była dokonaną. Wzięto go wprawdzie i na stolicę wprowadzono, ale opierającego się i zarzekającego. Widział, że zdobywać jej nie potrzebował, bo mu się wszystkich serca same rzucały pod nogi, bramy same otwierały, ale biskup czuł, że dobrowolnie ciężaru, jaki mu na ramiona wkładano, nie przyjmie, że na skinienie brata ustąpić gotów, a nawet dopomóc mu do odzyskania władzy. Był panującym z musu, nie z dobrej woli, posłu-

sznym losowi, nieprzekonanym jednak, aby powinnością jego było panować i by miał prawo do panowania. Musiano więc stać przy nim na straży i zmusić go, by cugle wziął w ręce.

Zadanie to głównie przypadało biskupowi. W istocie nie Kazimierz panował tu, ale Gedko z ziemianami krakowskimi. Kazimierz był jakby w niewoli u nich, z której nie powinni go byli wypuścić. Z kilku słów, z całego obejścia się wnosili, iż najlżejszego starczyłoby pozoru w tej chwili, aby ustąpił do Sandomierza, którego żałował.

Naradzano się pocichu, jak go tu strzymać, jak przekonać i umocnić. Nadewszystko z oka go spuszczać, ani sobie samemu zostawić nie było można. Ułatwiało zadanie to, że biskup miał za sobą i księżnę Helenę i wszystkich przyjaciół Kazimierza: Jaksę, Goworka, Wichfrieda. Najbliżsi serca jego chcieli go widzieć na stolicy i gotowi byli pomagać, aby się na niej utrzymał. Wszyscy byli w tym pobożnym spisku z biskupem.

Jeden Kazimierz opierał się swojemu przeznaczeniu. Ze łzami wjechał na ten zamek, płakał, modląc się w kościele, powtarzał to, że się brzydził władzą przywłaszczoną i że się tu nie za pana, ale za czasowego tylko uważa dzierżawcę.

Wieczorem, gdy odszedł na spoczynek, słowa się z niego dopytać nie było można. W nocy ci, co spali w izbach sąsiednich, słyszeli go modlącego się głośno i wzdychającego ciężko.

Nim książę wstał, Jaksa, który się tem niepokoił, pobiegł na radę do biskupa. Tu już, mimo godziny rannej, ludzie byli na nogach, a sam Gedko, za stołem siedząc, listy rozpisywać kazał, wzywając biskupów na radę.

Ziemianie stali, czekając na rozkazy pasterza, gdyż stąd płynęło wszystko. Kazimierz nie chciał się rozporządzać, ani za pana uważał. Był to rodzaj bezkrólewia, wśród którego duchowieństwo z ziemianami władzę dzierżeć musieli. Ze dworu biskupiego rozchodziły

się pisma na całą ziemię. Naprzód zawiadomić musiano arcybiskupa gnieźnieńskiego, aby go mieć z sobą.

Do dworca biskupiego przybywali jedni, wysyłano stąd drugich, czynność a ruch były wielkie. Gdy Jaksa nadszedł, mimo, że Gedko mocno był listami zajęty, zobaczywszy go, wstał zaraz ku niemu.

— Ojcze — odezwał się Jaksa, — co myślicie dalej? Zdawało się nam, żeśmy już dopięli celu, a najcięższe pono dopiero teraz przychodzi. Książę nieswój, pomieszany, przybity, wyrwać się nam gotów. Całą noc, jak mi komornicy mówili, przetrwał na modlitwie i niepokoju. Sumienie gryzie go. Dodnia już pobiegł do kościoła, poznać go trudno, tak mu się twarz mieni trwogą i frasunkiem. Dziś też rano kazał wysłać sprzęty i zasoby, które po Mieszku zostały, a komornikowi, wyprawionemu z niemi, poufne dał zlecenie, by uspokoił brata, iż władzy przywłaszczać sobie nie myśli i pracować będzie dla pojednania. Zdaje się, że i sprzęt wyprawił tylko, aby poselstwo to wysłać.

Biskup westchnął i zmarszczył się nieco.

— Radzić na to musimy — odpowiedział — nie znagła, ale powoli i stopniowo. Sprzeciwiać mu się wręcz na nic nie zdało, czas wiele dokona, my też nie zaśpimy. Książę lubi mądrych i uczonych ludzi, rad biesiaduje z nimi, musimy mu dać takich, coby go uspokajali w sumieniu i nauczali o obowiązkach. Znajdziemy ich, a i sami nie zostaniemy bezczynni. Główna rzecz spełniona; reszty Pan Bóg dopomoże dokonać.

— Piękną jest rzeczą ta miłość braterska i poszanowanie praw starszeństwa — dodał, — lecz tu dla miłości większej nas wszystkich, dla losu ziemi tej, dla sprawy religji świętej książę się poświęcić musi. Zwolna ukołyszemy to sumienie poczciwe a niespokojne.

Mowa była jeszcze o tem, że dopóki książę milczącym jest i w sobie zamkniętym, zawsze się obawiać oń należy, a lepiej zmusić go do jawnego wypowiedzenia myśli, ażeby ją pokonać argumentami, którymby oprzeć się nie mógł. Biskup rachował na duchownych, na ojca Lucjusza, scholastyka Lamberta, nawet na

młodego ulubieńca, Wincentego, których wszystkich na zamek wysłać miano.

Jaksa i z tem się wydał nakońcu, że posądzał księcia o zamiar ucieczki z Krakowa, tak, że straż koło niego stawić było potrzeba. Biskup zlecił to jemu i przyjaciołom, tymczasem inni pasterze przybyć mieli, aby dopomóc Gedce do działania na opornego.

Rozmowa z Jaksą trwała dość długo, a owocem jej było, że czuwać postanowiono; biskup wlał w niego otuchę, jaką sam był ożywiony, iż wszystko da się zwolna po myśli ułożyć.

Jaksa wyszedł ze dworca z danem mu hasłem i zarządził tak, iż dnia tego ani na chwilę prawie Kazimierza samym nie zostawiono. Coraz nowe przybywały gromadki ziemian, przynosząc mu hołdy, dziękczynienia i skargi boleściwe na Mieszka. Z przykrością i zdumieniem słuchać musiał Kazimierz żałób tych na brata i ludzi, którymi się posługiwał. Zaprzeczał czasem i uniewinniać się starał, lecz dowody były zbyt jawne i składanie winy na Kietlicza oczyścić Mieszka nie mogło.

Żale te, utyskiwania, opowiadania o rządach i sądach, czyniły na księciu wrażenie tem boleśniejsze, iż się co chwila bardziej przekonywał, jak wprowadzenie napowrót Mieszka trudnem było, niemal niepodobnem. Jedni obawiali się zemsty, drudzy uraz i krzywd nie mogli przebaczyć, wszyscy błogosławili Boga, iż ich wyzwolił z tej kaźni.

Tak spłynął ten pierwszy dzień, bez wytchnienia prawie dla Kazimierza, a gdy późnym wieczorem wymknął się do pustej komnaty swej dla spoczynku po tym gwarze i pisku, Wichfried, który mu towarzyszył, znalazł go tak godnym politowania, że radby był czemkolwiek bądź weselszą myśl, rozrywkę poddać jakąś.

Zdało mu się, iż przypomnienie pięknej wdowy potrafi rozbić te mroki. Wichfried wiedział już o jej przybyciu i nie wahał się z lekkomyślnością, do której książę był z jego strony nawykły, oznajmić mu pocichu z uśmiechem, iż Dorota rozkazów usłuchała i w Kra-

kowie się już znajdowała, a dom jej, niezbyt daleko położony, łacno było odwiedzić, gdyby książę życzył sobie tego. Namawiał nawet na to, powiadając, że po dniu takiej pracy ciężkiej należała chwila lepszej myśli.

Kazimierz odtrącił tę pokusę z jakimś wstrętem, mając zbyt wielki ciężar na sercu, a głowę czem innem zaprzątniętą, ale Wichfried, znając go, nie ustąpił.

— Niemożliwe to — rzekł, — aby się księciu Dorota nie podobała; grzechu przecie wielkiego niema posłuchać szczebiotania i popatrzeć w oczy.

Kazimierz głową potrząsnął.

— Niewiasta i piękna i urokliwa — rzekł, — tem też więcej obawiać się jej trzeba, bo napastliwa jest, nieopatrzna i ludzie o niej prawią nadto.

— O! miłościwy panie — przerwał Wichfried, — co ludzie prawią, to najczęściej jest potwarz, zazdrość i zła wola. Więcej w tem kłamu, niż prawdy. Książę byś przynajmniej zmuszony był się rozchmurzyć, bo my tu w Krakowie pomrzemy od smutku.

— A pocóżeście mnie tu przywiedli? — odparł żywo Kazimierz, chwytając go za słowo. — Nie prosiłżem się was, abyście mnie zostawili w spokoju?... Tak jest, i biskup, i wojewoda i wy wszyscy uczyniliście, co chcieli ze mną, ale zrobiliście mnie najnieszczęśliwszym z ludzi!

Wszystko, co Wichfried mógł znaleźć w sobie dla uspokojenia go, pozostało bez skutku. Kazimierz, milczący i pogrążony, nie dał znaku przyzwolenia.

Do wieczerzy Gedko umyślnie przysłał scholastyka Lamberta, opata Benedyktynów z Tyńca, Kazimierza, Wincentego młodego i kilku duchownych. Lepiej to pomogło, niż wszelka pociecha, na jaką Wichfried się mógł zdobyć. Czoło się nieco rozchmurzyło, wzrok stał jaśniejszym. Duchowni przyszli już uprzedzeni, niosąc z sobą twarze wesołe i myśli swobodne.

Nie potrącano w rozpoczętej rozmowie o sprawy teraźniejsze, nie mówiono o tem, co się stało, unikano rzeczy obecnych, ale składało się tak jakoś, iż z historji starożytnej ciągle przychodziły przekonywające

przykłady, jako po wszystkie czasy tyranom władzę odbierano, nowych do panowania powołując książąt, a gdzie *vox populi vox Dei* przemówił, poddać się jego wyrokom było koniecznością.

Nazajutrz rano Wichfried w lasach za Wisłą łowy przygotował, a że wielu ziemian ofiarowało się w pomoc, najraźniejszych i najweselszych wybrano, ruszając w lasy ku Tyńcowi, gdzie opat za obfitość zwierza zaręczał.

W istocie powiodło się polowanie i książę pochwycony niem, otoczony śmiejącemi się twarzami i sam też poczynał być dobrej myśli, ale w powrocie do Krakowa, gdy sami z Wichfriedem pozostali, Niemiec już z trudnością dobyć mógł z niego słowo. Dojrzawszy zdala Wawel, Kazimierz wzdrygnął się i, oczy spuściwszy, milczał.

Wichfried naówczas ważył się znowu przypomnieć mu wdowę.

— Miłościwy książę — odezwał się, — towarzysze nasi zdala pozostali za nami, my ich o wiele wyprzedzamy, na zamku u nas strasznie jeszcze pusto, ja tu gospodę znam, w której nas przyjmą radzi!

Książę nic nie odpowiedział, jechał dalej. Tak się sami dostali do miasta, a Wichfried pokierował wprost do dworu Doroty. Wprawdzie się ich tu nie spodziewano, ale z obawy braci, wdowa się oddalić nie mogła, pewien więc był, że ją zastaną.

Tak było w istocie, od przybycia bowiem do Krakowa Dorota się ciągle księcia spodziewała, wiedząc, że zatęskni za nią, nie ruszała się nigdzie, w oknach i na wyglądach próżnych całe dnie spędzając. Ujrzawszy dwu jezdnych, zbliżających się do dworu, poznała w nich zaraz, a raczej domyśliła się Kazimierza z jego towarzyszem i wybiegła uradowana na ich przyjęcie. Zsiedli w podwórcu z koni, gdy Dorota, skłaniając się do kolan Kazimierza, z wielką natarczywością zapraszała do ubogiej chaty, jak ją nazywała.

W istocie przepychu tu nie było, gdyż oddawna we

dworze nikt nie mieszkał, lecz na służbie, ze Skał sprowadzonej, i na wygodach nie zbywało.

Kazimierz, jak gdyby nie wiedział, dokąd przybył, zobaczywszy ją, uląkł się nieco i do Wichfrieda zwrócił się z niemą wymówką, lecz oprzeć się nie mógł zaproszeniu i wszedł do środka.

Milczącego księcia zastępował Niemiec, opowiadając, że z łowów wracali, książę, pamiętny przyrzeczonej opieki, zboczył na chwilę, aby się dowiedzieć, czy Dorota nie miała jakiego przeciwieństwa od braci. Kazimierz się nie odzywał jeszcze, a wdowa ze śmiałością wielką poczęła żale swe wywodzić i z wdzięcznością dla dobrego pana się oświadczać.

— A! gdyby nie wy, miłościwy panie — mówiła, — nie mówię już, że mnie czekałaby niewola, gorsza śmierci, ale i innych dostojniejszych życie byłoby na włosku. Bracia moi teraz się już w Krakowie pokazać nie będą śmieli, ale kto wie, co być może, gdy ze strachu ochłoną.

— Chociaż ja się tu za pana nie mam i brata mojego zastępuję tylko — odezwał się książę, — pocznę jako opiekun, przywołam braci waszych do siebie, wysłucham ich i was, aby uczynić zgodę.

— Zgodę! — zakrzyknęła wdowa — między nimi a mną! Prędzej się świat skończy, niż ona nastąpi, a co od nich posłyszycie o mnie, miłościwy książę, to mnie w oczach waszych zabije! Nie chcę, aby uszy wasze kalali potwarzami... Niech się dzieje, co Bóg da!

— Cóż więc dla was uczynić mogę, abym wam pokój zapewnił? — spytał Kazimierz.

— Pozwólcie mi zostać pod opieką swoją — odezwała się, wdzięcząc, Dorota; — ja o to tylko proszę. Rzućcie czasem na mnie okiem łaskawem, więcej nie pragnę.

Książę, chcąc wedle sumienia postąpić i broniąc się przeciw napastliwej niewieście, która go niepokoiła, dołożył z powagą:

— Nie lepiejżeby było, gdybyście, wybór uczyniwszy, męża wzięli, coby was w nieustannej miał straży?

Odebrałoby to braciom niechętnym wszelkie prawo do opiekowania się wami.

Wdowa spojrzała na Kazimierza i smutne przybrała oblicze.

— Nie, miłościwy książę — odparła, głową potrząsając, — męża nie chcę, ani innego opiekuna nad was.

Spojrzała tak na księcia, iż się zarumienił — oczy mu błysnęły. Zawiązała się poufalsza cichsza rozmowa, tem swobodniejsza, że Wichfried wyszedł do przedsieni, niby koni patrzeć i zupełnie samych ich zostawił. Po dosyć długiej chwili dopiero Kazimierz wstał, a Dorota, ciągle śmieszkami i szeptami go przeprowadzając, wyszła aż na podwórze. Ciemno już było w uliczkach, gdy Wichfried, nie mówiąc nic, bocznemi ścieżkami do zamku go odprowadził.

Przez całą drogę nie rzekli słowa, zsiadając dopiero, książę odezwał się do Wichfrieda:

— Nie dziękuję ci, choć gwoli rozrywce zawiodłeś mnie tam, bo zamiast niej, boję się, aby mi nowych pęt nie narzucono!

Przy wieczerzy dnia tego weselej już było, a Wincenty, znowu dobrawszy parę pięknych historyj, księcia starał się zabawić niemi.

Tak upływały dnie na zamku. W dworze biskupim daleko się czynniej zajmowano przyszłością. Postanowiono tu, nic księciu nie mówiąc, księżnę Helenę z synkiem sprowadzić do Krakowa, aby już nie było pozoru żadnego powrotu do Sandomierza. Z drugiej strony zabiegliwy a niezmordowany Stach od rana do wieczora chodził, śledził, starając się odwrócić, coby groziło, a księcia mocno na stolicy osadzić.

Człowiek był napozór bez znaczenia i siły, ale przezorności i zabiegliwości niezmiernej. Począł od tego, że po noclegu u Juchima, na dłuższą go wziąwszy rozmowę, zyskał, jak mu się zdawało, w nim sprzymierzeńca. Skarbny potrzebował i bezkarności za przeszłość i na przyszłość zapewnienia. Choć z ostrożnością wielką i wahaniem, Juchim rozmówił się otwarciej ze Stachem. Był nawet po swojemu szczerym w tej chwili,

ale u niego zmieniały się usposobienia, stosując do czasu.

Stachowi zdało się potrzebą zyskać w nim pomocnika.

— Chcecie-li być cali — rzekł mu, — bądźcie wierni Kazimierzowi, oddajcie mu się szczerze, pomagajcie nam, co z nim jesteśmy, aby go od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronić, radźcie, czyńcie. Wyjdziecie na tem lepiej, niż czekając na powrót Mieszka, który nie powróci nigdy. Ja dla was starać się będę.

Juchim był zrazu milczący i oględny, bąkał i na słowa wyciągał więcej, niż się sam wywnętrzał, powoli jednak mówić zaczął:

— Ja? Co ja wam pomóc mogę, albo radzić? — rzekł — nie moja to rzecz. Umiem tylko pieniądze liczyć, zamykać i pilno strzec ich; wam kto innyby był przydatnym, co głowę ma obrotną i język, a oczy bystre.

— Któż taki? — zapytał Stach.

— Nie bójcie się, ani brzydźcie nim — rzekł Żyd;— ten, co was sądził, Mierzwa! To człowiek dla księcia!

Stach dobrze go sobie choć ze wstrętem przypomniał, ale dziś gotów był użyć kogokolwiek, byle Kazimierzowi zyskać pomocników.

Posłano po Mierzwę. Przewrotny tchórz na zawołanie się stawił. Wszedł, zginając się do kolan, bijąc w piersi, zawracając oczy, słodki nad wyraz i łagodny. Począł od tego, że Kazimierza zawsze czcił i kochał, a Mieszkowi ubogi człek z musu służył.

— Jak sądzicie, wy, co go znacie? — spytał Stach.— Nie będzie-li się Mieszek kusił o odzyskanie Krakowa?

Mierzwa pomyślał.

— Czemu nie? — odparł. — Owszem, uczyni to pewnie, jeżeli tylko będzie mógł, ale można się starać, aby tego nie dopuścić.

Tajemniczo rzucił to słowo znaczące. On i Juchim spojrzeli po sobie.

— Jakim sposobem? — wtrącił Stach.

Mierzwa już z pierwszej pokory, wiedząc, że po-

trzebnym być może, przeszedł do tonu handlarza, który towar sprzedaje.

— Hm — rzekł, — trzeba na to przebiegłości, trzeba zabiegów. Sposoby są różne, ale kto rady daje, musi o sobie pamiętać.

Spojrzał w oczy pytającemu.

— Ręka rękę myje — dodał z półuśmiechem.

— Bądźcie pewni — zrozumiawszy go, odparł Stach, — że znajdziecie silne ręce za dobrą radę. Ja niewiele mogę, ale dam wam opiekę tych, co dziś mogą wszystko.

Mierzwa śmiejącemi się oczkami podziękował mu i głowę skłonił.

— Człek jest biedny — rzekł z pobożnem westchnieniem, — żyć każdy potrzebuje, a jak o sobie sam nie pamięta...

— Mówcie tylko — przerwał Stach, — a możecie mi zawierzyć, że darmo nie popsujecie gęby.

Podsędzia z tajemniczą postawą zbliżył się do Stacha i szeptać począł:

— Mieszek poszedł, ustąpił, bo musiał, ale wprost pociągnął do Gniezna i Poznania zbierać tam swoich i Pomorzany. Z Kietliczem się tu naradzali, aby słać do księcia Sobiesława do Czech i do zięciów na Niemce. Ano — stamtąd pomoc albo nierychła lub żadna.

Tu Mierzwa przestał nieco mówić i znowu przybrał inną postawę i minę; głos nawet jego spoważniał i namaścił się proroczem natchnieniem.

— Wszystko to się rozbije i pójdzie wniwecz — rzekł, — gdy się jednego zażyje sposobu. Starszy syn Mieszka, Otto, dla was drogie narzędzie! Znienawidził on macochę naprzód, potem ojca dla srogości jego; jako pierworodny do Poznania rości i ma prawa; pełnoletni jest, ambitny. Uszedł już ojcu i wypowiedział posłuszeństwo. Zyskać go trzeba. Niech książę Kazimierz puści mu Poznań od siebie, Mieszkowi pod nogami ziemi zabraknie.

Dokończywszy, Mierzwa się uśmiechnął zwycięsko i obejrzał dokoła.

— Jakto? Syn poszedłby na ojca? — spytał Stach zdumiony.

Mierzwa szydersko usta skrzywił.

— Ja go znam — rzekł, — pójdzie! Ojciec go niecierpi, bo macocha mu serce doń popsuła. Otto go ma za wroga.

Rada była nieuczciwa, zdradziecka, przewrotna; Stach zadumał się mocno, zdała mu się niegodziwą.

— Możeż to być? — powtórzył. — I przystałoż księciu takim sposobem się ubezpieczać?

Nie odpowiedział Mierzwa, tarł tylko brodę silnie i małemi oczkami biegał dokoła, wracając ciągle do Stacha.

— Jestem biedny człek, obciążony rodziną — dodał, wyczekawszy. — Co mam czynić? Gdybym wiedział, że sobie łaskę zyszczę i chleba kawałek, gotowem podjąć się pośrednictwa.

Zatrzymał się nieco i dodał:

— Ja to zrobić mogę!

— Ale — rzekł znowu, wstrzymawszy chwilę — potrzeba na to dobrego słowa i dobrych pieniędzy.

Stach dumał jeszcze, gdy Juchim rzekł pocichu:

— No, co? A gdyby na początek w skarbie pieniędzy nie było? Znajdę ludzi, co pożyczą, byle im mennicę dać w dzierżawę. My księciu dobrze radzim i dobrze usłużyć chcemy.

Wahał się jeszcze Stach, gdy Mierzwa dołożył:

— Tego nikt nie zrobi, tylko ja. Poślecie innego, sprawę popsowa, albo ja, albo nikt. Ottona znam, wiem, gdzie go szukać.

— Czekajcież na mnie, przyniosę wam odpowiedź, a bądźcie pewni, że szczerze służąc, zyszczecie więcej, niż knując zdradę! — rzekł Stach wkońcu.

Żyd i Mierzwa zakrzyknęli głośno przeciwko samemu posądzeniu o zdradę, oba już tak kochali Kazimierza, że życie zań dać byli gotowi.

Z południa, zostawując konie w gospodzie, Stach wyszedł z niej i, pomyślawszy nieco, udał się wprost na dwór biskupi. Tu się teraz wszystko skupiało.

Przystęp niebardzo był łatwy: oblegano Gedkę, ale Stach powiedział kapelanowi, iż szło o bardzo ważną sprawę, która się księcia tyczyła, prosząc, aby go niezwłocznie wpuszczono, a szyję stawiąc za to, że darmo nie zabierze czasu.

Po chwili otwarto mu drzwi do komory, do której i biskup wszedł zaraz, a zobaczywszy niepoczesnego i nieznajomego człeka, zrazu się zachmurzył.

Stach dostrzegł to, pocałował go w rękę i odezwał się:

— Niech wasza przewielebność nie zważa, żem człek mały i nieznaczny; mali się też czasem na coś przydać mogą, gdy o wielkie chodzi sprawy.

— Mów a krótko, czego chcesz — odparł biskup surowo.

Stach pokrótce, ale dobitnie opowiedział, jakim sposobem zabiegi Mieszka można było zwichnąć. Powtórzył, co od Mierzwy słyszał.

Gedko słuchał z natężoną uwagą, nie kryjąc wstrętu, jaki to w nim budziło. Popatrzył na człowieka i zapytał go dopiero, kto był, dlaczego tak gorąco jął sprawy?

Stach ukląkł przed nim i ręce złożył.

— Przyjmijcie, ojcze, spowiedź moją — odpowiedział. — Wam tylko wyjawić mogę, kto jestem. Jam ten grzesznik, śmierci godzien, com pana naszego Kazimierza niegdy w zapamiętałości uderzył, ten, któremu on, przebaczywszy, darował życie. Od chwili tej żyję tylko, abym go bronił, abym mu służył, abym mu dał krew tę, której oszczędził. Wam się powierzam, ojcze.

Zdziwiony mocno biskup stał chwilę niemy, rękę zwolna położył na głowie klęczącego i pobłogosławił go.

— Mogę więc wam zawierzyć i posłużyć się wami — rzekł po namyśle. — Czyń, co sądzisz, że można i godzi się, czyń i milcz; mnie z tego będziesz zdawał sprawę.

— Kapłanem jestem — dodał, — nie godzi mi się rąk maczać w zmowę taką, gdzie się zdradą knuje.

choć gdy idzie o wybawienie państwa z więzów i niewoli, Bóg wiele przebacza. Lecz jestżeś pewien tych ludzi?

— Nie byłbym ich pewien — odparł Stach uradowany, — gdybym sam nie miał czuwać nad nimi. Nie spuszczę ich z oka i w ręku dzierżeć będę.

Nie chciał już więcej biskup wiedzieć o niczem, dopytując tylko o przeszłość Stacha, o to, co czynił, gdzie był, jak się zachował po ocaleniu życia, badał go jak na spowiedzi, próbując człowieka. Na wszystko to odpowiadał on ze szczerością i skruchą, która serce kapłana ujęła. Przyrzekł mu powierzoną zachować tajemnicę, nawzajem żądając, aby ją w stosunkach z nim zachował. Nakoniec dał mu błogosławieństwo i rzekł wychodzącemu:

— Wedle sumienia czyń, a tego, co uczynisz, nie głoś. Bóg z tobą!

Stach wyszedł uszczęśliwiony i pobiegł do swej gospody.

Zastał tu oczekujących Juchima i Mierzwę, którego blada twarz drgała z obawy i niecierpliwości, aby mu się robota niecna, jaką się chciał zasłużyć, nie wymknęła. Obstąpili go oba, z oczów chcąc wyczytać, co przynosił.

— Cóż mnie czeka? — zapytał podsędzia.

— Wybierajcie się natychmiast z posługą, do której oświadczyliście się z gotowością — rzekł Stach. — Uda się-li to, będziesz sowicie wynagrodzony. Musisz mi jednak wprzód poprzysiąc, że prawda ta między nami tajemnicą zostanie. Możecie oświadczyć Ottonowi, aby słał poselstwo lub sam przybywał, a będzie miał Poznań, byle wiarę poprzysiągł i dotrzymał...

Mierzwie twarz się uśmiechnęła.

— Jakaż pewność dla mnie? — zapytał.

— Moje słowo — rzekł Stach, — więcej nie mogę dać nic. Dobre-li ono wam, zgoda, nie — więcej nic nie dam, bo nie mogę.

Juchim z Mierzwą popatrzyli na siebie i na mówiącego. Stach miał tak rycerską, pewną siebie postawę,

iż nawet w ludziach nieufnych wiarę obudzał. Zamilkli oba — słowo jego starczyło im. Juchim ofiarował się pożyczyć pieniędzy potrzebnych, warując sobie wydzierżawienie mennicy, o które Stach mu się starać przyrzekał. Mierzwa niezwłocznie miał się w drogę wybierać i już odchodził, gdy Stachowi przyszła jeszcze myśl wyprawić go razem do panów z Tęczyna, aby Kazimierza wyzwolić od Doroty.

Znano ich jako zwolenników Mieszka, nie kwapili się więc do nowego księcia i nie pokazywali wcale. Stach chciał ich pozyskać dla niego razem i przez nich Kazimierza od niewiasty złej odstręczyć.

— Powiedz im — rzekł do Mierzwy, — niechaj śmiało przybywają pokłonić się księciu naszemu. Pan wielkiego serca na nikim mścić się nie będzie. Niech przyjdą, a sprawę swą z siostrą położą przed nim, powiedzą, jaką była życie całe, że zakałę im i srom czyniła, niech nie kryją nic, ani szczędzą nikogo. Książę sprawiedliwym jest i poszanuje w nich boleść słuszną, a niewiastę płochą, którą mu się opiekować każą, precz odegna.

Poselstwo to, na którem u bogatych ziemian coś zyskać było można, Mierzwie przypadło do serca: podjął się go ochoczo bardzo, zwłaszcza, że zjechanie do Tęczyna niewiele mu z drogi było.

Tak w krótkim czasie uczyniwszy, jak mu się zdawało, wiele, że się był przyrzekł Bogoryi, szukać go poszedł przed wieczorem do dworku Leszczyca.

W ulicach ciągle jeszcze ludno i gwarno było, weselej, niż przed laty. Śpiewami i gędźbą rozlegało się miasto, ludzie sunęli gromadami, pobrawszy się pod ręce, zawodząc pieśni. Kraków do owego milczącego i ponurego, jakim go znano za Mieszka, nie był dziś podobny. Szedł Stach zwolna, ciesząc się tą radością powszechną, gdy posłyszał syknięcie, a przed sobą ujrzał nieznajomego młodzieniaszka na koniu, za którym jechało sług kilku.

Zdziwiło go dane hasło, bo wpatrując się pilno w tego, który mu znaki dawał, aby się zbliżył, rozpoznać

nie mógł. Podszedł jednak ku niemu, wlepiając ciekawe oczy, twarzy tej pięknej przypomnieć nie umiejąc.

Młodzian, konia trochę na stronę ściągnąwszy, Stacha trochę prowadził za sobą.

— Nie poznaliście mnie? — odezwał się głos, który więcej niewiastę, niż mężczyznę wydawał. To mówiąc, młodzian się smutnie uśmiechał.

— Znamże ja was? wy mnie? — spytał Stach.

— Przypomnijcie sobie.

— Nie! — rzekł zapytany — nie mogę.

— Widzieliście mnie w Ściborzycach, choć nie w męskiej odzieży; jam, brata nie mając, często zmuszona być mężczyzną.

Zdziwiony patrzał Stach. Była to owa piękna Jagna, która, spoglądając na niego boleśnie, zbierała się na śmiech smutny.

— Naprawdę — rzekł — trudnoby się domyśleć było, że wy w ten tłum, gwar i wrzawę puścicie się samopas... ledwie z czeladzią.

Dziewczę zarumieniło się mocno.

— Dla ojca to musiałam uczynić — odparła prędko — tak, dla ojca. Ojciec miłuje wielce księcia Kazimierza, u nas różne chodziły wieści. Na strasznych nie zbywało. Nie mieliśmy kogo posłać, coby wiedział, jak pytać i rozpatrzeć się, pojechałam sama. Mówcie mi, bo wy to dobrze wiecie: pewien-li Kazimierz stolicy i panowania? Nie grozi mu tu nic? Rad-li temu, co się stało? Nie trwoży się, nie opiera? Wszystko mi mówcie.

Zarzucony pytaniami temi, Stach milczał.

— Zawiele bo naraz wiedzieć ode mnie chcecie! — zawołał.

— Wszystko to potrzebuję wiedzieć!

— Ależ nie w ulicyby o tem prawić — odparł zapytany, — w gospodzie gdzieś moglibyśmy się rozmówić.

— A! ja gospody żadnej nie mam, a podobno i znaleźć jej teraz trudno — odezwała się Jagna śmiało. — Wiecie, kto jestem, więc rozumiecie, że zajechać lada gdzie nie mogę, albo mi się tu i całkiem stać nie godzi.

Stach więc zbliżył się do konia, na którym dziewczę siedziało, i począł go, idąc uliczką, prowadzić na ustronniejsze miejsce.

— Spocząć-że wam trzeba! — odezwał się.

— O! wyjechawszy stąd, w polu odpocznę! — roześmiała się Jagna.

— Nie obawiacie się?

Dziewczę śmiechem jeszcze odpowiedziało.

— Na moim koniu trudnoby mnie kto dognał — rzekła. — Z łuku ja pewnie nie gorzej strzelam, jak wy. A wreszcie do czego mój stary, wierny Hreczyn, który mi towarzyszy?

Kazała mu potem mówić, dopominając się chciwie o wszystko, co się Kazimierza tyczyło. Stach musiał być posłusznym. Pochylona ku niemu, chwytała każde jego słowo, ale odgadnąć było trudno, czy to, co słyszała, radowało ją, czy smuciło. Czasami oddychała ciężko, marszczyło się czoło, usta ścinały, to znowu twarz rozjaśniała. Zarzucała go pytaniami. Trwało to dosyć długo, noc już zapadała. Jagna wreszcie konia, który stał z głową zwieszoną, cuglami ściągnęła, ręką zlekka uderzając Stacha po ramieniu.

— Niech Bóg płaci! — zawołała. — Wy go kochacie i chłop z was dobry.

To mówiąc, spojrzała wtył na Hreczyna, który wejrzenie zrozumiał, raz jeszcze powtórzyła: Bóg zapłać! — i kłusem wyciągniętym puściła się za miasto.

Stach, długo spoglądając za nią, stał jak wkuty; dziwną mu się wydała, ale tak miłą, jak żadna... I zadumał się, zadumał, potem ręką rzucił i szedł do dworku Leszczyca.

III.

Kazimierz w Krakowie zawsze się jeszcze za gościa uważał; mówił o tem przy każdej zręczności codziennie, zagadywał kilkakroć o wyjeździe do Sandomierza. Lękając się tego, biskup, jakeśmy mówili,

przygotowywał mu niespodziankę, która go tu przykuć miała — przybycie księżnej Heleny z synkiem.

Goworkowi książę z Krakowa odjechać pozwolił, polecając mu pieczę nad zamkiem i ziemią całą. Gdy wyjechał a pytał, coby przysłać z Sandomierza, Kazimierz nie zażądał nic, choć mu tu na wielu rzeczach, do których był przywykł, zbywało.

Jednego dnia, gdy się wybierał na łowy, z których teraz powracając, prawie zawsze dawał się wieczorami zaciągnąć do wdowy, oznajmiono mu, iż dwaj bracia Tęczyńscy przybyli do niego.

Wichfried, który o nich wiadomość przynosił, nie taił ani radości z tego, że przybywali oddać panu swemu hołd należny, ni pewnej obawy, aby na wdowę nie nastawali.

Bracia z Tęczyna, ludzie wielkich dostatków, ród Toporczyków, jeden z najstarszych w Krakowskiem i najważniejszych — wybrali się na dwór pański z okazałością, jaka im przystała. Ociągali się z tem długo, spodziewając powrotu Mieszka, ale gdy czas uchodził, niebezpieczeństwo wzrastało, a wkońcu Mierzwa przybył z zapewnieniem, że śmiało jechać mogą — stawili się na zamek.

Kazimierz jak był dla wszystkich łaskaw i dobrotliwy, ku nim też wyszedł z twarzą pogodną. Młodszego z nich znał niegdyś, bo ten z Henrykiem jeździł na łowy i wojnę. Stali dwaj rycerze we zbrojach pięknych, przy mieczach i pasach, odziani, jak do pana należało, ale z twarzami posępnemi. Po pierwszym pokłonie starszy, Dobrogost, począł:

— Przyszliśmy miłości waszej czołem uderzyć, jako panu, którego ziemia nasza sobie wybrała; będziemy wam służyli wiernie, tak jako, nie zaprzeczamy, żeśmy bratu waszemu służyli.

Kazimierz się uśmiechnął.

— Jam tu — rzekł — jeszcze nie książęciem na stolicy, ale jako rozjemca. Mam nadzieję, że się z Mieszkiem przejednają, bo zgoda potrzebna.

Na to milczeli, a Sędziwój, młodszy, dodał po chwili:

— Myśmy też do miłości waszej ze skargą i żałobą przyszli na rodzoną siostrę naszą, Dorotę Różycową, która nam srom czyni. Opieki braterskiej znać nie chce, posłuszeństwo wszelkie głowie domu wypowiedziała, a wiedzie się, na wstyd niewieści i na wszelkie Boskie i ludzkie prawa nie patrząc.

Książę słuchał zarumieniony.

— Długoby o tem prawić — dodał Dobrogost, — boć to się nie od dziś poczęło. Ojciec nieboszczyk od pieluch ją pieścił, nie chciała potem znać nikogo, oprócz woli swej własnej. Naprzód myślała wydać się za lada chłopa mizernego, który zginął. Męża zamęczyła. Z wojewodą Szczepanem w miłostki się wdała jawne, za które go biskup wyklinać chciał. Siłaby opowiadać, czego uszy pańskie słuchać nie mogą. Srom i hańba dla nas, upamiętania nie zna.

Po namyśle książę się odezwał:

— Prawda-li to wszystko, co o niej mówicie, bo ludzie są źli, a niewiasta bezbronna?

— Cała ziemia patrzyła i widziała, co poczynała Dorota; świadków jest dosyć — rzekł Dobrogost.

— Z niewiastą — odparł Kazimierz — wojna wam nie przystała, a gwałt, popełniony na siostrze rodzonej, sromu tylko przysporzy. Dajcie jej czas do upamiętania, wybierzcie dla niej męża statecznego, poślubcie ją komu; odpowiedzialność z was spadnie.

Sędziwój rzekł z pogardliwym uśmiechem, że dla Doroty męża nie znajdzie nigdzie, bo choć urodziwą jest i nie bez wiana, osławioną też i płochą.

— Jedno tylko pozostaje, miłościwy panie — rzekł śmiało Dobrogost: — zamknąć ją za kratę i posadzić, aby pokutowała; inaczej już szaleć nie przestanie.

— Na to ja, jeżeli mnie pytać będziecie, nie pozwolę — zawołał Kazimierz. — Należy się słabej niewieście czas, miłosierdzie, pobłażanie. Uczyńcie to, proszę was, abyście nie poczynali nic gwałtownie, tego po was żądam i wymagam, a ja starać się będę, aby przez poważnych ludzi i niewiasty skłonić ją do małżeństwa. Tak się wszystko zakończy i zapomni.

Bracia spoglądali po sobie, milcząc.

— Na siedzącą tu pod bokiem waszym — rzekł Dobrogost — nie porwiemy się, kiedy taka wola pańska; lecz żeby z tego miało co być, prócz nowego dla nas wstydu, zawczasu wiemy, że nie. Wy, miłościwy panie, nie możecie wiedzieć, anibyście wierzyć chcieli, jak złą i przewrotną ona jest, choć ze krwi siostra nasza. Poprawy po niej się nie spodziewać; poślubi ją kto, zdradzi go, jak innych zdradzała.

Nie dał im dłużej mówić książę.

— Rozżaleni przeciw niej jesteście — odezwał się, — słuchacie złych ludzi; gniew niedobry doradca, proszę więc, dajcie jej czas, a nam też, abyśmy los dla niej lepszy obmyśleć mogli.

Bracia z Tęczyna zachmurzeni milczeli; chciał potem Dobrogost mówić coś jeszcze, książę mu powtórzył swoje, że gwałtu czynić nie da, a sam w opiekę ją bierze.

A że rozmowa ta przykrą mu się stawała i rad był ją co prędzej zakończyć, przerwał, zagajając o sprawach ziemi krakowskiej, o zgodzie, pokoju i przejednaniu, którego się spodziewał.

Bracia obaj słuchali w milczeniu, poczem z dumą, bez wielkiej uniżoności go pożegnawszy, oddalili się, nie ponawiając już zapewnienia wierności swojej.

Kazimierz jak z przykrością słuchał, tak wielce łaskawie się pożegnał; ale gdy napowrót do komnaty swej wszedł, zadumał się mocno nad tem, co słyszał od nich.

Wichfried wnet pośpieszył za nim, nie dając z temi myślami samemu pozostać.

— Miłościwy książę — począł, — braci tych znają tu wszyscy; zazdrośni są i mienia siostry chciwi, przeto ją szkalują. Prawdy w tem, co mówią, mało, lub nic. Prześladowali ją od dziecka, sami na nią czernidła wymyślali i puszczali, aby mieć pozór do zagarnięcia tego, co ojciec jej zostawił. Niewiasta piękna, nie może być, aby się w niej nie rozmiłowywali ludzie; rada

pewnie temu, jak każda inna, ale złego tam nie tyle, co na nią rzucają.

— Bodajbym ja był jej nie znał! — przerwał mu książę z goryczą. — Sam to sobie za grzech mam, że i ja przystałem do niej do zbytku. Kajam się z tego przed sobą, winienem, ale i ty nie bez grzechu, Wichfriedzie, boś mnie do niej ciągnął.

Rzekł i zamilkł, a Wichfried rozmowy nie przedłużał.

Tegoż wieczora, gdy się najmniej spodziewano, przybył z miasta Jaksa, oznajmiając księciu, iż ludzie z Mogiły jadący, opowiadali o księżnie Helenie, która z synem i dworem do Krakowa ciągnęła.

Wiadomość ta mocno poruszyła Kazimierza; okazał nietylko zdziwienie, ale frasunek i niecierpliwość z powodu, że rozkazów jego nie czekając, księżna sama tak pośpiesznie się i nierozważnie z Sandomierza wybrała. Nie było już sposobu zaradzić na to, a gdy inni na spotkanie księżnej jechać się wybierali, musiał też i Kazimierz na koń siąść i posępny jechał przeciw żonie.

Goworek, na kilkanaście staj wyprzedzający ją, opowiedział księciu, iż z tęsknoty i niepokoju o męża dłużej wytrwać nie mogła, a za to raczej dziękować, niż gniewać się przystało. Przywitał Kazimierz żonę, jak zawsze ze czcią wielką, synaczka, którego kochał bardzo, na koń do siebie wziął, i tak cały orszak zatoczył się na Wawel, gdzie go też biskup Gedko witał.

Z księżną razem, wszystko, co do jej ruskiego i polskiego dworu należało, przyciągnęło: niewiasty na wozach, skrzynie malowane i złocone, sprzęty, konie, aż do zabawek dziecięcych, czeladź, stróże, tak, że zamek sandomierski prawie pustką pozostać musiał. Komnaty dotąd niezajęte, wnet wszystkie czyścić, umiatać, zaścielać i zastawiać poczęli ludzie; księżna Helena zajęła izby po matce Leszkowej. Niewiele wesela jednak przybyło z tą panią, która z usposobienia smętną była, troszczącą się do zbytku i lękliwą.

Kazimierzowi najmilszym był chłopak jego, które-

go na kolana mógł wziąć, wyściskać i sercu dać pociechę.

Wieczorem dnia tego Wichfried pobiegł do wdowy, aby jej zdać sprawę o posłuchaniu braci, a siebie też przypomnieć, bo choć księcia do niej prowadził, sam też o łaski pilno się starał. Niewiasta była takiego czaru i mocy niepoczciwej, że się do niej nikt zbliżyć nie mógł i być obojętnym, gdy się nań naposiadła. Z dwojga jedno: rozpadali się za nią jedni, nienawidzili drudzy.

Wichfried zastał ją samą, poruszoną gniewem wielkim, z włosami rozpuszczonemi, mało co przyodzianą, szalejącą tak, że mu wchodzącemu słowa rzec nie dała. Przypadła doń, łamiąc ręce.

— Zmówili się wszyscy na mnie nieszczęśliwą — poczęła wyrzekać gwałtownie. — Wiem już wszystko; nieprzyjaciele moi księżnę tu sprowadzili, aby on za próg się nie mógł oddalić. Albo jej to źle było w Sandomierzu? Poco ona tu? Nabechtano braci, aby przybyli ze skargami i potwarzą... Chcą mnie zgubić!

Wichfried, dawszy się jej wygniewać, począł dopiero opowiadać, jaką Kazimierz braciom dał odprawę, że im zabronił, aby się na nią porywać nie śmieli.

— Co do księżnej pani — dodał — potrzeba jej tu było, aby Kazimierz nam do Sandomierza nie uciekł. Z nią tak samo, jak bez niej, bo władzy nad mężem nie ma, a jako jej nie kochał, tak i kochać nie będzie.

Trochę się tedy uspokoiła, pytając Wichfrieda, czy był przytomny, gdy ją przed księciem bracia zbezcześcili.

— Byłem przy panu — odparł Niemiec.

— Cóż potem? Nie powziął do mnie wstrętu? — badała ciekawie.

Śmiał się Wichfried.

— Wstrętu do was mieć trudno, a że strach ma, abyście go nie spętali, o tem dawniej i teraz mówi.

— Moim musi być! — dodała gwałtownie, oczy sobie zasłaniając.

Wprędce jednak zmieniła usposobienie, widząc, że

Niemiec posmutniał, wzięła się do niego, okazując przyjaźń wielką i zaręczając, że najmilszym jej jest po księciu. Łacno go znów ujęła, nie szczędząc ani słów, ani wejrzeń, ani przymilań, co przy pomocy wina upoiło Niemca tak dobrze, iż jej na wierną przyjaźń i posługę, palce złożywszy, poprzysięgał. Sam już nie wiedział, co się z nim działo. Domagał się pocałunku, a gdy od niego mocniej jeszcze rozgorzał, wdowa go ze śmiechem za drzwi wypchnęła. Niewolnikiem jej już był.

Gdy wdowa rozmyślała o środkach, jakiemiby księcia mogła uwikłać, bodaj czarów i napojów używając do tego, o które się starać miała — Stach równie gorliwie pracował, by się pozbyć niebezpiecznej zwodnicy. Zaledwie bracia z Tęczyna ze dworu zjechali, pobiegł dostać języka o nich.

Sam jednak przystępu do nich nie mając, Jaśka Bogoryję na to nasadził.

Gościło w Krakowie wiele rodzin spokrewnionych z Toporczykami, które się z nimi spotkały, gdy na zamek jechali i powracali z posłuchania. Znano ich jako prawie tu jedynych sprzyjających Mieszkowi. Obawiano się, aby mu do jakich knowań nie pomagali; uradowało się więc ziemiaństwo, widząc ich z pokorą na Wawel jadących; ale gdy z niego nazad wracali a w mieście się zatrzymali, gdzie ich krewni i powinowaci obstąpili, postrzeżono, iż chmurne twarze przynieśli.

Ten i ów rad był ich wyrozumieć, co o Kazimierzu trzymali; nie wydawali się z tem, żaląc tylko gorzko, iż siostry na ich wolę zdać nie chciał.

— Mieszko srogim był — dodał Dobrogost, — ale wiedział, gdzie i jak srogości zażyć; nie przebaczyłby i niewieście, ład i postrach byłby wprowadził, a tego nam potrzeba.

Nie mówili więcej, ale widać było, iż urazę mieli do księcia i do niego się nie skłonili. Ziemianom nie dając się wciągnąć w ucztowanie żadne, na dwór biskupi nie zjechawszy, krótko zatrzymawszy się w mieście, poszeptali z tymi, których jako Mieszkowych znano i na konie posiadali zpowrotem do Tęczyna. Stach,

dowiedziawszy się o tem, pomyślał, że ich z oczu puszczać nie było można, bo pewni nie byli. Na dworze też usiłował wybadać, jak książę przyjął to, co mu bracia mówili o siostrze, i wypytał, że Wichfried nie dał pono wdowie krzywdy w sercu pańskiem uczynić, ujmując się za nią. Szło mu o powagę pańską, której miłostki te ujmę czyniły, ale więcej już na teraz radzić nie umiał.

Sam on w tej chwili, o książęcia serce się troszcząc, popadł pono w to, od czego chciał go ochronić. Piękna Jagna już po Ściborzycach na myśli mu stała ciągle; teraz powtórne z nią widzienie i rozmowa jeszcze go bardziej do niej pociągnęły. Chodziła za nim jak widmo, niepokojąc oczyma, które ciągle widział przed sobą.

— Licho nadało — mówił do siebie, — abym ja teraz, gdy młodość moja za mną już, gdy mi życia nie staje na wszystko, co do roboty mam, jeszcze sobie serce psował dla jednej dziewuchy, która na mnie i patrzeć nie chce! Plunąć na marę!

Chciał plunąć, ale zapomnieć mary tej nie mógł. Dziewczę dumne, śmiałe, piękne stało mu na myśli. Wiedział, że próżnoby się tam kusił, gdzie lepszym od niego odprawę dano; lecz sercu i namiętności rozkazać trudno.

Stach się tem pocieszał, że Jagny nie ujrzy rychło, a jak to już nieraz bywało, czas i ważniejsze sprawy pamięć o niej przysypią.

Tak stały rzeczy, gdy późnym już jakoś latem, po długiej ciszy i pozornym spokoju, przerywanym tylko doniesieniami o jakichś przygotowaniach do zagarnięcia Gniezna i Poznania (któremu Kazimierz wcale się opierać nie myślał), jednego rana biskup Gedko z twarzą bardzo wesołą przybył na zamek.

Kazimierz, którego zabawiano, a dotąd nie umiano do spokoju i wesołości usposobić, wyszedł doń stroskany i blady, jak zwykle.

Gedko naprzód wydać musiał rozkazy, gdyż zaledwie weszli do wielkiej posłuchalnej sali, tuż za nimi

wtoczyło się do niej dużo urzędników i ziemian, stary Mazur Żyra, pokrewny biskupa, Jaksa, Goworek, Lis i co było przedniejszych na zamku obecnych.

Widać było, iż biskup rozpromieniony niósł dobrą nowinę.

Po przywitaniu i błogosławieństwie zwrócił się zaraz do księcia:

— Czas wielki, miłościwy panie, abyś się tu panem poczuł i uznał.

Otworzył usta Kazimierz; Gedko mówić mu nie dał.

— Szanują wszyscy — mówił — obawy serca waszego dobrotliwego, braterskiego i synowskiego, ale czas, czas nad krajem mieć zlitowanie a panować! Żałujecie Mieszka, który najmniejszej nie wart jest litości; nie upokarza się, nie prosi, ale knowa i zmowy czyni; Pomorzan, Czechów, Niemców na nas chce prowadzić, dowody na to mamy. Bóg łaskaw nie dopuści, a oto własny syn jego, tyranją ojca przywiedziony do ostatka, przeciwko niemu powstał. Najlepszy dowód, że takim ojcem jest, jakim był nam panem. Oto starszy syn Mieszków opanował Poznań i Gniezno. Ziemianie tam tak nie chcą ojca, jak go tu nie chcieli, jak go nigdzie niecierpią. Otto chce sam przybyć tu i uznać cię za swego zwierchniego pana!

Ziemianie wydali okrzyk radosny, Kazimierz stał jakby zawstydzony, blady, pomieszany, patrząc w ziemię.

— Miłościwy książę, synu mój — zawołał Gedko z gorącością i przejęciem, z namaszczeniem kapłańskiem, — a bądźże nam panem! A weźmijże tę władzę, którą ci sam Bóg w ręce daje! Sumienie twe rozgrzeszam!

Chwilę trwało milczenie, po którem zwolna Kazimierz czoło wyjaśnione podniósł do góry, zwrócił się zarazem do biskupa i ziemian, powolnym głosem przemawiając:

— Stań się wola Twoja, Panie! Chcieliście wy, ojcowie duchowni a pasterze, żądali ziemianie, Bóg wolę swą oświadcza przez wypadki; nie żądałem pano-

wania, aliści go odtrącić nie mogę. Tak jest, panować chcę i będę, lecz — tu zwrócił się do ziemian z błagalnym wyrazem, — dajcie mi wy, i ty, ojcze duchowny, i wszyscy, rządzić wedle serca mojego i sumienia, dajcie mi czynić dobro i zasiać ziarno sprawiedliwości. Nie chcę zdobywać krajów, ani ziem przywłaszczać, ale zmnożyć chwałę Bożą i krzewić królestwo Jego na ziemi.

Lekki szmer mu przerwał. Kazimierz jakby natchniony, silniejszym się wolą własną, niż kiedy okazując, z postawą majestatyczną, ciągnął dalej podniesionym głosem, z mocą, jakiej w nim nie znano. Czuł się silnym, jakby z niebios czerpał potęgę.

— Z tym tylko warunkiem panować mogę, abym sprawiedliwym mógł być... dla wszystkich. Kościołowi posłuszeństwo i cześć, ziemianom ich prawa i dostojeństwo, ale biednemu ludowi bezpieczeństwo żywota i mienia chcę mieć zapewnione. Tak — gwałty, rozboje, grabieże czynią u nas życie nieznośnem; niema tego nigdzie indziej po świecie, co u nas. Kmieć nie jest pewien tego, co ma, ani osoby swej; słudzy książęcy i ziemian pędzą go z pola do przewodu, spasają mu zboże, rozwalają stogi, nękają bezbronnego. Temu położę koniec. Położę koniec samowoli, napadaniu na majątki duchownych po śmierci tych, co je trzymali, wszystkim zwyczajom złym tego państwa, które się w niem wkorzeniły.

Wy, ojcze duchowny, wy, ziemianie moi, dopomóżcie! Ja, jako książę, zrzeknę się za siebie i następców praw starych ucisku nad ludem — niech się zrzekną i inni, niech zapanuje u nas chrześcijańskie miłości prawo, braterstwo Ewangelji! Chcecie, abym panował, dajcie mi to uczynić, albo — niech rozkazuje inny!

Biskup powstał, podnosząc ręce do góry i wołając wielkim głosem:

— Witaj nam, gospodynie, panuj! Niech się dzieje pobożna wola twoja. Amen! amen!

Nikt nie śmiał narazie szemrać przeciw stanowczo

objawionej woli pańskiej, choć nie wszystkim ona zbyt była miłą.

Rozpierzchli się zaraz z zamku wszyscy, niosąc na miasto wiadomość o tem, co książę zapowiedział. Biskup na następny dzień zaraz przybycie Ottona oznajmił.

Tegoż wieczora Stach był dopuszczony do Gedki; wszystko szło po myśli; chciał mieć dalsze skazówki i rozkazy. Biskup, który wiedział, iż sprawę Ottonową jemu zawdzięczał, milcząc, w głowę go pocałował.

— Bóg niech ci błogosławi — rzekł, — uczyniłeś wiele, nie szukając z tego sławy, ani nagrody. Mówię ci, uczyniłeś wiele, ale jeśli sądzisz, żeś wszystko uczynił, mylisz się. Kto zna Mieszka, ten wie, że go nie zmoże nawet cios z synowskiej ręki, ni żaden inny. Zamilczy on, przypadnie, a póki żyw, my go z oka spuścić ni usypiać spokojnie nie możemy.

— Słusznaby była rzecz — odezwał się Stach, — aby przy nim mieć kogoś zawsze, coby czuwał i ostrzegał. Ten sam Mierzwa, który Wielkopolan i Ottona poruszył i zagrzał, ulubiony dawien Kietliczowi, do niegoby mógł wrócić i pozostać na czatach.

Biskup się zamyślił.

— Zdrajcami się posługiwać — rzekł, — którzy wkońcu i nas zdradzić mogą, twarda to i smutna konieczność; ale gdy czystego człeka ku temu użyć nie można, co czynić? Wprawdzie posłużył nam ów niegodziwiec, a no, gdy korzyść większą indziej mieć będzie na widoku, patrzaj, że i nas sprzeda!

— Strzec go będziemy — rzekł Stach. — Wiecie, ojcze mój, żem ja na to życie poświęcił, abym winę moją zmazał, a dług spłacił; gdzie więc nikt nie pojedzie, ja muszę.

Po tej rozmowie wieczornej wrócił Stach na swą gospodę do Juchima z tem, aby Mierzwę nakłonić, by się na dwór Mieszka udał, a z oka go nie spuszczał.

Mierzwa myślał się z tem drożyć, choć w istocie bardzo mu to było na rękę. Całe jego postępowanie było jednem pasmem fałszu. Wprawdzie wyprawiony

przez Stacha, siedział ukryty gdzieś w kącie, ale jako żywo ani Ottona widział, ani z Wielkopolany się kumał. Przebiegły człek wiedział zawczasu, co się święciło i to, co się stać miało, skradł na swój rachunek. Zapłacono mu dobrze za to, czego robić ani mógł, ani myślał.

Gdy Stach zażądał od niego, aby do Mieszka jechał na służbę, udał skłopotanego, choć większe szczęście spotkać go nie mogło.

— A! — rzekł, — gdy mnie tam o zdradę posądzą a schwycą poszlaki, wisieć będę.

— Na to rozum macie i przebiegłość — odparł Stach, — abyście się poszlakować nie dali.

Jeszcze się trochę podrożywszy, powzdychawszy, brody natarłszy, wreszcie Mierzwa odezwał się:

— Pod te czasy człek biedny co robić ma? Musi się żywić, gdzie mu ziarno posypią, byle z głodu nie zdechł! Tu i tak krzywo na mnie patrzą! Muszę służyć, gdy każecie!

Juchim, który za pośrednictwem Stacha pozyskał dzierżawę mennicy, zdawał się także pozyskanym dla Kazimierza, Stach jednak nie łudził się ich oświadczeniami, obiecując sobie pilne na nich mieć oko.

On sam, ażeby bliżej był dworu i pana, którego straży się poświęcił, przez biskupa polecony Goworkowi, otrzymał skromną posadę na zamku. Gedko ręczył za niezłomną wiarę i poczciwość mniemanego Zabora z Przegaju, zlecono mu więc pilność około skarbca pańskiego, przydawszy w pomoc staremu podskarbiemu Rajcowi, przybyłemu z Sandomierza. Człek już bardzo podżyły, osłabły, powolny, rad był z młodszego pomocnika, któremu, jako z ramienia biskupa przydanemu, mógł zaufać zupełnie. Stosunki bliższe, bezpośrednie z księciem uniknione zostały, gdyż te Rajec przyjmował na siebie; troska tylko, pilność, rachuba zeszły na ręce nowego urzędnika. Nie było zaś to zajęcie, oprócz dni wyjątkowych, tak nieustanne, aby go do miejsca przykuwało dzień cały. Stach miał czas między ludźmi się kręcić, słuchać, patrzeć, czuwać, czasem na parę

dni uwolnić od kluczów, a to, co mu na sercu leżało, spełnić.

Kiedy niekiedy zetknąć się musiał z księciem, ale Kazimierz ani go poznawać, ani się nań uważać nie zdawał. Stach też umiał z oczów schodzić i stać niepokaźnym.

Na dworze znalazło się trochę różnych dawnych znajomości Zabora, pozawiązywały nowe a potrzebne.

Na tem już stanowisku zastało Stacha przybycie do Krakowa Ottona, syna Mieszkowego. Przyjęto go tu wdzięcznie, bo przynosił uznanie zwierzchnictwa Kazimierzowego i przyrzeczenie wierności a posłuszeństwa; chociaż syn ten, co przeciwko ojcu własnemu choć srogiemu, powstawał, nikomu do serca nie przypadł.

Otto też, najstarszy syn Mieszka, był człekiem ponurym, milczącym, patrzał dziko, głowę trzymał jak wrosłą w ramiona, a pomimo pokory i uniżoności, dla wszystkich stał się odrażającym. Sam on czuł pewnie, jak nań ludzie patrzeć i co o nim myśleć musieli, bo zdawał się sromać, nikomu śmiało w oczy zajrzeć nie umiejąc. Mowę miał zająkliwą i niewyraźną, obejście dumne razem, bojaźliwe i wahające. Każdy szept i ciche słowo go straszyło, jakby się lękał tego, co o nim mówiono. Razem wzięta jednak postać ta miała pewien wyraz siły dzikiej, ledwie ogładą pewną w szrankach wstrzymywanej.

Biskup sam przywiódł go na zamek, gdzie, przed Kazimierzem pokląkłszy, hołd mu złożył, a ten dobrotliwie go podniósł i ucałował. Nie spodział się pewnie Otto tego, co tu miał usłyszeć, bo książę, przyjąwszy go razem z ziemią w opiekę i wyłączywszy z niej tylko Gniezno (za radą biskupa), rzekł mu przy pierwszem spotkaniu:

— Sprawże to, miły Ottonie, jak najrychlej, abyś, otrzymawszy, czegoś chciał i co prawem starszeństwa na was było spadło — pojednał się z ojcem i uczynił z nim zgodę.

Otto chciał wybuchnąć z tłumaczeniem, iż zawsze

był przez rodzica krzywdzony, uciskany, a młodsze dzieci przed nim miały pierwszeństwo, lecz z podziwienia i niecierpliwości zająknąwszy się, splątał i ledwie coś niezrozumiałego zamruczał.

— Wolą wszystkich ziemian i duchownych — mówił mu Kazimierz — wyniesiony jestem na tę stolicę, której nie pragnąłem, przeto jednak ojcu twemu bratem być nie przestałem, życzę jemu i wam dobrze i da Bóg, dowiodę tego.

Biskup Gedko, słuchając, zmarszczył się trochę i nierad był obietnicy, lecz nie rzekł nic, gdyż Kazimierz, mimo posłuszeństwa duchownej władzy, gdy szło o to, co mu sumienie dyktowało, złamać się ani przekonać nie dawał.

Wkrótce po hołdzie Ottonowym książę zapragnął zmiany praw starych, jaką zapowiedział przywieść do skutku, a że się bez narady z biskupami nic wówczas stać nie mogło, zażądał zjazdu ich dla ogłoszenia nowego postanowienia.

Biskup Gedko obiecał przysposabiać zjazd i miał się naradzać z pasterzami.

Wiedział już, że Kazimierz myśli swej nie zaniechał, że do zakonu, jaki ogłosić miał, całem sercem przylgnął, bo nieustannie mówił o nim i powtarzał:

— Gdy to spełnię, niech Bóg odpuści sługę swego, jeżeli wola; więcej nie pragnę!

IV.

Znaczny przeciąg czasu upłynął od opisanych wypadków, lecz w położeniu osób nam znanych mało co się napozór zmieniło.

Na zamku, przy skarbcu na górce, w izdebce, skąd rozkładał się piękny widok na szeroką okolicę dokoła, mieszkał ten, którego zwano Zaborem z Przegaju. Siedział tu tak cicho, tak zakryty, iż mało go widać, mniej jeszcze o nim słychać było. U starego Rajca, który coraz cięższym się stawał, pozyskał sobie nieo-

graniczone zaufanie. Najczęściej też sam z kluczami chodził, przy sobie sobole, kuny, lisy i gronostaje przewietrzać i trzepać kazał, sukna i bławaty opatrywać, aby ich mól i wilgoć nie uszkodziły, srebra czyścić ze rdzy, która na nich osiadała. Pod jego okiem spisywało się co droższego, a co pospolitszego na karbach znaczyło.

Do pisania naówczas ludzi nie było wielu, a i ci ważniejszemi sprawami się zajmowali, w śpichrzach więc i skarbach odwiecznym zwyczajem na drążkach drewnianych narzynano znaki, ile czego naliczono. Karby te podwójne były, aby dozorca i podskarbi miał każdy swoje i przyłożyć je mógł dla sprawdzenia do siebie.

Stała ich cała więź w izbie Stacha, który zresztą w sklepionem swem szczupłem mieszkaniu, do którego wschodki kamienne wąskie i ciemne prowadziły, niewytwornie był zagospodarowany. Stał w niem tapczan z ladajaką pościółką i okryciem, stół na krzyżowych nogach, ławy w oknach we wgłębieniach grubego muru. Kilka półek, wpuszczonych w ściany, służyły do pomieszczenia rzeczy drobnych, a prócz dzbana do wody, kubka, ręczników i trochę broni, nic tam nie zwracało oka. Ciemna komórka obok resztę mienia zamykała.

Stach mało kogo tu przyjmował, a sam też był, jak gościem, bo albo w skarbcu porządek czynił, albo na dół zszedłszy do dworu, z ludźmi się rozgadywał, lub na miasto zbiegał często, i tam mając do czynienia.

Było mu tu szczęśliwie i dobrze jak mało komu, bo zazdrości nie obudzał. Roboty miał dużo, kłopotu niemało, płacę lichą, wygód niewiele, a nie dobijał się o nic więcej, o łaski niczyje u góry nie starał, w dole z wszystkimi żył dobrze.

Lubiono go powszechnie, choć niektórzy znajdowali, że mruk był nadto w sobie zamknięty i serca otworzonego nie miał. Komu mógł, robił dobrze, a do skarg powodu nie dawał; wiedziano, że u biskupa był w łaskach szczególnych, i to mu poszanowanie jednało.

Podejrzliwi posądzili go, że on coś wie i coś robi; że oprócz swych obowiązków jawnych ma inne na głowie, ale nikt odgadnąć nie umiał, co to być mogło.

— Kat go wie! — powtarzano. — Mruk!

Mało znaczny i mało znaczący człeczek ten w istocie wiele na sobie nosił, wiedział wszystko, do wielu spraw należał, a z tem się nie wydawał.

Szło mu dotąd po myśli oprócz jednego. Pracował nad tem, by Kazimierza od wdowy odstręczyć, albo ją stąd wysadzić, a tego dokazać nie mógł.

Dorota mieszkała we dworze swym, który teraz wytwornie był przybrany, bo nie jedną oponę i naczynie ze skarbca pańskiego tam dano, jednała sobie coraz więcej przyjaciół, a choć na nią wygadywano i do zamku o tem wieści trafiały, choć książę czasem długo od niej stronił, zawsze go umiała na nowo ku sobie pociągnąć. Nie potrzebowała do tego nawet Wichfrieda, choć ten jej zawsze wiernie służył.

Kazimierz, niekiedy przelękły i zrażony, zarzekał się, że noga jego w tym dworze nie postanie, wytrzymywał czas jakiś, potem, jakby zatęskniwszy, zboczył z drogi, zajechał wieczorem, zasiedział się pod noc, nie zważając, że ludzie widzieli konie u wrót i dawał się wziąć znowu. Prawda, że go tam zabawiać i przyjąć umiano.

Wdowa, choć pierwsza jej młodość już była przekwitła, wdzięki swe utrzymała w świeżości, a popisać się niemi potrafiła zręcznie; mówiła, śpiewała, poszła w pląsy chętnie, rozochocała, upajała. A gdy sama nie mogła księcia rozbawić, miała w pomoc chorowody dziewcząt, które powyuczała pieśni, skoków, swawoli i im często występować kazała.

Mówiono, że stara Czechna, znana miastu wiedźma krakowska, do której wszystkie baby chodziły po radę w chorobach, w dolegliwościach wszelkich, w sprawach miłosnych i potrzebach tajnych, wieczorem często się u wdowy zjawiała, przynosiła jej zioła jakieś, poddawała bańki różne, szeptała, radziła i znaczne dary od niej wyciągała. Utrzymywali nawet niektórzy, iż nie-

dorzeczna miłość księcia dla tej niewiasty niczem innem teraz podsycaną nie była, jak napojami czarownemi.

Dla Doroty książę zapomniał był nawet o Ściborzance.

Zrazu Jagna znosiła to jako konieczność położenia, wkońcu ją to zabolało. Wytrwać nie mogła. Czatowała na polującego w lasach sąsiednich Kazimierza i pochwyciła go raz, gdy sam jeden z Wichfriedem odpoczywał.

Niemiec, który świadkiem był tego spotkania, opowiadał o niem zaufanym, że nigdy Kazimierza tak poruszonym, upokorzonym i zrozpaczonym nie widział, jak wówczas. Widok Jagny przypominał mu lata szczęśliwe, chwile rozkoszne, spędzone w zacisznym gaju, a gdy mu dziewczę z płaczem padło na szyję, przytomność prawie utracił. Wkrótce jednak ów czar Doroty, który w sobie nosił, przemógł, podziałał nań, począł mówić a błagać, iż powinni się byli rozstać na zawsze dla dobra obojga, że jemu nie przystało losu jej zawiązywać, gdy dać go nie mógł.

Jagna słuchała osłupiona.

Wichfried zdala już potem dosłyszał tylko rozmowę, a raczej wyrzuty gorące, groźby krwawe, miotanie się i krzyki rozpaczy — a wreszcie ucichło wszystko. Kazimierz mówił, dziewczę płakało, gniewnie, niecierpliwie błagało — napróżno. Aż zerwała się Ściborzanka, jak zwierz raniony, z krzykiem biegnąc do swojego konia. Książę popędził za nią, nawołując i prosząc, ale nie spojrzała nań już, siadła na karego i uciekła w las.

Wichfried niełatwo potem mógł księcia rozpaczającego ukołysać, chciał go zaraz do Ściborzyc posyłać, odłożył do drugiego dnia, a gdy Niemiec z poselstwem przybył, Jagna z nim mówić nie chciała.

Powrócił z niczem.

Wkrótce potem doszła wieść do Krakowa, że stary Ścibor zmarł; w dni parę Hreczyn przyjechał, szukając Stacha, i ledwie go znalazł w mieście. Jagna żądała, aby do niej przybywał. Uwolniwszy się na dni kil-

ka, pojechał Stach do sieroty, i zdziwiony, że ona go mieć chciała i szczęśliwy jakąś nadzieją, której sam nie dowierzał.

Po pogrzebie już było, gdy przyjechał. Zastał Jagnę, siedzącą na wałach, łokcie na kolanach, twarz na dłoniach — bladą, zmienioną, straszną, ledwie żywą.

Patrzała nań długo, długo, nim sobie przypomniała.

Wstała potem, a Stach się uląkł, widząc ją tak wychudłą, osłabłą, że z niej cień tylko pozostał. Prowadziła go za sobą do dworu, do tej samej izby, w której stary Ścibor legiwał i umarł. Posłanie jeszcze leżało, jak było.

— Samam się została — rzekła, — tęsknica mnie dusi, żyć tak nie mogę! Ojciec ciebie znał — i kochał.

Pomilczała trochę.

— Chcesz ty mnie wziąć? — Podała mu rękę schudzoną i zimną.

Stach, który zdawna w sercu ją miał, a teraz dla wielkiej litości, jaką wzbudzała, czuł się jeszcze więcej rozmiłowanym, nie umiał odpowiedzieć. Myślał, jak swój ślub pogodzić z inną dolą. Przyznać się jej nie chciał, kto był, co go wiązało.

— A! nie może to być — rzekł, — boby dla mnie szczęścia było zawiele. Ojciec wasz mnie znał, ale wy — nie znacie!

— Może i ja znam! — odezwało się dziewczę. — Ot, weź mnie!

Powiedziała to zimno, ale z uporem jakimś.

— Weź mnie, chcesz, otom twoja.

— Musiałbym wówczas Kraków porzucić, siąść tu i gospodarzyć wam, a ja tego uczynić nie mogę.

— Ja to wiem — rzekła Jagna, — ale ja chcę z wami być w Krakowie.

Stach aż wstrząsł się cały, ale stał niepewny, ona dodała:

— Żony wy ze mnie dobrej mieć nie będziecie, albo tak, jak żadną. Jam się już nikomu na nic nie zdała. A i toście wiedzieć powinni, że wianka wam nie przyniosę, bom wdowa.

Chciał Stach pytać, znów mu nie dała mówić.

— Co tam macie wiedzieć, kto był mężem! Ślubu ja z nim nie brałam, ksiądz po teraźniejszemu nie błogosławił. Ot tak daliśmy sobie serca i ręce — i żyli i przeżyli wszystko.

Łkanie jej mowę przerywało, ból się sączył z każdego wyrazu.

— Teraz ja tu siedzieć nie mogę; chcę do Krakowa z wami.

Stach, nie mogąc się oprzeć, ujął ją za rękę i pocałował; dała mu ją, ale obojętnie, bez czucia.

— Jam stara, jam zwiędła — mówiła cicho. — Kochać mnie i żyć tam ze mną wy nie potrzebujecie. Ja tego też nie chcę, ale wy się nazywać będziecie mężem moim, ja waszą żoną. Zechcecie, to niech ksiądz pobłogosławi, a nie — to nie. I tak z sobą ludzie żyją, dawszy słowo. Jak ja umrę, przekażę, zabierzcie sobie Ściborzyce i wszystko mienie po mnie... Dobrze?

Stach nie umiał odpowiadać, żal mu serce ściskał, po rękach ją całował, ona mu je wyrywała.

— Ja wam, wy mnie przeszkadzać nie będziecie! Mnie samej dziewce w mieście żyć nie godzi się, a ja tam muszę być, ja tam muszę być!

Nastąpiła zgoda milcząca, umowa osobliwa; wyprawiła go do Krakowa przodem, mówiąc, że doń przyjedzie. Jakiś czas czekał na ną Stach w swej izdebce nad skarbcem, aż dnia jednego dała mu znać, że przybyła.

Miała już swój dwór niedaleko od miasta, koło niego kręciło się dosyć ludzi, koni i wozów ze sprzętami.

W pustej jeszcze izbie zastał Jagnę siedzącą, z twarzą od podróży rozpłomienioną, dyszącą ze znużenia, a jak grób smutną. Stary Hreczyn niemy, zmęczony kręcił się koło tego poczynającego gospodarstwa. Widać było dostatek w tem, co wyładowywano, ale ona ani spojrzała na nic, jakby ją wcale nie obchodziło, co miała.

Zobaczywszy nadchodzącego Stacha, zwróciła się

ku niemu i przywitała go skinieniem głowy, podali sobie ręce. Jagna zawołała Hreczyna.

— Patrz, stary — rzekła, wskazując przybyłego, — to jest mąż mój, twój pan, należy mu posłuszeństwo.

To powiedziawszy, zwróciła się znowu ku oknu. Stach się nie odzywał, nie śmiał przeczyć, a dziwne mu było to jakieś wesele przy jednym świadku, bezobrzędnie odbyte.

Jagna zadumana wskazała mu miejsce na ławie.

— Ty masz we dworze służbę — rzekła, — ja to wiem; musisz ją pełnić. Siedź sobie, gdzie zechcesz, przychodź, gdy ci się podoba. Musu w tem niema. Znajdziesz u mnie dach i wszystko, co ci trzeba, służbę i dostatek, i moją smutną twarz, na którą patrzeć niemiło. A no, nie potrzebujesz się nią truć, mnie aby jakakolwiek opieka.

Stach nie sprzeciwiał się w niczem, zdała mu się chorą i biedną, z którą obchodzić się musiał, jak z dzieckiem. Po chwili kazała przynieść jadło i napój, zastawić stół dla niego, a sama poczęła usługiwać mu. Stach siąść musiał i pożywać. Gdy misy zabrano, siedli znowu na ławie.

— Ty jesteś przy księciu? u skarbca? nieprawda? — odezwała się. — Widujesz pana; co się z nim dzieje?

— Mało ja go widzę — odparł Stach, — chyba zdala, ale słyszę o nim i wiem, jak jest.

— Ojciec go kochał — dodała, rumieniąc się trochę, — ja także dobrze mu życzę. Mów, co tam z nim?

Stach począł opowiadanie o Kazimierzu, jako się troszczył swem panowaniem, nowe zakony chciał wprowadzić, ludziom ulżyć, sprawiedliwość mieć wszędzie; mówił o zabiegach Mieszka, o Ottonie, o biskupiej straży nad księciem, miłości ludzi dla niego i t. p.

Słuchała Jagna w milczeniu, spytała o żonę i dziecię, jak był dla niej i z niemi. Nie taił Stach tego, o czem wiedzieli wszyscy, że książę żonę szanował, ale wielkiego serca do niej nie miał.

— A komuż serce dał? — zapytała i spojrzała mu w oczy bystro.

— Nie mogę ja wiedzieć o tem — odparł Stach, — co się z sercem jego dzieje. Nie tajno nikomu, że książę dawniej miłośnicę miał, do której z Sandomierza często w lasy zbiegał i po dni kilka u niej przebywał. Tę podobno opuścił, a teraz mu źli ludzie gorszą jeszcze niewiastę naraili, która go czarami przy sobie trzyma. Palcami ją tu wytykają, bo wieczorami mało nie codzień jest u wdowy Doroty.

— O, tak — gorąco przerwała Jagna, — nie czem innem, tylko czarami a napojem go sobie zyskała. Inaczej nie mogłoby to być, aby taki człowiek, jak on, do takiej baby mógł się przywiązać!

Stach rad był, że się z nim godziła w tem i zabierał się mówić o Dorocie dłużej, gdy dziewczę mu przerwało.

— Ludzie, co pana kochają, powinni o tem myśleć, aby go od niej oderwali. Życie mu wyssie ta zbytnica!

Rozmawiali tak długo; Stach do wieczora późnego przesiedział z nią, opowiadając o dworze i księciu; gdy ciemnieć poczęło, Jagna go do zamku odprawiła. Posłuszny jej, poszedł do swojej izdebki.

Tak poczęło się osobliwe życie, które Stachowi, spokojnemu dotąd, niepokoju tylko i troski przyczyniało. Przywiązywał się codzień więcej do biednej dziewczyny, która, dobrą dlań będąc, chłodną zarazem i obojętną była. Najczęściej, gdy przybywał, poczynała wypytywać o pana i tak czas schodził na urywanej rozmowie o cudzych sprawach.

Gdy tylko czas miał, Stach nawykł ciągnąć do dworku tej mniemanej żony swej, która dlań była raczej siostrą, przyjacielem, niż małżonką. Nie zmieniło się nic od dnia pierwszego; gdy on się zbliżyć do niej próbował, zbywała go jeszcze większym chłodem, namarszczyła się, powtarzała mu, że starą była, do nikogo się już przywiązać nie mogła, bo nieboszczyka, z którym żyła szczęśliwą, dotąd w sercu nosiła. Stach, choć go tu słuchali wszyscy i szanowali jak pana, praw

swych nie używał, był jak obcym, nie rozkazywał nigdy, nie potrzebował nic, a gdy Hreczyn się napraszał z przywiezioną zbroją, odzieżą, sprzętami, zbywał go tem, że mu to się na nic nie zdało.

Jagna też wciąż obdarzać go chciała, Stach z trochą dumy i od niej przyjmować nic nie chciał.

— Wszak ci ja tu mężem jestem tylko dla oka — mówił, — do niczego prawa mieć nie chcę, a za opiekę płacić sobie nie dam.

Uderzyło go wkońcu to, że Jagna o niczem więcej prawie nie mówiła z nim, tylko o księciu lub o utrapionej wdowie. Jednego dnia spytał ją, dlaczego tak się tem zajmowała.

— E! — odparła — każdy ma swoje tajemnice. Macie wy je dla mnie, boście mi o sobie nigdy wszystkiego nie powiedzieli, wolno i mnie coś przy sobie zachować. Niechaj to zostanie jak jest.

Stach nie nalegał.

Wdowa Dorota żyła zawsze po swojemu. Dom bywał pełny, ludzie się w nim mieniali, ona zabawiała się nimi. Ściągali się tam, jak na lep, młodzi i starzy.

Odprawiony wojewoda, srodze za nią zatęskniwszy, powlókł się przebaczenia prosić, przywiózł podarki, odpędzono go zrazu, przyjęto potem, stary szalał, a biskup, który o wszystkiem wiedział, znowu klątwami groził. Znikł na czas Szczepan nastraszony, ale nie wytrzymał, podkradał się o mroku, wdowa z niego szydziła, pomiatała nim, posługiwała się i podarki przyjmowała, a przed innymi drwiła z niego nielitośnie. Nieraz, gdy książę nadjeżdżał, kazano mu przez ciemne kąty się wymykać.

W mieście miłostki książęce pokrywało nieco to, iż tam siła ludzi bywało, tłumaczono Kazimierza, iż rozrywki szukał, a nic złego nie myślał.

Nikt może tak pilno nie śledził Doroty i księcia, tak dobrze nie wiedział o tem, co się u wdowy działo, jak Jagna, która, nieopodal siedząc, na wszystko miała oko. Stach wszelkiemi sposoby przez biskupa i innych ludzi starał się wyrwać Kazimierza z tych rąk nieczy

stych, a wszystko rozbijało się o Wichfrieda, który wdowę u pana popierał, bronił, wodził do niej, pilnując, aby się jej płochość nie wydawała.

Wdowa też mu płaciła wielkiemi łaskami i Niemiec był u niej, jak w domu.

Gedko kilka razy na cztery oczy surowo napominał księcia o te zabawy niezdrowe. Kazimierz po każdem strofowaniu, które pokornie przyjmował, odwiedzin na czas jakiś poprzestawał, ale rychło powracał. Przestraszona Dorota używała wówczas wszelkich środków, Wichfried pomagał, zabiegała mu gdzieś drogę i ciągnęła do siebie.

Do księżnej Heleny trafił też ktoś i podszepnął jej o wdowie, stawiąc niebezpieczeństwo, jakie księciu od niej groziło; rozpłakała się pani, gorzko narzekając, ale mówić o tem mężowi, ani mu czynić wymówek nie śmiała, nie przyznając się, że wie o tem.

Zabawiając się krótko, Kazimierz więcej męczył miłostkami, których się wstydził, a przed Wichfriedem zeznawał, iż Doroty sercem nie miłował, tak jak swej pierwszej, że często w nim strach i obrzydzenie wzbudzała, przecież miała nad nim jakąś siłę szatańską, że choć się wzdrygał i opierał, nie mógł z nią zerwać. Jechał często ze złością i łzami, jakby go moc nieczysta mimowoli gnała, a powróciwszy, wstydał się tak, iż Wichfriedowi w oczy spojrzeć nie śmiał.

Wszystko to na dworze bliższym było znane, wiedział i Stach, rozpowiadał Jagnie, a zdumiewał się, iż niekiedy to tak do serca brała, jakby albo nienawiść osobistą miała do wdowy, lub wielką miłość dla księcia

Nie rozumiał spełna, dlaczego ją to tak obchodziło, iż zwykle wchodzącego w progu zarzucała pytaniami i radami go przeprowadzała, gdy odchodził, ale badać nie śmiał, litując się nad nią, rad, że choć tem biedną zaprzątnie.

Znajdował ją, przybywając, często tak pogrążoną w jakimś smutku głębokim, iż nie słyszała, gdy wszedł, a stać i czekać musiał, aż się opatrzyła, że nie była sama i z krzykiem przestrachu budziła ze snów swoich.

Życie to było ciężkie a dziwne, ale dla Stacha, który długo wprzódy sam był na świecie, jeszcze lepsze od dawnego sieroctwa. Miał się kim opiekować, o kogo troszczyć, gdzie pójść, mówiąc sobie, że biedna dziewczyna, której smutek śmierci ojca przypisywał, powoli może do niego serca nabierze. Spoufalała się z nim codzień więcej — ale pozostali, jak byli, zdala od siebie i zbliżyć się, ani czułości okazać żadnej Jagna nie dopuszczała. Brew się jej marszczyła i odpychała go surowo.

Gdy się to działo w Krakowie, Mieszek w niewielkiem oddaleniu od niego przesiadywał jakby na czatach u synowca Mieczysława w Raciborzu.

Tu Stach oko nań mieć musiał, bo nietylko on sam i trzej synowie, ale i Kietlicz nieustannie się kręcił, spiskując i nie spoczywając. Posyłano go raz wraz do Niemiec, to do Czech, do cesarza, na Pomorze do Prusaków, próbowano przeciągnąć i podburzyć siedzących na Śląsku Władysławowiczów, a choć dotąd wszystkie zabiegi były bez skutku, zaspać się ich nie godziło.

Kazimierz, ukochany w początku, miał już i zazdrosnych i niechętnych. Między ziemianami krakowskimi, oprócz braci z Tęczyna, którzy, mszcząc się za bezkarność siostry na księciu, na dworze się nie pokazywali, — inni też, zastraszeni zapowiedzią surowych zakonów, trochę się od Kazimierza odwracali, a przechylali na stronę wygnanego Mieszka.

Mieszek z żelazną swą wolą odzyskania, co utracił, nie pozbył się nadziei odzyskania Krakowa. Napozór niezgrabny, ciężki, gburowatością i gwałtami tylko straszny Kietlicz, okazywał się teraz w ręku pana całe nowym człowiekiem. Małomówny, skąpy w słowa doborne, nieznużony był i nie odpoczął na chwilę. Na zamku raciborskim gdy się pokazał, to na krótko, pomruczał coś z księciem, konie zmienił, często i ludzi, nie pytając, noc, czy słota, ruszał znowu w świat. Dokąd? nie wiedział nikt; poco? tego się tylko domyślać było można. Wcisnąć się umiał wszędzie, gdzie mu by-

ło potrzeba. Zamłodu wychowany między Niemcami, znał doskonale ich język i obyczaje, był u nich, jak w domu. Nic go nie kosztowało dobiec do Magdeburga, do Akwizgranu i do Kolonji, po małych dworach książęcych się włóczyć, do drzwi zamkniętych stukać, obiecywać i durzyć.

Sam rodem z Łużyc, z Czechami, na Pomorzu mógł się z serbska rozmówić, bo naówczas języki Słowian wszystkie jeszcze do siebie były bardzo podobne i różniły się więcej wymową, niż słowy. Z Prusakami jako tako też ich językiem się porozumiewał. Na męstwie zuchwałem mu nie zbywało tak, że z największego niebezpieczeństwa całym wychodził.

Na człowieka tego i pana jego nieustannie oko mieć było potrzeba. Niby to śledził go Mierzwa, ale miano już poszlaki, że dwu panom służył, a staremu gorliwiej, niż nowemu.

Wszystko to z biskupem trzeba było obmyśleć, a Stach jemu służył tylko, bo sam książę Kazimierz albo nie wierzył w zmowy, lub okazywał na nie obojętność taką, jakby rad miał być, gdyby mu część kraju oderwano. Czasem się odzywał pół żartem, iżby mu to na sumieniu ulżyło.

Było to prawie nie do wiary, a biskup Gedko nie pojmował spełna, jak się w tem sercu żądza panowania rozbudzić dotąd nie mogła. Nieraz mu napomykał o Mieszku, pierwszym założycielu państwa, o Chrobrym, o ojcu Krzywoustym, prawił o potrzebie jednoczenia tego, co się rozbiło a porozpadało, a Kazimierz odpowiadał mu, że go obchodzi nie rozległość ziem, które dzierży, ale szczęście ich, i że im więcejby miał, temby mu troski i ciężaru przybyło nad miarę.

Biskup milczał, a Kazimierz wymownie, z serca poczynał o nowych zakonach, pragnąc je co rychlej wprowadzić. Duchowieństwo i Gedko dla siebie ich pragnęło, bo samo je układać miało z księciem, ale ziemianie się obawiali, wiedząc, że im ujmie swobody względem prostego ludu i kmieci.

Gedko mu o tem napomknął, że ziemianie stękali.

— Mogą-li żądać — odparł Kazimierz, — abym ja im więcej dał swobody, niż sobie? Te prawa dawne, pogańskie, które im odejmuję, odbieram też samemu sobie; moi służebni i ja ich się też zrzec muszę. Więcej jeszcze czynię, bo, wziąwszy po ojcach moich władzę książęcą wielką, dla nich się w części jej zrzekam, przyzywając ich do rady, czyniąc uczestnikami panowania. Któż tu większą robi ofiarę, ja, czy oni?...

Tak było w istocie. Biskup odeprzeć tego nie mógł, ale ziemian starał się zwolna przygotowywać, aby się nie zrazili i z niechęcią ku nowemu panu a narzekaniami nie wybuchnęli.

Wieczorami u biskupa albo na zamku schodzili się duchowni, rozprawiając, jako królestwo to mogło być jak najlepiej urządzone i postanowione.

Kazimierz najgoręcej się tem zajmował. Młody Wincenty (Kadłubek), ulubieniec jego, przynosił z sobą zaczerpnięte z ksiąg starych przykłady, czytano i rozbierano, a książę się coraz bardziej zagrzewał do tego, aby po sobie państwu pamięć zostawić dobrą i prawo każdego człowieka postanowić w niem mocno, a samowolę ukrócić.

Takiemi rozprawy najwięcej się lubił zabawiać Kazimierz, w czem mu dogadzano, zawsze coś nowego przynosząc do stołu. Czasami jednak ludzi zabrakło, księcia brała tęsknica jakaś wielka i albo na łowy jechał, lub go Wichfried, smutnym widząc, ciągnął do Doroty.

Strofował biskup Niemca, który go unikał a swoje robił, stawał się nałóg ów coraz straszniejszym, bo płocha niewiasta górę nad nim brała i co chciała, z nim czyniła.

Biskup niemało się tem frasując, a widząc, że napomnienia nie skutkują, innej rady nie znalazł nad tę, by braciom podszepnąć, ażeby siostrę gwałtem z Krakowa wzięli. Gedkowi zdało się, iż choćby zrazu książę gniew miał w sercu, nie śmiałby się za nią ujmować, a potem o niej zapomniał.

Z tem więc postanowił wyprawić do Tęczyna Sta-

cha, który się podjął jechać w poselstwie, nikomu z tem, nawet Jagnie się nie zwierzając. Wybrał się jakby na łowy w okolicę.

Warowny był już naówczas stary zamek w Tęczynie, a że Dobrogost, który na nim siedział, wiedział, iż nieprzyjaciół ma dokoła, sam zaś z Mieszkiem trzymał, straż zawsze utrzymywano pilną i ludzi poddostatkiem.

Stach, przybywszy, opowiadać się musiał, od kogo przybywał, powiedział więc biskupa Gedkę i niebawem go wpuszczono.

Dwór pański był i ludny, służba mnoga, przyjęcie książęce. Wprowadzono posła do izby wielkiej, rycerskiej, zbrojami obwieszonej, do której Dobrogost wszedł zaraz w sukni, dla gościa wdzianej umyślnie. Z biskupem nie byli dobrze, Stacha przyjął też zimno. Ponieważ komornik jeden ze służby u drzwi stał na zawołanie, zażądał poseł rozmowy na osobności.

Gdy weszli do komory bocznej, powiedział, z czem przybył.

Do Krakowa nocą wtargnąć z ludźmi zbrojnymi nie było trudno, na dworze wdowa nie miała z kim się opierać, bo zbrojnych rozpuściła, mogli więc bracia pochwycić ją i uprowadzić, gdzieby chcieli. Nie mówił Stach wcale o księciu, ani o powodach, jakie miał biskup, oprócz publicznego zgorszenia.

Dobrogost, zimno to przyjąwszy, odpowiedział po namyśle, iż z bratem poradzić się musi. Chciał wiedzieć jednak, czy książę jest o tem zawiadomiony i czy się to za jego przyzwoleniem działo. Stach odparł, że nic o tem nie wie i że mu nic zlecono więcej.

Przystojnie uczęstowany, ale odprawiony chłodno, Stach wrócił, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi. Czekano na nią w Krakowie dni kilka, ale się nikt nie zjawił.

Tymczasem Dobrogost z Sędziwojem układali się o porwanie siostry, zapewnieni będąc, że im to ujdzie bezkarnie. Mieli za sobą biskupa, a ten był naówczas wszechmogącym.

Jednego wieczora Wichfried zawiózł księcia do dworu Doroty; tak jak zwykle zasiedzieli się późno w noc przy kielichach i śpiewach.

Okiennice wszystkie były pozamykane, wrota podwórca zaparte; zapomniano o spóźnionej porze, wdowa zabawiała księcia żywemi opowiadaniami przygód miłosnych, gdy nagle dały się słyszeć dokoła hałas i łomot. Pod oknami ludzie biegali śpiesznie, porywano za okiennice, czeladź domowa krzyczała gwałtu. Służba, stojąca w przedsieni, wparta do izby, biegła, szukając oszczepów do obrony. Jacyś ludzie napadli na dwór.

Książę z Wichfriedem do mieczów się porwali. Sami będąc, ulękli się najścia, nie wiedząc jeszcze, z kim do czynienia mieli. Wiechfriedowi na myśl przyszedł Mieszek; jako mężny rycerz, sobą zasłaniając księcia, stanął w jego obronie.

Wtem Dobrogost z Sędziwojem, zbrojni, do izby wtargnęli, a ujrzawszy księcia, stanęli osłupieni. Ludziom, którzy się cisnęli za nimi, znak dali, aby nie szli dalej.

Strwożona Dorota padła na kolana, chwyciła za suknię księcia, błagając o ratunek.

Kazimierz, Wichfrieda usunąwszy, wystąpił sam, wyrzucając braciom nieposłuszeństwo i zdradę.

Zręczny Niemiec wystąpił z tem, że książę zawczasu zawiadomiony o zamiarze najścia na dwór, umyślnie się tu znalazł, by nie dopuścić gwałtu. W ten sposób odjąć chciał im pozór do obmowy Kazimierza.

Obaj bracia stali długo niemi i zdrętwieli. Ulękli się, aby ich nie posądzono o zamiar gwałtu nad panem; nie śmieli już brać siostry, wstyd i gniew, że zawiedzeni zostali, odjął im przytomność.

Książę głosem groźnym, pod karą główną, precz im ustąpić rozkazał natychmiast, a nie rościć więcej żadnych praw do opieki nad siostrą, gdyż panujący pierwszym jest opiekunem wdów i sierot. Oświadczył, że im zuchwały krok przebaczy, jeżeli oni sami zachowają o nim milczenie.

Dobrogost i Sędziwój, nie umiejąc się i nie chcąc

tłumaczyć, bez pokłonu nawet odeszli i, ludzi swych zebrawszy, obawiając się pogoni i sądu, przeklinając biskupa, którego posądzali o zasadzkę — odjechali gniewni do Tęczyna.

Gdy się tak wszystko szczęśliwie dla wdowy skończyło, a Kazimierz na zamek miał powracać, wdowa jeszcze strwożona na progu legła, nie puszczając go i nie chcąc sama pozostać. Wichfried więc rad nierad, musiał ją zabrać na zamek potajemnie, dopókiby się dla niej inne bezpieczne nie znalazło schronienie.

W obszernych zabudowaniach na Wawelu można było ukryć do czasu Dorotę, lecz zuchwała niewiasta, znalazłszy się bliżej księcia, wcale stąd ustępować nie chciała. Musiał więc Wichfried, dla osłonięcia jej, mianować się mężem, a że naówczas śluby kościelne powszechnemi jeszcze nie były, dość było nazwiska, aby bliżej nikt nie wglądał.

Nazajutrz po wypadku, którego utaić nie było podobna, wieść o nim, choć sługom milczeć kazano, rozeszła się po mieście. Jagna się też dowiedziała o niej, a Stach z zamku przyszedł drżący gniewem i oburzeniem.

Można sobie wystawić rozpacz jego, gdy to, co miało być ratunkiem, stało się większem niebezpieczeństwem. Dorota na zamku, pod bokiem, obok księżnej; Dorota, którą wszyscy znali, choć, jako żona Wichfrieda, była groźbą dla przyszłości. Pobiegł natychmiast Stach do biskupa, żale rozwodząc, a ten, wysłuchawszy powieści, strwożył się równie. Więcej jednak Wichfrieda niż księcia obwiniał.

Tegoż dnia Gedko na zamek się udał. Zbliżał się zapowiedziany już zjazd ów w Łęczycy, dokąd duchowieństwo i ziemianie zebrać się mieli dla ogłoszenia praw nowych. Radzono ciągle, przyszło i teraz do rozpraw poważnych.

Biskup znalazł zręczność wziąć Wichfrieda na stronę i gwałtownie napadł na niego, iż zgorszenia i niesławy jest narzędziem, zagrażając mu karą kościelną. Nawykł był do poszanowania tej władzy, jaką dzierżył

i nie wątpił, że Niemiec się ukorzy. Stało się jednak inaczej. Wichfried odparł zuchwale, że o niczem nie wie, nikomu sumieniem swem rządzić, a siebie sądzić nie dopuści, że wie, co czyni i za to gotów odpowiadać.

Nim Gedko miał czas go za harde słowa skarcić, Niemiec pokłonił się i, nie czekając więcej, oddalił.

Biskup musiał na tem poprzestać, nie chcąc wywoływać na dworze zgorszenia, ale czekał na Kazimierza i gdy się wszyscy oddalili, rzekł mu:

— Miłościwy książę, boli mnie serce, gdy dobrego pana z obowiązku upamiętywać muszę. Złym ludziom dajecie moc nad sobą; nieszczęsna ta niewiasta, którąście porzucić mi przyrzekli, bliżej was jest, niż była. Co pomoże stanowić najlepsze prawa ludzkie, gdy się Bożych nie zachowuje? Miłościwy książę, zaklinam was, hamujcie waszą gorącą krew Piastowską, a nie kalajcie pięknej duszy waszej!

— Ojcze mój — odparł poruszony Kazimierz, — wierzajcie mi, iż walczę z sobą, aby się słabości mej pozbyć, alem ułomny i grzeszny.

Westchnął biskup; książę pochylił się i w rękę go pocałował.

Natychmiast zwrócił rozmowę na zjazd łęczycki, a Gedko, litując się jego upokorzenia, widząc skruchę — odszedł, nie wznawiając już napomnień.

Nazajutrz wdowy już na zamku nie było — ale dokąd ją nocą przeprowadzono, nie wiedział nikt. Stach wysłał na zwiady, biegał sam, pytał sługi, nigdzie tropu znaleźć nie mógł. Myślał jednak, że niewiasta, jak ona, długo w ukryciu pozostać nie może.

V.

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, zdawna oczekiwany i upragniony; naznaczony został w Łęczycy zjazd duchowieństwa, ziem wszystkich i ziemian, a starszyzny dla obwołania i poprzysiężenia praw nowych.

Był to jakoby prastary wiec, zjazd, jakiego od wieków nie pamiętano. Rycerstwo i ziemianie stanąć na nim mieli obok duchowieństwa z prawem Rady przy księciu.

Pochlebiało to ich dumie, ujmowało wszechmocy panu, dawało siłę, jakiej nie mieli, ale wiedzieli, że przyjdzie okupić cześć tę, zrzekając się samowoli nad ludem. Cieszyli się kmiecie i osadnicy, mając nadzieję, że gdyby nawet inny pan nastał, zakon przetrwa i spełniać się będzie. Radowało się naostatek duchowieństwo, mając zająć najpierwsze miejsce na zjeździe opiekunów prawa nowego, stróżów jego, a zapewniając majętnościom swym bezpieczeństwo.

Najbardziej jednak cieszył się książę Kazimierz, który tem prawem panowanie swe chciał uświetnić, sumieniu ulżyć, cześć sprawiedliwości, jaką w duszy nosił, czynem stwierdzić.

Arcybiskup gnieźnieński i biskup poznański, którzy z innymi pasterzami na czele zjazdu zasiadać mieli, zapewniali go tylko, iż nie jedno potwierdzenie uchwał łęczyckich wyrobią w Rzymie, ale i prawa następstwa na stolicę, złamanego przez wyniesienie Kazimierzowe.

Najwyższy biskup rzymski, rozdający berła i korony, sam miał uczynić Kazimierza panem, gdy on dotąd uważał się za przywłaszczyciela.

Radosny to więc był dzień, gdy książę ze świetnym orszakiem, któremu towarzyszyły mnogie poczty ziemian, po wysłuchaniu nabożeństwa w kościele św. Wacława i odebraniu błogosławieństwa, do Łęczycy wyruszył.

Ze wszystkich krajów podległych Kazimierzowi rycerstwo, ziemianie, żupanowie, władycy najmożniejsi płynęli gościńcami, wiodąc z sobą gromady czeladzi, występując ze wspaniałością największą.

Kazimierz oprócz ziemian chciał mieć uczestnikami i świadkami zjazdu książąt, którzy zwierzchności jego ulegali, pragnąc, aby i oni prawo przyjęli. Przybyć więc miał Bolesław Wrocławski, Otto, który trzymał Poznańskie, Mieszek Śląski, Leszek Mazowiecki, syn

Kędzierzawego i inni. Pomorscy namiestnicy, ziemianie nietylko Krakowa, ale z najdalszych krańców, które stanowiły dawną całość i do jedności się poczuwały — zjechać też mieli.

Jesień była niepóźna jeszcze, ciepła i dosyć pogodna, gdy Kazimierz z licznym dworem, wojewodami, żupany, urzędnikami mnogimi, po królewsku niemal w podróż się wybrał. Towarzyszyło mu duchowieństwo liczne, rycerstwo przydworne, zastępy całe czeladzi i długie szeregi wozów. Dobrze wprzód, nim on sam wyruszył z Krakowa, dwór wyjść musiał, aby po drodze, przez okolice, w większej części mało zaludnione, piaszczyste, leśne, gotował obozowiska, pasze, namioty, mosty i dla mnogiego ludu a koni pożywienie. Wypadała droga, oznaczona do Łęczycy tak, iż mało i niewiele znaczących osad dotykała, idąc niezamieszkałemi stronami. Książę chciał może uniknąć grabieży, którą prawem chciał ukrócić, a w tłumnej podróży zapobiec jej było trudno.

Kazimierz, choć kilka dni trwało utrudzające ciągnienie, był dobrej myśli, bo się zbliżał do dawno upragnionego celu. Czuł się po raz pierwszy istotnym panem na tej ziemi, której przynosił różdżkę oliwną. Nigdy go weselszym, piękniejszym, majestatyczniejszym nie widzieli druhowie jego; uśmiech z ust, pogoda nie schodziła z czoła.

Jechali razem z Gedką, który równie wspaniale, jak książę, występował; Kazimierz mu wszędzie pierwszy krok dawał, posłuszeństwo swe i podległość kościołowi chcąc przez to okazać.

Dla biskupa, któremu ani wiek, ani powaga nie dozwalały zbyt śpiesznie podróży odbywać, musiał i książę zwalniać kroku. Często pół dnia ciągnął ten pochód, jak procesja kościelna, ze śpiewami pobożnemi, które capelani rozpoczynali, a wszyscy im wtórowali, z odkrytemi jadąc głowami. W żadnej z osad po drodze wszystkich ludzi pomieścić nie było podobna, rozbijano więc obozy, rozpalano ognie, namiot książęcy rozbierano, a nazajutrz rano najczęściej biskup sam

przy ołtarzu z darni pod gołem niebem mszę świętą odprawiał.

Zbliżyli się nareszcie ku Bzurze, ogromnym błotom i łąkom szerokim, które łęczycki zameczek, na kępie pobudowany, otaczały. Zdala już widać tu było wszystkie suchsze łęgi, zajęte obozami, gościńce, mrowiące się ludem niepoliczonym.

Dla księcia mieszkanie zgotowane było na zamku drewnianym, dla biskupa Gedki wraz ze Zbisławem, gnieźnieńskim arcybiskupem, i przedniejszymi duchownymi przy starym tumie, o ćwierć mili od Łęczycy, także wśród nizin i błót stojącym, ale w zaroślach zielonych i cienistych drzewach.

Gdy Kazimierz zbliżył się do Łęczycy, na gościniec wąski wysypał się tłum, wychodzący go powitać. Arcybiskup gnieźnieński, poważny starzec, Żyrosław wrocławski, Cherubin poznański, Lupus płocki, Onolf kujawski, Gaudenty lubelski, Konrad pomorski. Wszyscy oni razem z prałatami i duchowieństwem mniejszem składali grono sędziwe, poważne, najsilniejszą władzę w tych ziemiach dzierżące w ręku. Za nimi dopiero widać było jadącego Bolka wrocławskiego, Mieszka, młodego Leszka mazowieckiego i Ottona, który wziął Wielkopolskę. Zbrojni w szyszaki strojne, godłami poubierani książęta wydawali się niemal dworem tych starców, co im z krzyżami na piersiach przodowali, chociaż przepychem swojego otoczenia mu nie ustępowali.

Śląscy książęta, Władysławowicze, wychowani w Niemczech, do obyczaju niemieckiego zawczasu nawykli, nosili się rycersko i świetnie; wszyscy byli dorodnego wzrostu, szerokoramienni, postawy pańskiej. Bolko szczególniej, który stroić się lubił, lśnił od złota i świecących blach swej zbroi. Mieszek mu niewiele ustępował. Wziąć ich było można obu za wysłańców cesarskiego dworu lub książątka, czy grafy niemieckie, bo w nich nic już północnych panów nie przypominało; poczty ich i dwory wyglądały też z cudzoziemska.

Obok nich, blady, wątły, schorzały wyrostek, z twa-

rzą zbiedzoną, z oczyma przygasłemi, jechał Leszek, syn Kędzierzawego, który nigdy żwawej nie znał młodości, bo go od kolebki dręczyła choroba jakaś, na którą leku nie było, a obok niego wojewoda, dodany mu za opiekuna. Na Leszku zbroi mało co było, bo ciężkiego żelaza udźwignąć nie mógł. Na twarzy jego smutnej, choć dziecinnie uśmiechniętej, śmierć zawczasu położyła swe piętno, a choć się jeszcze spodziewano, że się może dorastając pokrzepi, inni już na spadek po nim patrzyli.

Z nim jadący Otto, syn Mieszka, któregośmy już widzieli, krępy, pleczysty, niezgrabny, z głową na grubym karku osadzoną, niedźwiedziowato, jak zwierz dziki, poglądał dokoła.

W towarzystwie biskupów, przy dźwięku dzwonów wjechał Kazimierz przez most na kępę, na której stał zameczek łęczycki, lichy naówczas i niepozorny, ale dla nawykłych do obozowania ladajakiego dostateczny. Tu już dwór, który pana poprzedził, oczekiwał nań i uczta była zgotowaną w części na izbach zamkowych, częścią na podwórcach, prostemi stołami i ławy z desek skleconemi zastawionych.

Następnego dnia po nabożeństwie naznaczonem było zebranie się wszystkich na kępie dla ogłoszenia praw, o których ziemianie mówili z poddaniem się woli księcia, ale niezbyt wesoło. Nikt się już przeciwić nie myślał, gdy duchowni rzekli, że tak być powinno.

Stach, który z innymi przybył tu ze skarbcem podróżnym, tegoż wieczora, ocierając się o ziemian, nasłuchać się mógł rozmów dziwnych. Nie wszyscy rozumieli, czego chciał Kazimierz, ale o tem wiedzieli, iż przeklętym być miał, ktoby kmieciowi zabrał samowolnie konie, pochwycił siano, spasł zboże, kazał się żywić i przewodzić.

Od Chrobrego czasów z pokolenia w pokolenie szedł ten zwyczaj dawny, a książęta, dwory i ich posłańcy jeździli kosztem tych, których chaty i pola znajdowały się przy drodze. Często sobie wybierano gościńce, gdzie się lepiej pożywić było można, wielu się od posługi

ciężkiej okupić musiało. Wygodnem to było. Teraz i książę dla siebie wyrzekał się tej grabieży i ziemianie pod klątwą musieli jej zaniechać. Tylko czasu wojny, gdy szły posły z wiciami a o obronę kraju chodziło, prawo stare do życia wracało.

Skarżono się i stękano, ale pocichu. Inni się znowu za kmieciami ujmowali, znajdując, że prawo słuszne było. Wszyscy jednak, ilu ich tam się znajdowało, woleli prawo surowe, niż żelazną rękę Mieszka i Kietliczowe zagony po kraju, łapanie winnych i niewinnych, których ze skóry obdzierano i dla marnych grzywien męczono.

Nazajutrz, gdy po nabożeństwie rannem weszło onych ośmiu pasterzy, w mitrach lśniących na głowach, z laskami złocistemi w rękach, w szatach od złota, pereł i purpury, z krzyżami na piersiach, z pierścieniami na rękach — i zasiedli kołem jak senat i sąd w izbie wielkiej: arcybiskup Zbisław tuż zarówni z księciem, inni po bokach, a tuż ustawili się za nimi książęta we zbrojach i rycerskich pasach, a dalej ziemianie w szubach, w jedwabiach, sukniach szytych i bramowanych złotem — widok był, jakiego ta ziemia dawno nie oglądała, majestatyczny, uroczysty, wielki.

Ci, co szemrali wczoraj, teraz umilkli przerażeni przed posłannikami Bożymi, którzy mieli prawo wiązać i rozwiązywać. Nie śmiał już nikt pomyśleć inaczej, niż ci ojcowie duchowni, przy których była mądrość Boża, słowo Chrystusowe, błogosławieństwo i klątwa, to jest życie i śmierć.

Kazimierz, który najczęściej skromnie się odziewał, na ten dzień niemal po królewsku wystąpił, przybrany w najpiękniejszą zbroję ze złotem, w pas, kamieniami barwnemi dzierzgany, w czapkę książęcą o złotych obręczach, w płaszcz z purpury. I pięknym był jak nigdy, a lice jego szczęściem wielkiem i łaskawością promieniało.

Gdy się okazał w tym majestacie, okrzyknęli go wszyscy; serca chwytał samem obliczem swem. Zda-

ło się starcom, że cień Krzywousta odmłodzony i wypiękniony w niebiesiech, zjawił się przed nimi.

Wśród ciszy wielkiej wstał sędziwy Zbisław i po modlitwie prawo uchwalone głosić zaczął:

— Ktokolwiek kmieciom zboże lub mienie gwałtem czy w jakikolwiek sposób zabierze lub zabrać każe — niech będzie wyklęty!

Wszyscy biskupi powtórzyli za nim.

— Niech będzie wyklęty.

— Ktokolwiek do dawania przewodu zmuszał lub zmuszać kazał, niech będzie wyklęty. — Czasu wojny tylko jest wolny.

I znowu powtórzyli klątwę pasterze.

— Ktokolwiek po zmarłym biskupie dobra zagarnie lub zagarniać każę, choćby książęciem był, panem możnym, urzędnikiem, bez różnicy stanu — niech będzie wyklęty.

— Niech będzie wyklęty!

— I ten, kto zabrane dobra kościelne przyjmie, zabranych nie odda w całości, za zwrot nie poręczy, jako wspólnik świętokradztwa — niech będzie wyklętym!

Dołożył arcybiskup, iż sam książę, dając przykład z siebie, prawom się tym poddawał, wszyscy też pod klątwą posłuszni im być powinni.

Kazimierz podniósł palce złożone, jak do przysięgi, na znak przyzwolenia i inni wszyscy szmerem posłusznym zawtórowali.

Nastąpiła dziękczynna modlitwa. Arcybiskup uroczyście pobłogosławił zebranych, poczem biskupi wszyscy z duchowieństwem swem wyszli, aby złożyć szaty obrzędowe, książę zszedł ze stopni i razem z książęty, co go otaczali, pomiędzy ziemian zstąpił, witając jednych, uśmiechając się drugim, wszystkim okazując łaskawość wielką, oblicze prawdziwie ojcowskie.

Na zamku czekały już stoły pozastawiane, poczęli się więc po chwili kupić i garnąć wszyscy, jak kto chciał, Krakowianie z sobą, Mazury, Poznańczycy, Sandomierzanie i lubelscy, wedle gromad i ziem, do których należeli.

Wśród zasępionych, namarszczonych, pokrzywionych różnie twarzy, Kazimierzowa królowała pięknością i weselem. Sam on innych zachęcał do spełniania kubków, a rozmowy ochocze wszczynał, mieniąc ten dzień najpiękniejszym życia swojego.

Upłynęło czasu wiele i ani się spostrzegł książę, gdy sam, dotrzymując wszystkim, co się około niego mieniali ciągle, wstawali i przychodzili coraz nowi, do nocy tak przetrwał.

Nie czuł wcale zmordowania. Wichfried aż szepnąć mu musiał, iżby na spoczynek po dniu tak znojnym udać się czas było, na co Kazimierz, uśmiechając się, odpowiedział, iż szczęśliwym się czuje, nie znużonym.

Wstał jednak i dał mu się zaprowadzić do przygotowanej komory, chociaż ziemianie podochoceni długo jeszcze za stołami przesiedzieli.

Jak wszyscy ówcześni królowie i książęta, Kazimierz, rycerzem będąc i łowcem, pieszczonym nie był, wielkich więc wygód nie potrzebował. Twarde posłanie, prosty posiłek starczyły. Izba sypialna, jakby w obozie, łoże miała ladajakie, a jedyną jej wspaniałością były złociste naczynia z wieczornym napojem, zbroje i stroje, jakich książę potrzebował. Spało się na skórach, często na mało pokrytej słomie i sianie.

Kazimierz ledwie z pomocą komorników swych rozdział się z szat kosztownych i stał w jednym kaftanie, do snu się zabierając, gdy do drzwi zaskrobano. Wyszedł jeden ze sług zobaczyć i oznajmił, że Bolko wrocławski z księciem mówić pragnął sam na sam.

Kazimierz, który niezbyt dawno ich z bratem pojednał, a zgodę uczynioną pragnął utrzymać, sądząc, że dla tej sprawy Bolko mu się wprasza, natychmiast go puścić kazał, idąc przeciw niemu z otwartemi rękoma.

Bolko, któregośmy przy wjeździe widzieli, pięknej i dzielnej postawy mężczyzna, rycerz odważny nie miał wcale łagodnej natury Kazimierza, ani dobrotliwości piastowskiej. Ostro mu patrzyły oczy, twarz z ustami nieco nabrzękłemi, nieco rozlana, okazywała człeka

co życia rad był na wsze strony używać wiele i nie szczędzić. Nie zbywało licu na wyrazie pewnej przebiegłości prostaczej i dumie źle pokrytej, a pokrywać się usiłującej. Kipiało w nim zawsze niewygasające wspomnienie praw, których ojciec jego był pozbawionym, choć Kazimierz uczynił wszystko, co mógł, aby pamięć krzywdy, nie przez siebie wyrządzonej, zatrzeć.

Wiedział on, że osadzeni na Śląsku książęta, serca do niego wielkiego nie mieli. Tem więcej też pozyskać ich pragnął. Z uśmiechem witać go począł. Bolko szedł jakby zakłopotany i niepewny siebie, skłonił się nieco, obejrzał dokoła, a że stali nieopodal drzwi, skinął, wiodąc ku oknu.

Wszystko to zagadkowem było i tajemniczem.

Kazimierz poszedł za nim ciekawy, ale spokojny, bo radość dnia tego wszystko mu osładzała.

— Z prośbą ja do was przychodzę — rzekł, wahając się, Bolko, — za złe mi jej nie bierzcie. Posłem jestem.

— Czyimże? — spytał książę.

Bolko spojrzał, badając i znowu się wahał.

— Nie gniewajcie się tylko na mnie, żem przyjął pośrednictwo od niemiłego wam może.

— Mów, od kogo, proszę, i co mi niesiesz?

Bolko czoło pocierał.

— Do serca waszego braterskiego z prośbą, z pokorą przychodzi Mieszek! — rzekł wreszcie cicho.

Patrzał w oczy, jaki skutek uczyni to słowo. Kazimierz się wesoło uśmiechnął.

— Miłe mi jest owszem poselstwo wasze — rzekł, — bo nic dla mnie pożądańszem być nie może, nad to, bym Mieszkowi los jego osłodził.

— Mieszek jest bardzo nieszczęśliwy — mówił poseł, ośmielając się. — Panem był, dziś jest bezdomnym wygnańcem. Nie o niego jednego idzie, ale o trzech synów młodszych. Co oni poczną? gdzie pójdą? jaki los ich czeka? Mieszek starzeje, wiek go uciska, a gorzej troska o dzieci. Przypomnijcie sobie, że przy nimeście się wychowali, że on niegdyś był wam bratem najlep-

szym, że gdyście ani kawałka ziemi nie mieli, po Henryku Sandomierz wam oddał.

— Pomnę to — odparł Kazimierz, — ale jakem mu księstwa nie wziął z woli własnej, tak mu go zwrócić nie mogę mimo woli tych, co mi je dali.

— Mieszek też o oddaniu mu Krakowa nie myśli, ani go żąda — ciągnął Bolko. — Wiek już i siły jego nie po temu, aby ciężar ten chciał brać na ramiona i z ziemiany burzliwymi, z duchownymi samowolnymi miał walczyć! Rad jest, że wy rządzicie, gdy lepiej, niż on, umiecie im królować. Życzy wam szczęścia!

Tu Bolko twarz nastroił taką, jakby w to szczęście trudno mu uwierzyć było, a potem dodał:

— Dla was bezpieczniej byłoby i spokojniej pojednać się z Mieszkiem i mieć go przyjacielem, niż wrogiem.

— Ja tego pragnę, jak Bóg Bogiem! — zawołał Kazimierz. — Choćby największym kosztem! Czegóż chce Mieszek?

— Nic więcej nad to, co mu się święcie i sprawiedliwie należy wedle ojcowskiego naznaczenia. Daj mu napowrót Poznańskie, które własny syn wydarł, daj mu je całe; z Ottonem się on przejedna. Daj mu je przez wdzięczność, przez rozum, przez serce twe.

Kazimierz, ręce podniósłszy, objął Bolka za szyję.

— Bądź mi pozdrowion wdzięcznie, pośle zgody i pokoju! — zawołał. — Oddam mu je! O ile w mej mocy to jest, zgadzam się, niech bierze.

— A któż tu panem, jeśli nie ty? — zapytał Bolko.

Kazimierz głową potrząsnął.

— Miły mój — odparł, — bez rady duchownych i panów ja nie mogę nic! To ci tajnem być nie powinno. Wezwać ich muszę, radzić się będę, sam powiem, że tego pragnę.

— Oni ci się nie będą śmieli sprzeciwiać — rzekł Bolko.

— Daj Boże! — odparł Kazimierz. — Nie chcę nic poczynać bez was, abyś mi świadkiem był, że szczerze

idę. Jutro rano z arcybiskupem i Gedką mówić będziemy, a przy nich z Wielkopolany.

Uścisnął go raz jeszcze.

— Bóg niech będzie świadkiem prawdy i szczerości słów moich — dodał. — Zrzeknę się Poznańskiego chętnie, bo widzę to sprawiedliwem, a sprawiedliwym chcę być.

Bolko, który się widać nie spodziewał z taką łatwością uzyskać tego, z czem przyszedł, gotując się błagać i przekonywać — nie miał już więcej co mówić. Stał niedowierzający, niespokojny.

Kazimierz, dostrzegszy to, odezwał się jeszcze:

— Dzień to zaprawdę szczęśliwy dla mnie, gdy i duszne życzenia moje ziszcza i robi mi nadzieję, że w bratu druha odzyszczę.

Bolko do ramienia mu się pochylił, uściskali się — szedł do drzwi.

Tak się rozstali, a Kazimierz, przywoławszy zaraz komornika, kazał mu zbudzić się rano, u arcybiskupa i Gedki zamawiając ranną rozmowę.

Jak dzień wszystko się na zamku poruszać zaczęło. Biskupi i prałaci, niektórzy w tumie, inni w kościele łęczyckim za miastem, drudzy na zamku w kaplicy msze odprawiali. Kazimierz, jednej z nich wysłuchawszy, pragnął co prędzej z Gedką się rozmówić, gdy właśnie go oznajmiono. Weszli do komory osobnej.

— Bóg mi pobłogosławił — począł Kazimierz i wczorajsze poselstwo Bolkowe biskupowi opowiedział żywo.

Biskup słuchał bardzo uważny, ale zasępiając się. Pierwszem słowem jego było:

— Mieszek szczerym nie jest. Chce Poznania, aby z rycerstwem jego na Kraków potem uderzyć!

— Ojcze! — przerwał Kazimierz — nie posądzajmy go.

I to mówiąc, pocałował biskupa w ramię.

— To moje pragnienie jedyne. Niech się ono ziści! Zgody i pokoju chcę!

Biskup, widząc, jak gorąco się ujmował, zamilkł

— Zwołamy ziemian poznańskich, dziś czy jutro — rzekł; — już to dziś w obyczaj poszło, że bez woli ich pana im narzucać się nie godzi.

Książę się zdumiał i cofnął.

— Tak jest — odparł Gedko. — Dziedzictwo to czy nie, po ojcu, czy po bracie, ziemianie rozstrzygają, kto im miły i kogo słuchać mają. Arcybiskup też Zbisław ma prawo wypowiedzieć zdanie swoje.

— A ja? — przerwał Kazimierz — cóż ja?

— Miłościwy książę — odezwał się biskup, — wy ze wszystkich macie powagę największą, ale z ziemiany naszymi, którzy są dosyć samowolni a burzliwi, siłą coś chcieć dokonać — trudno. Zamiast zgody i pokoju mieć będziecie swar i rozruchy.

— Ale oni powinni przystać na to! — przerwał książę.

— Nie wiem — rzekł Gedko. — Pragnę dla was oszczędzić trudu i zachodu, zatem pozwólcie nam z arcybiskupem próbować. Puścimy wieść o tem, że Mieszek ma na Poznań powrócić. Zobaczymy, co rzekną.

Zdawszy na Gedkę staranie, Kazimierz dnia tego nikomu więcej się z myśli swej nie zwierzał. Czas upłynął na rozmowach i popisach rycerskich. Ziemianie, z których wielu miało prośby i żałoby, wszyscy jeszcze w Łęczycy pozostali.

Dotąd, choć po kątach cicho szemrali, nie było znaków, aby to ich bardzo bolało, co się dokonało. W obozie i na zamku panowała wesołość i ochota wielka, ze wszystkich ziem rycerstwo się bratało, opowiadało sobie, co się gdzie działo, śmiechy się raźne rozlegały, a poza kępą zamkową, o ile błotnista okolica dozwalała, szalano potrosze, zwłaszcza młodzież, wyścigając się, biegając o zakłady, próbując zręczności i siły koni. Pod wieczór jednak Kazimierz i drudzy spostrzegli, że się coś w tej zgodnej dotąd ciżbie zwichrzyło.

Ludzie się poczęli powoływać, zbierać w kupki osobne, ściągając po kątach. Tu i owdzie słychać było dających sobie hasła Wielkopolan. Domyślił się Kazimierz, że słowo już puszczono między nich. Lecz, że

wieczór nadchodził, czasu zostawało mało, nie widziano więcej nad to, że rycerstwo od Poznania i Gniezna osobno się wyłączyło i bardzo żwawo gwarzyło.

Dowiedzieć się nie można było, co się stało, ale Wielkopolan, jak wymiótł, na zamku nie stało. Starszyzna ich ku tumowi ciągnęła i po drodze widać było, jak stawali i o coś bardzo się spierali. Inni ciekawi byli nad miarę — co tam jest? Nikt nie widział.

Pocieszano się tem, iż domowa jakaś sprawa była, o którą z arcybiskupem mówić chcieli, i pewno dokończyć ją między sobą, jak zaczęli.

Pod noc późną zasiedzieli się wszyscy za stołami u dzbanów, ochoczo i z dobrą myślą. Już o nocnej godzinie Wielkopolanie, których nagle nie stało, małemi gromadkami od tumu wracać zaczęli. Przychodzili milczący, siadali za stół, na twarzach widać było, że się czemś gryźli — pytano ich, głowami trzęśli.

W takiem usposobieniu dotrwali do nocy i powoli Stach, który znał różnych a wielu, próbował ciągnąć za język, nie dali mu się. Zaczynał zawsze od księcia i pochwał jego, zimnemi twarzami przyjmowanych. Wczoraj jeszcze dużo było takich, co go wielce kochali, dziś nikt się nie odezwał dobrego słowa.

— Cóżeście to tak markotni? — zapytał podpiłego już starego, o którym wiedział, że po piwie języka nie strzyma.

Ten mu się pochylił do ucha, gębę ręką zasłaniając.

— Nie wiecie nic? A toć nam tego dusielca, Mieszka, chcą dać do Poznania za pana. W Krakowie zły był, a nam ma być w sam raz? Cóż to my za jedni? Znoski? Książę wasz myśli, że my mu z sobą damy robić, co jego wola i łaska? A no, zobaczymy! Jak się uprze — to i jego precz wyżeniemy z Krakowa, a innego poszukamy. Czy to ich mało jets? Niechaj wie, że jak go ziemianie zrobili, tak odrobić potrafią!

VI.

Nazajutrz rano poznać już nie było można owej zgodnej wczoraj gromady ziemian. Jak stado owiec, gdy wilk w nie wpadnie, wszystko się rozpierzchło i popłoszyło. Wyglądało rozbito i groźno. Tu i owdzie na całe gardło pokrzykiwano, wrzawa i rozdrażnienie coraz rosły.

W podwórcu wszczęła się już wrzawa nielada. Stach, który od wczoraj chodził niespokojny, postrzegł, że nie żartem zanosi się na zawieruchę. Puścił się, jako swój do swoich, żeby zbadać, jak rzeczy stały.

Zamek prawie opustoszał. Nie rozjeżdżali się ziemianie, ale w nich wrzało — jedni stawali na gościńcu, drudzy po łąkach, inni jechali do tumu. Zamęt coraz był większy. Od Mieszka się zaczęło, a teraz już dla Kazimierza groźnem się stało.

Okrzykiwano go wczoraj, teraz zabierano się kląć, iskry tylko było potrzeba, aby ziemian, utratą praw zadraśniętych, do reszty zburzyć. Stach, lepiej znający niektórych Krakowian, próbował wstrzymywać i upamiętywać. Ale gdzietam! Sprawa była wspólna, umysły się zapalały, ani już było mówić z nimi.

Jedni biegli do Gedki, drudzy do arcybiskupa Zbisława, inni gromadzili się do kupy i już radzili, kogo sobie nowego mają wybierać. Biskup Gedko od rana był na zamku, od pierwszej chwili postrzegł, na co się zanosiło, ale miał nadzieję powagą swą hamować.

Starszyzna wielkopolska naprzód nie do niego, ale się posunęła do arcybiskupa. Staruszek im odpowiedział, że o niczem nie wie i odprawił ich do Gedki. Zrazu iść do niego nie chcieli, potem kilkunastu się ich wybrało, poszli.

Biskup, postrzegłszy ich przybywających, wiedział już, co z sobą nieśli. Dość było popatrzeć na nich, by postrzec, iż tak w piersiach wezbrało, że ledwie donieść mogli, buchały im słowa, jak kipiątek z garnka. Wcisnęli się, wyprzedzając i popychając, twarze rozgorzałe, oczy zaiskrzone, włosy porozrzucane, usta

drgające. Gedko, który zawsze był panem siebie, w chwilach stanowczych umiał się oblec powagą, która onieśmielała. Nie okazał wcale, iż się gniewów domyśla, przybrał twarz pogodną, błogosławił, uśmiechał się.

Wtem razem trzech głos zabrać chciało.

Wskazał, wybrawszy jednego, starego Rolę, aby przemawiał za innych.

Rola odetchnął, kalsnął, zaczął:

— Przyszliśmy tu, jak dzieci do ojca, po sprawiedliwość i miłosierdzie, których już na świecie niema!

— A no i prawda! — zawołali inni za nimi, — niema!

— O co wam idzie?

— Książę nam samowolnie chce narzucić pana, tego, którego wy, ojcze, wymietliście precz z Krakowa, bo ze skóry darł ludzi z Kietliczem. A myż nie Boże stworzenia? Nasza skóra nic nie warta! Za co my cierpieć mamy i jeszcze się wstydać? My go nie chcemy!

— Nie chcemy! nie chcemy!... — zakrzyknęli wszyscy.

Gedko słuchał podparty na ręku.

— Ja — odrzekł powolnie, — ażeby to stanowczo postanowione być miało, nie wiem. A no, gdyby tak było?

— Nie chcemy! — zawołali Wielkopolanie.

— Posłuchajcieżno — rzekł biskup.

Uciszyło się.

— Gdyby tak było — dodał, — dzieci moje, wcale inna rzecz Mieszek w Poznaniu, a Mieszek w Krakowie.

Zakrzyczano. Biskup mówił dalej:

— Tak, tak, dzieci moje, bo Mieszek w Krakowie był panem zwierzchnim i czynił, co chciał, a na skargę pójść nie było do kogo. Ten sam Mieszek u was nie może czynić tylko to, co mu Kazimierz pozwoli. Gdy mu każe Kietlicza precz odpędzić, musi go odegnać. Widzicie, że sprawa zupełnie różna. Wiecie dobrze, że ja Mieszkowi nie sprzyjam, bom pomógł go

z Krakowa wysadzić, tego się nie zapieram. U was on panem nie będzie, ale włodarzem.

— Ho! hoł — począł drugi, Skóra, jeden z najgorętszych. — My to odrazu wiedzieliśmy, że miłość wasza potraficie nam prostym ludziom tak rzecz postawić, jak zechcecie. Na to ojcowie duchowni uczą się poza granicą, aby nam, nieukom, umieli oczy zaprószyć. My, prawda, w księgach nie czytamy, językiem tak nie umiemy obracać, jak księża, ale u nas, co krzywo, to krzywo, a co prosto, to prosto — i koniec!

Gedko, dostojnik wielki, pan możny, obraził się mową zuchwałą.

— Śmiecież wy mnie, pasterzowi, wyrzucać, jakobym ja was fałszem chciał karmić? A wiesz ty, co popełniasz, zuchwale targając się na mnie?

Uderzył się w piersi i cały jakby purpurą oblał.

Skóra popatrzał nań, ale że biskup nie jego był, niebardzo się strwożył.

— To już człowiek co myśli, mówić niewolno? — zapytał.

Drudzy, obstając za nim, szemrali też. Biskup, choć się hamował, uczuł potrzebę okazać gniew i oburzenie. Nie pobłażał nigdy oporowi władzy swej i nieposłuszeństwu. Wyprostował się i począł głosem uroczystym:

— Chcielibyście wy, sami tu już, bez książąt i bez nas gospodarzyć! Sami sobie panów dawać, prawa stanowić, dogadzać wymysłom? Ojcowie duchowni wam już za nic? A no wspomnijcież, że jakeśmy wam dali skosztować swobody, tak i jej przykrócić potrafimy.

Odetchnął Gedko i spoczął nieco, oglądając się po ziemianach, którzy wzrokiem między sobą naradzali się.

— Chcecież, aby Mieszek bezdomny — dodał biskup — nam i wam, siedząc na granicy, wiecznie pokoju nie dawał, warcholił i spiskował? Przecie go gdzieś osadzić potrzeba!

— A no! — zawołał Skóra hardo — mieśćcie go sobie, gdzie wola i łaska, byle nie u nas!

— Uprze się pan Kazimierz, my i Krakowian od niego odciągniemy, a to go spotka, co Mieszka!

— Myślicie, że beze mnie i bez nas uczynić to możecie? — gwałtownie począł Gedko. — Wybyście sami bez nas nie mogli nic! Mylicie się, zuchwali a krnąbrni; nie wy, ale my biskupi najwyższą władzą biskupa rzymskiego panujemy światu, my zrzucamy i sądzimy!

Skóra, na którego towarzysze patrzali przelękli, co na to rzecze, zamruczał tylko:

— Próbowali my z biskupami, popróbujemy bez nich. Nasza natura taka, miłościwy ojcze, pozwól kurze na grzędzie, polezie ci wszędzie... Tak nas Bóg stworzył.

Nieprzystojny ten żart, który Gedkę do gniewu pobudził, ziemian, stojących za Skórą, rozśmieszył, co poważnego biskupa bardziej jeszcze rozjątrzyło. Widział, że poszanowania dlań nie miano. Groźno podniósł głos i palce do góry.

— Strzeżcie się, zuchwali, abyście nie ściągnęli piorunów na siebie i nie zostali wyłączeni z kościoła, strzeżcie się!

Skóra potoczył wzrokiem po swoich, dał znak, pokłonił się.

— Pochwalony Jezus Chrystus.

I wyszli.

Zuchwalstwem tem i uporem dotknięty mocno Gedko, długo potem przyjść do siebie nie mógł. Sprawa przybierała rozmiary groźne, ziemianie krakowscy poczynali jawnie brać stronę Wielkopolan. Kto się inaczej odezwał, zakrzykiwano go, że rabem i parobkiem książęcym był, a nie ziemianinem. Wielkopolanie całą ławą, dowiedziawszy się, że arcybiskup był w tumie, jedni pieszo, drudzy konno się wybrali do niego.

Arcybiskup Zbisław cale inaczej działał, niż biskup Gedko. Ten szedł jawnie i głośno; stary arcybiskup, nie lubiący walki, nie wierzący może w jej skuteczność, powoli, łagodnie działał i nieznacznie, choć niemniej dzielnie. Najczęściej drugim dawał hasło, a sam zostawał

na stronie. Umysł to był niepospolity, rozum wielki, ale skromnem milczeniem okryty.

Przez drogę do tumu, ćwierć mili, ziemianie czas mieli ostygnąć, a niektórzy bardziej jeszcze się rozgrzać. Skóra radził nie ustępować i przy swem stać kamieniem.

Gdy się około tumu zjawiło poselstwo, arcybiskup w kościele był na modlitwie; kazano im zaczekać, rachując może na to, że ostygną. Potem, zasiadłszy uroczyście na tronie, dla siebie przysposobionym, w płaszczyku złocistym (jaki wówczas nosili biskupi), Zbisław wpuścić ich kazał. Gedko powagą swą, postawą, powierzchownością pańską mógł wrazić ludziom uszanowanie. Arcybiskup świątobliwy, pobożny, spokojny starzec, nie unoszący się nigdy — trzymał zawsze owieczki swe w tej odległości od siebie, iż sporu z sobą nawet nie byłby dopuścił.

Wiedząc już o rozdrażnieniu, przyjął wchodzących po ojcowsku. Skóra, któremu się powiodło z Gedką, pierwszy wystąpił ze skargą, narzekaniem, nawet i groźbą.

Wszystkiego tego Zbisław wysłuchał cierpliwie, nic nie odpowiadając. Wreszcie Skórze i towarzyszom przebrało się narzekań, chcieli posłyszeć słowo pasterskie, poczęli się łokciami trącać, nakazując milczenie — i zamilkli.

Zbisław namyślał się długo.

— Nowe mi rzeczy prawicie — odpowiedział. — Mnie to też równie, jak was obchodzi. Kto w Poznaniu, ten i w Gnieźnie będzie panem, a jabym rad siedzieć, Boga chwaląc, spokojnie. Kto to wam powiadał? Czy wam to objawił książę?

Spojrzeli po sobie.

— Gadają wszyscy, huczą, trąbią!... — rzekł Skóra.

— Lecz skądże to wyszło? — rzekł arcybiskup, — bo ja o niczem nie wiem. Żeby to prawda być miała, pobożny, dobry pan nasz Kazimierz, przed ojcem swym duchownym, przede mną, który tu przecie pierw-

szym jestem, cośby o tem powiedział. Kto wam to przyniósł?

Skóra i inni żwawo się z sobą zaczęli sprzeczać.

— Dobromir.

— Jako żywo, nie ja! klnę się!

— Sławek.

— Jam się od Mirosza dowiedział!

Po nici porwanej do kłębka dojść nie było podobna. Arcybiskup czekał, aby się to wyjaśniło, a wyjaśnić się nie mogło.

— Moje dzieci — rzekł, — prosta rzecz, potrzeba czekać z radą, aż się to okaże prawdą. Za cieniem gonić — dziecinna sprawa!

— Pełen zamek tego! powtarzają wszyscy! — wołano niecierpliwie.

— Cóż z tego? — odparł Zbisław. — Rozumny człek nim uwierzy, czeka, aż posłyszy z takich ust, co u źródła były.

— Biskup Gedko nie zaprzeczał! — zawołał Skóra.

— A upewniłże was, że to prawda?

Zaczęli się sprzeczać; jedni utrzymywali, że upewniał, drudzy — że tylko przypuszczenia bronił.

Zbisław rzekł im wkońcu:

— Niema nic, nie wiemy nic; gdy się dowiemy, że nam istotnie grozi niebezpieczeństwo, poradzimy sobie na nie. Jam pasterz wasz, nie dam was na wilcze zęby. Nie rozpaczajcież przed czasem, nie zrywajcie się, gdy niema czego. Pokój z wami!

I pobłogosławił.

— Z Bogiem idźcie, dobrzy ludzie, z Bogiem!

Poprzestać musieli na tem. Chciało im się ujadać jeszcze, nie mieli z kim; więc wychodząc, sami z sobą spierali się zajadle, skąd tę wieść mieli, kto ją pierwszy przyniósł? Dośledzić nie mogli.

Cała ta wyprawa do tumu spełzła na niczem; ziemianie, napowrót do zamku ćwierć mili idąc i jadąc, sprzeczali się ciągle, a u wrót stanąwszy, znacznie ochłodli. Tu na nich czekali Krakowianie i reszta swoich, którzy, gdy sprawę zdawać przyszło, poplątali

się. Posły nie umieli się wytłumaczyć, dlaczego wszystko spełzło nadaremnie i nic nie przynieśli z sobą.

Wszyscy jakoś czuli się, jak zimną wodą oblani. Pomęczeni byli, gardła pozasychały — zaczęli się rozchodzić.

W usposobieniach jednak nie zaszła zmiana, stano przy swojem, Krakowianie się odgrażali, wtórując Wielkopolanom, choć nie tak już żwawo.

Gdy jedni się oburzali, drudzy trwożyli, Bolko, który piwa tego nawarzył, choć chmurny chodził, w duszy się wcale tem nie martwił może. Dogadzały mu i niepokój i zniechęcenie ludu do Kazimierza. Ciężki ten, powolny, napozór nieobrotny Ślązak, napół Niemiec, chytrzejszym był, niż się wydawał. Nie mówił nic, śledził wszystko, oczyma chodził po twarzach. Otto, który zasłyszał już o tem, a odzywać się nie śmiał przeciw ojcu, bo Kazimierz mu usta zamykał, siedział w kącie, starając się być niewidocznym. Wielkopolanie jego sprawę popierali — cieszyło go to, lecz okazywać radości nie było wolno. Między nim a Mieszkiem dawne rozdrażnienie przeszło było w walkę otwartą, zgody z ojcem mało się spodziewał.

Z całego rodu książęcego jeden chory Leszek najobojętniejszym był na to, co się działo. Nawpół dziecko jeszcze, bawił się wrzawą, głosami, widokami nowemi i twarzami. Tęskniło mu się za Płockiem jednak, nudziło chwilami w poważniejszem towarzystwie i gdy mu się oknami wyglądać sprzykrzyło, chodził od jednego do drugiego z książąt, tego za miecz, tamtego chwytając za sprzączkę, za pas, dopytując, skąd je mieli, chwaląc fraszki, zabawiając się lada czem.

Na twarzy Kazimierza wielka radość z dokonanego prawodawstwa ustąpiła zniecierpliwieniu i podrażnieniu. Wysyłał coraz kogoś, aby mu przyniósł wieść, co się działo. Jedni straszyli do zbytku, drudzy nadto lekceważyli. Z okien widać było miotanie się tłumów, zbiegowiska, pochód do tumu, narady i spory wrzawliwe. Wieczorem wreszcie na drodze od tumu ukazał się jadący ku zamkowi orszak arcybiskupi.

Wielkopolanie, zobaczywszy go, uradowali się. Witano po drodze milcząco, z uszanowaniem, nie wątpiąc, że w sprawie ich jedzie. Tak było w istocie. Poprzedzali go: Cherubin poznański i Onolf, biskup kujawski.

Naprzeciw wyszedł Kazimierz, chcąc wprowadzić Zbisława do izby, w której wszyscy siedzieli; ten posłuchania osobnego zażądał. Szli więc on, Gedko i dwaj biskupi z Kazimierzem na przeciwną stronę; Gedko, nie mogąc zajścia z Wielkopolany zapomnieć, mocno był poruszony.

— Sprawa to jakaś nieczysta — odezwał się na wstępie. — Ktoś ich poburzył. Nigdym ja Krakowian moich tak rozpalonych nie widział, choć się to ich nie tyczy.

— Trzymają wszyscy razem — rzekł Cherubin — i do mnie przybiegali niektórzy z bólem i skargą.

— A no nie z odgróżkami przecie, jak do mnie Wielkopolanie wasi — przerwał Gedko.

— Cóż tu czynić? — zapytał książę.

Zbisław odezwał się spokojnie:

— Przecież nie głoszono o tem, nie mówił książę, nie oznajmywał żaden z nich; ludzie sobie pletli Dziś, gdy huczą, dalej posuwać sprawy nie można; trzeba ją pokryć milczeniem i uspokoić ich... Czasowo wszystko zawiesić, bo i pora i miejsce do roboty najgorsze.

Książę westchnął.

— Rzucaćbym myśli nie chciał — rzekł, — dałaby pokój i zgodę.

Narada, na której w istocie mało co uradzono, trwała dość długo; książę wyszedł z niej, uległszy duchownym, którzy zgodnie głosowali, aby dalej Mieszka sprawy nie popierać. Arcybiskup, na którego wóz czekał, otoczony Wielkopolanami, do domu powracał. W progu stał Skóra i inni.

Zbyć ich teraz nieświadomością nie było już można. Zbisław ukazał im twarz spokojną i rozgrzani Poznańczycy nic z niej poznać nie umieli. Siadał już do wozu z kapelanem, gdy Skóra ze swymi przystąpili, cisnąc się.

— Ojcze miłościwy — spytał Skóra, — cóż z nami?

— A no, nic, moje dzieci, nic!

— Prawdaż o Mieszku?

— Ani prawda, ani fałsz — rzekł Zbisław. — Była może o czemś podobnem mowa dla uspokojenia państwa tego, ale książę nikomu gwałtu zadawać nie myśli.

Posłyszawszy to, ci, co się skupili u wozu, poczęli powtarzać, podając jedni drugim.

— Książę ani myśli! ani myśli!

Osłupieli wszyscy; Skóra, który tak nadaremnie gardłował, głowę zwiesił. Arcybiskup tymczasem, żegnając na wsze strony, woźnicy dał znak, aby ruszył. Tłum rozstąpił się milczący.

— Ani myśli o tem! — szeptano dokoła.

— Ja bo zaraz mówiłem, że to baśń głupia być musi! — zawołał jeden.

Wszystkim ciężki kamień spadł z serca. Słowo arcybiskupie miało wielkie znaczenie; powiedział, że książę nie myśli o tem.

W głębi tego jednak napozór uspokojonego tłumu, choć krótkie powstanie w myśli przeciw Kazimierzowi zostawiło ślady. Obstawali i teraz przy tem, że ziemianie przy prawach stać byli powinni, nie dając sobą, jak niewolnikami, rozrządzać.

Nazajutrz, gdy się już wszyscy, oprócz duchowieństwa, które jeszcze dla narad z sobą pozostawało w Łęczycy, rozjeżdżać poczynali — i Kazimierz z orszakiem swym z zamku wyciągnął, stały znowu tłumy z twarzami jasnemi, czapki podrzucając do góry, okrzykując go radośnie. Nie było wcale śladów wczorajszej waśni i zburzenia. Kazimierz powracał zasępiony; wiedli go z pokorą nieszczerą bratankowie, Bolko najuniżeniej, szerokie schylając plecy, Otto łapiąc za kolana, Leszek uśmiechając się opiekunowi, rad, że do Płocka powracał.

Ziemianie z pocztami rozsypywali się po okolicy, śpieszyli do domów, a którzy psy mieli z sobą, ku lasom dążąc, aby po drodze zapolować i rozruszać się. Niejeden westchnął, myśląc, że z wiecu wracając, o przewód

i pokarm u kmiecia się już nie będzie mógł upomnieć, aby nie być wyklętym.

I brogi po probostwach napędzały żalu, że po śmierci księży już się do nich dobrać nie można...

VII.

Stach z innymi powracał do Krakowa; choć uspokojony po trwodze, jaką miał o swojego pana, niewesół jednak.

W Łęczycy, ocierając się pośród ludzi, przybyłych ze Ślązakami, z Leszkiem i Ottonem, wiele się podowiadywał rzeczy, które trwogę o losy księcia pomnażały. Chociaż się zdawał utwierdzonym na Krakowie, spiski nań i zmowy nie ustawały. Ludzie Bolkowi, popiwszy się, naopowiadali, że stary Mieszek, Kietlicz i ulubiony syn książęcy, Bolko, nieustannie zajęci byli zabiegami jakiemiś i przygotowaniami.

Przybywszy na zamek, Stach, że już pora była późna, do dworku Jagny nie idąc, na górce swej nocował. Nazajutrz rano, zdawszy prędko skarbiec Rajcowi, pośpieszył do Jagny.

Choć mu na duszy było ciężko, nie mógł się wstrzymać od objawienia radości, gdy ją zobaczył. Znalazł ją jak zawsze roztargnioną i niewesołą.

Przyjęła go rada, ale przedewszystkiem o księcia pytać poczęła, o podróż, pobyt w Łęczycy i co się tam działo. Stach szeroko i długo opowiadać począł, nic nie kryjąc przed nią, przyznał, jakie z sobą wiózł utrapienie i niepokój.

Nawzajem Jagna, pochyliwszy mu się do ucha, szepnęła z jakąś gorączkową niecierpliwością.

— A ja już wiem, gdzie ona jest!

Domyślił się Stach, o kim mówiła. Nie pierwszy to raz uderzała go namiętność, z jaką Jagna wymawiała to — ona! Oczy jej płonęły, brwi miała ściągnięte, twarz gorzała gniewem. Wszystko w świecie zresztą było dla niej obojętnem, tylko to, co tyczyło Kazimie-

rza, tak ją poruszało. Stach sądził, iż się tak przejęła jego przywiązaniem do księcia.

Zwykle martwa i pogrążona, gdy wspomniała jego lub Dorotę, zdawała się jakby od iskry zażegniętą.

— Wiem, gdzie ona — odezwała się tajemniczo. — Nad Wisłą stoi pod zamkiem wielkie domostwo stare. Kupił je Wichfried; parkany pobudowano wysokie, wrota okuto. Tam jej nora.

— Skądże ty wiesz o tem?

— Ja? — odparła, namyślając się trochę z odpowiedzią. — W niedzielę byłam w kościele u św. Wacława. Tęskno mi było, śpiewali księża, chciałam posłuchać. Weszła osłonięta niewiasta, której twarzy nie można było rozeznać, alem ja ją poczuła zaraz. W kościele tak jak nikogo nie było, stanęła za słupami, nie widziała mnie. Odkryła potem twarz trochę, poznałam — ona była. Ja ją z ulicy znam. Wyszła potem, oglądając się, ja wślad za nią. Posadzili ją pod samym zamkiem, ażeby łatwiej się do niej mógł dostać! Dom zaparty, jak pustka, ale czeladzi i stróżów dosyć.

Stach, rozpytawszy o położenie domu, aby sam mógł sprawdzić, gdzie była, opowiadał o tem, co się w Łęczycy działo. Jagna słuchała tak obojętnie, jakby nieledwie już życzyła, by go nazad do Sandomierza wygnano.

— Tuście wy mu szczęścia nie dali — rzekła, — co mu po tem, że więcej ludzi się kłania? Tam spokojny był, tu mu grożą! Naprzód go brońcie od tej złej pokuśnicy, ta od Mieszka straszniejsza!

Po rozmowie z Jagną poszedł Stach na zamek, aby się ze służby przy skarbcu uwolnić. Rajec, gdy do niego z tem przybył, uląkł się, zakrzyczał i rękami zatrzepał. Strach go ogarnął.

— A cóż ja pocznę bez was, niedołęga stary? — zawołał. — Mnie i pana okradną. Nie dojrzę sam, a złych ludzi pełno, nie będzie komu powierzyć klucza! Jeżeli wy pójdziecie precz, ja z wami chyba, bo nie podołam już.

Zagroził mu, że do księcia z żałobą nań musi iść.

— Ojcze mój — rzekł Stach, który starego kochał i szanował, — na nic się nie zda skarżyć, bo ja muszę

precz. Da-li Bóg, powrócić mogę, służby się nie wzdragam, ale pilne sprawy mam i wy mnie, ani żadna siła nie wstrzyma. Teraz odpuśćcie, a później, kto wie? mieć mnie będziecie.

Stary się uspokoił tem, chciał jeszcze wyrobić dla odchodzącego nagrodę u księcia, dodając, że z rąk własnych Kazimierza ją otrzyma, czem Stach przelękły, do nóg mu padł, aby tego nie czynił. Rajec nie wiedział już co myśleć, gdy jak o łaskę zaczął go prosić, aby mu nic nie dawano. Badał długo, rozpytywał, frasował się i, nic z niego nie dobywszy, puścić musiał zakłopotany. Wymógł na nim Stach, że przed księciem wcale nie wspomni nawet o odprawie jego.

Wieczorem, gdy już zastępcę znaleziono, klucze oddawszy, Stach o mroku przeniósł się do dworku Jagny, która go przyjęła niezbyt rada i trochę pomieszana. Rosło w nim przywiązanie do niej i zajęcie jej losem, a w miarę tego dziewczę zdawało się stygnąć i stawać coraz mniej przystępnem.

Niedługo też natrętnym jej być miał, bo się zaczął wybierać w drogę. Potrzeba było dowiedzieć się, co się działo z Mierzwą, który nie dawał znaku życia.

Stach miał go w podejrzeniu i naocznie chciał się przekonać, co myślał i robił.

Myśląc o tem, jak się do Raciborza niepoznanym dostać, Stach szedł właśnie na miasto ku targowicy, gdzie była gospoda kupców cudzoziemskich. W chwili, gdy przechodził, gromada ludzi skupiała się około dwóch Włochów z Lombardji od Werony, ze skrzynkami na plecach, z kijami w ręku stojących pośrodku. Szedł naówczas już handel ten przez Alpy, na Ren, skąd się dostawał do Frankonji, Erfurtu, Magdeburga, a stąd do Czech i do Polski. Lombardczycy przynosili drobne wyroby włoskie, pierścienie, łańcuszki, noże, korale, krzyżyki, rzeźby z kości słoniowej i t. p. Wędrowali oni czasu pokoju do Krakowa i głębiej.

Ci dwaj, którzy tu przybyli, z trudnością się porozumieć mogli z otaczającymi. Po niemiecku źle i mało

mówili, a narazie nie było nikogo, coby im mógł za tłumacza służyć.

Po stroju poznawszy Włochów, których się napatrzył Stach, gdy swego pana strzegąc, wędrował z nim w wyprawie do Medjolanu — zbliżył się ku nim.

Wielka była radość cudzoziemców, gdy swoją mowę z ust jego posłyszeli. Chwycili się go, błagając, aby tu im chciał być pomocą. Nie miał Stach nic lepszego do zrobienia, zabrał ich do domu swego; po drodze już przyszło mu na myśl, iż, zmówiwszy się z nimi, za wynagrodzeniem, mógłby, jako Włoch przebrany, wędrować do Raciborza.

Prowadząc ich do dworku, począł już rozgadywać się z nimi.

Młodszy z nich, Andreo, żwawy, rozmówny, śmiały, szczególniej przystał do Stacha. Stach poufną zaczął rozmowę, zwierzając mu się, iż rozmiłowany był w pewnej niewieście, do której dostąpić nie mógł. Włoch mu się naprzód za posła i pośrednika ofiarował — ale tego nie starczyło. Stach objawił mu myśl swoją, iż do miasta, w którem mieszkała, mógłby z nimi iść za kupca przebrany, a po drodze i na miejscu sprzedaćby wiele dopomógł. Włoch, jak tylko się dowiedział, iż o miłosną szło sprawę, z wielkiem współczuciem się oświadczył i gotów był dostarczyć ubrania.

Gdy Stach wdział suknie włoskie i węzełek na plecy wziął, twarz nieco uczerniwszy, w istocie trudno go było poznać. Andrea i Luca, dwaj jego towarzysze, którym dobrze z nim się działo, nietylko złego nie myśleli, ale gotowi byli choć na najdłuższą wędrówkę. Poił ich, karmił, za tłumacza służył i do handlu wielce dopomagał.

I to też dla nich coś warto było, że się z nim przez drogę o nieznanym kraju rozgadać mogli. Po dworach i osadach pomniejszych nie było się po co zatrzymywać, zamków na gościńcu nie spotkali i, pieszo powoli się tak wlokąc, naostatek i raciborski gród ujrzeli.

Gospoda, w której się zatrzymali, była razem i karczmą dla ludu, w której miód i piwo sprzedawano.

Zachodziło do niej różnej gawiedzi wiele, szczególniej z zamku i z tych, co do niego przybywali. Rozmawiali o Mieszku, o jego obrotach, o dworze, o posłańcach, jakby naumyślnie dla tego, który pilnego nastawiał ucha.

Stach podsłuchiwał. Gdyby nie Mierzwa, który na zamku się mógł znajdować, i tamby był z przekupniami się wcisnął. Szczęście mu jednak posłużyło lepiej, niż się spodziewał, choć nierychło. Cały jeden dzień na ławie przesiedziawszy, drugiego, gdy trochę z gospody się wychylił na gościniec, chcąc ku zamkowi rzucić okiem — postrzegł jadącego człeka, którego dobrze znał.

Był to Barwin, teraźniejszy skarbny Mieszka, który, w Krakowie matkę mając i siostry, często tam bywać musiał, a nawet się w służbę do Kazimierza chciał wprosić. Stacha do tego używał, by mu pomógł, bo Mieszkowi tylko z musu i mimo woli służył. Niedowierzając mu, zbyto Barwina niczem, choć Stach znał, iż go za swego prawie mógł liczyć. Na Stachu on polegał, że się prędzej później do Krakowa do rodziny dostanie i chleb znajdzie.

Nim się namyślił, co miał począć, dać mu się poznać, czy nie, Barwin, który bystre miał oko, już go zobaczył, bo strój obcy uderzał. Stach nie chciał uciekać, aby się nie zdradzić, dał mu więc przystąpić blisko, stanąć i zapatrzeć się.

Barwin, nie będąc pewien swego, choć miał podejrzenie, do gospody wszedł, z Włochami trochę pobełkotał, bo cośniecoś języka ich zrozumiał przez łacinę, i zaraz w podwórze, gdzie Stach siedział, powrócił. Zaczepił i jego z włoska, spojrzeli sobie w oczy, głos zdradził — poznał go.

Z ciekawością wielką Barwin odciągnął na stronę mniemanego kupca — pytając, co on tu myślał i z czem przybył, a dokąd się udaje?

Trzeba było śmiałością nadrobić i coś ważyć, Stach mu więc odpowiedział naprzód pytaniem, czy chce do Krakowa się dostać i mieć urząd, o który się starał?

— A! radbym się stąd wyrwać jednej godziny — zawołał Barwin.

— Nie zdradźcież mię i posłużcie — rzekł Stach, biorąc go za rękę, — ja wam ręczę, że nie pożałujecie.

Skarbny słuchał pilnie.

— Czego chcecie? Mówcie, wasz jestem!

— U was się coś gotuje? — zagadnął gość.

Barwin głową potwierdził.

— O tem wróble na dachach wiedzą — rzekł.

— Cóż robi Mierzwa? — badał go dalej.

— Służy wiernie dawnemu panu — mówił skarbny, — o tem też dawno wiedzieć powinniście. Ściągnął tu do siebie rodzinę i mienie, a czasem się tylko do Krakowa wymyka, aby stamtąd języka przywiózł.

— Dobrze i to wiedzieć — rzekł Stach. — A no teraz idzie mi o to, abym się z nim nie zetknął, bo mnie pozna i wyda.

— Nie spotkacie go teraz — odparł Barwin, — bo go posłano do Poznania, czy Gniezna i dziś dopiero nocą powrócić może.

— Cóż wy tu sposobicie? — pytał Stach dalej.

— Chyba o tem musicie wiedzieć — mówił skarbny.

— Nie wiem nic.

— Byliście w Łęczycy?

— Byłemci. Stamtąd książę Bolko wrocławski, który Mieszkowe listy woził do zgody z Kazimierzem, przyniósł nam dobre wieści.

— Jakie dobre? Co wam w głowie? — przerwał Stach.

— Juści dobre — rzekł Barwin, — kiedy książę Kazimierz dla pokoju i zgody Poznań mu oddaje.

— Ależ tam Otto siedzi!

— Z nim sobie jakoś poradzimy — ciągnął dalej skarbny. — Bolko nam przywiózł zapewnienie, że Gniezna i Poznania Mieszkowi nie będą odbierać, byle je sobie wziął.

— Jakto? Nie może to być! — zawołał Stach. — Bajdy wam prawiono. Wszakże Poznańczycy, zasły-

szawszy, iż im Mieszka dać chcą, o mało buntu nie podnieśli.

— My i to wiemy — odparł Barwin, — ale Poznańczycy w Łęczycy, a na swoich śmieciach inni są. Mniejszych ziemian Mieszek wszystkich ma za sobą, bo ci starszyźnie zazdroszczą, a liczbą ją przenoszą.

Słuchając, Stach osłupiał.

— Nie może to chyba być — zawołał, — kłamstwa są jakieś i zdrady w tem. Czyżby książę Kazimierz Gniezno, które trzyma sam, i Poznań, dany Ottonowi, miał oddawać dobrowolnie? komu? bratu, który go słuchać nie będzie?

— Tak jest — rzekł skarbny, — my to wiemy, że umowa potajemna stanęła, o której u was w Krakowie mówić wara. Kazimierz się na to zgodził. Co potem z tego wyrośnie, nie moja rzecz.

— Wyrośnie to, że Kazimierzowi przez wdzięczność Kraków zechce odbierać! — krzyknął Stach, zapominając się.

— Miejcież się na pieczy — dodał Barwin.

Stach, jak ukropem oblany, czekać już tu nie miał czego. Nie mógł pojąć dobroduszności Kazimierza, który dawał nieprzyjacielowi oręż na siebie. Trzeba było z wiadomością o tem pośpieszyć do biskupa.

Barwina więc musiał zjednać sobie, aby mu konia dostarczył nocą i sukni innych, gdyż włoskie zrzucić miał w gospodzie. Skarbny, chcąc go sobie pozyskać, na wszystko się godził. A że Mierzwy o mroku nie obawiał się, choćby powrócił — wcisnęli się więc małą furtką na gród do środka.

Zamku niebardzo strzeżono. Mieszek tak się czuł tu bezpiecznym, iż bramy stały otworem. Żołnierzy było dosyć. Weszli więc niepostrzeżeni pomiędzy czeladzie.

Synowie Mieszka właśnie na podwórcu konie sobie wybierali. Stary siedział na ławie w podsieni i przypatrywał się milczący. Na wszystkich twarzach widać było radość i ożywienie wielkie. Stach jeszcze z Barwinem stał za ścieżką w podwórzu, gdy z pośpiechem

wielkim wpadło na zamek kilkanaście koni. Kietlicz powracał z Gniezna.

Wstał, idąc przeciw niemu Mieszek, rozmowa poczęła się głośna. Niepocześnie odziany dla niepoznaki Kietlicz, zasapany jeszcze, donosił panu, iż arcybiskupa w mieście nie było i ludzi na zamku mało, tak, że znienacka napadłszy we dnie, gdy się najmniej pilnowano, łatwo było gród ubiec.

Zaczęto się na głos z siłami liczyć, dnie rachować. Jeszcze Kietlicz stał, rozpowiadając, a Bolko, starszy syn księcia, radośnie wykrzykiwał i w ręce bił, gdy i Mierzwa się we wrotach zjawił, powracający z Poznania. Stach skrył się ostrożnie, obawiając się lisiego oka jego, ale nie ustąpił. Osłaniał go Barwin i mrok.

Mierzwa wprost z konia podszedł z pokłonem do kolan pańskich, zaczął coś szeroko, wywijając rękami, opowiadać, ale mowy jego dosłyszeć nie było można, bo schrypłym głosem, kaszlem przerywanym, niezrozumiale bełkotał. Zdala widzieli tylko, jak się wedle swego zwyczaju to po twarzy tarł, to na palcach coś liczył, to w różne strony ukazywał.

Mieszek i Kietlicz mocno nacierali na niego, bo długo sprawę im zdawał z tego, co przynosił. Na twarzach widać nie było, aby nowiny, które przynosił, złe być miały. Kilka razy Kietlicz się odezwał głosno:

— A no, będzie, jak powinno być.

I to dosłyszał Stach, jak gruby ów pański namiestnik do Mierzwy wołał:

— A no, słowo mamy, że przeciw nam nie pójdą, wojować nie będą, byleśmy sobie wzięli Poznań i Gniezno. Otto się bronić nie będzie, ani się spodziewa.

Nigdy Stach powolnym nie był, paliło się w nim zawsze bez miary, teraz, jak opętany, chwili nie tracąc, Włochów się datkiem zbywszy, puścił się pod noc w drogę.

Myśląc i przemyśliwając nad tem, co na własne uszy słyszał, nie chciał temu wierzyć, ażeby Kazimierz dobrowolnie bratu oddawał Wielkopolskę; sądził, że tę

wieść puszczono umyślnie, dla dodania żołnierstwu ducha.

Chciał dostać się w porę do Krakowa, aby zamachowi zapobiec.

Dotąd wiodło mu się szczęśliwie, teraz szło, jakby na przekorę. Ów młody koń Barwina, szparki a gorący, sił wiele nie miał; rwał okrutnie z kopyta, a wprędce tak ustał, że choć go było w ręku prowadzić. Boki mu powciągało, jeść nie chciał i gdy się nad rankiem na łące położył, zdawało się, że tam zdechnie.

Tak, dłużej się daleko wlokąc, niż rachował zrazu, na koniu, z którego nic już nie miało być, bo ledwie dychał, dostał się do dworku nocą.

Gdy się nierychło do wrót dostukał i stary Hreczyn sam mu otworzył, pierwsze pytanie jego było o Jagnę. Stary zabełkotał coś niewyraźnego, a potem dodał, że spać musi.

Poszedł Stach do swej izdebki, do której pośpieszał zbudzony Żegieć. Było około północy i za późno, aby iść zaraz do biskupa. Musiał to odłożyć do rana.

Gdy Hreczyn odszedł i sami we dwu zostali z Żegciem, Stach ponowił pytanie, co się tam działo z Jagną. Żegieć tylko ramionami ruszył.

— Wczoraj poszła spać — rzekł, — bo zwykle do północka siaduje, a tum jej, przybywszy, nie widział.

Nie było odpowiedzi.

— Gadajże! — przyganił Stach.

— Co mam gadać, gdy nie mam o czem — odparł sługa i, pomilczawszy, dodał: — Jej bo pono w domu niema.

Zerwał się Stach, jakby weń piorun uderzył przyskoczył do sługi.

— Kłamiesz! — krzyknął.

Żegieć dodał:

— A niema jej, sam widziałem, gdy wychodziła; dotąd Hreczyn we wrotach, czy w oknie czeka na nią.

— Wyszła sama?

— Sama.

— Dokąd?

— Któż ją wie! — rzekł Żegieć. — Nie pierwszy to raz — dodał smutnie stary sługa.

Przybity stał Stach, własne nieszczęście z pańskiem pomieszało mu się w głowie — bezwładny, odrętwiały padł na łoże, a Żegieć do nóg mu przyskoczył.

— Panku miły — począł, — zlituj się, czego masz za tą dziewką przepadać!

Odepchnął go Stach. Marzyło mu się jednej godziny ze dworku wynosić.

Cisza była na mieście, noc ciemna, wtem Hreczyn do izby wpadł przerażony — słychać było zdala dzwon na Wawelu.

— Na mieście, czy na zamku ogień! — krzyknął. — Pali się, łunę już na niebie widać! Gore!

Z sąsiednich dworków z tym okrzykiem — Gore! gore! ludzie wysypywać się już zaczęli. Jedni wołali — ogień na zamku, drudzy na podzamczu, niektórzy biegli na łunę. Stach bezmyślnie prawie chwycił się, jak stał, z pościeli i wybiegł za nimi.

Głuchy gwar słychać było w budzącem się mieście, dzwony po jednemu się odzywały, zwołując na ratunek; coraz gromadniej bieżono ku pożarowi.

W górze, na obłokach krwawa zarysowała się łuna, rosła, stroiła się w karmazyn i rubiny, a na jej tle kłębami zjawił się ciemny dym, iskrami dziany. Stach ulękł się, czy nie na zamku gorzało, ale gmachy jego sterczały ciemne na rozpalonej łunie. Ogień dalej i niżej gdzieś być musiał, właśnie w tym kierunku, gdzie się dwór Doroty miał znajdować. Stachowi i to na myśl przyszło, że Kazimierz mógł tam być, biegł więc, co miał sił, ku ogniowi.

Leciał, mijając ludzi, rozpychając tłum, potrącany, zatrzymywany, torując sobie drogę gwałtem, gdy w ciasnem przejściu uczuł nagle dwie ręce, które mu się splotły i uwiesiły na szyi, krzyk potem straszny usłyszał i blada twarz upadła mu na piersi.

Była to Jagna z dzikim wyrazem na licu, jakby obłąkana. Gdy ją miał pochwycić, dziewczęciu się ręce rozwarły i bezsilna upadła na ziemię. Skoczył Stach ra-

łować omdlałą, zaledwie zdoławszy zasłonić od tłoku, który cisnąc się zewsząd, mógł ją nogami stratować. Nieprzytomną podniósł z ziemi. Włosy miała biegiem rozwiane, ręce jakby sadzą i dymem powalane, spaleniznę czuć od niej było.

Stach, nie mogąc tu z nią pozostać wśród ciżby, gdyż piesi i jezdni zewsząd naciskali, biegnąc ku pożarowi, chwycił ją na barki i niosąc omdlałą, zawrócił nazad do dworku.

Zdało mu się, gdy ją trzymał, że się parę razy rzuciła, jakby oprzytomniawszy, krzyknęła coś niewyraźnie i znowu wróciło omdlenie. Z ciężarem tym dopadł wreszcie do wrót swych, gdzie Hreczyn, Żegieć i służba cała stała. Uchronić się od ich oczów nie było podobna, bo życie ratować musiał. Spostrzegłszy panią swą w tym stanie, Hreczyn i dziewki krzyknęły rozpaczliwie, pochwycono ją na ręce i tak do izby na posłanie wniesiono.

Służebne przypadły cucić i oblewać panią, Stach już o pożarze nie myślał. Jagna wkrótce oczy otwarła, powiodła niemi dokoła, poznała Stacha, krzyk się jej wyrwał z piersi, usiadła na łożu. Oczy miała obłąkane, a choć życie wróciło, przytomności jeszcze nie odzyskała.

Przy świetle lampki dostrzec mógł Stach, że suknia na niej i ręce były osmolone. Pogasłe, ale nadgorzałe kawałki pakuł przylegały do jej odzieży. Trzęsła się, milczała, Stach także; Hreczynowi dała znak, aby się oddalił, odprawiła sługi, Stach z nią pozostał jeden.

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, zerwała się, zachwiała na nogach, pobiegła do okna, wyjrzała. Blask łuny ogromnej aż tu dochodził; z dziką radością rozśmiała się do niej. Wskazała palcem w stronę pożaru.

— Pali się! pali! Spali się wiedźma przeklęta! — krzyknęła. — Ogień w pierwospy na cztery rogi, wrota zaparte, ludzi nie było! spali się! spali!

Klasnęła w ręce.

Stach słuchał i, nie mogąc zrozumieć, patrzał jej w oczy — powtarzała ze śmiechem mściwym:

— Spali się!

Odwiódłszy go potem od okna, poczęła żywo, pocichu:

— Zrobiłam dobrze, nieprawdaż? To ja jej dwór podpaliłam.

— Czyj? — spytał Stach.

— Wiedźmy tej, co mu życie odbierała!

Namiętność, z jaką to mówiła, przeraziła słuchającego.

— Tak — dokończyła, dysząc, — stróż był przekupiony; — kilka nocy tam chodziłam, podkładałam pakuły, chuby, siarkę, a dziś ogień zaniosłam... Stałam, patrząc, póki dobrze nie rozgorzało. Wszyscy już spali. Paliło się pocichu, płomię szło do góry.

Załamała ręce.

— Może ją wyratowali! Nie, to nie może być! Nie. Idź ty, idź — ja już sił nie mam; bież zobacz, czy wiedźma spalona.

Sił jej zabrakło i padła napół zemdlona, śmiejąc się tym śmiechem serdecznym, który się dobywa z największej boleści, na postrach uszu ludzkich.

VIII.

Na zamku z rana czeladź na podsieniach zebrana rozmawiała o ogniu wczorajszym.

Paliło się pod samym zamkiem, w domu Wichfrieda, w którym mieszkała wdowa. Sam książę z czeladzią biegł na ratunek, ale dwór spłonął mimo niego prawie cały, a z nim, mówiono, bogactwa wielkie.

Wichfriedowi nic się nie stało, a książę przyrzekł mu i dom odbudować i komory napełnić znowu. Ten, który opowiadał, okiem jednem pomrugiwał chytrze i szeptał bardzo cicho:

— A baba? — spytał jeden.

— Licho bab nie bierze — dołożył inny; — z ognia czy z wody wyciągną je zawsze. Nic się jej nie stało... Wichfried ją wyniósł i zaraz do innego domu zaprowadzili.

— Sam książę tam był...

— Gadają — ciągnął pierwszy, — że ją druga jakaś baba z zazdrości podpaliła; widzieli ją jak uciekała. Gorzała, słyszę, na niej odzież i włosy. Podpalono tęgo, na cztery rogi.

— A czemuż ją nie łapali?

— Ale! Aby urok rzuciła lub chorobę? Już taka, co się porwała na tę wiedźmę, sama nie lepsza być musi.

Umilkli wszyscy, zobaczywszy Wichfrieda, który blady i zadumany, zły, szedł z miasta, pominął dworskich i prosto kroczył do księcia.

Kazimierz spoczywał chory i zmęczony, u łoża jego siedziała księżna, ręce załamując, dopytując napróżno, coby mu dać pić, albo jeść. Książę nie chciał nic, nie śmiał nawet patrzeć na nią, łagodnie jej tylko odpowiadając, jakby się pozbywał. Z drugiej strony łoża siedział kniaź Roman, zwykle wesół, teraz gniewny, patrząc na twarz księcia niespokojnie.

— A poco wam było samemu w ogień biec — mówił, — kiedy ludzi tylu macie? Zamkowi nie groziło, a Wisła blisko.

Wtem w progu pokazał się Wichfried, wszyscy nań spojrzeli, najpierwszy Kazimierz, który znacząco oczyma go badał. Wichfried pomieszany był, nieswój.

— No! no! — odezwał się do Wichfrieda kniaź Roman, — *ne żurysia,* lepszy dwór będziesz miał z łaski twego pana; pocałuj go w rączkę i nie myśl o tem!

Księżna wstała.

— Byle z tego memu panu choroby nie było! — rzekła.

— Z czego ma być choroba? — odparł Roman. — Przeżegnaj się! Co? albo my to lalki słomiane? Niech tylko pójdzie do łaźni, a winnikami go wytrą, a wina z korzeniami zagrzać każ, wyśpi się, spotnieje i będzie zdrów. A on z czego ma być chory?

Wstał i kniaź, jakby przyjście Wichfrieda dla księżnej i dla niego było znakiem do oddalenia się. Bolko, syneczek, który w głowach u ojca siedział, pocałował

go w czoło i za matką a dziadem się wysunął. Kazimierz dopiero śmielej podniósł oczy.

— Gadaj! — rzekł, — może-li to być! Podpalono?

— O! że podłożono ogień, to pewna! — odezwał się Wichfried — i mądrze i pocichu! Pod każdy węgieł, pod dach podetknięto pakuły i ogień. Wrota z zewnątrz były podparte, dopóki z miasta ludzie nie podpadli.

Twarz księcia pobladła.

— Czyjaż to sprawa? — spytał cicho.

Wichfried wahał się z odpowiedzią.

— Wierzyć mi się nie chce — rzekł; — mówią, że uciekającą popaloną babę jakąś widziano. Leciała, krzycząc.

Kazimierz szeptał, jakby sam do siebie:

— Baba podpaliła? Kto? Jaka?

Wtem podkomorzy wszedł, oznajmując biskupa Gedkę; trzeba było wyjść naprzeciw niemu. Książę wymógł na sobie, że twarz wypogodził nieco, ruszył na spotkanie i wprowadził biskupa, który twarz miał bardzo nachmurzoną. Popatrzył znacząco na Wichfrieda, jakby go chciał oddalić, a choć rozmowa sam na sam z Gedką zawsze była Kazimierzowi przykrą, bo przychodził często z napomnieniami i strofowaniem, musiał skinąć na Niemca, aby odszedł. Choć niechętnie, Wichfried się miał ku drzwiom.

Gedko zasiadł w krześle i dłonią podparł zamyślony, twarz miał zmienioną, wejrzenie niespokojne.

— Złe wam wieści przynoszę — odezwał się zwolna, — więc nie śpieszę z niemi; choć nigdy zawcześnie ich mieć nie możecie dla odwrócenia złego... Mieszek zabiera się zajeżdżać Gniezno wasze i Wielkopolskę. Wy, miłościwy książę, zdajecie się dotąd o tem nic nie wiedzieć, bo nic nie czynicie. Gniezna bronić trzeba, Poznania, Ottonowi go dawszy, nie można mu pozwolić odbierać.

Spojrzał na księcia, który stał ani zdziwiony, ani poruszony tą wiadomością; słuchał spokojnie.

— Ja mam doniesienia pewne — potwierdził biskup; — przychodzę pytać, co czynić myślicie?

Książę wahał się dosyć długo z odpowiedzią. Gdy szło o rzeczy przekonań i sumienia, pan ten, łagodny zawsze, często lekki, stawał się twardym i nieugiętym. Śmiało po królewsku podniósł głowę i na zapytanie, co myślał czynić, odparł krótko:

— Nic, mój ojcze!

Gedko podniósł oczy, czekał tłumaczenia.

— Tak jest, nic — kończył Kazimierz, — nie uczynię żadnego kroku. Mieszkowi ojciec Wielkopolskę za dzielnicę naznaczył, nie godzi mi się mu jej przeczyć i odbierać. Zabierze Poznań, Gniezno — dam mu je trzymać. Tak każe sprawiedliwość.

Zżymnął się biskup.

— Sumienie wasze znam — rzekł, — szanuję głos jego, ale, książę mój, nie o Wielkopolskę tu idzie, nie o Mieszka, o państwo twe całe. Brata waszego nie znacie tak jak my. Dziś chce Poznania, jutro się upomni o Kraków. Mając siłę, zwiąże się z bratankami śląskimi i padnie na was! padnie!

— Wówczas ja bronić się będę — odparł książę. — Lecz ze strachu, aby się to nie stało, nie mogę go pozbawić ojcowizny. Tak samo dla obrony od napaści na życie jego mógłbym nastawać. Nie, tego uczynić nie mogę. Stanie się wola Boża; ten, co widzi serce moje, ratować mnie będzie!

Gedko zamilkł, rozmowa była trudną, przekonanie niepodobne, Kazimierz stanowczo wolę swą objawiał.

— Zatem patrzeć będziemy obojętnie na to, jak się na nas gotować będzie napaść niechybna i nieprzyjacielowi broń damy w ręce? — Westchnął. — Stań się wola Twoja, Panie!

Biskup mówił dalej powoli z rezygnacją:

— Z Poznania, z Raciborza, z Wrocławia mam wiadomości pewne: na tem się nie skończy, że Wielkopolskę wam wydrą. Mieszek w zmowie jest ze Ślązakami, zabiega około chorego Leszka, aby i ten spadek mu po sobie zostawił, a nie wam. Dzieciak słaby, którego

łada fraszką zyskać sobie można, odda mu Mazowsze i Kujawy. Naówczas pomyślcie-no! Wielkopolska, Mazury, Kujawy, Śląsko, Pomorze staną przeciwko wam. I wy dajecie się tej srogiej burzy zbierać nad głowami waszemi, nie czyniąc nic?

— Widzę ją, tak, ale uprzedzić nie mogę — odpowiedział Kazimierz. — Mieszek dotąd nie dał mi powodu wątpić o sobie. W Łęczycy, owszem, Bolko mi od niego przyniósł zapewnienie posłuszeństwa i zgody!

— A! a! zapewnienia! — rzekł Gedko. — Co Mieszka kosztują słowa, choćby i przysięgi? Dla panowania wszystko poświęci!

— A ja, ojcze mój, dla panowania nie poświęcę sumienia — odezwał się Kazimierz silnie. — Czemże ono jest obok spokoju mojej duszy, gdy w niej się czuję czystym? Dajcie mi iść tą drogą, a resztę zostawmy Opatrzności.

Biskup poruszony wyciągnął ręce, aby go objąć i uścisnąć.

— Tak! — zawołał — tak! Opatrzność chyba będzie czuwać nad tobą, bo ty na Nią zdajesz wszystko z ufnością dziecięcia!

— Starajcież się łaskę Bożą sobie pozyskać — dodał, — abyście każdej chwili czystymi byli przed obliczem Jego. Wielbię ja cnoty wasze, ale nad słabościami boleję. Nieszczęsne te niewiasty na zgubę was wiodą.

Kazimierz nigdy się nie tłumaczył, gdy go biskup upominał i teraz pokornie zmilczał.

— Odpędźcie precz te kusicielki — mówił Gedko, — czas jest, dziecko moje. Nie przystoi wam płochość, a u ludzi dajecie się na pośmiewisko.

Po przestanku Kazimierz rzekł cicho:

— Dziękuję wam, ojcze, za naukę. To, co mi mówicie, sto razy ja sam powtórzyłem sobie. Oprzeć się nie mogę złemu.

— Bóg miłościw — dodał biskup, — czeka cierpliwy, aliści dla upamiętania dotknąć was może w tem, co najdroższe, w dzieciach waszych...

Aby osłodzić tę groźbę straszną, Gedko uścisnął znowu księcia. Rozbrajała go pokora. Rozstali się tak czule, serdecznie, ale rozmowa nie przyniosła innego skutku nad ten, że przekonała Gedkę, iż Gniezno i Poznań były stracone.

Po wyjściu jego Wichfried, który niedaleko czatował, zjawił się zaraz, domyślając się, że bez upomnień nie obeszło i że skutek ich potrzeba było zatrzeć. Zręczny Niemiec nigdy wprost nie mówił przeciw biskupowi, ale umiał obrócić myśli w inną stronę i poważne sprawy lekko malować.

Wszczął więc zaraz znowu mowę o Dorocie, jak ona oddaną mu była, a we wczorajszem niebezpieczeństwie nie o sobie, ale o przybyłego Kazimierza się trwożyła. Wichfried donosił, że miał już upatrzony dom inny, który natychmiast miano przerabiać i przysposobić dla wdowy. W pożarze, jak powiadał, straciła ona wszystko i potrzeba było myśleć, aby nawykła do wygód nie czuła ich braku.

Książę słuchał z jakąś niecierpliwością i niechęcią, zamykając niemiłą mu rozmowę rozkazem, aby ze skarbca wzięto dla Doroty, czego tylko potrzebowała i sowicie ją opatrzono.

— Nie mówcie mi już tylko o niej — dodał, — nie przypominajcie mi grzechu mojego. Chcę się z tych pęt uwolnić. Biskup spokoju mi nie daje, sumienie gryzie, muszę się przemóc i wyswobodzić. Ogień ten palcem był Bożym.

— Ogień złość ludzka podłożyła — przerwał Wichfried; — przy pomocy Bożej i ludzi spodziewam się odkryć sprawcę. Zazdroszczą wdowie wszyscy, co dziwnego, że radziby ją upiec żywą? Sprawa to niewieścia, nie Boża.

Książę się zmarszczył.

— Milcz, proszę, nie mów o tem więcej.

Przywołano starego Rajca, aby ze skarbca wydawał, co było dla Doroty potrzeba. Książę, jakby sumieniem gnany, do żony się udał. Wichfried do wdowy...

Dom, do którego się ona czasowo schroniła, nale-

żał do wojewody Szczepana, ale ten go nie zajmował. Nie był tak obszerny, jak dwór, który wczoraj spłonął, a stał w niewielkiej odległości od dymiącego jeszcze pogorzeliska.

Ochłonąwszy już ze strachu, piękna Dorota przyjmowała cisnących się druhów swoich. W ogromnej izbie z belkami sczerniałemi u pułapu i ścianami pstro pomazanemi, zarzuconej nagromadzonym bez ładu sprzętem, wdowa strojna, z włosem utrefionym i namaszczonym, w sukni bramowanej, obcisłej, z rękawami długiemi, wpół siedząc, wpół leżąc, otoczona mężczyznami, rozpowiadała wczorajsze przygody swoje. Coraz ktoś nowy przybiegał, zalecając się, przynosząc coś dla pogorzałej. Przyjmowała wszystkich i wszystko.

Najbliżej niej siedział wojewoda Szczepan, zapomniawszy na wstyd, z policzkami zarumienionemi, zazdrosnem okiem spoglądając na młodzież, cisnącą się do płochej niewiasty, uśmiechającej się zkolei każdemu.

— Tylkom co oczy zmrużyła — mówiła, — cicho było we dworze, pozamykano wszędzie, bo stary mój dobrze porządku pilnuje. Spać mi się chciało, sen kleił powieki, jak po makowej polewce. Zdawało mi się, żem w podwórzu usłyszała skrzypnięcie furtki, ale jakże to być mogło, kiedy tam stróż chodzi i wcześnie ją zamykają? — myślałam sobie. Wiatr szumiał zdala. Budzę się, coś jak światełko błyszczy mi przez szczeliny okiennicy, oczom nie wierzyłam, a sen morzył. Upłynęło czasu trochę, coś zaszelpotało pod ścianą — wiatr albo psy moje biegają! Co tam! Naraz zaleciała mnie spalenizna... czułam, że coś gorzało... Sądziłam, że ogarek nocny w drugiej izbie zagasnął i swędu narobił. Sen tak morzył, ani się ruszyć!

Ciężko się robiło na piersi, duszno... tchnąć coraz trudniej. Zmora jakaś, myślałam! W izbie trzeciej chowany mój kruk krzyczeć zaczął przeraźliwie, słyszałam, jak bił skrzydłami i miotał się. Coś mu się stało. Ledwiem powieki mogła podnieść, patrzę — przez szpary w okiennicach jasny ogień płonie, w izbie dym, a tu

już i krzyk dziewek mnie dochodzi. Zerwałam się, do drzwi trafić nie mogąc. Wrzawa otaczała dom. — Gore! gore!

Biegałam do wyjścia, zgubiwszy pamięć, bijąc się o ściany. Na podwórzu biegali ludzie, dym się wciskał do izby i płomienie, na dachach trzaskały darnice. Gdy mi do drzwi otwierały służebne, nie wiem już, co się działo ze mną i kto mnie na rękach z płomieni wychwycił.

Budynek gorzał cały, a dziedziniec stał jeszcze zaparty, zewnątrz łamano wrota, bo z obu stron były kołami zabite. Piekło dokoła! Żem przeżyła tę noc — cud chyba!

Opowiadali i drudzy, wojewoda drżał i łzy mu ciekły z powiek zaczerwienionych.

Wszyscy świadczyli, że widziano niewiastę uchodzącą; że stróż, który u wrót stał, zniknął, nikomu nie było tajno. Zląkł się i uszedł; zdradził, czy spalił się — różnie sądzono. Ktoś musiał jednak być sprawcą ognia i pozabijać wrota.

Wdowa mówiła, płakała, śmiała się, a że już jej dawne życie wróciło, rzucała oczami, wdzięczyła się, wyciągała ręce białe i kibić, okrągłą dosyć, na popis stawiła. Młodzi śmieli się, powiadając, że zazdroszczą temu, co ją wynosił z pożaru.

— Nielada to siłacz być musiał — rzekł jeden, — bo jest co nieść!

— Choćbym się poderwał i popalił — zawołał drugi, — a radbym was na ręku poniańczyć.

Żartowano już, nie oglądając się na słowa.

We dworku Jagny okiennice były pozamykane, Stach chodził po gościnnej izbie. Część nocy spędził przy niej, pochwytał, co w gorączce mówiła; jawnem było, że Jagna z nienawiści ku niewieście, ku której niechęć zawsze okazywała, ważyła się na podpalenie. Skąd się jednak brała ta sroga nienawiść, Stach pojąć nie mógł. Żadnem słowem, nawet w gorączce, nie zdradziła się Jagna.

Gdy się nieco nad ranem uspokoiła, służebne prze-

straszone do snu ją ukołysały. Stach czuwał do rana. Gdy zasnęła, skorzystał z tej chwili, zaniósł do biskupa to, z czem przybył. Natychmiast potem wrócił do dworku i zastał ją śpiącą jeszcze. Kilka razy w nocy dawać jej wodę musiano, paliło ją pragnienie, potem sen kamienny trzymał, jak nieżywą, do południa.

Stach przychodził kilka razy, stawał i patrzał na uśpioną. Zasypiała głęboko, z wargami spalonemi, ale dysząc lekko i jakby uspokojona. Gdy się w nią wpatrywał mocno, jakby poczuła jego wzrok, otwierała oczy nagle; błysły źrenice z pod powiek i zamykały się znowu. Sługi płakały; sen ten dziwny wydawał się im ostatnim.

Sprowadzono starą lekarkę, która popatrzyła, poszeptała i odeszła, mrucząc, że wstanie zdrową.

Już dobrze z południa Jagna zaczęła się poruszać, obracać, potem z ciężkiem westchnieniem podniosła, zatoczyła oczyma. Stach stał w progu; zobaczyła go, musiała przypomnieć sobie, co sen zatarł w pamięci. Dłoniami, nieco sczernionemi od dymu, potarła czoło, odgarnęła włosy i, popatrzywszy na swe ręce, wzdrygnęła się nieco. Spokój powrócił. Skinęła na Stacha, aby przyszedł ku niej; a gdy się pochylił, szepnęła mu do ucha:

— Spaliła się wiedźma?

— Nie — rzekł Stach, — wynieśli ją z płomieni.

Oczyma wielkiemi, strasznemi zatoczyła wkoło niedowierzająco.

— Nie spaliła się? Nie?

Zadumała głęboko i padła płacząc na posłanie.

— I ogień jej nie bierze! — mruczała. — A ona go zgubi!

Stach pytań nie śmiał zadawać.

— Nie spłonęła ona — rzekł po chwili, — ale was widziano, gdyście od ognia bieżeli. Nuż wydadzą! nuż pozna kto!

Z wyrazem pogardliwym Jagna zwróciła twarz ku niemu.

— No... to mnie spalą na stosie! — odezwała się, —

a wy pójdziecie patrzeć wszyscy! Przyjdzie i ona, i książę. Uwiążą do słupa! Raz trzeba umierać; to łatwiej, jak żyć.

Stach się odważył na pytanie:

— Skądże wam do niej ta nienawiść?

Z półuśmiechem odpowiedziała mu Jagna:

— Albośćie to nie widzieli psa i kota, co się w życiu nigdy nie spotykali, a zszedłszy się na drodze, padają na się? Tak z nią i ze mną. Nienawidzę jej!

Wstrząsnęła się cała i, wpatrując długo w róg izby, jakby zapomniała o Stachu.

— Nie spaliła się — mruczała. — A wrota były zaparte, a dach płonął cały, a spali wszyscy... Kto ich pobudził?

— Mówią w mieście, że kruk — rzekł Stach.

— Szatan, nie kruk! — krzyknęła, — szatan, co wiedźmy pilnuje. Kruk? Czarny — djabeł! I ona, jak kruk żyje, żrąc, co spotka, żywem, czy padłem.

Drugiego dnia wstała Jagna, lecz ona, co zawsze była silną i wytrwałą, wlokła się ledwie, przeszedłszy, chwiejąc się, przez izbę, na ławy padała. Twarz miała wybladłą, oczy zapadłe.

— Ona się nie spaliła — mruczała chodząc, — a ja zgorzałam, aż mi duszę pali!

Złagodniała bardzo. Nie płakiwała dawniej nigdy, teraz powieki miała od łez czerwone i strumienie ich, płynące na licu bladem, drogi krwawe popaliły.

Tylko przed Stachem udawała mężną, dłonią suszyła oczy, starając mu się uśmiechać. On patrzał na nią, nie mówiąc nic.

IX

Dnia jednego — dzień to był słotny i smutny — Wichfried wszedł, jak zwykle, nie oznajmiając się do izby księcia. Zastał go stojącego w oknie, zapatrzonego w podwórze.

Zmokły płaszcz, tylko co zrzucony, leżał na ziemi.

Niemiec, nawykły czytać w Kazimierza twarzy, poznawać w niej myśli i uczucia jego, popatrzywszy, uląkł się, tak była dziwnie zmieniona trwogą jakąś i wzruszeniem nadzwyczajnem.

Gdy się zbliżył ku niemu, chcąc zapytać, Kazimierz zawołał nagle:

— Widziałem ją! Ona tu jest!

— Kto? — spytał zdumiony Niemiec.

Ale Kazimierz już był zamilkł, jakby żałował wyrzeczonego słowa, zdając się namyślać, czy ma mu odpowiedzieć. Wichfried natrętnie powtórzył pytanie:

— Któż? kto?

Książę nie chciał mówić, co tem niespokojniejszą obudziło ciekawość.

— Wasza miłość, zdajecie się jakby przelękłym? Któż to być może?

— Ona! — zawołał Kazimierz, wybuchając a głos wnet tłumiąc ostrożnie, — ona! moja pierwsza! Ta... z Gaju! Pierwsza moja i ostatnia! Jednej jej, com żałował i żałuję. Ona to była, ale jak strasznie zmieniona, zwiędła, wybladła. Ten kwiatuszek tak świeży! To liczko, z którego tryskało weselem życie! Cóż się z nią stało? co się z nią stało? — powtórzył niespokojnie. — Wichfriedzie, nie wiesz nic?

— Nic nie wiem — odparł Wichfried obojętnie. — A! to stare, zabyte rzeczy! Ja wątpię, żeby ona tu być mogła; książę widocznie coś sobie wymarzył. Gdzieżby ona tu być miała?

Kazimierz się oburzył.

— Nie omyliłem się — rzekł, — ona to była... W ubraniu nędznem, starem, opuszczona...

Wichfried ramionami ruszył.

— Jeszcze i dziś jest piękną — dodał książę, — choć straszliwie zmęczona nieszczęściem... Któż wie, co się z nią stało! Wydali ją zamąż? Ojciec? Żyje-li ojciec?

Wichfried, któremu ten niepokój Kazimierza był przykry, rzekł zimno:

— Nic nie wiem! — Poco się dowiadywać o to? troszczyć? Wznawiać stare rzeczy...

Książę odwrócił się od Niemca z tak widocznem oburzeniem, iż Wichfried zmiarkował, że za daleko się posunął. Wolał ofiarować swe posługi, aby go kto inny nie wyręczył.

— Dowiemy się o niej łatwo — dodał po namyśle, — choć nie wiem, na co się to przydać może?

Ruszył ramionami.

— Dosyć tego, co jest, żeby odgrzebywać, co było! Zapomniane to...

— Nie zapomniane! — zaprzeczył książę silnie — nie! Nigdym o niej nie zapomniał, była pierwszą i ostatnią! A te wszystkie...

Ręką rzucił z pogardą, twarz gorzała.

— Jeżeli pomóc jej, ratować ją można — dodał Kazimierz, — to mój obowiązek. Mam jej niedolę na sumieniu, zerwałem z nią okrutnie.

Zamruczał coś Niemiec o poszukiwaniu, ale niewiele przyrzekał. Wyszedł wkońcu, rozmyślając nad tem, czyby mu nie należało i w tem panu posłużyć.

Po wyjściu kanclerza książę śpiesznie wołać kazał do bocznej komory Smoka. Temu zaufać mógł we wszystkiem. Kosztowało go zwierzać mu się, ale niepokój, jaki go opanował, nie dozwalał rozmysłu.

Smok przybiegł zdyszany.

— Smocze! — zawołał książę, — gdyśmy jeździli do Gaju, tyś widział Ściborzankę?

Smok potwierdził głową, wytrzeszczył oczy; pytanie to teraz mu się dziwnem zdało. Czasy się zmieniły.

— Poznałbyś ją?

— A no, pewnie — odparł Smok.

— Ona tu jest, w mieście — dodał Kazimierz. — Nikomu ani słowa o tem, idź na zwiady.

Smok skłonił się do nóg i, jąkając, rzekł:

— Cóż ja mam chodzić, szukać; ja o niej wiem!

— Jakto? wiesz, że ona tu jest? — krzyknął książę, przystępując doń, — poczciwy Smocze! wiesz?

— Ona tu dawno — począł Smok krótkiemi sło-

wy, — ludzi jej widziałem. Wiem, dwór mają, pono i mąż jakiś u niej jest. Gadają, że ona z nim nie żyje, tylko go wzięła, aby dziewką nie być. Ścibor umarł.

Książę słuchał z zajęciem nadzwyczajnem, z radością prawie; kazał powtarzać, rzucał pytania, badał, a Smok to głową, to ustami dawał odpowiedzi. Gdy skończył, książę dobył garść groszy i nasypał w dość obojętnie nastawioną dłoń sługi.

— Smocze — rzekł, odchodząc, — ty mi będziesz potrzebny.

Z inną twarzą, ale z niemniejszym niepokojem, wrócił książę do izby.

Nie dano mu nawet postanowić, co czynić, gdy już Żyra i Jaksa nadeszli ze sprawami większemi.

Wichfried tymczasem myślał także, czyby mu zaspokoić księcia nie było bezpieczniej. Sam dowiadywać się ani mógł, ani chciał; ludzie, których się radził, kogoby użyć w pewnej sprawie poufnej, nastręczyli mu Stacha z Przegaju (powiadając, co nie tajnem było), że biskupowi posługiwał w ważnych rzeczach i człek był przebiegły. Szukał go na zamku i doszedł zaraz, że przy skarbcu służbę opuścił. Rajec mu wskazał jego mieszkanie.

Z południa Niemiec już do wrót stukał. Stach, który znowu na Śląsk gdzieś z poleceniem od Gedki wybierał się w drogę i wszedł właśnie do stajni konie opatrywać, zdziwił się odwiedzinom niemiłego mu Wichfrieda. Weszli do izby.

Niemiec długo się zbierał, nim nastękawszy na ciężką służbę, wydał się z czem przychodził.

— Książę nam starzeje — rzekł, — na starość dziwactwa po głowie chodzą. Zachciewa mu się różności, człowiek nie wie, jak mu dogodzić.

— Nie tajemnica to — dodał ciszej, — że gdy w Sandomierzu był, miał tam miłośnicę, do której biegał i po kilka dni z nią przesiadywał w lesie. Na łowy jeździł, ale nie o zwierza mu chodziło!

Zaśmiał się.

— Wiedziałem o tem dobrze, bo się przede mną

z niczem nie tai. Dawne to sprawy! Gdy go do Krakowa wzięli, musiał się z dziewczyną rozstać. Córka była ziemianina, urodziwa i młoda. Niełatwo go puściła, bo go miłowała bardzo. Zdawało się, że książę o niej zapomniał dawno; a no — nie. Jeszcze mu ona pono w głowie. Przywidziało się teraz księciu, że ją zobaczył wynędzniałą i zbiedzoną, każe mi jej szukać po mieście!

Ruszył ramionami Wichfried.

— Pomoglibyście mi do tego?

Stach, który z uwagą słuchał wszystkiego, co się księcia tyczyło, spytał:

— A jakże się ona zwała?

Pomyślawszy, Wichfried schylił mu się do ucha i szepnął:

— Córka Ścibora ze Ściborzyc.

Stach pobladł strasznie, zmieniło mu się lice. Zamilkł osłupiały. Potrzebował długiej chwili, aby przyjść do siebie. Spadła mu z oczów zasłona. Los chciał, aby ta, do której się przywiązał, należała właśnie do tego pana, dla którego poprzysiągł wieczną służbę i ofiarę.

Pomieszany, słowa rzec nie umiał. Wichfried, widząc go drżącym i bladym, patrzał zdumiony.

— Co wam? — przebąknął. — Wiecie co o niej?

Stach pośpiesznie głową potrząsł, nie chcąc się zwierzać Wichfriedowi. Niemiec ciągnął dalej poufnie:

— Choćby Ściborzanka tu gdzie się znalazła, oddalić ją potrzeba; nowa tylko bieda z tego urośnie. Biskup i tak już za jedną Kazimierza prześladuje, gorzej będzie z dwiema. Dorota z Tęczyna lepiej mu przystała, bo niewiasta rozumna i ostrożna; ta zawsze szaloną była.

Mówił tak długo, a Stach, przychodząc do siebie, słuchał, nie odzywając się, naostatek oświadczył, że dowiadywać się będzie.

Po wyjściu Niemca, Stach stał jeszcze z oczyma w ziemię wlepionemi, w rozpaczy i obawie, rozmyślając, co czynić, gdy Jagna wpadła z oczyma zaiskrzonemi.

— Czego on tu chciał, ten poseł szatana? — zawołała, stojąc w progu — ten niecny stręczyciel! Niemiec ten przeklęty! Noga jego nie powinna nigdy przestąpić drzwi tego domu! On tu? on z wami?... Czy i ty już jesteś przyjacielem wiedźmy! Ty?

Stach patrzał na nią z politowaniem i grozą, słowa mu paliły usta, a mówić nie śmiał.

Przedłużone to milczenie, do którego nie nawykła u Stacha, zmieniona twarz, gniewne oczy, dały Jagnie do myślenia. Zaczęła ostygać, przystąpiła doń, szarpiąc go za rękaw.

— Mówże! — zawołała.

— Tyś się taiła przede mną!... — wybuchnął Stach. — Wiem teraz wszystko! Wichfried mi przyszedł powiedzieć, że Jagna Ściborzanka była miłośnicą Kazimierza.

Jagna, słuchając, zbladła, ale wnet krew ją oblała.

— A tak! — odpowiedziała — Jagna się tego ani zapiera, ani wstyda. A tak! była mu nie miłośnicą, ale żoną, gdy jeszcze innej nie miał. Ta druga, choć ksiądz błogosławił, nie będzie mu tą, co pierwsza! Gdyby go nie zmusili, nie porzuciłby jej, byłaby dziś z nim na zamku panią! Gdyby nie czary niepoczciwe, nie wydarłaby jej Kazimierza... wiedźma ohydna! Tak, ja mu byłam wszystkiem, nie zapomni nigdy o mnie! Nie okłamałam was, że w sercu trupa noszę, bo on dziś trupem dla mnie. Dlatego, że on mi miłym, choć zmarły, nie chciałam ci być żoną, tylko siostrą i służebnicą. Tak! wiesz wszystko! rób, co chcesz!

Stach stał skamieniały, twarz mówiła, jak cierpiał, męczył się, nie mogąc odpowiedzieć, nie wiedząc, co powie. Jagnę litość zdjęła może, zmierzywszy go oczyma, łagodniejszym poczęła głosem:

— Gniewu na mnie nie możesz mieć. Wstydum ci nie zrobiła! Fałszum nie powiadała, nie obiecywałam nic.

— Alem ja, żyjąc z tobą, jak pies się przywiązał do ciebie! — zawołał Stach. — A to nic?

Zarumieniła się Jagna, łzy jej stanęły w oczach, strzepnęła rękami.

— Jam temu niewinna! — rzekła ciszej.

Stach rzucił się na ławę, myślał: mówić jej wszystko, czy taić, oznajmić, że książę pytał o nią i szukał, czy nie?

Zdało mu się lepszem nie kłamać.

— Niedarmo Niemiec się tu przywlókł — odezwał się ponuro. — Poco ci tu siedzieć było? Chciałaś, żeby cię książę zobaczył. Teraz po mieście trzęsą i szukają ciebie! Ot, z czem Wichfried tu przyszedł, a mnie wybrał na zwiady!

Rozśmiał się gorzko. Wtem Jagna, która pochylona słuchała, chciwie chwytając słowa, rzuciła się z twarzą od radości opromienioną, nagle zmieniona, odmłodzona, oszalała. Biła w ręce, wołając:

— On mnie widział! On! Posyła za mną! Poznał! On! A! nie może to być! Powtórz, że on śle mnie szukać. A! Ja mu wszystko zapomnę, byle on mi powrócił. Dowiaduje się, śle po mnie. Idź, mów, jam tutaj... Chcę mu do nóg paść!

Wzdrygnął się Stach i rzucił:

— Wstydu nie masz! — zawołał gniewny.

— Nie mam — odpowiedziała, — bo kocham.

Upamiętać ją nie było podobna. Stachowi się serce ściskało, jakby pęknąć miało. Wstał z ławy i chciał odejść; przerywanym głosem rzekł tylko:

— Czyń, co chcesz. Idę precz. Poprzysiągłem służyć panu, ale z Wichfriedem jedną drogą nie pójdę, nie! Nie moja to sprawa!

Chwiejnym krokiem szedł do drzwi, gdy Jagna go za ramię chwyciła.

— Takci toś się do mnie, jak pies, przywiązał? — poczęła, śmiejąc się. — Ano! jak pies, prawda, nie jak człek, bo zapłaty za to chcesz.

— Od ciebie? Ja nie chcę nic, nic! — krzyknął Stach, — tylko wolnym być!

— Mnie tej wiedźmie i Niemcowi dając na pastwę — odparła Jagna, — aby głupią i bezbronną

życia zbawili! A no, tak! Tego chcesz! Zabiją mnie... tyś chciał!

Odwrócił się Stach z brwią namarszczoną.

— Ja ci stręczycielem i przejemcą do księcia nie będę! — zawołał. — Chcesz-li stąd precz iść, uciec od złego, pójdę za tobą, bronić będę, a drugiej Doroty czynić ze Ściborzanki nie dam!

Na to imię Jagna z zaciśniętemi pięściami przypadła do niego.

— Milcz, ty zbóju! — krzyknęła. — Ty mnie śmiesz równać z tą wszetecznicą! Mnie, com nigdy nie znała nikogo nad tego, który mi mężem był, co przed Bogiem przysiągł! Mnie z Dorotą!

Stach znowu do drzwi szedł, gdy go schwyciła oburącz i zmusiła stanąć.

— Co chcesz, abym czyniła?

— Iść stąd trzeba precz.

— Nie pójdę, nie mogę! — rzekła Jagna.

— Więc ja idę, bo na to patrzeć nie chcę, osłaniać nie będę.

— Kogo osłaniać? — zawołała Jagna. — Osłony mi nie trzeba, kryć się nie będę. Jestem pierwszą i mam do niego prawo! Ani ta, co się księżną nazywa, większego nie ma nade mnie!

Gdy to mówiła, Stach jedną nogą był już za progiem — goniła za nim.

— Stójże — wołała, — ja cię trzymać nie będę, pójdziesz, gdy zechcesz... Ale ujść ci nie dam teraz z pogardą dla mnie, po tych słowach, któremiś mi w twarz cisnął.

Błagającym jej, namiętnym głosem ujęty, Stach zatrzymał się raz jeszcze. Dziewczę poznało, że osłabł i złamanym był, i pociągnęło go napowrót do izby.

— Stachu! — wołała — ty mnie nie możesz, tyś nie powinien mnie porzucać. Nie zdradziłam cię, bądź mi, jak byłeś, bratem.

— Gdybym ci naprawdę bratem był — rzekł Stach, — niczyją miłośnicą nie dałbym ci być, abym się nie sromał za ciebie.

— Srom! srom! — załamując ręce, poczęła Jagna,— jam nie wiedziała o sromocie, gdym go pokochała. Dziećmi poczęliśmy się miłować, byłam mu i jestem żoną taką, jak ta, co mi go odebrała. Zmusili go do niej, nieszczęśliwym jego i mnie zrobili! A ta wiedźma zielem napoiła i struła.

Głosu jej brakło, widziała, że Stach patrzy groźno; błysły jej oczy, przyskoczyła do niego.

— Słuchaj! Ty kłamcą byłeś, ty, nie ja! Tyś nie Zabor z Przegaju, ty jesteś Stach z Konar. Ja cię wydam, abyś poszedł precz ze sromem. Srom na tobie, nie na mnie!

Rzuciła mu to w twarz nawzajem, pobladł, ale trwogi nie pokazał.

— Odegnają cię! — powtórzyła.

— To pójdę — rzekł chmurno.

— Nie zlękniesz się?

Potrząsł głową.

— Tak i powinno być — dodał — za to, żem cię miłował, zapłacisz mi! Na taką płacę od niewiasty człek zawsze musi być gotów!

Jagna ręce załamała.

— Każ mi czynić, co chcesz — poczęła, — posłucham, tylko mi nie mów, abym się go wyrzekła, gdy chce powrócić do mnie, bo umrę! Każ mi lepiej zaraz umierać! Zabij sam, nie powiem nic.

Stach znękany upadł na ławę. Jagna twarz zakryła rękami, potem pobiegła do wody, wychyliła kubek chciwie i wróciła, wpatrując się w niego, rozgorączkowana i drżąca.

— Wyrwać go trzeba tej wiedźmie! — poczęła szeptać. — To ja tylko mogę! ja zrobię!

Nie słuchał prawie Stach, pogrążony w sobie, zachwiany, przeklinając życie. Tak chwilę długą przesiedział, walcząc i jęcząc, nie widząc stojącej ciągle przed sobą.

— Dotrwam mu wiernym! — rzekł wkońcu do siebie, — choćbym i sromu się napił. Taka dola moja! Srom mu dam na ofiarę za życie!

Ręką spotniałą otarł czoło.

— Cóż ty chcesz, abym czynił? — odezwał się słabym głosem.

Jagna padła przed nim na kolana.

— O! ty dobry człowiecze — krzyknęła, — jabym ci nogi całowała! Ty nie porzucisz biednej! ulitujesz się! Mów!

— Nie porzucę — rzekł Stach. — Czyń, co chcesz, mnie i tak inne sprawy wołają, muszę precz.

— Ale powrócisz — przerwała Jagna, chwytając go za rękę. — Oni mnie gnać stąd i palić zechcą i zabijać może; trzeba, byś przy mnie był. Wideźma ustąpić musi, albo ja umrzeć.

Nie sprzeciawiając się więcej, Stach milczał.

Tegoż dnia zawołała do siebie Hreczyna, który dla niej na wszelką usługę był gotów.

— Pójdziesz na zamek — rzekła mu, — poco chcesz, z czem ci się zda, z żałobą do pana, po jałmużnę. Będziesz tam stać i czekać, dopóki mu nie rzucisz w ucho, że Ściborzanka tu jest, w tym dworku — i czeka na niego.

Stary Hreczyn oczyma ją tylko błagał, aby tego nie czyniła; nie dała mu się odezwać.

— Chcę tego, pójdziesz i powiesz mu — rozumiesz!

Sługa westchnął i pokłonił się pokornie, ale łzę miał w oku.

— Nikt, prócz księcia słyszeć tego nie ma — dodała; — idź zaraz, a nie wracaj z niczem.

Hreczyn powlókł się ku zamkowi. Dostać się do księcia nie było naówczas trudno, nawet najbiedniejszemu człowiekowi. Za czasów surowego Mieszka puszczano wszystkich z żałobami wedle starodawnego zwyczaju; u Kazimierza drzwi każdego czasu dla biednych stały otworem. Nie odsyłano do urzędników, chyba, gdyby pana nie było. Gdy na zamku się znajdował, sam sądził i słuchał. Lecz przy tych posłuchaniach stali zawsze u boku księcia urzędnicy, dwór i komornicy. Rzadko bywał sam bez świadków. Musiał Hreczyn szukać takiej zręczności, aby go jednego spotkał.

Dla ludzi, co na posłuchanie w zamku oczekiwali, miejsce było w przedsieniach, lub w podwórcu i pod wałami. Hreczyn siadł zdala, aby mógł się rozpatrzeć i wyczekać. W torbie miał chleba kawałek, bo kto wie, jak długo siedzieć trzeba było. Cały dzień zszedł do wieczora bez skutku. Gdy wrota zamykać miano, nie wracając do dworku, przypadł gdzieś u płota w kuczki i tak noc przedrzemał.

O świcie, gdy otwarto bramę, wsunął się pierwszy, a że właśnie kościół odmykano, stanął przy drzwiach jego. Wiedział, że książę codzień tu na ranną mszę przychodzi, myślał, że może samego trafi w kościelnym progu. Nie zawiodła go nadzieja; Kazimierz szedł przodem, a za nim zdala dwór. Hreczyn się jak żebrak pokłonił i, gdy książę z kalety wydobywał jałmużnę, którą każdego obdarzał, odezwał się żywo:

— Miłościwy książę, nie po jałmużnę przychodzę, a z poselstwem od Ściborzanki. Pozdrawia was i do nóg waszych pada. Jest tu.

Hreczyn, oczyma mierząc zbliżających się, pośpieszył z resztą.

— Czeka na was, ale nie godzi się, aby o tem drudzy, prócz was, wiedzieli, dla sromu biednej niewiasty.

— Męża ona ma? — spytał książę.

— Nigdy żadnego nie miała — odparł stary sługa.

Nadchodzili już dworzanie.

Książę rzucił mu pieniądz i słowo.

— Będę u niej.

Służba chciała starego odepchnąć, gdy Kazimierz rzekł:

— Dajcie mu pokój, z żałobą do mnie szedł. Niech odejdzie z Bogiem.

Ustąpił Hreczyn, lecz choć mu się tak powiodło szczęśliwie, jak struty do dworku powrócił. W sumieniu mu było ciężko, obawiał się o panią, niósł wieść, która jak kamień ważyła. Gdy wrota zaskrzypiały, Jagna, okiennicę odsunąwszy, głowę wychyliła z pytaniem.

— Hreczyn? z niczem?

Czekała półżywa na odpowiedź, a pierś cisnąc ręką
— Z niczem? — powtórzyła.
— Sprawiłem, coście kazali — rzekł sługa.
Krzyknęła z radości.

Stało się wnet, czego niewiasty służebne zrozumieć nie mogły. Od czasu przybycia do Krakowa, Jagna nie myślała o stroju, chodziła w sukni jednej, odziana ubogo, nie wiedząc, co na siebie brała. Nagle dobywać kazała ze skrzyń suknie, chusty, gzła szyte, wszystko, co miała najdroższego.

Siadła, każąc czesać i splatać włosy, które poplątane wiązała ladajaką taśmą. Wszystko jej teraz było brzydkie i ubogie; stroiła się, zrzucała, przybierała, niecierpliwiąc a na szelest najmniejszy zbiegając do okna.

Przez cały dzień kładła, co tylko miała, dziewcząt pytając, jak jej w tem było — to śmiejąc się, to chmurząc. Wdziała naostatek suknię czarną, gzło białe, kolce i pierścienie, włosy zaplotłszy, jak niegdyś nosiła, siedziała w oknie i czekała.

Czekała dzień i wieczór cały, i noc już była, a nie przybył nikt. Płakać zaczęła, a gdy sen morzył, legła, jak stała, na łoże, budząc się co chwila i do ciemnych okien zbiegając.

Nazajutrz tak samo stroiła się rano, do okna szła i nie ruszała się od niego. Dziewczęta, zdala patrząc, strachały się, jak obłąkanej. Dzień schodził powoli, jeść nie chciała, piła wodę tylko i przysłuchiwała się szmerom ulicy, nie dając się odciągnąć od okna. Nie było nikogo.

Kazimierz powrócił z kościoła innym, jak poszedł. Wichfried dostrzegł to pierwszy, iż weselszy był, ale niecierpliwy i roztargniony. Chciał zaraz korzystać z tego, aby pociągnąć do wdowy. Książę się nań oburzył.

— Idźże ty mi z nią! Znać was nie chcę! — zawołał groźno.

Zmieszany Wichfried zamilkł, ale tembardziej czuwał nad nim i pilnował. Książę go z różnemi polece-

niami odsyłał. Dawna poufałość zmieniła się w chłodną jakąś i sztywną. Niemiec próbował wesołym być, Kazimierz mu się marszczył.

Tak upłynął dzień jeden i drugi, a Wiechfried był coraz niespokojniejszym. Uparty Niemiec stał na czatach do późnej nocy, dopóki mu komornicy nie powiedzieli, iż książę do snu się położył i nikogo wpuszczać nie kazał.

Nie udało mu się i ze Stachem, do którego biegał sam, nie mogąc zastać, a wreszcie odprawił go kwaśno Zabor z Przegaju tem, że się do podobnych spraw nie nadał i o Ściborzance nic nie wie, a na Śląsk jechać musi, radząc mu, by sobie kogo innego szukał.

Nazajutrz ponowiło się to, co wczoraj; Wichfried pilniejszym był na służbie, niż kiedy, nie dowierzał księciu i obawiał się o siebie Kilka razy zagadnął o Dorotę, Kazimierz się odwrócił i zbył kwaśnem milczeniem.

Jednego wieczora, gdy Kazimierz do snu się miał kłaść, posłał pacholę po Smoka. Odział się opończą ciemną, tylnemi drzwiami z nim po wałach do wrót doszedłszy, furtę otworzyć kazał i z zamku się wymknął. Noc była ciemna, nie poznał nikt, a gdy w kilka godzin później nazad powracał, nie spotkał nikogo; komornicy, co u drzwi sypiali, skrzypnięcia drzwi nie słyszeli nawet.

Tylko gdy Smok ze zwieszoną głową, chmurny na swój barłóg powrócił nocą, prześladowali go towarzysze, iż się nierychło o siwych włosach wybrał na nocne wycieczki.

X.

Nazajutrz wieczorem u stołu książęcego zasiadała znowu ta gromadka ludzi poważnych, z którą Kazimierz czas lubił spędzać, słuchając ich i ucząc się, a zagrzewając do myśli wielkich. Ci sami tu byli, których widzieliśmy w jego towarzystwie: opat Lucjusz, scho-

lastyk Lambert, Benedyktyn jeden z Tyńca, mistrz Wincenty i dziekan krakowski, Pełka, domniemany już naówczas następca biskupa Gedki, prawa jego ręka.

Jak zwykle, gdy się tu duchownych kilku zebrało, którzy rozmowę ożywić umieli coraz nowemi opowiadaniami, jeszcze mis nie zdjęto, a już żywo opowiadano nie o tem, co nadto teraźniejszość przypominało, lecz co od niej oderwać mogło.

Rozprawiano, różne piękne legendy przywodząc o opiece świętych i duchów błogosławionych, gdy pomimo pory spóźnionej, hałas się dał słyszeć u wnijścia. A że w tej porze nikt nie zwykł był przybywać, rzucili się komornicy pańscy obaczyć, co się stało, gdy w progu ukazał się biskup Gedko.

Już pora, o której się tu zjawił i to, że sam nie wahał się na zamek jechać, zwiastowały, iż z próżnemi nie przyszedł rękami. Oblicze też starca, obleczone smutkiem, mówiło o niedobrem poselstwie, wszyscy ruszyli się z miejsc zatrwożeni, a książę, który się był ożywił rozmową, niespokojny naprzeciw pasterza pośpieszył.

— Synu mój — odezwał się Gedko poważnie, — nie chciałem, abyście z ust obcych dowiedzieli się o tem, co wam przynoszę; zarazem smutek, radę i pociechę niosąc.

Zamilkł trochę.

— Oto przed godziną może — dodał — przyszedł do mnie poseł z Gniezna od ks. Zbisława. Mieszek opanował to miasto, a drobni ziemianie i rycerstwo Poznań mu też oddało.

Biskup, mówiąc to, ręce załamał; książę stał prawie niezmieniony, spokojny, głowę tylko lekko skłoniwszy.

— Cóż się z Ottonem stało? — spytał po chwili.

— Mówią, że się przed ojcem ukorzył i z nim przejednał, przebaczenie otrzymawszy.

— Bogu tedy niech będą dzięki! — przerwał Kazimierz — Bogu dzięki!

Wtem Jaksa wystąpił z za stoła.

— Miłościwy panie — począł głośno, poruszony mocno, — tego ścierpieć nie można; musimy iść na

Gniezno! Do ciebie ono należało, więc nietylko przeciw synowi, ale przeciw tobie się porwał! Jeżeli mu to ujdzie bezkarnie, możemy się go i w Krakowie spodziewać!

Zawtórowali temu Goworek i Mikołaj Lis, brat dziekana.

Patrzali wszyscy na księcia, który, stojąc naprzeciw biskupa, słuchał, czekał i ust nie otwierał. Biskupowi z myśli swej nie potrzebował się spowiadać, gdyż wprzódy mu ją już był objawił, lecz gdy Jaksa, o cześć i potęgę pańską dbały, nalegał, aby wojsko zbierać i wysyłać, Kazimierz go ręką i wejrzeniem zatrzymał.

— Jakso miły — odezwał się, — spytajcież mnie, co ja trzymam o tem. Za miłość twą dla mnie dziękuję ci, lecz, jakem to zawczasu mówił, przeciw ojcu i bratu nie pójdę. Wiecie wszyscy, iż ojca wolą było, aby Mieszek Poznań trzymał, wraca więc do tego, co mu było przeznaczone. Na ojcabym się więc porywał, a zarazem na brata, gdybym mu odbierał, co doń należy. Niech używa w pokoju!

Zdumienie wielkie ogarnęło wszystkich, spoglądali na się z niedowierzaniem; nikt jednak przeciw tak stanowczo wypowiedzianej woli pana występować nie śmiał.

Najodważniejszy Jaksa rzekł cicho:

— Wola twa, miłościwy panie! Nie chcesz, panie, z braćmi wojować, będziesz musiał bronić się zdrajcom.

Mikał Lis powtórzył toż samo. Książę stał niewzruszony i spokojny.

— Mili moi — zawołał, — ziemianie i doradcy, żądajcie po mnie, czego chcecie, uczynię wszystko z ofiary władzy i mienia, ale nie chciejcie ode mnie, abym przeciwko sumieniu i sprawiedliwości szedł, bo tego nie uczynię, nie!

Gedko głowę spuścił i westchnął.

— Gotujmyż się przynajmniej ku obronie, a rychło! — zawołał Jaksa. — Jako mnie żywym widzicie, co przepowiadam, to się stanie. Nie mówiłbym tego, gdybym ludzi nie znał, a myśli ich nie wiedział. Go-

tujmy się, póki czas! Nie tają się oni z tem, że swą dzielnicę chcą odzyskać, bo za swą ją uważają. Bolko mówi, że ona mu należy, Mieszek, że była jego i doń powróci. Słabego Leszka oblegają, na Mazury i Kujawy wytrzeszczają oczy chciwie. Nie mówię sam za się, ale za wszystkich ziemian i ojczyców, którzy pod jarzmo ich iść nie chcą. Ty, panie, o sobie myśl, my też musimy!

— Do obrony bądźcie gotowi — rzekł Kazimierz, — nie jestem przeciw! Do napaści nie poprowadzicie mnie. Nie wierzę, iżby Mieszek się na mnie miał porywać, a stanie się to, druhu mój, ufam w ziemiany krakowskie i moich Sandomierzan, że nie dopuszczą, aby nas gołą ręką ujęto.

Jaksa głową potrząsał.

— Ja też nie wątpię, że bronić się będziemy — rzekł, — bo choćbym sam jeden u boku twego pozostał, dałbym się zabić, broniąc cię, ale...

Nie dokończył, obejrzał się wkoło i zamilkł.

— Mówcie! — wtrącił książę.

— Ryb przed niewodem łapać nie chcę — począł Jaksa, — daj Bóg, bym się omylił. Wprowadziliśmy cię na tę stolicę, jako jeden mąż wszyscy zgodnie, ale dziś, choć ojcowskiem sercem rządzisz nami, czy wszyscy się przy tobie ostoją — ja nie wiem!

Książę słuchał zdumiony, Jaksa kończył powoli:

— Jest we krwi naszej, miłościwy panie, żeśmy nieustannie przerabiać radzi, cośmy zrobili. Myśleli ziemianie, sadząc was na Krakowie, że ziemiom tym koronę dawną i dawną jedność przyniesiecie, że wrócą czasy Chrobrych i Mieszka, praojca. Z Krakowem, Sandomierzem, Lublinem, z Wielkopolską, ze spadkiem po Leszku, którego życie na włosku, już się jedno wielkie państwo składało. Z niem czołobyśmy stawili Rusi i mogli ją zawojować całą, Pomorze, Prusy, Łużyce. Nie ja jeden roiłem tak, roili i drudzy. Nie chcesz ty, panie, czynić tego, azali nie znajdą się, co powiedzą — bierzmy Mieszka, ten wahać się nie będzie, w potęgę urośniemy.

Kazimierz słuchał, w myślach pogrążony głęboko.

— Wierz mi, Jakso, na nieprzyjaciela sercaby mi nie brakło; na braci go nie mam, po ich ciałach do tej potęgi dla was nie pójdę.

Ciężka chwila minęła, patrzano po sobie smutno.

— Uznacie więc Mieszka na Poznaniu? — zapytał biskup.

— Pierwszy krok do mnie nie należy — rzekł książę. — Zmilczę i czekać będę, bo on pierwszy do mnie przyjść powinien, nie ja do niego. Jeżeli zwierzchnictwa mego, które wolą ojca przywiązane jest do Krakowa, nie uzna...

— Naówczas — wtrącił Jaksa — wasza miłość musicie iść nań.

Kazimierz ani potwierdzał, ni przeczył.

— Czekajmy więc! — szepnął Gedko smutnie.

Wszyscy już dostrzec mogli, iż na Kazimierzu odebrana wiadomość uczyniła wrażenie przeciwne spodziewanemu; weselszym był, ożywił się. Uściskał biskupa, zwrócił się do Jaksy, dziękując za serce, jakie miał dlań i dla państwa jego. Podczaszemu skinął, by wino przyniesiono.

— Wesołej myśli bądźmy — zawołał, — ja się najlepszego spodziewam! Mieszek uspokojony, a nauczony tem, co przebył, szczęśliwie rządzić będzie, zgoda nam wszystkim zaświeci.

Nikt nie zdawał się podzielać tej radości księcia, lecz nikt mu też jej zatruwać nie chciał. Biskup pożegnał go i odprowadzony do przedsienia — odjechał. Inni, pogwarzywszy jeszcze nieco między sobą, żegnali pana i rozchodzili się.

Nakoniec Kazimierz sam z Wichfriedem udał się do izb swoich. Niemiec, który w sprawy publiczne nierad się mieszał, słuchał rozmów milczący, widać było, że raczej podzielał zdanie tych, co na Mieszka nastawali.

Z uśmiechem na ustach wszedł książę na próg sypialni, zwracając się do Wichfrieda z tą samą, co do

innych czułością. Widać było, że sam szczęśliwy, innych też był rad wesołymi widzieć.

— Stało się — zawołał do Niemca, — czegom zdawna pragnął. Mieszkowi wróciło się, co mu należało. Miałem dlań obowiązki, sierota, wychowywałem się na łasce jego; starszym był, ojcem mi się stał. Zmuszony byłem, Bóg i ty świadkiem, zająć miejsce jego, należało mu choć to, co wziął. Cieszę się i Bogu dziękuję.

— Wszyscy są w błędzie — dodał. — Mieszek zostanie spokojnym i mnie nie zamąci pokoju.

Korzystając z tego usposobienia księcia, Wichfried zaraz zwrócił rozmowę na przedmiot weselszy, na to, że się księciu należała po trudach rozrywka i o wdowie przebąknął.

— Miłościwy panie, ja tu zawsze aż do utrudzenia miłości waszej przychodzę jako rzecznik za nieszczęśliwą wstawić się niewiastą. Za co ją karzecie? Co uczyniła, iż łaskę waszą straciła? Patrzę na nią i lituję się, bo we łzach się roztapia, choruje i wyrzeka.

Nagle rozjaśniona twarz księcia zmieniła się zupełnie, spojrzał na Wichfrieda surowo.

— Uczyniłem dla niej, com mógł, uczynię, co chce, ale powrócić do niej... nie mogę!... — rzekł sucho. — Cierpiałem dosyć... wszystko skończone.

— Lecz cóż się stało?

— Nieszczęśliwy błąd mój naprawiłem — odparł książę, — zwyciężyłem się! Widzieć jej nie chcę!

Wichfried przeszedł się po izbie.

— Ta niewiasta zginie marnie! Miłością wielką przywiązała się do was.

— Wichfriedzie — przerwał książę, — spokój mój szanuj.

— Dla spokoju waszego począłem o tem — odparł Niemiec. — Niewiasta gwałtowna jest, wszystkiego, nawet zemsty, po niej spodziewać się można.

Namarszczył się książę.

— Strachem mnie nie weźmie nikt! — rzekł. — Wiem, co się u niej dzieje; na gachach tam nie zbywa, jest komu pocieszać.

— Nieprzyjaciele prawią potwarze!

— Przyjaciółmi mymi są, co mi oczy otwierają — rzekł Kazimierz.

Niemiec zmuszony przestał na tem, nie szedł jednak.

— Nie ciągnę ja, ani namawiam was — dodał po przestanku, — aliści łatwiejby było te więzy zwolna potargać, niż nagle. Raz lub dwa szedłbyś książę pocieszyć ją, uległaby słowu rozumnemu. Dziś rozpacza i rozum traci.

— Stokroćby mi było trudniej powoli więzy te kruszyć — odpowiedział Kazimierz; — postanowiłem nie widzieć jej, spokojny jestem. Ty, jako druh mój, reszty dopełnij.

— Miłościwy panie — z wymówką począł Wichfried, — jam ufność waszą postradał, nie wszystko wiem, przeto niewiele mogę. Sprawa to jest drugiej niewiasty.

Kazimierz popatrzał nań zarumieniony i głową wzruszył.

— Czas płochych zabawek minął dla mnie — rzekł powoli i smutnie; — starszym jestem, spokoju pragnę.

Po rozmowie tej Niemiec, widząc, że mu się książę zwierzyć nie chce, urażony nieco, nie śmiejąc jednak czynić wymówek, postał jeszcze chwilę, zagadał o łowach, o rzeczach obojętnych i wyszedł, dając uczuć księciu, że się czuł pokrzywdzonym. W progu już Kazimierz go uderzył po ramieniu i rzekł wesoło:

— Druhem mi bądź, jak byłeś; ja ci serca nie odbiorę!

Tak się rozstali. Niemiec, pokłoniwszy się, wyszedł zniechęcony i gniewny, postał w sieni i po namyśle pociągnął do wdowy.

Dorota mieszkała już w swym nowym dworze, łudząc się i przygotowując ciągle do powrotu księcia. Nowe mieszkanie swe z pośpiechem wielkim przybrała we wszystko, czego jej mógł dostarczyć skarbiec pański. Przepych tu był większy, niż w spalonym domu, bo Dorota ściągnęła, co jej pozostało na Skałach. Sama

zajmowała się w początkach przybieraniem, rozstawieniem, ozdobą nowej siedziby. Roiła, że tu przyjmować będzie dwór księcia i mnogich gości dostojnych.

Wichfried potrosze utrzymywał ją w tym błędzie, prawdy nie mówiąc a spodziewając się ciągle ściągnąć księcia do niej. Łudziła się więc, niemal codzień oczekując jego przybycia, każdego wieczora stroiła się do niego. Niemiec różnemi przeszkody nieobecność tłumaczył. Dnia tego już mu wykłamać się było trudno.

Szedł więc powoli, po głowie szukając, czem ją zbędzie i gniewy jej rozbroi.

O tej porze, co dnia i teraz wszystko było wpogotowiu. Wdowa przechadzała się po izbach, rozkazy dając swym dziewczętom, które strojne wyglądały też przybycia pana.

Piękna jeszcze Dorota, choć lata już ją nieco ciężką i otyłą uczyniły, miała nie ów wdzięk młodości, który obudza zachwyt i cześć, ale drażniący powab dojrzałego owocu, narzucającego się ustom spragnionym. Białe jej ramiona, odsłonione nieco, obejmowała dnia tego jedwabna suknia, w lazur ze złotem tkana, z wzorzystej tkaniny wschodniej. Z pod rękawów wysuwały się ręce, jak utoczone, śnieżne, złotemi obwieszone pierścieniami. We włosach miała czółko kamieniami sadzone, na szyi splot cienkich łańcuszków. Twarz, gdyby nie namiętne jej poruszania, które każdy szelest wywoływał, jeszczeby miała wdzięk rysów prawie młodzieńczy, tak mało czas ją odmienił. Gdy się ustroiła, jaśniała dawną pięknością swą królewską.

Wśród ciszy na dworze, gdy Wichfried do drzwi zastukał, zdala posłyszała Dorota uderzenie i stanęła, twarzą się ku wnijściu zwracając. Wyraz jej przestrachem i niepokojem był zmieniony, ręką cisnęła gwałtownie bijące serce. Starała się odgadnąć, czy Niemiec sam, czy z nim przychodził? Słuchała — kroki powolne, mierzone zbliżały się — sam był?

W głowie i uszach szumiało tak, że nic rozeznać nie mogła. Wichfried nie śpieszył. I to już było złym

znakiem. Jak przyrosła do podłogi, nieruchoma czekała nań z twarzą, do drzwi zwróconą ciągle.

Niecierpliwiła się, nie przychodził. Poskoczyła już sama ku wnijściu, gdy Niemiec, podniósłszy czerwoną zasłonę, opieszałym krokiem, jak znużony, ręką pot ocierając z czoła, wsunął się milczący.

Czekała jeszcze, odzywać się nie śmiejąc, a on mówić nie śpieszył. Wybuchnęła naostatek:

— Cóż, niema go? nie będzie?

— Nie mógł — odparł Niemiec, — właśnie dziś najgorsze nadeszły wieści. Mieszek opanował Gniezno i Poznań. Potrwożeni wszyscy... wojna być może. W takiej chwili trudno mu biegać dla rozrywki.

— Gniezno! Poznań! — krzyknęła. — Cóż mnie do Gniezna i Poznania? Całą noc męczyć go przecie ci starzy nie będą!

Ręce zacisnęła, patrząc bystro na Wichfrieda.

— Prawdę mi mów!

— Prawda jest. Pytajcie innych.

— Gniezno! Poznań! — poczęła. — Ale dawniej mu nic nie przeszkadzało!

— A no, zestarzał — rzekł Niemiec.

— Nie, nie!

Poruszyła się gwałtownie, przebiegając izbę krokami szybkiemi, jakby goniła, lub sama uciec chciała od siebie.

— Mówił, kiedy będzie? — spytała, stając.

— Sam nie wie. Jutro może na koń go posadzą.

— I pojedzie, nie widząc mnie?

Wichfried ramionami ścisnął.

— Księciem jest i nie wolnym! — rzekł.

Dorota z pogardą nań spojrzała.

— Kłamstwa! wymówki! zdradziectwa!

Łzy pociekły z jej oczów, ale gniewem wyciśnięte; ścięła usta okropnie i, miotając się, znowu biegała po izbie. Wichfried, postawszy nieco, padł na ławę, wyciągnął się, podparł, zadumał. Stanęła przed nim.

— Mów mi prawdę — poczęła, targając go, — mów

wszystko; ja się łzą karmić nie chcę, powinnam wiedzieć wszystko! Nie chce mnie znać? ma inną?

Milczenie było prawie przygotowaniem do pożądanej prawdy; Niemiec tarł czoło i strzepywał pył z sukni.

— Co ja ci mam mówić? — ozwał się ponuro. — Ostygł, o niczem więcej nie wiem... Mnie się nie zwierza.

— Inną musi mieć — zawołała Dorota, — ja to czuję. Ci, co się mnie pozbyć chcieli, dali mu ją. Z was przyjaciel dobry, gdy wam on nie mówi nic!

— Tai się, bo wie, żem wasz.

— O śmieszny człowiecze! — zawołała Dorota. — A któż ci broni psy na mnie wieszać, aby z niego wyciągnąć, co wiedzieć trzeba?

Nogami uderzyła o ziemię.

— Muszę dojść, gdzie ona, kto ona, aby się jej pozbyć! Nie możesz ty nic, wezmę innego.

Wichfried spojrzał na nią.

— Weźcie sobie innego — rzekł, — jam już dla was ufność jego postradał. Odwraca się ode mnie i tai. Dość mi!

Ruszyła ramionami Dorota.

— Wszyscyście tacy! Jeden od drugiego nie wart więcej na źdźbło.

Niemiec nie bronił się już nawet, siedział jak zlodowaciały.

— Łaj — odezwał się. — Wolę już słuchać wymówek i łajania, niżeli darmo leźć w ogień. Straciłem łaskę jego przez ciebie.

— A jażem jego straciła — zakrzyknęła Dorota — nie przez kogo, tylko przez ciebie! Innyby mnie potrafił obronić, a ty!

Spojrzeli sobie w oczy. Dorota nagle zaczęła się w gniewie miarkować, przystąpiła doń, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Dość tych swarów — odezwała się. — Radźmy. Padliśmy oboje, razem się podnieść potrzeba. Nie chcę więcej nic, tylko mi go daj na jedną chwilę,

na krótką, na jedną. Moja sprawa, aby mi się wrócił! Widzieć go muszę!

— Hę! hę! — rzekł Niemiec — zna on to, żeś straszna i tej chwili się boi, ani go ściągnąć!

Rozśmiała się Dorota dziwnie.

— Miałam napój przygotowany — szepnęła, schylając się; — zaręczyła mi Czechna, że umarłegoby obudził. Warzyła kilka nocy; ale ja mu go muszę dać z własnej ręki.

Niemiec nie odpowiadał.

— Dla tej, co mi go chce odebrać, znajdzie się inny — dodała, mrugając.

Z niedowierzaniem szyderskiem popatrzał na nią Wichfried.

— Co wasze napoje! — odezwał się. — Małośto go lubczykami poiła, a przeto się znudził i odbiegł! Wiecznie go mieć nie możesz!

Dorota odwróciła się od niego, nie chciała się nawet spierać, tak swego była pewną.

— Nie zechce przyjść — poczęła napół do siebie — no, to się przebiorę i pójdę sama, napój zaniosę z sobą. Wieczorem po męsku, zawiedziesz mnie...

— Ja? nie.

— Do czegożeś się zdał? — zapytała z gniewem wdowa.

— Abym wam wybił z głowy, co niemożliwe — rzekł Wichfried. — Szukajcie innych, jeśli ich macie za mało; z nim skończona!

Dorota, nie słuchając, prawiła:

— Czechna wróżyła, patrzała na wodę; mówi, że na inną! Któż mu ją dał? Sam jej nie wyszukał. Może ty?

— Eh! — rozśmiał się Wichfried — dość mi jednej! Nie wdam się więcej w te sprawy, nie!

— O, wy boście do niczego!

— Tak, jam do niczego — potwierdził obojętnie.

Zniecierpliwiona wdowa odskoczyła, ręka jej podniosła się, zdawało się, że go uderzy, ale popatrzała przez ramię i odeszła. Wichfried leżał na ławie. Od

progu zawróciła się Dorota i, siadłszy znowu przy nim, chwyciła za ramiona, potrzęsła.

— Rozbudźże się, mów! Nie poznaję ciebie. I ty już nie masz litości nade mną. Ja ginę!

— A ja nie mogę nic. Żal mi was — odezwał się Niemiec cicho. — Czyńcie już, co się wam zda. Straciłem rozum.

Po chwili namysłu Dorota, która trzęsła się z gniewu, ochłodła, pomyślała, uśmiechnęła się i ukazała, że wieczerza stała gotowa w drugiej izbie.

Widać było przeze drzwi stół, szytym obrusem okryty, lśniący od naczyń złocistych, dziewczęta stały przy nim, jedne z nalewkami i ręczniki, drugie przyświecając.

Jakgdyby już zapomniała gniewu i trwogi, Dorota ociągającego się Niemca powiodła ku stołowi.

— Wprawdzie sami będziemy! — odezwała się szydersko — a no, płakać niema czego.

Skinęła, aby dziewczę kubek podało. Wichfried spragniony wychylił go chciwie. Zasiedli, poufale szepcząc z sobą. Dorota, choć podrażniona i gniewna, ustami się śmiała, udając lekkomyślną. Niemiec pod wpływem ożywczym napoju zaczął patrzeć weselej i usta śmielej otwierać. To, z czem się wprzódy ociągał i wahał, teraz mu się z nich samo dobywało.

Dorota wyciągała go na słowa, słuchając bacznie i umyślnie okazując zobojętnienie.

— Jeżeli książę mnie opuści — mówiła, — znajdę innego opiekuna, na nich mi jeszcze nie zbędzie. Choć mnie ogadują i czernią, nie jeden choćby ożenić się gotów!

— Na księcia niewiele już rachować — wyrwało się Niemcowi. — Nie wiem ja nic, ale mi się zdaje, że ta, za którą niegdyś szalał i po lasach biegał, znowu tu być musi.

Dorotę krew oblała, lecz nie przerywając, dała mu się rozgadywać.

— Znalazła się pono w Krakowie i gdzieś ją zobaczył — kończył Wichfried. — Z początku dopyty-

wał się, niepokoił, jam mu do tego pomagać nie chciał; nie wiem, czy wyszukał.

— Ta, za którą po lasach się upędzał? — przerwała wdowa, oczyma rozognionemi spoglądając na niego, jakby zeń wzrokiem prawdy dobyć chciała.

— Ta, ta, którąście wy pono widzieli nawet.

— Mówił więc o niej?

Widząc, że już więcej się nie dowie, Dorota zerwała się od stołu, wybuchając tak gwałtownie, że dziewczęta, stojące za nią, cofnęły się, przejęte strachem.

— On! on jej nie znajdzie — krzyknęła, — ale ja ją wyszukam! Dlatego to już patrzeć nie chce na mnie? Wyszukam ją i pokażę mu — trupem!

To mówiąc, wdowa porwała kubek, wychyliła go duszkiem i na stół cisnęła.

— Zobaczymy, która z nas zwycięży!

Niemiec ruszał ramionami.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXI

J. I. KRASZEWSKI

STACH Z KONAR

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW
KAZIMIERZA SPRAWIEDLIWEGO

CZĘŚĆ IV

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Łat kilka, które znowu upłynęły od opisanych wypadków, na skrzydłach swych jasnych i czarnych zmian nie przyniosły wiele.

Kazimierz siedział na Krakowie, choć czuć było nieustanne zmowy i spiski, któremi go podkopywano. Mieszek, jak przepowiadano, nie mógł wytrwać spokojnym. Odkryte już były jego podstępne układy z Leszkiem chorym, którego dzielnicę spodziewał się zagarnąć z Władysławowiczami, wyzwanymi na Kazimierza obietnicami podziału spuścizny.

Nie żył już biskup Gedeon, który w silnych rękach trzymał wodze, często wypadające z dłoni obojętnego Kazimierza. Na miejscu jego, jak przewidywano, obranym był wychowaniec i spadkobierca myśli, dziekan kapituły, Pełka Lis, równie możny znaczeniem rodu swego, silnej woli, bystrego rozumu, prędkiego postanowienia, energji niezłomnej.

Pełka, jak większa część duchownych, przeznaczonych do wyższych dostojeństw w kościele, wychowanie swe kończył w Rzymie, a los mu dał nawet być tam towarzyszem i przyjacielem tego, który obrany był na najwyższe biskupstwo rzymskie. Mąż to był, mogący we wszystkiem zastąpić Gedkę, a śmielszy jeszcze od niego.

Starzał powolnie Kazimierz, ale się charakter jego nie zmieniał, występowały tylko z wiekiem dobitniej wszystkie jego jasne i przyciemnione strony, wielka

miłość sprawiedliwości, gotowa do ofiar, chciwość wiedzy nienasycona, szukająca pokarmu gdziekolwiek znaleźć się go spodziewała, pobożność z mlekiem matki wyssana, a duchem wieku rozpłomieniona, naostatek porywy gorącej krwi Piastowskiej, które na gorycze życia pociech szukać kazały w zapomnieniu się u boku niewiast, w miłostkach pokątnych. Z tych, co go dawniej otaczali, stali jeszcze wszyscy niemal przy nim, bo Kazimierz niełatwo serce odmieniał, nie odtrącał lekko druhów starych, nie lubił nowych ludzi i twarzy. Przywiązywał się powoli, ale na długo i, choć w bliskich sobie wady odkrywał, wolał ich z niemi, niż nowych a nieznanych.

Jaksa, przyjaciel młodości, służył mu dotąd wiernie, ale w dojrzalszym wieku stawszy się pobożnym bardzo, choć jeszcze rycerską wkładał zbroję, krzyżem naznaczoną, więcej już na mnicha, niż na rycerza wyglądał. Sercem i duszą cały był teraz w swym nowozałożonym klasztorze mnichów Grobu Pańskiego, których osadził w Miechowie. Sprawy świata mniej go już obchodziły.

Jaksa równie często przebywał na dworze pańskim, jak w Miechowie, gdzie często w chórze z Bożogrobcami, w refektarzu, w ich kapitule zasiadał, kosztując błogiego spokoju życia mniszego. Książę lubił z nim rozprawiać o religijnem ubłogosławieniu królestwa swego. Chciał wznosić kościoły, mnożyć monastery, zwozić relikwje, zaprowadzać nabożeństwa, a na granicach państwa w Prusach i Polesiu tępić uparte pogaństwo, gdy na Pomorzu sascy książęta już go uprzedzili.

Ostrzegano ciągle Kazimierza o zamiarach Mieszka, któremu wiek nie odjął żądzy panowania. Stał przy nim zawsze jeszcze ów Kietlicz, chętny doradca, sługa wierny, prawa ręka pana, nieustannie knujący spiski i podbudzający do jakichś nowych zamachów. Człowiek ten przy swej powierzchowności niepoczesnej, mowie nieporządnej, pozorach nieokrzesania, miał zabiegliwość i przebiegłość niezmierną, którą lata za-

ostrzyły jeszcze. Rzucał się zuchwale na największe niebezpieczeństwa i umiał z nich wychodzić cało. Wiedzieli o nim wtajemniczeni, że przebrany wciskał się aż do Krakowa, wślizgał do zamku nawet, zawiązywał tajemne stosunki z ziemianami i na różne sposoby podszczuwać się starał przeciw Kazimierzowi, którego miękkość i nieudolność wyśmiewał, a że ludzie łacniej zawsze zło, niż dobro chwytają i wiarę mu dają, udawało mu się budzić niechęci przeciw dobremu księciu. Jawniej ukazywał się Kietlicz często w Płocku, Raciborzu, Wrocławiu, a choć tu głośno nie występował z niczem, pocichu do śmiałego zamachu namawiał, który według niego nieochybnie powieść się musiał.

Mieszek sam mało występował, na Kietlicza zdając starania, któremu też starszy z synów księcia, Bolko, młodzian krwi gorącej a niewielkiej rozwagi, dopomagał chętnie i dawał mu się rzucać i kierować, kędy wskazał.

Do Krakowa kiedy niekiedy dochodziły o tem wieści. Donoszono Gedkowi, dopóki żył, o zabiegach Kietlicza, ostrzegał on Kazimierza, ale ten niełatwo dawał wiarę złemu, przeciw bratu jątrzyć się nie dopuszczał, a otaczający, ciągłemi strachami temi znużeni, wkońcu im ucha nie podawali.

Niekiedy znikał Kazimierz, wyrywając się dworowi swojemu i szeptano, że czasem spędzał wieczory kędyś w zamkniętym dla wszystkich domostwie, do którego przystęp był trudniejszy, niż do klasztoru. Wchodził tam sam jeden, unikając oczów i wymykał się pod strażą jednego wiernego Smoka, który u drzwi jak pies zwykł był czatować.

Wichfried, choć łaski pańskiej nie stracił, nie był już tym, co dawniej, powiernikiem serdecznym; Kazimierz posługiwał się nim rzadko, a nie spowiadał mu wcale. Przyjmował go wesoło, lubił żartobliwe jego i płoche mowy, obdarzał hojnie, czasem ze słowem do kogo posyłał, lecz o sobie nie zwierzał się chętnie. Niemiec, przez nałóg, lenistwo, czy kunszt, jakim go usidlić umiała Dorota, pozostał jej wiernym. Stosunki je-

go z nią cale były osobliwe: gachem się czasem wydawał, przyjacielem się nazywał, a zazdrości nie miał wcale, patrząc obojętnie na ciżbę tych, których zawsze lekka niewiasta do zabawy sobie przyzywała.

Życie jej nie zmieniło się bynajmniej, oczekiwała ciągle, ale głowy nie posypując popiołem, strojąc ją chętniej w wianki a zażywając dobrej myśli. Od wieczerzy tej, przy której Wichfried wygadał się przed nią z domysłem, iż dawna kochanka księcia w Krakowie znajdować się musiała, Dorota gorączkowo śledzić poczęła wszystkie kroki Kazimierza. Długo się jej nie powodziło i nic schwycić nie mogła, lecz wdowa była uparta, nie szczędziła wydatków, przekupywała ludzi, wciskała się, gdzie mogła, i wkońcu doszła do czegoś... Stara jej pomocnica Czechna włóczyła się wszędzie, a najlepiej strzeżone tajemnice przed okiem bab uchować się nie mogą. Upewniła się więc Dorota, że książę miał inną kochankę, domyśliła się już, że nią była ta pierwsza, z którą się uganiał po lasach. Przystęp do niej zdawał się niemożliwy.

Jagna znikła ze swego dworku, w którym tylko Stach kiedy niekiedy bywał. Nie wiedziano, gdzie się podziała, znacznie dopiero później wyśledziła Dorota, że ją umieszczono w murowanym dworze, jak zamczysko obwarowanym, wśród drzew ukrytym za Wisłą. Strzeżono go tak, że tam się nikt nie mógł dostać. Porankami i wieczorami wyjeżdżał ktoś stąd na łowy w lasy; domyślano się w nim przebranej ulubienicy księcia.

Kazimierz zajeżdżał do dworu czasu łowów i w różnych porach, gdy tylko zbiec mógł niepostrzeżony. Dwór stał nieopodal za rzeką. Dorota pod różnemi pozorami dostać się tam próbowała, posyłała Czechnę, ale nie puszczano nikogo, usiłowania były próżne. Nie zaprzestała ich jednak Dorota, a oczom księcia ciągle narzucała się umyślnie. I w tem się jej nie powodziło.

Czasem Wichfried uwiadamiał ją skrycie, gdzie i kiedy książę się miał znajdować; naówczas Dorota

starała się tam wcisnąć koniecznie i oczy zwrócić na siebie, bodaj publicznie zaczepić.

Trafiało się kilkakroć, że napozór celu swojego dopięła; książę widział ją strojną, piękną, powabną, mogącą rozbudzić namiętność, a jednak pozostał chłodnym i obojętnym. Dorota, wracając potem do domu, słabła ze złości, miotała się z rozpaczy, przeklinała Kazimierza, łajała Wichfrieda i czekała na nową zręczność.

Przy wielkich uroczystościach, na turniejach, nabożeństwach publicznych zawsze widzieć ją było można, narzucającą się na oczy księciu, uśmiechającą, wdzięczącą się bezwstydnie; słaby Kazimierz tej jednej pokusie zwycięsko się opierał.

Raz udało się Dorocie w czasie gonitwy w podwórzu zamkowem tak się zwolna przysunąć, przecisnąwszy między widzami, iż prawie obok Kazimierza stanęła. Przemówiła śmiało do niego; książę się uśmiechnął, kilka słów obojętnych rzekł do niej i natychmiast, chroniąc się od napaści, z miejsca swojego się ruszył.

Do poufałych domowników księcia należał wywieziony z Sandomierza Goworek, ale ten, mając sobie powierzone namiestnictwo w Sandomierzu i Lublinie, więcej tam siedział, niż przy dworze. Ulubiony księżnie Helenie i panu, mąż prawy, silnego ducha, spokojny, na rodzinę nie podszczuwał i myśli Kazimierza poślubiał posłusznie... Dla Goworka nie miał książę tajemnic, przez niego często żonę trwożną uspokajał i łagodził, w myśli przeznaczał go za opiekuna dzieciom.

Obok niego występował już naprzód, coraz więcej zyskując władzy, gorętszy i przedsiębiorczego ducha, Mikołaj Lis, brat biskupa Pełki, któremu już wielką moc i pierwsze dostojeństwo wróżono. Co brakło powolnemu Kazimierzowi, on dopełniał rzutkością swą, gorącością, przenikliwością i odwagą. Mąż był ducha rycerskiego, niecierpliwy trochę, siebie pewny, woli upartej, bystrego oka. Gdzie trzeba było ziemian hamować, z coraz większemi występujących żądaniami,

podnoszących głowy bez miary — tam Mikołaj zastępował pana.

Za biskupa Gedki rycerstwo krakowskie, możni ziemianie, którymi się posługiwano, zyskali przewagę wielką; próbowali jej teraz nadużywać. Mikołaj bronił władzy książęcej.

Gdy się ziemianom lada co nie podobało, tłumnie a z wrzawą szli na zamek domagać się, aby po ich woli szedł książę. Naówczas Mikołaj za niego występował, opór łamał, groził, rozpędzał i księciu dopiero się dał ukazać, gdy mu drogę przetrzebił. Zyskał tem już wielu niechętnych, lecz że od czasów Gedki ziemianie nawykli byli skupiać się około biskupa, a brat Mikołaja właśnie był obrany pasterzem, przez niego i z nim umiał się Mikołaj utrzymać przy swem, nie dopuszczając, aby mu nieprzyjaciele szkodzili.

Stary Żyra, postanowiony opiekunem chorego Leszka, wiekiem osłabły, mniej był czynny od czasu zwłaszcza, gdy dawszy się oszukać Mieszkowi, o małe Leszka, Mazowsza i Kujaw nie przekazał w ręce przebiegłego Kietlicza.

Śmierć biednego, słabego wyrostka położyła koniec tym knowaniom, nie zraziwszy Mieszka od poszukiwania nowych środków do zrzucenia brata ze stolicy, którą swoją mianował.

Stach, któremu Jagna uszła, bo ją ani śmiał, ani mógł wstrzymać, pozostał sam na straży jej dworku i ludzi. Ni pan, ni sługa, najczęściej gościem tu był tylko. Wynosząc się za Wisłę, zaklęła go, aby domu nie porzucał.

— Słuchaj — rzekła, — stał się cud, pan mi mój serce powrócił, ale Bóg jeden wie, na jak długo. Jagna starzeje. Dziś, jutro, wiedźma napojem, albo mi go inny jaki zły los odebrać może... Gdzież ja przyjdę umierać? Zachowaj dla mnie ten dach; ja do Ściborzyc powracać nie mogę. Tam duch ojca i matki i szczęścia mojego chodzi i tuli się po kątach, jabym tam i umierać nie mogła spokojnie. Jutro mnie wygnać mogą,

jam jak palec jeden w świecie, sierota! Gospodarz u mnie!

Gospodarstwo to było ladajakie; Stach zaglądał tylko, rozpytywał, a niczego dla siebie nie tknął. Swojem żył, dach tylko cudzy mając nad głową i czeladzi nie dając się rozpuścić.

Biskup Gedko, który do zgonu nim się posługiwał, wiedząc, kogo mieć będzie następcą po sobie, tajemnicę Stacha i jego samego mu powierzył. Miał więc wstęp do Pełki taki, jak do poprzednika. Jemu powierzone było śledzenie spraw Kietlicza, wywiadywanie się o Mieszkowe stosunki w Płocku i Wrocławiu, on oznajmił pierwszy o podstępie, którym chciano opanować Leszkową dzielnicę, starego Żyrę okłamawszy.

W ciągłych tych potajemnych włóczęgach Stach nabrał smaku do nich, już mu ich niemal do życia było potrzeba. Gdy nie miał kogo śledzić, za czem jeździć, gdzie się podkradać, tęskno mu było, niepokoił się. Pozawiązywał różne stosunki w Poznaniu, w Płocku, na Śląsku, w Gnieznie, miał wszędzie swoich ludzi i, jak zwał, swe języki.

Gdy kilka dni miał wolnych w Krakowie, co się rzadko trafiało, używał ich Stach na to, aby się na biskupim dworze rozpatrzeć i rozsłuchać, a czasem pójść do Juchima, który dotąd dotrzymywał wiary i zdawał się Kazimierzowi życzliwy. Prawda, że mu się z tem nieźle działo, bo pieniądze kował. O Mierzwie wcale jakoś słychać nie było: oddał się całkiem Mieszkowi i nawet już w Krakowie pokazywać się nie śmiał, ani wiernego udawał. Nie dziwił się temu Stach, ani nad stratą bardzo bolał.

Właśnie powrócił był z Poznania, dostawszy tam języka, który go znów napełnił trwogą i zaniósł biskupowi Pełce wiadomość, że część ziemian krakowskich miała już zmówiska z Mieszkiem. Wypadło mu dla dośledzenia tych zdrajców zapukać do drzwi Juchima. On znał najlepiej wszystkich.

Dworek Żyda bardzo był teraz urósł i rozszerzył się,

a że mu nic nie groziło od Kazimierza, gospodarz mniej się teraz taił z zamożnością.

Zwykle, gdy Stach przybywał, odźwierny, zobaczywszy go, natychmiast z poszanowaniem drzwi otwierał. Tym razem uderzyło go to, iż za wrotami po wyglądnięciu okienkiem zawrzało, zaszumiało, szeptano długo, nim się furta otwarła.

Nie mając jednak podejrzeń żadnych, Stach wszedł szybko do izby gościnnej, w której zwykle Juchima znajdował. Tu go nie było. Na stole wino stało i jakieś słodycze, kubki niewypróżnione, a na jednem siedzeniu leżała zapomniana czapka. Uderzyła ona Stacha swą dziwną powierzchownością, nakształt zawoju czarnego; przypomniał sobie, że w takiej właśnie widywał dawniej Mierzwę. Ale kołpaków podobnych po świecie wiele być mogło! Dziwniejszem wydało mu się, że stąd ktoś przed nim uszedł, czego dowodziła zastawa niesprzątnięta ze stołu.

Juchim wnet nadszedł witać gościa, lecz pomieszany widocznie, blady, tak, iż odrazu poznać po nim było można, że coś w sobie taił... Stach pochwycił ową czapkę i, podnosząc ją a potrząsając, zawołał:

— A to co? Gościa mieliście, który się skrył przede mną?

Juchim, obaczywszy owo lice, odrętwiał, ręce złożył, wargi mu się trząść zaczęły.

— Tylko nie kłam! — rzekł Stach. — Wiem, czyja czapka, bom ją niejeden raz widział na niepoczciwej głowie Mierzwy.

Juchim, usłyszawszy to imię, krzyknął przeraźliwie, głowa mu opadła na piersi. Widząc pomieszanie, Stach dodał nakazująco:

— Jeśli on stąd ujdzie, ty mi odpowiesz za to!

Juchim stał tak osłabły, iż się za stół musiał pochwycić, aby na nogach utrzymać. Błagające oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Mówię ci — dodał Stach, — tu jest Mierzwa. Znam go nadto, abym uwierzył, że on tu dla zabawy przyjechał. Toć prawa ręka pana Kietlicza, wroga na-

szego. Jeżeli przybył, to za jego rozkazem i szyi nie nastawiał napróżno. Ja w tem, że cały stąd nie ujdzie. Zginie on, ale z nim i przyjaciele jego i pomocnicy.

Juchim słowa nie mógł wyrzec jeszcze. Strach nim owładnął tak, iż patrząc na starca, litość brała.

Stach z zimną krwią dodał:

— Dawaj mi go tu!

Grobowe milczenie panowało w izbie, oczy tylko Juchima skierowały się ku drzwiom, któremi wszedł; wskazywał niemi Stachowi, że tam znajdował się winowajca.

Natychmiast śmiałym krokiem wszedł do bocznej komory. Tu osłonięty sukienną oponą, drżał w kącie przyczajony zdrajca, głowę okrywszy, rękami blademi cisnął konwulsyjnie pochwycone sukno. Porwawszy go za kark, Stach wyrzucił struchlałego na środek izby tak silnie, że Mierzwa padł i, nie wstając, na kolanach klęczący, ze złożonemi rękami błagać się zdawał o życie.

Widok tego człowieka litość obudzał i wzgardę. Pod wrażeniem trwogi twarz jego zmieniła się tak okropnie, wykrzywiła, przeciągnęła, iż do człowieka prawie nie był podobny. Stach patrzał nań zgóry, milcząc długo.

— Ha! nareszcie cię mam, ptaszku, — krzyknął, — teraz już mi nie ujdziesz!

Mierzwa trząsł się i milczał; tłumaczyć się było próżnem: sama jego tutaj przytomność była dowodem winy.

— Mów, z czemeś tu przybył? — zawołał Stach, — bo, że nie dla zabawy z przyjacielem Juchimem, to pewna.

Nim Mierzwa mógł na to odpowiedzieć, Juchim, który był odzyskał przytomność, wpadł do komory, składając ręce.

— Na co chcesz przysięgi? — począł, jęcząc, — na nasze świętości? na biblję, na dzisięcioro? na wszystko, co każesz, przysięgnę, że nie byłem i nie jestem zdrajcą! Z tym człowiekiem nie miałem nic! Pierwszy raz

szatan go tu przyniósł do mnie! Nie wiem, czego chce, niema jak pół godziny, gdy się tu wcisnął na zgubę moją.

Mierzwa klęczał ciągle.

— Gadaj! — powtórzył Stach, nie zważając na Żyda, — gadaj, lub w tej chwili na męki cię dam, aby ci gębę otworzyli.

Podźwignął się Mierzwa powoli, rękami począł twarz trzeć i płakać, namyślając się, co miał odpowiedzieć.

— Jestem sługą księcia Mieszka — odezwał się, — zostałem mu wierny.

— A płacę od nas brałeś?

— Chciałem się z rąk waszych uwolnić — zawołał, odzyskując śmiałość, Mierzwa. — Jestem sługą mojego pana, nie żadnym zdrajcą.

— A coś ty mi przyrzekał? — rzekł Stach.

— Co? W początkum wam służył — mówił podsędzia, — potem sumienie przemówiło, wróciłem do Mieszka. Nie zaprę się.

— Przysiągłeś mi?

— Przysięga przymuszona nic nie waży; życiam bronił — rzekł Mierzwa.

— Że się wykłamać potrafisz, to wiem — odezwał się Stach. — Sługa Mieszka! A pocóżeś tu? Aby mu jednać przyjaciół i siać zdradę! Sameś przyznał!

— Juchim! — zwrócił się do Żyda — ty mi odpowiadasz za niego; jeżeli ujdzie, dasz głowę. Ja idę po straż. Mówić z nim, stracony czas, na gałąź niecnotę!

Mierzwa jęknął. Juchim ręce załamane trzymał przed Stachem, mówić nie mogąc, błagał go oczyma.

— Pocoś przybył? — zagrzmiał Stach.

Mierzwa myślał chwilę.

— Poco? — odparł burkliwie, — wasza miłość wiesz. Jestem sługa Mieszka, przyjechałem mu jednać ludzi, ale, klnę się, nie widziałem nikogo, z nikim nie mówiłem, nie robiłem nic... Tu na nas nikt spojrzeć nie chce.

Ze wzgardą popatrzywszy nań, Stach odchodził, gdy Mierzwa, jak długi, padł mu do nóg.

— Życiem daruj! Zrobię, co chcesz! — zawołał, — życiem daruj!

— Nic od ciebie nie potrzebuję — odtrącając go, rzekł Stach.

Wtem Mierzwa nagle, jakby mu jakaś myśl przyszła, wstał i począł mówić prędko:

— Juchim da za mnie porękę, żem ja tu nic nie zrobił, a taki sprawiedliwy pan, jak książę Kazimierz, karać mnie za to nie może, iż pana mego słucham. Wam żadnej krzywdy nie uczyniłem. Juchim wie, Juchim poręczy.

Drgnął naprzód Żyd, gdy usłyszał o poręce; potem głowę spuścił, nie umiał odpowiedzieć, nie wiedział, co począć.

— Juchima przecie macie w ręku i jego trzos — rzekł Mierzwa. — Każdego czasu, jeżeli tu noga moja postanie, jeżeli co zbroję, weźmiecie go. On musi za mnie dać porękę!

— Musi, co to jest musi? — wyjąknął Żyd. — Ja za was?

— Jak nie dasz poręki — krzyknął Mierzwa, zwracając się ku niemu, — na mękach czy bez mąk, tak cię zwikłam, oplątam, oczernię, poprzysięgnę na ciebie, że zginiesz ty, cały ród twój i wszystkie mienie twe. Jak ja zdrajca, tyś też zdrajca. Choćbyś nim nie był, zrobię cię.

Stach słuchał, uśmiechając się z pogardą. Juchim odrętwiały, ręce to łamał, to sobie niemi oczy zakrywał, jęczał, głos stłumiony z piersi mu się dobywał, jak płacz nie mogący wyjść na świat. Chwycił się za głowę i resztę włosów rozpaczliwie targać zaczął.

— Porękę za mnie da! — nalegał Mierzwa. — A nie, mam ja ginąć, zgubię i jego!

— Juchim za ciebie da porękę — odparł Stach, — a któż jemu za was zaręczy?

Juchimowi oczy błysły.

— Tak, — przerwał — on musi dać zakładnika

syna swojego najstarszego, Marka; ja go wezmę i dam porękę!

Mierzwie oczy się zaiskrzyły.

— Marka tu niema! — zawołał.

— To go przywiozą! — odparł Żyd.

Stach myślał, wahał się, niepewien, co uczyni.

— Rozprawicie się o to z kim innym — począł, — nie moja rzecz o twoim losie wyrzekać, ale moja dać cię w ręce komu trzeba.

— Tylko mi życia nie bierzcie! — przerwał Mierzwa, — co chcecie, róbcie ze mną, służyć będę.

— Służby twej nikt nie potrzebuje, milcz! — odparł Stach. — Sam Bóg chciał, abyś się dostał w ręce moje, nie puszczę cię...

Obaj obwinieni stali, jak martwi.

— Mnie niewinnego kara spotkała Boża — odezwał się Juchim. — Świadczę się Bogiem moim, którego imienia wymawiać nam nie wolno, żem nie uczynił, anim pomagał do zdrady.

Podniósł oczy do nieba.

— Ten człowiek przyszedł tu poto, aby mi życie wziął!

— Co tu się stało—odezwał się Stach uspokojony,— pewnie z niczyjej woli tylko z Bożej. Mierzwa pójdzie ze mną do biskupa, bo Kazimierz mógłby mieć nad nim nadto litości. Ale wolnego go nie poprowadzę. Po ludzi moich posłać, Juchimie! Nim oni nadejdą, postronka mi dajcie...

Mierzwa wzdrygnął się, lecz milczał już. Nie było na podoręczu sznura, Juchim musiał z siebie zdjąć długi pas, którym Stach sam, ręce wtył odgiąwszy, spętał Mierzwę.

Sędzia prosił o opończę, aby przez miasto nie szedł skrępowany, jak złoczyńca. Stach mu nic nie odpowiedział. Żyd musiał wyjść spełnić rozkaz i postarać się o ludzi.

Po wyjściu jego Mierzwa spróbował jeszcze natchnąć Stacha litością, lecz żadnej od niego nie odbierając odpowiedzi, zamilkł w ostatku, zagryzłszy usta.

Wkrótce nadeszli ludzie Stacha; Juchim, przyodziawszy się w płaszcz, musiał iść razem z winowajcą. Stach, uradowany obłowem, poprowadził ich do biskupa. Szczęściem dla jeńców na dworze ściemniało, śnieg prószył i, nie spotkawszy nikogo, dostali się do dworca biskupa, któremu dano znać, iż Stach zdrajców jakichś na uczynku złapanych prowadził.

Nie jego już rzeczą było sprawę wysłańca Mieszkowego sądzić, który stanął w obronie swej przed biskupem z całą umiejętnością i przebiegłością swoją. Nie pomogły one nic — i po długich jękach i prośbach biskup kazał go do więzienia dać, dopókiby zakładnika nie stawił.

II.

Od wstąpienia na stolicę Kazimierza cicho było i zamarło na zamku w Tęczynie. Dobrogost i Sędziwój stronili od księcia i dworu; znano ich jako przyjaznych Mieszkowi, lecz nie dali powodu jawnego, aby ich nieboszczyk Gedko, lub następca jego Pełka do odpowiedzi za to pociągać mogli. Trzymali się cicho i na uboczu. Jeździli wprawdzie do Poznania i młodszych swych przy dworze księcia Mieszka osadzali, lecz za to ich karać się nie godziło, a mniej, niż ktokolwiek, Kazimierz mógł im to za złe poczytać. Pan był miłościwy wszystkim, szanujący wszelką miłość i każdą wierność.

Bracia z Tęczyna na wielkie nawet zjazdy, gdy się ziemianie wszyscy zbierali do Krakowa, nie stawali wcale. Mówiono, że albo ich doma nie było, lub że chorzeli, a wkońcu i wcale nic, bo już o nich zapomniano.

W Tęczynie jednak teraz, gdy pomiędzy ziemianami ciągłe wyprawy na Ruś, do Halicza dla wypędzania jednych, a osadzania drugich kniaziów, coraz częstsze a uciążliwsze, zrobiły niechęci i narzekania — co było nieprzyjaznego Kazimierzowi, tajemnie się na narady zbierało.

Biskup Pełka, może nie przypuszczając, aby tak blisko, pod bokiem księcia i jego, coś się knuć mogło, nie zwracał uwagi na te zjazdy. Odprawiano je niby dla myślistwa i zabawy, a w istocie groźne były wielce. Mieszko miał tu ognisko, z którego skry się sypały na całą ziemię.

Oddawna już, oczekując sposobnej pory, gotowano się do jakiegoś zamachu na korzyść Mieszka, który niczem niezrażony, zawsze pragnął i spodziewał się panowanie odzyskać. Teraz nowa do Halicza wyprawa, z powodu sporu Romana Włodzimierzowicza z Wsewołodem Bełskim nastręczała niechętnym pola do próby nowej, śmielszej nad inne nieudane. Sama wieść o tej wojnie postanowionej, jak się uskarżano, bez wiedzy i rady panów, burzyła umysły. Korzystał z tego Mieszek i słał kogo tylko mógł ze swoich ludzi, aby tam ziemian podburzali.

Zapowiedziane były wielkie łowy na zamku w Tęczynie i wrzekomo dla nich rozsyłano gońców zapraszających do wszystkich tych, którzy albo byli już w spisku, lub których się spodziewano wciągnąć do niego. Oba bracia siedzieli tu już od kilku dni. Czyniono wielkie przygotowania dla gości, w izbie stoły były ciągle nakryte i pozastawiane, bo przyjęcie naówczas bez obfitości jadła i napoju nie zwało się gościnnem. Sadzano przybyłego natychmiast do misy i dzbana, aby głód i pragnienie sycił i gasił.

Powoli do zamku ściągali się ziemianie, nie wedle obyczaju huczno i ludno, ale kupkami małemi, ze psy i myśliwskim przyborem. Spodziewano się wszystkich siedemdziesięciu głów rodu możnych, gdyż tyle ich było, co się z powodu wypraw Kazimierza na Ruś przeciw niemu oświadczały, chcąc mu wypowiadać posłuszeństwo. Zżymano się na samowolę księcia i hetmana Mikołaja.

Po jednemu ziemianie wjeżdżali na zamek otwarty, po większej części ludzie już niemłodzi, których strój i oręż wydawały wielką zamożność. Każdy z nich, zaraz się rozbroiwszy, szedł do wielkiego ognia w bocz-

nej izbie, siadał na ławie, ciepłem winem się zagrzewał i rozmowę przerwaną ciągnięto dalej.

Czy z obawy służby, chociaż ta posłusznie podzielała panów swych miłość i wstręty, czy z poczucia własnej winy i pewnego sromu, zwykle burzliwe narady i zjazdy ziemian tym razem odbywały się cicho.

Mruczano więcej, niż mówiono, szeptano półsłowy i półgłosem. Kilku tylko, szczególniej Sobek z Koziegłów i Daczko, brat jego, dwu Śreniawitów z Proszowic, śmielej się czasem i głośniej wyrywali. Gospodarze oba, ludzie niezbyt mówni, potakiwali znakami, lub potwierdzali półgębkiem. Wiedzieli wszyscy, o co szło.

— A no! — mówił Sobek z Koziegłów, — mamy już dosyć tego panowania miłościwego; trzeba mu koniec położyć. Dobry pan tak się stał dobrym dla Rusinów swych, wujów, stryjów, siostrzeńców i powinowatych, że dla nas jest zły, bo naszą krwią musimy skrapiać drogę bękartom Halickim do tronów. Z Węgrami się zadarli — idź a idź na Ruś — nie pyta!

— Poco ma pytać? — przerwał Śreniawa, — gdy biskup Pełka powie, a pan Mikołaj, brat jego, potwierdzi, Kazimierz posłucha; oni dlań w sobie wszystkich ziemian zamknęli.

— Niedołęga we wszystkiem — odezwał się rzadko przemawiający Dobrogost z Tęczyna. — On sobą nie rządzi, nim wszyscy, Rusiny, baby, księża, tylko nie ci, co powinni, nie my, co tu gospodarować mamy prawo. A toć lepiej posadzić Mieszka, co siłę ma, państwo do ładu przyprowadzi i naszych panów, ojców duchownych trochę nabok usunie, bo wkrótce, jak tak potrwa, sami biskupi już tu będą rządzili, bez wszelkiego pana się obchodząc.

— Hej! hej! — wtrącił zboku Drogut, stary i siwy człek, który siedząc, schylony, w ogień patrzał obojętnie. — Gdyby Mieszek tę siłę miał, o której prawicie, dawnoby już mógł opanować Kraków, ale i to ciemięga!

— Na Mieszku jakiś przeklon cięży! — szepnął inny, wzdychając.

— Nieprawda — odparł Dobrogost. — Już przez to

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.

samo, że po tylu nieszczęściach nie stracił otuchy, dowód stawi, iż siłę w sobie czuje...

— A na Kazimierza już Pan Bóg zaczął zsyłać przestrogi i jemu się już nie wiedzie — mówił Śreniawa. — Piękne chłopię, najstarszego syna, stracił tak marnie.

— O tem to jakoś różnie ludzie mówią — odezwał się głos z kąta.

— Niema o czem mówić, bo to był jawny palec Boży — kończył Śreniawa. — Chłopak ze swawoli ścinał drzewo, na którem się coś poruszało. Była to żmija, czy padalec, co mu się na szyję rzuciła i ledwie dotknęła go, padł martwy.

— Syna ma drugiego; ten na dziedzica starczy — odparł Dobrogost. — Znalazłoby się też dzieci więcej, gdyby ich po kątach szukać a no z temi się chwalić nie będzie.

Po krótkiem milczeniu starszy jeden począł znowu:

— Mówcie wy sobie, co chcecie; wojna z Kazimierzem, to razem z duchownymi i z Panem Bogiem i ze świętymi Pańskimi. Już matka jego, Salome, kości i relikwij świętych siła nagromadziła, a Kazimierz sobie w Rzymie uprosił zwłoki całego jednego świętego za patrona.

— Że mu te moce i potęgi pomagają — wtrącił drugi, — temu nikt nie przeczy, ale my też nie jesteśmy niebożnicy i tego samego Boga i świętych Jego czcimy.

— Nie tak, jak on! nie tak! — przerwał inny, głową kręcąc. — On im kościoły buduje, trumny sprawia bogate, chwałę ich mnoży.

Milczeli wszyscy, aż Sobek z Koziegłów przerwał zasępienie długie, które po niem nastąpiło.

— Na Boga ani na Świętych Jego się nie porywamy. Gdyby tak przyszło lękać się wszystkiego, niby już człowiek nie począł. Czas, byśmy o sobie pomyśleli; Pełka i brat jego, a cała gromada ich zauszników obrócą nas w chłopy i niewolniki. Pytaliż się oni kogo o tę wyprawę na Ruś? Słowa nam nikt nie rzekł, posyłają wici, słuchaj pod gardłem.

— Tych Węgrów i Rusi naprawdę aż pod gardło mamy — odparł drugi z Koziegłów; — niech już będzie, co chce, a bronić praw swych musimy. Gdyśmy tu Kazimierza prowadzili z Sandomierza, lepszegośmy się w nim pana spodziewali. A oto zaraz w Łęczycy okazało się, żeśmy nie dla siebie, tylko dla biskupów pracowali a dla kmieci. Im popuszczono, nas ściśnięto, ledwie dyszymy.

Gedko nam tłumaczył, że książę nas do Rady przybiera i bez Rady nic stanowić nie będzie. Nie pytają dziś o radę nikogo — rzekł Dobrogost.

— Cała Rada — dwu Mikołajów, jeden Pełka, Jaksa i może Niemiec, przybłęda; nas, co przedniejszych ojczyców, zbywają, gdy przyjdziemy, tem, że już postanowiono...

Szeptać poczynali gromadkami, pytając jedni drugich, co postanowiono, gdy Dobrogost cicho rzekł niektórym, iż spodziewa się lada chwila samego Kietlicza z Krakowa, bo się teraz nie na żart zbierano do roboty.

— Gdy Kazimierz na Ruś wyciągnie z całą siłą swoją — dodał — i swoich tam wszystkich zabierze, na zamku się pozostanie mało, albo nic ludu. Ku Haliczowi się zapuści, będziemy mieli dosyć czasu powołać Mieszka, który na Śląsku stać musi i czekać hasła... Wprowadzimy go na zamek i okrzykniemy.

— Byle się raz powiodło — dodał Dobrut; — ja bo już wiarę straciłem, bośmy się niemało razy sparzyli i nie było z zachodów nic.

— Szyję za to daję — odezwał się Dobrogost, — że Mieszek i Kietlicz tym razem dobrze wszystko wyważą i udać się nam musi... Nie próbowali dotąd, bo nie byli pewni swojego.

— Zamku nie będzie komu bronić — mówił jeden.

— A miasto? a kmiecie?

— Na tych mamy siłę — odparł Dobrogost; — czerń i ciżbę zgnieciemy i rozproszym.

— Zgnieciemy! — potwierdzili drudzy.

Podniosły się nieco głosy żwawsze i wnet spiskują-

cy, sami się tego uląkłszy, znaki sobie dawać poczęli, aby milczeć.

Nadjeżdżali coraz nowi, czekano na obiecanego Kietlicza, który się opóźniał. Ściemniało już dobrze, oba gospodarze, niespokojni trochę, naradzali się, czyby ludzi nie posłać na drogę ku Krakowu. Inni odradzali, aby oczów na siebie nie zwracać zbytnim ruchem.

Ile razy w podwórzu zatętniało, wybiegano patrzeć, ale przybywali tylko ci, co umyśnie pod noc się wybrali, aby ich nie spostrzeżono. Kietlicza nie było.

Rósł tak niepokój z nadchodzącym wieczorem, aż gdy do stołów zasiedli i do kubków się wzięli, zapomniano trochę o trosce. Ino gospodarze często spoglądali ku sobie i nasłuchiwali.

Misy stały próżne i dzbany odnawiano, gdy naostatek w progu, powitany okrzykiem stłumionym, ukazał się mężczyzna gruby, otyły, czerwonej twarzy, najeżonego włosa. Był to długo oczekiwany Kietlicz.

Sędziwój, który naprzeciw pośpieszył, postrzegł zaraz, że niewesół powracał. Twarz jego od wiatru ze śnieżycą mocno zaogniona, pomieszana była, oczy biegały niespokojnie, usta miał zacięte, czoło pofałdowane.

Na powitanie ledwie skinieniem głowy odpowiedziawszy, oczyma począł mierzyć zebranych. Wszyscy od stołów wstając, cisnąć się do niego zaczynali. Zarzucano go pytaniami, na które zasapany i zmęczony nie odpowiadał. Z obawą jakąś mierzył ludzi wzrokiem, jakby się znaleźć między nimi spodziewał niewiernych. Dobrogost dał mu znak, odstąpili nabok.

— Z czemże wracacie? — spytał.

— A z lichem! — odparł szorstko Kietlicz.

— Cóż się stało? grozi co?

— Jeszcze to tam nic wielkiego — rzekł, głos zniżając Kietlicz, — a no! a no! — Ruszył ramionami.

— Mówcież! — naglił Dobrogost.

Wahał się przybyły, widząc dokoła tylu ludzi, których nie znał, targał na sobie odzienie. Podano mu wina kubek, wychylił go żywo.

A tu naciskali się ciekawi, co zamiast go cieszyć, niepokoiło.

— Ot, co — rzekł pocichu do gospodarza. — Wzięto mi najlepszego, najpotrzebniejszego sługę. Jak go na męki pociągną, gotów śpiewać, co nie trzeba i mnie zdradzić. Uchodzić muszę.

Choć oprócz Dobrogosta mało kto mógł posłyszeć rzeczone słowo, popłoch jakiś wionął po całem zgromadzeniu. Ruch się wszczął niespokojny, szeptano trwożliwie dokoła. Kietlicz pomiarkował, że niepotrzebny może strach posiał, mogło to sprawie zaszkodzić. Rzuciwszy oczyma ku drugiej izbie, wsunął się do niej z kilku zaufanymi i drzwi się zaraz zawarły za nimi.

— A! zła godzina! — rzekł Kietlicz — zła godzina! Ale nie takąśmy już przeżyli i przebyli, niema czego rozpaczać, tylko ostrożnie dalej! — westchnął. — Mierzwę mi wzięto.

Mierzwa znany był braciom z Tęczyna i innym wielu z czasów sędziowskiego urzędu, jako człek bystry i mądry; zasmucili się wszyscy.

— Gdzie? jak? — przerwał Sobek. — Pewnie do bab polazł, bo podwikę nadto lubi!

— Nie! — mówił, ożywiając się Kietlicz. — Licho nadało do starego druha, do Juchima wstąpił, a tam go niepoczciwy człek, niejaki Zabór, co mi już kością stoi w gardle, bo go na mej drodze wszędzie pełno, człek, co mi się jak wąż z rąk wymyka, pochwycił i ujął!

— Gardło mu wezmą! — smutnie szepnął Dobrogost.

Kietlicz głową potrząsał.

— Może się nie dadzą — rzekł. — Gdzie dwu takich w sprawie jest, jak Juchim i on, nie może być, żeby się nie ratowali. Jeden ma dużo rozumu, drugi pieniędzy.

Tarł czoło Serb i stękał.

— Mnie uchodzić trzeba — ciągnął po chwili. — Krótko się rozmówmy. Na zamku trzeba ludzi kilku zyskać, aby było komu wrota zawczasu otworzyć. Jak

tylko wyciągną na Halicz, dawajcie nam znać, wpogotowiu stać będziemy na śląskiej granicy, wpadniemy, jak piorun na Kraków.

— Nie wiecie, kogo Kazimierz zostawi tu? — spytał Sędziwój.

— A no Pełkę biskupa, pewnie z bratem Mikołajem, tych dosyć. Nie lękali się nas dotąd... nie widzieli nic...

— Mikołaj w Krakowie — przerwał Dobrogost, — twardy człek i obrotny — to źle!

— Bez ludu, co on wart? — odparł Kietlicz. — My z dobrą wpadniemy gromadą. Mieszek niedawno poręczył bratu swą wierność, spodziewać się go Kazimierz nie będzie. Weźmy ich w pierwospy. Byle sobie na Ruś wyszli.

— Pójdą pewnie — mówił Sędziwój. — Gdy idzie o sprawę kniaziów ruskich, Kazimierz gotów zawsze choćby krew przelewać, byle im służyć. Nie dla żony to czyni, boć jej tak bardzo nie miłuje, ale mu się umieją przypochlebiać, kłaniać, połechtać, a wspaniałomyślny pan rad, aby go sławiono i czołem mu bito... O! pójdzie na Ruś, a choćby i na Węgry. Już to postanowione.

Kietlicz się zwrócił ku nim.

— Na was, miłościwi ziemianie tutejsi, cała waga, wszystka nadzieja — rzekł. — Bez was, choćby z tysiącami my nie starczym. Biskup Pełka i pan Miklasz wojska się nie ulękną, a ziemianom ustąpić będą musieli.

— Będzie nas dosyć! — zapewnił Sędziwój.

Drudzy dwuznacznie głowami poruszali.

— Ilu liczycie? — spytał Serb.

— Żupanów z ich rodami i zawołaniem mamy siedemdziesięciu — dodał Sędziwój; — toć znaczna rzecz.

Kietlicz nic nie powiedział.

— Przysporzy się ich, gdy się wieść rozszerzy, żeśmy na zamku i mamy go w ręku — ciągnął Sędziwój. — Siedemdziesiąt zawołań na głowy zbierze się dużo. Zamek opanować — pójdzie reszta sama!

— Zamek i biskupi dwór — poprawił Ketlicz. — Pełkę w rękach musimy mieć, brata jego też, bo ci są najstraszniejsi.

Zaczęto się naradzać i obliczać pocichu, i zrzadka tylko przerywały szepty i głośniejsze wybuchy. Poza drzwiami, zamkniętemi do wielkiej izby, gwar słychać było głuchy, nieustający, czekano tam, aby się drzwi otworzyły, aby im znać dano, co się uradzi, bo niepokój zrodziło posępne oblicze przybyłego, a podwoiło go to, że na osobności z małą garstką pocichu radził.

Wyszedł ku oczekującym Dobrogost i półgębkiem oznajmił, iż nic złego się nie stało, że choć ciężko szło, ale nie zmieniło się nic, i gotowości a pilności wielkiej tylko potrzeba było.

Czoła się zasępiły. Dobrut począł szeptać swoim, że taki coś jest, o czem im nie mówią, aby serc nie psuć.

Drudzy ducha krzepili. Przycichła jednak zrazu dość wesoła wrzawa, naradzać się przestali. Dobrogost zaraz powrócił do komory, w której był Kietlicz. Wielu ciekawszych u drzwi jej się skupiło, nastawując ciekawego ucha — lecz oprócz szmeru, nic pochwycić nie mogli.

Wtem zdało się im, że nagle zawieruszyło się we wnętrzu, powstał hałas, gadanie pomieszane, niewyraźne, niespokojne. Głos jakiś piskliwy, jęczący, który do żadnego znanego nie był podobny, dał się słyszeć.

W istocie był tam ktoś obcy. W chwili, gdy gospodarze i kilku zaufanych umawiali się z Kietliczem, wsunął się starszy komornik, oznajmując, że ktoś przybył pilno z Krakowa, żądając mówić z Henrykiem.

Kietlicz, choć nie sam to imię nosił, dorozumiał się, że o niego szło i uląkł zdrady. Już miał uchodzić, gdy Sędziwój, wybiegłszy, sam wprowadził za sobą ledwie dyszącego, trzęsącego się, mówić jeszcze niemogącego i piersi rękami drżącemi cisnącego Juchima. Kożuch na nim pomięty, sianem i słomą potrzęsiony, odzienie domowe ledwie narzucone, świadczyły o pośpiechu, z jakim się wybierał. Oparł się stary o ścianę u drzwi,

dysząc jeszcze ze znużenia. Wodził długo oczyma po izbie, nim się zebrał przemówić.

— O wszystkiem wiem — rzekł, przystępując Kietlicz.

— Nie wiecie o wszystkiem! — przerwał Juchim z rozpaczą, odzienie na piersiach targając. — Ja jestem zgubiony, ten człowiek mnie w grób wrzucił! mnie, dzieci, wszystko!

Jęknął.

— A ty jego i siebie wyzwolisz — odparł Kietlicz zimno.

— Jak? jak? — zawołał Juchim. — Ja jego nie uratuję, poginiemy oba! Przyślijcie mu syna na zakładnika, przyślijcie, może tak się co zrobi! Ja nic nie wiem!

I głowę w dłonie ująwszy, Żyd jęczeć począł. Kietlicz się przybliżył doń powoli.

— Syn, syn wam się na nic nie zda — odezwał się; — ani Mierzwie, ani wam nie przebaczą i nie zawierzą. Choćbyś się opłacił, już oni złem okiem na was będą patrzeć. Ratujcie Mierzwę, bo mi potrzebny, a sami też z nim do nas uchodźcie!

Juchim w początku słuchał chciwie, potem głową zaczął trząść.

— Pieniądze i życie ratujcie naprzód — dodał.

— Uchodzić! aj! — odezwał się, — cóż to ja sam? A żonę, a dzieci, czy ja w połę zabiorę? I to co mam... Kietlicz, — reszcie się nic nie stanie.

Juchim nie słuchał już, tak rada wydała mu się niezdarną.

— Tego, co ja tam mam — mruczał — gałganów, sprzętu, ubóstwa mego ja na dziesięć wozów nie zabiorę.

— Stary, a nieporadny! — z gniewem zawołał Kietlicz. — Czyż ja cię mam uczyć, abyś wozy nocami po jednemu odprawiał!

Juchim uśmiechnął się gorzko, nie chciał mówić, aby się z bogactwem nie wydawać; rady brzmiały mu jak szyderstwo i urąganie. Za nic w świecie nie byłby

tego mienia, na które pracował całe życie, puścił bez straży; zabrać je i uwieźć niepostrzeżenie było niepodobieństwem. Nierychło podniósłszy głowę, mówić zaczął z gorącością wielką:

— Albo to wy nie możecie zrobić teraz tego, na co się od lat tylu daremnie zbieracie i odgrażacie? Wojsko ciągnie na Ruś, miasto będzie puste, zamek goły. Niech książę przychodzi, weźmie jak grzyba.

Gospodarze z Kietliczem spojrzeli na siebie. Ostrożny Serb wtrącił:

— Albo to łatwa rzecz?

— Jeżeli ona teraz wam niełatwa, to już zawsze będzie trudną — ciągnął żywo Juchim. — Dużo jest ludzi, co z pana nieradzi, nowegoby chcieli. Wszystko, co żyje, zbierają na Ruś — no — w mieście zrobi się, co potrzeba. Starosta będzie nasz, ja za niego ręczę, a ja go znam! Ocalcie nas, ale potrzeba prędko, prędko!

Zadychał się stary i spojrzał. Słowa jego tak przypadały do myśli słuchających, że mu się nie sprzeciwili. Zdawało się, że ich odgadł.

— No, — wtrącił Kietlicz — kto wie? Mogłoby to być, ale i wy nie żałujcie na to groszy. Starostę ująć trzeba.

— Gdy wszystko mam tracić, wolę połowę — zawołał Juchim i poprawił się zaraz, — wolę część. Nie pożałuję, starostę mam w ręku.

Kietlicz i bracia obaj zbliżyli się do Żyda, rozpytując pilno i o starostę, i gmin miejski, za kim on trzymać będzie.

Starostę, upewniał Juchim, rękę kładąc na piersiach, że weźmie; co do gminu, namyślał się nad odpowiedzią.

— Gmin? A co znaczy gmin? — rzekł cicho. — Motłoch lubi księcia, bo jałmużny daje, ubogich karmi, zły nie jest, ale gmin pójdzie za starostą, a tego ja mam!

Za kmieci nie chciał Żyd ręczyć, owszem, utrzymywał, iż tych od Kazimierza żadną nie odciągnie siłą.

Już się narada kończyła, gdy nagle Juchimowi oczy zabłysły i począł, rękę podnosząc:

— Ja jeszcze jedno powiem! Może ja tego nie wziąłem z własnego rozumu, może to niemądra rzecz, ale mnie przychodzi do głowy jeden sposób, aby wszyscy poszli do Mieszka, nawet ci, co nie są jego!

Zatrzymał się chwilę i głos zniżył jeszcze.

— Cóż to? — ciągnął, miotając oczyma. — Jak on pójdzie na wyprawę na Ruś, czy jego tam zabić albo otruć nie mogą?

Wszyscy zamikli, a Żyd zląkł się własnego słowa i rękami potrząsać zaczął.

— Nie trzeba, żeby jego kto zabijał, albo truł — dodał żywo — na co? Można powiedzieć, że on nie żyje. O tyle mil, kto może temu kłam zadać? A jak wieść pójdzie, że jego na świecie niema, czy nie pójdą wszyscy do tego, co jest?

Kietlicz się uśmiechnął; wszyscy zrozumieli i przewrotność i zręczność tego wybiegu.

— Rozumny człek! rada dobra! — zawołał Serb. — Gdyby nie ten kłopot dzisiejszy, nie byłby nam skarbny jej przyniósł, a mybyśmy na tę myśl nie wpadli!

Uderzył tak silnie po ramieniu Żyda, że się aż wzdrygnął.

— Róbcie tak — dodał.

— Co to pomoże — przerwał Żyd — jeżeli wy się nie ruszycie? Jak się wieść rozgłosi, trzeba, żeby było komu bezpańskie wziąć! Zamku niema komu bronić.

— A ludzie biskupi? — spytano.

— Biskup swoich daje księciu na Ruś — odparł Juchim.

— Brat jego idzie, czy nie?

— Kto go wie? — odparł Juchim. — A co on będzie wart sam jeden?

W ten sposób Juchim stał się powiernikiem zmowy; nie postrzeżono się nawet, gdy przyjmując jego radę, wydano się z własnemi zamiarami. Plan cały był osnuty. Kietlicz zyskiwał pomoc pieniężną i czynnego robotnika, któremu szło o własne życie i mienie, nako-

niec pomysł szatański rozpuszczenia fałszywej wieści o śmierci Kazimierza, który się wszystkim zdał najdzielniejszym środkiem do odebrania mu ostatnich przyjaciół i sług wiernych.

Pozostałe dziecię Kazimierza, Leszek, był małem chłopięciem, któremu opiekun z prawa przypadał Mieczysław. Rozjaśniły się twarze.

— Niema już potrzeby tak pilno myśleć o Mierzwie — rzekł Kietlicz. — Może posiedzieć trochę, uwolnim go, zamek zdobywszy!

Juchim zmarszczył brew.

— Byle nie zdradził, nie gadał, nie uciekł — dodał chmurno, — bo za niego wezmą mnie i zabiją!

— Nie bój się — przerwał Serb, — tobie się nic nie stanie, a rychło też wszystko się skończyć musi.

Po tej rozmowie Żyd uspokoił się nieco. Nie było już dłużej o czem rozmawiać, poszeptano jeszcze i Juchim, który musiał nocą do miasta powracać, aby wycieczki jego nie postrzeżono, wymknął się do swoich sani. Kietlicz, kazawszy też konie podprowadzić, wyszedł do oczekujących w wielkiej izbie.

III.

Na krakowskim zamku, pomimo trwożącej jeszcze zimy, która w tym roku dłużej, niż zwykle, wiała od Tatrów chłodem i śniegiem, wszystko się sposobiło do wyruszenia na Ruś z pochodem. Sam książę zdawał się najgoręcej pożądać wyprawy, już dla utrzymania wpływu swojego na kraje te, które chciał w zawisłości od siebie zachować. Biskup Pełka i brat jego, wojewoda, podzielali myśl Kazimierza; w ziemianach i rycerstwie, jak czasu poprzednich wypraw na Ruś, wielkiej ochoty do wojny tej nie było, ale młodzieży śmiała się nadzieja walki.

Nie zwoływano na radę starszyzny, postanowiono w małem kółku na zamku, aby ruszyć, a książę ani przypuszczał, ażeby ziemianie iść odmówili, lub sarkali na to.

Pełka z bratem, obaj ludzie silnej woli, nie obawiali się nikogo, mając księcia z sobą, na ziemian niewiele zważali. Nie rozumieli tego, aby im kto mógł stawić opór. Wojewoda Mikołaj szczególniej lekceważył radę cudzą.

Zdania były podzielone na dworze księcia: Goworek, wierny druh i sługa, pytany, milczał, lub gdy Kazimierz naglił, nieśmiało przebąkiwał, że wojna ta nie była mu po myśli, a ludziom po sercu.

Książę przypisywał to jawnej już niechęci Goworka przeciw wojewodzie Mikołajowi i od myśli swej nie ustępował. Inni bliscy księcia niespokojni byli, widząc, że znaczna liczba ziemian szemrała przeciw rozlewowi krwi dla spraw ruskich, które lekceważono.

Na wiosnę się zbierało, wyznaczono dzień wyjazdu. Książę prosił duchownych o nabożeństwo i błogosławieństwo na drogę. Wszyscy posmutnieli, gdy się czas wyruszenia zbliżył, nawet ci, co wyprawie nie byli przeciwni. Goworek, choć ostrożnie, przypomniał, że zamku zupełnie bezbronnym zostawiać się nie godziło. Odpowiedział mu książę, składając wszystko na wojewodę Mikołaja, ale przyjaciel na imię to głową potrząsał.

— My tu zostaniemy — rzekł — z tem, co waszej miłości najdroższe, z księżną panią i dziećmi, więc się troszczym. Za złe nam nie bierzcie.

Podał mu rękę Kazimierz, uśmiechając się, Goworek ją ucałował.

— Gdy wy tu z niemi, jam o moje skarby spokojny — dodał.

Wieczora, odjazd poprzedzającego, zwykli biesiadnicy wcześniej się z zamku rozeszli. Wichfried towarzyszył panu do sypialni. Był on zawsze tym druhem, co dawniej, choć od czasu zerwania z Dorotą postradał wiele zaufania. Śledził tak dobrze Kazimierza, iż o wycieczkach za Wisłę był uwiadomiony; książę go nigdy nie brał z sobą, ani mu o nich wspominał, a gdy Wichfried napomykać próbował, zagadywał o czem innem.

Brak zaufania płacił mu książę uprzejmością wielką i obfitemi darami. Byłby wreszcie może i zwierzył mu się, gdyby nie Jagna, która między sobą a księciem nikogo mieć nie chciała. Panowała ona teraz nad sercem odzyskanem, tak, jak niegdyś; władza jej silniejszą była może, choć łzy zmyły wdzięk młodości z jej twarzy, a smutek na niej gościł częściej od uśmiechu.

W pustem domostwie za Wisłą prawie sama jedna, Jagna pędziła życie, jakiegoby inna niewiasta nie zniosła. Gdy księcia nie było, z okna dworu, które ku Wawelowi wychodziło, patrzała na zamek, śledząc, co się tam na nim działo, odgadując, co książę robił o każdej dnia porze, szyjąc w krosnach, czekając na niego. Krosna stały u okna tego, oczy jej nie schodziły prawie z Wawelu. Milcząca, rzadko do kogo przemówiła, oprócz pana swego i sług. Żyła myślą i sercem. Potęgowało się w niej samotnością to przywiązanie, które pochłonęło życie całe — tęskne godziny oczekiwania opłacały się temi, które z nim pędziła.

Dla niej Kazimierz nie miał tajemnic, przed nią, jak przed samym sobą, mógł wypowiadać wszystko: i tęsknoty życia, i jego nadzieje a zamiary. Jagna tak się umiała zespolić z myślami jego, że nigdy o nic sprzeczka żadna nie powstała między nimi. Chciała tego tylko, co on, a z wyrzeczonego słowa snuła myśl, która w niem, jak w ziarnie tkwiła.

W początku tajemnicą był ten pobyt Jagny i wycieczki Kazimierza, który z sobą nie brał nikogo oprócz wiernego Smoka, milczącego jak kamień. Później ukryć się to nie mogło. Zausznicy donieśli o tem księżnie Helenie, która, opłakawszy błąd męża, wedle zwyczaju, udawała, że wcale o nim nie wiedziała.

Dorota, która z zaciętością wroga starała się powziąć wiadomość o tej, co jej Kazimierza odebrała, wyśledziła miejsce jej pobytu, ale wszelkie zabiegi, aby się tam dostać, wysłać kogoś, napaść jakąś zgotować — rozbiły się o czujność ludzi, którym straż była powierzoną.

Stara Czechna, służąca Dorocie, z polecenia jej różnemi sposoby zabiegała, aby się dostać do murowanki (tak ją zwano), albo z którą z dziewcząt zawiązać stosunek — wszystko dotąd było próżnem. Nienawiść, pragnienie zemsty wzmagały się w Dorocie, wkońcu już jej nie tyle może szło o odzyskanie Kazimierza, co o pomszczenie się na współzawodnicy. Z myślą tą dzień i noc się nosiła, poprzysięgając, że póki żywa się jej nie wyrzeczę.

Ze śmiercią starego wojewody, Szczepana, Dorota, straciwszy najpotężniejszego ze swych opiekunów, w miejsce jego wybrała drugiego, możnego a niemłodego wdowca, z rodu Porajów. Miotała nim jako chciała, posługując się z wielkiem jego krewnych zgorszeniem.

Wichfried też często całe dnie tu przesiadywał, młodzieży pełno było zawsze; rzadki wieczór przechodził bez pląsów i śpiewów, w których gospodyni zawsze przodowała. Niemiec, widując ją tak wesołą, wmawiał, że juści Kazimierza zapomnieć musiała; naówczas marszczyła brew, zacinała usta i odpowiadała:

— Obaczysz!

Lata płynęły, a osobliwa ta niewiasta trzymała się zawsze młodo, napodziw świeżo i rzeźwo na umyśle. Z latami zdawało się jej przybywać zuchwalstwa i gorączki do ladajakich rozrywek. Najszaleńsza myśl się jej jęła, byle coś nowego w niej było.

Dostać się nie mogąc do murowanki, Dorota czasem puszczała się w okolicę, stawała niemal pod oknami na widoku, tak, by ją Jagna mogła zobaczyć i palcami wskazując na okna, ruchami różnemi ściągając oczy na siebie, dokuczała nieprzyjaciółce.

Jagna ani się sromała, ani tych wyzwań unikała. Gdy ją Dorota zastała w oknie, nie uciekała przed nią, zasiadała całą twarzą do niej obrócona i spokojem swym urągała Dorocie. Była to wojna niema, ale zajadła.

Wieczorem książę, wszystkich odprawiwszy, że Smokiem, który przy koniach czekał za bramą — ru-

szył za Wisłę. Rzeka stała jeszcze lodem, choć już puszczać zaczynało Kazimierz nie uląkł się ani kruchych lodów, ni płonek rybaczych — ruszył na drugą stronę. U wrót po uderzeniu poznawano pana, otwierały się natychmiast.

Na górze czekała zawsze Jagna z lampką w ręku, bo czuła, gdy pan przybędzie. Szli potem we dwoje do jej izby, gdzie zimą ogień płonął i stół był nakryty. Tu siadali oboje i jakby nie wczoraj, ale tylko co przerwana rozmowa rozpoczynała się znowu. Tym razem książę przybywał smutny.

— Ej! gołąbko ty moja — zawołał, — kiedy ja do ciebie powrócę? Wszak ci to wyprawa za pasem, a ja.. z pożegnaniem!

— Wiem —odpowiedziała Jagna spokojnie. — Wyprawy ja się nie boję, Bóg i święty patron ustrzeże. Tego, co się tu zostaje, to się lękam...

Jagna od Stacha przez Hreczyna miała wieści.

— A czegóż się ty tu boisz? — spytał książę. — Mieć będziesz opiekę, o tom się starał.

— Mnie jedno widmo prześladuje: Mieszkowe — odezwało się dziewczę. — Mówicie, że mi się to śni; sny tych, co kochają, próżne nie są. Dusza czuje, co ukochanemu zagraża.

— Wszystkim bo wam Mieszek na myśli — rzekł obojętnie Kazimierz. — Bodajbym straszniejszego nieprzyjaciela nie miał! Cóż on może?

— Co? A no i Kraków ci wziąć! — zawołała.

— Zważajże ty, dzierlatko moja złota — rozśmiał się książę, — że go sami ziemianie moi stąd wygnali, nie chcieli go, a mnie przymusili, bym tu siedział.

— O, królu ty mój! — odparła Jagna — albo wy ludzi nie znacie, albo ich na swe podobieństwo wyobrażacie. Ci, co kochają dziś, jutro nienawidzą.

— Nie dałem powodu! Bóg świadek! — rzekł książę.

— A bez powodu nienawiści niema? — poczęła Jagna. — Gdy mu serce żółcią zapłynie, człek sobie powód wyszuka. Wszak ci już mówią...

Tu się wstrzymała, spojrzała, smucić go nie chciała.

— Śmiało, Jagno! co mówią?... — podchwycił książę.

— Mówią — ciągnęła dalej — ot, tak, że mając iść na wojnę, książę Rady nie pytał, mówią, że wojewoda Mikołaj bardzo sobie dumnie poczyna, mówią, że pan krwi ziemian nie lutuje, mówią, że Ruś tego niewarta.

— Jam to wszystko słyszał — rzekł Kazimierz. — Goworek mi to powiada, rycerstwo ciągnie z okrzykiem, a Miklasza poczciwego słuchają, jak dzieci, z Rusi łup nie do pogardzenia przywiozą, i pawołocze, i futra, i srebro, i złoto.

Wkrótce potem książę na koń siadał i gnał nazad ze Smokiem na Wawel; drugi raz puścili się przez lód, który pękał już pod kopytami końskiemi i załamał się u brzegu, ale książę uskoczył na brzeg twardy, a Smok za nim przez wodę się rzucił.

Drugiego dnia bito we dzwony. Książę wyjeżdżał wprost od drzwi św. Wacława, przeprowadzony przez duchowieństwo, zawrócił na Kleparz, do nowego kościoła św. Florjana, patrona swojego; modlił się tam jeszcze, a rycerstwo, rozwinąwszy znaki, zanuciło Bogarodzicę.

Szli wesoło, choć wiosenna odwilż z mokrym śniegiem i wiuhą biła w twarze, szli wesoło, żegnając panie mieszczki i panów mieszczan znajomych, stojących u progów, siedzących po oknach — szli wesoło, bo przodem jechał z pocztem świetnym sam książę, a z Wawelu księżna Helena, Goworek, Pełka, dwór długo za nimi patrzali, krzyżem świętym żegnali.

— Bóg daj powracać zdrowo! Bóg daj prędko! Bóg daj wesoło!

Na zamku stało się straszliwie pusto; stratowane podwórca, pootwierane szopy, ślady wozów, ludzi resztki, niedobitki, straż we wrotach słaba. Goworek się krzątał, aby w porządku utrzymać tę garstkę, którą mu zostawiono więcej dla posługi, niż dla obrony.

Stach, choć po uwięzieniu Mierzwy trochę nabrał

otuchy, że im szyki pomieszał — całkiem nie był spokojny. Ludzie, przez których się dowiadywał, co się działo po ziemi i okolicy, niedobre znosili wieści. Juchim był spokojny, małomówny, jakby więcej wiedział, niż chciał mówić. Ruszał ramionami, narzekał na nieszczęście swoje, a po nocach się gdzieś wykradał.

Biskup Pełka, któremu Stach się ze swych strachów spowiadał, odrzekł mu:

— Jeśliś podejrzliwy, jedź tam, skąd ma zagrażać niebezpieczeństwo a dochodź, czy ono tam jest? Aliści bodaj widma się wam przed oczyma suwają!

Odprawiony z tem Stach wrócił do dworku, niepewien, czy ma jechać i gonić wiatr w polu, czy tu stać na straży? Dzień i drugi wałęsając się po mieście, spędził na rozmysłach. Wkońcu, że mu zawsze siedzenie w miejscu doskwierało, ruchu i zajęcia potrzebował, kazał konie sposobić. Żegieć też nie od tego był: i on sobie przykrzył zamknięty.

— W polu zawsze się jakaś zwierzyna nawinie — mówił, — a w progu domu chyba pies ogonem zakręci pod nosem.

Gotowali się więc do podróży. Czas był obrzydły, bo niema u nas okropniejszej pory nad tę, co wiosnę poprzedza. Wojuje ona z zimą, która jak żebraczka w brudnych łachmanach, barłogu swojego broni. Śnieg, deszcz, wiatr mieniały się z mrozem i ślizgawicą, z odwilżą do kości przejmującą. Pora to jednak była najprzyjaźniejsza dla tych, co potrzebowali krętemi drogami przemykać się niepostrzeżenie, bo po gościńcach nawet trudno było kogo spotkać. Stach, rozpytując, z ludźmi gwarząc po drodze, po gospodach sznurkując, zaglądając do chat, wlókł się, nie śpiesząc, ku Poznanowi i Gnieznu.

Choć dnia już było przyrosło, nie pędził bardzo koni, jechał nie śpiesząc, aby dalej. Odsadzili się już o dni kilka od Krakowa, gdy na noclegu spotkali się z kupcami, ciągnącymi od Wielkopolski do Krakowa. Byli to Niemcy, którzy się potrosze języka nauczywszy, z mową łamaną, znając już kraj, nie obawiali się po

nim wędrować dla zysku, opatrzeni w listy przechodnie do książąt i duchownych.

Stach leżał już na sianie w izbie, gdy nocą przybłąkali się do gospody i szczęśliwi, że ją znaleźli, zabierać się zaczęli do spoczynku. Nie troszczyli się o to wiele, że ich rozmowę mógł kto słyszeć, mówiąc z sobą po szwabsku, i pewni, że ich tu nikt nie zrozumie.

Ponieważ w tej samej izbie w drugim końcu się umieścili, Stach mógł wysłuchać romowę. Było ich trzech. Mamrotali zrazu pocichu, a potem ośmieleni, czy zapominając się, coraz głośniej.

— Aby no listy nie zmokły — rzekł jeden.

— Niema strachu o to, dobrzem je skórą obłożył — odparł drugi.

— A księcia Mieszka pisanie gdzie?

— Tam, gdzie inne.

— Trzeba śpieszyć, choć droga psia, bo to ważna sprawa, a i nagroda będzie sowita.

— Najgorzej z dopytaniem się w Krakowie do tego, któremu list do rąk oddać trzeba. Jak się on zwie?

— Warsz, starosta... oni tam wszyscy wiedzieć muszą. Drugi do menniczego Juchima, ten też znany być musi.

Stach uszu nadstawił pilno.

— Trzeci znaczek trzeba jeszcze gdzieś wieźć w sąsiedztwo, mila czy dwie, nie wiem.

— Niedaleko, jam tam już był — odezwał się drugi. — Zamek to pański, a ludzie bogaci i sprzedać co można.

Niemiec przekręcił nazwisko Tęczyna, ale Stach się go łatwo domyślił.

— Wszystko pilne, pilne — rzekł najstarszy z nich. — Książę Mieszek już sunie ze swoimi.

— Kupę ludzi nazbierał?

— Jak mrowia tego jest. On i syn, i kilku książąt.

— I pan Hendrych, co listy nam te dawał.

— Mieszek też osobą swą.

— Mówią nawet, że wojny nie będzie, bo tam ze sobą mają zmowę. Poddadzą im zamek i miasto.

Szydzili Niemcy z tego, co się gotowało dla Krakowa. Stach słuchał, przyczaiwszy się, tchu nie puszczając, a że więcej chciał się dowiedzieć, długo ani drgnął na posłaniu. Pierwszą myślą było rzucić się na Niemców, aby im listy, które wieźli, odebrać, lecz obrachowawszy się z siłami swemi, bojąc się popłoch rzucić, boć pozabijać wszystkich było mu trudno — Stach inaczej postanowił. Leżał spokojnie, dopóki się do snu nie poukładali; gdy znużeni wkrótce chrapać poczęli, wstał i z izby wybiegł do Żegcia, do koni. Obudził go, kazał siodłać.

Noc była jak w garnku ciemna; słota i wicher nad głowami — ale na to nie było co zważać. Gdy podróżni zaczęli się w stajni poruszać, czujny gospodarz wyszedł z ogarkiem. Powiedział mu Stach, iż sen miał taki, że zaraz musiał jechać precz, zapłacił i w świat— nazad do Krakowa.

Szczęściem pierwszą część drogi robił, nie śpiesząc, i konie zmęczone nie były, mogli więc napowrót pędzić co tchu, choć ślizgawica, błoto, lody i wody piekielnie dokuczały. Teraz już gościńca nie patrząc, na proszki trzeba się było przedzierać, a prędzej.. W stajni widzieli konie kupców, które były spaśne i duże, do chodu dobre — wyprzedzić je musieli.

Więc prawie bez spoczynku zaczęli biec i co wprzódy dni kilka kosztowało, teraz we dwa, licząc z nocami, przebyli zdyszani, konie pokaleczywszy tak, że jednego na drodze zamieniono.

Gdy miasto się pokazało wreszcie, Stach lżej odetchnął i jak stał, do biskupa jechał.

Pora była wieczerzy. Pełka z bratem wojewodą, kilku księży siedziało u stołu.

Stach obłocony, zmęczony, zawsze mający wstęp do biskupa wolny, natychmiast wszedł do jadalni. Zobaczywszy go, Pełka uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Duchu niespokojny! Powiedzże, skąd i z czem przybywasz?... Boś pono z podróży! Widać to po tobie!

Odwrócił się doń i wojewoda, ale Stach, osób widząc tyle, mówić nie śmiał.

— Na gardło moje — zawołał wreszcie — wiadomość niosę taką, że od niej włosy na głowie powstać mogą. A no, czy miejsce mówić?

Biskup i wojewoda powstali ku niemu.

— Mów, nie zwlekaj! Wszyscyśmy tu swoi — dodał Pełka, patrząc na duchownych. — Sumieniem obowiązuję do tajemnicy.

Rozpoczął więc Stach opowiadanie, jak jechał, gdzie kupców spotykał, powtórzył, co mówili, opisał ich konie, wszystko, czemu się dobrze przypatrzył. Naostatek dodał, że przysiąc był gotów na krzyż, iż to, co mówił, prawdą było. Życie jego przeszłe zresztą i znany charakter za nim świadczyły.

Wojewoda stał chwilę przerażony. Biskup stronę, z której płynęło niebezpieczeństwo — przeżegnał. Oniemieli wszyscy.

— Ludzi do obrony mamy mało — ozwał się wojewoda; — zbierzemy przecież tylu, że się zamek utrzyma, w Bogu nadzieja!

— A miasto? — spytał biskup.

— Jeżeli starostę w porę schwycimy, może i ono — dodał wojewoda.

Stach na rozkazy czekał.

— Wy, co znacie konie kupców i twarze — rzekł do niego wojewoda, — ruszajcie na gościniec, stańcie na czatach. Trzeba chwycić Niemców i listy im odebrać...

Rachowano, kiedy kupcy przybyć mogą, a Stach co najrychlej obiecywał ich nazajutrz wieczorem, bo droga była rozkisła, a konie objuczone.

Noc upłynęła na posyłkach na wsze strony, nad ranem posły powracać zaczęli, sprawa się okazała gorszą, niż sądzono. Resztki słabszych ludzi, pozostawione przez Kazimierza, nie mogły się pościągać tak rychło. Nikt się nie spodziewał napaści, nie wierzono w nią.

Biskup i wojewoda, nie tracąc odwagi, bodaj z małą garścią postanowili na zamku siedzieć i nie poddawać go. Obcy już nawet wszystkiemu ludzie nazajutrz dostrzec mogli, że noc coś przyniosła niespodziewane-

go. Na zamku ruch był wielki, opatrywano wały, tyny, bramy — a gdy ludzie pytali, mówiono, że na wszelki wypadek gotować się trzeba. Trwożne przeczucia ogarniały mieszczan, z których bojaźliwsi z mieniem się do zamku wpraszać poczęli. Tych, którzy mieli żywność i ręce zdrowe, przyjmowano.

Stach nad ranem poszedł do Juchima, ludzi z sobą wziąwszy. Wrota były zaparte; gdy się do nich dobijać zaczęto, nierychło i niechętnie otwarła służba. Sam Juchim nie pokazał się. Ludzie pomieszani, dopiero groźbą wyłamania zastraszeni, wpuścili, oznajmując, że pana nie było, bo od dwu dni wyjechał do Wrocławia, gdzie wiadomo było, iż monetę kuł.

Pomimo to Stach wszedł, dom cały trzęsąc i rozpatrując, wśród jęku i płaczu niewiast i dzieci. Nie znalazł ani Juchima, ani skarbów jego, które chciał zabrać dla księcia. Że się one ukryte gdzieś znajdować musiały, bo wywieźć ich nie było czasu, wiedział Stach dobrze, lecz żadne groźby na ludziach ukazania wymóc nie potrafiły. Dom strażą obstawiwszy, poszedł Stach do starosty Warsza, ale i tego dawno w domu nie było. Rodzina zaklinała się, iż nie wie, gdzie się znajduje.

Zasiadł potem, czatując na kupców na gościńcu u wrót miejskich — i czekał. Dzień, wieczór, noc i drugie tyle czasu zeszło — Niemcy nie przybyli. Wytrwał jednak na stanowisku, nie wiedząc, że kupcy, obawę mając do Krakowa jechać, zawrócili naprzód do Tęczyna i tam, zdawszy pisma wszystkie, sami w inną udali się stronę.

Stało się, czego Stach przewidzieć nie mógł — a gdy po próżnem oczekiwaniu nie pochwycono zapowiedzianych, wojewoda człek prędki, Stacha za kłamcę poczytawszy, w pierwszym gniewie do więzienia go chciał wtrącić.

Biskup się temu oparł, gdy ponowiwszy przysięgę, Stach uroczyście zaręczył, iż prawdę mówił, której bliska przyszłość dowieść miała. W rozpaczy po tym sporze z wojewodą, Stach, choć mu groziło niebezpieczeń-

stwo, gdyby go Kietlicz pochwycił, zapomniawszy o sobie, nie chroniąc się na zamek, dzień cały przeleżał we dworku, straciwszy do wszystkiego ochotę.

Pamięć o obowiązku i pokucie nierychło wzięła górę i znękany zwlókł się z pościeli. Potrzebował oznajmić Jagnie, aby ona o bezpieczeństwie swojem myślała zawczasu, ale właśnie Wisła była lody porwała i, życia nie ważąc, na drugi brzeg dostać się nie było można.

Stach do życia wielkiej nie przywiązywał wagi, choć Żegieć, na kolana padłszy, błagał go, aby się na okrutną krę nie puszczał, wziął czółen i sam z nim popłynął. Lody dopiero u brzegu sparły łódkę i obaliły tak, że wyskoczywszy na nie, częścią wpław, częścią po krach na ląd się dostali.

Od wyjazdu księcia Jagna już w oknie swem nie siadywała, w innej izbie, krosien nie tykając, całe dnie półmartwa, milcząca, w kąt się zaparłszy, drzemała i marzyła. Stachowi jednemu dostać się tu było można, bo przykaz był u wrót, aby go tu puszczano.

Przyszedł więc ze swą smutną wieścią. Zobaczywszy go przed sobą, Jagna zakrzyknęła, domyślając się, iż darmo do niej przez kry na Wiśle nie przyszedł.

— Niosę wam zły gościniec — odezwał się Stach.— Ot, co się dzieje: Mieszek na Kraków ciągnie, ino go nie widać.

— Pewne to? — zawołała, zrywając się.

— Jakom żyw.

Musiał jej opowiedzieć, skąd wiadomość wziął; słuchała go, pobladłszy, ale wróciło jej życie.

— Niech biorą Kraków — zawołała, — odbierze go im mój pan, a zdrada, w którą nie wierzył, na wierzch wypłynie.

— Co wy myślicie? — spytał Stach.

— Ja? ja miałam przeczucie — rzekła, — czekałam tylko, rychło-li się to stanie. Na koń siądę, do Ściborzyc w lasy, nie wiem! Hreczyna mi ślij z końmi!

— Przez Wisłę, a lody?

— Powiedzcie mu, że go chcę mieć — odparła Ja-

gna. — Wisła ta broni mnie od Mieszka, a Hreczyn przy pomocy Bożej dostanie się tu, gdy lody przejdą. Na ucieczkę czasu mam dosyć, gdy zamek brać zechcą, a w mieście zawre! Nie boję się!

Ze spokojną twarzą, ale brwią ściśniętą wysłuchała Jagna resztę powieści.

— Nie byłoby tego — rzekła, — gdyby nie zdrada ziemian, gdyby nie bracia Doroty i to brudne ich gniazdo! Pociechę tylko mam, że gdy Kraków wezmą, i siostrę zabiorą a na wieżę posadzą!

— Błysły oczy jej gniewem i zemstą, lecz płomyk ten prędko zagasnął. Posmutniała.

— Co mi ona? — szepnęła. — Pana mi już nie odbierze! Nie!

Stach patrzał na nią żałośnie. Uśmiechnęła mu się.

IV.

Dzień był pogodniejszy, słońce próbowało przebijać się przez chmury; z za nich przeglądało obietnicami wiosny sinemi pasami oczyszczone niebo.

Skowronek nad rolą mokrą podnosił się do góry i śpiewał na owo nabożeństwo życia, jakby dzwonek na mszę świętą. Bociany leciały górą, mówiono; ale od Tatrów smagało jeszcze mrozem i śnieg powracał uparty. Co się uciszyło między jedną a drugą wiuhą, to ludzie spoglądali ku niebu.

— Już wiosna!

Sypnęły potem krupy — znowu zima.

Młodzi mówili: — tylko co zieleni nie widać; starzy prorokowali, że jeszcze śnieg powróci.

W mieście wymiatano precz zimowe śmiecia, ażeby je wiosenne z sobą wody wzięły, a spoglądano ku zamkowi, bo się tam działy rzeczy dziwne. Gdy książę wyjeżdżał, zamek stał otworem pusty, teraz wojewoda gotował go jakby do wojny. Lud pędzono do środka, żywność zwożono, jak na oblężenie, ruch był, gwar i krzątanina. Śpieszono dniem i nocami. Robiło się nie-

którym trwożno, drudzy śmieli się, wołając, że niema czego obawiać się. Tak dnie mijały.

Aż jednego rana zbrojni ziemianie z okolic wielkiemi tłumami poczęli wjeżdżać do miasta, a wprost się na zamek kierować. Tam znaleźli wrota zaparte, wojewoda Mikołaj czuwał. Rynek stał już pełen koni i ludzi; między przybyłymi na czele było dwóch braci z Tęczyna, dwu braci z Koziegłów i Śreniawa z Proszowic.

Zobaczywszy ich, mieszczanie pomiarkowali zaraz, że nie dla Kazimierza przybywali, ale przeciw niemu. Nie śpieszyli do zamku; gdy go zobaczyli zawartym— czekali.

Coraz to nowe zawołanie, nowa chorągiew, nowy znak, nowe hasło wciągało do miasta. Ludzie się powoływali wedle obyczaju: Starża! Śreniawa! Koziegłowy! Różnemi wrotami wchodzili Bogoryje niektórzy, Różyce i inni tak, że z zamku patrząc, naliczono siedemdziesiąt znaków. Niektóre z nich były szczupłemi garstkami i rycerstwo to nie miało zbroi dobrych, oprócz przedniejszych, co świecili, reszta po małych, ubogich dworach zebrana być musiała.

Jechało to naprzód długo, bezładnie, kupiło się, aż kilku konnych nadbiegło z okrzykiem:

— Idą! idą!

Ruch stał się wielki.

— Idą!....

Ulicami poczęły już wciągać wojska Mieszkowe, które po odzieży i znakach łatwo było odróżnić. Na czele pierwszych jechał młody Bolko, syn Mieczysława, chłopak dzielny, wesół i rycerskiej postawy, przy nim krępy Kietlicz z twarzą czerwoną. Tuż u jego konia znalazł się Juchim, jakby z pod ziemi wyrósł.

Trząsł się stary Żyd z radości, za kolana obejmując to Kietlicza, to Bolka, a oczy mu się śmiały, a ręce podnosił, rzucał się, oglądał, triumfował.

Na zamku cicho stało, jakby makiem usiał. W dole krzyczano:

— Żyw nam niech będzie książę nasz Mieszek!... Kazimierz nie żyje!

— Kazimierz nie żyje! — wołali nasadzeni. — Struli go Rusini miodem. Na zamek! na zamek! Kazimierz nie żyje!

Po mieście odgłos ten — Kazimierz nie żyje! — poszedł, jak piorun z ust do ust. Po twarzach ludzi widać było wielką żałość i trwogę. Łkać niektórzy poczynali, jakby ojca utracili.

Ziemianie się oglądali tylko, wołając:

— Na zamek!

Do wrót ani Bolko, ani Kietlicz nie śmieli się zbliżać bardzo; posłali przodem pułkowódcę, Serba Muchę, który począł wykrzykiwać, aby mu otwierano.

Krzyknął raz i drugi napróżno, z za wrót nie odzywał się nikt, choć na wałach stał dokoła lud zbrojny. Zaczęli więc we wrota, żelazem kute, tłuc i bić, aż naokół jęczenia ich słychać było — i na to nic nie odpowiedziano. Trwało to dobrych kilka pacierzy, gdy na wyżki do wąskiego okna wyszedł ktoś i zagrzmiał głos:

— Precz od wrót, bo się kamienie posypią!

Pierzchnęli ci, co stali bliżej i, zatrzymawszy się, naradzali z sobą; wyszedł znowu Serb Mucha, wielkim głosem, jakby na sądy wołał, albo wolę książęca opowiadał, krzycząc:

— Książę Kazimierz nie żyje, zamek trzeba poddać na Mieszka. Miasto otworzono — wrota dawać! Nie chcecie-li szturmu i rzezi, posłuszni bądźcie. Otwierać!

— Miasto całe nasze! — wołał Kietlicz.

— Ziemia nasza! — dodał Bolko zdala.

Patrzący z góry zobaczyli w tej chwili człowieka, któremu zdawna niewiele dawano wiary i niewielką też miał wagę, choć miejsce znaczne zajmował. Był to starosta grodzki, Warsz, pokorny sługa wojewody, biskupa, wszystkich zgoła, ale lis szczwany, który tu został na starostwie z czasów Mieszka, teraz znowu z nim szedł, wprzódy się o to zmówiwszy.

Warsza tego Pełka z bratem byliby dawno wygnali precz, a innego na jego miejscu osadzili, ale się obu im kłaniał, pochlebiał, zaklinał się, iż pana miłował

nad życie, tak, że go nad miastem od roku do roku zostawiono.

Sprawdziło się, co Stach powiadał.

Warsza wypchnięto naprzód, dając mu znać, aby mówił, i począł ku wrotom wołać:

— Miasto się poddało, bo Kazimierz, pan nasz, nie żyje. W Bożej mocy żywot człowieka. Otruli pana Rusini, przyszli ludzie z obozu, płacząc. Starszy brat zajmuje ziemię.

Około Kietlicza i Bolka kilkanaście głosów wtórować poczęło, że Kazimierz nie żyje.

— Zamek zdawać! — domagano się.

Czekali na odpowiedź, gdy z okna odezwało się:

— Rozmowy z wami niema; zdala od wrót! nie chce się-li wam trupa widzieć! Won zdrajcy, a nie — to strzały!

Wysunęła się pięść ściśnięta przez okno i wtem głaz ogromny, z góry ciśnięty, stoczył się na stojących tak, że Kietlicz ledwie miał czas uskoczyć, bo koniowi jego nogi potłukł.

— W pień! w pień! — krzyczeli Kietliczowi.

Na zamkowych zdało się to nic nie działać, a że narazie do zdobywania nagłego nie można było przystąpić, nahałasowawszy i nagroziwszy, postawili mocną straż, dokoła obesłali górę oddziałami, co jej z oka spuszczać nie miały, poczem Bolko, Kietlicz, Warsz i ziemianie starsi pociągnęli do miasta.

W samą porę jeszcze Stach się też na zamek był schronił, boby go w mieście zemsta nie minęła.

Jakoż zaraz po otwarciu bram Juchim, który się go obawiał, naprowadził ludzi na dworek jego. Przetrzęśli go, po wyżkach, na strychach, w lochach szukając i nie znaleźli nic, oprócz czeladzi, która o niczem nie wiedziała.

Grabić też niewiele co było.

Stach tymczasem na zamku był prawą ręką Mikołaja, i kaftan a zbroję przywdziawszy, biegał po wałach znużony. Znając Mierzwę i przebiegłość jego, obawiał się nie bez przyczyny, aby człek, którego na zam-

ku trzymano, stróżów, co z nim mieli styczność, nie namawiał do zdrady. Mogli się znaleźć tacy, co uląkłszy się potęgi Mieszka a uwierzywszy w śmierć Kazimierza, zamekby wziąć dopomogli. Wczas tego więźnia przypomniawszy, Stach zaprowadzić go kazał do ciemnicy, do której jedzenie podawano otworem, a Żegciowi swemu pilność nad nim zlecił.

Gdy sam z tem do Mierzwy przyszedł, chytrym wzrokiem zmierzył go sędzia, w którym się jakaś otucha przebijała. Sądził, iż go może użyją do poselstwa i układów, i dopiero postrzegłszy, że go pod strażą wiodą, uląkł się losu, jaki mu był zgotowany. Schylił się do kolan Stachowi, o życie prosząc.

— Życia ci na teraz nie odbiorą — odparł Stach,— ale to wiedz, że jeśli wyrwać się będziesz próbował a wezmą cię, ubić kazałem w miejscu.

Mierzwa ręce podniósł do góry, mówić chciał; nielitościwy Żegieć, za kark ująwszy, pchnął go i do ciemnicy popędził.

Czuwano na wałach dzień i noc; Mikołaj ani siadł spoczywać. Biskup pocieszał księżnę płaczącą i strwożoną, i jakby nie było nic, do kościoła dzwonić kazał, nabożeństwo odprawiając uroczyste. On też wcale o poddaniu się nie myślał.

Goworek, któremu pani i dzieci zdane były, zbroję też wdział, ale w niej najwięcej u proga teremu i mieszkania Heleny stał, bo z wojewodą w nieprzyjaźni będąc, stronił od niego. Zdawna się oni z sobą o znaczenie i pierwszeństwo spierali, bo wojewoda równym go sobie nie chciał znać, a Goworek ulegać mu się wzdragał.

Niewiasty, które powybiegały strwożone ku wałom, gdy się wojska zbliżały, posłyszawszy, że książę Kazimierz nie żyje, zaniosły wieść tę do pani, która padła zemdlona. Nierychło dopiero potrafił ją Goworek uspokoić tem, iż jawne kłamstwo zmyślone, aby zamek pochwycić, bo z obozu świadka nie było. W niepewności i obawie o los swój i dzieci, księżna już gotową była zamek poddawać, sama się pod opiekę Mieszka udać,

byle jej Sandomierz powrócono. Zaklinała o to, lecz biskup ręczył za bezpieczeństwo i mówić o tem nie dopuszczał.

Księżna zmieniała postanowienia co chwila, sama zostawszy, poddać się żądała; gdy Pełka wlał w nią otuchę, chciała się bronić i zachęcała drugich do walki. Trwoga wszakże przemagała, bo szturm i zdobycie jej i dzieciom groziło śmiercią. W niepokoju ciągłym powoływała do siebie to Goworka, to wojewodę, to duchownych, modliła się, narzekała, płakała i na chwilę jej samej nie można było zostawić.

Gdy się to działo na zamku, Jagna, wziąwszy męskie ubranie, kaftan, łuk, mieczyk, obuszek, razem z Hreczynem i kilku czeladzi puściła się w lasy, najmniejszej nie okazując trwogi. Przy dworze pustym mało co zostało służby. Wyjechawszy, popatrzyła na Wawel i, głową skinąwszy, pognała lasami, szukając sobie bezpiecznej przeprawy przez Wisłę i schronienia.

Dorota, nie spodziewając się napaści, nie wiedząc o niczem, do ostatka zabawiała się z przyjaciółmi, albo ze starą Czechną na naradach przesiadywała. Nie przeczuwała wcale niebezpieczeństwa do ostatniej godziny. Dopiero, gdy z wojskiem Mieszka bracia jej weszli do miasta i już się na rynku pokazali, sługa przybiegł, dając jej znać, że Dobrogosta i Sędziwoja zobaczył. Wpadła w rozpacz i trwogę taką, iż zrazu przytomność straciła, sądząc się zgubioną, potem w ulicę zbiegłszy, jak stała, w sukni jednej pognała do swej powiernicy Czechny, u niej spodziewając się znaleźć przytułek.

Czechna nie była ladajaką babą czarownicą. Miała piękny dworek na przedmieściu, kawał ogrodu i pola, a że się jej wszyscy radzili, bogaci i ubodzy, mężczyźni i niewiasty, bo uchodziła za przemądrą lekarkę i czarodziejkę — działo się jej dobrze. Miano ją nawet za bardzo bogatą, a ona sama nie taiła się z tem, że jej na niczem nie zbywało. Owszem, gdy do kościoła się wybrała, a chodziła doń często, aby ją duchowni za czary nie prześladowali, stroiła się w futra i łańcuchy, jak najdostojniejsza kupcowa.

Na przedmieściach podtenczas pusto było, bo lud wszystek się zbiegał, gdzie tłum widział. Gdy zdyszana, blada, w sukni obłoconej, rozpuszczonej, napół obnażona przybiegła Dorota do Czechny, zastała ją samą jedną w progu, przysłuchującą się oddalonemu gwarowi. Nie widać było po niej trwogi, ni pomieszania. Zobaczywszy wdowę, namarszczyła się i w chude, pomarszczone ręce plasnęła.

— Na Boga milego! Czechno, matko ty moja, ratuj! — zawołała Dorota. — Bracia mnie pochwycą, jam zgubiona.

Nic nie mówiąc, głową wahając, Czechna ją do izby wprowadziła.

— Czy ty im teraz w głowie? — odezwała się (bo wszystkim ty mówiła). — Nierychło mieć będą czas gonić za tobą!

— Ukryć mnie musisz!

— Gdzie? tu? u mnie? — odparła, śmiejąc się, Czechna. — A toć to targowica, drzwi się nie zamykają. Wszyscy teraz wiedzą, że Czechna wam posługiwała, to gdzież, jeśli nie tu, szukać cię będą!

Dorota zanosiła się z jęków i płaczu; stara patrzała obojętnie, dając się jej wyszlochać.

— Oni mnie zamkną w ciemnicy! Oni głodem zamorzą! — wołała Dorota. — Co chcesz dam, ratuj!

Upadła przed nią na kolana, ręce złożyła i powtarzała — ratuj!

Czechna wciąż potrząsała głową. Namarszczona myślała tak długo, wkońcu nic nie mówiąc, z kąta wzięła chustę ogromną, którą się zwykła była, wychodząc, okrywać i skinęła na Dorotę. Ze dworku ścieżyna wydeptana prowadziła kręto między wiśniowe krzaki i drzewa, nie widać było dokąd. Czechna szła przodem milcząca, Dorota, oglądając się trwożnie za siebie, bo wrzaski z miasta aż tu dochodziły, biegła, potrącając ją, nagląc, chcąc przyśpieszyć pochód zbyt powolny. Nie zważając na to, stara się wlokła po swojemu.

W gąszczach zarośli widać już było dach, jakby bez ścian, wysoki i śpiczasty, chatę ubogą, która w zie-

mię wrosła. Przed nią stała kałuża, sięgająca aż do progu, którą po zgniłej kładce przebywać musiały. Czechna otworzyła drzwi niskie i weszła, Dorota wcisnęła się za nią. W środku było pełno dymu, który oczy wyjadał.

Nikogo tu nie zobaczyły, dopiero, gdy się Czechna odezwała: — Bywaj! — wyszła niewiasta chuda, oszarpana, wyżółkła, schorzała, nędzną okryta odzieżą. Stara poszeptała jej coś na ucho. Z izby drabina prowadziła na wyżki, które wdowie wskazano. Gnana strachem, wdrapała się na nie. Czechna popatrzała na spinającą się do góry, zdyszaną Dorotę, coś zagadała jeszcze i nazad powróciła do domu.

W sam czas uciekła wdowa z domu, gdyż ledwie dobiegła do Czechny, a bracia już dwór jej ludźmi otaczali. Spodziewali się ją wziąć na pewno. Wtargnęli zaraz Dobrogost z Sędziwojem do środka, ale zamiast siostry zastali tylko czeladź spłoszoną, rozbiegającą się po domu. Szukanie nic nie odkryło. W izbie, w której siadywała, przekonać się tylko mogli, iż niedawno w niej jeszcze była. Sami więc w pogoń się puścili i ludzi rozesłali.

Około zamku nazajutrz rano, gdy na nowe wzywanie do poddania się odpowiedziano łajaniem, bezczeszczeniem i odgróżkami, Kietlicz z Bolkiem już tylko przybycia Starego oczekiwali, aby obleganie rozpocząć.

W południe tegoż dnia nadciągnął Mieszek z resztą sił swoich z Poznania.

Wszyscy jego pułkowodcy, syn, Kietlicz, starosta Warsz i Juchim, który się o to napraszał, wyszli do bram miasta na jego spotkanie. Juchim, który dawno go nie widział, wzrokiem bojaźliwym mierzył księcia, chcąc poznać, czy z sobą szczęście przynosi.

Twarz była postarzała, ale zawsze jedna, z której nikt nie wyczytywał: zasępiona, zastygła, niema. Taż sama do góry poddarta broda, czoło pomarszczone, usta zapadłe — co dawniej. Siwizna tylko znacznie mu włos poprószyła. Czuć w nim było człowieka, co się nie poruszał chyżo, ale nie padał nigdy, nie cofał

się i nie ustawał. Z powagą wielką, ale nie bez pewnej obawy, którą ukryć się starał, patrzał na otaczających. Wzrok jego naprzód padł na Warsza, a było w nim więcej surowości, niż wdzięczności, potem na Juchima, którego długo oczyma ścigał.

Bolko tymczasem, do ojca się zbliżywszy z uszanowaniem, ale twarzą wesołą i z raźnością młodzieńczą, szybkiemi słowy, niewyraźnie, mieszając się, tłumaczył mu, co tu uczynili.

Stary mało go słuchał, skinąwszy na Kietlicza, aby się zbliżył. Stali tak we wrotach, a mieszczanie starsi bili pokłony nadaremnie, bo nowy pan ani na nich chciał spojrzeć.

Gdy Serb mu o zamku powiedział, oczy tylko ku Wawelowi skierował i nie rzekł nic. Konia spiął i dalej w miasto jechali.

Tu ziemianie, dowódcy owych siedemdziesięciu zawołań, poczęli go po drodze, witając, okrzykiwać panem, ale i tym mało co głową skinąwszy, do dwu tylko z Tęczyna trochę łaskawszą obrócił się twarzą.

Wieczorem się wojska zaczęły kłaść obozem dokoła zamku. Stary milczał, Kietlicz pędził i gromił ludzi, wołając, aby się co rychlej do szturmu sposobili. Do szturmu na ową srogą górę przygotowania nie było, a przyrządy do tłuczenia wrót, drabiny na wały potrzebowały czasu, nimby je pościągano i powiązano.

Gdy z zamku nie bez trwogi patrzano na to mrowisko ludu, co go oblewało dokoła, z dołu, z obozu, spoglądano ku górze, nie wiedząc, jak i skąd ją ująć? Siła ludu mogła zginąć nadaremnie przy walce, a poleżawszy, głodem można było wziąć załogę. Tak radzili niektórzy, ale Kietlicz nie godził się na to, obawiając powrotu Kazimierza, choć go dla drugich umarłym głoszono. Wiedział dobrze, iż na pierwszą wieść o zajęciu Krakowa rzuci się rycerstwo z Rusi dla odzyskania stolicy.

Mieszek nie spodziewał się ich tak rychło, ażeby Ruś w pomoc miała przyjść, nie wierzył, bo ona doma była zajęta.

Dzień i dwa upłynęły na wahaniu, naradach i próbach. Trzeciego o świcie Kietlicz, zamek zewsząd osaczywszy, w milczeniu wielkiem ludziom pełznąć kazał na górę, a dostawszy się do parkanów, rzucić na nie nagle. Rachował, iż się tam napaści spodziewać nie będą i na zaraniu na stanowiskach nie znajdą. W ciszy i mroku poszli ludzie na górę, lecz gdy się do tynów i parkanów zbliżali, sypnęły się nagle bale gwoździste, koły, kamienie, pociski... Połowa napastników potłuczona zwaliła się w dół, pozabijana, poraniona, a reszta pierzchnęła. Strzały, jak grad, świsnęły za pociskami, krzykiem ogromnym rozległa się góra i okolica.

Z miasta ludzie powybiegali patrzeć na szturm, zdawało się im bowiem, że się zamek nie obroni. Kietlicz zajadły ludzi chciał prowadzić, raz drugi ponawiając napaść, żołnierze mu się wzdragali. Nie chcieli ginąć nadaremnie. Z pokaleczonymi kilkuset było straconych.

Stary, który z namiotu swego wyszedłszy, patrzał, wprędce nazad do niego powrócił, wyglądać już nawet nie chcąc. Bolko zły z potłuczonemi na sobie blachami powrócił do niego.

Wymyślano różne sposoby. Serb chciał podkładać ogień pod parkany, potem między mieszczany szukał takiego, coby do zamku się wśliznął i do otwarcia wrót straż przekupił. Słano do Juchima, aby nastręczył człowieka; Żyd ramionami poruszał, ręce załamywał, ale nie umiał wskazać zdatnego pomocnika.

W namiocie księcia radzono bezustanku i bez skutku. On sam, sparty na stole, słuchał tylko, rzadko wtrącając jakie słowo. Serb rozgorączkowany, zły poprzysięgał, że choćby miał życiem przypłacić, do zamku się dostać musi Niecierpliwiło go, że patrzał nań, a wziąć nie mógł. Słał nieustannie, chodził, ludzi ściągał, nagrody obiecywał, a wlokło się nie po myśli i Stary coraz mocniej był zasępiony. Słowa z niego dobyć było trudno, oprócz narzekania na zdradę. Wszystko się o ten zamek rozbijało.

Szedł często przed namiot swój, stawał, na Wawel patrzał długo, jakby go temi oczyma świecącemi z pod brwi rozrosłych chciał pożreć. Wracał potem, siadał, zasępiał się, a gdy syn po młodzieńczemu sypał przed nim słowy i nadziejami żywemi, potrząsał głową pogardliwie.

Minęło tak dni dziesiątek, wiosna przychodziła ciepła i sucha, ludziom było raźniej, lecz z obozu wykradali się do miasta, a tam wszystkiego znajdując poddostatkiem, więcej myśleli o swawoli, niż o oblężeniu.

We dnie stawały kupy zbrojne naprzeciw wałów, na których ludzi nigdy nie brakło, zaczynano ciskać słowy, jak kamieniami, łajać się, wyzywać i strzelać z łuków. Więcej było z tego zabawy, niż skutku.

— Nieboszczyka sługi, trupie wojsko! — wołano z dołu do góry.

— Rozbójniki! zdrajcy! — odpowiadano od zamku.

Leciał za tem bełt, padał kamień, rwano się zdala do siebie, rosła złość, ale do zamku dostąpić nie było sposobu. Gdy im głodem grożono, oblężeni ćwierci mięsa wywieszali na okaz i wory mąki staczali umyślnie, okazując, że zapasy mieli.

Mieszek po kilku tych dniach Kietlicza wołać kazał.

— Kazimierz może nadciągnąć i Ruś z nim — rzekł, — w gołem polu obrona trudna, odejść przed nimi ze strachu nie mogę... Na dole zamek warowny stawić i wały sypać trzeba...

Z początku na ten rozkaz pański potrząsano głowami, zamek drugi pod zamkiem wydawał się starszym niepotrzebny, wielu niebezpieczny, nazajutrz jednak powtórzył książę, iż mieć go chce; drzewo i kamienie ściągać zaczęto. Mieszek nie siedział już w namiocie, ale na pniaku, patrząc, jak mu zamek budowano.

Wojsko musiało, pozrzucawszy zbroje, wziąć się do rydlów i toporów. Mała część tylko została na straży.

Z wierzchołka murów na Wawelu Mikołaj i biskup Pełka patrzyli na to, co się u stóp ich działo.

Gdy drzewo zwozić się zabrano, zaniepokoił się wojewoda, myśląc, że tarany do bicia bram i murów bu-

dować myślą, ale wkrótce się okazało, że tyny, parkany, szopy i dwór zakładano.

— Oni tu myślą siedzieć — rzekł wojewoda, — my też nie wyjdziemy stąd dla strachu.

Zapasu żywności dość jeszcze było. Radzić jednak należało nad tem, by odsiecz przyśpieszyć.

Choć wiedziano, że na Ruś dojdzie wieść o obleganiu, nie byli pewni, jak rychło; nużby głód ich zaskoczył, nim Kazimierz nadciągnie?

Wypadało z narady wysłać kogoś do księcia, a biskup zaraz wskazał Stacha, mówiąc: — ten lub żaden.

Powołano go natychmiast. W izbie niewielkiej siedział Pełka u stołu za księgą, z której po całych dniach modlitwy czytał dlatego, iż owo przerywane ciągle nabożeństwo mało ważył. W tem oblężeniu na chwilę nie poprzestawał się modlić, aby ciągle być na straży. Wśród dwu rozmów, wśród dwu myśli, odmawiał wiersz psalmu, lub wysyłał westchnienie do Boga. Oba z bratem nie tracili nadziei, że się obronią, lecz dzień każdy troski pomnażał.

— Ciężkie na was włożę znów brzemię — rzekł.

— Bylem mu podołał — odparł Stach.

— Widzicie, co się dzieje, zamek sobie budują, jakby nam grozić chcieli, że ten zniszczą, a zawczasu inny przysposabiają. Kto wie, czy Kazimierz zna położenie nasze i jak rychło powróci! Trzeba słać do niego.

A po chwili dodał:

— Jedźcie wy!

Stach stęknął.

— Nie proszę o zwolnienie, ani się wzdragam — rzekł, — ale jakże ja mogę stanąć przed obliczem pana? Wiecie, ktom jest, że mi nie wolno ukazywać mu się, bom ja żywym dlań policzkiem!

Biskup wysłuchał.

— Nie potrzebujecie z tem iść do samego księcia — odpowiedział, — złożycie się chorobą, poślecie mu pisanie ode mnie... Zwierzyć tego nie mogę innemu. Czyniliście już wiele dla okupienia grzechu młodości, zróbcie i to jeszcze, zasłużycie się panu, nam, królestwu...

Nie zapytano go nawet, jak się zdoła wydobyć z zamku, dokoła osaczonego, jak przez miasto przemknie się niepoznany, jak z niego wymknie. Biskup wiedział, że nie mniejszych już dokazywał spraw, snując się po Śląsku i Wielkopolsce, a życia swego nie żałował.

Stachowi twarz poweselała.

— O to tylko proszę miłości waszej — odezwał się do biskupa, — abyście, jeżeli zginę, byli mi świadkiem, żem moją pokutę do końca życia doprowadził, a za duszę grzeszną mszę odprawiali.

Pocałował w rękę biskupa, który błogosławił go rozrzewniony.

Wyprawiono Stacha, nim wieczór nadszedł. Pierwsza z zamku ucieczka z Żegciem przydała się im teraz, gdyż to samo miejsce mogło posłużyć do wyśliźnięcia się. Gdy ściemniało, poczęli od strony Wisły się spuszczać. W obozie wszystko leżało uśpione. Udało im się niepostrzeżonym dostać do stóp góry, a tu choćby się z kim zetknęli, mogli uchodzić za należących do wojska. Nikt wszakże nie stanął im na drodze. Do brzegów rzeki dopadli pocichu, pominąwszy straże niedbałe, które u ognisk się skupiały. Stach znowu na czółen rachował, jak przy dawniejszej ucieczce i pierwsze, które im się nastręczyło, pochwycił. Skoczyli już weń, gdy rybak na sieciach śpiący w nim, narobił wrzawy, zerwawszy się. Żegieć chwycił go za barki i do wody cisnął, aby z obozu ludzi wrzaskiem swym nie ściągnął, odepchnąwszy się od brzegu, wypłynęli na środek, gdzie już po nocy ani ich dojrzeć, ani pochwycić nie mógł nikt.

V.

Jednego wieczora, choć żadnego widomego powodu do tego nie było, dał się czuć niepokój na mieście i w zamku; ludzie z obozu biegali w różne strony, wysyłani konno i pieszo; parę oddziałów wyprawiono

śpiesznie na gościńce; koło wrót miejskich powiększono straże i czujniej chodzić zaczęto, przy nowym grodzie drewnianym roiło się, brzęczało, szumiało, jak w ulu.

U starosty Warsza, mimo, że stoły były jak zawsze na przyjmowanie gości gotowe, zrobiło się dziwnie pusto, muchy tylko z mis się żywiły. On sam, który tych dni częściej chodził w kaftanie i żupanie, teraz przywdział blachy, miał się wpogotowiu, jak do wystąpienia.

Ludzie, spotykając się po ulicach, szeptali z sobą bojaźliwie, pytając, co się działo.

Niewiele kto wiedział. Popłoch czuć było, lecz skąd on szedł, co groziło? — chyba starszyzna sama była w to wtajemniczona.

Przez część nocy widać było ognie na wałach, krzątaninę około szałasów i wozów, nawet wszystkie konie z paszy nad Wisłą pościągano.

Ciekawsi mieszczanie, mający stosunki z ziemiany i pułkowódcami, podchodzili ukradkiem do znajomych, lecz na zapytanie, co się dzieje, odpowiadano im, że nic nie wiedzą — a kazano być wpogotowiu i czujności.

Krakowianie wyciągali z tego łatwy wniosek, że jakiś nieprzyjaciel zagrażać musiał, a któżby nim mógł być, jeżeli nie Kazimierz i jego wojska?

Padła trwoga na wszystkich, co jawnie stronę Mieszka trzymali. Starosta Warsz posłał na zamek syna, który niedorosły był, ale roztropny, tak, iż mu zawierzano, pytając Kietlicza poufnie: — Czy co groziło?

Serb odparł gniewnie chłopcu, aby do licha szedł i odprawił go z niczem.

Syna i starą żonę zostawiwszy w domu na wypadek przybycia gości, starosta niespokojny, przypasawszy miecz, hełm na głowę włożywszy, mrokiem pobiegł do dworku Juchima. Tam się spodziewał najpewniej czegoś dowiedzieć.

Tu, jak zwykle, długo stukać było potrzeba i opowiadać się, nim wrota otwarto niebardzo chętliwie.

Puszczono starostę, który zastał siedzącego w izbie Żyda nad stołem, w obu rękach trzymającego starą głowę, zatopionego w myślach.

Ujrzawszy dostojnego gościa, starzec podniósł się z ciężkością, spojrzał nań i powoli przywlókł się ku niemu.

— Co się to dzieje, nie wiecie wy? — zapytał Warsz. — Nigdzie niczego dopytać nie mogę. Przyszedłem do was. Ludzie biegają, w obozie ruch! Co to jest?

Juchim podniósł ręce do góry i począł głosem drżącym.

— Ręka Wszechmocnego nas dotknęła! Nieszczęście nad głowami naszemi!... Zagłada czeka, śmierć, zniszczenie, zguba!

Starosta osłupiał.

— Mów! co? — zakrzyknął.

— Nie wiecie nic? Książę Kazimierz powraca. Idzie z całem rycerstwem swem i z Rusią. Po drodze w Lubelskiej ziemi, z Sandomierza wierni jego zbiegają się doń. Siłę ma wielką, z nią na nas idzie. Idzie i jak piorun ognisty spadnie na głowy nasze!

Warsz oniemiał ze zgrozy. On i Juchim byli w położeniu podobnem. Widzieli ich wszyscy, gorliwie dla Mieszka pracujących, posiłkujących mu; obu czekała nieubłagana zemsta wojewody Mikołaja, który znał wszystko i wiedział. Oba mogli się uważać za zgubionych.

— Co bo mówicie? — przerwał Warsz, sam sobie usiłując dodać odwagi. — Mamy z sobą wojsko Mieszka i wszystkich ziemian krakowskich. Ruś! Co znaczy niesforny tłum, garść jakaś?...

— My ziemian mamy! — odparł Juchim. — A wielu ich z nami? Albo oni umieją sobie robić przyjaciół? Od tej pory, jak tu są, stracili połowę tych, co mieli! Nigdy ich dużo nie było, kłamali! Kietlicz, odzierając i bezczeszcząc, resztę zniechęcił. Co ziemianie znaczą, którzy dziś jednemu, jutro drugiemu służyć gotowi?

Juchim ręce załamał; Warsz stał, myśląc już tylko o sobie.

— Któż tu weźmie górę — spytał.

— Kto? — zawołał Juchim. — Na co to pytać!? Zamek się trzyma. Kazimierz ich precz rozmiecie! On podejdzie z jednej, wojewoda z drugiej strony — wszystko się rozleci! Ziemianie zdradzą, gdy Kazimierza żywym zobaczą!

— A ty co myślisz z sobą? — dodał starosta.

Popatrzyli w oczy jeden drugiemu. Juchim westchnął.

— Ja? — rzekł cicho. — Ja jestem mały człowiek, ja siedzę w domu, ja służę każdemu, kto mnie potrzebuje, ja tu gość! Że musiałem iść się kłaniać Mieszkowi, co za dziw? Każdy musi bronić swoich kości! Ja wojska nie mam, tylko pokłon mój.

Zamilkł, pot ocierając z czoła.

— Gdzie jest pokój, gdzie jest bezpieczeństwo na ziemi? — zamruczał.

Począł głową trząść, rękami czyniąc ruchy dziwaczne. Słów mu brakło ze wzruszenia

Warsz zatopiony był w sobie.

— Ja muszę radzić sobie inaczej — począł. — Oni powiedzą, że ja miasto wydałem! Nieprzyjaciół mam między mieszczanami. Powiedzą, żem miał zmowy z Kietliczem, żem naprzeciw niego jeździł. Kto wie, czego nie zmyślą na mnie! Ja życia nie jestem pewny, mnie stąd z wojskiem trzeba — precz!

Żyd mu nic nie odpowiedział. Dotąd ze starostą byli w stosunkach takich, że Juchim mu się kłaniał, a Warsz go bardzo szanował. Teraz zobojętnieli dla siebie; Juchim stał wyżej, starosta stracił na powadze.

— Co oni mnie mogą zrobić? — począł Warsz napół do siebie, pół do Żyda, — co mówicie? na gardle ukarzą?

Juchim zadumał się.

— Jeżeli sam książę sądzić będzie... on jest miękkiego serca i krwi nie chciwy, ale wojewoda!

— A co im po mojem gardle? — zagadnął

Warsz. — Starostwo odbiorą? Aby gardło zostało! Do kopalni poślą? A i stamtąd ludzie wracają, gdy się mają czem wykupić. Uciec, to znaczy przyznać się do winy i do strachu, skazać się samemu!

Juchim nie przeczył, ani potakiwał, jęczał. Starosta przeszedł się po izbie razy parę z głową spuszczoną i prawie bez pożegnania wysunął się nazad do domu.

Izba pustką stała. Zwykle o tej porze bywało w niej najtłumniej, najwrzawliwiej; teraz, choć drzwi stały naoścież otwarte, a światło biło na ulicę — nikt się nie przybłąkał. Przechodzili ludzie różni, nikt nie zajrzał.

Około północy, gdy koguty piały, już żona starosty chciała kazać dom zamykać, gdy niespodzianie z za węgła wysunęła się gromadka ludzi. Nie byli to rycerze ani ziemianie, ale mieszczanie, których tu od niejakiego czasu mało widywano, oprócz kilku przyjaciół Warsza.

Ci, co teraz po nocy przybywali, właśnie do przeciwnego należeli obozu. Starosta, który jeszcze po izbie chodził, stękając, zobaczywszy ich kilkunastu, a między nimi najpoważniejsze głowy, kupców bogatych, rzemieślników dostatnich — zmieszał się nieco.

Milcząc, weszli do izby, a ostatni, nie pytając gospodarza, drzwi za sobą zasunął. Warszowi zrobiło się gorąco, potem zimno, zbladł, zmieszał się więcej jeszcze, stał się pokornym, słodkim, uprzejmym dla tych gości, których niedawno w ulicy ledwie chciał uznać.

Starszyzna ta poubierana w suknie długie, w kołpakach wysokich, ludzie wiekowi, poważni, stali długo z początku, rozglądając się, otaczając starostę.

Nikt milczenia nie przerywał.

— Cóż mi to, miłościwi bracia, przynosicie? — odezwał się wkońcu Warsz łagodnie.

Patrzali po sobie, jakby wybierając tego, co za wszystkich mówić miał. Wysunął się naprzód podżyły, okrągły Soroka i, ręką się po głowie pogładziwszy, poprawiwszy pasa, rzekł:

— No, Warsz, wy nas wprowadziliście w kałużę, myślcie, jak z niej wyciągnąć! Co teraz będzie?

— Ja? Ja was wprowadziłem? — składając ręce, przerwał starosta. — Ja? Com ja winien?... Czy to my mogliśmy się bronić, aby miasto w perzynę obrócili?

— A dziś ono choć nie w perzynie — dodał Soroka, — to bez skóry i bez kawałka chleba. Popytajcie nas, wy tego nie zaznaliście, co my biedaki chudziny... A co teraz, panie starosto, co dalej?

— Albom ja winien temu co jest, abym odpowiadał za to, co będzie?! — zawołał Warsz.

— Hej, Warsz! A któż to z ziemiany siedemdziesięciu, z tą kupą warchołów się wąchał, kto im wrota otwierał? Gdybyście wy potajemnie do Mieszka nie jeździli, nie dali mu znać, co gdzie stoi, nie obiecali miasta dać, nie byłoby tego, co jest.

Wszyscy gorąco potakiwali. Warsz to się za włosy porywał, to w piersi bił, odskakiwał, przebiegał, a z ust wyrywały mu się niepowiązane słowa.

— No! co teraz? — naglił Soroka.

— A no, teraz — wtrącił Samko Zamiecha śmiało, — coście zrobili dla Mieszka, musicie uczynić dla naszego prawego pana, nad którego my innego znać nie chcemy. Mówicie, że żądaliście ocalić miasto? Przyjdzie Kazimierz, to go też nie pożałuje, gdy mu bramy zamkniemy. On, jak on, bo litościwy, a Ruś, którą z sobą ma, z dymem nas puści.

— Pewnie! — potwierdził stojący za nim.

Warsz się za głowę trzymał.

— Albo ja wam bronię bramy otwierać? — zawołał. — Róbcie sobie, co chcecie! Ja nie wiem, co czynić! Ja zawsze o dobro wasze dbałem, jak o swoje, reszta była u mnie niczem. Za was i za miasto ja albo głowę dam, albo do torby przyjdę!

— Ej! ej! — rzekł Soroka. — Albo to my was nie znamy? Albo to my nie wiemy, kto na czem siedzi i komu służy? Komu wy to mówicie?

Warsz załamał ręce i milczał. Gromadka starszych stała, jak sędziowie przed winowajcą.

— Anośmy poto przyszli — rzekł Soroka, — aby wam dowodnie rzec, że, chcecie, czy nie, my panu

Kazimierzowi otworzym wrota, a przyjmiemy go, jak pana naszego! Na głowę kłamali ci, co rzekli, że umarł, ino co go nie widać!

Warsz ramionami ściągnąwszy, po namyśle przystąpił do Soroki.

— Róbcie sobie, co chcecie — rzekł, — ja dobra miasta tylko pragnę. Byle mi głowy z karku tylko nie strącili.

— Wasza głowa, wasza rzecz — odparł Soroka, — pilnujcie jej sobie; my mały ludek nikomu ich nie zdejmujemy, ani przyprawiamy!

Postali chwilę i powolnym krokiem ku drzwiom się skierowali; za nimi kroczył Warsz aż do progu pokornie i gdy ostatni z nich wyszedł, postawszy jak osowiały we drzwiach, powlókł się, chwiejąc, do izby.

Drugie kury piały. Wiosenna noc już się dalekim ku wschodowi brzaskiem rozjaśniać zaczynała. Warsz, przeszedłszy się po pustej jadalni, powrócił do progu i zapatrzył się w pustą ulicę. O spoczynku myśleć już nie czas było. U św. Florjana dzwonek jakiś ranny wołał na modlitwę; od strony zamku nowego słychać było głuchą wrzawę, dolatującą aż tu, i gwar stłumiony. Tam też nie spano. Ruch panował w obozie.

W izbie światło było pogasło. Starosta oddychał rannem powietrzem ;sam nie wiedząc dlaczego, sen go nie brał. Niepokój nim miotał. Dzień się robił coraz większy, szarzało, bielało. Od strony obozu z gwaru wyszedł tętent daleki, jakby jazda szła drogą, krokiem mierzonym.

Chwilę jeszcze tak Warsz stał w progu, gdy coraz bliżej dał się słyszeć tętent koni. Ulicą postępował jakiś oddział wojska — dokąd? Chyba za miasto? Nie naprzeciw Kazimierzowi ruszył, bo on z tej strony iść nie mógł. Serce mu bić zaczęło; mieliżby dobrowolnie opuścić Kraków?

Warsz, drzwi prędko przymknąwszy, sam za niemi ukrył się tak, aby przez szparę na ulicę mógł patrzeć.

Oddział stąpał powoli, długo nań czekać musiał.

Naostatek pokazali się ludzie, których poznawał łatwo, jako przyboczną straż książęcą, wszyscy w kolczugach, dobrze zbrojni i jednako poodziewani. Jechali zcicha, jakby miasta budzić nie chcieli, milczący, szyszakami pokryte twarze. Przodem jechał pułkowódca, szła chorągiew zwinięta. Za oddziałem w małym przestanku osobno postępowało kilku ludzi. Otaczali oni jednego, w którym Warsz poznał Mieszka.

Okryty popielicowym kożuszkiem na zbroję, jechał z głową na piersi zwieszoną, z brodą podpartą, która mu dolną część twarzy zasłaniała, zasępiony, blady, straszny, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie patrzył przed siebie, patrzył pod siebie, konia nie wiódł, szedł on sam za drugiemi. Dokoła osłaniali go dworzanie, ale Kietlicza ani Bolka widać nie było. Domyślił się Warsz, że ci na nowym zamku zostać musieli.

Dwa szczupłe oddziały zamykały ten pochód smutny, jakby pogrzebowy, wśród ciszy poranku uśpionego wysuwający się z miasta ukradkiem.

Książę uchodził, unosząc życie i swobodę, ale wojsko jego nie ustępowało, zamek więc i miasto z nim bronić się miało, wystawiając na zniszczenie.

Przeprowadziwszy ich oczyma, Warsz zamknął drzwi i przy nich upadł na ławę. Ze znużenia i frasunku, jak był we zbroi, oparłszy się o stół, z głową zwieszoną, wpadł w sen głęboki a niespokojny.

Zbudziło go gwałtowne dobijanie się do drzwi. Zerwał się, nie wiedząc już spełna, gdzie jest i co się z nim dzieje. Biały dzień jasny wpadł przez szczeliny pozasuwanych okiennic. Do drzwi wciąż szturmowano gwałtownie i głosy nakazujące domagały się wpuszczenia.

Warsz pośpieszył odryglować zasuwy i ledwie miał czas wbok ustąpić, gdy na próg wpadł od stóp do głów zbrojny Kietlicz, z oczyma zaczerwienionemi, z odgróżkami na ustach, hełm tylko co zdjęty trzymając w ręku.

Zobaczywszy Warsza, ochłonął nieco, ale złość z niego zionęła jeszcze i przekleństwa z ust wymykały się, jak grzmoty dalekie po gwałtownej burzy.

Warsz zaspany ledwie się trzymał na nogach. Kietlicz tych, co za nim szli, skinąwszy ręką, za drzwiami zostawił.

— Śpisz, stary niedołęgo! — zakrzyczał, — a tu miasta bronić trzeba! Ty niedbalcze, ty! Wrota zamykać, niech się mieszczanie, kto żyw, zbroją!

— Nie kazał mi nikt, nie mówił nikt! Nic nie wiem! — odparł Warsz.

— Rusiny ciągną z mordem, z pożogą! Idą mścić się za krew i ogień, który wasz miły Kazimierz do ich ziemi nosił! Odwet przychodzi! Brońcież się wy, baby jakieś, bo zamek mój też się będzie bronił do upadłego!

— A! — zawołał starosta, — brońcież i wy nas! Sami się nie obronimy.

— Mieszczan wypędź do nogi na częstokoły, wały, do bram! Musicie się bronić, zajęcze syny, bo życie postradacie. Ruś was miłować nie będzie. Wasz to Kazimierz pono prowadzi ją na swych poddanych, tak jak Władysław Połowców.

To mówiąc, stojącego jeszcze Warsza Kietlicz pchnął silnie ogromną pięścią zaciśniętą.

— Idź, czego stoisz, idź! Coś ogłupiał! Rozsyłaj, trąb, żeby mi ludzie szli do obrony, z czem kto ma. A poddacie się bez walki, ja was wyrznę w pień! Ja, bo ja na zamku siedzieć będę, póki nie nadciągną posiłki. Idź! idź!

To mówiąc, Serb popędził wystraszonego starostę w głąb izby, a sam zawrócił się do konia, którego łeb we drzwiach widać było. Dysząc, oprawca pobiegł wprost na zamek ze swymi.

Pozbywszy się go, Warsz długo stał jak wryty. Co miał czynić? Słuchać jego, czy być posłusznym mieszczanom? Tak, czy owak, głową odpowiadał. Krzyk wpadającej żony do reszty go pomieszał. Chwycił za hełm na stole i, zapomniawszy przypasać miecza, nie wiedząc sam dokąd, wybiegł na ulicę.

Tu ludzie snuli się tam i sam, wystraszeni, jak on, od drzwi do drzwi, śpiesząc się, pędząc, stając, wykrzykując, wołając się. Miasto było obrazem nieładu

i popłochu. Rządził, kto chciał, rozkazywał, kto głośniej krzyczał, słuchano chwilę, potem czyniono, co kto inny doradzał.

Przy wrotach domostw zbierały się kupki niespokojne, zwiększały, rosły, rozpraszały, gromadziły w innych miejscach. Zatrzymywano przechodniów, rzucano się na ludzi nieznanych. Ciekawsi biegli ku bramom, bojaźliwsi uchodzili do lochów i szop, w ogrody.

Warsz, wybiegłszy z domu, opadnięty natychmiast, zarzucony pytaniami, groźbami, nie odpowiadał na nie, wyrywał się, jakby już tylko myślał o własnem ocaleniu. Chwytano go za suknie, szarpano odzież na nim. Nie wiedział, dokąd się skryć, czując tylko, że najgorzej było pozostać w domu. W niepewności, co czynić miał, wolał nic nie robić i skryć się. Jako schronienie jedyne przychodził mu na myśl dwór Juchima.

Wyrwawszy się gwałtem z rąk tych, co się od niego domagali, aby ich bronił i radził im, Warsz małemi uliczkami zbiegł pod dwór Żyda. Tu było pusto. Bił we wrota, co sił stało; długo odpowiadało mu tylko milczenie. Wreszcie zasuwa w furcie się otwarła i blada twarz Juchima ukazała za nią.

— Idź ty, człowiecze złej godziny! — zawołał gniewnie Żyd. — Czego ty chcesz ode mnie? Ja cię znać nie chcę. Jam ci nie winien nic.

— Wpuść, na Boga, zlituj się!

— U mnie miejsca niema, nie chcę, nie przyjmę! Na moją starą głowę nieszczęścia ściągać nie będę! Idź! idź! tu dla ciebie miejsca niema!

I zasuwa w oknie zamknęła się tak silnie, iż furta zadrżała. Warsz pozostał sam ze swą rozpaczą.

W mieście tymczasem nieład się coraz powiększał, każdy zrazu czynił, co chciał, potem starsi mieszczanie, naradziwszy się z sobą, poszli do bram, pilnując, aby ich nie zamykano. Chciał kto z miasta precz, wypuszczali go, chciał do miasta, nie bronili — czekali.

Poznać było łatwo, że miasto się ani myśli, ni chce opierać i gdyby Warsz był spróbował spełnić rozkaz

Kietlicza, byłby może postradał życie, a niktby go już nie usłuchał.

Wszystko to się spełniło, nim jeden żołnierz Kazimierzów ukazał się pod murami, nim najmniejsza garstka przodowników przybyła.

Wieść o nadchodzących przyniesiono na zamek, stąd ona rozeszła się po mieście. Zastępy Kazimierza odmalowano tak groźno, że Mieszek po naradzie wolał sam ustąpić i iść po posiłki, a synowi zostawić zamek, powierzając go Kietliczowi.

Na dolnym grodzie czyniono przygotowania do rozpaczliwej jego obrony. Wszystko to nie mogło ujść oka tych, co czuwali na Wawelu. Wojewoda Mikołaj już z wieczora dostrzegł, co się działo w obozie nieprzyjaciela; serce wszystkim urosło; nowy duch wstąpił. Domyślano się odsieczy.

Z wieży czatowano nieustannie, a że Wawel nad dolnym zamkiem panował, widać byłno najmniejszy ruch w nim i co się działo dokoła.

Pewnym był wojewoda, że największe niebezpieczeństwo przeszło, że lada dzień niewola się skończy. Zamierzał, jak się tylko wojsko Kazimierzowe ukaże, sam wypaść z zamku, aby oblegających wziąć w kleszcze.

— Teraz ten niezmożony warchoł wpaść musi w nasze ręce — mówił wojewoda, całując biskupa po rękach. — Okrutny nie jestem, zemsty chciwy nie byłem nigdy, ale oszczędzić go grzech! Inaczej my i pan nasz nigdy nie zażyjemy pokoju.

— Bogu zostaw staranie o pomstę i pokój nasz — odparł biskup. — Byleśmy z więzienia tego wyzwoleni zostali, a pan nasz na zamek wrócił!

Jak na mieście i zamku dolnym wszystko było w trwodze, tu po długim ucisku oddychało radością wielką. Księżna z synaczkiem i córką Adelaidą szły dziękować Bogu na mszę biskupią. Kościół mimowolnie przypominał jej męża, głos organu i śpiew łzy z oczów wyciskały; przypominała sobie Kazimierza

przy tych organach, grającego i śpiewającego pieśni pobożne.

Lud na Wawelu, choć jeszcze nikogo widać nie było, czuł się weselszym, silniejszym. Nareszcie te okowy, co go opasywały, prysnąć miały, a on odetchnął swobodniej.

— Pan przybywa! — wołano, w dłonie poklaskując.

Tłumnie na wałach zebrani napróżno jednak do wieczora samego oczekiwali, żeby się przeczucia ziściły. Wprawdzie na dole skupiały się dotąd porozpraszane siły, ale jak okiem zajrzeć, żaden oddział ani czaty przednie się nie ukazały. Noc zapadła ciemna, wietrzna, chmurna, dalekiemi rozświecona błyskami, nic nie dojrzano, nie zmieniło się nic.

W mieście tylko gotowało się, wrzało, kipiało, i dopiero późno, w głęboką noc, uciszać nieco zaczęło.

Kietlicz, któremu dano znać, że bramy miasta stały otworem, posłał swych ludzi na mieszczan i pędzić ich kazał do obrony, a wrota zamykać. Lecz na ruchomą falę ludu, gdy się nie lęka zemsty, a czuje trochę silniejszą, niema potęgi, coby ją zauzdała i wstrzymała. Ludzi schwycić nie było podobna. Tłumy się rozlewały, znikały, jakby szły pod ziemię, skupiały potem w okamgnieniu i rozpraszały znowu, jakby naigrawając się z tych, co je opanować myśleli.

Co się działo z Warszem, nikt nie wiedział. Biegano, szukając go wszędzie. Od tej pory, gdy stukał do dworku Juchima, nie widział go nikt. Kietlicz słał po niego ludzi, mieszczanie, starszyzna gromadami upominali się o niego u płaczącej żony, zaklinającej się, że nic o nim nie wiedziała. Strzęsiono dom, szopy, lochy — nie było śladu.

Co widząc mieszczanie, pocichu między sobą wybrali starostę, ale o nim nie dali znać do zamku, aby Kietlicz nań nie wsiadł. Czekali jutra.

Nazajutrz rano deszcz kropił, ale słońce dobywało się z chmur, wiatr rozpędzał obłoki powoli.

Po wczorajszym popłochu oczekiwanie dłuższe dało

nieco uspokojenia. Na zamku dolnym ochłonięto ze strachu, na górnym ogarniał niepokój. Na mieście już nie wiedziano, co myśleć.

Kietlicz chciał koniecznie,, ażeby miasto się zawarło i broniło, ale swoimi ludźmi, za mało ich mając, osadzać go nie mógł. Posłano do ziemian, którzy obiecywali stawać z Mieszkiem i wprowadzili go do Krakowa; teraz ich już nie było widać. Nie odmawiali posiłków, obiecywali się zwołać, wpogotowiu nie było nic. Siedzieli po gródkach, patrząc, co Bóg da.

Kietlicz się na nich odgrażał straszliwie, ale odgróżki szły na wiatr.

Dzień cały znowu upłynął przy wzrastającym niepokoju. Chociaż wiadomość o zbliżającym się z Rusią Kazimierzu pewną była, bo ci, co ją przynieśli na własne oczy widzieli pułki, które prowadził, zaczynano wątpić, czy wprost na Kraków pociągnie.

Wieczór już nadchodził, gdy okrzyki wielkie u bram miasta obiły się na obu zamkach. Nikt przybywających nie widział, podkradali się cicho i ukazali u wrót, gdy się ich nie spodziewano. Stały im wszystkie otworem.

W jednym z nich Soroka z głową odkrytą przyjmował księcia Kazimierza, który jechał na siwym koniu, u boku mając kniazia Romana. Za nimi szły pułki polskie i ruskie.

Wojsko razem i mieszczanie wielkim głosem Kazimierza okrzykiwać zaczęli. Kilku ulicami wciągnęli tak bez przeszkody do miasta, które Ruś zobaczywszy, z obawy jej, puste trochę się wydało.

Kazimierz jechał wprost do kościoła św. Florjana, aby tam Bogu dziękować za powrót.

Dopiero, gdy ujrzano z górnego zamku te zastępy i poznano chorągwie, biskup kazał we dzwony uderzyć, na wałach ludzie zahuczeli okrzykami.

Na dolnym zamknęli się szczelnie Mieszkowi.

Nadchodzący mrok nie dozwolił nic poczynać, jechali tylko książęta oglądać poczwarny, naprędce sklecony gród dolny, aby radzić, jak go zdobywać.

Po Haliczu i Brześciu, którym Kazimierz rady dał, choć obronniejsze były, zamek Kietlicza nie zdał się strasznym. Mógł jednak trochę zachodu i krwi kosztować.

Wojsko w rynku, po ulicach, na przedmieściach około Wawelu się rozłożyło. Na sam Wawel przystępu bronił obóz i wojsko Mieszkowe. Książę zajął obóz biskupi. W godzinę zmieniło oblicze i miasto, stało się innem, niż wczoraj, niby obozem jednym.

Nocą jeszcze pościągano z miasta do księcia Kazimierza ludzi, którzy świadczyli, co się tu, jak i przez kogo działo. Niektórzy dobrowolnie biegli opowiadać, co widzieli.

Słuchał Kazimierz i łza mu się w oczach kręciła.

— Com zawinił tym, którzy mnie opuścili? — odezwał się. — Starałem się być dla wszystkich sprawiedliwym i miłosiernym!

Bolało go najwięcej to, że ziemianie krakowscy tak pochopni byli do odstępstwa. Chciano mu imiona ich zliczyć, aby się przekonał, że tych niewielu było, lecz słuchać odmówił.

— Wiedzieć nie chcę, którzy byli, aby w sercu gniew i pomsta się nie zrodziła — rzekł książę.

Późno w noc u drzwi pańskich znalazł się i ten, którego najmniej spodziewać się było można — skarbny Juchim. Stał już oddawna przed wrotami z głową obnażoną, rękami zwieszonemi, dopominając się, by go wpuszczono. Gdy się docisnął do księcia, padł na kolana przed nim i długo ze wzruszenia mówić nie mógł. Chciał uprzedzić, co na niego donosić miano.

— Błogosławiony niech będzie Bóg, który sprowadza sprawiedliwego — począł. — Za tobą było jęczenie nasze i boleść wielka; głowy mieliśmy posypane popiołem i szaty rozdarte.

Książę, któremu już mówiono, że Juchim Mieszkowi służył, wymówek mu nie czynił.

Gdy Żyd jeszcze błogosławił i witał, rzekł doń krótko:

— Służyłeś przecie dawnemu swemu panu!

— A czegóż biedny robak nie uczyni, gdy go nogą cisną? Życia musi bronić każdy! Miłościwy książę — westchnął Juchim, — za gardło mnie trzymali, posłusznym być musiałem.

Spytał go książę o starostę, bo o stosunkach jego z Żydem już także miał doniesienie.

— Nie wiem o nim nic, poprzysiąc mogę! — rzekł Juchim. — Jeżeli kto winien, że miasto się poddało, chyba on; ale czemże bronić się miało? Komu żywot i mienie nie miłe?

Długo bardzo niespokojnie Juchim błogosławił, tłumaczył się, użalał na ubóstwo, na zdzierstwo, na wojnę, na dolę swoją, przypadając do kolan milczącego Kazimierza, który go opuścił, nie dając znaku ani gniewu, ani poruszenia.

Cisnęli się tak kto mógł z żalami, doniesieniami, zalecając wierność swoją.

Książę na brata Mieszka mówić nie dopuszczał, słuchać nie chcąc obwinień przeciw niemu i otwarcie się z tem oświadczywszy, że Kietlicz był winien wszystkiemu, on namową, podżegaczem i sprawcą. Ktokolwiek poczynał o Mieszku, on wnet prostował, sprowadzając na Kietlicza. Na Serba zwalano myśl i wykonanie zamachu i upartą chęć trzymania się na dolnym zamku.

Nazajutrz rano bardzo, ledwie na dzień się brało, ziemianie zaczęli się ukazywać w mieście, nawet ci, co do siedemdziesięciu się liczyli, którzy pierwsi z Mieszkiem wciągnęli. Nim rozedniało i książę wstał, liczba ziemian powiększyła się znacznie, pierwsi się tu znaleźli, co najwinniejszymi czuli. Jeden na drugiego winę strącał, wszyscy teraz wracali do dawnego pana.

Gdy się książę ukazał, pokłonami i okrzykami go powitano. Przyjął to spokojnie, bez wymówek, bez gniewu, ale bez radości z nawrócenia.

Śreniawa, któremu najwięcej zarzucali wierni Kazimierzowi, począł się tłumaczyć.

— Serce ojcowskie przebaczy, choćby obłąkanym — rzekł. — Ujmowali nas i nęcili nie wiedzieć czem Dobrogost i Sędziwój, najeżdżał Kietlicz.

Kietliczem wymawiali się wszyscy, groźbami jego; zrzucano nań własną winę.

— Sromamy się i kajamy, żeśmy ulegli — mówił Śreniawa; — ludzka rzecz pobłądzić, królewska przebaczyć. Odtąd wiernie tobie i rodowi twemu służyć będziemy. Zwiedziono nas, grożono!

Zaczęli i inni, już księcia znając, na Kietlicza narzekać.

— Zmuszał nas, nękał, serca nam psował, kłamstwy nas wziął! — wołali.

Z gorliwością wielką ofiarowano się dopomagać do zdobycia zamku, w którym spodziewano się napewno ująć Kietlicza.

Gdy książę z Romanem na koń siadł oglądać gród nowy, ziemianie wszyscy posypali się za nim.

Zamczysko, naprędce sklecone i liche, leżało u stóp Wawelu, ladajakim wałem otoczone i tynami opasane. Do budowy tej nic nie miał Mieszek, oprócz ogromnych kłód drzewa, które z sąsiednich lasów pościągano, z nich się składały i szopy i ogrodzenia, łatwem więc zdało się ogień podłożyć i wyprzeć nim nieprzyjaciela. Obszerność zamku znacznych dosyć sił w nim pozostałych domyślać się kazała.

Z wierzchołka Wawelu postrzeżono zaraz Kazimierza jadącego ze dworem, i okrzyk się podniósł wielki, dzwony św. Wacława witały pana radośnie, a z wieży wiała czerwona chorągiew, którą wiatr wesoło unosił.

Rusini i Polacy stali w szeregach, czekając skinienia, aby rzucić się na gród, lecz książę zwlókł hasło do boju. Nie chciał poczynać lekko, aby żywotów ludzkich oszczędzić. Objeżdżano i oglądano ze wszech stron, radząc, jak było najłatwiej zdobywać.

Posłał książę naprzód, domagając się dobrowolnego poddania; tego, który jechał, odegnano strzałami, łajaniem i pogróżkami. Rusini natychmiast chcieli rzucić się na wały, lecz tego dnia spoczynek dano wojsku i opasano tylko gródek dokoła.

Przez cały dzień coraz nowe gromady ziemian i kmieci przybywały z okolic i dziedziniec a ulice do-

koła dworca biskupiego pełne ich były. Brakło tylko jednych braci z Tęczyna, którzy Mieszkowi dotrzymując wiernie, z ludźmi swymi do niego poszli.

VI.

Spełnił Stach poselstwo swe szczęśliwie, choć nie bez wielkich utrapień i mozołu. Niktby inny tego, co on nie dokazał może, bo mało kto tyle, co Stach, włóczył się po ziemiach wszystkich i lepiej znał język ich i obyczaj. Na żadnym gościńcu obco mu nie było, gdzie zajechać, jak się opowiadać, wiedział z doświadczenia. Znaczną część drogi przebywać musiał lasami, przeprowadzany od probostwa do probostwa, wymijając gościńce ludniejsze. Nad granicami szczególniej bezpieczeństwa nie było; włóczyły się tu gromady zbrojne, jedne Mieszkowemi się mieniąc, drugie Kazimierza, w istocie tylko chciwe zdobyczy, szukając zwady; wdzierali się i Rusini bezpańscy, Połowców prowadząc z sobą na nieopatrzne dwory, a niejeden kmieć, gdy małą kupkę mógł napaść, gotów był obedrzeć, mszcząc się tego, co od rycerstwa doznawał.

Stachowi to nie było obcem, wymijał więc, uchodził, krył się, nocami często jadąc, a dniem u księży spoczywając, aby się nie dostać w ręce cudze. Pieczęć biskupa krakowskiego, którego diecezja do granicy sięgała, służyła mu za opiekuna.

Szczęśliwie jakoś aż do obozu księcia dobiwszy się, tu, ażby sam nie był zmuszony stawać przez Kazimierzem, Stach udał chorobę, a poselstwo przekazał Wszeborowi i listy mu dał.

Jeszcze przed nim na Ruś doszła była wiadomość, iż w Krakowie ziemianie się burzyli, jakoby przeciw wojewodzie Mikołajowi. Kazimierz niebardzo temu dawał wiary, lekce ważąc sobie. Straszono Mieszkiem, poczytywał to za zmyślenie. Dopiero, gdy Stach przywiózł listy i powieść pewną o tem, co się stało w Krakowie, niepokój wielki ogarnął wszystkich. Rycer-

stwo, wszystko rzucając, natychmiast na odsiecz biec chciało. Nie dano się rozmyślać księciu. Gwałtem niemal chwycono go, aby z Rusią szedł przeciwko zdrajcom.

Nigdy może pośpieszniejszym pochodem, ochotniej i gwałtowniej nie biegło wojsko, nie dając sobie, ni koniom spoczynku. Kazimierzowi szło też i o los miasta, i o żonę a dzieci, pozostawione na Wawelu, który długo bronić się nie mógł. Smutny, modląc się przez całą drogę, mało co mówiąc, Kazimierz jechał, dając się więcej prowadzić, niż sam szedł.

Pochód był dla ziem, które przebywał ciężki, bo nie pytano o prawo, a zabierano, żywiąc się, co na drodze znaleziono. Porozprzęgały się trochę pułki wszystkie, jednym ogłodzonym gościńcem nie mogąc iść, każdy też rad był drugich wyprzedzać, bo gniew i niepokój pędziły. Dopiero zbliżając się ku Krakowu, do jakiegoś ładu Ruś i swoich można było doprowadzić.

Za dworem Kazimierzowym ciągnął i Stach, tuląc się po kątach, aby oka na siebie nie zwracać.

Przybywszy do Krakowa, gdy już nie miał co czynić innego, przywdział zbroję, zabierając się razem z innymi iść do zdobywania dolnego zamku. Zajrzał do dworku Jagny, w którym Hreczyna nie zastał i mało co czeladzi zgłodzonej, a spiżarnie puste i zapasy wypróżnione; wiedział już z wieczora o wszystkiem, co go mogło obchodzić, nawet o zniknięciu Doroty, którą za zginioną miano.

Nazajutrz po spoczynku Rusinów i swoich utrzymać już było trudno, tak się rwali na gród dolny. Oblężeni, domyślając się, iż pod parkany ogień podłożyć mogą, aby ich wykurzyć ze wnętrza, nocą koły i drzewo darnią i ziemią pookładali, wodą oblewali; sposobili się do wściekłej obrony. Lecz łatwo było przewidzieć, że bez silnej odsieczy niedługo się w słabych okopach utrzymać potrafią.

Przygotowań żadnych do szturmu nie potrzebowano, ani taranów do bicia zasieków, ani wież, ani dra-

bin. Okopy świeże, niewysokie, parkany były nierówne, bramy drewniane.

Jeszcze się Kazimierz ociągał z daniem znaku do rozpoczęcia walki, gdy rycerstwo już cisnęło się na wały, tak, że wstrzymać je było trudno. Unikając rozlewu krwi, książę chciał posłać do oblężonych, aby się dobrowolnie poddali. Sprzeciwiano się temu, Kazimierz obstał przy swojem.

Wyprawiono Sieńca, śmiałego człeka i wymownego, z gałęzią zieloną. Ten zaledwie ku bramie się zbliżył, trąbiąc, gdy na wyżkach ukazało się kilkunastu zbrojnych, między którymi łatwo po szerokich ramionach i głowie dużej na krótkim karku Kietlicza poznać było można. Nie dano się Sieńcowi z poselstwa wyspowiadać, gdy kilkanaście bełtów z kusz puszczono na niego, a jeden tak nieszczęśliwie padł, że mu kaftan pod ręką przebiwszy i pod blachę trafiając, w samo serce ugodził.

Sieniec tylko ręką się za piersi chwycił i nawznak padł, a koń z pod niego, ranny kilku strzałami, nazad, krwawiąc, poleciał.

Zatem wrzaski się podniosły z obu stron straszne, swoich i Rusinów żadna już siła powstrzymywać nie mogła; rzucili się nawałem ku okopom, bezładnie, nie patrząc wodzów, wyprzedzając, popychając, tłocząc. Zamieszanie powstało wielkie, w mgnieniu oka wały całe okryły się ludźmi. Zdawało się, że ta ciżba mały zameczek zgniecie i rozniesie. Ale Kietliczowi, którzy dotąd znaku życia nie dawali za parkanami, dopuściwszy ów tłum do samych ścian, cisnęli gradem strzały, bełty, kamienie i bierwiona.

Padło, co stało, najbliżej pobite i pokaleczone, inni po trupach się drzeć zaczęli, wszczęła się walko zacięta, bo gdy jedni miotali głazy i belki, drudzy przez parkan ręczny bój zaczęli toporami, mieczami, oszczepami ku sobie sięgając.

Oblężeni, wiedząc, jaki ich los czeka, bili się rozpaczliwie i zajadle. Co który padł, na miejsce jego darł się drugi, tak, że za parkanami walczący mieniali

się żywiej, niż Kazimierzowi, którym trupy i kłody drogę tamowały.

Na wyżkach za parkanami widać i rozpoznać było można Bolka w całej zbroi z mieczem i Kietlicza, pędzących ludzi, zagrzewających, ciskających strzały.

Walka wrzała zacięta, gdy od Wawelu otwarły się bramy; wojewoda Mikołaj z doborem swoich ludzi puścił się ze swej strony na oblężonych, Kazimierz też rwał się iść koniecznie do boju, bo był takiego serca, iż gdy w jego oczach drudzy walczyli, bezczynnie na to patrzeć nie mógł i jak prosty wojak biegł, życie nastawiając, co i inni wodzowie w owych czasach czynili, aby ludzi przykładem zagrzewać.

Wstrzymali go ledwie ci, co przy nim byli, mówiąc, że nie przyszła chwila.

Stach był w tłumie na przedzie i szczęśliwie dotąd od kłód i kamieni się uchroniwszy, oszczep i miecz dobrze już okrwawił, sam niewiele potłuczony.

W pierwszej chwili zdawało się, że bitwa potrwać długo nie może, a w jednej godzinie wszystko skończy; upłynęło ich trzy, a nigdzie parkanu nie złamano; Kazimierzowi, którzy zrazu parli z wielką zapalczywością, ostygli znacznie, ludu straciwszy dużo, a Kietliczowi nabrali ducha, kilka razy odparłszy szturm.

Trupa na wałach, przygniecionego belkami, zabitego kamieniami, rannych od strzał leżało mnóstwo — część ledwie ściągnięto, aby drogę oczyścić.

Spodziewano się, że oblężonym posiłków zabraknie, ale zawczasu przygotowani, nie szczędzili ich i coraz gęściej sypali. Zaczynano się obawiać, aby w jedną rzucając się stronę, Kietlicz nie przebił się i nie uszedł ze swymi.

Zagrzewali więc pułkowódcy ruscy i swoi, coraz nowe prowadząc oddziały na miejsca słabsze, lecz nigdzie się wedrzeć do środka nie udawało. Widząc to, Stach począł nawoływać, aby podłożyć ogień pod parkany.

Nikomu jednak nie chciało się miecza na żagiew mieniać, a niektórzy wyśmiewali doradcę.

Stach zebrał z trudnością małą gromadkę, która mu się namówić dała, aby z domostw bliższych przenieść susz i smołę. Nierychło udało się naniecić pod drewnianą ścianą ognisko, z którego dym buchnął kłębami. Stach upatrzył miejsce, gdzie dla wysokiego parkanu ludzi było mniej, drabiny kazał nieść i, pęk smolnych pochodni ująwszy, nie czekając na drugich, z niemi się na zasiek drapać począł tak zręcznie i pośpiesznie, iż na wierzch się wdarł, nim się opatrzono... Pochodnie zapalając, ciskać wnet jął na dachy do środka, sam wołając:

— Gore!

W istocie dachy dranicowe poczynały się palić, ale więcej dymu szło na zamek zdołu od kupy chróstu, pod parkanami podłożonej... Dym i wrzask spłoszyły z tej strony Mieszkowych, którzy się cofać zaczęli i uciekać, powtarzając: gore!

Po całym zamku powtarzało się wołanie — Gore! Gore! Gore!

Ci, co się nie lękali śmierci w boju, ulękli się, aby ich żywcem nie spalono. Parkan z jednej strony gorzał, na dachach błyskały płomienie — trwoga ogarnęła obiężonych. Kazimierzowi w tej chwil napadli ze wszech stron i wrota wielkie, bronione słabo — wyłamali. W kilku miejscach tyny pod naciskiem ich powaliły się.

Co się tam działo w tem zwarciu ostatniem, opowiedzieć trudno. Rzeź się poczęła bezlitośna, wiązanie, bicie, pogonie. Dokoła stał lud tak ściśnięty, że nikt uchodzić nie mógł; kto się jednemu z rąk wyśliznął, wpadł na oszczep drugiego. Wielu na ziemię waliło się, udając zabitych, chowając między trupy; tych tratowano i gnieciono, aż gdy z nich dech się dobywał ostatni, dobijającego trup ów za nogi chwytał, kąsał, obalał i słał drugim pod stopy.

Przyboczni już w tej chwili zamieszania Kazimierza utrzymać nie mogli. Wbiegł i on w te tłumy z mieczem podniesionym, przerzynając się na drogę, wiodącą do Wawelu, która otwartą była.

Niektórzy z Kietliczowych, nie mając innego ujścia, straciwszy głowy, na zamek górny zbiegać zaczęli, bo ich tu jeszcze nikt nie hamował.

Zobaczywszy to, Rusini pierwsi w pogoń poszli za nimi i część walki groziła przeniesieniem się na Wawel, z którego był wyszedł wojewoda Mikołaj. Bronić go nie było komu. Mogli Kietliczowi ludzie, broniąc się lub mszcząc, podpalić i mordować tych, co na nim byli.

Krzyknął więc Kazimierz na swoich kilkunastu przybocznych i popędził za Rusinami na górny zamek. Bramę otwartą przebiegł oddział Kietlicza, Ruś za nim i w podwórcach zamkowych, pod oczyma księżnej Heleny, biskupa i resztki dworu, wszczęła się znów walka zacięta.

Kazimierz, biegnąc za nim, postrzegł, że przez drzwi otwarte część uchodzących wtargnęła do kościoła św. Wacława, starając się tam ukryć i drzwi zaprzeć za sobą. Rusini przypadli zaraz i pod naciskiem ich wrota świątyni runęły.

Z przestrachem ujrzał książę, co kościołowi Bożemu groziło, Ruś bowiem nie rozróżniając, co swoje a co nieprzyjacielskie, w pogoni za ludźmi już się na ołtarze rzuciła, chwytając z nich świeczniki i opony.

Na widok ten, przerażony Kazimierz z mieczem podniesionym, z krzykiem ogromnym, jak piorun rzucił się na plądrujących.

Znany głos jego, zbroja, hełm, natychmiast Ruś powstrzymały od rabunku. Lecz, że pomiędzy ławy, za ołtarze, po kątach ciemnych nacisnęło się mnóstwo zbiegów, za nimi się uganiać poczęto i kościół Boży rozległ się jękami, krwią oblewał.

Nim pochwytać uśpiano zbiegłych, których wszędzie znajdowano, dopadł Wszebór do drzwi, wołając, że widziano tu Kietlicza, uchodzącego z nimi.

Pogoń się zaczęła za nim i szukanie po komorach, na strychu, za ołtarzami, we wszystkich kryjówkach kościoła — Kietlicza nie było nigdzie.

Przed wielkim ołtarzem głazem ogromnym za-

mknięte było wnijście do krypty i grobów — książę postrzegł, że wieko stało podniesione, a wnijście otworem. Spuściło się wnet kilku do głębi...

Z podziemia dał się słyszeć krzyk głośny... wywleczono skrytego pod trumną, sprawcę wojny...

Gdy się twarz jego zbladła, z hełmu już obnażona ukazała, a ludzie, ręce mu związawszy, ciągnęli ku górze, stał właśnie Kazimierz nad wschodami i pierwszy raz może w życiu gniew go ogarnął taki, że żelazną rękawicą, którą w ręku trzymał, opoliczkował zdrajcę *).

Wtem nadbiegł kniaź Roman, o Rusinach tu zasłyszawszy.

— Bierz go sobie. Daruję ci za niewolnika tego psa! Weź go sobie! — zawołał książę. — Inaczej lękam się, abym krwi jego nie przelał, a wszystka krew tego łotra nie opłaci ani cząstki tej poczciwej krwi, która się przezeń wylała.

Kietlicz bezmówny już był i bezwładny, twarz blada krwią mu nabiegła od razów, usta miał okryte pianą, ciało poranione, pobitą zbroję, poszarpaną odzież, nogi w ucieczce poodzierane do kości.

Rusini, kniazia wyrok usłyszawszy, natychmiast go pochwycili.

Pozbyto się zaraz z kościoła i jeńców powiązanych i pogoni niepotrzebnej w nim, aby co prędzej oczyścić skalaną świątynię, ku której już zewsząd zbiegali się duchowni, śpiesząc bezsilni na obronę.

Książę Kazimierz upadł na kolana przed wielkim ołtarzem, aby Bogu podziękować za zwycięstwo, ale czasu na długą modlitwę nie było.

Biegli za nim ludzie z doniesieniem, że co żywego zostało na dolnym grodzie zagarnięto w niewolę. Z innymi razem Bolka, syna Mieszkowego i kilkudziesięciu ziemian krakowskich, starszyzny wielkopolskiej, Ślązaków.

---

*) Historyczne.

Mikołaj wojewoda, który razem z tą wiadomością przybył do księcia z całym jeszcze nowym gniewem, stary odżywiającym, wolałby ze zdrajców nikomu nie darować żywota, ścinać wszystkich i wieszać!

— Zostawcie to mnie — przerwał mu Kazimierz niemniej gorąco; — dajcie czasu do rozwagi i namysłu. Życia nikomu brać bez wyroku mego nie dozwalam. Zabierajcie, zamknijcie, lecz włos niema spaść z ich głowy beze mnie. Bolka na zamek niech tu dadzą.

Miecz do pochew włożywszy, Kazimierz, otoczony towarzyszami, szedł na dworzec, w którego drzwiach widać było zdala oczekującego nań biskupa, księżnę i dzieci.

Oblicze Pełki zarumienione było radością zwycięstwa, do którego on i brat tyle się wytrwałością swą i męstwem przyczynili. Powitanie było rzewne, a księżna, która z trwogi jeszcze ochłonąć nie mogła, łzami się ciągle zalewała. Dzikie wrzaski i jęki konających brzmiały jeszcze w jej uszach śmiercią.

U wnijścia cały dwór, wybiegłszy, witał, za kolana ściskając księcia. Stał i Goworek, nawpół smutny, wpół rozweselony, którego po biskupie, żonie i dzieciach pierwszego uścisnął Kazimierz.

— Zażyliści i wy biedy czasu tego oblężenia — odezwał się, — alem ja przybyć wcześniej nie mógł, choć dniem i nocami śpieszyłem.

Gwarno opowiadać zaczęto, wszyscy społem, co się na zamku osaczonym działo, co w mieście, narzekano na zdrajców, a wojewoda Mikołaj piosnkę swą powtarzał, że surowości teraz zażyć było trzeba i nie litować się nad winnymi, aby się to nie powtórzyło. Na ziemian nastawał najwięcej, jak tak dobrotliwego pana zdradzić mogli.

Wspomniał biskup, że posła stąd odprawił, nie mówiąc kogo, a Kazimierz przyznał, że to powrót jego przyśpieszyło. Chciał zaraz wiedzieć, który był, co życie ważąc z zamku się wymknął i do wojska przedzierał, aby go nie minęła nagroda, ale biskup, zamilczawszy, o czem innem zagadał.

Stach, który przy zażeganiu zamku popalił się i odniósł kilka ran, gdy wszystko się skończyło, pomyślał dopiero o sobie i do swego dworku się powlókł. Szczęściem był on trochę odległy, boby go Rusini, jak innych nie oszczędzali, choć tam już mało czem się pożywić mogli po Mieszku. Zaledwie zdjąwszy z siebie kaftan poszarpany i zbroję potłuczoną, zabierał się lec na łoże i spocząć, w sieni dał się słyszeć głos lękliwy, natarczywie domagający się wpuszczenia.

W progu ukazał się blady Juchim. Czatował widać na powrót Stacha, krokiem niepewnym zbliżył się do leżącego i, kłaniając się, stał przed nim.

Stach zuchwalstwu temu wydziwić się nie mógł, zerwał się oburzony z pościeli i, ukazując na drzwi, krzyknął:

— A idźże ty mi stąd precz, zdrajco bezwstydny!

Juchim ten wybuch zniósł spokojnie.

— Co to zdrajco? Jaki ja zdrajca? — odparł. — A! nie gniewajcie się! Na co to gadać takie rzeczy!

I z głębi piersi odetchnąwszy, dodał:

— Ja już widziałem naszego księcia i pokłoniłem się jemu, ja mu powiedziałem wszystko, jak było... Cóżem ja miał robić? Wojować z mojemi staremi rękami!...

— Idźże teraz z niemi, gdzie chcesz — rzekł Stach, — a mnie spokój zostaw!

— A! słoweczko tylko — rzekł Juchim. — Wy wiele możecie u biskupa, a biskup może wszystko u księcia... Niech mnie mennicy nie odbierają! A kto im lepiej zapłaci i lepsze pieniądze z czystego srebra bić będzie?

Stach nie odpowiedział nawet, odwrócił się tylko. Żyd stał uparcie.

— Za co wy macie nastawać i gubić starego Juchima?

— Ani gubić, ani zbawiać cię nie myślę — rzekł Stach porywczo, — ani dla siebie, ani dla drugich nic nie chcę, o nic nie proszę... Idź z tem do innych.

— Wyście powiedzieli, że Juchim zdrajca —

ciągnął Żyd, nie zważając; — to jest złe słowo, straszne słowo! Kogo on zdradził? Samego siebie chyba, kiedy do tego nieszczęśliwego kraju noga jego stąpiła?

Nie otrzymując odpowiedzi, Żyd mruczał, kręcił się, nie odchodził, wreszcie, zagadując o tem i owem, natrącił o Mierzwie i cicho spytał, co się z nim stało?

— Jeżeli go nie powiesili — rzekł Stach, — to spodziewam się, że to wkrótce nastąpi.

— A! niech go sobie wieszają! Co mnie do tego? — zawołał Juchim. — Pytam o niego, bo on mi winien dużo... To jest zdrajca! On wszystkiego nawarzył!

Zbyć się Żyda nie mogąc, Stach okrył głowę i udał usypiającego; jakoż Juchim, postawszy trochę, odszedł, a nim do wrót się dostał, znużonego objął już sen głęboki z marzeniami gorączkowemi.

Nad ranem książę Kazimierz poszedł do swej komnaty. Z okna jej był widok na Wisłę ku murowance, której ściana jedna szarzała pośród drzew zielonych. Książę spojrzał w tamtą stronę. Niegdyś Jagna dawała mu stamtąd znaki, gdy pilno jej było powołać go do siebie. Naówczas w oknie, u którego siadywała, wywieszała kobierczyk szkarłatny, który zdala na murze widać było.

Oko Kazimierza, nawykłe do tego miejsca, które on zajmował, rozeznawało łatwo, gdy był rozesłany. I teraz zdało mu się, że kobierczyk u okna było widać. Lecz mogłaż Jagna już się tam znajdować?... Służąca może niebaczna zawiesiła, nie wiedząc, co robi. Może oczy go łudziły. Serce mu uderzyło.

— Miałażby powrócić?

Smok leżał ranny u drzwi na posłaniu, rękę miał zgruchotaną ciężkim razem obucha.

Książę sam poszedł do niego. Na widok pana zerwał się stary sługa tak żywo, jakby o chustach, któremi miał poobwiązywane ramię i dłoń, zapomniał.

— Co wam, ojcze, trzeba od Smoka? — zapytał troskliwie.

— Tyś ranny!

— Jaka to tam rana! — odparł Smok. — At, rękę trochę zgnietli.

Patrzał mu w oczy pilno, chcąc z nich coś wyczytać.

— Kobierczyk wisi w oknie — szepnął książę, — miałażby do murowanki powrócić?

Smok natychmiast wybiegł.

Kazimierz wrócił, siadł, patrzał oknem i usnął tak znużony.

Dzień już był jasny, gdy Smok powrócił; zajrzał do komory księcia, zobaczył śpiącego i sam się położył, a gdy Kazimierz wstał, wiedział już, że Jagna była zpowrotem w domu.

Hreczyn, który przybył do dworku, oznajmił o tem Stachowi, ale rozpytywany, gdzie się ukrywali przez ten czas, mruczał ni to, ni owo, ramionami dźwigając.

Nazajutrz Wichfried też skorzystał z wolnej chwili, aby się przekonać, co się stało z Dorotą. Słabość miał do niej.

Najpewniejszym był, że gdy Mieszek Kraków zajmował, bracia ją pochwycić musieli. Z ich rąk żywą nawet opieka Kazimierza wydobyć jej nie mogła.

Wchodząc na próg domostwa, zajmowanego przez Dorotę w myśli się tej utwierdził. Znać tu było przejście żołdactwa i gospodarstwo nieprzyjaciół. W sieniach leżała słoma i siano, na których niedawno spoczywać musiała kupa ludzi, drzwi stały otworem, w izbach dawnego ich przybrania i sprzętów śladu nie było.

Przechodząc je, ze zdziwieniem postrzegł Wichfried w trzeciej dwie służebne Doroty, obdarte i wybladłe, krzątające się około drzwi ostatniej komory, która stała zamknięta. Zobaczywszy Wichfrieda, wydały okrzyk radosny. Jedna z nich otwarła drzwi zaraz, wskazując mu, by wszedł.

Komora stała we mroku, okna były pozasuwane i Wichfried jeszcze nie mógł tu nic dojrzeć, gdy z kąta głos, wymawiający imię jego, oznajmił, że Dorota tu

była. Jej to był głos, choć osłabły bardzo i zmieniony. Nierychło, przystąpiwszy bliżej, zobaczył ją na łożu leżącą, bladą, wychudłą, z oczyma tylko błyszczącemi, jak dawniej. Włos rozpuszczony, poplątany w nieładzie, spadał jej na ramiona, których kości z pod skóry zżółkłej wystawały.

Gdyby nie ten głos i oczy, nie poznałby był jej może; nie śmiał zapytać, co się z nią działo.

Wdowa, dysząc gorączkowo, nie mogła się zebrać na słowo.

— Jakżeście się potrafili ocalić od braci? — zapytał.

— Cudem prawie! — odparła cicho Dorota. — Uciekłam zawczasu z domu! Widziałeś, co z niego zrobili! odarli mnie, zniszczyli! Czatowali tu, azali nie wrócę, alem była dobrze ukryta! O! tak dobrze! O chlebie i wodzie na wyżkach, na zgniłem sianie, przez szczeliny dachu patrząc na miasto w wiecznej obawie, aby mnie i tam nie pochwycono... Patrz, co się stało z Dorotą. Skóra i kości. Głód, niepokój, niewczasy, zimne noce, choroba. Jedna stara Czechna miała litość nade mną, żywiła mnie, leczyła, jak mogła... Bez niej umieraćbym musiała.

Rozpłakała się i wnet z żywością niewieścią a dziecinną poczęła:

— A! to nic, przeszło wszystko, siły mam jeszcze! To nic! Odżywię się, spocznę. Krasa moja powróci! Czechna ma na to sposoby. Nie opuszczajcie Doroty, mówcie księciu, niech zdrajców braci ukarze... Niech gardła dadzą! Oni nań zbierali ziemian, oni knuli z Mieszkiem. Niech gardła dadzą! — zaczęła, łzy znowu roniąc nad sobą, a usta się jej nie zamykały. Wichfried patrzał i słuchał z politowaniem.

— Nie ocaliliście nic z tego, coście mieli? — spytał.

— Ani jednej sukni, ani jednego łachmana — mówiła wdowa. — Leżę na barłogu... Zlitujcie się nade mną, ratujcie!

Zmieniła znowu tok rozmowy.

— O, bylem spoczęła, Dorota znowu piękną będzie! — wołała gorączkowo. — Zobaczycie! Życie w sobie jeszcze czuję, wszystko powróci. Książę też powrócić mi musi, albo żyć nie będę.

Plotła tak długo, aż wkońcu Niemiec oddalił się, obiecując pomoc. Wróciwszy na zamek, przy pierwszej zręczności szepnął księciu o losie Doroty, litując się nad nią. Kazimierz, prosić się nie dając, odesłał go do skarbnego, aby dom i ją zaopatrzono, ale słuchać nie chciał i, imienia nawet nie wymówiwszy, odwrócił się. Wspomnienie nawet było mu przykre, wstręt i srom malował się na twarzy.

VII.

Wojewodę Mikołaja zwano żelaznym mężem, nazwać go też było można kamiennym, bo raczej się skruszyć dał, niż ugiąć. W bracie jego, biskupie Pełce, łagodziła tęż samą krew i umysł nieugięty miłość chrześcijańska i przytomna pamięci jego w każdej dnia godzinie nauka Chrystusowa. Choć pobożny, Mikołaj więcej był rycerzem i żołnierzem, niżeli chrześcijaninem. W nim mieszkał jeszcze stary jakiś szczątek pogańskiego ducha.

Natychmiast, po otrzymanem zwycięstwie, wojewoda zapowiedział pomstę nieubłaganą, surową karę na winnych. Nie byłby zwłóczył z tem i wziął odpowiedzialność na siebie, lecz pierwszego dnia Kazimierz stanowczo mu oświadczył, iż wymiar sprawiedliwości sobie zostawia. Wojewoda ulec musiał, w duchu klnąc się, iż stanie wbrew księciu i winnym przebaczyć nie da.

Nazajutrz zbyt jeszcze wiele miano do czynienia, aby się zajmować losem jeńców. Tylko losem jednego Kietlicza rozporządził książę, oddając go w niewolę Romanowi.

Wojewoda mruczał na to, wyrzekał, chcąc go natychmiast powiesić, myśleć nawet nie mógł o tem, aby z życiem uszedł ten, którego on obwiniał o wszystkie

Mieszka knowania i spiski. Inni więźniowie wszyscy, nie wyjmując Bolesława, siedzieli na zamku jeszcze, gdzie i ziemian krakowskich kilkudziesiąt z owych siedemdziesięciu liczono.

Bolko, najstarszy z synów z drugiego małżeństwa Mieszkowego, najulubieńszy mu, młodzian dzielny, silny i mężny, szedł w sprawie ojca więcej jako wojak, boju chciwy, niż jako zdobywca i nieprzyjaciel stryja. Tak samoby może był wojował pod wodzą Kazimierza z Pomorzany lub Prusakami, bo mu wojna smakowała. Nie było w nim jeszcze namiętności innej, oprócz bojowej i rycerskiej. Bił się też do ostatka wściekle, zbroję miał na sobie połamaną, ciało okryte sińcami, ran kilka, a uśmiechał się jeszcze na wspomnienie tych, którym się śmiertelnemi ciosami odpłacił. Rozpamiętywał walkę wczorajszą, jak łakomiec ucztę jaką. Teraz mu już było jedno, co z nim stryj postanowi. Gotów był znieść los najsroższy, o jedno stojąc, aby oka nie zmrużyć, nie wydać jęku, nie okazać się słabym. Zostawiony sam sobie, rzucony na słomę — myślał dość obojętnie, jaką męczarnią go ukarzą. Śmierci się nie bał, tylko wyłupienia oczów, bo kalectwo w młodym wieku gorsze nad nią mu się zdawało. Rękę jedną dałby był chętnie za tych oczu dwoje. Więzienie też ciemne, smrodliwe, w któremby mu kazano gnić, grozę w nim budziło.

Na wspomnienie ojca, braci, życia, swobody, wojny łza mu się w oku czasem kręciła, ale płacz rycerskim nie był — i poświstywał, aby ukryć ból i uśmiechał się gorzko.

Gród i trupy razem miał pożreć ogień. Dokoła stojące gromady podrzucały chróstu i suszu, pilnując, by się ogień dalej nie szerzył. Powietrze było spokojne, dym rozpływał się i unosił do góry słupy ogromnemi. Co gdzie stało jeszcze, waliło się z łoskotem, od dołu podgorzawszy, iskry podskakiwały do góry i gasły w powietrzu.

Gdy z jednego okna Bolko spoglądał, wzdychając nad losem ojca i swoim, z dwu innych, szeroko roz-

tworzonych, przyglądali się pożarowi siedzący na radzie: Kazimierz, biskup Pełka, Mikołaj wojewoda, Goworek, Jaksa i kilkunastu starszyzny. Nieco na uboczu siedział kniaź Roman, jakby do narady mieszać się nie chciał i uśmiechał się pożarowi.

Biskup pilno badał twarze księcia, brata swojego i otaczających, czytając w nich, co się w sercach działo. Mikołaj już od godziny począł sprawę wymownie, gorąco obstawając przy tem, że kara surowa na zdrajców była niezbędna dla postrachu i przykładu.

— Miłościwy książę — mówił, — gdyby rodzony brat mój znalazł się pomiędzy jeńcami, Bóg świadkiem duszy mojej, nie żywiłbym go, nie prosił za nim, dałbym winną głowę pod topór. Surowości w tem państwie potrzeba, bo się wszystko rozprzęga. Prawo Boże nie sprzeciwia się karze zasłużonej. Oni nastawali na gardło wasze, na życie, na prawa, na władzę, na skarby, oniby wam nie przepuścili, im się nie godzi przebaczyć.

Ziemianie, za nim stojący, jużto dla przypodobania mu się, już aby dowieść, że ze zdrajcami nic ich nie łączyło, choć książę milczał, potakiwali surowemu Mikołajowi. Jak skoro on przestawał mówić, szmer i urywane słowa wtórowały karę surową, nieubłaganą. Kazimierz słuchał, biskup oczy to na brata, to na niego obracał.

— Porwali się na nas, nic to jeszcze — ciągnął wojewoda, — nie bunt to był, ale wojna! Gorzej, że knowali, sprzysięgali się, zaręczali wierność, a obmyślali zdradę. Porwanie się z orężem, krewkością ludzką można rozgrzeszyć, niepoczciwość o pomstę do niebios woła. Całowali nas pocałunkiem judaszowym, zaklinali się krzywoprzysięstwem. Ślubowali wierność, kopiąc doły. Topór i pieniek, to ich nagroda.

Mruczano, że śmierci winni, gdy ks. Kazimierz, który słuchał cierpliwie, ręce do góry podnosząc, zawołał:

— Miły mój! miły mój! Dość już tych słów krwawych. Winni są, a myżeśmy bez grzechu? Cóż, gdy

Bóg nas za winy nasze tak srodze karać zechce, jak my ich? Przypomnij codzienną modlitwę o win odpuszczaniu! Chrystusowa to nauka, a myśmy dzieci tego Pana!

Wyrzekł to z zapałem wielkim, iż wszyscy, wojewoda nawet uczuł się przejęty. Czoło mu promieniało, zwrócił się ku biskupowi, jakby Chrystusowego ucznia i kapłana na świadectwo wzywał. W tym samym czasie spojrzał wojewoda na brata, oba te wzroki, między któremi biskup miał rozstrzygać, tkwiły w nim.

Pełka, chwilę jakby niepewien, zdawało się, że duszną odmawiał modlitwę, twarz blada oblała się rumieńcem, oko otwarło — zwyciężyło w nim to, co zwyciężyć było powinno — słowo Chrystusa.

Wstał natchniony i począł głosem uroczystym, zwracając się do brata:

— Bracie mój! dziecko moje! Niedobre są rady twoje, choć serce twe dobre jest! Nie godzi się, aby miejsce miłości w rodzinie zastąpiła surowość, szlachetniej dobroczyńcą jest być, niż mścicielem. Zwycięski Pyrrus, pokonawszy Rzymian, odesłał do Rzymu bez okupu dwóchset żołnierzy pojmanych, aby ci, co męstwo jego poznali, wspaniałomyślności się też nauczyli. Aleksander Wielki, wojując z Persem, gdy go ujrzał tak znękanym, iż pokarmu przyjmować, ani ran goić nie dawał, czcząc męstwo duszy, nazad jeńca do domu odesłał. Tysiące takich przykładów przywodzą dzieje. Czytaj o Elizeuszu, Joramie, jaką dał radę prorok. Bóg dał ich w ręce nasze, aby cnotę naszą wypróbował.

Kazimierz, usłyszawszy wymowne słowa, rzucił się z siedzenia ku biskupowi i z największą radością, obejmując go, po rękach całować zaczął.

— Bądź mi błogosławiony, ojcze! — zawołał w uniesieniu. — Z serca mi wyjąłeś pragnienie, zgadłeś myśl moją — tak! Przebaczeniem ich zwyciężym!

Wojewoda rzucił się, jakby mu cios zadano.

— Przeciwko kapłanowi i ojcu duchownemu — zawołał — nie godzi mi się zdania mojego bronić. Kapłan

inaczej mówić nie może, lecz na Boga, inne prawo duchowne a rycerskie i świeckie, a królewskie! Znajdziecie przykłady łaskawości, postawię wam inne surowości!

— Bracie! — przerwał biskup — strzeż się, abyś, rozróżniając prawa, w błąd nie popadł i duszy swej nie zgubił. Niema dwóch praw na świecie — jedno jest tylko, bo co się z Ewangelją nie zgadza, bezprawiem jest i pogaństwem.

Mikołaj zwiesił głowę na piersi.

— Zaprawdę — rzekł kwaśno, — przeciw panu naszemu dobrze jest bunt podnosić. Uda się, to się zyszcze, nie uda się, to przebaczy. Czemuż źli ludzie próbować nie mają?

Westchnął ciężko.

— I Kietlicz ujdzie z życiem?

— Kietlicz mój — odezwał się kniaź Roman z kąta; — o niego wy bądźcie spokojni, ja mu zawdzięczę, jak zasłużył.

— A Bolko? — spytał Mikołaj. — I ten wolnym ma być?

— Ten tembardziej zasługuje na uwolnienie, że szedł nie po woli własnej, ale za rozkazem ojca — odezwał się książę; — bratankiem mi jest, krew moja. Rychlej rozbroję Mieszka, gdy go puszczę, niż gdybym go dał ściąć lub trzymał w niewoli. Wszyscy jeńcy pójdą wolni — dodał. — Przebaczam wszystkim!

— I siedemdziesięciu zdrajcom, co spiskowali? — dodał wojewoda.

— Wszystkim, wszystkim! — począł Kazimierz i, usiłując rozbroić gniewnego wojewodę, poszedł go uściskać.

— Mikołaju, druhu mój — zawołał, — nie sprzeciwiaj się głosowi Bożemu, który słyszałeś z ust brata. Bóg daj nam szczęście, my dajmy miłosierdzie!

— Amen! — dokończył biskup.

Wojewoda dokoła potoczył wzrokiem; milczeli wszyscy, Kazimierz powracał na swe miejsce, on powolnym krokiem opuścił izbę obrad.

Książę natychmiast przez drzwi otwarte skinął na stojącego wdali Wichfrieda.

— Bratanka mi tu prowadź! — rzekł wesoło.

Niewielka przestrzeń dzieliła dworzec od domu, w którym Bolko był osadzony. Gdy Niemiec wszedł do izby, w której leżał młodzian, nie znający go, ledwie głowę doń zwrócił.

— Wstawajcie — rzekł Wichfried, — pójdziecie za mną.

Jeniec opierać się nie mógł, zawahał się, dumnie spoglądając, dźwigał się leniwo i niechętnie i, jak stał w podartym kaftanie, płaszcza poszarpanego nie biorąc, posłusznie skierował się ku drzwiom.

Wichfried nie mówił nic, z twarzy też jego trudno było co odgadnąć.

Zdziwił się, wychodząc Bolko, że go straż nie otoczyła — szedł wolno. Przejście przez kawał podwórca, pełnego butnych rycerzy, dla zwyciężonego było bolesnem. Szedł, nie słuchając i nie patrząc. Nie wiedząc, dokąd go wiodą, domyślał się innego więzienia, albo sądu. Zbroił się męstwem.

Tłumy dworzan napełniały izby, Niemiec wskazał mu drzwi. Były one wpół otwarte; rzuciwszy w nie okiem, ujrzał więzień Kazimierza, biskupa i radnych — spodziewał się sądu. Na próg wchodząc, sposobił się stawić hardo, gdy książę z uśmiechem na ustach podszedł do niego, rękę wyciągając; głos mu drżał.

— Chciałem ci sam oznajmić, że jesteś wolny — rzekł. — Wracaj do ojca twego jako świadek, że ja zemsty nie pragnę, że serce mam dla was braterskie, dla ciebie ojcowskie.

Bolko stał niemy, ledwie mogąc zrozumieć i uwierzyć temu, co słyszał. Zwolna podniósł oczy zdziwione. Męstwo i duma opuściły go, z niedowierzaniem spojrzał na stryja, który obie ręce do niego wyciągnął. Widząc, że Bolko się nie rusza, przystąpił sam, aby go uścisnąć.

Młodzian nagle uczuł się rozrzewnionym, sam nie wiedział, jaka siła ugięła mu kolana, ale Kazimierz nie

dał mu się schylić i, pochwyciwszy, do piersi przycisnął. Wtem, ujrzawszy go tak pobitym i oszarpanym, zawołał na Wichfrieda.

— Miły mój, od tej chwili to gość nasz! Prowadź go do łaźni, rany niech mu zawiążą, okryjcie go, jak bratankowi memu przystało, nakarmcie — niech spocznie, a potem niech do mnie powraca!

Stał jeszcze oniemiały Bolko, gdy Niemiec łagodnie go ujął pod rękę i wyprowadził. Kazano przywołać innych jeńców, do których biskup miał przemówić surowiej, oświadczając im łaskę, a karcąc i wzywając do pokuty.

Takiego końca tej wojny zaprawdę nikt się nie spodziewał. Zajadłość, z jaką się broniono na dolnym zamku, krew, którą zdobycie jego kosztowało, kazały się obawiać surowego odwetu. Gdy biskup ogłosił wszystkim przebaczenie i oswobodzenie, po chwili osłupienia wyrwały się im okrzyki na cześć Kazimierza. Niektórzy przybiegli do nóg jego i biskupa.

Dzień to był piękny dla księcia, którego serce otwierało się z rozkoszą miłosierdzia.

Nie wszyscy jednak wiadomość tę przyjęli równie radośnie, jak ci, których ona wyzwalała z więzów; Mikołaj i wielu z nim szemrali, chodząc chmurni; poczytywali to za błąd wielki.

Nie zbywało na zazdrosnych, gdy wieczorem Bolko za stołem był posadzony przy stryju, a Kazimierz, o wszystkiem zapomniawszy, przyjmował go jak bratanka, obdarzył go i, przewidując, że ojciec o los ukochanego syna niespokojnym być musi, następnego dnia, opatrzonego we wszystko, wyprawił do Poznania.

Ogłoszone powszechne przebaczenie rozeszło się zaraz po mieście. Po ulicach ze zdumieniem zaczęto opowiadać, co łaskawy książę uczynił. Wieczorem już ci, co byli znikli ze strachu, zjawiać się poczęli, pokazał się w domu swym starosta Warsz. Ślubował tylko, że więcej urzędowania żadnego się nie podejmie i żyć chce, Boga chwaląc, spokojnie.

Juchim także dowiedział się o tej łasce pańskiej,

a na nim ona wrażenie uczyniła niespodziewane — korzystał i on z miłosierdzia — ale znajdował je dziwnem! Wiara jego, która głosiła zemstę, ząb za ząb, oko za oko, z powolności tej wskazywała mu słabość i ślepotę. Miał pewien rodzaj wzgardy dla ludzi, którzy, siłę mając w ręku, mogąc się pomścić — użyć jej nie umieli. Uśmiechał się sam do siebie, potrząsając ramionami. Doszedł w myśli do tego przekonania, że Mieszek nad ludźmi tak nierozumnymi kiedykolwiek przewagę mieć będzie. Dla niego było to wskazówką, aby na wszelki wypadek zapewnił tam sobie opiekunów. Przyszedł mu zaraz na myśl Mierzwa, uwięziony na zamku.

Zdało mu się niezłą rachubą pomóc zapomnianemu do uwolnienia i na przyszłość mieć w nim znowu sprzymierzeńca. Przezorny człek myślał już o jutrze. Łagodny pan, według niego, długo trwać nie mógł.

— Nie! nie! — powtarzał w duchu, — oni tu panować nie będą!

Nazajutrz Juchim na zamek się udał, nie obawiając się już wcale, i wyszukał Wichfrieda, któremu czasem pieniędzy pożyczał.

— Miłościwy panie! — rzekł — dobrotliwy książę nasz wszystkim przebaczył z wielkiego serca swego. Tam siedzi jeszcze biedaczysko, którego posądzono, a on nie zawinił nic, tyle tylko, że do Krakowa tęsknił i przybył tu nie w porę. Niech go wasza miłość wypuścić każe.

Niemiec natychmiast poszedł do księcia i uzyskał bez trudności rozkaz uwolnienia. Dodano Juchimowi komornika z poleceniem, aby Mierzwę puszczono. Zaledwie się o niego dopytać potrafili.

Mierzwa, zamknięty do ciemnicy, zapomniany, już był prawie nadzieję życia i swobody utracił, choroba go złamała. Gdy Juchim wszedł do izby, znalazł go ujętego snem niezdrowym na garści słomy. Cień to był dawnego człowieka, ale iskierka nadziei dokazała cudu. Dźwignął się, zbierając łachmany swe, całując Juchima po rękach, bo jemu przypisywał swe uwolnienie.

Dopiero na powietrze wyszedłszy, osłabł znowu i Żyd go musiał pod rękę do dworku swego prowadzić.

Po drodze ludzie tego Łazarza, z głową na piersi zwisłą, wyżółkłego, sczerniałego, do trupa podobnego, ze wstrętem sobie pokazywali palcami.

Samarytanina czyn spełnił na nim Juchim, choć nie z miłością jego, ale z rachubą na przyszłość przezorną. Mierzwa, zaledwie odżywiony i wypoczęty, wnet do Poznania schronić się miał, niosąc z sobą wdzięczność dla Juchima i poprzysięgając mu wierną usługę.

Mierzwa, gdy się dowiedział o wszystkiem, co się tu stało, choć milczał ze strachu, nie rozpaczał o przyszłości dla Mieszka. Jedna rzecz go trapiła, to los Kietlicza, bez którego książę obejść się nie mógł, a zastąpić go było trudno.

Oba z Juchimem ufali w to, że zręczny człek i z ruskiej niewoli wyrwać się, albo wykupić potrafi.

W kilka dni później dopiero Stach także Mierzwę sobie przypomniał i pobiegł na zamek dowiedzieć się o niego. Tu i o uwolnieniu go i o pośrednictwie Żyda mu powiedziano. Strwożyło to Stacha, który zafrasowany, z żalem do biskupa się udał.

Pełka przyjął swego wiernego sługę łaskawie i z dobrą myślą. Gdy wybladły i znękany ukazał się w progu, wyciągnął rękę i błogosławił.

— A czegóż to tak zasępiony przychodzisz — odezwał się, — kiedy się cieszą wszyscy ze zwycięstwa, że spokoju i skończonych zatargów braterskich? Co ci to jest?

— Cieszyłbym się i ja — odparł Stach, — tylko dla złych łaska zbytnia, to ich uzuchwali. Bóg daj, byśmy dobroci pana nie opłakiwali.

Począł zatem opowiadać, jak już ci, co niedawno drżeli i truchleli, pocichu żarty stroili z miłosierdzia i lekceważyli tego, co je wyświadczył. Narzekał Stach na przebaczenie staroście, Juchimowi i Mierzwie.

Biskup się uśmiechnął z początku, starając zbytnie troski Stacha okazać przesadzonemi. Wkońcu jednak,

gdy się przybyły wytłumaczył obszerniej, zgodził się na to, iż czujność była potrzebną.

— Zatem patrz, czuwaj, nie przestawaj stać na straży — dodał biskup.

Chciał dlań uzyskać u księcia jakąś nagrodę, choćby Zaborowi z Przegaju wyjednać ją obiecując, ale Stach odmówił.

— Ojcze mój! — odezwał się — jam nagrodę wziął naprzód za cały żywot mój. Wszystkobym stracił, gdybym inną jeszcze otrzymał. Pokutą być musi życie do zgonu. Gdy mnie Bóg do siebie powoła, naówczas objawicie panu, jakem mu służył i wdzięczen był.

Postanowiono więc po krótkiej naradzie, aby Stach, nie oddalając się, jak dawniej, pilne miał oko na ludzi podejrzanych. Chciał biskup umieścić go przy bracie swoim, Mikołaju, lecz swobodnym być pragnąc, i tego Stach odmówił.

Wrócił do dworku niezbyt rad z tego, co się działo. Pomimo największej chęci zajęcia się czemś, śledzenia, Stach teraz nie mógł znaleźć roboty. Ucichło dokoła i Mieszek nawet jawnie nic nie przedsiębrał. Siedział więc w samotnem schronieniu, za całą mając pociechę, że częściej, niż dawniej, do kościoła chadzał, a dłużej się mógł modlić. Wiek czynił go coraz pobożniejszym i surowszym dla siebie. Nie zostawało mu już nic w życiu, tylko się dowlec do tego proga, do którego zdało mu się, że nie jest już dalekim.

Niekiedy rozmyślał o Jagnie, która rzadko dawała znak życia. Był czas, iż mu się marzyło, że Kazimierz opuścić ją może, a on opiekować się nią będzie. Nadzieja ta teraz była coraz słabszą.

VIII.

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków.

Kraków cały wybiegł na spotkanie zwycięskiego pana, który powracał z wyprawy przeciw pogańskiej Jaćwie.

Wojna to była, przypominająca czasy bohaterskie

Krzywousta, walka z dziczą, w kraju niedostępnym, ze zdradą na każdym kroku. Dziś poddawał się Drohiczyn, jutro ci, co wierność poprzysięgli, zasadzali się na wracających spokojnie, aby ich wybić w lasach i moczarach. Kazimierzowe wojsko wśród błót, topielisk i gąszczy zgniotło dzicz i rozpędziło.

Witano Kazimierza, zwycięzcę.

Nic nie zdawało mu się braknąć do szczęścia, nikt nie śmiał się porywać na niego, rodzina siedziała cicho na udziałach, Mieszek nawet dochowywał danego słowa, pokój panował w kraju i na rubieżach. Kupcy ciągnęli z ziem dalekich, łany złociły się zbożem, kmieć oddychał, chwała Boża rosła, wznosiły się kościoły, uczeni mężowie przychodzili z zagranicy i rodzili się w domu. A na obliczu tego szczęśliwego pana poza łagodnym uśmiechem widać było wiekuisty ów smutek dusz wybranych, których ten świat nakarmić, ani napoić nie może, a żadne szczęście nasycić. Tęsknica zawsze biła z twarzy pięknej, spokojnej, malującej ukojony ból wewnętrzny.

Gdy przeciwko zwycięskiemu panu wyszło duchowieństwo z biskupem na czele, witając go pieśnią dziękczynną, Pełka spojrzał nań, spodziewając ujrzeć rozpromienionym, a znalazł na obliczu to, co wyniósł z Krakowa. Rycerstwo śpiewało pieśni, powiewało chorągiewkami, niewiasty, stojąc szeregami, klaskały w dłonie, dzwony biły, lud się weselił. Kazimierz jechał w płaszczu białym z krzyżem, który wziął na pogan, z głową spuszczoną, uśmiechający się ledwie tym, co go witali, zadumany, chmurny, jakby nie ze zwycięstwem powracał.

Na zamku czekała z dziećmi księżna, złotowłosego Leszka trzymając za rękę, cały dwór świetnie przybrany, komornicy, czeladź, lud mnogi.

Oko pańskie błądziło po okolicy i ukradkiem biegło za Wisłę do okienka, chcąc dojrzeć, czy tam jest znak życia? Nic nie było widać. Okno stało zamknięte, krasny kobierzec nie zwieszał się na murze. I tam przecież

dochodziły dźwięki dzwonów i stamtąd widać być musiało na zamku powiewające proporce.

W kościele św. Wacława hymn odśpiewał sam Pełka, książę modlił się u relikwij i wstał z dziećmi i żoną, pieszo idąc do zamku. Ale szedł milczący i uśmiechnięty tak smutnie, że ludzie go sobie pokazując, szeptali iż go tak poleska dzicz zmęczyła wyprawą.

Rycerstwo rozkładało się obozem, szło w miasto rozpowiadać o Jaćwie dzikiej, która w powrocie o mało nie wzięła im życia... Niejeden płacz rozległ się wśród okrzyków, bo niejedna mogiła została w lasach Polesia.

Stach, który przesiedział ten czas w Krakowie na posługach biskupa, wywlókł się także na spotkanie znajomych, na rozpytanie o krwawą wyprawę.

Wśród tłumu, który wysypał się na spotkanie księcia, zobaczył Dorotę strojną, wybieloną, która, ażeby przejeżdżający pan ją widzieć musiał, na wozie, umyślnie sprowadzonym i wysoko wysłanym, stała, górując nad wszystkimi, uśmiechając się, chustą powiewając i obwołując Kazimierza.

Książę też, gdy nad drogą, którą przejeżdżał, miejsce obrała, widzieć ją musiał, litość go wzięła snać, gdy uśmiechnął się jej, głową skinąwszy.

Z radości zarumieniła się cała, zapomniała, że na nią tyle oczu patrzało, podwajając wołanie i wiewanie chustą, aż ludzie się jej dziwili i naśmiewali. Prawda, że wśród rycerstwa miała wielu innych, dobrze znajomych i przyjaciół, którzy też ku niej głowami ukłony słali i od ust posyłali pozdrowienie. Była bo znowu piękną, kwitła drugą młodością urodziwa niewiasta, a śladu lat i tego, co przeżyła, nie było na niej dopatrzeć.

Gdy wojska przeciągały, a wóz z nią potoczył się do dworu, na drodze miała Dorota jeszcze niespodziankę. Bracia jej, Dobrogost i Sędziwój, którzy dla okazania księciu posłuszeństwa, na wyprawę przeciw Jaćwie z nim pociągnęli, w ulicy się z siostrą spotkali. Wymijać wóz jej musieli. Oba przejechali koło niego, ledwie

się obejrzawszy, plując z pogardą za nią. Sto oczów na to patrzało. Dorota spłonęła, nie rzekła nic.

Gdyby nie ten dzień, nie miasto, kto wie, na coby się bracia z Tęczyna ważyli. Lecz za dużo było ludzi, którzyby za nią ująć się mogli.

Gdy książę szedł do Drohiczyna, biedna Ściborzanka niezdrowa już była, dręczył ją jakiś niepokój straszny. Kilka razy powoływała Kazimierza do siebie na pożegnanie, we łzach się rozpływając, choć przyczyny ich nie wiedziała sama. Próżno książę starał się ją uspokoić, wesołością swą rozpraszając jej smutek, który mu się dziwactwem zdawał. Jagna stała, płakała, trzymała się za serce, patrzała w ziemię, jakieś przeczucie ją dręczyło.

Po wyjeździe księcia, gdy z murowanki już ani proporczyka widać nie było, wszystko ucichło i zamilkło, Jagna okno zamknęła, włosy, jak do snu związała, zdjęła suknię i pierścienie, poczuła się senną, słabą, biedną — i legła na łoże.

Dnie tak upływały, Jagna wstawać nie chciała czy nie mogła. Co się jej tam przez ten czas prześniło, co przez myśli przesunęło, ona tylko wiedziała jedna; gdy dziewczęta przychodziły z pytaniami, zdawała się ich nie słyszeć.

Kazimierz był już dawno na wyprawie, gdy Jagna, coraz słabnąc gorzej, a czując w sobie ledwie resztkę życia, kazała wołać do siebie Stacha.

Przybiegł natychmiast, lecz gdy ją po długiem niewidzeniu zobaczył teraz, przeraził się, tak strasznie nagle znalazł zmienioną. Wychudła była jak kościotrup; policzki i oczy zapadły, czoło się zmarszczyło...

— Patrz, co się to ze mną stało! — poczęła z uśmiechem bolesnym, wyciągając ku niemu ręce chude i drżące. — Niema już Jagny i nie będzie. Kwitła, śmiała się, i przekwitła i wyśmiała ostatek... Czas było! Dłużej nie miałaby żyć poco!

— Cóż wam się stało? — spytał Stach.

— Nic... ot, tak... siły do szczęścia brakło, bo i na to sił potrzeba. Alboż zdrowe życie takie?... Czekać

dzień, a mieć godzinę, płakać rok, a śmiać się chwilę!

I usiadła na łożu, okrywając się włosami rozpuszczonemi, piękne oczy swe świecące obracając na Stacha, który stał z rękami załamanemi przed nią.

— Wołać ciebie kazałam — mówiła, dysząc zmęczona — boś ty mi przecie bratem, jedynym w świecie. Mojego pana, sokoła mego, nie chcę już męczyć dłużej, już miał ze mną dość tej niewoli. Księża go męczyli, że żonę porzucał dla mnie, Pełka mu groził ciągle. Synaczka stracił i męczył się tem, jak karą Bożą za mnie. Wszystko cierpiał dla mnie, przeze mnie. Więc mnie już czas było! To i pójdę. Ciebie chciałam pożegnać, no, i coś zrobić trzeba, aby mienia ojcowskiego obcy ludzie nie zabrali. Sprowadzicie mi takiego, co pisać umie, zapiszę wolę moją i zapieczętuję... Was opowiem za męża. Ściborzyce wam zostawię, wieś jedną dam za grzechy mnichom do klasztoru, do Pokrzywnicy, aby się modlili za mnie...

— A mnie to naco? — zapytał Stach.

— O! naco? Weźmiesz sobie babę i będziecie żyć spokojnie, jak drudzy... Na zdrowie wam!

Stach głową trząsł.

— Albo to wy mnie nie znacie? — rzekł. — Ja też żyję z powinności, nie z ochoty. Mnie naco wioski? Baby żadnej nie wezmę i ziemi żadnej nie potrzebuję. Wioski rozdajcie na kościoły.

Jagna się sprzeciwiła.

— A no, nie! Wy je sobie dacie, komu chcecie. Wam je przekażę, bo się za to choć mężem moim nazwiecie, choć nie byliście.

— Boś nie chciała — dodał Stach.

— Bom nie mogła — zawołała Jagna. — Dwóch mężów się mieć nie godzi, tamtego się zrzec dla was nie mogłam... Gdy się go wyrzeknę, to chyba dla niego samego, aby spokojny był, do murowanki nie jeździł, a biskup się na niego nie gniewał.

Stach starał się te myśli rozpędzić, obiecując bliski powrót Kazimierza, z którym zdrowie wrócić miało.

— Wrócić? Nie, ja tam nie wiem — rzekła. — Już

choćby on wrócił, mnie trzeba umierać... Tak się stało, tak być musiało!

Milczała chwilę i, spuściwszy oczy. jakby zawstydzona, palcem kręcąc we włosach, szepnęła:

— Jam się czegoś napiła! Stara Czechna mi dała na powolną śmierć, bom tak chciała.

Stach krzyknął, posłyszawszy. Uśmiechnęła się.

— Nie bolało! — rzekła — anim czuła! Tylko mnie wypaliło, wysuszyło, wyjadło... Przyprowadź księdza, a nie z djabłami; takiego, co anioły z sobą wodzi.

Nie mógł się jej Stach dłużej opierać, musiał być posłusznym. Z płaczem jednak odjechał do miasta, a że przy biskupie wielu miał znajomych księży, jednego z nich przywiózł do niej.

Ksiądz Wit, człek dobry, powolny, nawykły w tym kraju przebaczać wiele (tym, co nie wiedzieli, co czynili), przybył pocieszać, nie zasmucać. Jagna mu w krótkich powiedziała słowach, że Stach mężem jej miał być, więc go za męża liczy, a choćby nie chciał ich pobłogosławić — byle jej go mężem zapisał, bo mu mienie po sobie chce zostawić. Dodała, że wieś do Pokrzywnicy zapisze do klasztoru, kilka kop groszy do kościoła św. Florjana, przy którym ks. Wit zostawał. Wszystko to spisać prosiła.

Ostatnią tę wolę opowiedziała spokojnie, przytomnie, stanowczo, prosząc, aby ks. Wit poczestnych znalazł do listu świadków i spisał go tak, by pod klątwą nikt nie śmiał naruszyć.

Ks. Wit, sądząc, że pocieszać był winien, odezwał się, iż przecie żyć może.

— A choćbym i pożyła, mój ojcze, możecie spisać, toć nie grzech, woli nie zmienię.

Wręczyła mu jeszcze ofiarę dla niego i kościoła i rzecz była skończona. Wielkich naówczas formalności nie wymagano, a gdy duchowny spisał, świadków postawił i pieczęć przyłożono — starczyło tego.

Gdy Stach do niej przybywał, zwracała się do niego zawsze z jednem pytaniem:

— Niema pana?

Nareszcie jednego dnia Stach nie przybył o zwykłej godzinie, dzwony się odezwały inaczej, weselej, wszystkie razem okrzyki z miasta aż tu dochodziły; chora zrozumiała, że pan powraca, zarumieniły się zapadłe policzki, usta zadrgały, oczy skierowały ku oknu chciwie, ale ani go otwierać, ani kobierca wywieszać nie pozwoliła. Popatrzała na Wawel, gdzie las proporczyków widać było, jak się zwijały, a nad niemi macierz wielka, chorągiew czerwona.

Tam on był. Patrzała, patrzała, i zesłabłszy, do łóżka się położyć kazała.

Aż do zmroku marzyła spokojnie; gdy wieczór zbliżać się zaczął, Jagna się ubierać kazała. Wdziała najpiękniejszą sukienkę, utrefiła włosy, posadzono ją na stołku znowu. Co zatętniało w podwórzu, podnosiła ku drzwiom oczy. Pana nie było.

Noc zapadła. Pan przybyć nie mógł! Co za dziw? Otoczyli go tam swoi, rodzina, duchowni, ziemianie, starszyzna — mógłże ich wszystkich dla niej porzucić?

Już księżyc w ostatniej ćwierci wszedł późno na niebo, gdy zaskrzypiały wrota. Jagna siedząc drzemała, poruszyła się, chciała wstać — nie mogła, padła na stół, zakrywając twarz rękami.

Kazimierz wszedł powoli. Ujrzawszy ją przy świetle lampki, osłupiał. Ręce wyciągała ku niemu... Krzyknął boleśnie.

— Jagno! Co się tobie stało?

Witała go uśmiechem.

— Nic, nic, sokole mój złoty! Ot, tak, zajadła tęsknota! Ot, tak, życia zabrakło... bo ciebie nie było. Alem się doczekała! Nie trzeba mi już nic!

Kazimierz patrzał, sługi obwiniając, chcąc słać po lekarzy, szukać ratunku, wstrzymała go łagodnie.

— Siądź przy mnie, orle mój biały, panie mój drogi! siądź! A jeżeli ci twarz moja straszna, nie patrz na nią, jeżeli głos niemiły, nie słuchaj, a mnie patrzeć daj na siebie i słuchać.

Kazimierz napróżno chciał dopytać, co się tu przydarzyć mogło, skąd choroba powstała, nie przyznała mu się do niczego.

— Przyszło z powietrza, z niczego. Nie bolało, sennie było... smutno! Przeciem pana doczekała, czegoż więcej pragnąć?

Kazimierz miał lekarza Benedyktyna w Tyńcu, rodem z okolic Salerno, który w Montpellier leczyć się uczył, chciał go jej przysłać, zaklęła, aby tego nie czynił.

— Choroba teraz minie sama!

Smutkiem tym struty Kazimierz na zamek wrócił z nim. Przed nikim nawet poskarżyć się nie mógł. Nazajutrz do swoich wyszedł wybladły, milczący; Wichfried poznał z twarzy, że coś złego stać się musiało.

Odważył się zapytać; Kazimierz przed nim nie przyznał się do niczego. Na duszy mu było ciężko, na piersi leżał kamień, chodził zadumany, nie słysząc, co mówią do niego. Stawał i patrzał w okno ku murowance, stał tak wkuty, nie wiedząc, co się wokoło działo.

A Jagna odżyła nieco, obudziło się w niej życia pragnienie. Nazajutrz poruszać się mogła, kazała się w oknie posadzić i kobierczyk wywiesić znowu... Próbowała do krosien, ale siedzieć nie mogła, ręce opadały znużone. Patrzała na nie i sama z siebie się śmiała...

Wieczorem Kazimierz przybył znowu. Następnych dni przybiegał na krótko. Jagna żyła, bo żyć zapragnęła. Walczyła z tem, co ją do grobu ciągnęło. Stach, który przychodził z rana, oszukiwał się i pocieszał, widział, że jej było lepiej, że na ustach uśmiech się zjawił — mówił, że będzie żyła.

Po przybyciu Kazimierza do Krakowa upłynęła jesień cała i zima. Jagna ciągle słaba, umrzeć nie mogła. Książę dręczył się tem widowiskiem, a oderwać od niego nie mógł i Stach także przybywał do niej często i nawykł był już tak patrzeć na swą chorą, iż uwierzył, że życie jej powrócić może.

Miało się już ku wiośnie znowu, gdy jednego rana, do biskupa idąc, u którego codzień się stawić musiał, Stach w ulicy spotkał człowieka, opończą osłonionego, okrytego kapturem, choć dzień bardzo chłodny nie był, przekradającego się pośpiesznie pod płotami i oglądającego bojaźliwie.

Zdało mu się, że na widok jego nieznajomy przechodzień, przyśpieszywszy kroku, rzucił się na boczną ścieżynę i znikł pomiędzy domami, jakby od niego uciekał. Chociaż nie widział jego twarzy, postawa i chód mocno go uderzyły. W tym nieznanym człeku coś mu przypominało Kietlicza.

Też same miał ruchy, kark gruby, głowę dużą, wzrost do niego podobny. Na samą myśl tę, że niegodziwy człek musiał się wyrwać z niewoli na Rusi i zbiec tu dla jakiegoś nowego knowania, krew w nim zawrzała. Poskoczył za nim co siły.

Biegł, nie mogąc go dognać, to z oczów tracąc, to biorąc na oko, a choć w ostatku znikł mu znowu, prawie był pewien, że się schronił do dworku Juchima. To mu więcej jeszcze dało do myślenia.

Juchim był zawsze menniczym, działo mu się dobrze, udawał wielką miłość dla pana, pod niebiosa go wynosił, a mimo to pewnem było, iż z Poznaniem miał stosunki. Sam on nie krył się z tem, że bił pieniądze i dla Mieszka.

Podejrzenie to powziąwszy, Stach natychmiast do drzwi zastukał, choć od powrotu Kazimierza noga tu jego nie postała. Otworzono mu, czekać nie dając, a gdy śpiesznym krokiem dobiegł do izby gościnnej, zastał w niej Juchima, nad zwitkiem pergaminowym siedzącego spokojnie.

Na widok jego Żyd powstał z twarzą rozradowaną, najmniejszej nie okazawszy obawy. Stach, nie chcąc mu się zwierzać z podejrzeń, udał, iż szło o małą pożyczkę pieniężną.

Juchim oświadczył się z gotowością największą usłużenia bez zastawu nawet i był tak uprzejmym, jakby w istocie Stacha kochał i szanował. Zmusiwszy go

napić się grzanego wina, po rozmowie przeciągniętej dość długo, odprowadził go aż do wrót.

Żadnego poszlaku człeka w kapturze nie było tu; Juchim jednak nadto mu się wydał swobodnym, zbyt wesołym i uprzejmym, aby się z czemś ukrywać nie potrzebował. Stach wyszedł, czując to.

Natychmiast, wróciwszy do domu, z Żegciem umówił się o pilny nadzór nad dworkiem Juchima.

Przez cały dzień zwykle tłumy różnych ludzi uczęszczały do bogatego Żyda; urzędnicy dworu, ziemianie, rycerstwo, duchowni nawet, bo Juchim pieniądze pożyczał, mieniał, przesyłał, kupował kruszce, dostarczał ich...

Dozór nad dworkiem potrzebował bystrego oka, by w ciżbie tej rozpoznać podejrzanego człowieka.

Stach sam naglądał zdaleka, nie ukazując się. Nie udało mu się dopatrzeć zakapturzonego człowieka, ale Żegieć mówił, iż go widział i wślad chodził za nim niepostrzeżony. To, co opowiadał, zwiększało podejrzenie, iż w kapturze Kietlicz się mógł ukrywać. Żegieć szedł za nim do dworku starosty Warsza, a potem do Czechny, którą wszyscy znali jako lekarkę i wróżbiarkę.

Drugiego dnia Stach sam zdala stanął na czatach. Kaptur, obejrzawszy się dokoła, wysunął się z dworku Juchima i wolnym krokiem, pod ścianami się tuląc, przez mniej uczęszczane zaułki, przekradł się do domu Czechny. Stach zdala go śledził, nie płosząc. Świadkiem był, gdy po naradzie Czechna go na próg wyprowadzała. Twarzy i teraz dojrzeć nie mógł, ale głos stłumiony dźwięczał mu jakby Kietliczowy.

Słyszał, gdy stara mówiła mu:

— Przyjdźcie jutro... dziś u mnie bab pełno w sieni, mówić o tem nie pora. Święto u nas, będę sama.

Długie życie, na czatach spędzone, uczyniło Stacha wprawnym i przebiegłym, potrzebował koniecznie człowieka widzieć, podsłuchać rozmowę i zaraz o tem myśleć począł.

W izbie, w której stara przyjmowała, był z Bogoryją, znał ją, potrzebował skryć się gdzieś tak wpobliżu, by mógł schwycić rozmowę jutrzejszą. Począł błądzić około dworku, czatując, czy stara nie wyjdzie na miasto, aby się dostać do wnętrza.

Nad wieczór Czechna wyszła na nieszpór przedświętny i drzwi zaparła. Została sługa jedna, która poziele na ogród wybiegłszy, za sobą dworku nie zamknęła. Skoczył Stach do sieni żywo i po drabinie na wyżki puste. Tu musiał przesiedzieć noc całą, czasu do powrotu starej z nieszporu używszy na przeskrobanie w pułapie otworu do izby, przez któryby coś widzieć i lepiej mógł słyszeć.

Nierychło powróciła lekarka i nie sama. Przywiodła z sobą mieszczanina jakiegoś, za którego się podobno wydać myślała, pomimo, że zębów nie miała. Był świadkiem Stach, jak go poiła i namawiała, prawiąc o swych dostatkach i o szczęśliwem życiu, jakie mógł z nią pędzić.

Gdy dzień się robić zaczął, niecierpliwy Stach oka już nie zmrużył. Dokuczył mu trochę głód, a więcej niepokój. Nierychło dały się słyszeć kroki i Stach, oko przyłożywszy do otworu, zobaczył wchodzącego w kapturze, nie mogąc dojrzeć nic oprócz kaptura i ramion szerokich.

Rozmowę słychać było wyraźnie, głos zdał mu się Kietliczowy, ale zniżony, cichy i jakby umyślnie zmieniony.

— No, starucho — rzekł, — nie drożże ty mi się, nie dasz ty, znajdzie się druga.

— Mów, dla kogo tego chcesz? — spytała Czechna.

— Co ja mam ci się spowiadać dla kogo — odpowiedział mężczyzna, — to moja rzecz, na moje sumienie biorę, nikomu nic do tego.

— Nie powiesz, to nie dam — odezwała się Czechna, — szukaj drugiej.

— A no — wyrwało się zapytanemu — wroga mam takiego, co nie mnie jednemu, a tysiącom już dojadł i dokuczył, i należy mu śmierć.

— Mów jaki? kto? co? — poczęła stara. — Muszę wiedzieć. Nie głupiam! Gdy możnego człeka zgładzicie, powloką was, wydacie mnie, kołem będą tłukli, albo końmi szarpali.

— A jaż to mam być głupszy od ciebie i dawać, tak, aby mnie za rękę schwycili? — rzekł mężczyzna. — Czy mnie się chce też być szarpanym i bitym? Będę wiedział, jak i przez kogo dawać.

— Komu? komu? — pytała Czechna uparcie.

Mężczyzna się uniósł.

— A! ty wiedźmo stara — krzyknął, — dawaj albo nie, a wnętrzności ze mnie nie ciągnij. Nie twoja to rzecz. Mów, co zapłacić, a powinno być takie, by jak piorun ubiło — rozumiesz?

— I takie u mnie jest — odparła Czechna, — co gdybym ci tylko powąchać dała, przewróciłbyś się i nie wstał, i takie, co kropla konia ubije.

— Takiego mi potrzeba — odparł kapturowy, — dawaj mi go i mów, co chcesz za nie?

Czechna pocichu wymieniła coś sporo grzywien srebra, a mężczyzna krzyknął:

— Oszalała!

Wszczął się targ. Czechna wołała:

— Ani życie, ani śmierć darmo nie przychodzi! Za mało oddać takiego ziela nie mogę, bo mnie ono samą kosztuje wiele zdrowia... Trzeba wiedzieć, gdzie szukać, jak zbierać, z czem warzyć. Darmo mnie tego nie uczyli. Życiem ważyła, gotując... — Rozgniewana dokończyła: — Idź sobie do szatana! Niech ci on darmo służy.

Znowu się targowali, sprzeczając; kaptur dawał mniej. Czechna przy swojem stała, łajali się wzajem, potem milczenie trwało chwilę, mężczyzna się poruszył, dobywał powoli coś z pod opończy, stara poszła drzwi zaryglować, okno zasunąć tak, że w izbie mroczno się zrobiło. Szeptali pocichu, zaczął przybyły pieniądze liczyć na stole, a stara siadła nad niemi.

Brała niektóre do rąk i do ust, próbując, czy dobre są; szeptano cicho, brzęczały srebrniki, zgarniane do

garnka. Lik ich trwał dosyć długo, a gdy się skończył, Czechna poszła jedną okiennicę napół odsunąć i z wysokiej półki, a z za garnków dobyła maleńką banieczkę glinianą, tak drobną, że się w garści mieściła.

Kaptur, spostrzegłszy ją, począł wołać: — A to co? za tyle grzywien taka odrobina?

— Coś ty chciał, abym ci wiadro dała, żebyś studnie pozatruwał? — odparła stara. — Będzie z ciebie i tego, bo kropli dość na człowieka.

— A jak nie poskutkuje? — zapytał.

— Popróbuj! — rozśmiała się stara.

Zawahawszy się, sięgnął po bańkę.

— A patrz, ostrożnie z tem — dodała Czechna, — abyś nie rozlał. Padnie ci na ciało, wyżre je do kości, pryśnie w oko, wypali; jedna kropla w napój, olbrzyma zwali.

— W czem dać? — spytał cicho kaptur.

— W czem chcesz — szepnęła Czechna z powagą nauczyciela: — w winie, w miodzie, w piwie, a choćby i w jadle.

— Dużo?

— Kropli dosyć...

Owinięto bańkę starannie w kawał płótna i człek włożył ją za pazuchę z ostrożnością! Już miał wychodzić, gdy stara ze śmiechem poczęła mówić:

— Myślisz, żem ja ciebie pytać potrzebowała, ktoś ty taki i na co ci trutka? Próbowałam tylko. A no cię znam i wszystko wiem!

Zbliżyła się, szepcząc mu coś na ucho, mężczyzna, klnąc, odskoczył od niej ku drzwiom, pogoniła śmiechem za nim. Słychać było jak drzwi, nagle odsunąwszy, rygle otworzył i wybiegł prędko.

Stach chciał się wnet puścić za nim, ale czekać musiał, aż baba wyjdzie, aby nie płoszyć i nierychło dopiero, widząc, że za długo siedzieć przyjdzie, z dachu drabinę wydarłszy, skoczył w ogród, uchodząc.

Słyszał, jak baby podniosły na nim wrzawę wielką, bo słyszano łoskot. Powybiegały na ogród, gdy on już przez płot do drugiego sadu się dostał i uszedł.

Do domu powróciwszy, lec musiał odpocząć, tak go kości bolały, po nocy na strychu spędzonej. Niewiele się to na-co przydało — podejrzenie jednak miał wielkie, iż kupującym truciznę musiał być Kietlicz, a jeżeli on był — straszna myśl przechodziła, dla kogo on ją mógł przeznaczać?

Stach chciał kapturowego bądź co bądź pochwycić i zatrzymać. Żegieć i on zasiedli znowu koło dworku Juchima, śledząc i pilnując, lecz dla mnóstwa ludzi porwać się w ulicy nie śmiał Żegieć, chodząc tylko za nim i strzegąc, aby im nie umknął.

Drugiego dnia wieczorem dopiero, gdy ulica pustą była, udało się im podejrzanego zachwycić tak, iż się nań rzucić mogli. Ostrożnie rozpatrując się, przesuwał uliczką małą i Stach, czatując nań, właśnie, gdy miał nań rzucić, poznał odsłonioną nieco twarz Kietlicza.

W chwili jednej z obu stron padli nań z Żegciem, lecz sługa, w pośpiechu biegnąc, o kół na drodze zawadziwszy, wywrócił się. Spłoszył się Kietlicz i, uchodząc, sam w ręce Stacha się rzucił, który, za kark go chwyciwszy, na ziemię obalić usiłował. Napadnięty nie tracąc przytomności, dobył nóż z za pasa i żgnął nim Stacha, nie mającego na sobie nic, oprócz łososiowego kaftana, w same piersi. Nóż wbił się głęboko, Stach zachwiał się i padł nawznak, a nim Żegieć dobiegł. kaptur począł uciekać, korzystając z mroku, w krzaki się rzucił i zniknął.

Na drodze leżał przebity Stach, jęcząc, z nożem, który mu jeszcze tkwił w piersi. Kląkł nad nim Żegieć, aby naprzód dobyć z rany żelazo, po które sam Stach bezsilną już sięgał ręką. Krew strumieniem buchnęła. Krzyknął przebity i omdlał, zdawało się, że dlań wybiła ostatnia godzina.

Nie mogąc odstąpić rannego, Żegieć wielkim głosem krzyczeć zaczął, nawołując o ratunek... Cisza nocna dozwoliła głosowi jego rozlec się szeroko i ludzie z uliczek bocznych i domostw wybiegać zaczęli.

Wypadkiem znalazł się i Jaśko Bogoryja, w pobliskim stojący dworze... Wzięto Stacha i zaniesiono do

dworku Jagny. Krew chustami trochę zatamować się dała, a Żegieć po lekarza pobiegł na dwór biskupi. Rana była ciężka i głęboka, ale się nie zdawała być śmiertelną, bo nóż, wymierzony w serce, po żebrach się ośliznąwszy, niżej był zatopiony.

IX.

Były to pierwsze dni maja 1194 r., a rzadko u nas ten miesiąc kwiatów i zieleni tak pięknym bywa, jak go Bóg dał w tym roku. Ciche, spokojne upływały dni wonne w ogrodach, któremi Kraków otaczał się dokoła. Cieszyli się wszyscy, spoczywając po wojnie, i długie szczęśliwe panowanie zapowiadano.

Wrzawliwiej, szumniej nie zabawiano się nigdzie może, jak we dworze wdowy Doroty, która teraz większą zdawała się mieć nadzieję, niż kiedy, spoglądając na Wawel, że książę do niej powróci. Wiedziała ona, że Jagna dogorywała, że życie jej było na włosku, a Kazimierz przy wjeździe do stojącej na wozie uśmiechnął się i pozdrowił ją tak, jakgdyby dawne czasy przypomniał. Skinienie to pańskie łaskawe lepszą przyszłość zdało się zwiastować. Wszystko się składało pomyślnie; Wichfried był czulszym i niezbyt się wyrzekał pośrednictwa, rachując też na chorobę Jagny. Czekano tylko, aby ona zgasła; Niemiec naówczas miał przypomnieć Dorotę i namówić Kazimierza, aby dla rozrywki ją odwiedził.

W wigilję świętego Florjana, którego uroczystość, jako patrona Krakowa i kraju, od sprowadzenia zwłok jego, obchodzono z wielką świetnością, bo i sam książę bardzo czynnie się nią zajmował, Dorota miała wieczorem wielu gości. Znaczna ich część porozchodziła się zawczasu, wdowa została sama. Czekała na kogoś jeszcze, coraz to oknem wyglądając. Zmierzchało, a w miarę jak wieczór nadchodził, wdowa coraz większą niecierpliwość okazywała.

Zawołała wreszcie na starszą sługę, ulubienicę swą Jagodę.

Jagoda to była, jak jej pani, już wielce dojrzała, ale wzorem jej nie wyrzekająca się jeszcze młodości. Usłyszawszy wołanie, wbiegła z poufałością powiernicy i, ręce na piersiach złożywszy, czekała, marszcząc się nieco, co jej Dorota powie.

— Czego wam trzeba? — spytała.

— Czego? Wiesz przecie — odparła Dorota; — ten twój obiecany nie przychodzi, czekam na niego!

— O! przyjdzie pewnie — odpowiedziała Jagoda. — Czeka może, abyście sami byli, nie rad trafić na ludzi, dlatego nie śpieszy.

— Obiecał przynieść z sobą? — przerwała niecierpliwie wdowa.

— Na pewno obiecał! — głową potakując, mówiła Jagoda.

— A nie oszuka mnie?

— Gdzie zaś, człek stateczny, Juchim zna go dobrze. On lekarstwami handluje i z za morza je przywozi. Jeździ na Ruś po różne zioła, leki, krople, smarowania, a wiadomo, że tego nigdzie lepiej, jak tam, przyprawiać nie umieją. Nasza stara Czechna ani się do tego nie umywała.

— O! stara! — odparła Dorota — ona tylko okłamać, a grosz umie wyciągać! Ziele jej żadne nie skutkowało. Nawet ta woda, którą mi się umywać kazała, wcale marszczek nie zgładziła.

Chód dał się słyszeć, Jagoda obejrzała się, wybiegła, a po chwilce wprowadziła człowieka w opończy z kapturem, zdającego się ukrywać twarz, aby niezbyt w nią patrzano. Milcząc i rozpatrując się dokoła, wsunął się do izby. Dorota pobiegła ku niemu.

— Macie z sobą? — spytała.

— Mam go — odpowiedział głos stłumiony i schrypły, zwolna dobywając z zanadrza coś w płótno obwiniętego. Nie puszczał jednak z rąk, choć Dorota chciwie sięgała po nie. Zaczęły się szepty i targi o posiadanie tego skarbu, do którego przybyły, choć przywiązywać się zdał cenę wielką, ustąpił go wszakże łatwo.

Dorota ciągle miała rękę wyciągnioną, aby węzełek ów chwycić.

— Trzeba wiedzieć, jak się z tem obchodzić — rzekł przybyły, — ani odtykać, ani wąchać, bo wszystka siła uleci; dopiero, gdy się kropla ma lać w naczynie do picia, można bańkę otworzyć. A ma moc taką, że i ręce pali, gdyby na nie padło.

Wdowie oczy świeciły.

— Ma moc wielką? — pytała.

— Ma moc straszną, wiekuistą! Ten, co się napije, nigdy już kochać nie przestanie. Gdy będzie pił, trzeba mu tylko imię niewiasty szepnąć.

To mówiąc, przybyły zwolna bańkę zawiniętą rozpowił, ukazując Dorocie, i znowu starannie zawiązał.

— Dziw, jak oni wszyscy jedne mają naczynia — odezwała się wdowa. — Czechna mi takie same bańki przynosiła.

Targ był skończony, wdowa oddała cenę umówioną w worku, który przyniosła Jagoda, kupiec nie liczył, zalecił tylko, aby nie odtykać naczynia i postąpić, jak przykazał, co prędzej uchodząc z domu.

Po wyjściu jego wdowa z radości wielkiej, trzymając drogi nabytek przyciśnięty do piersi, skakała po izbie, lubując się nim i podśpiewując. Z obawy, aby się co bańce nie stało, schowała ją w suknię.

Była to godzina, w której zwykle nadchodził Wichfried. Niemiec postarzawszy, coraz więcej jeść i pić lubił; gospodyni dlań zawsze miała przygotowaną ucztę obfitą i wina poddostatkiem. Nigdzie też lepiej napoju tego nie umiano osładzać i korzenną zaprawą wzmacniać. Rozkoszował się Wichfried w napoju napozór łagodnym, który dziwną mu wesołość i odwagę wlewał.

Późno w noc nadszedł zmęczony.

— Coście to tak na siebie długo mi czekać kazali? — zapytała wdowa, podchodząc ku niemu wystrojona i wonnościami oblana, uśmiechając się zalotnie.

— Przy panu musiałem być — rzekł Niemiec. —

Jutro mamy św. Florjana, od rana do nocy nie będzie spoczynku — mówił Wichfried. — Książę prawie nie wychodzi z kościała, sam czci gorliwie patrona, chce, aby mu inni też cześć oddawali.

— A po nabożeństwie juści będzie na zamku uczta dla wszystkich? — zapytała wdowa.

— Jutro nie, bo to dzień święty — mówił Wichfried, — następnego dnia dopiero gotuje się przyjęcie wielkie, na które wszyscy biskupi, duchowni, rycerstwo i ziemianie się ściągną. Będzie to dzień spoczynku i wesela.

Dorota słuchała ciekawie, chwytając każde słowo Wichfrieda.

Niemiec tymczasem oglądał się z taką chciwością za napojem, jak ona za jego słowami.

Pieczona sarna, której zapach po izbie się rozchodził, wabiła go; dobył noża i, umywszy ręce, zabrał się do krajania. Dorota usiadła naprzeciw, dotrzymując rozmowy, lecz nie tykając jadła.

Gdy Wichfried kubek drugi wypróżnił, pochyliła się ku niemu.

— Stary druhu!... moje szczęście w twoich rękach.

Niemiec ruszył na to ramionami, a Dorota dodała prędko:

— Nie zżymajcie się, nie chcę, abyście mu mówili za mną, ani go ciągnęli. Zrobi się tak, że sam przyjdzie.

Wichfried spojrzał pytająco.

— Mam taki sposób, co go przyciągnie — mówiła wdowa — i na wieki go do mnie przykuje. Byle mu go dać kroplę i pocichu, gdy będzie pił, wymówić imię moje.

— E! stare baśnie pleciesz! — przerwał, śmiejąc się, Wichfried. — Niemałoż mu ziela nadawaliście, a przecie go nie macie?

— Takie to było ziele! Czechna zwodziła mnie! Nie zna i nie umie nic! Dopiero teraz za drogie pieniądze z Rusi dostałam takiego lubczyku, takiego!...

Wichfried śmiał się ciągle.

— Obeszłoby się bez tego, byle chciał przyjść — rzekł; — a pociągnąć go nie można, tak się boi.

— Otóż napój to zrobi, że się bać przestanie — odrzekła Dorota. — Jedna kropla do wina wlana wystarczy, jedna kropelka.

To mówiąc, wydobyła z za sukni zawiniętą bańkę, pokazała ją zdala i prędko schowała znowu.

— Odtykać jej nie można — rzekła — dopiero, gdy się nalewać będzie. Inaczej siłę postrada, tak mnie nauczono. Dam wam, ale dopiero, gdy mi przysiężecie, że użyjecie, jak przykażę.

Zżymnął się Niemiec.

— Ja nie chcę! — rzekł krótko.

— A komu innemu ja nie powierzę — zawołała Dorota, — wy musicie wziąć i musicie mu dać!

— Nie! — odparł Niemiec.

— Całe moje mienie wam przekażę — poczęła gorąco wdowa, — całe mienie, wszystkie ziemie, co mi po ojcu należą, co po mężu oddać powinni. Wszystko oddam wam! Dzieci ja mieć nie będę. Przy świadkach wam zapiszę!

Wichfried się odwrócił.

— A bracia? — spytał.

— A książę — odparła Dorota, — on za zdradę mógł im i tak wszystko odjąć, co po ojcach mają. Obroni tego, co ja zapiszę.

Zadumał się Niemiec.

— Kto wie, co w napoju jest! — przebąknął.

— Nie jużbym ja, co go miłuję, źle mu uczynić chciała? — zawołała wdowa. — Czyż nie wiecie, że Bóg daje różną siłę ziołom dla pomocy człowiekowi, że jedne ciągną, drugie odpychają, jedne kochać każą, drugie nienawidzieć.

— A są i takie, co zabijają! — zawołał Wichfried.

— Czyż jabym mu śmierci mogła życzyć!? — krzyknęła wdowa — ja? Ten, co mi lubczyk sprzedał, człek pewny, stateczni ludzie ręczyli za niego.

Wichfried jadł i pił, słuchał jednem uchem, a w głowie coś liczył.

— E! — rzekła — bądź bo rozumnym a dobrym dla mnie i dla siebie... Zrób, jak mówię, nie pożałujesz!

Niemiec się przestał opierać.

— Pojutrze, w czasie uczty — mówiła cicho — pod sam jej koniec, podając mu ulubioną jego czarę, jak się ona tam zowie?

— Teodulfowa — zamruczał Wichfried.

— Odetkniesz tę oto bańkę dopiero, gdy będziesz miał nalewać, wpuścisz z niej choćby kroplę jedną, a gdy pić będzie, szepniesz mu do ucha imię moje! Więcej nie potrzeba!

Niemiec głową potrząsał; ona ciągnęła dalej:

— Siła tego napoju sprawi, że zaraz zechce przyjść do mnie, a gdy przyjdzie, już mnie nie opuści.

Słuchający głową niedowierzająco potrząsał, wdowa dobywała bańkę, strzegąc, aby zatyczki jej nie tknąć.

— Tak! ty to musisz uczynić — mówiła, nie zważając na opór Wichfrieda, — musisz, musisz. Przysięgam, uczynię cię możnym i szczęśliwym!

Milczał jeszcze, trochę upojony, trochę znudzony Niemiec, ale ręka jego już po owo naczyńko sięgała.

— Bóg z tobą — rzekł, — naprzykrzona, natrętna, niepozbyta babo; zrobię, co chcesz, ale skutku z tego tyle będzie, co z twych innych czarów, chybaby... tamtej nie stało, a innej mu się szukać nie chciało.

Trzymał wyciągniętą rękę.

— A przysiążże mi — natarczywie zawołała Dorota, — że zrobisz, jak mówię, na Boga, na świętych, na uczciwość twą!... Dasz mu dopiero przy końcu uczty.

Niemiec rzekł z obojętnym uśmiechem.

— No, przysięgam, przysięgam!

I pochwycił w rękę bańkę, którą mu Dorota oddała, pilnując, aby ją natychmiast schował. Wichfried rozpiął kaftan na piersi, włożył naczyńko, zapięła mu go Dorota i lice jej zajaśniało niezmierną radością. Śmiejąc się, nowy kubek mu podała.

— Pij — rzekła, — dałabym ci złota roztopionego, gdyby je pić było można. Będziesz mym dobroczyńcą.

Gdy we dworku wdowy tak się do oczarowania Kazimierza przygotowywano, w domu Stacha Żegieć i kilku przyjaciół otaczało łoże rannego. Upływ krwi z piersi, szeroko rozpłatanej, wstrzymać się udało. Żegieć wprędce od biskupa przyprowadził uczonego benedyktyna, który był lekarzem Pełki i księcia. Staruszek opatrzył starannie ranę, pilno chorym się zajął, dał mu wewnątrz jakieś leki, po których sen przyszedł spokojny, balsamem zalał bok skaleczony, ale pytany o chorego, nie odpowiadał nic z początku. Wkońcu rzekł, że wszystko jest w mocy Bożej, a On cuda czyni, gdy wola Jego.

Ze wszystkich ciekawych, którzy z początku łoże jego otaczali i domek napełniali, po upływie pół dnia pozostał tylko Żegieć wierny i ksiądz, który przyrzekł odwiedzać chorego.

Niewyjaśnioną dla wszystkich była tajemnicą ta rana, otrzymana od nieznajomego człowieka, i na którego Stach po nocy się rzucił, nikt też odgadnąć nie umiał. Domyślano się różnie, dlaczego Żegieć mówić nie chciał; ci, co znali rannego, wiedzieli, że dla pieniędzy i przez chciwość tego uczynić nie mógł, że z zazdrości o niewiastę nie rzucił się pewnie, bo płochości wszelkiej wyrzekł się dawno; musiała więc jakaś chęć zemsty i śmiertelna nim powodować uraza.

Jeden biskup Pełka, lepiej od innych wiedząc, co się w sercu Stacha działo, domyślał się sprawy większej wagi i był niespokojnym. Zlecił też benedyktynowi, aby pilnie miał o chorym staranie.

Po dniu spokojnym, drugiego rozwinęła się gorączka i ranny majaczyć zaczął. Zrywał się z łoża, chciał biec, wołając ciągle, iż pana otruć zamierzano.

Słyszał to lekarz i sługa, ale i oni przypisywali gorączce to majaczenie dziwaczne, żadnego do wyrazów poplątanych nie przywiązując znaczenia.

Ile razy ze snu ciężkiego przebudził się Stach, z tą samą myślą zrywał się znowu, krzycząc, że na ratunek biec trzeba, bo pana otruć mają. Uparte to ostrzeganie, wołanie i prośby uderzyły wreszcie benedykty-

na tak, że do biskupa wróciwszy, z politowaniem mu o tem rozpowiadał.

Pełka tłumaczył to sobie marzeniem chorego, a znając jego przywiązanie do księcia, nowy dowód jego w tem upatrywał.

— Śni się biedakowi — rzekł, — jak mu całe życie się marzyło, że zawsze panu jego coś zagraża. Poczciwy sługa żył lat wiele jednem staraniem o bezpieczeństwo pańskie, więc i teraz w głowie się to powtarza. Daj mu Bóg ozdrowienie i życie!

Za życie to lekarz nie ręczył jeszcze, drudzy mu go nie wróżyli. Choć silny, Stach krwi utracił wiele, rana była głęboka, a co się wewnątrz jej działo, czy oręż nie był jakim jątrznikiem zatruty, Bogu jednemu wiadomem było. Gorączka rosła, sił ubywało i tylko, gdy dziwaczne marzenie o otruciu księcia wracało, naówczas zrywał się z taką mocą, iż go kilku ludzi ledwie utrzymać mogło.

Benedyktyn leki uspakajające powiększał coraz, dopóki tego szału wycieńczającego nie przemógł. Chory choć go już skrępowała bezwładność, jeszcze mruczał przez sen, aby czuwano nad panem.

W sam dzień św. Florjana gorączka wreszcie ustawać zaczęła i przyszło osłabienie wielkie. Chory stękał, na ból głowy się skarżył, mnichowi się zwierzając, że go prześladował sen trapiący, jakoby Kazimierzowi na uczcie do napoju trucizny wlać miano.

Badał go benedyktyn, skąd mu myśl ta przyjść mogła, lecz przed nim jaśniej się tłumaczyć Stach obawiał. Na karb gorączki poszedł ten niepokój. Tego dnia lekarz obiecywał więcej i pocieszającą wiadomość zaniósł biskupowi, który na intencję chorego mszę świętą u relikwij św. Florjana odprawić obiecał.

Stary Hreczyn, który się był do Stacha przywiązał, w początku chorej Jagnie o wypadku znać dawać nie chciał. Pocóż miał chorą męczyć napróżno? Gdy lekarz zrobił nadzieję wyzdrowienia, Hreczyn pomyślał, iż powinien iść powiedzieć, co się stało, i dlaczego Stach nie przychodzi. Dnia tego z południa, po wiel-

kiem nabożeństwie, na które lud do dwu kościołów tłumnie się gromadził, bo na Wawelu i na Kleparzu kości męczennika były złożone, Hreczyn powlókł się za Wisłę.

Starego sługę swojego mile Jagna przyjmowała, i, dowiedziawszy się o nim, zaraz go wpuścić kazała. Wszedł Hreczyn zbiedzony, z głową spuszczoną, nie wiedząc, co mówić. Jagna odziana siedziała oparta w oknie.

— Coś ty tak smutny? — zapytała, spojrzawszy.

— Stacha nam pokaleczyli! — westchnął Hreczyn, wprost mówiąc, z czem przychodził. — Leży biedak, dlatego nie widzicie go od kilku dni!

— A! — krzyknęła Jagna. — Kto? co? mów!

— Nikt dobrze nie wie, jak się to stało — rzekł stary. — Nocą w ulicy napaść jakaś. Zdaje się, że z Żegciem czatowali na kogoś i ująć go chcieli. Ten broniąc się, w piersi nożem pchnął Stacha: dobrze, że go nie ubił. Biskup przysłał mnicha lekarza, okładając ranę; majaczył dużo, teraz się uspokoił.

Jagna, płacząc, słuchała. Osłabłej teraz łzy przychodziły łatwo, drżała ze wzruszenia. Nie kochała nigdy Stacha, ale go jak brata miłowała i wdzięczną mu była. Jedyny to był człowiek, co ją nie zdradził, nie ciężył jej, był wiernym zawsze. Myśl stracenia go była dla niej bolesną. Chciała sama umrzeć wprzódy, pamięć swą zostawując mu w spadku. I to życzenie zagrożonem było.

— A! Hreczynie! Hreczynie! — zawołała — a! gdybym ja siły miała! Ale ani na konia siąść, ani pieszo iść, ani na wozie jechać nie mogę, a ja tam przy nim powinnam być!

Załamała ręce.

— Słuchaj stary! — rzekła nakazująco. — Wy mnie tam o mroku zanieść musicie! Choćbym umarła, nie pomoże nic. Muszę tam być. Nosze zróbcie, zakryjcie mi twarz chustami, droga niedaleka! Zaniesiecie mnie! Dziś święto patrona pańskiego, on u mnie nie

będzie, ja u Stacha muszę być. Słowo mu rzeknę i powrócę.

Opierał się Hreczyn jeszcze, ale Jagna już wołała na sługi.

— Musi tak być, jak każę. Gałęzi urąbcie w lesie, nosze mi zróbcie.

Nastraszyły się służebne, ale nawykłe były do posłuchu; gdy Jagna chciała czego, próżno się jej opierać było. Hreczyn, przeklinając siebie, że przybył z tą wieścią, musiał pójść rąbać drągi i gałęzie na nosze. Nim wieczór nadszedł, były one gotowe. Jagna od stóp do głów wielką się chustą okryła, a że iść nie mogła sama, musiała kazać się nawpół nieść, napół prowadzić. Włożono ją na nosze, jak rannego w boju i była w istocie Łazarzem, porąbanym na pobojowisku życia. Nie mówiąc słowa, z twarzą zakrytą dała się nieść, nie jęknąwszy. Na promie przebyła Wisłę, weszli do miasta, gdzie ludzi pobożnych ścisk był wielki. Myśleli spotykający, że rannego lub zabitego niosą, słudzy na pytania nie odpowiadali.

Gdy w dworku stanęli, Stach spał; Jagnę, choć ją niesiono powoli, zmęczoną, wpół żywą wprowadzili do ciemnej izby, w której chory odpoczywał. Posadzili ją w kącie na ławie, sparła się na stole i tak przebudzenia czekała.

Nierychło otworzył oczy Stach, jęcząc i wołać począł o wodę. Żegieć, podając mu ją, szepnął, że Jagna się tu przynieść kazała.

Zdumiał się mocno Stach.

— Gdzież ona jest?

— Tutaj jestem! — odpowiedział cichy, słaby głos z kąta, — kaleka do kaleki przybyłam, aby rzec ci jedno słowo: żal mi ciebie!

Stach kazał przynieść światło.

— Niech ją choć zobaczę, lżej mi będzie! — rzekł przejęty.

Zaniecono drzazgę i lampkę. Izba była niewielka, mógł więc łatwo dojrzeć siedzącą, a że mu smutku przynieść z sobą nie chciała, poczęła się uśmiechać. Na

tej twarzyczce wychudłej, na której śmierć już położyła piętno swoje, uśmiech wykwitł, jak piołun cmentarny, jak dziewanna mogilna.

Widząc ją, Stachowi zapłakać się chciało—uśmiech ten przywołał wspomnienia młodości i krasy dawnej. Długo na twarzyczce jej pozostać nie mógł i zniknął. Spytała go o ranę; Stach spowiadać się nie mógł.

— A! — rzekł — sam bo nie wiem, za com ją otrzymał, co mi się przyśniło. Człek mi się zdał podejrzany, włóczyłem się za nim, chodził do Czechny po trutkę, mnie się widziało już, że mogła być dla Kazimierza przeznaczoną! Strach ogarnął.

— Dla niego? — przerwała Jagna. — A któżby śmiał tego anioła Bożego, człowieka, co nigdy nikomu zła nie uczynił, wszystkim przebaczał, wrogów kochał. Któżby śmiał!?

— Niedorzeczy marzyłem — odparł Stach, — sam wiem! Wyście to wiedzieć powinni, że kto kogo kocha, o nim śni i myśli, a śniąc, widma mu się roją. A! a! sen był i zmora, a przecie niechby mu kto powiedział, aby nie pił inaczej, aż podczaszy skosztuje napoju.

— Taki obyczaj na dworze! — rzekła Jagna.

— Ale pan ufny jest! — mówił Stach. — Nie jeden podczaszy, lada kto mu napój nalewa i daje.

— Możeż on mieć nieprzyjaciół? — wołała Jagna.

Stach zamilkł, wiedział i on, że żaden z książąt nigdy takiej u wszystkich miłości nie miał. Ci, co go otaczali, życie zań dać byli gotowi, ale Kietlicz? A jemu się zdało, że poznał niecnotę.

— Gdy pana zobaczycie — dodał chory, — od siebie mu powiedzcie, niech napoju próbować każe!

— Ani dziś, ani jutro ja go widzieć nie będę — westchnęła Jagna, — a za dwa dni czy moje usta będą co mówiły? Kto wie... Dziś święto obchodzą, jutro wielkie gody. Szczęśliwi ludzie będą tam patrzeć w twarz pana mojego, napawać się słodkim wejrzeniem, słodszym głosem i sercem najsłodszem jego!

Rozmowa skończyć się musiała. Hreczyn czatował na swoją panią i do powrotu naglił. Chmury się od

Tatrów zbierały, błyskało w nich, chciał ją odnieść, nimby burza nadciągnęła.

Więc groził nią stary.

— E! Hreczynie! — zawołała z uśmiechem — a pamiętasz stary, w jakie my burze z tobą puszcze przebywali? Gdy się drzewa, od piorunów płonące, na nas waliły, iskrami obsypując? A teraz ty się boisz?

— Teraz wam trzeba do domu — rzekł Hreczyn.

— Nieście! — szepnęła cicho.

I ręką od ust posłała Stachowi pozdrowienie.

— Wyzdrowiej mi prędko, póki ja nie umrę — rzekła wesoło.

Jak dziecię sługi ją na ręce wzięły i tak ze skłonioną głową na podwórze wynieśli, a Stach pozostał sam w stokroć teraz puściejszym domku.

Jak sen chorobliwy przesunęła mu się blada twarz Jagny, słyszał jeszcze jej głos, widział oczy. Chciał naprawdę usnąć z tym obrazem, spokojniejszym był, zleciwszy jej poselstwo do pana.

Sen też ogarnął go znowu.

Lecz ledwie zamknął powieki, stanęła przed nim postać zakapturzonego człowieka z Kietliczową twarzą, który szeptał szydersko:

— Zapóźno! Jutro gody! Jutro może mu naleją napoju, po którym się nie wytrzeźwi. Jutro gody!

Całą noc tym snem był Stach dręczony, a gdy o brzasku się zbudził i benedyktyn przyszedł ranę mu balsamem zalewać, pot ciekł z uznojonego marzeniem czoła.

— A! ojcze! — zawołał, — znowu miałem sen srogi! Pan dziś gody sprawia. Widmo straszne jakieś lało mu do czary truciznę.

— Z choroby to są marne widziadła! — rzekł ksiądz, — a może nagabania szatańskie; uczyńcie krzyż, zmówcie modlitwę, uspokoi się dusza.

Posłuszny Stach modlił się, lecz niepokój przez dzień cały dręczył go coraz większy we śnie i na jawie. Gdy wieczór nadszedł, rozpaliła mu się gorączką

twarz, krew w żyłach kipieć poczęła, wytężył słuch, serce biło.

Z wysiłku tego padł na łoże osłabły i krzyknąwszy: Ratunku! — przytomność utracił.

EPILOG.

Nazajutrz po dniu św. Florjana, dla wszystkich tych, co z nim razem obchodzili święto patrona Krakowa, książę Kazimierz gotował ucztę wspaniałą. Zdawna ją przysposabiano, gdyż zaproszonych liczba była niemała, a książę uczcić ich chciał ze szczodrobliwością królewską.

Trzech biskupów przybyło umyślnie na tę uroczystość do stolicy, wszyscy panowie Rady, dostojniejsi ziemianie, wojewodowie, żupani, starzy druhowie Kazimierza i Henryka: Jaksa z Miechowa, Rusław, na którego ziemi Sulejowskiej klasztor zakładał, Jarosław Belina, Goworek z Sandomierza, Żyra z Płocka, stawili się do boku pańskiego. Do relikwij tego patrona, danego państwu swemu, książę najwyższą przywiązywał cenę, widział w nich porękę błogosławieństwa Bożego dla tej ziemi.

W istocie państwu teraz nie zbywało na niczem. Z łaski pana Mikołaja pokój był z Węgrami zmówiony, Ruś była w ład wprawiona orężem Kazimierza, Jaćwa pokonana wyprawą zwycięską, Niemcy, zajęci podbojem reszty pogan na Pomorzu, nie myśleli o napaści, od cesarstwa się jej nie obawiano.

Dostatek panował w domu: po utraconym Bolku, jedyna ojca i matki pociecha Leszek się chował zdrowo i szczęśliwie, jak siostra i brat młodszy. W środku państwa, co dawniej wichrzyło i bróździło, ukoiło się i przycichło. Dzielnica bezpotomnego syna Kędzierzawego spadła na Kazimierza; Mieszek po oddaniu mu syna siedział upokorzony, książęta śląscy nie ważyli się porywać.

Lżejsze prawo nowe kmieciom dozwalało odżyć po

Połowieckich najazdach i Kietliczowym ucisku. Świetne w przyszłości zapowiadały się lata.

Rozumny Pełka i silny Mikołaj ziemian butnych trzymali w karności, nic się nie przeciwiło, nic nie wyrywało.

Następstwo po Kazimierzu papieską bullą utwierdzone było w jego rodzie, duchowieństwo stało na straży prawa. Z biskupami Kazimierz rządził, wspólnie i zgodnie dzieląc władzę, którą oni wielkim swym wpływem podtrzymywali. Klasztory, zwłaszcza cysterskie, rosły, mnożąc się prawie codziennie, krzewiły w ziemi niedawno pustej i bezludnej. Mnożyły się też osady po trzebieżach, ludność po miastach, handel bitemi drogami przerzynał kraj ze wschodu na zachód.

Z zachodu co tylko Włochy, Francja, Niemcy miały, otrzymywała dzielnica Kazimierzowa, płynął towar, szli rękodzielnicy. W mniejszym stopniu odbijały się tu wszystkie ruchy umysłów, jakie się czuć dawały w krajach innych. Ziemiański ów udział w rządzie i radzie nie był bez związku z wyswobodzaniem możnych w Niemczech i we Włoszech. Pokora Rudobrodego w Wenecji, u stóp papieża składającego głowę dumną, w Polsce się odbiła, biskupom przyczyniając siły.

Kazimierz, który miłował sprawiedliwość i pokój, dla którego słowo Boże było prawem najwyższem, nie pragnący zbytniej władzy, dzielący się nią chętnie, cieszył się tem wszystkiem, bo działo się po myśli jego. Wyswobodzony z brzemienia rządu samowolnego, mógł swobodnie oddawać się ulubionym marzeniom o rzeczach zaświatowych, rozprawiać z uczonymi, uczyć dziejów i śpiewać chwałę Bożą.

Gdy nad wieczór goście wszyscy na zamku się zgromadzili dokoła stołów książęcych, dość było spojrzeć po ich twarzach, ażeby zgadnąć, że mieli pana miłościwego, który był im ojcem a bratem.

Gdy piękny zawsze jeszcze z podniesionem do góry czołem jasnem dnia tego, z włosami na ramiona puszczonemi, z łańcuchem na szyi, u którego klejnot z or-

łem i lwem był zawieszony — wszedł książę strojny, rzeźwy, wesół do wielkiej izby, oczy wszystkich z wyrazem ukochania zwróciły się doń, jak do słońca.

Sunęli się doń i cisnęli, aby słówko posłyszeć, wejrzenie dostać, uśmiechem się pocieszyć, albo choć otrzeć o niego. Nie było jednej twarzy ponurej, jednego niechętnego serca. Nawet ci, co niegdyś obałamuceni szli przeciw niemu, przejednani, dziś życie zań dać byli gotowi.

Zaprawdę inaczej też być nie mogło, tak miłością chrześcijańską, sercem anielskiej dobroci pełnem, wielkim był Kazimierz, który dumy innych panów nie miał, a pokorą świętą obleczony, jeszcze się większym wydawał.

Choć zwykle na dworze jego zbytniego przepychu nie było, bo bogactwy swemi chętniej się dzielił, niż używał, na ten dzień, a w cześć świętego patrona wspaniałość królewska jaśniała.

Wszystko, co skarbiec miał najpiękniejszego, wzięto na stoły. Police przy ścianach błyszczały od srebra i złota. Siedzenia wywyższone dla księcia, księżnej, biskupów, okryte były szkarłatem, cała izba zielonością przybrana majową, potrzęsiona zioły wonnemi. Dwór pański przywdział szaty świąteczne, krasne i pokaźne, kto co miał najkosztowniejszego, włożył na siebie.

Śmiać się zdawało wszystko. Dzień przed wieczorem do zbytku był ciepły, więc szeroko otwartemi oknami, gość pożądany, wonne wiosenne wchodziło powietrze. Na twarzy księżnej Heleny, zwykle mającej wyraz jakby trwogi i tęsknoty, w dniu tym widać było pokój i szczęście. Gwar po izbach, przytomnością pańską hamowany tylko, to przycichał, to tłumionemi śmiechy żwawszemi ożywiał się i wykrzyki. Około księcia skupiło się, co było poważniejszego z duchownych i świeckich panów, a biskup Pełka, pobłogosławiwszy stół, sam począł rozmowę od tego, iż należało Bogu za pomyślność, jaką na to królestwo zlewał, dziękować.

— Tak Bóg sprawiedliwym błogosławi — rzekł, — i przez pana naszego płynie nam łaska Jego.

Książę skłonił głowę.

— Bóg daj — odezwał się, — zasłużyć na to, coście mi niegodnemu rzekli. Nie przypisuję tego sobie, ale waszym modlitwom.

Tak zagajona poważnie mowa wnet przez Chmarę, który siedział nieopodal, na weselszy tor została zwróconą.

— Komu my to winni, dojść trudno — rzekł stary, — to pewna, że nam ubożuchnym z tem dobrze i bodaj długie wieki trwało, czego używamy. A my biedacy, możeśmy zasłużyli też na miłosierdzie Boże, bośmy długo cierpliwie plagi i chłosty znosili.

— W niepamięć to puścić! — rzekł biskup. — Święcą się lepsze czasy, w niebie mamy Orędownika-Rycerza, który i od ognia i od wody broni.

— Bodaj też i od złych ludzi — dodał Chmara, — bo to gorsze od ognia i wody.

Książę się począł nabożeństwom wspaniałym po kościołach radować, chociaż, jak mówił, wiele jeszcze nie dostawało, aby świątynie polskie włoskim, niemieckim i francuskim dorównały.

— Da Bóg i my takie będziemy mieli — odrzekł Pełka, — choć nam o kamień trudno, glina go zastąpi.

Cysters się odezwał, że mistrzów do budowania sprowadzając, swoich można było nauczyć tej sztuki, a Jarosław Bogoryja wtrącił, iż z kamienia, prawda, cudzy lepiej budować umieli, a z drzewa od naszych cieśli uczyćby się mogli.

— Proste było życie dawne na tych ziemiach — począł Jaksa, — więc rzemiosła nie kwitły. Z obyczajem lepszym i ręce ludziom urosną zręczniejsze, boć nie święci garnki lepią.

Rozprawiano tak, jedząc, o rzeczy wszelakiej; książę słuchał, niekiedy wtrącając słowo.

Biesiada trwała dosyć długo, coraz się stając gwarniejszą, tak, że wkońcu już tylko najbliżsi słyszeć się

mogli. W każdym kątku o czem innem rzecz się toczyła.

Przy dalszych stołach rozmowy, od ucha pańskiego odleglejsze, stać się musiały swawolne, gdyż je gęste śmiechy i puste słowa zdradzały.

Przeciągnęło się to do późnego wieczora, aż niektórzy wstawać poczęli, odeszła księżna, ziemianie dla chłodu na podsienia ustąpili, a książę został tylko otoczony szczuplejszem gronem poważnych mężów.

Zostali przy nim biskupi, duchowni, Jaksa, Goworek, wojewoda Mikołaj i ziemian co ciekawszych kupka milcząca.

Mogli już teraz rozpocząć mówić o ulubionych Kazimierzowi przedmiotach, o rzeczach niepowszednich. Wichfried dnia tego wziął na się dobrowolne podczaszostwo, chodząc głównie około pana i biskupów, których rozmów słuchał, a kubki im nalewał. Książę przyjaźnie mu się uśmiechał i dnia tego, dobrej będąc myśli, często swą czarę nalewać dawał.

— A! — odezwał się głośno, — gdyby życie całe płynąć mogło jak ten dzień dzisiejszy, pół na nabożeństwie z Bogiem, pół z ludźmi sercu miłymi, na rozmyślaniu o rzeczach ostatecznych! Niestety! nie tak zawsze się dzieje, ma prawa swe dzień powszedni, jak ma łaski dzień świąteczny. Chleb codzienny pożywać musimy we łzach i pocie naszych skroni... Niczemby to było, gdyby duch nie cierpiał, gdyby go nie trapiła tęsknota wiekuista, która i najjaśniejsze chwile przyćmiewa.

— Miłościwy panie — rzekł Pełka, — nie wyłamać się nam z tego, czemuśmy przez ciało nasze podlegli. Człek z niewiasty narodzony, pełen jest wszelkiej nędzy, wschodzi jako ziele i więdnieje jako trawa.

— Tak — dodał mistrz Wincenty, — aleć to życie znikome wstępem jest do wiecznego, a jak powiada modlitwa, którą czytamy za umarłych: życie się odmienia, nie ustaje. I dobrze rzekł Prudencjusz: „Nie płaczcie, matki, dzieci swych, bo śmierć jest żywotem nowym. Tak wyschłe ziarna pszeniczne umierają

w ziemię zakopane i zielenią się, wytykając z zagonów, kłosami odnowione".

— Pozwólcież — wtrącił Cysters, — abym do Prudencjuszowych dołożył tu słowa św. Paulina z Noli, który o życiu przyszłem głosi: „Czeka ma dusza obmycia się z grzechu, drży mi serce pełne wiary, tętnią w niem więzy wszystkie. Duch mój w trwodze przyszłości lęka się, aby go nie spętały troski o ciało, by ciężar jego nie przygniótł go do ziemi, boi się, aby, gdy trąba brzmiąca z otwartych ozwie się niebios, nie podołała skrzydły lekkiemi unieść się na spotkanie króla, dźwignąć ku niebu do tysiąca świętych, pełnych chwały, którzy z pęt świata wyzwoleni ulatują lekko w przestrzenie ku gwiazdom wysoko! Niesieni na obłokach, płynących między gwiazdami, unoszą się w powietrzu, by pozdrowić Króla niebios i połączyć się z Jego zastępy jasnemi u stóp wielbionego Chrystusa".

— Ten to sam Paulin święty — przerwał Wincenty, — powiedział pięknie: „Dusza, która ciała zniszczenie przeżyje, jest nieśmiertelną, dzięki jej niebieskiemu pochodzeniu. Zachowa więc uczucia swe i miłość swą z żywotem razem. Jeżeli umrzeć nie może, nie może zapomnieć, bo ma żyć wiecznie i wiecznie pamiętać".

— A! — zawołał książę z uniesieniem. — Co za pocieszające słowa! Wolno nam więc będzie kochać, cośmy miłowali, widzieć to, do czegośmy przywiązali się w życiu, spotkać druhów serdecznych, odnaleźć tam straconych ojców, braci, dzieci!

Chwilę milczano.

— To, co poczciwą miłością było w Chrystusie Panu — odezwał się Pełka, — czemuby poza kres życia doczesnego przeciągać się nie miało? Wszakci nietylko duszę nieśmiertelną, ale i ciało ubłogosławione przywdziejemy znowu, a mój św. Orjent powiada: Mistrzu Wincenty! tyś mi to czytał, co czytasz, to pamiętasz!

Wszyscy się zwrócili ku Wincentemu, który skro-

mnie rumienił się ilekroć do niego, jak do księgi się odwoływano.

— Pomnę to miejsce — rzekł. — Brzmi ono: „Przez wasze pobożne pragnienie i życie święte staniecie się chwały godnymi w żywocie wiecznym i doczesnym tak, abyście uczczeni już przez poczciwy żywot, który prędko upływa, po zgonie mogli wieczną chwałę pozyskać, albowiem, wierzajcie mi, a pomnijcie to, że wszystko, co szalonym zdaje się znikomem, jest trwałem. Wiedzcie, że dusze wnijdą w te same ciała znowu i wdzieją swe cielesne powłoki. Postawa, barwa, krew, żyły, skóra, kości, włosy powrócą jak były. I nietylko to, co kamienie spojone zachowały w grobach, co niezepsutem przechowują balsamy i prochy Arabji — i to, co częścią w grobach leży, częścią w rzekach spłynęło, wszystko powróci prędzej, niż wyrzecze się słowo i stanie ciałem twardem. Co zniszczył wicher, co rozszarpały zwierzęta, co ogień strawił, co gruzy przysypały, wszystko z rozproszonych części się połączy, choć je ptacy pożarły, ryby i dzikie potwory połknęły, wstanie na głos trąby Pańskiej".

— A! — zawołał, słuchający z chciwością, Kazimierz, — mnie na usta przychodzi ów rytm św. Augustyna o raju, który do moich modlitw należy:

> „Serce moje spragnione chce się orzeźwić u źródeł żywota, dusza pragnie skruszyć więzy ciała, które ją zakuły w niewolę i jak wygnanka płonie żądzą powrotu do ojczyzny, ucieczki".

— A! miłościwy książę — przerwał Chmara, — zlitujcie się, nie uciekajcie sierotom, potrzebniście nam!

— Niech Bóg da mu żywot najdłuższy — podchwycił Pełka, — a o końcu myśleć nie szkodzi nam wszystkim.

— Nie zapominam o nim — mówił Kazimierz, — sposobię się doń, a choć Opatrzność Boża i ten mój pobyt na ziemi szczęśliwym uczyniła, przecie prawdziwej szczęśliwości tam dopiero wyglądam.

— Bo jej na ziemi być nie może — odparł Win-

centy, — ani cienia nawet! Niema tu chwili jednej bez kropli goryczy.

— Tak, ojcze mój, wielka to prawda! we wszystkiem, co tu nas spotyka, na dnie żółć i ocet się znajduje, po największej rozkoszy największy ból ogarnia; wiecznie tu tęsknimy, pragniemy wiekuiście i ze spaloną wargą do źródła przyjdziemy!

To mówiąc, Kazimierz smutnie się uśmiechnął.

Stała przed nim ulubiona czara jego, misternie ze złota wykuta, pięknemi barwy obleczona, którą mu z Francji przywieziono w podarunku. Zdobił ją dokoła biegnący napis Teodulfa biskupa Orleanu, który, że wiele pisał o sprawiedliwości, książę go sobie często czytać kazał i wysoce pisma jego szacował. Dlatego Cystersi, którzy tę czarę kazali robić dla księcia, wyryć na niej dali napis łaciński, przez Teodulfa niegdyś ułożony:

„Ty, coś niegdy wodę przemienił w wino, dając jej smak i barwę jego, pobłogosław tak rękami swemi tę czarę naszą, a spraw, byśmy długo dni używali szczęśliwych“.

Wichfried stał właśnie za księciem, godzina była spóźniona, Kazimierz, pomyślawszy trochę, jakby się wahał, czy jeszcze jedną wychylić czarę, — podał ją z uśmiechem pełniącemu podczaszego obowiązek.

— Nalej, Wichfriedzie, ostatnią! — rzekł — i idźmy na spoczynek.

Z pewną bojaźnią i pomieszaniem Wichfried przyjął czarę z rąk księcia, poszedł z nią, gdzie stało wino, pochylił się.

Czy wino ciekło powoli ostatkami, czy Niemiec czarę wymywał, zabawił trochę długo, aż Kazimierz, który rękę wyciągniętą trzymał, zawołał:

— Wichfriedzie! wina!

Podczaszy zwolna niósł nalaną czarę, a gdy książę do ust ją przykładał, schylił się, szepcąc mu coś na ucho.

Jeszcze nie dokończył pić Kazimierz, gdy złota czara z rąk mu wypadła, pochylił się na siedzeniu, głowa

zwisła za poręcz, oczy stanęły słupem, drgnął tylko i ciężarem całego ciała na ziemię się obalił.

Wszyscy się rzucili ku niemu, pierwszy Wichfried przerażony, obejmując go rękami. Zerwali się biskupi, powstawali ziemianie, runęły ławy, rozruch się stał straszny, trwoga niewysłowiona... Wołano wody, lekarza.

Kazimierz leżał już blady, zsiniały, martwy, zabity, jak od pioruna, który mu nie dał jęknąć ni wymówić słowa.

Nikt wierzyć nie chciał zrazu, ażeby ten, który przed chwilą pełen był życia, mógł do tej wieczności, o której marzył i rozprawiał, przejść w jednem oka mgnieniu. Odcierano go, oblewano wodą, klękli dokoła dworzanie, podnieśli na rękach, płacząc.

Trupem już był zastygłym i zimnym.

Dziwną łaską jakąś twarz ta, którą dłoń śmierci dotknęła tak gwałtownie, nie miała na sobie śladów żadnej walki z życiem, żadnej męczarni, ani cierpienia. Błogi spokój ją oblewał, zdawał się uśpionym, powieki nawet same mu na oczy zapadły, a usta zdawały się uśmiechać.

Po chwili osłupienia rykiem boleści rozległ się zamek, podwórca, miasto:

— Kazimierz nie żyje!

Noc to była straszna, zamętu, popłochu, łez przerażenia. Na wszystkich spadł ten cios, jak kamień z niebios w dzień pogodny. Co się stanie z królestwem? Co z Krakowem? Co z przyszłością? Co mieli poczynać biskup, starszyzna, ziemianie, dokąd i do kogo się obrócić?

Gdy u nóg martwego pana i małżonka leżała półmartwa, rozpadając się z żalu, drąc na sobie szaty, Helena z trojgiem dzieci, biskup Pełka i Mikołaj wojewoda musieli już, łzy połykając, radzić, aby uchować sierotom ich ojcowiznę, niedopuszczając czyhającego na nią Mieszka.

Noc majowa nie dobiegła do końca, gdy już na biskupstwie zebrała się rada i z rozpaczą w sercu, z trwogą w duszy, starsi o losach rodu i narodu radzić musieli.

A każdemu słowu niemal towarzyszyły okrzyki:

— Sieroty jesteśmy! sieroty, nie pana straciliśmy — ojca.

Któż taką chwilę boleści narodu całego odmalować potrafi?

Gdy w nocy zawrzało na zamku i krzyki się rozległy straszne, a żałobne dzwony miasto rozbudziły, kto żyw wybiegał w ulicę. Jedni drugim podawali wieść nie do wiary.

— Książę umarł! Umarł pan i ojciec nasz...

Nie chcieli wierzyć ci, co go kochali, biegli półnadzy na zamek, gdzie ciało jeszcze w ubraniu ucztowem nietknięte leżało, otoczone płaczącymi.

Wichfried włosy rwąc na głowie o ściany się rozbijał w rozpaczy. Dziwne wieści krążyły, podawane cicho z ust do ust. Pełka go kazał przywieść do siebie. Zamknęli się w izbie osobnej, słychać było głosy podniesione, jęki i wołanie, i jakby padanie na ziemię, a gdy Wichfried odszedł, biskup powrócił niemy, blady, nie mogąc się na nogach utrzymać. Niemiec wprost do klasztoru na Tyniec jak pokutnik powlókł się piechotą.

Nim ranek nadszedł, Kraków cały był jedną izbą żałobną, jęki i zawodzenia słychać było wszędzie.

Na dworze Doroty z wieczora pozapalano światła, służba przybrana stała, gospodyni strojna wyglądała oknami na drogę ku zamkowi.

Gdy na mieście uderzono we dzwony i krzyki się słyszeć dały, Dorota na próg wybiegła.

Ulicą leciał człowiek bez nakrycia na głowie, rozpasany, z włosami rozwianemi i wołał nieprzytomny:

— Pan nie żyje! pan umarł!

Wdowa zabiegła mu drogę. Powtórzył jak obłąkany:

— Sieroty my! pan nie żyje! U końca uczty czarę do ust niosąc, skonał!

Z krzykiem dzikim Dorota nazad rzuciła się do domu i na progu padła zemdlona. Stąd ją na ręce wzięły sługi i na łoże zaniosły.

Wśród tego zamieszania, jakie po zgonie księcia panowało, około południa następnego dnia bracia z Tęczyna nie zapomnieli skorzystać z chwili, na którą oczekiwali. Oddział ich ludzi otoczył dwór Doroty i pochwyconą powieziono do Tęczyna.

Tu w wieży, która potem przez długie wieki od imienia nieszczęśliwej zwała się Dorotką, bracia zamknęli ją, ażeby więcej rodowi ich sromu nie czyniła [1]). Żyła w tem więzieniu, pokutując szalona niewiasta lata długie, więcej już nie widząc świata.

Stach, który w gorączce ciągle marzył o otruciu pana, tej nocy złowrogiej nie dowiedział się o śmierci jego. Żegieć mu ją utaił, uspokajając, jak umiał tem, że wołanie i bicie we dzwony było resztą wielkiej uroczystości i uczty zamkowej.

Benedyktyn dopiero, gdy ranę przyszedł opatrywać z zapłakanemi oczyma, na pierwsze zapytanie o wrzawę w mieście, odpowiedział z rezygnacją mnicha:

— Módl się za duszę pana, którego Bóg wziął do chwały swej.

Padł twarzą na ziemię Stach onieprzytomniały z bólu; gorączka wróciła, zaogniła się rana, ale nie przeznaczonem mu było życia tak rychło dokonać. Powoli znowu zabliźniać się zaczęła rana, wróciły siły, tylko nie ochota do nowego życia.

Stach mógł odzyskać dawne nazwisko swoje, chciał Pełka go umieścić u brata wojewody, nie przyjął tego znękany człek, który ciszy i pokoju pragnął. A że wiek mu do klasztoru wstąpić nie pozwalał, pozostał w mieście, wziąwszy szatę pokutniczą, więcej żyjąc

---

[1]) Paprocki „Herby".

w kościele, niż z ludźmi, milczący, dogorywający już tylko.

Gdy na Wawelu dzwony uderzyły, zwiastując zgon pana, a głos ich doszedł do murowanki za Wisłą, Jagna, która na łożu swem wpół drzemała, pół marzyła, otwarła oczy, tchnęła silnie, dłoń przyciskając do piersi, i nazajutrz sługi znalazły ją uśpioną na wieki

KONIEC

Drezno, 1897.

+ Folo
d

FRANCISCAN FATHERS
SEMINARY
ELLICOTT CITY, MD.